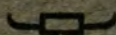


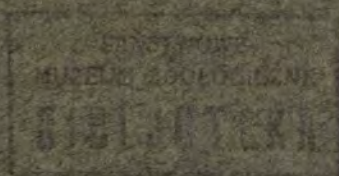
JAN SZTOLCMAN



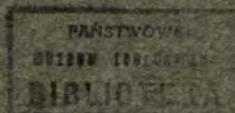
PERU

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

Z MAPĄ



TOM II



WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1912.

Muzeum Ziemiańskie
BIBLIOTEKA
nr. N. K. 1458.

PERU

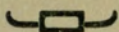
TOM II

(1748)

PAŃSTWOWE
MUZEUM ZOOLOGICZNE
BIBLIOTEKA
Inw. Nr. K.2458

[Handwritten signature]

JAN SZTOLCMAN

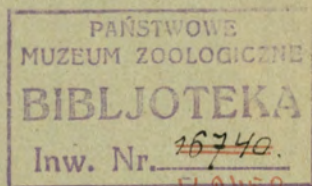


PERU

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY



Z MAPĄ



TOM II



WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1912.

Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K. 2458-2/I



1000000000381

Druk E. NICZ i S-ka, Warszawa, Nowy-Świat 70.

Spis rozdziałów tomu II-go.

	str.
ROZDZIAŁ I.	
Podróż do Choty.	1.
ROZDZIAŁ II.	
Sierra i Serrano	18.
ROZDZIAŁ III.	
Otoczenie mieszkańca Sierry	42
ROZDZIAŁ IV.	
Chota. — Jarmark w Cutervo. — Tambillo . .	79.
ROZDZIAŁ V.	
Wyprawa nad Maranon	111.
ROZDZIAŁ VI.	
Cutervo — Callacate. — Wycieczka do Nina- bamby. — Obyczaje tłuszczaka (<i>Steatornis cari-</i> <i>pensis</i>)	132.
ROZDZIAŁ VII. *)	
Chachapoyas. — Odkrycie kolibra <i>Loddigesia mi-</i> <i>rabilis</i> . — Tamiapampa	158.
ROZDZIAŁ VIII.	
Dolina Huayabam'ba. — Huambo	175.
ROZDZIAŁ IX.	
Chirimoto. — Moyobamba. Podróż z Moyobam- by do Yurimaguas	205.
ROZDZIAŁ X.	
Yurigamus — Powrót do Europy	231.

*) Zwracamy uwagę czytelników naszych, że na stro-
nie 158 popełniono błąd zecerski, a mianowicie zamiast
„Rozdział V“ powinno być „Rozdział VII.”

ROZDZIAŁ I.

Podróż do Choty. — Puna.

Dnia 10 lipca byliśmy gotowi do drogi. Wypiwszy pożegnalną kawę u naszych gościnnych gospodarzy, pp. Carlinów, zabraliśmy się do siodłania koni. Podróż naszą obliczaliśmy na dni 6 i na ten przeciąg czasu wzięliśmy też prowizję, przewidując jednak przypadkową zwłokę, powiększyliśmy nieco nasze podrózne zapasy. Z innych rzeczy mieliśmy narzędzia do preparowania ptaków, mydło arszenikowe, sól z spirytusem na żaby i jaszczurki, bieliznę i buty zapasowe, kociołek do gotowania ryżu, kociołek do herbaty, 1¹/₂ butelki szmalcu i t. p. Był to więc ładunek dość okazały, jak na dwa konie; a trzeba dodać, że ponieważ pies mój znajdował się w stanie rekonwalescencji po ośmiodniowej chorobie, więc i jego trzeba było na konia do sakwy pakować, bo inaczej nie wytrzymałby długiej i uciążliwej podróży.

Pożegnawszy się z Carlinami, wyruszyliśmy o godzinie pół do dziesiątej w drogę, pozostawiając w Chepen 13 ładunków do przybycia arjerów z Chota. Przodem poszedł Jelski piechotą, trzymając w ręku karton i busolę do zdejmowania planu drogi i prowadząc swego konia, naładawanego alforjami. Za nim jechałem ja na swym rumaku, siedząc jak na wieży na mych sakwach, z których sterczała głowa Dżoka.

Przejechawszy około godziny 11-ej haciendę Talambo, wkroczyliśmy w tak zwany „despoblado“, czyli pustynię. Była to obszerna równina kamienista, pokryta gdzieniegdzie karłowatymi krzakami. Równina ta stopniowo zężała się, wrzynając się klinem w pierwsze rozgałęzienia Kordyljerów. W samym wierzchołku trójkątu znajdował się punkt, do którego na nocleg dojść musieliśmy, gdyż przedtem nigdzie wody znaleźć nie było można.

Pierwszy ten dzień naszej podróży był nadzwyczaj przykry i nudny. Słońce paliło nas swymi prostopadłymi promieniami, a najmniejszy nawet wiaterek nie łagodził rozżarzonej atmosfery. Już koło południa brak wody silnie nam się dał uczuwać, a biedne psy nasze poprostu szalały z pragnienia. Ponieważ i „Dobry”

Jelskiego odmawiał dalszego marszu na rozpalonym gruncie, więc i jego wpakowaliśmy na mego konia, a ja od tej chwili poszedłem piechotą i całą już podróż aż do Chota odbyłem w ten sposób.

Wreszcie o godzinie 6-ej stanęliśmy w Las Viejas u celu naszej pierwszej, a tak przykłej dniówki. Las Viejas jest to mała osada, złożona z trzech deszczochronów, gdzie kilku osadników z Chepen przybywa w porze, kiedy woda w strumieniu płynie, aby tu swe czasowe pola kukurydzy, bawełny oraz innych roślin uprawnych zakładać. Gdy w porze suchej strumień zamienia się na "rio seco", osada pustoszeje zupełnie.

Zajechaliśmy do jednego z szałasów, gdzie nas przyjęto gościnnie. Złożyliśmy nasz bagaż przy chacie, konia na pastwisko puściliśmy i rozpaliwszy ogień, wzięliśmy się do gotowania naszej strawy, składającej się z gotowanego na smalcu ryżu, z pieczonego „charqui” (mięsa suszonego) i z chleba z serem, co wszystko razem popiło się gorącą herbatą. Posiliwszy się w ten sposób, zaslaliśmy naszą pościel „à la belle étoile”; nie było tam ani pierzyn, ani poduszek lub kólder puchowych: pod spód położyliśmy nasze potniki, zamiast poduszek—siodła, a okryliśmy się wełnianymi kóldrami, które nam zawsze w drodze towarzyszyły. Psy ułożyły się przy nas i wkrótce sen twardy zmorzył nasze powieki po dniu tak uciążliwym.

Gdy m nazajutrz rano oczy otworzył, już świtać zaczynało, a Jelski ogień rozpalał. Zgotowaliśmy prędko herbatę, a wypiwszy ją i zakąsiwszy chlebem i serem, pożegnaliśmy naszych gospodarzy i około 9-ej rano ruszyliśmy w drogę. Droga stąd prowadziła dość wąską doliną strumienia, pokrytą rzadkim lasem algarrobowym. Już nam dnia tego przynajmniej brak wody nie dokuczał. Przechodząc na jedną to na drugą stronę strumienia, posuwaliśmy się naprzód, wznosząc się nieznacznie, ale stale. Około 4-ej po południu stanęliśmy wreszcie w osadzie niejakiego Cayetano Medina, znanego Jelskiemu z poprzedzających podróży. Właściciela w domu nie było, a żona jego, czy towarzyszka (bo w Peru trudno odgadnąć, o ile jest uprawniony stosunek pana do pani domu) zgodziła się sprzedać nam trochę lucerny dla koni pod warunkiem, że jej sami narzniemy. Jelski więc poszedł po paszę dla naszych wierzchowców, a ja tymczasem obiad gotowałem. W trakcie tego nadjechał jakiś starowina, wiozący pszenicę na sprzedaż do Chepen. Zaprosiliśmy go na herbatę, co chętnie przyjął i w dał się z nami w gawędę, powtarzając najmniej dwadzieścia razy, że nie powinniśmy jechać do Chota i Cutervo, lecz do Celendin i Chachopoyas. Jednocześnie jakiś pijany parobek (peon) molestował mnie bez końca, abym mu moją strzelbę sprzedał.

— Płacę 12 pesos, płacę 100 pesos za strzelbę wraz z właścicielem—krzyczał, odgrażając się, że strzelać będzie, jeśli mu broni mej nie sprzedam. Nie mogąc dociec, z czego ten biedak będzie strzelał, pozostawiliśmy go w spokoju i udaliśmy się na spoczynek.

Spędziwszy noc dość spokojnie, na drugi dzień wyruszyliśmy w drogę około 9-ej rano, lecz ledwieśmy kilkadziesiąt

kroków ujechali, gdy cały ładunek na moim koniu źle przymocowany, runął na ziemię. Trzeba było na nowo ładować, wiązać, co nam blisko godzinę czasu zajęło. Nie byliśmy jeszcze wtedy wprawni w ładowanie koni czy mułów, a niemasz nic gorszego, jak źle zrównoważony lub niewłaściwie przywiązany ładunek. Krzywi się wtedy co chwila, narażając podróżnika na ogromną stratę czasu. Później nabraliśmy już wprawy i w dalszej naszej podróży przynajmniej z tej strony nie mieliśmy zwłoki.

Począwszy od osady Mediny droga zaczęła się szybko pięć pod górę. Po obu stronach doliny widać było pola kukurydzy, pszenicy, a nad strumieniem — plantacje bananów. Okolica stała się więcej zaludnioną, to też coraz częściej mijaliśmy domostwa osadników. Około południa dotarliśmy do osady Pueblo Nuevo, złożonej z dwunastu chat, a wzniesionej już na 4000' nad poziomem morza. Ztąd w niewielkiej odległości od nas wznosił się pierwszy grzbiet Kordyljerów, wśród którego dumnie strzelały ku niebu szczyty Quillon i Minis.

Pnąc się dalej ku górze, stanęliśmy o godzinie 2-iej po południu w osadzie San Gregorio, zwanej pompatycznie „pueblo” (miasteczko). San Gregorio według mego doskonałego aneroidu mierzy 5900' absolutnego wzniesienia. Zajechaliśmy do miejscowego „gubernadora”, co odpowiada naszemu wójtowi. Gospodarza nie było w domu, lecz żona jego przyjęła nas bardzo gościnnie. Gdy ja zająłem się puszczeniem koni na pastwisko i zgotowaniem obiadu, Jelski tymczasem nanosił na papier całodzienną naszą marszrutę. Pod wieczór nadszedł z pola gospodarz, zaprosiliśmy więc jego wraz z żoną na obiad, poczem długo jeszcze przy świecy gawędziliśmy, aż póki klejące się powieki nie zwiastowały nam, że pora przecież wypocząć po długim marszu. Noc jednak spędziłem fatalnie, atakowany z niezwykłą zażartością przez pewne małe stworzonka, które się u nas pchłami nazywają. Znać było, żeśmy się znajdowali w bliskości Sierry, gdzie te owady mają swe prawdziwe królestwo.

Poczuliśmy też sąsiedztwo wysokich Kordyljerów, gdy nas rankiem dnia następnego zimno przejęło. Zjadłszy nasze zwykłe śniadanie, składające się z herbaty, chleba i sera, puściliśmy się o pół do ósmej rano w dalszą drogę. Począwszy od San Gregorio, droga pięła się już nieustannie ku górze po stoku wspomnianego powyżej Minisu, którego szczyt mierzyć może około 10,000 absolutnej wysokości. Widok stąd był wspaniały: u stóp naszych skłony gór, upstrzone zielenią pól uprawnych, a wśród nich lepiące się białe domki; na każdym kroku strumienie, toczące swe kryształowe wody z pełnym życia szumem, tu i owdzie gaje drzew, okrytych Tillandsjami i ljanami. A tam daleko ku zachodowi, niby morze, jednolita warstwa białych obłoków, wśród których wynurzały się pojedyncze szczyty. Ten piękny widok oblewało światło porannego słońca, a świeży wiaterek odpędzał wszelkie znużenie.

Kamienista droga wila się zygzakami po urwistym skłonie

góry. Szliśmy zwolna, ale bez zatrzymywania się, krokiem miarowym i równym. Gdyśmy jaką chatę mijali, wybiegali z niej ludziska, patrząc ciekawie na tę miniaturówą, a tak niezwykłą dla nich karawanę. Idąc tak, około południa wydostaliśmy się na szczyt pierwszego grzbietu Kordyljerów: barometr wskazywał 9000' nad poziomem morza, czyli żeśmy się wzniesli bez wytchnienia na 1000 metrów, to jest na wiorstę prawie w górę od San Gregorio. Taki marsz forsowny, trwający cztery i pół godziny wymagał odpoczynku. Zatrzymaliśmy się więc i przysiedliśmy trochę.

Przed nami rozciągała się obszerna wyżyna, poprzęznana niegłębokimi parowami o spadkach dość łagodnych. Pokrywały ją pola uprawne lub gaje pełne ptactwa. W prawo od drogi widniały szczyty gór Condor i San Miguel. Wprost przed nami ciągnął się drugi grzbiet Kordyljerów, znacznie wyższy od tego, któryśmy przebywali i z lasu ogołocony. Tam zaczynał się już region pastwisk alpejskich, czyli tak zwana „jalca” Indjan północnego Peru, a „puna” — mieszkańców południa. Były to wyżyny rdzawo-zielonego koloru, od których wyraźnie odbijały kontury ciemnych lasów, poniżej leżących.

Zamiarem naszym było dostać się dnia tego do granicy lasu, lecz posuwaliśmy się naprzód niezbyt śpiesznie. Około 3-ej po południu, przebywszy jakiś strumień, wdrapaliśmy się na sąsiednie wzgórze, gdzie wznosiły się obok siebie dwie serrańskie chałupy. Tutaj w podwórzu zastaliśmy kilkoro dzieciaków, które na nasz widok pouciekały do domu i tylko wychylały ciekawie głowy, zaintrygowane niezwykłym dla nich widokiem „gringów”.

— Czy macie paszę do sprzedania?

— Nie mamy. Właściciela niema w domu.

Cóż było robić z dzieciarnią. Ruszyliśmy dalej pragnąc bądź co bądź dobrnąć dnia tego do „puny”; lecz ujechawszy z pół wiorsty ulegliśmy tej refleksji, że przybędziemy na nocleg zbyt późno, więc zawróciliśmy się z zamiarem przenocowania w owych chatach, gdzieśmy mieli zapewnioną dobrą paszę dla naszych wycieńczonych drogą i wygłodniałych rumaków.

Gdyśmy powtórnie do osady podjechali, na podwórzu siedziała już jakaś babina, zajęta tkaniem wełnianego szala. Zapytana, czy nam sprzeda trochę paszy, odpowiedziała jak i dzieciaki, że właściciel osady pojechał do Chepen, a ona sprzedać nie może. Upewnialiśmy ją, że jesteśmy głodni, znużeni, że konie nasze ledwie się wloką; baba była niezwruszona i nawet widok dwu reali srebrnych, ofiarowanych z góry za paszę, nie zmienił jej postanowienia. Wówczas Jelski zrobił jej ostrą wymówkę za jej niegościnność, poczem wyszliśmy za wrota, postanawiając zająć pastwisko prawem kaduka. Podobna samowola wyda się dziką w Europie, lecz w krajach południowo-amerykańskich jest nieraz jedynym środkiem zdobycia sobie niezbędnych produktów; stosowaliśmy ją zresztą w wyjątkowych razach i nigdy z krzywdą właściciela.

Otworzyliśmy wrota w płocie, okalającym pastwisko, przy-

wiązaliśmy na niem konia i obok rozłożyliśmy się obozem. Wkrótce buchnął wesoły ogień, na którym trzeba było strawę ugotować. Po wodę jednak wypadło iść do kaskady tuż przy samej chacie. Gdy z kociołkiem do niej podszedł, stał tam na wzgórzu jakiś staruszek z ogromną pałą, świeżo wyciętą. Domyśliłem się, że mam przed sobą gospodarza osady, podszedłem więc do niego. Stary miał zęby zaciśnięte i widocznie gniew tłumił.

— Nie gniewajcie się, żeśmy pastwisko zajęli. Towarzysz mój jest na służbie peruwjańskiego rządu i ma do tego niejakię prawo.

— A tak, słusznie — wycedził przez zęby, choć widać było, że co innego myślał i tylko strach przed nami wstrzymywał go od kroków zaczepnych. W końcu po dłuższych perswazjach udobruchał się i zapłatę za pastwisko przyjął.

Noc tę mieliśmy przykrą, gdyż zimno było bardzo dokuczliwe i mimo kołder naszych i „ponchos” wełnianych, dzwoniliśmy nieustannie zębami. Znajdowaliśmy się dopiero na wysokości 9000' nad p. m.; jedynie więc niezwyklej czystości nieba, a tem samem silnemu promieniowaniu ziemi ten silny przymrozek przypisać należało.

Rankiem 14-go lipca, a piątego dnia naszej podróży, wszystko było pokryte szronem; ręce grabiły nam, a nogi marzły. Zajęci byliśmy spożywaniem śniadania, gdy podszedł stary gospodarz i zażądał powtórnej zapłaty za pastwisko. Nie mogliśmy pozwolić na taki wyzysk, więc też odmówiliśmy stanowczo, a natomiast poczęstowaliśmy go herbata, której zagniewany nie przyjął i odszedł. W końcu nadszedł jeszcze jakiś młody człowiek, żądając powtórnej zapłaty, lecz widząc, że nic nie wskura, udobruchał się i ofiarował nam niewielki serek, który następnie oddaliśmy psom, obawiając się, czy nie jest przypadkiem zatruty. Jak się okazało, była to w danym wypadku ostrożność zbyt duża, niemniej jednak stosować ją należało, gdyż w stosunkach z Indjanami zawsze spodziewać się należy wrogiego usposobienia, jak w tym razie bardziej jeszcze usprawiedliwionego.

Opuściliśmy miejsce naszego noclegu o godzinie 8 i pół rano. Droga prowadziła zrazu pięknym laskiem, pnać się wciąż ku górze. O godzinie 10-ej dotarliśmy do drugiego grzbietu Kordyljerów, położonego na wysokości 10,000 stóp nad poz. morza. Tu już wkraczaliśmy do regionu „Puna” i aż do samego miasta Chota nim ciągle wędrować mieliśmy. Ponieważ ta zona stanowi wybitny typ okolic peruwjańskich i w toku naszego opowiadania często z nią się spotkamy, przeto muszę słów kilka poświęcić szczegółowemu jej opisowi, aby czytelnik nabrał dokładnego pojęcia o strefie traw alpejskich w Kordyljerach.

2. zona de traw

Region alpejski
strefa traw

Region pastwisk alpejskich, zawarty między górną granicą lasu i dolną wiecznych śniegów, nosi w południowym Peru i w Boliwii nazwę „Puna”, gdy jednocześnie zwą go w północnych czę-

ściach Peru — „Jalca“ (czyt. chalka) lub „Jalca-puna“, a w Ekwadorze — „Paramo“. Ponieważ granica lasu oraz granica wiecznego śniegu nie jest stałą nawet dla jednych i tych samych szerokości, zależąc często od konfiguracji gór, zatem i „Puna“ jak i inne regiony stale określonych granic mieć nie może i gdy w jednych okolicach występuje już na 8000 'stóp, w innych dopiero na 12,000 stóp absolutnej wysokości panowanie swe rozpościera.

Puna jako najwyższa część Kordyljerów, z wyjątkiem śnieżnych szczytów, których w północnem Peru prawie wcale niema*), posiada rozległe krajobrazy. Są to szeregi zaokrąglonych grzbietów, pokrytych charakterystyczną rudawą trawą, z pomiędzy których wystrzelają gdzieniegdzie ostrokątne szczyty, a niekiedy skaliste, ostre piki. Od rudawej barwy tych grzbietów wyraźnie odbija ciemna, prawie czarna masa niżej położonego lasu. Dalsze grzbiety przybierają dla nas błękitną barwę i mniej wyraźne zarysy, aż w końcu tej panoramy, rozległej na dziesiątki, a może setki wiorst, rozróżniamy zaledwie na tle błękitu nieba kontury jakiejś odległej góry lub jakby biały obłoczek — szczyt śnieżny.

Dwa gatunki trawy rosną w regionie „Puny“, z których jedna wielka, rosnąca kępami (*Stipa ichu*), nadaje właśnie tym okolicom właściwy rudawy koloryt, gdy druga, rozetkowata i krótka, pięknego zielonego koloru, rośnie pod pierwszą, pomiędzy jej kępami. W miejscach jednak równych, za tem bardziej wilgotnych, wielka trawa znika zupełnie, mniejsza zaś grunt porasta i dla tego to wśród rudawych przestrzeni widzimy liczne, piękną murawą pokryte łączki. Strzedz się ich jednak należy, gdyż często są to zdradliwe trzęsawiska, z których ugrzęzłe konie lub muły z trudnością wydobyć się mogą.

W dolnych częściach Puny, poniżej 12,000', porasta miejscami znany nam już ze Sierry chinchango (czinczango, *Hypericum laricifolium*), jedyne prawie w tych strefach paliwo. Podróżny, poszukawszy nieco, znajdzie zawsze dość tej rośliny uschłej na pniu, aby przy jej pomocy ogień rozpalić i strawę gorącą przygotować. W górnych zaś strefach tego niegościnnego regionu, jedynie za pomocą wielkiej trawy możemy podtrzymać jaki taki ogień, o szukaniu bowiem drzewa ani myśleć nie można, gdyż tam wszelka drzewiasta roślinność znika zupełnie.

Grunt w Punie składa się przeważnie z czarnoziem, pokrywającego jak się zdaje grubą warstwą inne pokłady lub skały. Czarnoziem ten niewątpliwie, w ten sam sposób uformowany, co i nasze torfy, odegrać musiał ważną rolę przy pierwszym pojawieniu się lasów, na co zwracam uwagę, jako na okoliczność, do której odniosę się kiedyś, mówiąc w przyszłości o rozmieszczeniu lasów w Kordyljerach. Nie mogę tu pominąć ważnej, jak się zdaje obserwacji, zrobionej przy szukaniu owadów w Punie pod kamie-

*) W całym północnem Peru, obejmującym departamenty Piura, Libertad, Cajamarca, Amazonas i Loreto o ile mi wiadomo, znajduje się tylko jedyny szczyt śnieżny, Cajamarquilla, na granicy departamentów Libertad i Loreto.

niami, a mianowicie że kamienie, u stóp wzgórz leżące, mniej są zagłębione w warstwie czarnoziemiu, niż ku wierzchołkowi, co dowodzi, że warstwa czarnoziemiu na wierzchołkach wzgórz jest grubsza, aniżeli u ich podstawy, gdy pozornie powinny być przeciwnie, biorąc na uwagę splukiwanie górnych warstw przez wody deszczowe i znoszenie ich na niżej położone miejsca.

Puna jest jednym z regionów najlepiej uposażonych w wodę. Co kroku przecinamy piękne strumienie o wodzie tak przezroczystej, że na dnie ich najdrobniejsze kamyczki rozpoznajemy z wielką łatwością. Nieraz długi skłon góry jest literalnie jednym szeregiem za sobą idących źródełek, które sącząc się z czarnego błotnistego gruntu, zachowują przezroczystość niepospolitą. Łatwo też jest zrozumieć, że Puna, jako górna część Kordyljerów, większych strumieni posiadać nie może.

Ogólne wrażenie, jakie Puna sprawia na podróżniku, jest pewnym rodzajem grozy i majestatu, choć nie można powiedzieć, aby i ten region swego uroku nie posiadał, zwłaszcza kiedy piękna pogoda ustali się na czas dłuższy i wędrowiec znajduje się w doskonałych warunkach podróży. Przy całej monotoności widoku, te szeregi falistości rudawego koloru, urozmaicone gdzieś tam szarą skałą prostopadłą, lub oryginalnym, do baszt zamku podobnym szczytem, oblane świetnymi promieniami słońca; ten jasny lazur nieba — gdyż niekoniernie prawdą jest, aby na tej wysokości ciemniejszą barwę przybierał — wszystko to posiada urok dziewiczości, jaki tylko stracić mogą okolice, przez człowieka zamieszkałe.

Miejscami jednak Puna przybiera dziki i groźny pozór, szczególnie po jarach, zawałonych wielkimi głazami porfirów; gdy nadto w koło sąsiedniego szczytu zbiorą się czarne jak noc chmury, zapowiadając groźną burzę, w jakie Puna obfituje, wędrowiec uczuwa pewien rodzaj nicości i poszanowania dla tych stref niegościnnych. Czujemy się strasznie bezsilnymi wobec tych fenomenów powietrznych, wobec tych mas skalistych; tak jak w chwili trzęsienia ziemi, lub wśród burzy na morzu, pojmujemy, z niezwykłą jasnością, że cała ludzkość razem wzięta nie byłaby w stanie nic nam dopomóc, gdyby nas miał osiągnąć gniew Stwórcy że tak my jak i cała ludzkość jesteśmy prochem.

Istnieją wśród Puna obszerne doły bez ujścia, jakby kotliny, na dnie których znajduje się zwykle niewielkie jeziorko o wodach czarnych, nieruchomych. Nieraz takich jeziorek można spotkać kilka, jedno obok drugiego leżących, a najmniejsze z nich nie posiadają więcej nad paręset stóp kwadratowych powierzchni. Niskie ich brzegi porasta wyżej opisana wielka trawa „stipa“. Miejscowi utrzymują, że jeziorka te nie posiadają dna i wogóle żywią dla nich pewien rodzaj bojaźni i czci religijnej.

Słyszałem nieraz od osób wiarogodnych i poważnych, że niektóre z tych jeziorek posiadają osobliwe własności, o czym zresztą wspomina także znakomity podróżnik włoski, prof. Raimondi, mówiąc o jeziorze, znajdującym się w okolicach Inga-Huasi. Według

ich zdania, przechodząc w najpiękniejszą pogodę obok tych jezior, dość jest nieraz krzyknąć, a natychmiast zbierają się gęste chmury i deszcz ulewny z towarzyszeniem grzmotów i piorunów padać zaczyna. Jakkolwiek dziwnem to się wydać może dla wielu, podaję ten fakt, nadmienając, że go nauka odrzucić nie może bez uprzedniego sprawdzenia. Dość przypomnieć strzelanie z armat, aby deszcz w czasie posuchy sprowadzić. Ludność miejscowa tak wierzy w tajemnicze własności jeziorok kordyljerskich, że arrierzy przechodzą zwykle koło nich, zachowując jaknajgłębsze milczenie, a mułami kierują jedynie przy pomocy gościów. Oprócz wspomnianego jeziora Inga Huasi, słyszałem jeszcze o podobnych na drodze z Chachapoyas do Moyobamby w Punie zwanej Pishcu-Guanuna *), oraz na drodze z Leimebamba do Cajamarquilla.

Puna jest ojczyzną burz elektrycznych, które tu szczególnie w porze dżdżystej, zatem między październikiem a majem, bardzo często się przytrafiają. Do niedawna jeszcze czyste niebo zdawało się zapowiadać długotrwałą pogodę, a już oto zbierają się gęste, czarne chmury wkoło jednego z wyższych szczytów, którego skłony przybrały ponurą, czarniawą barwę. Chmura szybko rośnie, rozszerza się, lecz nie wiemy, czy ona zpoza szczytu przyciągnęła, czy się wkoło niego sformowała. Wkrótce cały nieboskłon zasnuł się czarną oponą chmur. Błysnęło... i wnet potem niezemiński, potężny łoskot pioruna wstrząsnął powietrzem. Wkrótce po nim druga, silniejsza eksplozja; jeszcze jedna bliższa od obu poprzednich. Koń nasz parska przy każdym piorunie, jakby czuł niebezpieczeństwo. Widzimy już posuwającą się zasłonę deszczu, a wkrótce i szelest jego dochodzi uszu naszych; już nas dosięgnął ten potok straszny, jaki z nieba na ziemię spada. Srogi zamęt zapanaował w przyrodzie. Koń nasz, oszołomiony strumieniami lejącej się wody, olśniony blaskiem piorunów, ogłuszony ich łoskotem, cofa się i iść naprzód nie chce. Niewielkie strumienie zamieniają się w jednej chwili w rwące potoki, które bałwanują swe mętne wody z rykiem, do burzy morskiej podobnym. Straszno nam... Stoimy bezsilni, bojąc się kroku naprzód postąpić...

Burze takie zrywają się zwykle po południu, między 2-gą a 4-tą, i po większej części nawiedzają niektóre okolice z niezwykłą regularnością. Wiedząc o tem podróżni, starają się przejeżdżać, te niebezpieczne miejsca zrana, przez co unikają nieprzyjemności, a może i gorszych następstw. Istnieje między Ayacucho i Iscuchaca miejsce, któredy w pewnej porze roku nikt nie odważa się przejechać popołudniu w obawie, aby przez piorun nie być zabitym, tak częste są tam eksplozje elektryczne. Czasami zamiast deszczu pada grad, tem przykrzejszy, że się przed nim niema gdzie ukryć.

Godną uwagi jest temperatura Puny w ciągu dnia, gdy bowiem słońce pali nas, pomimo, że dla bardzo ułatwionego paro-

*) Sama nazwa Pishcu-Guanuna (Piszku-Guaniuna po kiczuańsku „Śmierć ptaka”) dowodzi, jak te góry są niegościnnie.

wania, ciało nasze nie potnieje, w cieniu chłodno nam jest i przyjemnie. Wogóle narzekać nie można w tej strzebie na zbytne gorąco i tylko pęknięcie warg, spowodowane suchością powietrza, należy do przykrych następstw tego przyjemnego ze wszech miar klimatu. W nocy za to chłód przejmując nas do szpiku kości, a nie rzadko mróz wodę ścina. Zwykle jeżeli noc jest jasna, chłód wskutek promieniowania ziemi bardzo dotkliwym się staje, a nad ranem biały szron pokrywa okolicę, gdy przeciwnie w nocie mgliste względne ciepło panuje.

W ciągu pory suchej, która w zupełności odpowiada suchej porze Sierry, zatem miesiącom od maja do października, ustala się w Punie długotrwała pogoda, w czasie której rzadko kiedy deszcze padają, a zwykle tygodnie a nawet miesiące całe mijają bez kropli deszczu. Wówczas od południo-wschodu wieją świeże wiatry, a niebo zasłane jest na horyzoncie lekkimi, warstwowo kłębiastymi obłokami. Jest to najlepsza pora do podróżowania, można się bowiem wtedy swobodnie rozkładać obozem pod gołym niebem tam, gdzie nie istnieją odpowiednie budynki dla wygody podróżników.

Fauna Puna tak jak i jej niewyszukana flora, nosi na sobie wszelkie cechy odrębności. Region ten oprócz kilku gatunków, które dzieli ze Sierra i oprócz niektórych form, posiadających szerokie lub nawet kosmopolityczne rozmieszczenie, liczy w swej faunie prawie wyłącznie gatunki sobie właściwe, co ją właśnie różni bardzo od Sierry, która jako posiadająca te same warunki klimatyczne, co i las serrański, żywi niektóre formy leśne, tem chętniej tu zalatujące, że Sierra posiada przecież zarośla, nawet kępy lasków, jakby pozostałość dawnych wielkich puszczy, które niewątpliwie znaczną część tego regionu pokrywały.

Lama, alpaka, wigoń i guanaco są właśnie zwierzętami, właściwymi Punie, choć przyznać muszę, że im ich nawet w mych podróżach po Peru nie widział, gdyż Puna północnej części tego kraju, jako nie tak rozwinięta jak na południu, pozbawiona jest zupełnie tych drogocennych zwierząt. Struś (*Rhea darwini*) również temu regionowi jest właściwy; nasz rodak, p. Jan Kalinowski, zdobył go na wysokości 14000' nad poziom morza w południowych prowincjach Peru; lecz i tego ptaka brak na odpowiednich wysokościach w północnych częściach tego kraju.

Ten brak większych form punowych na północy Peru przypominać należy, jak to dopiero co wspomniałem, słabemu rozwinięciu tego typu okolic, który na północy rzplitej ogranicza się po większej części do wysokości 12000 — 13000 stóp, a jeżeli występuje gdzie powyżej tej wysokości, to chyba tylko oddzielnymi szczytami lub nieznacznymi grzbietami, mającymi przy nieznaczącej długości jeszcze mniejszą szerokość. Jeżeli więc te plamy wysokiej Puna uważać będziemy za wyspy, odgraniczone mniej lub więcej znacznymi przestrzeniami, powtórzy nam się znane ogólnie prawo, że małe wyspy nie mogą wyżywić większych form zwierzęcych.

Puna północnego Peru posiada właściwą temu regionowi

sarnę, zwaną przez tubylców „taruga“ (*Cervus antisiensis*). Gatunek ten wielkością przewyższa naszą sarnę, a różni się też od niej, że posiada ogon i rogi składające się tylko z dwu odrostków jednakowej długości na każdym. Trzyma się stadami do 40 sztuk, a pasąc się, rozstawia czaty, aby się ustrzedz od niespodziewanego napadu. Utrzymują miejscowi, że zaczepione, atakują niekiedy myśliwego. Raz tylko w podróży mych zdarzyło mi się widzieć kilka sztuk tych zwierząt, stojących na wysokiej górze. Arrierzy, towarzyszący mi, utrzymywali, że są to właśnie pikiety, przez stado rozstawione.

Spotyka się też w tych stronach i wiskacze (*Lagidium pallipes*), rodzaj gryzonia o długich jak u królika uszach i o długim ogonie puszystym jak u wiewiórki. Lecz te zwierzątka na północy Peru do rzadszych należą, gdy przeciwnie w środkowych i południowych częściach rzplitej można spotkać miejsca tak gęsto poświęrowane ich norami, że nogi mułów lub koni co chwila zapadają się w te dziury.

Do wspaniałych ozdób Puna należą ibisy kordyljerskie (*Theristicus melanops*), przechadzające się wśród pastwisk parami lub po trzy. Ptak ten zbliża ani swymi kształtami, ani wielkością, ani nawet ubarwieniem nie zwraca na siebie uwagi; z pewnej jednak odległości wydaje się wspaniale. Miejscowi zwą go „banduria“. Po brzegach opisanych wyżej jeziorok bieli się nieraz para gęsi kordyljerskich (*Chloëphaga melanoptera*). Niekiedy z pod nóg naszego muła wyrwie się oryginalna kuropatwa (*Nothoprocta*), bliska krewna sławnego dzisiaj, argentyńskiego „tinamu“. Wśród traw kryją się małe ptaszki z rodzaju *Sinallaxis*, wrywające się za naszym zbliżeniem i wnet znikające wśród kęp trawy. Po brzegach strumieni widzimy uwijające się niewielkie ptaszki z rodzaju *Cil-lurus*, które wśród kamieni owadów szukają. Tu znów mucholówka (*Muscisaxicola rufipennis*) wylatuje w powietrze jak skowronek, chwilę się potrzepie, poczem zapada na kamień jaki wydatny, z kądem upatruje zdobyczy.

Rzecz jednak dziwna: Puna w ciągu dnia niczem prawie nieprzerwane zachowuje milczenie; słychać tylko szelest wiatru po kępach rudawej trawy. Chyba spłoszona para bandurji odezwie się swym zórawim głosem lub wrywająca się kuropatwa ożywi okolicę doniosłym, lecz krótkotrwałym krzykiem. Zresztą cisza panuje. Dopiero za nadejściem nocy słyszemy nieustannie jakiś silny, tajemniczy głos, jakby kto dwoma kamieniami o siebie uderzał. Głos ten wydaje osobliwa żaba kordyljerska (*Nothodelphys*), opatrzona kieszenią na plecach, gdzie zapłodniona ikra dojrzewa. Każde odezwanie się tej żaby, dochodzące nas z sąsiedniego źródelka lub strumyka, składa się z trzech, a niekiedy z dwu pojedynczych uderzeń. Wtedy także słyszeć można głos niewielkiego ptaszka, tinokorusa (*Thinocorus Ingae*), żałośnie odzywającego się wśród ciszy nocnej. Są to niemal jedyne głosy, jakie w tych samotniach podróży usłyszeć może.

Gdy teraz czytelnicy moi zaznajomili się z głównymi zarysami Puny, przejdę do przerwane go wątku mego opowiadania. Droga nasza pięła się ciągle do góry i wkrótce dosięgła wysokości 11400 stóp, na której już stale biegła, wznosząc się niekiedy do 12000. Na postój wieczorny zatrzymaliśmy się dnia tego wcześniej niż zwykle, bo już o pół do 3 ej, lecz do tego skłoniło nas miejsce, bardzo na nocleg odpowiednie, przy czystem jak kryształ źródelku, zasłoniętem górą od panującego wiatru. Przywiązaliśmy konie na wcale dobrem pastwisku naturalnem i zebrawszy sporą kupę suchych krzewów „chinchango“, rozpaliliśmy ogień i zgotowaliśmy sobie zwykłą naszą strawę, złożoną z suszonego mięsa, ryżu i herbaty, niewyszukaną wprawdzie, ale której smak podnosił nasz wilczy apetyt. U stóp naszych czerniały obszerne lasy, zwane „montana de Taulis“.

Noc była mroźna, jak to zwykle bywa na tak znacznych wysokościach. Rozłożyliśmy nasze peljony na ziemi, siodła podłożyliśmy pod głowy, a przykrywszy się kołdrami i potnikami, mając każdy psa swego przy boku, zasnęliśmy twardo, nie czując bynajmniej zimna. Tak przepędziliśmy pierwszą noc naszą w Punie.

Nazajutrz rano, dnia 15-go lipca, wyruszyliśmy w drogę około 9-ej rano. Widoczne dotychczas szczyty Minis i Quillon zaczęły nam teraz znikać. Minąwszy górę Pedregal, ujrzelśmy rozciągającą się u stóp naszych dolinę San Miguel. Droga stąd trzymała się na znacznej przestrzeni poziomo (travesia), biegnąc skłonem góry, z którego sączyła się niezliczona ilość źródeł. O godzinie pół do 4-ej stanęliśmy na nocleg, znalazłszy miejsce z niezłą paszą. Natomiast ostry wiatr dokuczał nam tu bardzo, a w nocy mimo grubych okrywadeł sen nasz niepokoił ciąglem uczuciem zimna. Nazajutrz rano (16 lipca) ze smutkiem przekonaaliśmy się, że nam cukru zabrakło, trzeba więc było pić herbatę niesłodzoną; że jednak bez cukru gorąca herbata była dla nas miłym napojem, rozlewając błogie ciepło w zziębniętem do szpiku kości ciele, więcemy tego braku nie odczuwali. Dnia tego trzymając się stale wysokości 11 do 12 tysięcy stóp, dobrnęliśmy około godziny 3-ej do miejscowości zwanej Gordillos, coby można przetłumaczyć „grubasy“. Nazwa ta pochodzi od licznych olbrzymich głazów porfirowego konglomeratu, porzrzuconych tu i owdzie. Kilka prześlicznych gaików urozmaica bardzo pustą i monotonną punę, a wśród nich uwija się różnobarwne ptactwo, napelniając powietrze swym świegotem. Nic też dziwnego, że wszyscy prawie arrierzy i podróżnicy śpieszą na nocleg do Gordillos, ale za to pasza jest tu porządnie wyniszczona; gdy więc my dwaj korzystaliśmy ze względnie wygodnego i urozmaiconego noclegu, konie nasze z trudnością pokarm znajdowały. Noc przepędziliśmy spokojnie, wstawaliśmy jednak kilkakrotnie, aby się przekonać, czy konie nasze są na miejscu, gdyż okolice te słyną z bandytów i złodziei koni.

Następnego dnia przekroczyliśmy grzbiet, dzielący system San Miguel od Quilcate; lasy tej nazwy rozciągały się u stóp naszych. Na nocleg stanęliśmy o godzinie 4-ej w miejscowości, gdzie nie

było żadnego paliwa; zgotowaliśmy przeto herbatę na maszynie spirytusowej i zimną strawą zakąsiliśmy. Wkrótce po naszym przybyciu, nadszedł jakiś pasterz i ostrzegł nas, że w okolicy kręci się mnóstwo koniokradów, winniśmy przeto mieć się na baczności. Nabiłem też obie lufy mej dubeltówki grubym srótem, aby w danym razie przyjąć nieproszonych gości. Konie przywiązaliśmy tuż przy naszym obozowisku i przez noc kilkakrotnie sprawdzaliśmy, czy się na miejscu znajdują.

D. 18 lipca Jelski zmuszony był wrócić się o godzinę drogi, gdyż w wilję w skutek pośpiechu, nie wziął kilku ważnych kierunków. Zaledwie znikł za wzgórkim, gdy naraz jakby z pod ziemi, zjawił się przedemną jakiś drab w łachmanach, o wstretnej twarzy, z ustami od ucha do ucha. Wychodząc z zasady, że „strzeżonego Pan Bóg strzeże“, wziąłem do rąk nabitą strzelbę i wyczekiwałem, co dalej będzie. Przybysz na ten mój manewr zatrzymał się w odległości kilkunastu kroków i zaczął mnie rozpytywać, dokąd jedziemy, co wieziemy na sprzedaż i t. p. Wido- cznie wysłano go na zwiady, co wykonał, przekonawszy się, że jestem sam przy obozowisku. Załatwiłem się z nim prędko, od- powiedziawszy, że nic do sprzedania nie mamy i że jeśli mu życie miłe, niech sobie idzie do diabła. Zabrał się też i znikł mi z oczu za górą.

Dnia tego wyruszyliśmy dopiero o 1-ej po południu i jedną „legua“ (około 5 wiorst) zatrzymaliśmy się na nocleg u stóp dziwnego kształtu skały. Paliwa jednak nie było tu żadnego, więc aby strawę zgotować, użyliśmy znanego już Jelskiemu sposobu palenia pod kociołkiem zieloną trawą. W tym celu nacięliśmy naj- przód dużą kupę trawy, zwanej „stipa“ i następnie skręcając ją, podkładaliśmy ciągle do raz rozpalonego ogniska. Tym sposobem udało nam się zgotować ryż oraz resztę suszonego mięsa, jakie nam jeszcze pozostało. Resztę czasu poświęciliśmy na zbieranie żab do kolekcji, których znaleźliśmy tu cztery gatunki. W podobny do powyżej opisanego sposobu zgotowaliśmy sobie nazajutrz herbatę i dopiero około 11-ej wyruszyliśmy w dalszą drogę. Wkrótce spotkaliśmy dwu Chotańczyków, pędzących bydło na pomorze; za- pytaliśmy więc, jak jeszcze daleko do Choty. Jeden odpowiedział, że ośm, a drugi — że cztery leguas.

Jest to rzeczą powszechną w Peru, że nigdy nie można się dowiedzieć o odległości między jednym a drugim punktem, gdyż każdy ocenia ją według zużytego na przebycie czasu; jeśli więc jechał prędzej, to powie mniej, a ten co podróżował wolniej — na- robi tych leguas co nie łąmiara. Spotkani jednak ludzie ostrzegli nas, abyśmy się mieli na baczności, gdyż niedaleko od tego miej- sca droga się rozwidła: jedna prowadzi do Choty, a druga — do miasteczka Hualgayoc.

Podziękowawszy za objaśnienie, puściliśmy się naprzód. Przed nami widniał grzbiet Kordyljerów i droga szybko poczęła się wznosić ku górze. Około godziny 3-ej po południu dotarliśmy wreszcie do przełęczy: Barometr wskazywał 13000' nad poziom. mo-

rza — prawie wysokość góry Mont Blanc, a w każdym razie największa, jakiej udało mi się dopiąć w mych podróżach po Kordyljerach. I rzecz dziwna, na tej znacznej wysokości nie doznawaliśmy ani zawrotów głowy, ani żadnej trudności w oddychaniu, pochodzącej rzekomo od rozrzedzonego powietrza; przeciwnie, czuliśmy się równie dobrze jak ryba w wodzie. Grzbiet który przebywaliśmy, to linja wodorozdziału między Pacyfikiem i Atlantykiem. Odtąd wszelkie źródelka, czy strumienie, z których będziemy wodę do picia czerpali toczą swe wody do Amazonki, aby z nią płynąć do Oceanu Atlantyckiego.

Jelski utrzymywał, że forsując trochę, dnia jeszcze tego możemy stanąć w Chota, a że droga nasza zaczęła się teraz gwałtownie na dół opuszczać, więc rażno kroczyliśmy przed siebie, nie zważając na deszcz rzęsisty, który od chwili już padał. Dolina zakreślała ciągle na lewo, nie można więc było widzieć, co się po za tym zakrętem znajduje. Już zdawało nam się, że za chwilę ujrzymy obszerną „campina de Chota”; lecz po za tym zakrętem był drugi, a za nim trzeci i tak do nieskończoności. Wreszcie doganiamy jakąś babę.

— Hej kobieto, daleko jeszcze do Chota?

— Oj, daleko. Dziś nie dojdziecie.

— A niema gdzie w bliskości jakiej chaty do przenocowania?

— Niema.

Zaczęliśmy się więc dalej spuszczać po ohydnej, stromej drodze. Omijamy nowy zakręt doliny, gdy naraz wynurza się przed nami jakieś miasteczko. Podjeżdżamy do pierwszej chaty i pytamy:

— Jak się nazywa to miasteczko?

— Hualgayoc.

Stało się więc, żeśmy drogę zmylili i zamiast do Choty zajęchaliśmy do Hualgayoc. Na szczęście przypomniał mi się, że mamy tu przecież znajomego w osobie kupca Gallardo, któregośmy w Chepen spotkali. A zresztą po dziewięciu dniach podróży wśród niezamieszkanym okolic, każda osada ludzka musiała na nas zrobić miłe wrażenie. Rozpytawszy więc, gdzie mieszka ów Gallardo, z nadzieją spędzenia nareszcie nocy pod dachem, puściliśmy się po krętych i wązkich uliczkach miasteczka. Niezwykły widok naszej karawany budził powszechną ciekawość. Ze wszystkich domów wybiegali mężczyźni, kobiety, dzieci, zapytując, kto to taki być może. Wreszcie gruchnęła po osadzie wiadomość, że to górnicy z Chile przyjechali.

Dotarliśmy nareszcie do domu Gallarda, który nas przyjął z właściwą Peruwjanom gościnnością i pomieścił w pustym jakimś sklepie, na rynku położonym. Jelski zaprowadził konie do zagrody (corral) Gallarda, a ja tymczasem karmiłem psy nasze resztkami ryżu i obserwowałem przez brudne szyby sklepu plac szlachetnego grodu.

Hualgayoc był dawniej stolicą prowincji, lecz na mocy prawa z 10-go stycznia 1861 roku musiał ustąpić tej godności lepiej położonemu i bardziej rozwiniętemu miastu Chota. Trudno jest na

oko określić ludność Hualgayoc'a, lecz sądzę, że liczyć musi 3 do 4 tysięcy mieszkańców. Zamknięty w ciasnym wąwozie, posiada uliczki wąskie, spadziste i kręte. Domki są po większej części jednopiętrowe, z drewnianymi gankami, kryte słomą lub dachówką. Pośrodku miasteczka znajduje się niewielki plac z fontanną i zrujnowanym kościółkiem.

Hualgayoc słynie ze swych kopalni srebra które jakkolwiek ustępują minom Cerro de Pasco niemniej jednak dają rocznie około 40,000 „marcos” srebra, co się równa 360,000 pesos fuertes (około 720,000 rb.). Główna kopalnia należy do bogatych właścicieli ziemskich, Santo Olaya, oprócz niej jednak znajduje się tu wiele mniejszych, będących w posiadaniu mieszkańców miasteczka. Między nimi nasz gospodarz, Gallardo, posiadał także swoją kopalnię, którą w wolnej chwili zwiedziliśmy. Dobywanie srebra, odbywa się tu w sposób bardzo pierwotny. Wszystko robi się ręcznie, a co najwyżej przy pomocy koni lub mulów; srebro wydziela się z rudy przez amalgamację z rtęcią.

Prawo górnicze, obowiązujące dzisiaj w Peru, jest bardzo absolutne i mające na celu zmuszenie właściciela gruntu do eksploatacji kopalni. Jeśli zaś tego nie czyni każdy ma prawo zadenuncjować minę i za opłatą 30 soles rocznie na rzecz skarbu staje się jej prawnym właścicielem. Dość jest wszelako, aby nie zapłacił półrocznej składki, aby kto inny stał się właścicielem kopalni, wnosząc tylko do kasy roczny podatek.

Hualgayoc w 1856 roku uległ doszczętnemu zniszczeniu przez pożar. Ogień zaczął się w jednym końcu miasta i wkrótce niszczący żywioł ogarnął wszystko. Wiele ofiar poniosło śmierć w płomieniach, a z miasta pozostały tylko zgliszcza. W czasie naszego pobytu, to jest w 21 lat po katastrofie, nie pozostało żadnego śladu po tym strasznym pożarze.

Miasteczko znajduje się w doskonałych warunkach bytu. Położone na wysokości 12170 stóp (podług Humboldta), posiada klimat chłodny, ale czerstwy, o czem można się przekonać, spojrzawszy na rumiane twarze mieszkańców. Pobliska „campina“ de Cajamarca *) dostarcza w obfитоści pszenicy po niskiej cenie, a węgiel kamienny znajduje się w niedalekich kopalniach Yanacancha. Produkty stref gorących, jak ryż, banany kakao i pomarańcze dochodzą z miasteczka Balzas, położonego w głębokiej i tropikalnej dolinie Maranonu, czyli górnej Amazonki. Miejscowe produkty są tu bardzo tanie. Tak np. pół barana kosztuje ledwie 4 reales, czyli 2 franki.

Dzień następny po przybyciu spędziłem jeszcze w miasteczku, gdyż Jelski pragnął powrócić do grzbietu Kordyljerów, aby zabrać stamtąd bardzo ciekawe okazy geologiczne. Ja tymczasem zajmowałem się końmi, czyszczeniem strzelby i porządkowaniem rzeczy do podróży. Należało też kupić prowizji na drogę, jak chleba, sera, baraniny, kukurydzy, gdyż czekał nas jeszcze marsz dwu-

*) Cajamarca — stolica departamentu tegoż imienia.

dniowy, chociaż podróżując w zwykłych warunkach, to jest na dobrych koniach, ma się tylko niepełny dzień drogi.

Z trzech dróg, jakie prowadzą z Hualgayoc do Choty, wybraliśmy tę, która idzie na Pujupe i Moran i w d. 21-ym lipca o 11-ej rano wyruszyliśmy z domu, żegnając Gallarda z jego rodziną. Droga pnie się w górę wąwozem hualgayokańskim, o skłonach pokrytych pięknie kwitnącymi krzewami, wśród których tu i owdzie kryją się domki górali. Wkrótce wydostajemy się na grzbiet górski, skąd roztacza się widok na dolinę Bambamarca, zwaną tak od miasteczka tego imienia. Przebywszy przez grzbiet zaczynamy się opuszczać gwałtownie na dno jakiegoś wąwozu o skłonach pokrytych kwitnącymi krzewami. W dole szumi strumień, przerzucając się kaskadami przez wielkie głązy kamienne. Ku górze widać jakieś budynki, zapewne piece górnicze.

Zdaje się, że kto chce szukać pięknych krajobrazów w Kordyljerach, niech się nie ugania za nimi po szczytach, bowiem znajdzie tylko monotonność rudawych pastwisk. Niekiedy tylko uderzy go rozległość horyzontu, nieskończoność szczytów i grzbietów. Jeśli jednak lubujemy się w widokach w rodzaju szwajcarskich, zajdźmy raczej do głębokich wąwozów, a z pewnością doznamy pełnego zadowolenia. Ów wąwóz, o którym mówię, był rzeczywiście uroczy, a urok ten podniósł się jeszcze, gdyśmy doń na dno, do brzegów strumienia dotarli, tu bowiem bogatsza roślinność i sam potok kryształowy prześliczny widok stanowiły.

Droga prowadziła dalej dnem wąwozu, aż w końcu wydostała się na miejsce bardziej otwarte, gdzie ujrzyliśmy rozrzucone chaty. Było to właśnie Pujupe, leżące na wysokości 10700' nad poziomem morza. Jakiś starowina zaproponował nam, żebyśmy u niego w chacie zanołowali, proponując lucernę na sprzedaż dla naszych koni. Ponieważ była już godzina 3-a po południu, a do jego domu brakowało jeszcze pół godziny drogi, więc zgodziliśmy się na jego propozycję. Po drodze napotykalśmy ciągle chaty. Przy jednej z nich na wzgórkach młócono jęczmień. Gościnnie ludźki wołał na nas zdaleka, zapraszając na jeden „bocado“ (kąsek). Poczęstowano nas narodową strawą peruwjańską, zwaną „chochoca“ (czoczoka). Jest to kukurydza gotowana, a następnie suszona i tłuczona, z której robi się wcale smaczną zupę. Zjadłszy po dwa talerze i zakąsiwszy, paloną kukurydzą (cancha), zastępującą chleb u wieśniaków kordyljerskich, podziękowaliśmy dobrem ludzkiem za ich gościnność i ruszyliśmy ku chacie naszego nowego gospodarza.

Gdyśmy tu przybyli, wyszły na spotkanie nasze kobiety, zapraszając do wnętrza domu; woleliśmy jednak pozostać na świeżym powietrzu, unikając przez to spotkania z nieproszonymi owadami i rozbiliśmy obóz pod okapem chaty. Daliśmy kobietom udzielić barani i trochę kaszy pszennej, aby nam z tego wieczorem przyrzędzili. Zakąsiwszy z apetytem, zasnęliśmy snem twardym.

Niedziela, 22-go lipca był ostatnim dniem naszej długiej podróży. Wstaliśmy bardzo wczesnym rankiem i bez żadnej przekąski ruszyliśmy w drogę, aby o ile możności wcześniej dnia tego

stanać w Chota. Około godziny pół do dziewiątej mijaliśmy osadę Moran. Gdyśmy przejeżdżali około ostatnich domostw, ukazało się z nich czterech jeźdźców, a następnie przyłączyło się do nich jeszcze czterech. Wszyscy dosiadali rączych koni, a jeden jechał na osle. Z pod ich „ponchos“ sterczały szable, a miny tych panów niekoniecznie budziły zaufanie. Zapytani, grzecznie objaśnili nam drogę i nawet chcieli nam do wzgórza towarzyszyć, lecz wymówiliśmy się, mówiąc, że tu przy wodzie chcemy się zatrzymać i przekąsić nieco, gdyż nic jeszcze nie jedliśmy.

— A nas nie poczęstujecie? — zapytał jeden z nich.

— Jakżeż nie, prosimy.

Na zapytanie, dokąd jada, jeden odpowiedział, że do Chota, a drugi, że do Quilcate. Pożegnali nas i odjechali. Mieliśmy wszelkie szanse przypuszczać, że byli to osławieni quilcatańscy bandyci.

Spożywszy skromne nasze śniadanie składające się z chleba, sera i źródlanej wody, ruszyliśmy dalej. Droga spuszczała się zrazu do niegłębokiego wąwozu, a następnie pięła się na ostatni grzbiet Kordyljerów, dzielący nas od doliny chotańskiej. Ta część Puna charakteryzuje się niegłębokimi dolami, niemającymi żadnego ujścia. Dno ich pokryte jest zwykle bujną trawą, zwiastującą obecność wody lub przynajmniej jej zaskórne sąsiedztwo.

Wreszcie doszliśmy do miejsca, z kądem ujrzeć już było można obszerną „campina de Chota”, lecz samego miasta, zakrytego rozgałęzieniami gór widać jeszcze nie było. Wszędzie rozpościerała się szachownica pól uprawnych, poprzeznaczona drogami, które niby cienkie nitki, dążyły do jednego środka. Wreszcie wynurzyło się i samo miasto, położone na przeciwnym stoku doliny. Chwała Ci, Panie Boże, nareszcie dobrniemy do upragnionego celu.

Zaczęliśmy się spuszczać na dół, zrazu łagodnym spadkiem; lecz gdyśmy minęli pierwsze chaty, droga pobiegła w dół zygzakiem, a przykrość tego spadku powiększały jeszcze rozrzucone glazy kamienne. Wreszcie doszliśmy do porządnej, wybrukowanej drogi, okolonej dwoma szeregami agawy, która nas doprowadziła do brzegów Rio de Chota.

Jak powiedziałem, był to dzień niedzielny, więc też spotykaliśmy masę ludu, wracającego z miasta, gdzie na mszę św. i na jarmark schodzi się ludność całej okolicy. Wszyscy witali nas życzliwie, zapytując ciekawie skąd idziemy i dokąd dążymy. Wreszcie około godziny 4-ej po południu dobrnęliśmy do pierwszych domostw m. Chota. Idąc ulicami, obudziliśmy jeszcze chyba większe zaciekawienie, aniżeli po przybyciu do Hualgayoe. Jedni patrzeli tylko na nas, inni zadawali najrozmaitsze pytania. Wreszcie jeden z przechodniów zapytał:

— Co panowie wieziecie na sprzedaż?

— Nie jesteście kupcami — odpowiedziałem — więc nic do sprzedania nie mamy.

— A więc będziecie sztuki pokazywali — zakonkludował. A kiedy rozpoczną się przedstawienia?

Nasze psy nieznaney wewnątrz kraju rasy naprowadziły go na ten genialny domysł. Pozostawiłem go w błogiem przekonaniu, że wkrótce będzie podziwiał nasze kuglarskie produkcje i poszliśmy dalej.

Zajechaliśmy przed dom znanego już Jelskiemu don Clemente Regalado, byłego pod-prefekta. Powitano nas tu życzliwie i w jednej dużej izbie zainstalowano. Mogliśmy taraz z rozkoszą zażywać dobrodziejstw pobytu we względnie cywilizowanej miejscowości, to jest spać pod dachem, na prawdziwej pościeli, zasłanej czystym prześcieradłem i jeść urozmaiconą strawę, a nie wiecznie ryż i suszone mięso.

ROZDZIAŁ II.

Sierra - Serrano.

Znalazłszy się raz w nowym dla nas regionie, słusznem jest, abym zaznajomił czytelnika zarówno z nim jak i jego mieszkańcami. „Sierra“ znaczy dosłownie po hiszpańsku — piła, wyraz ten jednak, używany też bywa na oznaczenie łańcucha gór (Sierra Nevada, Sierra Leone i t. p.). W Peru wszelako pod tym wyrazem rozumieją mieszkańcy zamieszkałą część Kordyljerów w granicach mniej więcej 6,000' do 10,000' nad poziomem morza, czyli w granicach kultury pszenicy i kartofli, które ten region charakteryzują. Już z tej definicji Sierry widocznem jest, że wybitną jej cechą stanowią pola uprawne i drogi obsadzone żywopłotami, że zatem człowiek położył na niej sobie właściwe piętno, pozbawiając tem samem cech dziewiczości. Sierra od niepamiętnych czasów była zamieszkaną przez ludzi, którzy wpływem swym zmienili nawet części obszaru, pod kulturę nie zajęte. Gdyż niewątpliwie znaczna część tego regionu pokryta była przed laty lasami, których ślady pozostały jeszcze tu i owdzie pod postacią bukietów drzew, rosnących po niedostępnych parowach i wąwozach. Sierrano (mieszkaniec Sierry) potrzebujący gruntu pod swe pola lub pastwiska, zniszczył pierwotne puszcze, pozbawiając się tak niezbędnego w życiu powszedniem paliwa.

Łatwo też domyśleć się, że ogólny pozór Sierry zmienia się względnie do sezonu. Pod koniec pory dżdżystej, w miesiącach marcu i kwietniu, wszystkie pola pokryte są dojrzewającą roślinnością, złocąc się lub zieleniąc stosownie do gatunku rośliny.

W miarę jak sprzęt postępuje, krajobraz zmienia się podobnie jak u nas, a na szarem tle pozostają jedynie zielone plony pól lucernianych. Pola są zwykle odgraniczone od siebie żywopłotami z tęży (*Agave*) lub z gęstych krzaków, które też pozostają wzdłuż kanałów irygacyjnych. Widziane z pewnej odległości, ze skłonu sąsiedniej góry naprz. robią one wrażenie szachownicy o nieregularnych kwadratach. Pojedynczo rozsiane, bieleją domki górali.

Tam, gdzie człowiek w mniejszym stopniu rozpostarł swoje

panowanie, rozciąga się murawa, zwykle mocno zdeptała i spasiona przez barany, konie i bydło rogate; szarzeją gołe masy skaliste, lub czerwieni się obnażona glina. Często też spotkać można mniej lub więcej znaczne przestrzenie ziemi, pokryte gęstymi krzakami berberysu, jержyny i t. p. Po jarach i wąwozach wznoszą się rzędami wierzby (*Salix Humboldtiana*) o pięknym jasno-zielonym liściu, lub też olchy peruwjańskie. Obok nich typowem drzewem dla tego regionu jest wiśnia południowo-amerykańska (*Cerasus capuli*) sadzona zwykle w sąsiedztwie domów. Ostatniemi czasy zaczęto tu rozpowszechniać eukalipty.

Często w górnych piętrach serrańskiego regionu spotkać można rodzaj obszernej doliny zamkniętej ze wszech stron, o dnie równem jak stół, świadczącym o podwodnym jego powstaniu. Są to dawne jeziora, które dzięki interwencji człowieka osuszone zostały, dając przepyszną ziemię pod uprawę. Zwykle środkiem takiej doliny płynie strumyk, który następnie ginie w skale, aby gdzieś dalej ukazać się z pod ziemi. Jest to dzieło energicznych Inkasów, którzy przy pomocy podziemnych kurytarzy odprowadzali wody jeziora, aby korzystać z tłustego i nadzwyczaj żyznego gruntu. Przykłady podobnych prac widziałem w Cuterwo i w dolinie Huayabamba.

Sierra wogóle nie może zachwycić podróżnika wspaniałością widoków; zbyt jest z drzew ogołoconą, zbyt przez człowieka zepsutą, aby mógł rywalizować choćby nawet z Puną, której posiada ujemne strony, nie posiadając tak ważnego piętna dziewiczości.

Jeszcze w porze dżdżystej, gdy się wszystkie, pola zielenią, widok jest przyjemny; skoro jednak sprzęt ukończony, zostanie zbyt wiele szarych przestrzeni razi nas swoją nagością. Roślinność jest najważniejszą ozdobą krajobrazu, a gdzie jej niema, tam chyba dzika groza zastąpić ją może; lecz tej, niestety, dzięki obecności człowieka Sierra nie posiada.

Pory roku dla tego regionu są dwie: dżdżysta i sucha jak i dla całych peruwjańskich Kordyljerów. Pierwsza ciągnie się od listopada do maja włącznie; druga wypełnia resztę roku. Oba sezony dobrze są od siebie odgraniczone, co jednak nie wyklucza bynajmniej deszczów w porze suchej, ani kilkotygodniowych posuch w sezonie dżdżystym. Klimat dzięki sąsiedztwu Puny i znacznemu wzniesieniu nad poziomem morza jest suchy, a w porze dżdżystej częściej trafiają się krótkotrwałe ulewy, połączone z burzami elektrycznymi, aniżeli długie, drobne deszczyki, choć te niekiedy popadają. Zresztą klimatyczne warunki zmieniają się względnie do tego, czy dany obszar sąsiaduje z wielkimi lasami lub nie, gdyż w pierwszym wypadku dzielić musi wilgotność atmosfery, jaka charakteryzuje wszystkie leśne obszary Południowej Ameryki.

Pod względem sanitarnym Sierra należy do najzdrowszych zakątków świata. Nie masz tam ani feber, ani zimnic, ani malarji. Tyfus i ospa stanowią główne plagi tego regionu, choć nie często zdarzać się muszą, gdyż pomimo sześciolatniego pobytu w Peru nie zdarzyło mi się trafić na czas epidemji.

Zdrowy, czerstwy klimat, suche powietrze i przyjemna temperatura w ciągu całego roku, czynią z tego zakątka świata jedną z najprzyjemniejszych siedzib, jakie można sobie zamarzyć. W ciągu dnia skwar słoneczny łagodzi świeży wiatr, ciągnący z wysokich regjonów i łatwość parowania na tak znacznej wysokości; nocą zaś, jeżeli niebo jest czyste, zdarzają się wprawdzie lekkie przy-mrozki, lecz od nich zabezpiecza wełniane ponczo lub gruba koldra. To też Sierra jest najbardziej zaludnioną częścią Inkazji.

W tem jednak leży przyczyna, że przyrodnik stosunkowo mierny plon tu znajduje: gdzie się człowiek rozpanoszył, tam fatalnie liczba innych stworzeń zmniejszyć się musi. Fauna też Sierry jest ubogą i pod względem liczby i jakości; nie nosi też na sobie cech wybitnych pewnego regjonu, lecz jest przeważnie mieszaniną gatunków leśnych, pomorskich, punowych lub właściwych serrańskim dolinom gorącym, których charakterystykę podam w przyszłości. Z ssących zaledwie kilka gatunków wyliczyć można: sarna gąszczowa, znany nam już lis kordyljerski (*Canis Azarae*), dydelf (*Didelphys cancrivorus*) łasica, królik, kilka gatunków myszy i nietoperzy — stanowią całą faunę terologiczną tego ubożego regjonu. Z pomiędzy wymienionych zwierząt sarna gąszczowa, chociaż spotykana we wszystkich strefach andyjskich, najwłaściwsza jest regjonowi Sierry; słusznem więc jest, aby tu o niej obszerniejszą wzmiankę uczynić.

Nazwa sarny gąszczowej (*Cervus nemorivagus*) słusnie się jej należy gdyż nie trzyma się ani wielkich lasów, jak sarna ruda (*Cervus rufus*), ani miejsc odkrytych, jak znana nam z Puny taruga (*Cervus antisiensis*), lecz przebywa w niewysokich zaroślach, lub po brzegach lasów; zkad robi wyprawy na łąki, polany i sąsiednie pola uprawne. Pod tym względem podobna jest z obyczajów do naszej sarny, która także unika wielkich puszczy, lubując się w miejscach przylegających do pól uprawnych. Między jednak obu gatunkami, to jest sarną gąszczową i naszą, ważne różnice zachodzą. Sarna gąszczowa jest wogóle większa od naszej, a sierć ma krótszą i różną w budowie; rogi też są odmienne — więcej lirowato wygięte i ku tyłowi pochylone. Barwa jej popielato-szara przez rok cały utrzymuje się jednostajnie, gdy u naszej jak wiadomo w lecie jest ruda, a w zimie szara. Nadto sarna serrańska posiada ogon którego brak naszej.

Główną różnicę obyczajową między obu gatunkami zdaje się stanowić skłonność do trzymania się pojedynczo, lub najwyżej parami; wiadomo zaś, że nasze sarny włóczą się zwykle stadami, czyli tak zwanemi „rudłami“, w których kilku kozom towarzyszy jeden lub parę kozłów. Wyjątek dla sarny peruwjańskiej stanowi pora rui, gdyż wtedy każdej kowie towarzyszy kilka kozłów, rywalizujących między sobą i staczających walki o posiadanie samicy.

Sarna serrańska dzień cały spędza w parowach wśród gęstych zarośli, lub na brzegach lasów. Około 4-ej po południu opuszcza swe legowisko i krokiem ostrożnym zbliża się do pól uprawnych, chociażby te nawet w bliskości ludzkich siedzib leżały; gdy jednak

okolica zbyt gęsto jest zaludniona, wówczas czeka nastania zmroku, a wtedy zapęda się na łany jęczmienia, kukurydzy, fasoli, grochu lub bobu. Lubi też nadzwyczaj dynię, którą górszy mieszkańcy w obfitości uprawiają. Oprócz tego żeruje także rankami, a w miejscach gorętszych, jak w dolinach serrańskich lub na Pomorzu, opuszcza jeszcze swe kotliny w południe, aby w pobliskim strumieniu pragnienie ugasić.

Chwile żeru są chwilami polowania na nią; mięso jej bowiem stanowi łakomy kąsek dla mieszkańców Sierry. Od myśliwego wymaga się więcej dobrego wzroku, aniżeli umiejętnego strzelania, gdyż sarna ta pomimo odwiecznego sąsiedztwa ludzi, nie jest bynajmniej płochliwą i z łatwością podpuszcza myśliwego na odległość 15 do 30 kroków, gdy jednak nieruchomie wśród krzaków stoi, tak się zlewa z otaczającym krajobrazem; że tylko nadzwyczaj wprawne oko jest w stanie wypatrzeć stojące zwierzę.

Bawiąc w Cutervo chodziłem kilkakrotnie na sarny w towarzystwie pewnego kowala, zapalonego myśliwego, który jednak obyczajem wszystkich myśliwych peruwjańskich strzelał bardzo źle, nawet do sztuk stojących, a o strzelaniu w biegu nie miał nawet pojęcia. Wychodziliśmy zwykle o 3-ej po południu z miasteczka i po półgodzinnym marszu byliśmy już w okolicy, gdzie nietrudno się było z sarną spotkać. Góry w tem miejscu pokryte były w części polami uprawnymi, a w części niewysokimi lecz gęstymi zaroślami; same żywopłoty, dzielące pola od siebie przedstawiały dla saren wygodne schronisko. Tu posuwaliśmy się zwolna, pilnie wypatrując zdobyczy na wszystkie strony; towarzyszy mój, nazwiskiem Zuniga posiadał w tem wielką wprawę, która niekoniecznie szła w parze z jego umiejętnością strzelania. Zwykle spotykaliśmy sarny nieruchomie stojące w krzakach lub na brzegach pól: widok człowieka zdawał się w nich budzić więcej ciekawości, aniżeli strachu. Pamiętam, jak razu pewnego zeszedliśmy kozę, stojącą na zupełnie czystym miejscu, w odległości 15 kroków; wyszliśmy zza wzgórza tak niespodziewanie dla niej, że zamiast nciekać, stała jak wryta, patrząc na nas swymi pięknymi oczami. Kowal był przedemną, więc mu pozwoliłem strzelać, lecz ku wielkiemu zgorzeniu spudłował do niej na tę metę, a i ja strzelwszy po nim, gdy sarna w susach się oddalała poszedłem za jego przykładem. Innym znów razem Zuniga dwa razy zmieniał piston, gdy mu strzelba klapnęła, a pomimo to swojskie stworzenie stało o kilkanaście kroków, aż póki myśliwy nie strzelił i znów nie spudłował. Ten brak bojaźni objaśnić sobie jedynie można małym prześladowaniem, jakiego sarny doznają ze strony niefortunnych myśliwych peruwjańskich.

Stryj owego Zunigi, jeden z najzamożniejszych obywateli Cuterviańskich opowiedział mi następujący wypadek, jaki mu się zdarzył na polowaniu. Uzbromiony w magazynowy Winchester, chodził samotnie na sarny, gdy spostrzegł w odległości 30 kroków wielkiego kozła, spokojnie nań patrzącego. Myśliwy nasz strzelił i chybił podług ogólnie przyjętego zwyczaju; lecz zwierz po strza-

le zamiast uciekać, zrobił jeden skok ku strzelcowi i stanął. Następnie Zuniga strzelał jeszcze 6 razy (wyraźnie sześć razy) i po każdym strzale kozioł robił skok ku niemu, tak że pod koniec znajdował się zaledwie o kilka kroków. Zabobonny myśliwy, przypuszczając że to czary, uciekł, pozostawiając w spokoju nietykalną sarnę. Słyszając to opowiadanie przypomniał mi się epizod z podróży Darwina, który w Argentynie strzelał 15 razy do stojącego nieruchomie kozła. W wypadkach tych niewiadomo, czy więcej podziwiać swojskość sarny, czy niezręczność myśliwego.

Oprócz powyżej opisanego sposobu, polują najczęściej w Peru na sarny sposobem zwanym u nas „na wychodnego“ czyli z zapałki. W tym celu myśliwy upatruje miejsce do którego zanęcona sarna stale na żer wychodzi; jest to zwykle pole jęczmienia, kukurydzy lub fasoli, które to rośliny zwierzęta te nadzwyczaj lubią. Gdy zaś sarna znarowi się do tego stopnia, że pola płotem ogrodzone nawiedza, wówczas w miejscu, któredy zwykła skakać — „portillo“ według nazwy miejscowej — zastawia czakrero, pętlę rzemienną, w którą niebaczny zwierz łowi się niechybnie.

Istnieje także w niektórych okolicach Peru i Ekwadoru zwyczaj polowania na sarny *par force*, któremu oddaje się z zapałem młodzież z miejscowej arystokracji, czyli synowie hacendadów lub kupców. Psy używane w tym celu nie należą do żadnej wybitnej rasy, lecz są to zwykle kundle służące do zaganiania bydła rogatego, czyli tak zwane „perros ganaderos“. Dobry taki pies dochodzi nieraz ceny dobrego konia lub muła, a najlepsze pochodzą z doliny Maranonu, gdzie nawet przybrały cechy rasowe. Są to zwykle duże psy, o sierci gładkiej, zdradzające kształtem lba i wysmukłością ciała znaczną domieszkę krwi charciej; maści bywają zwykle płowej, rudawej, lub moregowatej, jak u buldogów i ulmskich dogów. Gonią bardzo ostro, lecz zdaje się, że głównie na oko; są przytem bardzo zażarte.¹⁾

Polowania na sarny *par force* w górach należą niewątpliwie do najniebezpieczniejszych sportów. Słyszałem od osób, biorących udział w takich gonitwach, że myśliwi galopują zwykle na złamanie karku, a uniesieni zapałem, jaki się wszystkim udziela, zapędzają się w miejsca tak niedostępne i urwiste, że gdy następnie trzeba się stamtąd wydostać, strach bierze nie tylko konno, lecz nawet pieszo po urwiskach się drapać.

Mieszkańcy Kordyljerów nazywają sarnę po hiszpańsku „venado“, lub po indyjsku „uisza“, którą to nazwę stosują także Indianie do baranów domowych, wprowadzonych, jak wiadomo, przez Hiszpanów. W niektórych okolicach Peru słyszałem zdanie, że przed podbojem, sarny żyły w stanie domestykacji, zastępując owce. Twierdzeniu temu niepodobna jest dać wiary, gdyż w inte-

¹⁾ Psy te pochodzą niewątpliwie od arabskich *slughi* i przez Hiszpanów sprowadzone do Peru zostały.

resie samego człowieka leżało utrzymać zwierzęta te w stanie oswojenia, a nadto historycy peruwjańscy przekazaliby nam z pewnością wzmiankę o tak ciekawym fakcie.

Drugim zwierzęciem, bardzo dla Sierry typowym jest wielki dydelf (*Didelphys cancrivorus*, czy może *Azarae*), należący do rzędu zwierząt workowatych, właściwych tylko Australji i Ameryce. Wiadomo jest czytelnikom, że zwierzęta workowate zwą się tak dla wielkiej kieszeni, umieszczonej na brzuchu, w której samica nosi młode, przedwcześnie urodzone i całkiem niedołążne. Rodzina dydelfów jest właściwą obu Amerykom.

Dydelf peruwjański odgrywa podobną rolę, co nasze kuny, trzymając się zwykle w pobliżu domów, a nawet w samych domach pod strzechami i na poddaszach. Szkodnik to wielki, gdyż nie tylko drób niszczy, lecz i zapasy kukurydzy atakuje, zjadając w obfitości surowe ziarno. W Cutervo mieszkańcy pożyczali często od nas żelaz, używanych do łowienia lisów, a jeden z nich wypałał u siebie na strychu całą rodzinę dydelfów.

Zwierzątko to jest wielkości kuny, barwy czarnej, lub srebrno siwej z białymi smugami na głowie.

Ogon posiada długi, obnażony i chwytny na całej długości. Używa go skutecznie do czepiania się po drzewach, a nawet zdaje się, że w nim nosi czasem mniejszą zdobycz, gdyż widziałem na małych chowanych egzemplarzach, jak zwinięty w kulkę papier owijały ogonem i w nim go nosiły. Mieszkańcy twierdzą, że gdy kurę złowi, nie zabija jej na miejscu, lecz, owinąwszy szyję ogonem, prowadzi za sobą jak na sznurku.

Pewnego razu przyniesiono nam samicę zabita w bliskości miasteczka, a wraz z nią pięcioro młodych wielkości małych szczurów. Człowiek, który nam przyniósł ten okaz, zabił go na gnieździe.

Zaciekawiony poszedłem gniazdo obejrzeć: było ono umieszczone w rozwidleniu gałęzi wiśni peruwjańskiej na wysokości pierwszego piętra. Zbudowane było niedbale z chrustu narzuconego bez żadnego porządku; przypominało gniazdo wrony lub większych drapieżników. Młode dopuszczone w domu do trupa matki, rzuciły się łakomie do cycków, z których resztki mleka ssaly. Chcąc się przyjrzeć zbliska obyczajom tych osobliwych zwierzątek, cho wałem je przez czas niejaki, karmiąc naprzemiany siekanem mięsem lub gotowanemi jajami; mleko bowiem piły niechętnie. Wszystkie powydzychały mi w krótkim przeciągu czasu zapewne wskutek niewłaściwego karmu.

Obok dydelfa wielkim drapieżnikiem jest łasica, której kilka gatunków (*Mustela agilis*, *M. Jelskii*, *M. macroura*, *M. Stolzmanni*) zamieszkuje środkowe i północne Peru. Małe to zwierzątko odznacza się podobnie jak i nasza łasica niezwykłą krwiożerczością, a niektóre osoby dowodziły mi, że nieraz przypija się do sarn, którym ssie karotydy, powodując śmierć tak olbrzymich względnie do

siebie zwierząt. Sam kilkakrotnie spotkałem nieżywe króliki kordyljerskie, zabite i wysane przez łasicę; wszystkie bez wyjątku miały ranę na tyle głowy pomiędzy czaszką i atlasem; drapieźnik ten ogranicza się na wypiciu krwi, pozostawiając mięso nietkniętem.

W bliskości miast i osad łasica jest zawsze pospolitszą, zwabiona drobiem i świnkami morskimi, które się po kuchniach chowają. Dostać się łasice do domu mogą z wielką łatwością, gdyż drzwi są źle zaopatrzone, a nadto chaty są kurne, więc przez dywnik włązą; a w ostatecznym razie podkopać się także może. Świnki morskie podobnie jak wspomniane dzikie króliki stanowią jej zwykle ofiary, a gdy się raz do domu dostanie, nie zadawała się jedną ofiarą, lecz wymorduje kilka lub kilkanaście tych biednych i bezbronnych stworzeń. Krajowcy dla tych szkód nienawidzą ją bardzo i tępią przy zdarzonej sposobności.

Wspomniałem o króliku (*Lepus amazonicus*), który należy do pospolitszych zwierząt Sierry peruwjańskiej i ekwadorskiej. Jest on wielkości dzikiego królika francuskiego (zatem znacznie mniejszy od królika domowego), a odróżnia się od wszystkich innych bardzo krótkimi uszami. Trzyma się najczęściej w bliskości pól lucerny, lub pastwisk, na których żeruje pod wieczór. Mięso posiada bardzo delikatne i smaczne, wskutek czego mieszkańcy łowią go niekiedy przy pomocy psów. Najpospoliej spotykałem go w górach Ekwadoru na wysokości 8,000' do 10,000' nad poziomem morza; ten sam jednak gatunek rozciąga się aż do Pomorza z jednej strony, a do równin Amazońskich z drugiej strony Kordyljerów.

Mówiąc o ssących Sierry peruwjańskiej niepodobna jest pominąć milczeniem wampira (*Desmodus*), którego liczne gatunki zamieszkują zwrotnikową Amerykę, trzymając się przeważnie leśnych obszarów. Dotychczas jeszcze niektóre osoby uważają za bajkę opowiadania o picciu krwi przez te nietoperze; dowody jednak, jakie się nam udało zebrać w tej mierze są decydujące, a Jelski miał nawet okazję podczas swej podróży po Guyanie francuskiej sprawdzić na sobie krwiożercze obyczaje tego nietoperza. Różne są gatunki wampirów, a nawet do różnych rodzajów zoologicznych należące i gdy jedne zamieszkują strefy gorące i lesiste, inne wznoszą się do wysokości 10,000' nad poziom morza, trzymając się serrańskich okolic bezleśnych. Do tych ostatnich należy także i gatunek w mowie będący (*Desmodus rufus*), którego liczne egzemplarze zdobyliśmy w okolicach Cutervo.

Bliższe szczegóły o ciekawych obyczajach tego zwierzątka podam we właściwym miejscu.

Ptactwo Sierry, jak to wyżej wspomniałem, jest ubogie i mało charakterystyczne, a mnóstwo przedstawicieli pierzastego świata zalatuje tu z sąsiednich obszarów Montanii, Puny lub Pomorza. Kondor i czarnogłowy gatunek urubu (*Cathartes atratus*) spotykają się na Pomorzu i w Punie, więc i w pośrednim regjonie Sierry muszą się znajdować. Z drapieźników posiada jednak Sierra gatunek myszolowa (*Geranoëtus aguia*), który chociaż spotykany w przymorskim i punowym pasie, to jednak w serańskim obszarze

częściej się trafia, aniżeli gdzieindziej. Ptak to okazały, dochodzący niemal wielkości orła, z wierzchu popielaty, od spodu czysto biały, popielato pręgowany. Lot ma bystry i śmiały, co mu pozwala atakować nawet szybkołotne ptaki, jak papugi i niektóre gatunki kaczek. Gdy jednak zdobyczy zabraknie, zbliża się do mieszkań ludzkich, gdzie porywa, kury, indyki a nawet małe prosięta. W dolinie Sesuya panuje zwyczaj tradycją uświęcony, że gdy kto z mieszkańców drapieżnika tego zabije, wszyscy sąsiedzi dają mu w nagrodę po jednej sztuce drobiu.

Najobficiej spotyka się w regionie serrańskim niektóre gatunki wróblowatych, jak czyżyk kordyljerski (*Chrisomitris capitalis*), małe grubodziobe spermofile (*Spermophila gutturalis*), lub jednobarwne popielate frygilusy (*Phrygilus ocularis*), którego niezmiernie monotonne cirkotania, stanowi jeden z najwybitniejszych głosów w harmonii Sierry. Z papug zalatują tu niekiedy pomorskie małe papużki (*Psittacula coelestis*), a w porze dojrzewania kukurydzy do najpospolitszych ptaków należy długoogoniasty gatunek (*Conurus erythrogenys*), całkowicie zielony z pasowem czołem. Ptak to nienawidzony przez górali, gdyż im znaczne szkody w polach kukurydzy wyrządza. Zmuszeni są nawet przez parę ostatnich tygodni strażę na polach utrzymywać, gdyż inaczej plon cały byłby zagrożony. Pomimo to papugi niewiele sobie z czujności robotników robią i w jednym końcu pola płoszone, przelatują na drugi, gdzie szybko łuszczą ziarna, zanim pilnujący zdąży je spędzić. Biedacy ci, zwykle Indianie, wymyślają głośno papugom, zwać je „loro brujo“ (brujo - czarodziej — jeden z największych wymysłów u prostego ludu peruwjańskiego) lub darząc je innymi mniej dźwięcznymi i mniej przyzwoitymi epitetami, co zwykle pomaga jak umarłemu kadzidło.

Z pośród gęstych krzaków, lub żywopłotów dochodzi nas donośny, czysty głos jakby powtarzający sylaby *uj-ku-ku*; brzmienie jego jest smutne i za serce chwytające; autora jednak niełatwo zobaczyć gdyż się kryje wśród gęstwy i tylko niekiedy wczesnym rankiem lub pod wieczór wyskoczy na miejsce wolniejsze. Wówczas ujrzymy ptaszka wielkości kwiczoła, na bardzo wysokich nogach, z bardzo wielkimi oczami. Dużymi skokami, jakby piłka odskakująca od ziemi, przebiegnie przez dróżkę i zniknie w gąszczu. Jest to znany dobrze krajowcom ujkuku (*Grallaria albiloris* Tacz.) Inny pobliski gatunek (*Grallaria rufula*) żyje w tych samych miejscowościach, a głos chociaż różny, jak i u tamtych jest bardzo żałośny. I rzecz dziwna: oba te ptaki odzywają się głównie wtedy, gdy się niebo zasepi i gdy gęsta, nieprzejrzysta mgła pokryje skłony gór, nadając krajobrazowi smutny koloryt. Wówczas boleścią drgające głosy tych ptaków robią wrażenie skargi i budzą w sercu naszym smutek i tęsknotę.

Z kolibrów niektóre gatunki są prawie wyłącznie właściwe serrańskiemu regionowi, a z pomiędzy nich do najcharakterystyczniejszych należy spory koliberek ciemno zielonej barwy, z pięknymi fioletowo-szafirowymi uszkami, jakie tworzą pióra po obu stro-

nach głowy (*Petasophora anais*). Zwłaszcza gdy nadchodzi pora kwitnienia tęży (*Agave*), mocne ćwierkanie tego miłego ptaszka rozlega się na wszystkie strony. Bardzo też pospolitym jest tu długogoniasty kolibr (*Lesbia gracilis*) który lotem strzały przesywa powietrze, wizytując kolejno krzaki, pokryte kwieciami.

Na tych nielicznych gatunkach ptaków ograniczę się, nie chcąc obciążać zbyt wiele uwagi czytelnika. Wybrałem najbardziej typowe, gdyż te najczęściej charakteryzują daną okolicę. Ponieważ zaś fauna niższych kręgowych i bezkręgowych jest w regionie serrańskim bardzo uboga, więc ją pominię zupełnie, przechodząc bezpośrednio do człowieka, nad którym studja należą do najciekawszych.

Mieszkaniec Sierry nazywa się w Inkazji „Serrano“ — nazwa do pewnego stopnia pogardliwa, osobliwie w ustach pomorzanina, który uważa swych górskich rodaków za pewnego rodzaju dzikusów i zacofańców. Jest to zwykły stosunek, jaki zachodzi między okolicami bliżej stolicy leżącymi oraz bardziej zapadłymi prowincjami, coś w rodzaju wzajemnego zapatrywania się Polaków na Litwinów i na odwrót. Serrani, którzy obok wad posiadają też niemałe zalety, nazywają z kolei pomorzan „costenos palanganas“ *). Ten jednak antagonizm, jaki istnieje między pomorzanami i mieszkańcami wnętrza kraju jest więcej zarysowany w Ekwadorze, aniżeli w Peru, choć i tutaj nie brak wzajemnych przycinków, a często w sprawach politycznych — otwartych nienawiści.

„Serrano“ jednak nie jest to typ, któryby można w kilku wierszach scharakteryzować. Wszędzie, gdzie się tylko dwa szczepy ze sobą miesza, nie dochodząc jednak ostatniego stopnia zlania, zasadnicze różnice w charakterach obu pierwiastków stoją na przeszkodzie do wytworzenia jednolitego typu, posiadającego wspólne wszystkim reprezentantom cechy rodzinne. Etnograf jednak ma tu na tyle ułatwione zadanie, że w regionie serrańskim dwa tylko szczepy, to jest indyjski i kaukaski zlewają się ze sobą, a nie trzy lub nawet cztery, jak to widzieliśmy na Pomorzu. Murzyn w chłodnym klimacie Sierry nie mógł się zaklimatyzować i jest tam prawie taką rzadkością, jak w Europie, w skutek czego i domieszka krwi murzyńskiej wśród górskich mieszkańców jest bardzo nieznaczna. Chińczycy znów dopiero w ostatnich czasach poczęli się rozlewać po kraju, więc i wpływu pierwiastku mongolskiego nie czuć jeszcze pomiędzy serranami. Indyjanin tylko, jako pierwotny, odwieczny mieszkaniec Kordyljerów i Hiszpan, jako zdobywca, rozpostarli tu swe panowanie, zlewając się powoli w jednolitą masę. Ażeby zrozumieć wzajemny stosunek obu ras do siebie, niezbędnym jest cofnąć się o kilka wieków wstecz do czasów podbojów.

*) *Palangana* hiszp. odpowiada nieco wyrazom blagier, lub nowo-powstałemu — letkiewicz.

Zawojowania Peru dokonali ludzie chciwi złota. Nie byli to bohaterowie, pragnący podnieść sławę swej ojczyzny szeregiem zwycięstw poza Oceanem, lecz ambitni samoluby, żądni władzy a przede wszystkim złota. Dowodził nimi Franciszek Pizarro, człowiek niezwykle odwagi, prawdziwy typ żelaznego conquistadora i nawet niepozbowiony szlachetnych popędów, lecz pchany głównie w swych wyprawach złotą gorączką. Całe też jego otoczenie składało się z najrozmaitszych awanturników, rekrutowanych w Hiszpanii, lub w Panamie, przyczem większą uwagę zwracano na umiejętność władania bronią i osobistą odwagę, aniżeli na inne zalety duszy. Za zdobywcami, poszła cała czereda sępów, które zwykle ciągną za obozem zwycięzców, aby się karmić resztkami z ich stołu. Z wyjątkiem nieznacznej liczby rządowych urzędników, między którymi można było prędzej spotkać osobistości szlachetne, pierwszymi kolonistami europejskimi w Inkazji byli ludzie zebrani z szumowin hiszpańskiego społeczeństwa, na których, niestety, wypadła rola apostołowania w nowo zdobytym kraju. Smutni to apostołowie, którym przewodniczyła chęć wyzysku, okraszona wżgardą i nienawiścią dla miejscowych Indjan. Odległa zaś metropolja nie mogła też rozprzestrzeć należytej opieki nad nowymi poddanymi, gdyż tysiące mil, jakie ją od kolonji dzieliły, osłabiać koniecznie musiały sprężystość jej rozporządzeń; a zresztą więcej ją obchodziły olbrzymie transporty złota i srebra, nadchodzące z Indji Zachodnich *) aniżeli losy milionów czerwonoskórej ludności. Trzeba też było wynagradzać zdobywców za ich czyny na Nowym Łądzie, więc oprócz tytułów szlachectwa, jakimi podówczas szafowano obficie, rozdawano conquistadorom świeżo zabrane terytorja wraz z mieszkańcami tychże. Aby jednak złagodzić, lub raczej zamaskować rażące niewolnictwo, jakiemu poddano Indjan amerykańskich, nazwano ten rodzaj własności „encomiendas” od hiszpańskiego wyrazu, oznaczającego rekomendację lub komis. Było to jednak, niewolnictwo najwyraźniejsze z wszelkimi przywilejami, jakie daje prawo właścicielowi nad rzeczą posiadaną. Nazwą zaś komisju chciano jedynie otumanić Europę, a zwłaszcza Papieża, który zezwolił na zawojowanie Indji Zachodnich jedynie w celach rozszerzania nauki Chrystusa. Posłuchajmy, co mówi o tem apostołowaniu prawdziwy apostoł i obrońca Indjan, czcigodny ojciec Las Casas, który przez lat dwadzieścia siedm był bodaj jedynym szczerym adwokatem tej uciśnionej i nieszczęśliwej rasy. Słowa powyższe są wyjątkiem z gorącej mowy, jaką wygłosił szlachetny kapłan na wiecu teologów i prawników w hiszpańskim mieście Valladolid.

„Niepodobna jest wyobrazić sobie ogromu nieszczęść, dotykających Indjan. Zabija się ich, okrada i poddaje niewolnictwu

*) Kolonje hiszpano-amerykańskie nazywały się podówczas na półwyspie Iberyjskim Las Indias. Nazwę tę spotykamy we wszystkich komunikatach rządowych, jak również w pismach współczesnych historyków.

bez żadnych przyczyn i potrzeby. Od lat czterdziestu traktuje się te niewinne istoty z dzikością, godną wilków, tygrysów lub lwów zgłodniałych; ugniata się ich i niszczy wszelkimi środkami. Jakże tylko złość ludzka i tyrani amerykańscy wymyśleć mogli. Dzięki nieludzkiej polityce zdobywców zginęło *dwanaście milionów* Indjan, o czym dzisiaj każdemu jest wiadomem. Chciwość złota była przyczyną tej rzezi. Zdobywcy nie znali innego Boga i byle się tylko wzbogacić, traktowali jak psów narody, które ich uważały za zesłańców nieba. Indjanie, spokojni z natury, i obcy wszelkim występkom, nie chwycili za broń, aż dopiero zobaczywszy rabunek, gwałt i morderstwa, spełniane przez Hiszpanów. A pomimo to bezmyślny i nieznający strachu zapal do podbojów robi codziennie nowe postępy! Gwoli wzbogacenia się ambicjusze ci rozlewają krew strumieniami i wyludniają obszerne kraje”^{*)}.

Pod wpływem gorących słów ojca Las Casas'a zjazd valladolidski zreagował nowy kodeks dla Indji. Podpisany przez cesarza Karola V w roku 1542 znalazł wykonawcę w nowo mianowanym wice królu Peru, Nunez'ie. Według nowego prawa „las encomiendas“ ograniczały się jedynie do płacenia skromnego czynszu; surowo było wzbронionem oddawanie w niewolnictwo Indjan, którzy od daty dekretu uważani być mieli za zupełnie wolnych. Ten jednak dekret trafił na nieprzełamany opór ze strony zdobywców, którzy widzieli jasno, że wprowadzenie go w czyn pociągnie za sobą upadek ich prerogatyw. Zanim jeszcze Blasco Nunez-Vela, nowo mianowany wice-król Peru wylądował w Tumbezie, już rewolucja, dowodzona przez Gonzala Pizarre, jednego z braci conquistadora, wybuchła na południu. Próżne były wysiłki prawego i bohaterkiego wice-króla: party przez swych przeciwników, wydał wreszcie walną bitwę pod Quito, gdzie w obronie praw króla głowę położył. Gdy wieść o tej porażce doszła do Europy, cesarz Karol V, znajdujący się podówczas w Niemczech, napisał do syna swego Filipa, aby zrobił, co będzie uważał za stosowne i ten odwołał prawo znoszące enkomieny. Takim sposobem niewolnictwo przywrócone zostało i przetrwało aż prawie do chwili wybięcia się z pod panowania hiszpańskiego.

Enkomienom jednak nie podlegali wszyscy bez wyjątku Indjanie, lecz tylko ci, którzy zamieszkiwali terytorja, podarowane zdobywcom. Nie idzie jednak za tem, aby resztę spotkał los o wiele lepszy. Hiszpanie obyczajem wszystkich zaborców patrzeli na nich, jak na niższych od siebie, nie robiąc sobie skrupułów w eksploatowaniu ich wszelkimi możliwymi środkami. Do najpopularniejszych należało forsowne kupno towarów, które gubernatorzy lub alkadzi sprzedawali Indjanom po cenach przez siebie naznaczonych i zwykle dziesięć razy przechodzących wartość towaru. Nadto używano Indjan do rozmaitych prac, płacąc nędznie lub nie pla-

^{*)} S. Lorente. Historia del Peru bajo la dinastia austriaca (1542 — 1598) — Lima, 1863. — str. 2.

cać wcale. Indjanin był prawdziwym parją amerykańskim, prawdziwą *bête noire* zdobywców, którzy nie szczydzili tym biedakom razów i obelg wszelkiego rodzaju. Napróżno ludzie dobrej woli, jakich wielu było pomiędzy wice-królami peruwjańskimi starali się ukrócić tę samowolę i złagodzić ciężki los, jaki się biednym Indjanom w udziale dostał: napotykali zawsze na silny opór ze strony swych białych podwładnych, a bliższą kontrolę lub surowe karanie buntowników ubezwładniała zawsze znaczna rozciągłość kraju. Powoli tradycja uświęcała ten niehumanitarny stosunek Hiszpanów do Indjan, a ślady jego po dziś dzień przetrwały w zapadłych prowincjach Inkazji.

W Peru to kastowe zapatrywanie się białej ludności nie jest dzisiaj tak wyraźne, chociaż i tutaj Indjanin czystej krwi jest z góry traktowanym zarówno przez hiszpańskich potomków, jak i przez mieszaińców. Nigdzie jednak ten stosunek panów do niewolników nie utrzymuje się w tak wybitnych zarysach, jak wewnątrz Ekwadoru gdzie tradycje starodawnych *hidalgów* przechowały się w całej prawie sile.

Ekwadorski „*caballero*“ ma zawsze na ustach przygotowany epitet „*indio sucio*“ (brudny Indjanin), którym szafuje z prawdziwą kastylską hojnością; często też wołając Indjanina, choćby nawet w gniewie nie był, mianuje go pogardliwie „*verdugo*“ (kat), który to wyraz należy do największych wymysłów hiszpańskiego dykcjonarza. Młodzież ekwadorska znajduje największą przyjemność w wyrządzaniu różnych psot Indjanom, szcując ich psami, zrzucając z koni lub dopuszczając się względem nich tysięcy najrozmaitszych, często bardzo przykrych i bolesnych figlów. W czasie tak częstych rewolucji, Indjanin bywa pędzonym jak juczne bydło, a własność jego nie cieszy się najmniejszym poszanowaniem: nieokrzesane żołdactwo niszczy mu dobytek, zabiera drób, używa koni bez żadnego wynagrodzenia, a gdy nieszczęśliwy, skarży się na swój los, błagając o litość, otrzymuje w zamian policzek lub razy.

W czasie jednej z tak licznych rewolucji ekwadorskich, znajdowaliśmy się pewnego razu w miasteczku Alausi, przyglądając się wymarszowi wojsk powstańczych. Zwycięskim drużynom towarzyszył długi szereg Indjan, niosących ciężkie skrzynki z amunicją.

— Wiele też oni zarabiają dziennie — zapytałem jednego z mych znajomych.

— Dwadzieścia cztery godzin na dobę — odparł cynicznie zapytany, dając do zrozumienia tym niehumanitarnym dowcipem, że nieszczęśliwi ci żadnej kompensaty za swą ciężką pracę nie otrzymują.

Ten „zarobek dwudziestu czterech godzin na dobę“ wyrwał mi się głęboko w pamięci, gdyż doskonale maluje smutne położenie indyjskiej ludności w Inkazji. Wieleż to pracy, wieleż to pereł szczerego potu zostało w ten sposób wynagrodzonych od czasów podboju. Sześćdziesiąt lat demokratycznych rządów złagodziło wprawdzie nieco kastowy stosunek zdobywców do zawojowanych,

mimo to jednak przeszło trzywiekowa tradycja zbyt głęboko korenienie zapuściła w obyczajach miejscowych, aby tak krótki przeciąg republikańskich poglądów mógł radykalnie zmienić arystokratyczne a często nieludzkie zapatrywanie się hiszpańskich potomków.

Peru pod tym względem o wiele wyprzedziło Ekwador i tu jednak Indjanin, zwłaszcza wewnątrz kraju nie znajduje należytej opieki prawa. W czasach wojennych on zawsze pierwszy pada ofiarą nadużyć, zmuszany siłą do transportowania bezpłatnie bagażu, lub do dawania swych bydłał jucznych, których często więcej nie ogląda. Podczas wojny peru-chilijskiej, bataljon zrekrutowany w departamentalnem mieście Chachapoyas, użył do wymarszu przeszło sto koni, należących przeważnie do biednej indyjskiej ludności. Niektórzy z właścicieli ruszyli za wojskiem, aby doglądać swego dobytku i ci jeszcze najlepiej zrobili, gdyż resztę koni żołdactwo po przejściu Maranonu sprzedawało za bezcen, jak mnie zapewniano po solesie (5 franków) za sztukę. Pokrzywdzeni chyba do nieba mogli zanieść skargę, gdyż tu na ziemi napróżnoby sprawiedliwości szukali.

W tym wypadku nadużycie może być w części wytłómaczone potrzebą służenia krajowi w trudnych okolicznościach wojennych, lecz czemu wytłómaczyć następujący wypadek, zaszły podczas mego pobytu w Callacate niedaleko Cutervo. Mieszkał tam między innymi biedny osadnik, którego dobytek składał się z chaty, młyna do wyciskania soku z trzciny cukrowej, oraz niewielkiej plantacji trzcinowej. Nie znam dokładnie okoliczności, mogących rozjaśnić prawne lub nieprawne posiadanie tej własności, głos publiczny jednak twierdził, że ów kolonista był jedynym legalnym właścicielem zajmowanej przez się kolonji. Całe jego nieszczęście polegało na tem, że był biednym i należał do wzgardzonej klasy Indjan, czy metysów. Zdarzyło się więc, że jeden z notablów kuterwiańskich wynalazł jakiś dokument, według którego ni-byto kolonja z prawa jemu się należała. Proces oparł się o tak zwanego sędziego pierwszej instancji (juez de primera instancia), który będąc może w pokrewieństwie z powodem, czy też przekupiony przez niego, gdyż i to się często w Peru zdarza, wydał wyrok nieprzychylny koloniście. Zrozpaczony biedak, widząc się okradzionym z całego dobytku, nie chciał ustąpić z posiadanej przez się ziemi; lecz przeciwnik był silniejszy, bo miał po swojej stronie władzę wykonawczą. Urządzono więc na pokrzywdzonego zbrojny napad, w którym wzięło udział z dziesiątek przyjaciół powoda. Opornego kolonistę związano, obito i z posiadłości wyrzucono. Przypadek ten sprawił na mnie tem smutniejsze wrażenie, że najeźdźnicy byli wszyscy mymi dobrymi znajomymi i w wielu razach dali mi dowody szczerzej przyjaźni. W Peru jednak należy się przyzwyczaić do podobnych niespodzianek, gdyż poziom uczciwości jest tam inny, aniżeli u nas. Złagodzić tylko muszę moją krytykę stwierdzeniem pocieszającego faktu, że tego rodzaju wypadki są w Peru coraz rzadsze, a uciśniony przedtem Indjanin coraz więcej zyskuje praw swobodnego obywatela, równego innym

jeżeli nie barwą skóry, to przynajmniej inteligencją; pod tym względem rasa czerwonoskóra w południowej Ameryce znalazła się w lepszych warunkach, aniżeli bitne i odporne plemiona Stanów Zjednoczonych, które jeżeli nie zwały się z przybyszami zza Oceanu to zato zwały obficie krwią własną ziemię, która im się z prawa należała.

Zaznajomiwszy się bliżej z historją wzajemnych stosunków obu plemion Peruwjańskiej Rzeczypospolitej, łatwo zrozumiemy teraz powstanie klas, na jaki zwykle narody się dzielą. Hiszpańscy zdobywcy, oraz ich potomkowie stanowili od samego początku najwyższą miejscową arystokrację, do której łączył się zastęp wyższych urzędników, zrekrutowany na półwyspie pomiędzy klasą szlachecką. Klasę średnią stanowili niżsi urzędnicy, lub awanturnicy, którzy przybywali masami z metropolji, zwabieni za Ocean prawdziwie bajeczną ilością złota. Wreszcie plebs składał się z miejscowych Indjan, oraz murzynów, sprowadzonych jako niewolnicy z pobrzeży afrykańskich. Z chwilą jednak wybicia się zpod panowania hiszpańskiego i zaprowadzenia demokratycznych rządów, nastąpiły pewne zmiany w wyższych warstwach peruwjańskiego społeczeństwa, dzięki bowiem zaprowadzonej równości republikańskiej i przerwaniu stosunków z metropolją, wskutek którego ustał napływ arystokratycznych rodzin kastylskich, przedstawiciele dawnej szlachty, osiedli w Peru, poczęli się mieszać z nieutyłowanymi współziomkami, tworząc jedną klasę panującą ludzi białych. O dawnych tytułach po większej części zapomniano i dzisiaj bardzo chyba nieliczne rodziny, jak markizów Goyeneche, hrabiów Alvarado i inne, używają jeszcze tytułów szlacheckich.

Z drugiej strony trywialne obcowanie dwu plemion ze sobą wytworzyć musiało niezbędnie klasę ludzi mieszanych. Ponieważ z Hiszpanji przybywało wogóle znacznie więcej mężczyzn, aniżeli kobiet, więc nowi przybysze zawierali związki (po większej części nielegalne) z miejscowymi kobietami. Ten pierwszy krok do zlania się obu szczepów dali jeszcze zdobywcy, a w miarę jak się krew hiszpańska propagowała wśród miejscowej ludności, fuzja coraz szybszym krokiem naprzód postępowała, gdyż wytworzyła się klasa ludzi, różniących się niewiele od rasy białej, a przez to związki z metysami nawet legalne coraz częściej się pojawiały. Wątpię też, aby którakolwiekby rodzina peruwjańska mogła dokumentami udowodnić, że w żyłach jej nie płynie choćby trochę krwi indyjskiej lub murzyńskiej. Prędzej tę czystość rasy zdołaly utrzymać niektóre rody ekwadorskie, choć i tam nie ręczyłbym absolutnie.

Jednym z najważniejszych czynników przy zlaniu się trzech głównych szczepów, zaludniających Inkazję, jest niewątpliwie swoboda obyczajów, jaka panuje w stosunku obu płci. Poczynając od najwyższych sfer, a kończąc na biednych rolnikach, znajdziemy wszędzie rozpowszechnione życie w konkubinacie, o czem wspominałem już poprzednio. Jedni, unikając związków uświęconych sakramentami, żyją wprost z konkubinami; inni obok prawych mał-

żonek, mają po kilka, a nieraz po kilkanaście towarzyszek z lewej ręki. Przykład, niestety, idzie w tym razie ztamtąd, zkadbyśmy się go najmniej spodziewali. Duchowienstwo hiszpano-amerykańskie nie kieruje się w tym względzie żadnymi skrupułami, a z pomiędzy dziesiątków księży, jakich mi się zdarzyło poznać, nie mogę wymienić ani jednego, któregooby za chwalebny wyjątek postawić można było. Znałem między księżmi peruwjańskimi kupców, znałem hacendadów, znałem hulaków, lecz wstyd wyznać nie znałem ani jednego kapłana. Jakim więc sposobem taki duchowny może propagować czystość obyczajów? To też i lud prosty, który pod tym względem ściśle obserwuje przepisy religijne, idzie za przykładem warstw wyższych, a w skutek tego liczba urodzin nieprawych przewyższa o wiele prawie, w rzeczypospolitej Peruwjańskiej i ościennych.

Prawo peruwjańskie opiekuje się dziećmi nieprawymi o ile te przez ojca przyznanemi były; w braku więc dzieci prawych cały nawet majątek przejść może na linię nieprawą. Ponieważ zaś przy związkach nielegalnych nikt nie ogląda się na czystość krwi, zdarza się więc często, iż mieszane dzieci mogą odziedziczyć po swym ojcu milionową fortunę.

Gdzie zaś jest fortuna, tam w kraju republikańskim nikt nie patrzy ani na barwę skóry, ani też na prawe lub nieprawe pochodzenie i ci kolorowi spadkobiercy mogą się łączyć związkami małżeńskimi z najbardziej arystokratycznymi rodzinami. Tu też szukać należy jednego z głównych czynników, dopomagających zlianiu się różnorodnych szczepów Inkazji.

Gdy jednak swoboda obyczajów i rozpowszechnione życie w konkubinacie dopomaga bardzo do wytworzenia się jednolitego typu w narodzie, to z drugiej strony, podrywając węzły rodzinne, jest może jedną z najważniejszych przyczyn ciągłych wewnętrznych zamieszek, jakie tak często wstrząsają krajami hiszpano-amerykańskimi. Rodzina jest niewątpliwie prototypem państwa, a gdzie jej niema, tam wszelkie ustroje państwowe pozbawione są najważniejszej podstawy. Człowiek tylko w dobrze zorganizowanej rodzinie może nabyć szacunku dla władzy; nauczywszy się zaś od młodu pogardzać lub nienawidzić swych życiodawców, traci zupełnie poczucie wszelkiej władzy, wkraczając na śliski grunt samowoli i bezrządu, a w takich warunkach wszelkie karygodne pobudki, jak interes własny lub nienawiść partyjna, czy osobista mogą być dostatecznym bodźcem do rzucenia się w wir rewolucyjny. Nieraz też można spotkać w Inkazji braci należących do różnych partji, a bratobójstwa, lub nawet ojcobójstwa nie należą do wypadków bardzo rzadkich.

Wracając teraz do klas, na jakie się rozpada naród peruwjański, moglibyśmy przyjąć popularną bardzo w Inkazji klasyfikację na dwie główne warstwy, czyli na „caballeros” — ludzi dobrze wychowanych i porządnie ubierających się, oraz na plebs, czyli jak go tam zowią „gente plebe”. Gdybyśmy chcieli wynaleść cechę łatwą do uchwycenia, podług której na pierwszy rzut oka

moglibyśmy określić stanowisko społeczne tej lub owej osobistości, to pomijając wszelki odcień humorystyczny, jaki podobna klasyfikacja nosi w sobie, zaproponowałbym podział ludności osobiwie serrańskiej, na ludzi noszących buty zawsze, oraz na ludzi chodzących boso i nakładających obuwie tylko w pewnych wyjątkowych razach. Pierwsi będą „caballeros“, drudzy zaś „gente plebe“.

Ten jednak podział nie jest wystarczającym dla wnętrza kraju, gdzie staro-hiszpańskie tradycje przechowały się w większym, aniżeli na Pomorzu poszanowaniu.

W regionie Serrańskim rasa biała utrzymuje się dotychczas w znacznej czystości, gdyż jej reprezentanci stronią dość pilnie od wszelkich związków z ludnością kolorową; stanowią też oni miejscową śmietankę, zajmując przeważnie wyższe urzędy, utrzymując jednocześnie w swych rękach większe posiadłości ziemskie oraz handel. Na przeciwległym biegunie tej sfery towarzyskiej stoi autochtońska ludność Indjan, którzy odgrywają w Inkazji rolę chłopów, czyli małych posiadaczy ziemi. Pomiędzy dwoma skrajnymi warstwami łącznikiem jest ludność mieszana, czyli „cholos“ lub „chagras“, albo jak ich ojciec Velasco *) nazywa „ciudadanos de segunda orden“ (obywatele drugiego rzędu). Ci bodaj stanowią główne jądro (pod względem liczby) ludności inkazyjskiej. Z nich się składa klasa rzemieślnicza, oraz na równi z Indjanami — małych posiadaczy ziemskich. Wielu jednak z nich wybija się na stanowiska wyższych urzędników, doktorów medycyny, lub prawa, aptekarzy i t. d. Ustrój republikański otwiera im wrota do wszelkich godności, choćby nawet prezydenta rzeczypospolitej.

Potomka hiszpańskich przybyszów miałem już sposobność uprzednio w głównych rysach scharakteryzować. Białły serrano nosi przeważnie te same cechy, a różni się jedynie od pomorzana pewną skrytością charakteru, pewnem niedowierzaniem względem osób nieznanych, jakgdyby podejrzewał zawsze, że go chcą oszukać. Ma w sobie wiele Litwina. Oszczędniejszy od pomorzana, pracowitszy odeń i wytrzymalszy, przejawia w tych swoich cechach trudniejsze warunki bytu, w jakich się obraca. W samej rzeczy Sierra uboższą jest od Pomorza, a przez to zarobek trudniejszy. Na Pomorzu parobek zarabia do 12 reali dziennie; wewnątrz kraju 1 a najwyżej 2 reale; wszystko idzie w tym samym stosunku. Człowiek ubogi jest zawsze oszczędniejszy i pracowitszy od bogatego i w tym więc wypadku serrano odbija tylko w swym charakterze trudność warunków bytu. Dzięki jednak temu ma on wielką przewagę nad pomorzaniem; wszelkie wybitniejsze osobistości Peru pochodziły przeważnie z wnętrza kraju.

Indjanin serrański różni się też wiele od pomorskiego; jest to typ odmienny, noszący na sobie cechy górskiego plemienia. Twarz ma mniej regularną od pomorskiego „sechury“ lub „montubia“, nos

*) Historia Natural del reino de Quito — padre Velasco. Nie znam daty wydania tej ciekawej książki, przypuszczam jednak, że musiała wypaść w połowie XVIII wieku.

więcej rozplaszczony i nie tak orli, wargi grubsze, oczy skośniej-
sze, policzki więcej wydatne. W rysach swych więcej od tamtego
zdradza swe pokrewieństwo ze szczepem mongolskim.

W budowie ciała jego znać odwieczne przebywanie wśród
górskich regionów: pierś ma szeroką i wydatną, łydki i uda do-
skonałe rozwinięte, suche i żylaste, stopę — krótką, szeroką i bar-
dzo wysoką na podbiciu; taka właśnie noga jest doskonale przy-
stosowana do podnoszenia ciężaru ciała przy pięciu w górę. Wiel-
ki palec u nogi jest w części ruchomym, służąc nieraz do podno-
szenia różnych przedmiotów z ziemi. Indjanin posługuje się nim,
bywa nawet że kamienie rzuca nogą. Ogólna barwa skóry jest wię-
cej oliwkowa, aniżeli u Indjan pomorskich. Wzrost mają niski.

W charakterach też obu typów Indjan zachodzą ważne różni-
ce. „Sechury“ i „montubios“ tylko na krótki czas przed podbojem
dostali się pod despotyczne rządy inkasów z Cuzco. nie mogło się
więc na nich odbić to absolutne poddanie swej woli nieublaganej
władzy monarchów peruwjańskich. Jeszcze przed podbojem po-
morski Indjanin odznaczał się większą niezależnością charakteru.
Obok tego wiemy już, że Pomorze stokroć jest liberalniejsze od
Sierry, więc i późniejszy wpływ hiszpańskich przybyszów nie wy-
cisnął na jego mieszkańcach piętna służalstwa. Przeciwnie Indjanin
serrański od niepamiętnych czasów był tylko bierną machiną
w rękach swych władców, posłuszną na każde ich skinienie; smutny
zaś jego stosunek do panującej rasy zamiast się polepszyć
z najściem Hiszpanów pogorszył się tylko. Prawda, że za Inka-
sów plebs indyjski ugiął się pod ich żelazną dłońią, lecz jedno-
cześnie znajdował ojcowską niemal opiekę; iberyjscy zaś zdobyw-
cy widzieli tylko w Indjaninie juczne bydło, którem się posługi-
wano, mało dbając o jego dobrobyt i wykształcenie. Skutki tego
długowiekowego niewolnictwa odbiły się też niekorzystnie na cha-
rakterze Indjanina górskiego: jest on cichy, spokojny, jakby obo-
jętny na wszystko, co go otacza. Rozkazy wykonywa machinal-
nie, z apatją dobrze wytresowanego zwierzęcia. Spotkany w dro-
dze, uchyla nisko swego kapelusza, witając nas słowami: „Buenos
dias, senor“, lub w niektórych okolicach Inkazji: „Alabado sea el
Santisimo Sacramento“ (niech będzie pochwalony Przenajświętszy
Sakrament). W stosunkach z białymi jest zawsze podejrzliwym,
obawiając się słusznie, że będzie przedmiotem wyzysku. Gdy ma
co w mieście kupić, obleci przedtem wszystkie sklepy i dopiero
wtedy, kombinując rozmaite ceny, zwraca się tam, gdzie najko-
rzystniej nabyć może żądany towar.

Rasy białej nienawidzi z całej duszy. Uniżony jest i posłu-
szny, gdyż przywykł do despotycznego obchodzenia, do obelg
i rąw; lecz w głębi jego duszy tkwi tajona nienawiść. na którą
gromadziły się trzy wieki prześladowania i ucisku. Gdy jednak
wódka język mu rozplącze, wzniecając jednocześnie iskrę odwagi,
jaką najtchórzliwszy nawet człowiek w małej dozie posiada, wów-
czas tłumiona nieprzyjaźń wybucha potokiem obelg. O, gdyby
Indjanin czuł się dość silnym, zrzuciłby nienawistne jarzmo, wy-

rznąłby i wytępił swych prześladowców. Dał dowody swej zaciętości podczas trzechletniej rewolucji, jaką pod koniec XVIII-go stulecia wszczął potomek dawnych Inkasów, bohaterski Tupac Amaru; a rzezie, jakie się kilkakrotnie powtarzały wewnątrz kraju podczas ostatniej wojny peru chilijskiej stwierdziły, że i dzisiaj jeszcze dawny posiadacz ziemi nie zapomniał obelg i krzywd, jakie mu wyrażali przez półczwarta wieku hiszpańscy przybysze.

W każdym razie położenie Indjanina w Peru nie jest dzisiaj tak rozpaczliwe jak było pod koniec hiszpańskiego panowania. Sześćdziesiąt lat rządów demokratycznych złagodzić musiały bardzo ostry stosunek, jaki stał na przeszrodzie zlanu się dwu ras i przyznać trzeba, że postęp w tym razie coraz to szybszym krokiem idzie naprzód. Sam znałem w Inkazji czystej krwi Indjan, którzy dzięki swym zdolnościom wybili się na pierwszorzędne stanowiska w kraju. Wspominałem już o dzielnym generale Alfaro, który pochodził z pomorskich Indjan Ekwadoru; dobrze mi znany Indjanin, don Pablo Santillan, podczas ostatniej wojny peru-chilijskiej doszedł stopnia pułkownika, obejmując jednocześnie wysoki urząd prefekta departamentu. Nie wiem nic o jego dalszych losach, lecz podczas swej krótkiej działalności w Chachapoyas rozwinął on tyle energii przy sformowaniu ochotniczego bataljonu, że nie dziwiłbym się wcale, gdybym kiedykolwiek zasłyszał, że prezydentem rzeczypospolitej został. Wszak sławny meksykański prezydent Juarez także z Indjan pochodził.

Klasę średnią i łącznik pomiędzy inteligencją i plebsem stanowią tak zwani w Ekwadorze „chagras“ czyli ludność mieszana, a po części Indjanie czystej krwi, o ile pracą i zabiegliwością zdolają się wybić ze zwykłej sfery. Metysi stoją niejako na uboczu, gdyż biali unikają związków z nimi, a Indjan oni unikają, dumni domieszką krwi białej, która w niektórych razach przytłumia zupełnie pierwiastek kolorowy. Zresztą dzięki trzywiekowemu wpływowi znajdziemy tu tak dokładną serję przejść od białych czystej krwi do Indjan, że trudno jest prawdziwe granice dla każdej z trzech klas odnaleźć. W wielu też razach byłibyśmy w niemałym kłopotcie, czy do tej lub owej kategorii zaliczyć mieszkańca peruwjańskiego.

Według konstytucji peruwjańskiej każdy obywatel jest wolnym w całym znaczeniu tego wyrazu. Myłliby się jednak, kto-by sądził, że ten artykuł konstytucji ma pełne zastosowanie w życiu. W Inkazji wolność przeinacza się często w samowolę, a obok samowoli niewolnictwo jest zwykłym wypadkiem.

Brak poszanowania prawa wywołuje zawsze naciąganie ustaw państwowych do celów osobistych, a nawet gdy tego potrzeba zachodzi, zapomina się o prawie, lub się nowe, okolicznościowe stwarza. Pomimo tak fundamentalnego punktu konstytucji republikańskiej, jakim jest swoboda osobista, widzieliśmy poprzednio, że rząd peruwjański nie wahał się zaaklimatyzować czasowego niewolnictwa, jakiemu podlegali w ośmioletnim okresie czasu chińscy kulisi. Obok tego w wewnętrznych prowincjach kraju istnieje

inny, stokroć gorszy rodzaj niewolnictwa, nazywany jakby dla ironji „concerto“ czyli zgoda, koncert. Posłuchajmy tego smutnego koncertu, w którym bogaty wyzyskuje pracę ubogiego.

Panuje w wielu prowincjach Peru zwyczaj, że wierzyciel ubezwłasnowolnia dłużnika. Zbyt mało znanym mi jest kodeks peruwjański, abym mógł sądzić, czy takie postępowanie jest prawnem, czy też do rzędu nadużyć zaliczonem być winno; przypuszczałbym raczej ten ostatni wypadek, gdyż na Pomorzu, bliżej ośrodka sprawiedliwości i na oku przedstawicieli europejskich nie słyszałem o takim wyzysku. „Concierto“ polega na tem, że między wierzycielem i dłużnikiem zostaje spisana umowa, mocą której ten ostatni obowiązując się pracować pewną liczbę dni w tygodniu dla wierzyciela według ceny jaką ten wyznaczy. Dłużnik nazywa się wtedy „concertado“ lub w Ekwadorze „concierto“ i jest zupełnym niewolnikiem swego chlebobawcy, gdyż w danym razie właściciel może go nawet odsprzedać innej osobie.

Tego rodzaju „concertos“ spotkałem w departamentach Amazonas i Loreto. Jak olbrzymim jest wyzysk przy tego rodzaju umowach, zrozumie czytelnik, gdy mu pewne liczby zacytuję. Suma, jaką jest winien dłużnik wierzycielowi, nic nie wpływa na wysokość zapłaty za pracę: tyle pobiera ten, co jest winien 20 pesos (80 franków), co i dłużny 200 pesos, tylko że w ostatnim wypadku wyzyskujący jest pewniejszym swej ofiary, która z długu wynoszącego paręset franków przez całe życie się nie wyzwoli. Podczas wojny peru-chilijskiej rząd ściągał zaległy za lat siedm podatek osobisty, wynoszący 1 solesa (5 franków) rocznie od każdego pełnoletniego obywatela. Każdy więc, choćby najbiedniejszy, zmuszony był jednorazowo złożyć 7 soles czyli 35 franków. Widziałem na własne oczy, jak wielu z biednych wiejskich parobków oddało się w niewolę za tę marną sumę.

W dolinie Huayabamba (dep. Amazonas) concertato obowiązuje jest pracować dwa tygodnie dla swego właściciela, a tydzień dla siebie, *za co pobiera 8 pesos rocznie* *) i życie; największa zaś płaca doskonałego parobka jest 15 pesos rocznie. Ponieważ ma w ciągu roku około 240 dni roboczych, a płaca dzienna swobodnego parobka wynosi 1 reala dziennie i życie, zatem gdyby nie „concierto“, mógłby zarobić przez te 240 dni—240 reali czyli 60 pesos; ponieważ zarabia najwięcej 15 pesos, więc 45 pesos przedstawia nam procent od sumy, na jaką się zadłużył. W przytoczonym wypadku suma ta wynosiła 7 soles równających się niemal 9 pesos to jest *500 od sta!* Zrozumiała jest rzeczą, że przy tak doskonałych procentach, wierzyciel na podobieństwo westalek stara się utrzymywać wieczny ogień swojego długu, dodając potrochu, gdy tylko dłużnik stara się z ciężkiej niewoli wy dostać. Jedyną więc drogą do oswobodzenia się jest ucieczka

*) Przypominamy, że sol=5 frankom, a peso=4 frankom; real=½ franka.

gdzieś do odległej prowincji, gdzieby go znaleźć nie potrafiono; tego rodzaju ucieczki zdarzają się też często.

„Conciertos“ spotyka się głównie po wsiach i osadach wśród ludności rolniczej, nie zdarzyło mi się spotkać ich pomiędzy mieszkańcami miast. Za główną przyczynę tak niehumanitarnego wyzysku uważać należy ogólny brak rąk roboczych, na jaki cierpią wszystkie kraje Inkazji. Na Pomorzu zaradzano sobie sprowadzeniem chińskich kulisów, w okręgu zaś serrańskim przypomocy tak zwanych koncertów. Ludność robocza w Peru jest z natury leniwą i niewymagającą; Indianin lub cholo z plebsu żyje byle czem i gdy tylko ma coś do ust ponieść, nie najmie się do roboty, choćby go dobrze opłacić chciano. W części więc można usprawiedliwić przymusowy najem robotników.

Panuje też w Inkazji inny rodzaj niewolnictwa, dotyczący dzieci indyjskich, które bogatsi właściciele ziemscy, lub mieszkańcy miast kupują wprost od rodziców za sumę kilku lub kilkunastu dolarów. Dziecko takie używane bywa przez właściciela do różnych posług domowych, za co się go ubiera i daje życie; płacy żadnej nie pobiera. Nazywają zwykle takich małych niewolników „chino“ lub zdrobniale „chinito“, a dziewczęta — „china“. Bardzo często wywożą ich na Pomorze, gdzie do najpożądańszych prezentów należą. Jeżeli dziecko trafi na dobrych ludzi, wówczas pozostaje w służbie przez całe życie; zwykle jednak doszedłszy szesnastu lub siedemnastu lat, ucieka z domu swych panów, szukając zarobku po świecie. Zbytecznym może jest dodawać, że przy tak rozpowszechnionym zwyczaju brania dzieci indyjskich w niewolę zdarzać się też muszą częste ich porywania. Brak prawie zupełny wszelkich władz policyjnych, oraz niechęć białych do Indian uniemożliwia w takim razie wszelkie poszukiwania ze strony rodziców porwanego dziecka.

Taki jest wzajemny stosunek dwu głównych szczepów, zaludniających rzeczpospolitą Peruwjańską. Staralem się o ile możliwości wykazać w tym pobieżnym szkicu, w jaki sposób oddziaływały na siebie oba te pierwiastki etnograficzne, dążąc do ostatecznego zlania się. Z kolei niezbędnem jest wspomnieć o językach obu plemion i o zaciętej walce jaka się między obu narzeczami toczy od chwili podboju. Wynik tej walki, sądząc po dotychczasowych postępach kasteljanizacji, skończy się w niedalekiej przyszłości na niekorzyść miejscowego języka.

Narzecze Inkasów zowie się po dziś dzień quechua lub „quichua“. Kolebkę miało w południowym Peru, lecz ztamąd rozszerzyło się dzięki podbojom władców kuskeńskich aż do Pasto (w dzisiejszej Kolumbji) w jedną stronę, a po północne Chili — w drugą. Inkasi w zawojowanych prowincjach szybko propagowali język swój i obyczaje dzięki niezwykleму sposobowi kolonizowania *en masse* nowych terytorjów poddanymi, sprowadzonymi z dalekich prowincji. Bardzo często ze zdobytej prowincji wyludniano dziesiątki tysięcy jej mieszkańców, przesiedlając ich pomiędzy

swych dawnych poddanych, którymi zaludniano nowy kraj, czyniąc ich krzewicielami języka i obyczajów całego państwa.

Tym oryginalnym i mało skrupulatnym sposobem kuskańscy despotci w szybkim bardzo czasie asymilowali podbite narody, zaprowadzając w obszernych swych posiadłościach jedność języka, ustroju państwowego i obyczajów. Przypuszczam, że gdyby nie wiek XX-ty i słuszna obawa krytyki narodów europejskich, toby Prusacy chętnie w Poznańskim naśladowali przykład Inkasów peruwjańskich.

Dzięki tak bezwzględnej polityce, język „keczua“ rozpowszechnił się w całym pasie górskim od 4^o N. do 20^o S., a nadto używany był w chwili podboju prawie na całym Pomorzu peruwjańskim od rzeki Lloa na południu po rzekę Tumbez na północy. Jedynie pomorskie plemiona Ekwadoru, oraz hordy dzikich zupełnie Indian porzeczka Amazonki, Napo, Huallagi i Ucayali opierały się zwycięskim zaborom, zachowując też właściwe sobie narzecza. Pod względem bogactwa dźwięków, język „keczua“ należy niewątpliwie do najlepiej uposażonych, posiada bowiem pięć samogłosek (a, e, i, o, u), a ze spółgłosek następujące dźwięki: c, cz, ć, dź, dż, f, g, ch, j, k, ll,*) m, n, p, r, s, t. Dźwięk r jest nadzwyczaj gardłowy i trudny dla Europejczyka do wymówienia. Dźwięku w zdaje się wcale niema, chociaż go obecnie używają w wyrazach keczuańskich, jak naprz. w wyrazie Viracocha (czyt. Wirakocza) właściwe zaś wymawianie zdaje się być Uirakocza;** to samo „uicuna“ a nie „vicuna“ (wigoń, gatunek lamy). Dzięki takiemu bogactwu dźwięków, osoby mówiące narzeczem keczua z łatwością powtarzały większość wyrazów polskich, jakie im cytowałem, czego nie mogli dopiąć władający tylko hiszpańskim językiem.

Narzecze Inkasów w ogólnym swoim brzmieniu jest bardzo harmonijnem. Pewien Prusak rodem z Ejdkun, znający nieco język polski, mówił mi, że keczua przypomina mu nasz język. Podobieństwo to jednak pozorne, które pochwycić mogą tylko jedynie osoby nie znające bliżej żadnego z dwu tak odległych narzecz. Nie znam bliżej języka keczua, lecz według zdania osób kompetentnych jest on nadzwyczaj zwięzły i obrazowy. W budowie swej wewnętrznej należy do narzeczy bardzo rozwiniętych, gdyż posiada konjugacje i deklinacje***).

W każdym razie jako język narodu półcywilizowanego, keczua przedstawia liczne braki, które z języka hiszpańskiego wypełnić musiano. I tak na oznaczenie wszystkich przedmiotów nieznanymi starożytnym Indianom używa się dzisiaj wyrazów hiszpańskich. Np. koń zwie się „caballo“, okno — „ventana“, ka-

*) Podwójne l spotykane także w hiszpańskim, oraz w portugalskim języku (lh) odpowiada francuskiemu podwójnemu l, np. w wyrazie „conseiller“.

**) Bóstwo dawnych peruwjan.

***) Grammatykę języka keczua napisał znany podróżnik do Peru, Tschudi, rodem Szwajcar.

pelusz — „sombbrero“ i t. d., a takich wyrazów jest mnóstwo gdyż Inkasi pomimo dość posuniętej cywilizacji byli wszelako barbarzyńcami. Równy też niedostatek czuć się daje w narzeczu ich pomiędzy wyrazami służącymi do oznaczenia wszelkich oderwanych pojęć.

Dziwi mnie, że dotychczas nie przyszła ochota żadnemu lingwiście do gruntownego wystudjowania tego ze wszech miar ciekawego języka, gdyż bliższe zbadanie jego pierwiastków, budowy i ducha wyświełciłoby mogło ciemny jak dotychczas początek ludów amerykańskich. Tę samą myśl podnosi w dziele swem *) uczony peruwjański, don Mateo Paz Soldan, przytaczając mimochodem podobieństwo keczuańskiego wyrazu „ynti“ (słońce) i sanskryckiego „indh“ (błyszczeć). Jak dotychczas dziewicze to pole leży odłogiem.

Inkasi pisma nie znali i pod tym względem stali daleko niżej od pokrewnych sobie Meksykańczyków, którzy posiadali już pierwowzór heroglifów. Indianie peruwjańscy jako jedyny sposób korespondowania posiadali tak zwane „quipus“, czyli różnobarwne sznureczki, z których wychodziły w formie frendzli cienkie nitki. Sznureczki te powiązane były w liczne węzły, z kąd i nazwa „quipu“ — węzeł—pochodzi. Różne kolory służyły na oznaczenie rozmaitych przedmiotów: i tak barwa biała oznaczała srebro, żółta — złoto; w innych razach barwami oznaczano abstrakcje, posługując się np. kolorem białym na oznaczenie pokoju, a czerwonym — wojny, Główne jednak znaczenie tych węzłów było przy rachunkach arytmetycznych, zwłaszcza przy spisach ludności i przy pobieraniu podatków. Osobna klasa ludzi, zwanych „quipucamayos“ czyli kustoszów quipus'ów zajmowała się ich prowadzeniem i odcyfrowaniem. Wszystkie okręgi posiadały takich urzędników, z których każdy prowadził oddzielny dział statystyczny i gdyjeden sprawdza li liczbę urodzin i śmierci, inni prowadzili statystykę małżeństw, inni znów dochodów państwowych i t. d. Raz w rok przesyłano do stolicy węzełki z całego państwa, dzięki czemu rząd posiadał dokładne statystyczne dane o swoich poddanych i ich dobrobycie. W każdym razie węzły peruwjańskie chociaż nie dorównyujące pismu, ani nawet hieroglifom, jako środek komunikowania się na odległość bez użycia mowy, były ważnym krokiem naprzód dla peruwjańskiego społeczeństwa. Słusznie też go ocenił amerykański historyk Prescott, **) z którego te kilka szczegółów o quipus'ach czerpałem, uważając je za system mnemoniczny Peruwjan. W ten lub ów sposób powiązane węzły różnokolorowych sznurków przypominały uczonym peruwjańskim, zwanym „amantas“ pewne przedmioty i nawet abstrakcje, a ztąd przez prostą asocjację wywoływały w umyśle przypomnienia pewnych faktów. Tym spobem za pomocą węzłów, wspomaganych do pewnego stopnia usną trady-

*) Geografia del Peru. Paris, 1862.

**) Historia de la conquista del Peru. Madrid, 1853.

cją przechowała się w ogólnych zarysach historia wszystkich Inkasów. *)

Obok języka keczua przechowało się inne starożytne narzecze, zwane „aymara“, którem mówiło plemię Indjan Collas, zamieszkujących okolice jeziora Titicacaca (na granicy Peru i Boliwji). Oba te języki według zdania historyka Lorenta mają wspólny początek, lecz keczua rozpowszechnił się więcej dzięki bardziej zaborczym instynktom plemienia Quechna. Aymara jest podobno językiem równie rozwiniętym, jak keczua; posiada deklinacje i konjugacje; jest zwiezły i wyrazisty, lecz wskutek bardzo gardłowych dźwięków — dla ucha nieprzyjemny. Dzisiaj mówią nim Indjanie, zamieszkujący równoleżnik portu Arica, zatem okolice miast Tacna, Torata, Condorave, Chucuito, la Paz etc. etc.

Z najściem Hiszpanów wszelkie narzecza miejscowe musiały szybko ustępować przed piękną mową Cervantes'a, chociaż niema śladów, aby w tym razie wywierano jakkolwiekbydź nacisk na tubylców. Ciągłe stosunki z przybyszami, niezbędne porozumiewanie się w sprawach urzędowych samo przez się skłaniały Indjan do uczenia się języka hiszpańskiego. Kasteljanizacja postępowała tak szybko, że dzisiaj, w niespełna cztery wieki po zawojowaniu Peru, język keczua zaginął zupełnie na całym Pomorzu peruwjańskim, oraz w wielu okolicach Sierry sąsiadujących z przymorskim pasem. I tak w północnym Peru, w departamencie Cajamarca, zatem na wschód aż po dolinę Maranonu, prawie cała ludność indyjska, silnie zresztą przemieszana z białą, używa przeważnie języka hiszpańskiego. Bardziej na wschód, w departamentach Amazonas i Loreto keczua przechował się jeszcze tak dalece, że nawet w wyższych klasach, zwłaszcza między kobietami powszechnie używanym bywa. Mimo to jednak w całym prawie Peru mężczyźni Indjanie znają doskonale język hiszpański, a narzecza keczua używają tylko w rozmowie między sobą. Kobiety indyjskie w bardziej zapadłych prowincjach mówią tylko po keczuańsku.

Język hiszpański używany w Peru nosi na sobie cechy andaluzyjskiego prowincjonalizmu, który głównie polega na polykaniu litery *d* w imiesłowach, kończących się na *ado*. Tak np. Peruwjanin nie mówi *dado*, tylko *dao*, zamiast *cercado* — *cercao* i t. p. Prowincjonalizmu tego wystrzegają się tylko niektóre osoby wyższego towarzystwa, uważające podobno wymawianie za *mauvais genre*. Lecz zdarza się wtedy nieraz, że w zbytku zapału do podtrzymania dobrego tonu wstawiają literę *d* w tych wyrazach, gdzie ona jest całkiem nie na miejscu. Słyszałem między innymi pewnego arystokratę, który zamiast *cacao* mówił *cacado*,

*) Istnieją pewne ślady, że w epoce poprzedzającej panowanie Inkasów Peru posiadało już bardzo posuniętą naprzód cywilizację i że do owego okresu należy odnieść różne wyobrażenia zwierząt, figur, liści i znaków, jakie spotyka się w okolicach miast Huaraz, Tacna, Arequipa i innych. Znaki te uważane są za heroglify, których użycie zaginęło podczas panowania Inkasów. Patrz: Lorente. *Historia antigua del Peru*. Lima, 1860)

Porównywając samą wymowę hiszpańską w krajach hiszpano-amerykańskich i w dawnej metropolii znajdziemy pewne różnice, po których rozróżnimy z łatwością Amerykanina od rodowitego Hiszpana. Ten ostatni wymawia często literę *s* jak *sz*, a nadto *z* i miękkie *c*, które Amerykanin pod względem dźwięku utożsamia z literą *s*, rodowity Hiszpan wymawia sycząco na podobieństwo angielskiego *th*. Jeżeli mam prawdę powiedzieć, wymowa amerykańska jest dla ucha daleko przyjemniejsza, aniżeli u rodowitych Hiszpanów, podobnie, jak miłszym dla nas jest portugalski język w ustach Brazylijczyków, aniżeli rodowitych Portugalczyków, Południowi Amerykanie wymawiają wprost tak, jak się pisze, bez żadnych specjalnych gimnastyk językowych.

Niepodobna też, aby długoletnie zetknięcie się języka hiszpańskiego z narzeczem keczua nie wywarło wzajemnego wpływu. Widzieliśmy już, że język indyjski przyjął wszystkie te wyrazy z hiszpańskiego, których sam nie posiadał. W mniejszym stopniu ulega wpływowi narzecza keczua język Cervantes'a, mimo to jednak przyjął wiele wyrazów, które nawet obejmuje Dykjonarz Akademji Madryckiej. Do takich należą np. wyrazy *garua* (drobny deszcz), *pampa* (równina), *chagra* lub *chacra* (pole uprawne) i wiele innych. Wewnątrz kraju, gdzie użycie języka indyjskiego jest jeszcze bardzo rozpowszechnione, zakażenie hiszpańskiego wyrazami keczua odbywa się na każdym kroku, a dopuszczają się go nawet ludzie z lepszego towarzystwa. Ostatecznym zaś wynikiem zetknięcia się obu narzeczy będzie zupełna zagłada keczuańskiego, oraz liczne naleciałości zeń w języku hiszpańskim Inkazji, jako jedyna pamiątka dawnego języka władców kuskeńskich.

ROZDZIAŁ III.

Otoczenie mieszkańca Sierry. — Niektóre obyczaje.

Rzućmy teraz okiem na miasta serrańskie, które możnaby podzielić na stolice departamentów, czyli większe miasta, jak Tarma, Cajamarca, Chachapoyas, Moyobamba i inne; na stolice prowincji, czyli małe miasta i wreszcie miasteczka lub jak je obecnie u nas nazywają, osady, gdzie zwykle znajdują siedzisko władze dystryktu.

Miasta serrańskie miły dla oka przedstawiają widok. Położone zwykle na równinach, jakie się wśród gór tu i owdzie spotyka, otoczone są ze wszech stron wysokimi górami, wśród których nierzadko śnieżne szczyty widzieć można. Nęcą oko wędrowca bielonymi domkami o dachach krytych dachówką, otoczone ramami zieleni, jakie tworzą kępy drzew, sady i żywopłoty. Kamieniste drogi, wysadzone z obu stron szpalerami tęży (*Agave*) schodzą się ku nim jak ku jednemu środkowi. U stóp miasta płynnie bystry kryształowy strumień, z którego niekryte kanały, a raczej rowy, prowadzą wodę na potrzeby mieszkańców.

Miasto jest zwykle podzielone prostymi ulicami na równe dzielnice (*cuadras*), chyba że zbyt nierówność gruntu wywołuje potrzebę krętych uliczek; wypadek to jednak rzadki, gdyż większość siedzib ludzkich Peru dzięki nowszemu pochodzeniu umieszcza się na równinach. Ulice są zwykle dość wąskie, gdyż komunikacji kołowej brak zupełny w górach, a dla mułów wystarcza kilkometrowa szerokość. Pośrodku miasta znajduje się spory czworokątny plac zwany nieodwołalnie „Plaza de Armas” czyli Plac Broni. Tu zwykle znajduje się kościół (w miastach departamentalnych, będących w pewnych razach stolicami diecezji — katedra), a obok urzędy: departamentalny, prowincjonalny, dom magistratu (la *municipalidad*), urząd żandarmerji i domy wraz ze sklepami miejskich notablów. W większych miastach po środku placu znajduje się wodotrysk (la *pila*), ugarniowany zwykle kolekcją bab i dziewcząt, czerpiących wodę.

Z placu rozchodzą się główne ulice, między którymi jedna niezbędnie musi się nazywać *Calle del Comercio* (Ulica Handlowa), druga — *Calle de la Union* (ulica Jedności), a trzecia — *Calle de*

la Constitucion, gdyż pod względem nadawania nazw ulicom demokratyczni peruwjanie chorują na równy brak fantazji, jak starożytni Grecy w swych ornamentacjach architektonicznych. Plac i pierwszorzędne ulice są zwykle wybrukowane okrągłym rzeczonym kamieniem, wśród którego porasta bujna zielona trawka, stanowiąca smaczny kąsek dla zgłodniałych koni, mułów i osłów, nadciągających w dni niedzielne z warzywami, nabiałem i t. d. rodkiem ulicy płynie zwykle kanał, prowadzący wodę przez miasto (acequia); ten jednak, który zasila wodotrysk, umieszczony na placu, jest zwykle kryty, aby zabezpieczyć wodę od zanieczyszczenia różnymi brudami. Boczne ulice po większej części bruku nie posiadają.

Miasta peruwjańskie są bardzo rozległe w stosunku do liczby mieszkańców, gdyż przy każdym domu znajdują się obszerne podwórka (patios i corrales), a często ogrody warzywne. Na ulicach bardziej odległych od głównego placu więcej spotykamy glinianych parkanów, aniżeli domów. Tym sposobem miasto wydaje się większem, aniżeli jest w rzeczywistości, zwłaszcza, że domy są zajmowane przez jedną rodzinę. Ze względów higienicznych ta rozciągłość miast jest bardzo chwalebna, szczególnie, gdy zwrócimy uwagę na brak wszelkiej kanalizacji i kompletne zaniedbanie asenizacji miast, co przy większem zacieśnieniu mogłoby spowodować fatalne skutki dla zdrowia mieszkańców.

Domy na placu są zwykle jednopiętrowe z szeregiem sklepów od dołu, a długim gankiem na pierwszym piętrze. Balkon ten przykrywa od góry okap dachu, podtrzymywany drewnianymi słupami. Nad sklepami szyldy opiewają tylko nazwisko kupca; nie masz tam tej mozaiki różnokolorowych znaków, na których mazur trzyma głowę cukru, lew — wspina się na bryłę mydła, a niedźwiedź zagląda do ula. Pod tym względem Hiszpanie, oraz ich amerykańscy potomkowie wyżej stoją od nas, uważając podobną mazażnię za rzecz zbyteczną i dowód złego smaku. Jedynym szyldem, jaki mi się zdarzało zauważyć, był koń z wytryskującą krwią z szyi; oznacza on mieszkanie konowała, który zarazem jest prawie zawsze kowalem.

Innym dowodem dobrego smaku Peruwjan jest unikanie tej różnobarwnej paćkaniny domów, która charakteryzuje nie tylko nasze miasta prowincjonalne, lecz nawet samą Warszawę, czyniąc ją podobniejszą do miasta azjatyckiego, aniżeli do stolicy europejskiej. Obrzydliwej tej żydowszczyzny nie spotykamy w miastach lub miasteczkach peruwjańskich: domy są wszystkie białe i bardzo im z tem do twarzy. Te zaś, których nie pobielono, pozostają szarymi, tworząc harmonijną całość wśród krajobrazu.

Domy serrańskie budowane są sposobem stanowiącym specjalność miejscową; nie są one ani drewniane ani z cegieł, ani z kamienia; niepodobna ich też nazwać lepiankami. Sposób ten zasługuje na bliższą uwagę, gdyż starożytne budowle w okolicach Limy dowodzą, że według niego budowano już domy w czasach przedpodbojowych. Głina miesza się ze słomą lub częściej z suchą trawą kordyljerską (*Stipa ichu*), a niekiedy z grubym żwirem

i ulepia się w odpowiednich formach w duże tafle, zwane „adobes”, a mierzące około $\frac{1}{2}$ metra długości, 0,40 m. szer. i 0,15 m. grubości, które następnie suszy się na słońcu. Takie tafle układa się bez żadnego cementu jedna na drugą, tworząc mury grube i utrzymujące się jedynie własnym ciężarem. Oczywiście jest rzeczą, że podobnego rodzaju budowle łatwoby mogły uleść rozmywaniu przez wodę deszczową, wskutek czego niezbędne jest, aby okap dachu znacznie wystawał na zewnątrz, chroniąc ściany od skośnie padających kropli deszczu.

W sąsiednim Ekwadorze widziałem inny sposób budowania domów, jak się zdaje równie starożytny, jak dopiero co opisany. Dach wznosi się początkowo na słupach podtrzymujących belkowanie i wiązanie i dopiero gdy przykrycie jest gotowe, przywiązuje się do tych słupów deski z obu stron t. j. wewnętrznej i zewnętrznej w sposób, że się tworzy koryto mające szerokość równą grubości słupów; koryta te wypełnia się gliną przemieszaną z kamieniami lub trawą kordyljerską, poczem deski się zdejmują i część gotową muru wysusza. Gdy ta należycie wyschnie, deski przywiązuje się ponad nią i znów wypełnia się gliną, dopóki się murów pod sam dach nie wyprowadzi. Zdaje się, że ten sposób jest trwalszy od poprzednio opisanego, gdyż mur przedstawia jednolitą masę i łatwiejszą jest domieszka choćby większych kamieni. Parkany, odgraniczające podwórza lub corrales (zagrody) sąsiednich posesji, są zwykle budowane z cegieł niepalonych (adobes).

W dawnych czasach Inkasi nie znali wypalania cegły, ani dachówek, a jedynym materiałem jaki używali na strzechy, była trawa kordyljerska w pasie Sierry, a liście palmowe lub dzikiego banana (bijayo krajowców = *Heliconia*) w strefach gorących. Dachówkę wprowadzili dopiero Hiszpanie. Jest to najprostsza forma dachówki: łukowato zgięta płyta, położona luźno jedna na drugiej. Przy tym systemie lada ciężar obsuwa je, powodując dziury w dachu i potrzebę reparacji. Zdarza się bardzo często, że ptaki urubu (gallinazos — *Cathartes*), siadające na dachu, a nawet silny deszcz sprowadza osuwanie się dachówek, które utrzymują się jedynie swoim niewielkim ciężarem. Biedniejsze domy są kryte trawą kordyljerską.

Budowle serrańskie nie mają tak ustalonego typu, jak domy limańskie; powszechną jednak mają osobliwość, a mianowicie brak okien. Zwyczaj ten jest bodaj pozostałością po Indjanach, którzy w budowlach swych posiadali tylko otwory służące do wejścia t. j. drzwi, mało dbając o światło wewnątrz budynku. Zdaje się nawet, że Indjanin światła unika, gdyż zauważyłem w wielu domach drzwi umieszczone w samym rogu, co przy bardzo wystających okapach czyniło wewnątrz izby zupełnie ciemnym. Okna trafiają się tylko w domach najzamożniejszych mieszkańców i to zwykle bez szyb, które sprowadzane z Pomorza na grzbietach mulów dochodzą wewnątrz kraju nadzwyczaj wysokiej ceny.

Drugą cechą domów peruwjańskich jest brak kominów. Kuchnia peruwjańska jest w najwyższym stopniu pierwotna: kilka

kamieni, na których garnki się stawia, dziura w dachu lub poddaszu — ot i cały aparat niewyszukanej kulinarnej sztuki Inkazji. W uboższych chatach, gdzie zwykle jedna izba zajmuje cały budynek, dym z tłących się główien gryzie oczy i kszusi piersi; mieszkańcy wszelako tak przywykli do tego, że gdy obcy lży dymem wyciśnięte obciera, oni znajdują się jakby w swoim żywiole.

W zamożniejszych budynkach miejskich po za frontową częścią domu rozciąga się podwórze (patio) otoczone bocznymi i tylną oficynami, a dopiero po za tą ostatnią mieści się t. z. „corral“ (dosłownie zagroda) — zwykle dość obszerny i prosty plac z kilku słupami do przywiązywania koni i mułów, gdyż kryte stajnie są prawie zupełnie w Peru nieznanne. „Corral“ służy jednocześnie za skład różnych starych rupieci, za śmietnik, oraz na inne jeszcze cele drażliwszej natury. Koniom lub mułom porzuca się wiązkę lucerny, gnoju się nigdy nie uprzęta, wskutek czego poziom corralu ciągle się podnosi.

Wewnętrzne urządzenie domów serrańskich jest jaknajprostsze. Wejdziemy do salonu którego z notablów. Rzędy krzeseł stoją wzdłuż ścian jedne przy drugich, w jednym końcu stół nieco wytworniejszy, kanapa, dwa lub trzy fotele na biegunach, niekiedy na ścianach kilka obrazów jakiego prowincjonalnego artysty, lub stare sztychy zagraniczne stanowią niewyszukane umeblowanie serrańskiej bawialni. Często ujrzymy w rogu salonu na małym stoliczku oszkloną szafkę, a wewnątrz figurę Dzieciątka Jezus lub Najświętszej Panny, ubraną sztucznymi kwiatami, świecidlami i t. p. Peruwjanin szafkę taką, czy ołtarzyk przystraja z niewyszukanym gustem nieokrzesanego człowieka; znajdziemy tam wewnątrz figurki porcelanowe, a często lalki lub wyobrażenia zwierząt, jakimi się u nas dzieci zwykły bawić. „Każdy chwali Pana Boga, jak umie.“ W tej prostocie i naiwności tchnie nawet jakaś poezja.

W niektórych domach serrańskich spotkamy nawet fortepian, choć mebel to nadzwyczaj rzadki, gdyż sprowadzenie jego przy braku w górach kołowej komunikacji pociąga za sobą ogromne wydatki. Są to zwykle niewielkie fisharmonje w rodzaju tych, jakie kilkakrotnie u nas produkowali po ulicach włosi: grać na nich można palcami, lub przy pomocy korby. Nie potrzebuję dodawać, że sztuki, w jakie są zaopatrzone te instrumenty, należą do miejscowego repertuaru; są to zwykle tańce peruwjańskie, jak chilena” lub smętne pieśni indyjskie, zwane „yaravies.“ Prawdziwych fortepianów a raczej pianin, które się prawie wyłącznie na Pomorzu spotyka, w serrańskich miastach nie widziałem. Jelski mówił mi wszelako, że w departamentalnym mieście Jauja widział fortepjan w domu jednego z najbogatszych mieszkańców, który z ogromnym kosztem, używając do tego kilkudziesięciu ludzi, sprowadził go z Limy, na co trzeba było miesiąca czasu. Chciał tem zrobić przyjemność ukochanej swej córce, a ponieważ miał środki, nie cofnął się przed znacznym wydatkiem.

Obok salonu mieści się zwykle pokój jadalny, zawierający stół i rzędy krzeseł. Równa prostota w sypialniach: wielkie pra-

wdziwie małżeńskie łoże, podtrzymujące na sobie drewniane ramy, do którego przymocowana jest perkalikowa zasłona. Wielkim zbytkiem u serranów są kołdry lub kapy na łóżka, wyrabiane zwykle przez miejscowe kobiety z arystokracji. Tego rodzaju przykrywa-
deł niema w handlu, gdyż taka się je wyłącznie na prezenty. Widziałem u pewnego księdza podobną kołdrę, którą według czasu i pracy zużytej na jej robotę, ceniono na setki dolarów. Zresztą czystość tu wzorowa, przynajmniej dla oka, gdyż zwykle noclegi przekonywają nas dotykalnie o użyteczności proszku perskiego.

Poza miastem rozciągają się tak zwane „quintas,” coś pośredniego między folwarkiem, a willą. Jest to kawał pola uprawnego, gdzie widzieć możemy kukurydzę, kartofle, lucernę, rozmaite warzywa, a obok wiejski domek. Każdy zamożniejszy obywatel miejski posiada „quintę,” gdzie utrzymuje swe konie, muły, lub barany przeznaczone na rzeź. W miesiącach kwietniu i maju, gdy nadchodzi czas młodej kukurydzy, uważanej w Inkazji za wielki przysmak, urządza się rodzaj majówek do tych podmiejskich siedzib, z którymi zresztą utrzymuje się codzienna komunikacja.

Obok folwarczków, należących do bogatszych obywateli miejskich, rozciągają się pola biednej, rolniczej ludności, utworzonej, jak to widzieliśmy powyżej, z Indian, lub czolów. Przy drodze wznosi się niewielka chata, kryta kordyljerską trawą o ścianach pobielanych lub naturalnej ziemistej barwy; oprócz niej innych zabudowań niema, gdyż Peruwjania dzięki łagodnemu klimatowi nie potrzebuje ani obór, ani chlewków, ani owczarni, a za spichlerz służy mu doskonale poddasze jego mieszkalnego domu; gdy zaś tam miejsca zabraknie, zbytęczne ziarno sprzeda, lub zsypie na kupę w kącie izby. Zresztą zbiera niewiele więcej jak to, co na jego własne potrzeby jest niezbędnem.

Rolnictwo serrańskie jest w najwyższym stopniu proste, o czym świadczy niewielka liczba narzędzi, używanych do uprawy ziemi. Socha służy do pojedynczego zorania ziemi; drag żelazny, do robienia dziur przy sadzeniu niektórych roślin; motyka, a częściej koszlawy kół do kopania, a rodzaj krzywego i bardzo szerokiego noża (machete) do wycinania złego zielska. O nawożeniu nigdy nie słyszałem, choć niekiedy na podmiejskich folwarczkach właściciele przed siejbą utrzymują na polach zagrodzonych swe konie i barany, aby nawozem grunt użyźniały. Zresztą urodzajne te ziemie nie potrzebują jeszcze sztucznej uprawy, a jedyną komplikacją w pierwotnym rolnictwie Peruwjan jest pewien porządek w sianiu roślin na jednym i tem samym polu. Zresztą mieszkańiec Kordyljerów nie przeoruje gleby, nie bronuje, lecz wprost kołem robi dziury w ziemi, sypie w nią po parę ziarn nasienia i czeka cierpliwie zbioru, który rzadko kiedy zawodzi. Sieje zwykle z początkiem pory dżdżystej, zatem we wrześniu lub październiku, nie obawia się więc posuchy, gdyż te podczas miesięcy zimowych nigdy długo nie trwają. Posiada jednak nieprzyjaciela, który niekiedy dojrzewające rośliny przed samym zbiorem niszczy: są to przymrozki, nawiedzające często wyżyny andyjskie pod-

czas jasnych bezchmurnych nocy. Lecz i te nawet są tak miejscowej natury, że zdarza się nieraz widzieć część niewielkiego pola zniszczoną przez przymrozek, gdy pozostały obszar plantacji nie ucierpiał od zimna. Rolnicy twierdzą, że położone na skłonach gór więcej są zabezpieczone od przymrozków, aniżeli na równinach; słyszałem też od nich, że sąsiedztwo lasów, stanowi wielką gwarancję od tej plagi, zwłaszcza jeżeli pole jest ze wszech stron lasem otoczone.

Istnieją też rośliny, które należy zabezpieczać od długotrwałych letnich posuch przy pomocy sztucznego nawodnienia; do tych należą rośliny posiadające długi okres dojrzewania, jak niektóre odmiany kukurydzy, oraz lucerna, dająca pokosy rok cały. Wdzieliśmy już poprzednio, jak wielkimi mistrzami są Indianie kordyljerscy w sztuce nawadniania; kanały irygacyjne przeprowadzone są nieraz z bardzo daleka, a wykucie ich w twardej opoce skalistej wymagało prawdziwie tytanicznej pracy, biorąc w rachubę skromne środki, jakimi zwykle rozporządzają peruwjańscy serrani. Często kanał taki, przeprowadzony wspólnymi siłami, obsługuje pole należące do różnych właścicieli, a wówczas prawo ustanawia pewien porządek w swobodzie używania wody; nie mniej jednak jest to w wielu wypadkach ważny powód do niezgód i procesów pomiędzy sąsiadami. Zdarza się też bardzo często, że gdy kanał prowadzący wodę do jakiego miasta, obsługuje zarazem pola leżące powyżej, to wówczas miasto cierpi na chroniczny brak wody i dopiero osobiste wyprawy gubernatora, lub innego przedstawiciela władzy wyprowadzają mieszkańców z kłopotu. Na podobny brak wody uskarżało się często znane nam już miasto Chota. Chciałbym wiedzieć, coby zrobiono w razie pożaru?

Zresztą rolnictwo serrańskie znajduje się w jaknajlepszych przyrodzonych warunkach. Ziemia jest bajecznie urodzajna, wydając plon obfity przy nie znacznym stosunkowo nakładzie pracy. Pory roku t. j. sucha, zwana powszechnie latem, oraz dżdżysta—czyli zima¹⁾, są zwykle doskonale określone, w skutek czego nie ma fatalnych dla rolnika niespodzianek. Deszcze wprawdzie są niekiedy zbyt obfite, a posuchy zbyt długie, lecz na to każdy jest przygotowany. Nadto różnaitość warunków klimatycznych w Kordyljerach jest tak wielka że gdy nieurodzaj nawiedzi jaką okolicę, to w bezpośrednim sąsiedztwie, o wiorst kilka zaledwie plon może być obfitszym aniżeli lat poprzednich. Nawet owady szkodliwe dla rolnictwa rozwijają się zwykle na bardzo niewielkich przestrze-

¹⁾ Pora sucha, zwana w Peru latem (verano), a wypadająca w pastę serrańskim w miesiącach czerwcu, lipcu, sierpniu i wrześniu, nie odpowiada bynajmniej astronomicznemu latu, które na półkuli południowej jest równoczesnem z naszą zimą. Powszechnie jednak w Inkazji pogodny czas zwie się „verano” choćby tylko dni kilka się ciągnął. Miejscowi używają nawet słowa nieosobistego „veranea”, co znaczy „jest piękna pogoda”. Pora dżdżysta zwie się tam zimą (invierno), a uwagi zrobione przed chwilą i tu się dadzą zastosować.

niach. Tym sposobem straszne widmo głodu jest nieznanem w Inkazji.

Rolnictwo jeszcze przed najściem Hiszpanów stało w Peru na wysokim stopniu rozwoju. Świadczą o tem dostatecznie liczne kanały nawodniające, z których mnóstwo zarzucono pod panowaniem Europejczyków; świadczą też liczne rośliny uprawne właściwe urodzajnej krainie Inkazji. W dawnych czasach władca peruwjański co roku zaorywał osobiście pierwszy zagon, używając do tego złotego pługa, aby się od plebsu wyróżnić; świadczyło to jednak, że rolnictwo stawiano na pierwszym planie, skoro się go nie wstydził pan tak samowładny, jak Inka. Sama lista roślin endemicznych daje doskonałe świadectwo o stanie kultury w Peru przedpodbojowem. Rzućmy na nią okiem, trzymając się jedynie roślin uprawnych w pasie serrańskim.

Kukurydza, zwana przez krajoznawców „sara“ (*Zea mais*), „quinua“ (*Chenopodium quinoa*), kartofel („papa“ krajowców — *Solanum tuberosum*), „camote“ lub słodki patat, „arracacha“ lub „zanaoria“ (*Arracacha esculenta*), „oca“ (*Oxalis tuberosa*), „melloco“ (*Ollucus tuberosus*), wiśnia peruwjańska (*Cerasus capuli*), „tuna“ (*Opuntia*), kilka gatunków tęży (*Agave*), dających doskonałe włókna na postronki, wreszcie fasola (*Phaseolus americanus*), która niewątpliwie znana była Inkasom przed najściem Hiszpanów i mnóstwo innych mniej rozpowszechnionych roślin, gdyż wybrałem tylko te, które się wszędzie tu spotykają.

Do tej listy zdobywcy dodali jeszcze mnóstwo roślin europejskich, jak pszenicę, jęczmień, groch, pomidor, anyż, jabłoń, gruszę, brzoskwinię, oraz bardzo rozpowszechnioną dzisiaj kapustę i kalafjor. Rzecz dziwna, że ani żyta, ani gryki, ani prosa, ani marchwi, ani tylu innych użytecznych roślin Starego Łądu nie spotkałem w Inkazji. Marchew i rzodkiew trafia się niekiedy, lecz uprawiane w tak małych ilościach, że nawet na wzmiankę nie zasługują.

Gdyby mnie zapytano, która z roślin uprawianych w Inkazji jest najbardziej rozpowszechnioną, która stanowi podstawę życia peruwjańskiego mieszkańca, bez zawahania się odpowiem, że kukurydza. W sąsiednim Ekwadorze użyteczna ta roślina straciła wiele na swem znaczeniu od chwili wprowadzenia jęczmienia, który w życiu biedniejszej ludności odgrywa pierwszorzędną rolę. W Peru jednak staroławodowy jęczmień nie rozpowszechnił się tak dalece a chociaż uprawianym jest na całej rozciągłości rzeczypospolitej, służy przeważnie na karm dla koni, trzody chlewnej lub kur. Tylko w południowych departamentach biedniejsza ludność indyjska używa go za pokarm w formie lemieszki z prażonego ziarna. W północnej części Peru jęczmień nie wyrugował jeszcze ojczyściej kukurydzy, która pod najrozmaitszymi postaciami jadaną bywa, służąc jednocześnie do fabrykacji narodowego piwa peruwjańskiego (chicha), oraz do tuczenia trzody chlewnej i za ziarno dla drobiu.

Kukurydza pod każdym względem jest nieocenioną rośliną, W Inkazji znosi wszelkie klimaty, poczynając od najgorętszych stref podrównikowego pasa, aż do granicy kultury, czyli do 10000 nad poz. morza; pod względem jednak szlachetności ziarna, kukurydza serrańska, uprawiana w granicach 7000' do 9000' nad poziomem morza jest bezwarunkowo najlepsza, co dowodzi, że to jest właśnie jej strefa ojczysta, z kąd następnie rozpowszechniona została w niższych, gorętszych okolicach. Kukurydza nizinowa posiada zawsze ziarno drobne i nadzwyczaj twarde, w skutek czego używaną bywa przeważnie na karm dla zwierząt domowych; do kuchni zaś służyć może albo w stanie niedojrzałym, jako „choclo“ lub „choglo“ Peruwjan; lub też zmielona na mąkę i podana w formie placuszków i pierożków (tamales).

Sierra posiada nieskończoną moc odmian kukurydzy. Nie mówiąc już o rasach klimatycznych, które różnią się zasadniczo między sobą okresem dojrzewania, każda niemal dolina posiada właściwe sobie odmiany tej użytecznej rośliny. Ziarno bywa żółte, białe, czerwone, różowe lub fioletowe. Sam kształt jego różni się do nieskończoności: bywa ziarno okrągłe, graniaste, zakończone rodzajem kolców; jedno o powierzchni gładkiej, inne kostropate, jakby pomarszczone. Są ziarna wielkości zaledwie grochu okrągłego, gdy inne równają się niemal ziarnom bobu. Słowem różnaitość tu tak wielka, że gdyby jaki botanik chciał napisać monografię kukurydzy, toby musiał wiele lat studjom poświęcić, a następnie grubym tom opracować, aby wszystkie rasy pomieścić.

Różnicom zewnętrznym odpowiadają też ważne różnice w wewnętrznej budowie i własnościach samego ziarna. Widzieliśmy dopiero co, że ziarno pochodzące ze stref gorących nie zdatne jest do gotowania lub prażenia. Peruwjanin zastępuje często chleb ziarnem kukurydzy, którą podaje na stół odgotowaną tylko; (zwie się taki preparat „mote“ i w Serraniach¹⁾ peruwjańskich używanym bywa nawet w dostatnich domach. Służy do tego osobna odmiana kukurydzy o ziarnie dużem, koloru białego. W podobny sposób używany bywa inny preparat kulinarny, zwany „cancha“; jest to kukurydza prażona wprost na patelni, czasami z domieszką wieprzowego szmalcu. „Cancha“ przyrządza się ze specjalnej odmiany, posiadającej ziarno małe, pomarszczone i napół przezroczyste. Po uprażeniu wypełnia się ono i rozpękuje nawet, a wówczas jest tak miękkie, że się rozplywa w ustach. Inne gatunki kukurydzy użyte w podobnej formie są zawsze twarde i nieprzyjemne do gryzienia.

Peruwjanie spożywają kukurydżę pod najrozmaitszymi postaciami. Poznaliśmy już, co to jest „mote“ i „cancha“, dwie najpopularniejsze formy, pod jakimi tubylcy spożywają to doskonale ziarno. Z mielonej kukurydzy serrano robi rodzaj pierożków, nadziewanych serem lub mięsem wieprzowem; są to tak zwane „tamales“.

¹⁾ Serrania oznaczają prawie to samo co Sierra.

Kukurydza na ten cel użyta, preparuje się w niezwykły sposób, będący jak się zdaje dawną pozostałością po Inkasach, a mianowicie, że się ziarno surowe wygotowuje w ługu i następnie obiera z twardej i nieprzyjemnej łuski. Zwie się tak przyrządzona kukurydza „mais pelado“ (kukurydza wyluskięta). Następnie ziarno się suszy i w tym stanie przechowuje, a posiada tę wyższość nad surową kukurydzą, że go się nie czepia miejscowy szkodnik z rodziny wołków (*Curculionidae*)¹⁾. Gdy następnie zachodzi potrzeba, ziarno się miele na domowych żarnach²⁾ i przyrządza w formie placuszków, czy pierożków.

Młoda kukurydza, znana powszechnie pod indyjską nazwą „choclo“, uważane jest za przysmak w całej Inkazji; należy ona do najpożądanych nowalij tamtejszych krajów. „Tiempo de choclos“, czyli czeklowy sezon, jest tam równie upragniony, jak dla nas pierwsze pojawienie się młodych kartofli lub szparagów, a nawet krajowcy urządzają wyprawy na czokle do sąsiednich dolin gorących, gdzie sezon ten wcześniej o miesiąc, a nawet o dwa — wypada, dzięki krótszemu okresowi dojrzewania kukurydzy w strefach gorących. Młoda kukurydza je się pod postacią „mote“ lub pierożków, które wtedy przybierają nazwę „umitas“, „umintas“ lub „chogllotandas“. Peruwjanie mieszają nadto młode ziarno do wszelkiego rodzaju zup, do fasoli etc. etc. Nadmienić też muszę, że młoda kukurydza serrańska jest w samej rzeczy doskonałego smaku, przewyższając o wiele naszą, a nawet pomorską.

Jednym z najważniejszych, a raczej z najpowszechniejszych użytków, na jakie służy kukurydza jest niewątpliwie fabrykacja krajowego piwa, zwanego przez krajowców „chicha“. Czem jest wino dla Francuza, piwo dla Niemca, a koniak — dla Anglika, tem jest chicha dla Peruwjanina. Prastary to napój mieszkańców Inkazji, gdyż go znano jeszcze przed najściem Pizarry. Prawie wszystkie groby peruwjańskie zawierają naczynia z tym napojem, albowiem starożytni Inkasi uzmysławiając życie pozagrobowe, starali się zaopatrzyć nieboszczyków w różnego rodzaju przysmaki. Dziś użycie wódki zmniejszyło w znacznym stopniu konsumcję chichy; niemniej jednak bezspornie można powiedzieć, że jest to napój najbardziej w Inkazji rozpowszechniony.

Sposób przyrządzania czyczy (gdyż tak się mniej więcej wymawia) jest nader prosty. Ziarnu pozwala się kiełkować³⁾, a następnie grubo się go miele, gotuje z domieszką cukru brunatnego i poddaje fermentacji. Powstały ztąd napój jest niemal barwy ka-

¹⁾ W podobny sposób przyrządzają też Peruwjanie i ziarno pszeniczne które się zwie wtedy „trigo pelado“.

²⁾ Żarna takie, a właściwie moździerz (batan) jest to wielki płaski kamień, na którym tłucze się ziarno przy pomocy drugiego kamienia, mającego kształt półksiężyca. W Peru i wogóle w całej Inkazji podobne moździerze są rozpowszechnione nawet pomiędzy zamożniejszą ludnością. Mieszczą się zwykle na zewnątrz domu i służą do mielenia wszelkiego ziarna w mniejszych ilościach.

³⁾ Tak kiełkujące ziarno zwie się „jora“.

wy z gęstą śmietanką, mętny, w smaku nieco ostry, lub słodki — stosownie do stopnia fermentacji, wogóle jednak przyjemny i bardzo orzeźwiający. Na Pomorzu miejscowe mulatki posiadają sekret klarowania chichy, która jest zupełnie przejrzysta, barwy malagi, lub piwa i zwie się wtedy „claro“. W pewnych razach częściej zakopuje się w glinianych naczyniach do ziemi, gdzie się ją trzyma po kilka miesięcy. Wówczas kilka szklanek takiego napoju wystarcza do spojenia dorosłego człowieka. Wogóle nektar ten posiada też same własności, co i piwo, lecz wymaga daleko silniejszych organów trawienia, zwłaszcza, jeżeli nie jest dostatecznie sfermentowanym.

Widzieliśmy więc, że kukurydza służy mieszkańcom Inkazji do licznych użytków, a jednak to jeszcze nie wszystkie. Liść i łodyga tej szlachetnej rośliny stanowią wcale niezłą paszę dla koni i mułów, świnki morskie bardzo je też lubią. Ze świeżych łodyg niedojrzałej kukurydzy biedniejsi mieszkańcy wyciskają słodkawy sok, który podfermentowany zastępuje im do pewnego stopnia „guarapo“ z trzciny cukrowej. Wysuszona środkowa część kaczana (la tusa) jest dobrem paliwem, a suche liście, okrywające ziarno, zastępują krajowcom bibułkę do owijania tytoniu. Słowem kukurydza dla Perowjan jest nieocenioną rośliną, ważną jeszcze i tem, że wszelkie klimaty tamtejszych krajów znosi doskonale. Nic też dziwnego, że pod względem obszaru powierzchni zajętej pod jej kulturę zajmuje pierwsze miejsce w dawnych krainach Inkasów.

Obok niej postawić bezpośrednio należy kartofel, który jednak w skutek ograniczonych granic kultury (uprawia się bowiem pomiędzy 7000' i 11000' n. p. m.) nie może być tak rozpowszechnionym, jak kukurydza. Zdarzało mi się widzieć kartofle na 5400' nad powierzchnią morza, lecz są to odmiany pod każdym względem ustępujące rasom serrańskim. Z drugiej strony kartofel posiada na nowym lądzie rywali, którzy go skutecznie zastępują, a mianowicie okę (*Oxalis*), arrakaczę, melloco i patat kartoflany (camote de loco), chociaż żadna z tych roślin nie dorównywa mu pod względem smaku. Do najbardziej upowszechnionych należy arracacha (*Arracacha esculenata*), uprawiana mniej więcej w granicach 5000—9000' nad poz. morza. Duży jej korzeń kształtem przypomina marchew, a w smaku trzyma środek między kartoflem i selem. Uważałem też, że najlepiej udaje się na nowinach t. j. gruntach świeżo z lasu oczyszczonych. Mieszkańcy tak zwanych „temples“ czyli gorętszych części Sierry (między 5000' i 7000') uprawiają ją chętnie jako roślinę bardziej, aniżeli kartofel odpowiadającą klimatowi tych stref. Ze się w Europie nie przyjęła głównie bodaj przypisać należy długiemu okresowi dojrzewania, na który nasze kilkumiesięczne lato nie wystarcza.

Z roślin europejskich do najbardziej rozpowszechnionych należy pszenica, uprawiana w granicach 7000' do 9000' nad poziomem morza. Pomorze sprowadza mąkę pszenną z Chili lub ze Stanów Zjednoczonych, a mianowicie z Kalifornji; Sierra posiada własną pszenicę, której produkcja wystarcza na potrzeby tych

stron. Zwrócić jednak muszę uwagę czytelników, że biedny lub wiejski w rzadkich tylko wypadkach (w dni świąteczne np.) chleb jada, głównie zaś mąka pszenna spożywa się po miastach i miasteczkach, gdzie oprócz chleba wyrabiają z niej różnego rodzaju ciastka, placuszki i t. p. Bułki serrańskie mają kształt dużych okrągłych placuszków, a smakiem wiele się różnią od tak zwanego chleba francuzkiego (pan frances), czyli od naszych zwykłych bułek.

Z drzew owocowych Sierra właściwa niewiele gatunków posiada. Do endemicznych należy wisznia peruwjańska (*Cerasus capuli*), wyrastająca w wielkie i okazałe drzewo, największe bodaj ze wszystkich drzew tego regionu. Owoc ma niewielki, kształtu i barwy naszej zwykłej czeresni lecz różny bardzo w smaku, chociaż nie powiem, aby ten był nieprzyjemnym. Ważną też rolę posiada to drzewo jako budulec, gdyż Sierra w ogóle ubogą jest w ten materiał, skoro nawet łodyga tęży (*Agave*) do budowy używaną bywa, o czem wkrótce wzmiankę zrobię.

Hiszpanie wprowadzili do Inkazji gruszę, jabłoń i brzoskwinie, które spotyka się dość zresztą rzadko w pasie serrańskim w granicach 7000' do 9000' n. p. m. Owoce jednak tych drzew ani pod względem smaku, ani wielkości nie dorównują europejskim odmianom, co głównie przypisać należy, jak się zdaje, brakowi zimy w Kordyljerach. Drzewa europejskie przechodzą kilkomiesięczny letarg, wpływający zapewne dodatnio na dobroć ich owoców; gdy zaś w nowej ojczyźnie rok cały żyć muszą forsonnie pełnem życiem, owoc ich jest mały, twardy i kwaśny.

Aby uzupełnić ten pobieżny szkic uprawnych roślin serrańskiego pasa, wspomnieć muszę o tęży (*Agave*), którą tam na każdym kroku spotkać możemy. Trzy są odmiany, jakie zdarzało się spotkać na terytorjum peruwjańskim, t. j. tęża właściwa, zwana przez krajowców „maguey” (*Agave americana*), dalej „penca” lub „penca de sacar” i wreszcie „penca de podrir”.

„Maguey” służy wszędzie za żywopłoty, do czego nadaje się bardzo dzięki swym olbrzymim liściom, uzbrojonym w silne kolce. Żywopłot taki jest wiecznym, gdyż w miarę jak jedne rośliny przekwitają i schną, inne wyrastają z tego samego korzenia. Oprócz tego „maguey” służy jeszcze na różne inne cele, a między nimi najważniejszym jest użycie długiej na parę sążni łodygi kwiatowej jako materiału budowlanego. Są to tyki nadzwyczaj miękkie i lekkie, posiadają jednak szczególniejszą własność opierania się przez długi czas wpływowi wilgoci. Dla tego też serranie używają ich jako krokwi przy budowie wiązania dachowego. Sztywne i gładkie liście tęży zastępują biednym chłopakom wiejskim papier do pisania: nie jeden sławny adwokat, lub deputowany peruwjański uczył się może pisać na tym nowożytnym papyrusie. Wreszcie nacinając korzeń u nasady liści, otrzymują Indianie słodkawą sok, który poddany fermentacji daje rodzaj „guarapo”—t. j. napoju orzeźwiającego.

„Maguey” rośnie przeważnie między 7000 i 9000 n. p. m. W miejscach nieco gorętszych—w tak zwanych „temples” lub

„templecitos“ (5000 do 7000) zastępuje go inny gatunek tęży zwany „penca de sacar“¹⁾ lub wprost „penca“. Różni się tem od „maguey'u“, że ma liść węższy, wysmuklejszy, barwy trawiastozielonej, gdy u tamtego posiada kolor srebrzysto-popielaty. Równie jak i poprzedni gatunek służy krajowcom za żywopłoty, lecz obok tego daje doskonałe włókna, które w miejscowym przemyśle powroźniczym równie ważną, jak u nas konopie odgrywają rolę. Słów kilka o prostym sposobie dobywania włókien z tęży zając mogą czytelnika.

Ucięty liść kraje się wzdłuż, na paski calowej szerokości i każdy z nich przepuszcza się pomiędzy dwoma kołkami, wbitemi tuż obok siebie, które się ściska lewą ręką u góry, aby pasek jaknajciaśniej pomiędzy nimi przechodził. Tym sposobem oczyszczamy włókna z miąższu liścia, otrzymując mocne nitki, mogące mieć około 2 łokci długości. Włókno takie myje się, suszy, poczem zdaniem już jest do wyrobu lin, lub postronków; pojedyncze zaś służyć może zamiast nici. Postronki tężowe słabsze są od konopnych, lecz wytrzymują znacznie lepiej działanie wilgoci.

Trzecia wreszcie odmiana tęży, tak zwana „penca de podrir“²⁾ kształtem liści i barwą bardzo przypomina tylko co opisaną „penca de sacar“, lecz różni się sposobem dobywania z niej włókien, a mianowicie, że te ostatnie oswobadza się z miąższu liścia nie przy pomocy wyciskania pomiędzy dwoma kołkami, lecz przez gnojenie w wodzie. Odmianę tę widziałem jedynie nad górnym Maranonem na wysokości 1500 w klimacie nadzwyczaj gorącym.

Z kolei przejrzeć nam wypada i zwierzęta domowe, hodowane przez serranów. Ze zwierząt endemicznych bardzo niewiele cytować można. O lamie wspomniałem już poprzednio; zresztą hodowla jej coraz więcej się ogranicza, a w północnym Peru (w departamentach Cajamarca i Amazonas) większość mieszkańców zna ją już tylko ze słyszenia.

Drugim charakterystycznym dla Sierry zwierzęciem jest świnka morska, zwana przez indyjan „Cui“ (*Cavia cobaya*), uważana powszechnie za wielki specyał i chowana po wszystkich domach, zaczynając od najzamożniejszych, a kończąc na ubogiej lepiance Indjanina. Mnożność tych stworzonek, łatwość ich hodowli, oraz doskonałe w samej rzeczy mięso, czynią je najpospoliczszym zwierzęciem domowym Inkazyi. Wszedłszy do chaty peruwjańskiej, gdy oko nasze przywyknie już nieco do panującego wewnątrz półświatła, spostrzeżemy snujące się wzdłuż ścian, lekkliwe stworzonka barwy białej, żółtej, czarnej, lub mieszanej. Śmielsze z nich wysuwają się na środek izby, wietrząc i szukając skrawków jarzyn, ździebeł trawy i różnych odpadków. Jedne z nich posiadają sierć gładką i przylegającą; u innych długie kudły po-

¹⁾ *Sacar* znaczy po hiszpańsku: dostać, dobyć.

²⁾ *Podrir*—gnić, gnoić.

plątane są w zabawne wichry na głowie i bokach ciała. Poruszmy się tylko, a w jednym mgnieniu oka rozprysną się po wszystkich kątach, kryjąc się za sprzętami domowymi, lub pod tapczanem. Chwila jednak spokoju, a znów kryjówki swoje opuszczają, kwicząc cienko (z kąd i nazwa „cui” pochodzi). Nocną porą to ich wabienie się słychać bezustanku. Gdy gospodyni wróci z czakry, przynosząc im pęk lucerny lub liści kukurydzowych, rzucają się skwapliwie na paszę, szybko żując swymi wydętymi pyszczkami.

Sierra jest prawdziwą ich ojczyzną; tu też najobficiej spotkać je można. Rasa serrańska świnek morskich jest bardzo wielka i kudłata, poczem ją łatwo można rozróżnić od pomorskiej. Godną uwagi jest rzecz niestałość liczby palców u nóg tych zwierzątek, widziałem bowiem egzemplarze o 7 palcach u każdej przedniej łapki, gdy inne zaledwie trzy posiadają. Darwin zwraca uwagę na tę właściwość niektórych zwierząt domowych, zdaje się jednak, że ta monstrualność u świnek morskich nie była mu znana.

Mięso świnek morskich przypomina smakiem prosięcinę, jest jednak od niej smaczniejsze i delikatniejsze; dziwi mnie też, że u nas wszyscy bez wyjątku czują wstręt do niego, a świnki morskie hodują nieliczne tylko osoby z amatorstwa jedynie. Zwierzątko to piecze się całkowicie wraz ze skórą, oparzając z sierści jak prosiaka. Żaden festyn peruwjański nie obejdzie się bez tego przysmaku, a dla podróżnych stanowi on główny artykuł tak zwanego „fiambre”, czyli zimnego jedzenia, jakie się zwykle w drogę ze sobą bierze. Średnia cena świnki morskiej w regijonie serrańskim jest „medio” lub 1 real ($\frac{1}{4}$ lub $\frac{1}{2}$ franka).

Rzeczą pewną zdaje się być dzisiaj, że pies istniał w Ameryce Południowej przed najściem Hiszpanów; stwierdzają to niektórzy historycy z czasów podboju i stwierdza też do pewnego stopnia indyjska nazwa „allcu”, jaką tubylcy psu dzisiaj jeszcze dają. Niepodobna też jest obecnie dojść, czy starożytne psy peruwjańskie stanowiły odrębną, dobrze scharakteryzowaną rasę, gdyż dzisiaj tak się przemieszały z różnymi kundlami, przywiezionymi z Europy, że stanowią zbiorowisko indywidualów rozmaitych wielkości, kształtów i barw. Podróżnik Tschudi utrzymuje podobno, że pies peruwjański (*Canis Ingae* jak go nazywa) był prawie zupełnie z sierci obnażony. Widziałem wprawdzie wiele takich gołych psów w Peru, lecz krajowcy powszechnie utrzymują, że pochodzą z Chin i nawet zważ je pospolicie „perros chinos” (psy chińskie).

Takim sposobem lama, alpaka, pies i świnka morska były jedynymi zwierzętami domowymi pierwotnych mieszkańców Inkazji. Zachodzi jeszcze wątpliwość czy tak zwana u nas kaczka indyjska, lub kaczka koralowa (*Cairina moschata*) znaną była starożytnym Peruwjanom, gdyż dziki jej protoplasta przytrafia się dość często we wschodnich częściach rzeczypospolitej; prawdopodobniejszem jest wszelako przypuszczenie, że domestykowaną została w Brazylii, skąd dopiero po najściu Hiszpanów wprowadzoną była do

Peru. Podobny wypadek zająć także musiał i z indykiem, którego kolebka jest południowa część Północnej Ameryki.

Zdobywcy hiszpańscy wprowadzili do swych nowych kolonii wszystkie prawie zwierzęta domowe Starego Łądu, lecz między niemi gęś, kaczka domowa europejska (*Anas boschas*), oraz perliczka są mało znane w Inkazji. Wszystkie inne zwierzęta domowe, jak konie, osły, bydło rogate, trzoda chlewna, kozy, barany i kury rozpowszechniły się tak dalece w Nowym Świecie, że niektóre z nich, jak np. trzoda chlewna i kury spotykają się nawet u dzikich plemion porzeczka Amazonki i jej dopływów.

Bydło rogate serrańskie różni się od rasy pomorskiej nieco więźlejszą budową ciała, mniejszymi rogami, oraz siercią dłuższą i matową, zdradzającą przebywanie w chłodniejszym, górskim klimacie. Przeważająca maść jest czarna lub czerwono-kasztanowata, gdy sztuki białe przeciwnie trafiają się stosunkowo dość rzadko.¹⁾ Zauważyłem też, że maść czerniawa z jasno-szarą smugą wzdłuż krzyżów, podobna jak u bydła rasy Schwiz nie jest tam rzadkością.

Bydło rogate stanowi prawdziwe i niemal jedyne bogactwo serrańskiego regionu. Ogromne stada pasą się na obszernych pastwiskach Puny i Sierry pod dozorem pasterzy, zwykle z Indjan lub metysów rekrutowanych. Byki, a nawet często krowy są złe i na widok człowieka rozjuszony, rzucają się, wskutek czego o wypadki pokaleczenia lub nawet śmierci nietrudno, a podróż w tych regionach przedstawia pewne niebezpieczeństwo. Zwykle nawet tak bywa, że w razie większego jarmarku lub święta, gdy liczne tłumy ściągają z dalekich stron, osobna brygada ludzi, zwanych „rodeadores,” stara się konno utrzymywać złośliwsze sztuki od dróg publicznych. Podczas jarmarku w Cutervo, na który i my w niedługim czasie podążyć mieliśmy, redeadorzy przebiegają nieustannie drogi pomiędzy Cajamarca i Chota oraz San Miguel i Chota, gdyż bydło quilcatańskie słynie ze swej złośliwości i dlatego poszukiwanem jest do walk byków, jakiemi w okolicznych miastach podczas świąt S-to Jańskich lud się zabawia.

Wielkiem ułatwieniem w hodowli bydła rogatego jest w Inkazji równość temperatury w ciągu roku, na co już poprzednio zwróciłem był uwagę. Bydło rok cały pasie się na zielonej paszy, a jedynym kłopotem hodowcy jest obrona stad od takich szkodników, jak kondor lub niedzwiedź kordyljerski, oraz znaczenie bydła raz do roku. W tym celu odbywa się tak nazwany „rodeo” od słowa „rodear” (otoczyć), który polega na spędzaniu bydła do jednej zagrody, gdzie się tegoroczne cielęta znaczy, oraz oddziela sztuki przeznaczone na sprzedaż, które spędza się na wy-

¹⁾ W jednej z poprzednich prac moich (Ostatni rok podróży po Ekwadorze, patrz „Wszechświat.”) zwróciłem był uwagę czytelników na obfitość białych sztuk pomiędzy bydem Pomorza Ekwadorskiego. Krajowcy tamtejsi spostrzegli, że mucha zwana gzem (*Oestrus*) trudniej się czepia sztuk białych, aniżeli czarnych lub kasztanowatych, wskutek czego starają się hodować wyłącznie bydło białe. Tym sposobem po pewnym przeciągu czasu utworzy się rasa bydła białego li tylko pod wpływem wyboru sztucznego.

borowych pastwiskach, aby upasione odstawić następnie na Pomorze.

„Rodeo“ w dużych majątkach należy do przedsięwzięć bardzo kłopotliwych i niebezpiecznych, gdyż bydło nieprzyzwyczajone do widoku człowieka płoszy się, ucieka, a stare byki atakują często rodeadorów, którzy dosiadają zwykle doskonale ujeżdżone konie. Ważnym i niezbędnym pomocnikiem człowieka w tej czynności jest pies, zaprawiony do tego od młodu. Przy jego tylko współudziale możebnem jest zgromadzenie wszystkiego bydła, które kryje się po wąwozach i gąszczach, z kąd go człowiek sam sobie zostawiony nie byłby w stanie ruszyć. Bydło gonione przez psy opuszcza swe kryjówki, a gdy na wolniejsze miejsce się dostanie, zręczni redeadorzy zarzucają mu na rogi laso i prowadzą do zagrody.

Zajmującą jest rzeczą patrzeć na tych ludzi, z jaką zręcznością sprawiają się oni z najdzikszymi bykami. Widziałem nieraz, jak dwu ludzi prowadzi rozjuszoną bestję, jeden idąc przed a drugi za nią. Każdy trzyma koniec lasa zarzuconego na rogi i gdy wściekły byk chce się rzucić na przodem idącego, towarzysz idący z tyłu ściąga tylko mocniej laso, skręca na stronę łeb bydlęciu: tego dosyć, aby mu odeszła na pewien krótki przeciąg czasu ochota do szarżowania.

Niemniej zręczności rozwijają Peruwjanie, gdy chodzi o powalenie bydlęcia już to dla cechowania go, już to dla wyleczenia z jakich pasorzytów. Bydlę stoi przywiązane do drzewa, gdy jeden z rodeadorów zarzuca mu pętlę na tylne nogi i ściąga je w jedną stronę, gdy jednocześnie drugi, chwyciwszy za ogon, ciągnie w przeciwną. W mgnieniu oka bydlę jest powalone, skrupowane, nacechowane i puszczone.

Te operacje odbywają się przeważnie z końcem pory dżdżystej, gdyż skoro tylko posuchy się zaczynają i rozmokłe przedtem drogi obeschną, kupcy serrańscy i właściciele bydła ciągną zwykle na Pomorze, aby je tam korzystnie sprzedać. Najem parobków do konwojowania bydła przedstawia zwykle wiele trudności, gdyż praca i kłopoty są nieskończone a wynagrodzenie marnie; gdy zaś sztuka jaka w drodze przepadnie, co się zdarza bardzo często przy przejściu przez lasy, wówczas biedny parobek odpowiedzialny jest za stratę, a suma 20 lub 30 piastrów, jakie zwrócić musi, jest zbyt wielka, aby mógł się kiedy z długu wygrzebać; zwykle też zostaje „concertado“, czyli niewolnikiem swego wierzyciela.

W niektórych okolicach Peru, jak np. w prowincji Jaen, mieszkańcy używają niekiedy wołów i byków jako bydła jucznych, mniejsze ładunki przywiązują pomiędzy rogami; większe zaś na grzbiecie z odpowiednią poduszką zwaną „aparejo.“ Bydło rogate jakkolwiek w marszu powolniejsze od koni lub mułów, ma jednak nad nimi tę przewagę, że na ślizkich, gliniastych drożynach górskich pewniejszym krokiem idzie, w czym mu dopomaga rozdwojona racica nóg. Woły też juczne bardzo są cenione tam, gdzie

idzie o przewiezienie ładunku kruchego, jak szkło np., które przy upadku bydłęcia mogłoby się potłuc.

W każdym razie woły i ub byki juczne należą do wyjątków, a pierwszeństwo w tym względzie trzymają zawsze konie i muły, zwłaszcza zaś te ostatnie. Zwierzęta te stanowią nieoceniony nabytek dla wyżyn kordyljerskich, gdzie wśród nierówności wąwozów, urwisk i lichych ścieżyn one tylko jedne są w stanie ciężary przenosić: gdyby ich nie było, musiałby człowiek na swych plecach pakunki dźwigać, jak to się zdarza dziś jeszcze we wschodniej części Peru, gdzie niepospolita urwistość terenu wyklucza wszelką możliwość konnej komunikacji.

To też konia i muła spotkamy wszędzie w regionie serrańskim; osioł już jest większą rzadkością, gdyż dla niego klimat gorący a suchy jest stokroć odpowiedniejszy. Osiołki serrańskie są małe, niepozorne, kudłate podobne do naszych kłapouchów. Hodują je przeważnie biedni Indjanie, zachęceni łatwością wyżywienia tych poczciwych stworzeń. Gdyż osioł w braku odpowiedniej paszy będzie jadł suche badyle lub chrust, a nawet brudne szmaty i stare kapelusze panamskie, jakie na śmietniskach znajduje; sam o tem *de visu* się przekonałem.

Między końmi serrańskimi należy odróżnić dwie rasy, to jest koni rzeczywiście rasowych (caballos de raza, lub caballos finos), czyli inochodów, i koni ordynarnych, odpowiadających naszym chłopskim konikom (caballos ordinarios, lub caballos churos). Pierwsze z nich przeważnie pochodzą z Pomorza, lub przynajmniej od koni sprowadzonych z Pomorza, gdzie rasa pięknych koni andaluzyjskich w bardzo dobrych warunkach się hoduje. W samej rzeczy suchość i gorącość klimatu pomorskiego przypomina podobne warunki w Arabji, a przeciw konie andaluzyjskie od arabów czystej krwi pochodzą. Bardziej chłodny i wilgotniejszy klimat Sierry przyczynia się bardziej do zwyrodnienia tej pięknej rasy koni i dlatego tamtejsi hodowcy chcąc podtrzymać jako tako swe stadniny zmuszeni są nieustannie ogiery sprowadzać z Pomorza, gdzie najslawniejsze są konie z okolic Santa, rosłe, grubokarczyste, z długimi ogonami i grzywami.

Właściwą zaś rasą serrańską są konie chłopskie, które w rzeczy samej wyrodziły się w tak wybitną odmianę, że ją na pierwszy rzut oka odróżnić można. Głowę mają bardzo małą, także uszki stojące, nogę suchą i wysmukłą, kopyto małeńkie stojące. Obok tych jednak zalet budowy ciała spotykamy i wady kapitalne, a mianowicie pierś bardzo wąską, zad spadzisty, znamionujący słabe krzyże, nogi zbyt długie, sierć nieładną, najeżoną. Są to w rzeczy samej koniki dość słabe, z trudnością wytrzymujące kilkodniową podróż. Z głównych cech ich charakteru jest niezwykła płochliwość, gdy przeciwnie konie rasowe peruwjańskie odznaczają się łagodnością.

Już z tego, com poprzednio o serrańskich osłach powiedział, łatwo wyrozumieć możemy, że i muły górskie nie należą do najlepszych: jak i ich rodzice są zwykle małe, krnąbre i płochliwe,

a w podróży chociaż wytrzymałe, nie dorównują pomorskim. To też serrani o ile im na to środki pozwalają; starają się sprowadzać muły pomorskie. W pierwszych czasach jest pewien kłopot, zanim się taki muł przyzwyczai do wilgotniejszego klimatu i miesiącami całymi mokrego gruntu,¹⁾ lecz gdy raz włoży się do nowych warunków bytu, służyć może lat kilkanaście, opłacając sownie trudy spowodowane jego debiutem w regionie serrańskim, a który trwa zwykle około roku czasu.

Kozy należą do rzadkości w pasie serrańskim, gdyż im podobnie jak i osłowi więcej odpowiada klimat gorący, a suchy. Za to barany przyjęły się doskonale i rozpowszechniły tak dalece, że nawet wyrugowały w dość krótkim przeciągu czasu, bo w trzy i pół wieku tak charakterystyczne dla Peru przedpodbojowego zwierzę, jak lama, o czym wspomniiałem uprzednio. Baran tak się zaaklimatyzował w serraniach Inkazy, tak jest dzisiaj powszechnym, że robi wrażenie, jakby tam od niepamiętnych czasów przebywał, a Serrano byłby w niemalym kłopotcie, gdyby mu go dzisiaj zabrakło. W samej rzeczy baran, jako stworzenie mięsodajne posiada tę wyższość nad wołami, że jest mniejszy czyli łatwiej podzielny. Gdy bowiem w małych osadach, złożonych z kilku chat potrzeba mięsa świeżego, wół jeden jest zbyt wielkim, aby go w stanie świeżym spożyć; należy się więc uciekać do krajania, solenia, słowem do przyrządzania „charqui,” które nie może być tak zdrowym pokarmem, jak mięso świeże. Tymczasem barana może zjeść jedna rodzina zanim mięso ulegnie zepsuciu. Wskutek tego baranina tak się rozpowszechniła w serrańskim pasie, że dostać jej można zawsze we wszystkich miasteczkach, gdy przeciwnie mięso wołowe trafia się na rynkach tylko w dni świąteczne a i to nie zawsze.

Obok mięsa daje baran wełnę, z której biedny serrano robi całkowite ubranie: koszulę, pantalon, kurtkę, spódnicę, chustę — słowem wszystko, co do przyodziania jest potrzebne z wyjątkiem butów, gdyż tych niezwykły nosić, i kapelusza prawie zawsze słomkowego. Wełna peruwjańska nie jest tak delikatna jak z merynosów, niemniej jednak na grubsze wyroby doskonale służyć może i dziwić się tylko należy, że Peruwjanie tylko na własną potrzebę hodują barany, gdyż przy pewnych wysiłkach w tym kierunku mogliby wyprodukować dziesięć razy tyle, zapewniając sobie ważny artykuł zbytu, mogący stanowić o bogactwie narodem, opartem w tym razie na trwalszych podstawach, aniżeli przemysł górniczy. Olbrzymie przestrzenie jakie zajmuje region punowy, mogłyby całkowicie być zajęte pod hodowlę baranów, którą ułatwia w tym kraju znana nam już łagodność klimatu i brak chorób epidemicznych. Być jednak może, iż który z przyszłych prezydentów, więcej zajęty dobrem kraju, niż interesami osobistymi, zwróci uwa-

¹⁾ Przypominam, że w Peru stajen prawie wcale niema.

gę na tę gałąź przemysłu, która potrzebuje tylko inicjatywy, aby się rozwinąć należycie.

W chwili obecnej produkcja wełny tak jest w Peru ograniczona, że tylko wystarcza na potrzeby krajowe, to jest na potrzeby Sierry ubogiej, gdyż Pomorze i Sierra bogata noszą korthy europejskie, wysortowane z fabryk lub zleżale w magazynach. Chłop tylko, „el Indio,” parja tamtejszy — nosi ubiór, a nawet koszulę — z wełny krajowej. Zamożniejsi nakładają jedynie poncza wyrobu miejscowego.

Przemysł tkacki w Peru, z wyjątkiem kilku rozrzuconych większych fabryk grubego sukna, zwanego „panete,” o graniczą się do wyrobów ręcznych, tkanych odwiecznym sposobem który tem więcej zasługuje na wzmiankę, że się utrzymał bez zmiany od czasów Inkasów, zaznajomiwszy się więc z nim, będziemy mieli pojęcie, na jakim stopniu rozwoju stało tkactwo u Peruwjan przed najściem Hiszpanów.

Kołowrotek Peruwjanie przedpodbojowi nie znali wcale, a dzisiejsi nic pod tym względem nie postąpili. Przędzeniem wyłącznie zajmują się kobiety. Wełna lub bawełna osadza się na kijku, który kobieta zatyka sobie za pas pod lewem ramieniem, nic skręca się palcami, przywiązując do swobodnego końca mały, kwadratowy lub okrągły kamyk, posiadający w środku dziurkę do przewleczenia nitki. Kamyk ten, odgrywający rolę wrzeciona, zawieszony jest na niewielkiej od ziemi odległości i wprawiony bywa w ruch wirowy skręcaniem nitki, który kobieta trzyma pomiędzy wielkim i wskazującym palcem prawej ręki, gdy jednocześnie lewą ręką wyciąga stopniowo włókna przędzy. W miarę jak się nic wydłuża nawija się na kamyk i tak utworzony kłębek sam przez się odgrywa rolę wrzeciona. W Sierra wszystkie Peruwjank z biednego stanu są nieustannie zajęte tą robotą, nie porzucając jej nawet w drodze, w czasie marszu, lub przy zajęciach domowych, chyba że praca wymaga ciągłego użycia obu rąk. W podróży spotykamy je zawsze z wrzecionem pod pachą i z dzieckiem, owiniętem chustą, na plecach. Tak przywykamy do tego widoku, że uważamy prawie kobietę, dziecko lub wrzeciono za jedną nierozdzielną całość.

Tak skręcona nic idzie na warsztat tkacki, stokroć prostszy od naszych ręcznych warsztatów, gdyż go właścicielka przenosić może ze sobą, gdzie jej się tylko podoba. Krośna warsztatu są to dwa płaskie drążki mające około 1 wary (84 centymetrów) długości; do nich przywiązuje się raz koło razu podłużne nici, tworzące osnowę (la trama). Jeden z drążków stanowiących krośna przywiązuje się do ściany domu na wysokości zależnej od długości osnowy; drugi — przeciwnie — do pasa tkającej kobiety, która siada po turecku na ziemi i lekkim przechyleniem ciała w tył może naprężyć cały warsztat. Nici podłużne, czyli wątek, przywiązuje się nadto do dwu kijków poprzecznych (zatem równoległych do drążków stanowiących krośna) w taki sposób, że nici nieparzyste (pierwsza, trzecia, piąta i t. d.) przywiązuje się do je-

dnego kijka, a parzyste — do drugiego.¹⁾ Chwyciwszy więc ręką za jeden z kijków i unosząc go do góry, podejmujemy naraz wszystkie nici do niego przywiązane, gdy pozostała reszta zachowuje prostolinią pozycję. Dzięki temu urządzeniu możemy puszczać czółenko z wątkiem (czyli nicią poprzeczną), podnosząc naprzemiany to jeden, to drugi kijek. Po każdym przeciągnięciu nitki poprzecznej, kobieta przybija ją do części utkanej za pomocą linji z bardzo mocnego drzewa (zwykle z palmy zwanej chonta), którą chwytą za końce obydwoma rękami i mocno przyciąga kilka razy w kierunku swojego pasa.

Z tego, com powyżej o sposobie przedzenia nici oraz tkania powiedział, widzieć możemy, że jest to robota w najwyższym stopniu żmudna i powolna, lecz Peruwjanki pokonywają wszelkie przeszkody dzięki niezwykłej wytrwałości i pracowitości, która stanowi cechę płci pięknej w Południowej Ameryce. Cóż to za ogromna praca, poczawszy od strzyży baranów, poddając następnie wełnę lub bawełnę myciu i czesaniu, poczem należy włókno w nici skręcać, farbować je, nawiązać na krośna osnowę; wreszcie sam proces tkania jest tak powolny, że wydziwić się nigdy nie mogłem cierpliwości Peruwjanek, które nadto sprzedają swe tkaniny po cenach bajecznie tanich. Widocznie, że w Inkazji praca kobiet ceną się nadzwyczaj nisko.

W sposób powyżej opisany Peruwjanki tkają zarówno wełniane jak bawełniane wyroby, a mianowicie płótno na koszule (wełniane lub bawełniane), „panete“ — rodzaj ordynarnego sukna, używanego na pantalony, dalej poncza, kołdry, sakwy (lasalforjas), szale kobiece i szaliki męzkie, wreszcie tak zwana „jerga“ czyli bardzo grube sukno, używane na potniki do siodeł. Peruwjańska gospodyni wszystkie chwile wolne od domowych zajęć około kuchni lub dzieci, wypełnia prawie wyłącznie robotami, mającemi związek z tkactwem. Widzieliśmy, że nawet w podróży nie porzuca swej przędzy, tak wiele czasu potrzebuje, aby nieco nici uprząć.

W związku z tkactwem znajduje się bezpośrednio farbiarstwo, któremu jednak poświęcają się zwykle fachowi mężczyźni; biedniejsze jednak kobiety farbują swe nici same. Z wyjątkiem koloru indygowego, wszystkie inne barwy otrzymują się z miejscowych roślin farbiarskich, a karmin — z koszenili, którą się na miejscu także hoduje, jak to już wyżej widzieliśmy. Najbardziej jednak używaną farbą jest indygo, gdyż tego koloru są pantalony wszystkich biedniejszych mieszkańców, oraz chusty i spódnice kobiet. Indygo też używanem jest do farbowania kobiecych szali, o których wnet wspomnę słów kilka. To też ilość tego barwnika, zużywanego w Peru, jest ogromna, a przewozi się go z Guatemali, gdyż Inkazja nie produkuje indyga pomimo korzystnych na pozór warunków klimatycznych i gruntowych. W ponczach (los

¹⁾ Kijki te odpowiadają ramcé zwanej „plochá“ w naszych warsztatach tkackich.

ponchos) najpospolitszymi barwami są: kasztanowata, czerwona, zielona i biała, zwykle skombinowana ze sobą po dwie, np. czerwona z białą lub zieloną, kasztanowata z zieloną lub czerwoną. Często też spotkać można poncza kasztanowate jednobarwne.

Szale kobiece, o jakich przed chwilą nadmienilem tkają się z bawelny sposobem przeze mnie opisanym. Miasto Chota stanowi centrum tego przemysłu, z kąd szale rozchodzą się po całym północnym Peru, aż ponad Amazonkę w jedną stronę, a po Cajamarca i Huamachuco — w drugą; znaczna też część ich zakupiona przez kupców pomorskich idzie do Chiclayo, Tumbezu, Trujillo, a nawet do Limy. Są to chusty podłużne, opatrzone koronkową frendzlą na obu końcach. Barwa ich jest stale indygowa z białą, tworząc rozmaity deseń z przewagą jednego lub drugiego koloru. Oryginalny jest sposób otrzymywania deseni i przez to zasługuje na szczegółową wzmiankę.

Cały pęk nici podłużnych mających stanowić osnowę przywiązuje się niteczkami raz koło razu i nadzwyczaj ściśle, pozostawiając pomiędzy częściami przewiązanymi miejsca swobodne. Długość miejsc przewiązanych i nieprzewiązanych jest rozmaita i od tego zależy deseń szala. Tak przewiązane nici wkłada się do farby indygowej, przyczem ufarbują się tylko miejsca swobodne, gdy przeciwnie części powiązane pozostaną białymi. Przy tkaniu zaś deseń szala będzie zależał od stosunku miejsc ufarbowanych do nieufarbowanych. Istnieje nieskończona ilość tych deseni, a w szalach przeważa albo kolor biały, albo indygowy.

Części końcowe nici, przeznaczone na koronkę i frendzlę pozostawia się białymi. Koronkę wiąże się ręcznie, a swobodne końce stanowią frendzlę. Cena takiego szala, zwanego pospolicie „panon,” jest bardzo różna, gdyż zależy od cienkości nitki (czyli gęstości tkaniny), oraz od szerokości koronki, której zawiązanie kosztuje wiele pracy. Na jarmarku w Cutervo sprzedaje się je w cenie od 8 do 20 pesos (od 32 do 80 franków); w Moyobamba ten sam szal, kosztuje trzy lub cztery razy drożej.

W Chota i w okolicznych miasteczkach wszystkie kobiety są zajęte tkaniem tych szali; nawet panie z lepszego towarzystwa uprawiają ten przemysł, zajmując kobiety do tkania, gdy same zajmują się zawiązywaniem nici przeznaczonych do farbowania, oraz wiązaniem koronek. Gdy nadchodzi czas jarmarku w Cutervo (15 sierpnia), po domach rwetes i krzatanina, gdyż należy wykończyć rozpoczęte szale. Część ich idzie do handlu bez związanych koronek i cena tych jest znacznie niższa.

Toż samo miasto Chota słynie z wyrobu tak zwanych „pellonów,” o czym wzmiankowałem kiedyś. „Pellon” jest to rodzaj waltrapa, który się kładzie na siodło, aby siedzenie miększym uczynić, a jednocześnie służy na noclegach za materac. Spuszcza się on z siodła tak nisko, że całe boki konia przykrywa, a niekiedy nawet uniemożliwia klucie ostrogą. Fabrykacja pellonów odbywa się w ten sposób, że do grubej tkaniny, stanowiącej niejako podstawę, przywiązuje się pęczki wełny mocno skręconej.

Im tkanina jest gęstsza, tem i pączki gęściej są mocowane, a tem samem pellow droższy. Podszywa się go skórą, a szeroki pas ze skóry lakierowanej dzieli od góry pellow na dwie połowy, zwieszające się po obu stronach siodła. Barwa pellowu jest ciemno indygowa (prawie czarna); wyjątkowo robi się pellowy czerwone.

Tkaniem tych waltrapów zajmują się zwykle mężczyźni, oddający się wyłącznie temu rzemiosłu. To jednak nie przeszkadza zamożniejszym serranom odgrywać roli przedsiębiorców, najmujących rzemieślników, którzy pod ich nadzorem prowadzą tkanie pellow, gdy jednocześnie panie dozorują fabrykacji szali. Cena tych waltrapów jest nieraz bardzo wysoka stosownie do ich gęstości oraz ilości wełny zużytej na ich zrobienie. Słyszałem na Pomorzu o pellowach wartujących 100 dolarów; chotańskie są wogóle tańsze, a średnia ich cena waha się między 15 i 20 piastrami czterofrankowymi. Rozchodzą się one podobnie jak i szale po całym północnem Peru, a znaczna ich część na Pomorze wywożona bywa.

Z tego jednak nie należy sądzić, aby Sierra była tak dalece przemysłową; miasto Chota należy do nielicznych wyjątków, gdyż Sierra żyje przeważnie sama w sobie, życiem cichem, ale własnem, potrzebując od Pomorza o raczej od Europy i Stanów Zjednoczonych przez pośrednictwo Pomorza, bardzo niewiele. W rzeczy samej, przyjrawszy się bliżej zewnętrznemu handlowi tej części Peru, zdziwieni będziemy zredukowanym rozmiarem wwozu i wywozu. Serrano produkuje wszystko, co mu potrzeba do wyżywienia z wyjątkiem ryżu, który sprowadza z Pomorza, oraz tytoniu i cacao, dostarczonych przez gorące doliny serrańskie, jak np. Maranonu, Chamaya i inne. Zresztą ryż i cacao należą do zbytku, na który pozwalają sobie tylko zamożniejsi mieszkańcy, gdy biedni Indianie próbują go tylko w dni wielkich festynów. Oprócz tych produktów — wszystkie inne najpotrzebniejsze Sierra posiada w obfitości i nawet część może wysyłać na Pomorze. Do takich należy bydło rogate, który bez wątpienia stanowi główny artykuł wywozowy tego regionu; za nim dopiero idzie wełna, kartotle, sery i inne produkty mniejszego znaczenia.

Mając wszystko prawie, co do wyżywienia jest niezbędnem, Serrano sprowadza z Pomorza jedynie artykuły europejskiego handlu, jak towary łokciowe, niektóre narzędzia kuchenne, różne instrumenty rzemieślnicze, noże, igły, paciorki, świecidła. Przypomnieć też muszę, że kortów europejskich lub perkalików używają tylko mieszkańcy miast, gdyż lud wiejski, czyli Indianie, odziewają się w tkaniny własnego wyrobu, a nawet niektórzy zamożniejsi obywatele miejscy noszą w dnie powszednie pantalony z grubego krajowego sukna. Tym sposobem handel wwozowy Sierry jest bardzo ograniczony i łatwo może być pokryty artykułami eksportowymi, jakie ten region wysyła na Pomorze.

Niegdyś Sierra posiadała wielkie bogactwa pod postacią kopalni srebra, które niemal wszystkie bez wyjątku znajdowały się na wyżynach kordyljerskich. Dość jest tylko wspomnieć o nadzwyczaj bogatych minach Potosi, Castro-Vireyna, Cerro de Pasco,

Hualgayoc i wielu innych pomniejszych. Dzisiaj niektóre z tych kopalń upadły zupełnie wskutek wyczerpania; inne jakkolwiek znajdują się w eksploatacji, nie dają już tych dochodów, co dawniej. Rząd peruwjański starał się podtrzymać upadający przemysł górniczy, wydając w roku 1878 nowe prawo, na mocy którego wszelkie kopalnie należą nie do właściciela gruntu, lecz do tego który je eksploatuje. Jeżeli więc mina jaka leży odłogiem, każdy ma prawo zadencjonować ją, a opłaciwszy skromny podatek rządowy, wynoszący zaledwie 30 solesów rocznie, staje się *de facto* właścicielem miny, o ile nb. stara się ją eksploatować, w przeciwnym bowiem razie pierwszy lepszy denuncjat może go z kopalni wyrugować. Pomimo to jednak przemysł górniczy znajduje się obecnie w wielkim zastoju, co głównie przypisać należy nieprodukcyjności dzisiejszych kopalń, których eksploatacja nie daje należytych zysków. Ten jednak zastój uważać należy za przejściowy, gdyż niewątpliwie wypadek odkryje znów nowe jakieś srebrnodajne kopalnie, podobnie jak odkrył przesławne miny Potosi.

Handel Sierry z Pomorzem uskutecznia się tylko przez pośrednictwo kupców serrańskich, którzy periodycznie odbywają podróże do ważniejszych portów, a niekiedy do Limy, aby nabyte towary sprowadzić; lub też przy pomocy wielkich dorocznych jarmarków, pomiędzy którymi najczęściej słyną dwa: jeden w północnem Peru, w serrańskim mieście Cutervo (d. 15 sierpnia), a drugi w Guadalupe, niewielkiej mieścinie pomorskiej (d. 8 grudnia). Kupcy jadący na Pomorze udają się zwykle większemi partjami, po kilku lub kilkunastu, aby uniknąć napadów szajek bandyckich, które chętniej atakują pojedynczych podróżnych, aniżeli całe ich partie. Dla Północnego Peru głównymi rynkami handlu są miasta: Trujillo, Chepen i Chiclayo, z kąd nabyty towar na grzbietach mułów przewożony bywa do wnętrza kraju przez ważne arterje handlowe, jakie prowadzą z Trujillo do Cajamarca i Chachapoyas; z Chepen do Chota a z Chiclayo do Cutervo i Jaen. Wewnątrz leżący departament Loreto z miastem głównem Moyobamba prowadzi wyłącznie handel z Brazylią, czyli że towary europejskie dochodzą tam przez Atlantyk i Amazonkę.

Skoro zacząłem mówić o handlu Sierry peruwjańskiej, niepodobna mi jest pominąć milczeniem różnego rodzaju monet mających kurs w kraju, lecz w tym celu muszę się cofnąć nieco w tył, aby czytelnik łatwiej zrozumiał historję monet w Peru i ich znaczenie obecne. Za czasów panowania Hiszpanów jednostką monetarną był jak się zdaje tak zwany „peso” lub „peso feble” (piastr słaby), równający się 4 frankom czyli 4 pesetom, z których każda dzieliła się jeszcze na reale. Ta jednostka czyli „peso” utrzymała się jeszcze po dziś dzień w całym wnętrzu kraju, chociaż już od chwili wybicia się z pod panowania hiszpańskiego, czyli od 1821 roku urzędową jednostką monetarną stał się tak zwany „sol” lub „peso fuerte” (piastr silny), równający się 5 pesetom czyli 10 realom; ten rozpowszechnił się na całym Pomorzu,

gdzie wszelkie rachunki są prowadzone według tej jednostki. Sol nadto dzieli się na 100 „centavos“ (centów).

Pierwotnie w całym Peru kursowała tylko srebrna moneta, to jest srebrne piastry 4 frankowe, $\frac{1}{2}$ piastry, czyli tak zwane „cuatros“ (sztuki cztero-realowe), pesety, reale i medios, czyli półreale. Z wprowadzeniem sola jako jednostki pojawiły się nadto sztuki 5-frankowe czyli solesy, i pół-solesy) te ostatnie w liczbie zredukowanej; w każdym razie nie znano jeszcze żadnych asygnat papierowych a srebro kursowało po całym kraju z nieznaczną domieszką monet złotych. Dopiero pod koniec szóstego dziesiątka XIX-go stulecia powstały w Limie i w niektórych większych miastach różne prywatne banki, którym rząd prezydenta Pardy dał przywileje wypuszczenia w obieg asygnat papierowych, mało dbając, jak się zdaje, o kontrolowanie wypuszczonych w obieg papierów, oraz stosunek ich do gwarancyjnego kapitału banków. Po deszczu złotym, jaki spadł w Peru za prezydentury Balty, lunął deszcz papierowy. „El Banco Nacional,“ „La Providencia,“ „El Banco del Peru,“ „El Banco de Trujillo,“ „La Sociedad de Obras Publicas y de Fomento del Perú“ etc. wypuszczały każde ze swej strony tyle biletów, ile tylko maszyny litograficzne wydażyły ich narobić. Bezpośrednio skutkiem tego nierozważnego ze strony rządu pobłażania był upadek papierów peruwjańskich, a następnie bankructwo kilku banków. Już w roku 1875 bilety banków peruwjańskich zaczęły szybko spadać a podczas wojny chilijskiej sol papierowy spadł do wartości 1 reala czyli $\frac{1}{10}$ nominalnej wartości.

Sierra wszelako uchroniła się od ogólnego bankructwa tym sposobem, że od samego początku ukazania się papierów limańskich odmówiła im prawa cyrkulacji u siebie. Serrano jest człowiekiem w wysokim stopniu konserwatywnym i wszelkie innowacje przyjmuje z najwyższą rezerwą. Wierzył w wartość srebra, bo przywykł nań patrzeć od wieków jako na drogocenny metal, lecz nie mógł nigdy zrozumieć, aby szmata mogła mieć jakąkolwiek cenę. Gdy miał oszczędności, zakopywał je w ziemi, pewny że mu nie zgniją, cóżby zaś zrobił z papierami, gdyby mu przyszło ukryć je przed drapieżnym wzrokiem złoczyńców lub gubernatorów? To też wręcz odmówił wszelkich praw obywatelstwa papierowej monecie i wyszedł na tem jaknajlepiej.

Wyjątek pod tym względem stanowiły niektóre większe miasta serrańskie jak np. Chachapoyas, gdzie bilety banków przyjęły się równie dobrze, jak i w całym departamencie Amazonas, którego Chachapoyas jest stolicą. Wypadek to jednak mało zrozumiały, gdyż w sąsiednim i bliżej Pomorza leżącym departamencie Cajamarca papiery limańskie były jedynie przyjmowane przez większych kupców, mających bezpośrednie stosunki z Limą; lud zaś prosty jedynie srebrem się posługiwał. Jeżeli mnie pamięć nie zwodzi, to cyrkulacja monety papierowej w dep. Amazonas zaprowadzona została forsownie przez któregoś prefekta, czy też alka-

da municypalnego, który uzurpując sobie władzę dyktatorską, robił ze swymi podwładnymi, co mu się tylko podobało.

Lecz jeżeli w przyjęciu biletów papierowych Serrano okazał się tak wybrednym, to przeciwnie w wyborze monet srebrnych jest najzupełniejszym tolerantem. Spotkamy się też w Sierra z wszelkiego rodzaju monetami, jak boliwijskie, chilijskie, kolumbijskie, wenezuelskie, francuskie, włoskie, Stanów Zjednoczonych etc. Najpospolitszą jednak monetą są tak zwane „cuartos bolivianos,” czyli 4-realowe sztuki boliwijskie.

Widzieliśmy, że na Pomorzu minimalną monetą jest cent (centnavo), czyli setna część solesa, niewielka moneta niklowa lub miedziana. Centy w regionie serrańskim nie kursują (z wyjątkiem nielicznych miejscowości), a minimalną monetą jest tu tak zwany „cuartillo” czyli czwarta część reala; ponieważ jednak takiej monety w rzeczywistości niema, a najdrobniejszą jest medio = $\frac{1}{2}$ realowi, w istocie więc „cuartillo” jest monetą idealną, niemniej jednak bardzo w kraju używaną. I tak np. jeżeli gospodyni posłała do sklepiku po żywność, to często każe kupić np. za „cuartillo” chleba, a za drugi „cuortillo” jaj, jaj, sera lub czego innego.

Wspomniałem przed niedawnym czasem, że wschodni departament Loreto, obejmujący olbrzymie równiny porzeczna Amazonki, Huallagi, Ucayali, Napo i innych dopływów Królowej rzek, wraz ze wschodnimi odnogami Kordyljerów, prowadzi wyłącznie handel z Brazylią, zwłaszcza z miastami Manaos i Parà. W tym też zakątku Peru oprócz zwykłej srebrnej monety spotkamy się często z rządowemi asygnatami brazylijskimi, które tu *al pari* ze srebrem kursują, zwłaszcza wśród kupiectwa. Zamiana pieniędzy brazylijskich, pomimo ich skomplikowanego rozdrobnienia na reis'y jest nadzwyczaj łatwa gdyż sol peruwjański równa się 2,000 reisów.

Poznawszy nieco bliżej otoczenie serrana i jego zpaczenie w ogólnem życiu narodu, wnिकnijmy bliżej w jego życie prywatne, w ten szereg codziennych zajęć, które stanowią wątek istnienia człowieka. Zajmiemy się głównie miastem, gdyż tu się lokuje inteligencja, która nas więcej interesuje, gdyż obraz życia bardziej tu skomplikowany, aniżeli u prostego ludu. Wieśniak orze, sieje, zbiera w dni powszednie; w święta i niedziele idzie do kościoła i na jarmark do pobliskiego miasteczka, poczem się zwykle upija i wraca do domu. Wszędzie panuje ten sam porządek, gdyż człowiek wszędzie jest tym samym człowiekiem. W życiu miejskiem prędzej dopatrzymy pewnych różnic, pewnych cech charakterystycznych, którymi jedne narody różnią się od drugih.

Niemniej jednak istnienie mieszkańca serrańskiego miasta jest monotonne, ciche, z wyjątkiem chyba chwil wyborów i towarzyszących im lokalnych rewolucji, które naruszają od czasu do czasu panujący spokój. Wstawszy z łóżka, serrano wypija filiżankę gęstej czekolady, która stanowi prawdziwie narodowy napój serrana; drobi weń okruchy sera, gdyż czekolada bez sera w Peru obejść się nie może; zwyczaj to powszechny. Następnie zarzucawszy na ramiona ponczo, aby się ochronić od przejmującego chłodu, jaki

rankami panuje, wyrusza na miasto, do którego ze sklepów, gdzie zwykle odbywają się męskie zebrania. Notable miejscy, jedni stojąc, inni siedząc na kontuarach, debatuja nad polityką, nad wyborami, nad sprawami miejskimi; przyczem tu i owdzie ploteczki miejscowe przeplatają rozmowę. O godzinie 10-ej wraca nasz serrano do domu na śniadanie, złożone podobnie jak i obiad z kilku potraw i poparte nową filiżanką czekolady z serem. Potem znów przechadzka po mieście i rozmowa w sklepie, o 5-ej obiad z filiżanką czekolady z serem, przechadzka, o 8-ej lub 9-ej czekolada z serem, mała pogawędka rodzinna, na którą przychodzi czasami jaki znajomy, poczem wszyscy idą spać. Takie jest codzienne życie przeciętnego mieszkańca serrańskiego miasta, życie jednostajne, leniwe, urozmaicone tu i owdzie wycieczkami do podmiejskich folwarczków, lub dłuższymi podróżami na Pomorze. Jakżeż rzadko można go widzieć zajętego czytaniem książki, lub inną jaką umysłową pracą. Serrano czyta jedynie dzienniki, które mu poczta raz w tydzień z Limy przywozi; w nich znajduje ciekawe dla siebie wiadomości polityczne ze stolicy. Resztę czasu wypełnia monotannymi pogawędkami, włóceniem się z kąta w kąt i pić czekolady, która pojawia się na jego stole z niepospolitą stałością.¹⁾

W tymże samym czasie żona jego pędzi żywot stokroć pracowitszy. Jest to lepszego gatunku niewolnica, gdyż takie stanowisko nadali jej przed wiekami Hiszpanie, a zwyczaj ten utrzymał się dotychczas w konserwatywnym regjone serrańskim. Kobieta wraz ze swemi córkami, w otoczeniu całego sztabu kucharek, małych Indjan i Indjanek spędza większą część dnia w kuchni, zajęta sporządzaniem potraw dla swego pana. Zwyczaj peruwjański chce, żeby kobieta nie siadała wraz z mężczyznami do stołu, lecz jadła śniadanie i obiad w kuchni, gdzie siedząc w kuczki przy ognisku, rozlewa na talerze potrawy i wysyła je przez służących do stołu. Ten barbarzyński zwyczaj utrzymuje się dzisiaj jeszcze w wielu arystokratycznych domach serrańskich; w bardzo tylko nielicznych rodzinach zauważyłem pewną emancypację kobiet pod tym względem i wyznać trzeba, że wina tu nie leży wyłącznie po stronie mężczyzn, lecz także i po stronie kobiet, które znajdują więcej swobody przy dymisku kuchennym, aniżeli w towarzystwie mężczyzn.

Chwile wolne od zajęć gospodarskich serranka dzieli między kościołem i różnemi robotkami kobiecemi, jak haftowanie, zawiązywanie koronek u szalów, tkanie kolder i t. d. Pobożna jest tą fanatyczną pobożnością, jaką się odznaczają kobiety wszystkich narodowości. Już o świcie, chwyciwszy mały dywanik lub składane krzeselko, biegnie na ranną mszę do kościoła, a wszelkich nadzwyczajnych nabożeństw nie przepuści za nic w świecie. Oprócz kościoła i zajęć gospodarskich nie rozumie nic innego, a poziom jej umysłowy jest jeszcze niższy aniżeli u mężczyzn z miejscowej

¹⁾ W niektórych domach serrańskich panuje nadto zwyczaj picia czekolady w południe, coś w rodzaju naszej poobiedniej kawy.

inteligencji. Nawet kobiety z arystokracji ledwie czytać i pisać umieją, choć w bardzo rzadkich wypadkach posiłkują się tą wiadomością, gdyż nawet dzienników nie przeglądają.

Tym sposobem miasto serrańskie w dni powszednie jest ciche, pozbawione ruchu; rzadki przechodzień ożywia samotne ulice. Później ten zmienia się do niepoznania w święta i niedziele, gdy tłumy okolicznego ludu ściągają na jarmark i do okolicznego kościoła. Rynek i pobliskie ulice są wtedy tak natłoczone, że się trudno przecisnąć. Wejdzmy na chwilę do kościołka.

Świątynia napelniona jest tłumem różnobarwnym. Po jednej stronie kobiety, po drugiej mężczyźni, gdyż tak nakazuje miejscowy zwyczaj. Wszyscy klęczą przez cały czas trwania mszy św. i dlatego w kościołkach serrańskich brak jest zwykle ławek. Pomiedzy tłumem kręcą się swobodnie psy miejskie, gdyż im nikt wstępu nie broni; powoduje to nieraz gorszące sceny, lecz pod tym względem Peruwjanin jest wielkim tolerantem. Ściany kościołka są pobielone, bez żadnych ozdób; obrazy świętych zawieszono są jedynie nad ołtarzami. Organy wyjątkowo się tylko spotyka; zastępują je muzycy, zwykle skrzypek, flecista i trębacz, którzy w religijnym swym repertuarze nie wahają się pomieszczać różnych tańców europejskich, lub narodowych, co w wysokim stopniu narusza powagę świątyni Pańskiej.

Na rynku lud różnobarwny rozłożył na sprzedaż rozmaite produkty: tu widzimy owoce, z górskich dolin serrańskich przywiezione, jak pomarańcze, banany, chiromoye (*Anona cherimolia*); owdzie kartofle, kapusta, arracacha; jakiś fabrykant kapeluszy słomkowych rozłożył cały ich komplet; tam liny z włókna tęży; mięso, barany poćwiertowane, łapcie płócienne, poncza i karony (potniki) — słowem wszystko co Sierra produkuje. Jednocześnie kupcy zajęci są w swych sklepach sprzedażą towarów, starając się przekonać swych klientów, że towar zleżały jest doskonałym, w czym nie ustępują bynajmniej naszym żydkom. Niedziela dla Peruwjanina jest zarówno dniem poświęconym chwale Boga, jak czci Merkurego; wtedy odbywają się wszelkie tranzakcje i kupiec w jeden dzień zarabia dziesięć razy więcej, aniżeli w ciągu całego tygodnia.

Sklepiki z wódką cieszą się też niezwykle powodzeniem; kult Bachusa kwitnie w różnych stronach miasta i już w południe spotkać możemy licznych obywateli, którzy przeholowawszy dozę libacji, czują zawrót głowy i niepewność w nogach. Na pochwałę jednak serranów powiedzieć muszę, że przy wypitku zachowują więcej spokoju, aniżeli Pomorzanie, u których wszelkie libacje kończą się zwykle bójkami, a często krwawymi scenami. Serrano wypiwszy nadmiernie, staje się raczej czułym i wylanym, bardzo do łez pochopnym.

Około południa lud wiejski zaczyna się rozchodzić i rozjeżdżać do domów; po ulicach widać grupy żegnających się kumów i kumoszek, którym trudno się jakoś rozstać, więc kieliszek „strzebiennego“ krąży nieustannie. O 4-ej popołudniu już tylko nieliczni maruderzy pozostali, zachęcani gościnnym przyjęciem swych

znajomych, którzy ich wódką i czyczą podejmują. Sklepy poza-
mykano, gdyż się pora obiadowa zbliża i spracowani w ten dzień
kupcy posiłku wymagają. Wkrótce miasto przybiera cichy, mono-
tonny pozór, jakim się zwykle odznacza, tylko gdzieniegdzie przez
niedomknięte drzwi dochodzą nas dźwięki śpiewu chóralnego
i głos gitary, a niekiedy hałaśliwsze tony miejskiej orkiestry.

Trzeba bowiem wiedzieć, że każde większe miasto serrańskie
posiada swą własną muzykę, złożoną wyłącznie z dętych instru-
mentów. Muzykanci rekrutowani po większej części z Indjan i czo-
łów, posiadają widocznie talent wrodzony do muzyki, gdyż pomi-
mo słabego wykształcenia (grają po większej części ze słuchu),
zgodność między nimi panuje znośna, a niektóre orkiestry mogłyby
nawet rywalizować o lepsze z wojskowymi muzykami niektórych
krajów europejskich. Muzykant taki jest zwykle jakim fachowym
rzemieślnikiem, gdyż trudnoby mu było zarobić inaczej na życie;
w dni więc powszednie szyje buty, lub pantaloney, niekiedy upra-
wia ziemię; w święta zaś przemienia się na muzykanta.

Orkiestra, podobnie jak i rakiety, jest niezbędną ozdobą
wszelkich festynów, a nadto służy do publikowania tak zwanych
„los bandos“,¹⁾ czyli rozporządzeń władzy, lub ważniejszych wia-
domości i zmian politycznych. Podczas wojny peru chilijskiej pu-
blikowano między innymi wszelkie pomyślniejsze wiadomości z pla-
cu boju. Odbywa się to w takim porządku, że przodem idzie na
plac główny orkiestra, grając marsza, lub hymn narodowy i za-
trzymuje się na jednym z rogów placu, gdzie przedstawiciel włą-
dzy, lub który z notablów odczytuje zgromadzonej publice radosną
wiadomość, poczem jeden z wybitniejszych mieszkańców zwraca
się do tłumu krzyżąc: „Senores! Viva el Peru!“, lub „Viva el ge-
neral Prado!“, a tłum odpowiada: „Que viva!“ I mnie spotkał po-
dobny zaszczyt w Cutervo, żem tak się do ludu zwracał. Na każ-
dym rogu placu powtarza się ta scena, poczem wszyscy rozchodzą
się do domów. W podobny sposób publikuje się w Inkazji wszel-
kie dekryty, rozporządzenia władz, uwiadamia się o zmianie pre-
fektów, podprefektów lub gubernatorów etc. etc.

Wszystkie większe bale miejskie nie mogą się też obyć bez
orkiestry. Ponieważ wielokrotnie byłem proszony na tego rodza-
ju zabawy, nie od rzeczy będzie wspomnieć o nich słów kilka.
Bal rozpoczyna się zwykle z nastaniem zmroku, czyli około godzi-
ny 7-ej wieczorem. Obszerny salon okalają ze wszystkich stron
krzesła lub ławki przykryte dywanikami. Płeć piękna zgromadzo-
na tu jest w jednym końcu, mężczyźni — w drugim, gdyż ten
sam separatyzm panuje na balach, co i w kościele. Wprowadzeni
przez którego ze znajomych nam gości lub przez samego gospo-
darza, przebyć musimy nudną ceremonję prezentacji, poczem bez-
pośrednio amfitrjon, lub ktoś z poufałych podchodzi do nas z flaszka

¹⁾ Nawet sama nazwa „el bando“ pochodzi od wyrazu „la banda“ ozna-
czającego w hiszpańskim języku orkiestrę.

wina lub wódki, oznajmiając, że pani lub panna X. raczyła do nas wypić. Z pełnym kieliszkiem podchodzimy do tej damy, a podziękowawszy za tak łaskawe względy, pijemy znów do której z dam, gdyż powszechnie kobiety piją do mężczyzn i na odwrót. Cały czas trwania zabawy, — a ta zwykle ciągnie się do świtu, niekiedy i później — biedny kieliszek nie odpoczywa: kolejną przechodzi z delikatnych rączek damskich do rąk męzkich.

Ja osobiście byłem na tych zabawach o tyle nieszczęśliwym, że jako cudzoziemiec, a w dodatku blondyn, cieszyłem się wielkimi względami u płci pięknej, a w skutek tego nieustannie odbierałem wizyty zaimprovizowanego podczaszego; powoli obznajmiłem się z miejscowymi zwyczajami. Na pierwszym jednak balu na jakim się znalazłem (a było to na ostatki w mieście Cutervo) po kilkunastu takich kieliszkach, pijąc wszystko co mi dawano, znalazłem się w niespełna godzinę w stanie zupełnej niepoczytalności i przez jednego ze znajomych do domu odstawiony zostałem.

Co jest najobrzydliwszem na tych zabawach, to picie zwykłej wódki trzciniowej, która choć nieco smaczniejsza od naszej siwuchy, niemniej jednak nie należy do wykwintnych trunków. U bardzo zamożnych serranów bal zaczyna się zwykle piciem wina lub wódki z winogron zwanej „italia“ lub „pisco“; gdy wszelako ilość wypitych trunków jest zwykle olbrzymia, a butelka wina lub „pisco“ kosztuje przynajmniej dolara, więc też najczęściej po paru godzinach pojawia się prosta wódka i tą już się raczą wszyscy aż do końca zabawy.

Na pochwałę jednak kobiet serrzańskich powiedzieć muszę, że wyjątkowo tylko upijają się podczas zabawy. Robią one ceremonję, że piją, gdyż odmówienie w Peru kieliszka wódki uważaniem jest za wielką obrazę — „desayre“, jak mówią w Inkazji; w gruncie zaś rzeczy maczają tylko usta w kieliszku. Zato mężczyźni są zwykle mniej skrupulatni, a wielu z nich już w połowie zabawy, znajduje się w podobnym stanie, jak ja na owym balu w Cutervo.

Lecz picie wódki nie stanowi samej zabawy; jest to tylko jej okrasa; treścią zaś są tańce i emablowanie dam. Gdyż w miarę jak trunek rozgrzewa ciało, surowy separatyzm obu płci ginie i mężczyźni przysiadają się do dam, bawiąc je rozmową, którą tłumi hałaśliwa orkiestra. Tymczasem jedna lub dwie pary uwiązują się po środku, wykonywując różne ewolucje narodowych tańców, a głównie „chileny“¹⁾ lub innego serrzańskiego tańca, zwanego „tondero“. O północy lub około 1-ej godziny podaje się zwykle kolację, składającą się z tamalów czyli z pierożków z kukuzydzy, pieczonej wieprzowiny, świnek morskich etc. etc. Poczem zabawa ciągnie się do świtu.

Biedniejsi mieszkańcy, niemogący zapłacić orkiestrze kilku-

¹⁾ „La chilena“ jest prawdziwym narodowym tańcem Peruwjan; podczas jednak wojny peru-chilijskiej, to jest w r. 1878 Peruwjanie przez patriotyzm zmienili nazwę „chilena“ na „boliviana“.

nastu lub kilkudziesięciu solów, tańczą przy dźwiękach śpiewów chóralnych, którym towarzyszy gitara i rytmiczne klaskanie w dłonie. Gitara jest dzisiaj narodowym instrumentem Inkazji, tak jak niegdyś była „quena” lub mały flecik. Łagodne jej dźwięki, wydobywane umiejętną ręką, drżą nieopisanym smutkiem, w którym lubuje się Peruwjanin. Dawna muzyka Inkasów była w wysokim stopniu smętna, a ponieważ i Hiszpanie czują predylekcję do minorowych tonów, więc skombinowały się te gusta Indjan i Hiszpanów w muzyce pełnej smutku i boleści.

„Yaravies” lub „los tristes”, jak je po hiszpańsku nazywają, są najwyższym wyrazem tej tajonej boleści, którą Peruwjanin w śpiewie swym wylewa. Trudno jest wystawić sobie coś bardziej tęsknego, bardziej lży do oczu cisnącego. Waham się nawet śpiewem to nazwać, gdyż to płacz z serca płynący prawdziwie. Peruwjanin nie śpiewa swych „yaravies”, lecz je wypłakuje. Sam akompanjament jest nadzwyczaj smętny i harmonijny; słychać w nim ten akord, który do pewnego stopnia uchwycić się daje w świście jesiennego wiatru. Gdy go artysta ze strun wydobydzie, w jednej chwili przed oczami naszymi staje szary krajobraz jesienny, widziany o zmierzchu, z długimi linjami lasów, z niewielką chatką; lub groźne kontury Kordyljerów, porznięte głębokimi wąwozami, czerniejącymi pod ciemną ołowianą chmurą, jaka u szczytów zawisła. Nie wiem, czy to wyjątkowe usposobienie, jakie nas rozłąka z krajem i rodziną przyprawia; czy to rzeczywisty i bezpośredni skutek peruwjańskich melodji, lecz przyznam się, że nigdy żadna muzyka nie sprawiała na mnie tak olbrzymiego wrażenia, tak mnie za serce nie chwyciła, jak te smutne nuty, które biedny Indjanin ze swej gitary wydobywa.

W starożytności Indjanie mieli kilka instrumentów, pomiędzy którymi wybitne miejsce zajmuje „quena” lub „ccena”. Robiono go podobno z przedramiennej kości kondora, a tony wydobywane zeń były podobno tak smutne, tak boleścią przejmujące, że nawet do szaleństwa doprowadzały ludzi bardziej nerwowych i w niektórych okolicach zabronione było za rządów hiszpańskich użycie tego instrumentu, o czym mówiono mi kilkakrotnie. Sam jednak nie miałem sposobności spotkać się z tym ciekawym instrumentem. Oprócz niego używali jeszcze Indjanie fletu i bębna zwanego „caja”, a różniącego się tem od zwykłego bębna, że dno ma drewniane, a skórę tylko od górnej strony; zwykle robiono go z jednej sztuki drzewa i w tej formie utrzymał się do dziś dnia u Indjan peruwjańskich.¹⁾ Najbardziej jednak używanym instrumentem z pomiędzy starożytnych indyjskich jest tak zwana „antara” lub „andara”.²⁾ Jest to szereg rurek z dzikiej trzciny, rodzaj ręcznych

¹⁾ Zwykły bęben zwie się po hiszpańsku „tambor”; „caja” zaś znaczy w tym języku skrzynia lub kasa.

²⁾ Lorentes (Hist. antig. del Peru) nazywa go antara i to jest bodaj właściwa nazwa, chociaż ja wszędzie słyszałem „andara”; to jest prawdopodobnie korupcja wyrazu „antara” zmienionego na „andara” w skutek podobieństwa

organków, w które się dmie, przykładając usta do górnej części. Rurki są dobrane akordami — zwykle tercjami lub kwintami — minorowego tonu; od najkrótszych przechodzą stopniowo do najdłuższych. Indjanin bardzo się w tym instrumencie lubuje i nawet w drodze, podczas uciążliwego marszu po górach, wydobywa zeń smętne tony swoich „yaravies“.³⁾

Indjanin lubi pasjami muzykę i tańce, którym zawsze towarzyszy picie wódki lub czyczy; bez tego pobudzającego środka nie może się obyć żadna zabawa peruwjańska. Na nieszczęście starożytne tańce indyjskie zaginęły po większej części, ustępując miejsca nowoczesnym chilenom i tonderom; w niektórych jednak okolicach przechowały się jeszcze resztki, dające jakie takie pojęcie o dawnej choreografii Peruwjan; między innymi do takich pozostałości należy używany w dolinie Huayabamba (depart. Amazonas) taniec zwany „quimsa-manda“, co znaczy po indyjsku „trzy pary“, gdyż go tańczą trzy pary. Główną charakterystyką tego tańca są improwizowane śpiewy, które w formie pytań i dowcipnych nieraz odpowiedzi przesyłają sobie wzajemnie tancerze i tancerki. Żałować należy, że taniec ten wychodzi coraz więcej z użycia. Już w czasie mego pobytu w Huayabamba (w 1879 roku) tańczyły go osoby starsze wiekiem na moją wyłączną prośbę, gdyż młodsza generacja nie zna go zupełnie.

Typową jednak choreografię indyjską zobaczyć możemy w miastach serrańskich podczas uroczystych świąt, zwłaszcza w dzień patrona danej miejscowości. Tego rodzaju festyny obchodzą się w ciągu czterech—pięciu dni, a nawet tygodnia czasu. Podczas nabożeństwa występują młodzi Indjanie, przebrani za tak zwanych „dansantes“ czyli tancerzy. Ubrani są w starożytny ubiór indyjski, to jest rodzaj tuniki z falbankami, z pod której wystają do kostek pantalone również falbankami i koronkami ubrane. Na plecach zwiesza się rozpięta na poprzecznym kiju toga, coś w rodzaju ornatu. Głowę zdobi kołpak ubrany różnobarwnymi piórami, z wystającym ponad czołem wielkim dziobem tukana. Przód ciała, to jest pierś i przód tuniki ubrane są rzędami srebrnych monet, które przy najmniejszych poruszeniach wydają brzęk metaliczny. Nogi są zwykle bose, tylko ponad kostkami przymocowywa się na pierścieniu ze sznura rząd orzeszków pewnej palmy, wydających oryginalny chrzęst przy poruszaniu nogami. Przeważające barwy w tym oryginalnym stroju są czerwona i biała — narodowe kolory dzisiejszego Peru.

Tancerze towarzyszą proboszczowi z plebanji do kościoła, tańcząc nieustannie przed nim, a następnie w kościele lub przed kościołem podczas nabożeństwa. Przygrywa im jeden Indjanin na flecie, a drugi na bębnie indyjskim (caja). Tańce ich ograniczają się na skakaniu w takt na miejscu, lub na pływaniu sznurkiem

do hiszpańskiego słowa „andar“ (chodzić, iść), gdyż Indjanie grają na tym instrumencie podczas marszu.

³⁾ Podobny instrument używany był w Grecji za czasów starożytnych.

jeden za drugim, przyczem zawieszono srebrne monety i grzechotki przy nogach (las conajas) wydając rytmiczny chrzęst i dźwięk, sprawiają oryginalny i niepozabawiony poezji efekt.

Ubiory tancerzy są nieraz bardzo kosztowne. Słyszeliśmy w Ekwadorze o takich odświętnych kostjumach, które do 1,000 pesos kosztowały. Cenę ich podnosi głównie obfitość nawieszanych pieniążków srebrnych, przeważnie sztuk dwu i czterorealowych. Często też pieniądze srebrne widzieć można podziurawione, gdyż i kobiety peruwjańskie lubią z nich naszyjniki robić.

Długi czas nie mogłem zrozumieć, dlaczego młodzi Indianie tak są pohopni do tej roli tancerzy świątecznych: kostjum jest wogóle kosztowny i nieraz biedny chłopak zadłuża się i w niewolę oddaje, byle tylko sprawić go sobie lub przynajmniej wynająć. Dopiero w Ekwadorze objaśniono nas, że przyczyną tego są szczególne względy, jakimi darzą dziewczęta miejscowe tych wszystkich, którzy w roli tancerzy występują na festynach.

Barbarzyński zkad inąd zwyczaj tańczenia w kościele lub przed kościołem podczas nabożeństwa jest niewątpliwie dawnym jakim zabytkiem obrządków pogańskich, który księża katolicy tolerowali zrazu u Indian, aby ich do nowej religii nie zrażać, a z czasem tradycja zwyczaj ten uświęciła i podziś dzień przechowała.

Tego rodzaju domieszkę poganizmu do różnych obrzędów kultu chrześcijańskiego spotykamy w różnych krajach świata całego; do tej też kategorii zaliczyć muszę barbarzyński zwyczaj zabaw odbywanych przy zwłokach nieboszczyków, znany w Inkazji pod ogólną nazwą „velorio“ od wyrazu „vela“ (gromnica lub świeca), a odpowiadający do pewnego stopnia naszym stypom, praktykowanym przez prostą ludność.

Głównym celem t. zw. „velorio“ jest, jak się zdaje, pocieszenie rodziny i oderwanie jej myśli od ciężaru nieszczęścia, o jakie ją przyprawiła śmierć drogiej osoby. W tym celu przy zwłokach zbierają się wszyscy znajomi rodziny i gdy błada twarz nieboszczyka razi nas swą ponurą nieruchomością, zebrane grono gwarzy wesoło, popijając obficie wódkę; mężczyźni grają w karty; młodzież zabawia się w gry towarzyskie, a u biedniejszej ludności tańce i muzyka dopomagają do ogólnego rozweselenia. Wygląda nadzwyczaj dziko ta wesołość przy nieruchomych zwłokach i dlatego sądzę, że „los velorios“ są pozostałością po dzikich obyczajach pierwotnych mieszkańców Inkazji, choć nazwa hiszpańska zdawałaby się wskazywać na ich hiszpańskie pochodzenie. Na uwagę zasługuje ta okoliczność, że praktykują je nie tylko biedni Indianie, lecz i arystokratyczne sfery serrańskiej ludności. W niektórych okolicach panuje zwyczaj powtarzania tych zabaw w dziesięć dni po pogrzebie, zkad się „chunga“ nazywają od wyrazu indyjskiego, oznaczającego „dziesięć“.

Pogrzeb ubogich Indian robi smutne i przygnębiające wrażenie. Ciało nieboszczyka niesie na zaimprovizowanych noszach dwu najętych ludzi, prowadzących między sobą obojętną rozmowę i śmiejących się nawet z boleści żony i matki, która z tyłu podą-

za. Trup, owinięty jedynie w białe prześcieradło wykonywa autometryczne ruchy, spowodowane szybkim marszem tragarzy. Biegająca, z tyłu kobieta stanowi cały orszak pogrzebowy: zanosi się od płaczu, śpiewając jakąś pieśń żalną; idzie jak mówią tamtejsi „yupacundo“ od wyrazu „yupanqui“ służącego w języku keczua na oznaczenie tego pół-śpiewu, pół-płaczu. Ani księdza, ani przyjaciół, nawet trumny nie było za co kupić.

Odwróćmy oczy od tego przykrego widoku i przyjrzyjmy się w jaki sposób miejscowi obchodzą niektóre uroczyste święta. Kalendarz katolicki dostarcza ich nie małą liczbę, a dodał jeszcze do nich kalendarz patriotyczny kilka ważnych świąt, jak dzień 2 maja (Dos de Mayo), rocznica zwycięstwa Peruwjan nad Hiszpanami (1866 roku) i święto Niepodległości, obchodzone uroczysto w całym Peru w dniu 29 lipca i następnych. Wszelako w regionie serrzańskim największym powodzeniem cieszą się następujące doroczne festyny: święto patrona lub patronki danego miasta lub osady; ostatki; i wreszcie S-ty Jan (d. 24 czerwca), obchodzony zwykle walkami byków.

Święto patrona lub patronki miasta jest niewątpliwie najuroczystszym festynem w ciągu całego roku i dlatego Serrani poświęcają nań 4 a niekiedy 6 i 8 dni, spędzanych na ciągłych zabawach i nabożeństwach. Z pomiędzy bogatych mieszkańców wybiera się na rok naprzód tak zwanego „mayordomo de la fiesta” czyli gospodarza święta; do pomocy dodaje mu się jeszcze t. z. „priostes”, „caporales”. Obowiązkiem gospodarza jest ponosić wszelkie koszty, jakie powoduje wystawne nabożeństwo oraz zabawy ludowe. On więc płaci orkiestrę, musi przyjąć u siebie proboszcza oraz wszystkich gości, których ten zaprosi, wreszcie kupić i urządzić wszystkie rakiety i ognie sztuczne, jakimi podczas nabożeństwa i wieczorem lubią Peruwjanie robić wiele hałasu. Jest to jeden z oryginalnych sposobów chwalenia Pana Boga. Podczas nabożeństwa pękające rakiety, łoskot bębnow i dźwięki orkiestry tworzą tak nieopisany hałas, że prawdziwie człowiek nerwowy oszaleć może, a mniej nerwowy pomyśli raczej, że towarzyszy jakiemuś dzikiemu festynowi lub rewolucji, a nie ceremonji, na chwałę Boga przeznaczonej.

Niemniej jednak wydatki, jakie „mayordomo“ ponosić musi, aby godnie odpowiedzieć swemu zadaniu są bardzo znaczne i gdy wybór padnie na którego z mniej zamożnych mieszkańców, ten rujnuje się nieraz, byle tylko nie pozostać w tyle za innymi. „Mayordomo” na rok przyszyły obrany zostaje podczas trwania świąt i ogłasza się w kościele wybór jego; decyduje w tym razie proboszcz wraz z komitetem zabaw roku obecnego. Nie jeden z wybranych słucha tego obwieszczenia, jak wyroku śmierci, gdyż mu staje przed oczyma cały szereg wydatków, które mogą sprowadzić jego zupełną ruinę, a fałszywy wstyd przed innymi nie pozwala w tym razie na jakiegokolwiek bądź oszczędności.

Po nabożeństwie mayordomo podejmuje u siebie proboszcza i kilku innych księży przybywających zwykle na wielkie święta

z okolicy, aby dopomódz proboszczowi w zadośćuczynieniu religijnym potrzebom parafjan. Proboszcz też ma prawo zapraszać wszystkich swoich znajomych i jest uważany w domu za prawdziwego gospodarza. Na stole pojawiają się jedna za drugą liczne narodowe potrawy, jak tamale, kury, świnki morskie pieczone etc. Na jednej takiej fecie naliczyłem jedenaście potraw. Czas między śniadaniem i nieszporami wypełnia się rozmową, różnemi zabawami, walką kogutów, przyczem wódka krąży pomiędzy zaproszonymi. Po nieszporach obiad równie suty jak i śniadanie, a po obiedzie tańce, które się ciągną zwykle do rana. W podobny sposób schodzą wszystkie dni świąt, a ilość wypitej wódki i czyczy jest prawdziwie zdumiewająca.

Do najcharakterystyczniejszych świąt peruwjańskich należą ostatki zwane „el carnaval”, a młodzież obojga płci oczekują zbliżenia się ich z największą niecierpliwością. Zabawa polega głównie na wzajemnem oblewaniu się perfumami lub czystą wodą, na rzucaniu w siebie jajami, obsypywaniu się kolorowymi proszkami i innych tym podobnych miłych rozrywkach.

Jaja za zbliżeniem się karnawału (ostatków) zaczynają drożec niepomiernie, a w końcu dostać ich wcale nie można. Rozsądniejsi wypróżniają je przez zrobiony otwór, a na miejsce zawartości sypią mąkę, lub różnobarwne proszki, poczem otwór ciastem zalepiją. Każdy młodzieniec, a nawet każda panna ma przygotowany cały arsenał takich jaj, któremi podczas zabawy bombarduje znajomych i nieznanomych. Gdyż święta karnawału mają w Inkazji ten przywilej, że się nikogo nie szanuje, a nawet suknia duchowna nie broni od wyuzdanej swawoli bawiących się. Starzec nie starzec, ksiądz, zakonnica — każdy słowem jest wystawiony na celne pociski świętującej młodzieży. Mężczyźni zwykle konno przeciągają przez miasto partjami, atakując pleć piękną, która się na balkonach lub we drzwiach domów grupuje. Gdy taka czereda nadleci, popłoch między niewiastami okropny; drzwi zamykają i tarasują, lecz to wszystko nic nie pomaga, gdyż młodzież albo drzwi wysadzi, albo się przez parkany do wnętrza domu dostanie. Wówczas następuje batalja nieopisana, z której wszyscy beligeranci wychodzą zmoczeni, złani wodą, wymazani różnobarwnemi proszkami, lub nawet błotem — słowem niepodobni do ludzi. W ogólnem rozgoryczkowaniu każdy chwyta, co może, co mu bliżej pod rękę podpadnie.

Razu pewnego przybyłem w sobotę przed środą popielcową do miasteczka Cutervo, gdzie zmuszony byłem zatrzymać się przez niedzielę, aby koniowi memu dać wytchnąć. Stałem według zwyczaju u jednego z miejscowych notablów, niejakiego don Gregoria Contreras'a. Dało mi to okazję przyjrzenia się zblizka Ostatkom peruwjańskim w małym miasteczku.

W niedzielę po południu zaczęli się schodzić różni znajomi, należący do miejscowej arystokracji, jak bogatsi kupcy lub okoliczni właściciele ziemscy. Gdy podano obiad, zasiadło nas przynajmniej 15 mężczyzn; kobiety ustąpiły według zwyczaju do kuchni.

Pojawił się kieliszek, któremu już spokoju nie dawano, odsyłając go z rąk do rąk. Rezultat był taki, że wszyscy wstali od stołu dobrze podchmieleni. Wówczas zaczęła się zabawa godna dzikich ludzi, a nie cywilizowanych przedstawicieli peruwjańskiego narodu. W pobliżym domu stało we drzwiach kilka dziewcząt. Spostrzegłszy je, wysunęło się z naszej grupy kilku „caballeros“ i pochwywszy w garście błota (czas był dżdżysty), zaczęło bombardować niem dziewczęta, które też nie omieszkały na atak ten odpowiedzieć. Rozpoczęła się więc kanonada na dobre, udział w niej jednak brało tylko trzech mężczyzn, gdy reszta stała nieco opodal, zachęcając słowami walczących. Kieliszki krążyły tymczasem i śmiechom końca nie było, gdyż rzeczywiście bywały tam i bardzo komiczne sceny. W końcu i panie i panowie tak byli błotem wymazani, że ich niepodobna było rozpoznać. Gdy zmierzchny zapadł, obie walczące strony wykapały się, gdzie kto mógł, a zmieniając ubranie, pojawiły się w domu jednego z bogatych kupców gdzie — już całe towarzystwo czekało na ich przybycie. Ten dzień karnawału jak zwykle zakończono tańcami.

Ważną rolę w zapasach karnawałowych odgrywa ten niewinny a użyteczny instrument, którym matki leczą różne dolegliwości swych dzieci. Używany jako sikawka oddaje niemałe usługi, szczególnie w wprawnem ręku kobiet, które przy jego pomocy oblewają atakującą młodzież. Rzucanie pełnych (niewydmuchanych) jaj przedstawia tę niedogodność, że przy silnym rzucie, gdy jajo w głowę cienkim końcem uderzy, nie pęka i może poważną ranę spowodować. Wśród ogólnego jednak szału ktoby patrzył na takie drobnostki. Ogólnem hasłem jest wtedy: „Que vivan las carnes.”¹⁾

Karnawał trwa tylko trzy dni, to jest przez niedzielę, poniedziałek i wtorek przed środą Popielcową. Często jednak rozhukana młodzież niepomna, że czas postu już nadszedł, hula jeszcze w środę a nawet i w czwartek, a wtedy dopiero przychodzi refleksja i wszelkie zabawy zawieszonemi zostają.

W karnawał też, czyli w ostatki wypada uroczystość, drzewka zwanego pospolicie „unsza.“ Analogja jego z naszą choinką wigilijną skłania mnie do powiedzenia o niem słów kilku, tem więcej, że nazwa indyjska wskazuje na dawny, endemiczny początek jego, a nie na hiszpańską naleciałość, jakby to zrazu sądzić można było.

Do „unszy“ wybiera się mayordomo, jak i do wszelkich innych festynów; jest nim zwykle jeden z zamożniejszych wieśniaków, lub obywateli miejskich. Zrana zbierają się u niego zaproszeni goście i gdy kobiety zajęte są sporządzeniem obfitego jadła, młodzież idzie do poblizkiego lasu, wybiera tam nie grube, lecz wyniosłe drzewo, a ogołociwszy je z liści lub mniejszych gałązek, przynosi przed dom, gdzie inni tymczasem dół kopią. Gałęzie

¹⁾ Karnawał a raczej ostatki zwą się też w Peru pospolicie „las carnes“ (carne = mięso) prawdopodobnie dla wielkiej obfitości mięsa, jakie się wtedy zjada.

obwiesza się pomarańczami, ananasami, chlebkami, kupionymi w mieście etc. Na czubku w braku narodowej flagi powiewa żółta z białymi kropkami chustka. Tak ubrane drzewko wszyscy mężczyźni zjednoczonymi siłami wstawiają w przygotowany dół i zakopują. Przez cały ten czas, jak wogóle przez ciąg zabawy kieliszek krąży bez końca. Wreszcie rozścielają u stóp drzewka obrus, na nim rozkładają ser, chleb, „biscochos” (biskuity) etc. parę buteleczek wódki, a gospodarz domu, zasiadłszy wraz z żoną, na pryncypalnym miejscu, zaprasza innych; ktoś ze starszych odmawia *Benecidite* i jedzenie rozpoczyna się od wódki. Po śniadaniu u stóp drzewka rozpoczynają się tańce; w braku gitary jeden śpiewa, a drugi dudni w takt na ogromnym bębnie. Zabawa trwa do wieczora, a następnego dnia odbywa się operacja ścięcia „unszy“ i ten kto zetnie drzewko musi następnego rok u siebie podobne postawić. Gdy „unsza” pada wszyscy rzucają się na nią i rozrywają pozawieszane łakocie.

W miasteczkach widzieć można po kilka naraz drzewek, obwieszonych zwierciadełkami, chustkami, wachlarzykami, używanymi do rozdmuchiwania ognia, owocami i. t. p. Ścięcie drzewka odbywa się przy dźwiękach orkiestry. Przyzwoita „unsza” kosztuje właściciela kilkanaście solów, nie licząc w to wydatków na przyjęcie gości.

Święto odnalezienia Krzyża Pańskiego, zwane „La Cruz de Mayo” (3 maja) święconem bywa uroczyscie. Mieszkańcy urządzą partjami wycieczki za miasto, gdzie każda rodzina zwykła mieć w okolicy swój krzyż, który co roku w ten dzień ubiera się kwiatami i żywymi roślinami. Towarzystwo bawi się wesoło, tańczy, zajada zimne przekąski i... popija to wszystko wódką, niezbędną przy wszelkich zabawach.

Do ulubionych też świąt należy dzień Ś-go Jana (24 czerwca) obchodzony zwykle po miasteczkach walkami byków, które dni kilka trwają. Podróżny, przebiegający w tym czasie kraj, zdziwiony niepomału bywa usłyszawszy gdzieś na zakręcie drogi dziwny głos jakby trąby: to Indjanie prowadzą do miasteczka dzikie byki, ostrzegając przejezdnych o niebezpieczeństwie przy pomocy trąb, zrobionych z bambusu. Zwą się te trąby „bocinas” i służą do alarmowania przejezdnych przy pędzeniu dzikiego bydła.

Wszyscy usuwają się wtedy z drogi, gdyż spotkanie z takimi bykami do niebezpiecznych należą. Zwykle bykom towarzyszy kilka krów zwanych „madrinas”, gdyż zauważono, że w takim towarzystwie są one mniej złośliwe. Koszta sprowadzenia byków, jak i urządzenie całej zabawy ponosi „mayordomo”.

Walki odbywają się na rynku, którego cztery rogi zamyka się czasowym parkanem. Publika mieści się na balkonach i we drzwiach sklepów, a także u wejścia do ulic wychodzących na rynek. Młodzież miejscowa konno lub pieszo bierze także udział w tych zapasach, gdyż tauromachja należy równie dobrze do sportu południowo-amerykańskiego, jak u nas myślistwo lub konna jazda i każdy młodzieniec obowiązkowo musi znać niektóre ta-

jemnice tej sztuki, jeżeli nie chce narazić się na wżgardę płci pięknej. Prywatni jednak „torreadores“ ograniczają się tylko na ewolucji zwanej „sacar el lance“, a polegającej na wytrzymaniu ataku byka i odskoczeniu w bok w chwili, gdy nas już ma rogami dosięgnąć, podsuwając jednocześnie kolorowe poncho, w które zaślepiiony zwierz uderza. „Sacar el lance“ można także konno, lecz w takim razie wierzchowiec musi być doskonale ujeżdżony, nadzwyczaj miękki w pysku i czuły na ostrożę, aby w czas wykonania rozkazujące poruszenie jeźdźca.

Zwykle zabawy takie po serrańskich miasteczkach kończą się poturbowaniem lub zabiciem jakiego pijanego spektatora, gdyż na plac, gdzie się uwija rozjuszone bydłę, wolno wystąpić każdemu; zdarza się nawet, że dzieci biorą udział w tych niebezpiecznych zabawach, czepiając się ogona byka. Kończy się to wszystkim wystąpieniem najętego „espada,“¹⁾ który albo sam zabija byka, albo przez niego rozprutym bywa, gdyż i tego rodzaju wypadki zdarzają się niekiedy.

Wogóle wszelkie zabawy w Peru grzeszą nadmiernem użyciem trunków, bez których nie może się odbyć żaden festyn, żadne większe zgromadzenie. Dość jest powiedzieć, że cała ogromna produkcja wódki, jaką wyrabiają wszystkie górskie doliny serrańskie, konsumuje się na miejscu. Skutki takiego nadużywania są fatalne, gdyż zwykle zabawy kończą się bójkami i krwawymi scenami, chociaż przyznać trzeba, że serrani odznaczają się wogóle spokojniejszym temperamentem, aniżeli pomorzanie. I tu jednak nienawiści osobiste lub partyjne znajdują często potężnego bodźca w nadużywaniu trunków. Wykonywanie sprawiedliwości jest zwykle płocze lub stronne, co także przyczynia się niemało do powiększenia samowoli

Biedniejszych przestępców, jak Indjan lub czolów karzą zwykle więzieniem lub dybami (cepo). „Cepo“ są to duże bardzo grube deski z otworami, w które kładzie się głowę, nogi, lub ręce delinkwenta, stosownie do przestępstwa. Tak więzionego pozostawia się przez kilka lub kilkanaście godzin na placu przed kościołem, gdzie jest pośmiewiskiem wszystkich. Jest to więcej kara moralna, aniżeli fizyczna, gdyż pacjent oprócz niewygodnej pozycji, żadnych innych cierpień nie przechodzi. „Cepo“ używanym jest głównie po osadach wiejskich. Kara cielesna w Peru nie istnieje.

Morderstwa, bardzo zresztą liczne w Peru, rzadko kiedy karane bywają, a największa kara za nie jest 15 lat więzienia. Wyrok taki może tylko wydać Sąd apelacyjny zwany tu Tribunal Superior; gdy jednak obwiniony apeluje, ostateczną decyzję wydaje Corte Suprema (trybunał najwyższy), mający siedzisko w Limie i złożony z pięciu członków. Wszelako wewnątrz kraju wymiar sprawiedliwości jest rzeczą bardzo rzadką, a zbrodniarz,

¹⁾ Porównaj rozdz. II-gi tomu I-go niniejszej pracy.

ukrywszy się zrazu po dokonaniu zbrodni, czeka, póki o nim nie zapomną, poczem zjawia się znowu w okolicy, pewny prawie, że go nikt prześladować nie będzie. Rodzina poszkodowanego osobiście nieraz zemstę swą wywiera i w skutek tego nierzadkie wypadki stosowania prawa Lyncha przytrafiają się w Inkazji.

Peruwjanin tak przywykł do samowoli, że wszelka presja, dążąca do ukrócenia jej, wywołuje silną i niebezpieczną reakcję. Każdy prefekt, podprefekt, lub gubernator, obdarzony bardziej despotycznym charakterem, zyskuje wnet miano tyrana i życiu jego zagraża wtedy poważne niebezpieczeństwo. W mieście Chota, w którym się właśnie zatrzymaliśmy, rozchukany lud zamordował w drzwiach kościoła jednego z podprefektów dlatego, że starał się ograniczyć samowolę mieszkańców. Inny znów, niejaki Guerrero ratował się ucieczką od niechybnej śmierci, lecz za to znienawidzona jego rodzina i krewni zapłacili krwią swoją. Guerrero zyskał sobie nieprzyjaźń chotańczyków tem głównie, że przestrzegał porządku w mieście i wszelkie wykroczenia karał grzywnami. Zrobiono rewolucję lokalną i energiczny podprefekt musiał ratować się ucieczką, gdyż inaczej śmierć go czekała. Zamieszkał w Chepen, gdzie go poznałem.

Brat jego czy kuzyn miał niedaleko od Chota folwark, w którym zamieszkiwał wraz ze swym synem. Pewnego razu wysłano doń oficera z kilku żołnierzami, aby wyegzekwować jakąś sumę, należącą do miejscowej Dobroczyńności, a ulokowaną czasowo u Guerrery. Ten jednak przyjął wystawców kulami i ranił, czy nawet zabił jednego z żonierzy. Gdy wieść o tem nadeszła do miasta, ludność zawrzała: tajona nienawiść do całego rodu Guerrerów wybuchała, jak wulkan. Setka najgorętszych (a były między nimi i kobiety) wyruszyła natychmiast ku folwarkowi nienawistnego Guerrery, lecz ten zdołał się już obwarować i z okien przyjął napastników wystrzałami. Nic to jednak nie pomogło. Folwark wzięto szturmem, starego Guerrerę¹⁾ zabito na miejscu, a syna poprowadzono do miasta wśród dzikich krzyków rozpasanej tłuszczy, która go biła, policzkowała, oplwała, aż w końcu nieszczęsny pod razami ducha wyzionął. Trupy obu Guerrerów przywiązano następnie do grzbietów mulów i obwożono po całym mieście, a jednocześnie zaczęto szykować stos na środku placu, aby je spalić, jak niegdyś spalono w Limie trupy trzech braci Gutierrezów. Piękny przykład tłuszczy limańskiej poskutkowało. Na szczęście interwencja kilku rozsądniejszych mieszkańców zapobiegła temu barbarzyństwu i ciała nieszczęsnych pochowano na cmentarzu.

W przyszłości postaram się zapoznać czytelnika z jedną z lokalnych rewolucji, a teraz rozpocznę na nowo przerwany wątek mojej podróży.

¹⁾ *Nomen omen.* „Guerrero” znaczy po hiszpańsku wojownik.

ROZDZIAŁ IV.

Chota.—Jarmark w Cutervo.—Tambillo.

Przypomni sobie czytelnik, żeśmy d. 22 lipca 1877 r. stanęli w Chota, lokując się u miejscowego gubernatora, don Clemente Regalado, którego Jelski znał już z poprzedniej swej prowizorycznej wycieczki do prowincji Jaen. Regalado, równie jak i jego żona okazali się doskonałymi ludźmi, starającymi się dogodzić nam we wszystkim. Odstąpili nam całą tylną oficynę swego domu, składającą się z wielkiej sali, z przyległym „corralem”, w którym konie nasze trzymaliśmy, karmiąc je obficie lucerną, gdyż długa podróż w Punowym regjonie, gdzie pastwiska nie do najlepszych należą, wycieńczyła je bardzo.

W Chota zastaliśmy już 7 skrzyń z naszego ładunku, wysłanego przez Gallarda z Chepen. Okazało się, że prawie wszystkie do mnie należały. Zrobiłem natychmiast przegląd ich i znalazłem wszystko w porządku. O reszcie jednak ładunku nie było nic słychać i towarzysz mój, pozbawiony wszelkich narzędzi, znalazł się w niemałym kłopotcie. I tak jednak z Chota nie mogliśmy wyruszyć przed jarmarkiem w Cutervo, na którym wypadło nam się zaopatrzyć w rozmaite przedmioty, potrzebne do wyprawy, jaką zamierzaliśmy odbyć do prowincji Jaen. Do jarmarku brak jeszcze było trzech tygodni czasu, które postanowiliśmy zużytkować na pobieżną eksplorację okolic Choty.

Ekskursję, jakie tam odbywałem, nie wydały świetnego rezultatu, gdyż okolica okazała się zbyt zamieszkałą, aby różnaitość ptactwa wyżywić. Nie mniej jednak przybyło kilkadziesiąt gatunków, znanych już nam przeważnie z poprzednich eksploracji Jelskiego w Środkowym Peru. I tu wszelako znalazł się jeden nowy gatunek mucholówki amerykańskiej (*Anaeretes nigrocristatus*), opisany następnie przez Tuczanowskiego w jego klasycznym dziele „Ornitologie du Pérou”.

Gdy ja byłem zajęty wycieczkami w okolicy miasta, Jelski zrobił wycieczkę do prowincji Jaen, aby się przekonać, czy nasz przyszły gospodarz, Martinez, żyje i mieszka jeszcze w Tambillo, gdzieśmy sobie siedlisko zamierzali obrać. Od pierwszej wycieczki

Jelskiego do tej miejscowości upłynęło już blisko dwa lata, mogły więc tam zajść przez ten czas jakie niekorzystne dla nas zmiany, a nie wypadło się puszczać z ładunkiem na niepewne. Jelski spotkał się z Martinez'em w osadzie Shauyn,¹⁾ gdzie porobił niektóre zakupy, jak kukurydzy, fasoli i t. p., poczem wrócił do Chota. Ładunek jego nie przybył z Chepen, co go znów skłoniło do wycieczki do Hualguayoc, aby się rozmówić z Gallardem co do opóźnienia wysyłki jego ładunku. Ja tymczasem znalazłszy okazję, wyprawilem moje 7 skrzyń do Cutervo.

W Chota tymczasem czuć było zbliżanie się jarmarku, na który przynajmniej $\frac{3}{4}$ mieszkańców wyrusza. We wszystkich domach kobiety zajęte były wykończaniem szali, gdy jednocześnie mężczyźni dozorowali robotę pellonów. Po kuchniach bieranina i rwetes, gdyż trzeba przyrządzić „fiambre”—to jest zimne jedzenie, jakie każdy Peruwjanin bierze zawsze ze sobą w drogę. Więc pieczono świnki morskie, przyrządzano tamale, tłuczono „aji”—pieprz kajeński—stanowiący niezbędną przyprawę wszystkich peruwjańskich potraw. W trakcie tego zgiełku nadciągnął Jelski z Hualgayoc, gdzie wytoczył swą sprawę Gallardem przed miejscowego podprefekta. Gallardo obiecał wysłać natychmiast arrierów do Chepen, lecz czas mijał, a skrzynie mego towarzysza nie nadchodziły. Zdecydowaliśmy wtedy, że ja ruszę sam na jarmark do Cutervo, tam zakupię wszystko, co nam będzie do Tambillo potrzebne i zaraz potem udam się z mym ładunkiem do nowej naszej siedziby, aby robotę rozpocząć. Jelski tymczasem miał czekać na swój ładunek, póki ten do Chota nie przybędzie.

Dnia 13 sierpnia wyruszyłem sam jeden na mym wypoczętym rumaku do Cutervo. Drogi wprawdzie nie znałem, lecz w tym czasie trudno było zbłądzić, taka masa ludu ciągnęła na jarmark: jedni mnie wymijali, innych ja wymijałem. Mnóstwo z nich pomimo rannej pory (była godzina $7\frac{1}{2}$ rano) było już tak spitych, że się ledwie na siodle trzymali. Ja dla nich byłem przedmiotem ciekawości, gdyż na pierwszy rzut oka poznawali, że to „gringo”—cudzoziemiec; niektórzy puszczali też na mój rachunek dowcipki, na które nawet uwagi nie zwracałem.

Droga zrazu prowadzi prawym spadkiem doliny czotańskiej, nie przedstawiając gwałtownych spadków—„travesia” według wyrażenia krajowców. Dopiero o półtorej godziny jazdy od miasta, zaczyna się gwałtownie piąć do góry, aby osiągnąć kilku chat, zwanych Marcopampa, a leżących na 10,000' nad poz. morza.²⁾ Przeciąwszy niewielką równinę Marcopampa, droga pnie się znów pod górę, aż póki nie dosięga grzbietu dzielącego system rzeki Chota od systemu jakiegoś małego strumienia, będącego jej dopływem. Tu leży miejscowość zwana Tambillo³⁾ i reprezentowana

¹⁾ Czytaj Szauyń.

²⁾ Chota liczy 8000' nad p. m.

³⁾ W Peru mnóstwo miejscowości nosi nazwę Tambillo. Jest to wyraz zdrobniały od „tambo”—szopa, zajazd, karczma.

przez szepę bez ścian, zbudowaną dla wygody podróżnych. Prostopadła ściana skalista wznosi się ponad samą drogą, która wężykiem wije się po stromym spadku. Tambillo słygnęło zawsze z napadów rozbójniczych. Rzeczywiście trudno sobie wybrać miejscowość lepszą do zasadzki. Bandyci zaczajali się ponad drogą, zkad staczali kamienie na przejezdnych podróżnych. W takich warunkach trudno jest nawet myśleć o obronie.

W Tambillo spostrzegłem kilka straganów z czyczą, wódką, guarapo¹⁾ i różnemi zakąskami. Mnóstwo podróżnych popasa tu, aby dać koniom wytchnąć i samym głód zaspokoić. Ja jednak spieszyłem do Cutervo i nie zatrzymując się przejechałem grupy podchmielonych krajowców, a przebywszy jeszcze kilka spadków niezmiernie przykrych dla wierzchowca, ujrzałem o godzinie 3-ej i pół po południu wynurzające się miasto Cutervo z szachownicą pół jęczmienia, kukurydzy i lucerny. Na podmiejskich pastwiskach widać było mnóstwo czarnych punktów: — to konie i muły jarmarkowiczów. Stragany też stawały się coraz częstszymi, a przy nich grupy ludu wrzaskliwego, śpiewającego, podchmielonego. O godzinie 4 ej po południu wjechałem do Cutervo.

Ulice tak były tłumem zapchane, że na niektórych ledwie można było przejechać. Na szczęście Jelski w wycieczce swojej do Shauyn wynajął dla mnie izbę na cały czas jarmarku. Położona była w domu niejakiego Collazos, gubernatora miasteczka Socota, na rogu placu i jednej z głównych ulic. Za pokój ten, w którym oprócz tapczana, ławeczki, stołu i masy pcheł nic więcej nie było, zapłaciłem 4 pesos, gdyż mieszkania podczas jarmarku drożeją tu niesłychanie. Za tę samą izbę płaci się w zwykłym czasie po jednym peso miesięcznie. Oprócz sklepów i mieszkań wynajmuje się na czas trwania jarmarku podwórza i okapy domów, taki jest podówczas napływ ludności. Liczą, że Cutervo mieści mniej więcej 30,000 dusz podczas wielkiej ferji sierpniowej.

Jarmark ten ma głównie na celu zamianę pomiędzy prowincją Jaen i Pomorzem. Pierwsza dostarcza tytoniu i kakao, a w mniejszym stopniu kawę, ryż i cukier brunatny; kupcy znów pomorscy przywożą ze sobą różne towary europejskie, jak tkaniny, narzędzia, świecidla i t. p. Nadto prowincja Chota dostarcza znanych nam już szalów i pellonów, a Catacaos (na Pomorzu) i Moyobamba — kapeluszy słomkowych, znanych u nas pod niewłaściwą nazwą panamskich. To są główne artykuły jarmarczne, lecz oprócz tego spotkamy tu wszystko, co do życia powszedniego serranów jest potrzebem, jak np. bydło rogate, konie, muły, barany, tkaniny krajowe etc. etc.

Kupiecka żyłka peruwjan staje się widoczną na tym jarmarku. Każdy wtenczas zamienia się na kupca; każdy ma coś do sprzedania. Za przykład niech nam służy rodzina Regaladów — naszych gospodarzy z Chota. Składała się ona z ojca rodziny, jego połowicy

¹⁾ Guarapo — pofermentowany sok z trzciny cukrowej.

syna, kuzynki i siostrzeńca. Pani Regalado zajęta była sprzedażą swych szali, w czym jej dopomagała kuzynka. Mąż tymczasem wziął na kredyt od jednego ze znajomych kupców kilka sztuk płótna bawelnianego i perkaliku, wyciągnął z mojej izby ławeczkę na plac i rozpoczął na dobre handel, a był to gubernator, niegdyś nawet podprefekt prowincji. Syn zaś jego i siostrzeniec—oba wyrostki lat 16—18 — pochycili każdy po kilka chustek, grzebyków i nieco świecideł i dalejże po placu zachęcać prostodusznych wieśniaków i wieśniaczki do kupowania. Tym sposobem handel rozbija się do nieskończoności i w rezultacie niewiele mniej jest sprzedających jak kupujących, gdyż każdy chciałby coś zarobić podczas tego sławnego jarmarku. Właściwie zaś jest jaki dziesiątek kupców hurtowych, już to z Pomorza, już to z Cutervo, Chota lub Cajamarca, a reszta są to tylko zaimprovizowani handlarze, rodzaj dependentów tych wielkich tuzów.

Wysoce charakterystycznym jest zachowanie się tych rzekomych kupczyków, którzy pod każdym względem przypominają naszych małomiasteczkowych żydków. Spójrzmy na Regaladę: wlaź na ławeczkę, aby nad tłumem dominować i krzyczy bez ustanku, tak, że pod koniec ochrypl biedaczysko:

— Zbliżcie się chłopcy i dziewczęta! Teraz jest chwila kiedy się dają oszukać! Zobaczmy, kto mnie oszuka! Do wołowej skóry (niby płótno tak mocne jak wołowa skóra). Doskonale płótno po realu łokieć (vara). Chodźcie chłopcy i dziewczęta! ¹⁾ I piosenka ta trwa przez kilka dni z rzędu we wszystkich punktach rynku i ulic sąsiednich.

Jednocześnie różnobarwny tłum kręci się pomiędzy straganami i po sklepach, wietrząc gdzie taniej żądany towar nabędzie. Tu charakterystycznie odziani wieśniacy z majątków Yanacancha i Llaucan, w wysokich filcowych kapeluszach miejscowego wyrobu, z długimi warkoczami z tyłu i w spodniach rozciętych po bokach od kolana do dołu; na nogach noszą rodzaj wełnianych pończoch bez podeszwy. Owdzie „los mundzas”—czyli mieszkańcy departamentu Loreto (Moyobamby); ci na własnych plecach przynieśli swój towar i w podobny sposób zaniosą nabyte przedmioty; dalej „los chachas” jak zwą powszechnie mieszkańców miasta Chachapoyas i jego okolic; „los catacaos”—z pomorskiego miasta Catacaos, słynnego z wyrobu kapeluszy panamskich; „los juridicos”—mieszkańcy prowincji Jaen, czyli „de la Juridicion”, jak mówią pospolicie serrani. Między tym tłumem wyróżniają się elegancko odziani kupcy pomorscy lub serrańscy, którzy pomimo przejmującego chłodu rankami i wieczorami—Cutervo leży na 9,000' nad poz. morza—wołą dzwonić zębami, aniżeli nałożyć ludowe poncho. W zwykłych warunkach każdy z nich nosi poncho, lecz szyk jarmarczny stanowczo nie pozwala na ten ubiór podczas ferji, a każdy,

¹⁾ Arrimarse los muchacahos, arimarse las muchachas! Ahora es tiempo de enganarme! A ver, quien me engana! Al pellejo de toro. Buen tocuyo a real la vara! Arrimarse los muchachos! Arrimarse las muchachas!

czy to serrano czy pomorzanin, gdy ma tylko pretensję należenia do stanu „caballero”, za nic w świecie nie przekroczy tego przepisu. Palt ciepłych nie mają, gdyż te nie są w użyciu wewnątrz kraju, poncza się wstydzi, więc ziębnie i z nogi na nogę przestępuje.

Jakkolwiek znaczna część przybyszów już na trzy lub cztery dni przed 15-tym sierpnia napływa, prawdziwy jednak ruch jarmarczny rozpoczyna się dopiero w wilgę święta: każdy ociąga się z kupnem lub sprzedażą, gdyż każdy chciałby jaknajdrożej sprzedać, a jaknajtaniej kupić, więc zwłóczy do ostatniej chwili. Dopiero d. 14-go rozpoczynają się na dobre wszelkie tranzakcje, a główny ruch wypada na sam dzień święta, gdyż po niem większość prostego ludu, to jest partji eksploatowanej, rozjeżdża się do domów.

Rok jednak 1877 okazał się bardzo niekorzystnym dla ogólnego ruchu jarmarcznego. Czuć było zbliżający się krach finansowy i ogólny brak monety brzęczącej tamował w znacznym stopniu tranzakcje. Taniaść wskutek tego była niesłychana. Ładunek tytoniu np., wynoszący około 200 funtów, sprzedawano po 20 pesos (80 franków), gdy lat poprzednich średnia cena była dwa razy większa. Szale wartujące 10 pesos, sprzedawano po 5 do 6 pesos i wszystko w tym samym stosunku. Najwięcej potracili na tem kupcy hurtowi. Między innymi mówiono mi, że niejaki Munoz z Guadalupe (na Pomorzu) zapłacił za sam transport swych towarów z Pomorza do Cutervo około 2,000 pesos, a sprzedał ledwie za tysiąc kilkaset. W końcu, gdy widziano, że niema innej rady, wymieniano wprost towary jedne na drugie bez uciekania się do pośrednictwa brzęczącej monety.

Jeżeli jednak jarmark zrobił fiasco jako środek zamiany, za to jako feta udał się doskonale. Było poddostatkiem wódki, czyczy i guarapo, były ognie sztuczne, była muzyka. Pito więc, tańczono, hulano. Muzyka grała na placu, a rakiety pękały, obsypując iskrami ciekawych.

Dzień 15-go sierpnia jest najważniejszym z całej ferji. Lud wylega zbitą masą na plac, który go jednak pomieścić nie może; wszystkie też sąsiednie ulice są zapchnane różnobarwnym tłumem. W kościele odbywa się solenne nabożeństwo z procesją, podczas której obnoszą figurę Matki Boskiej. Gdym spojrzał z mego ganku na ten tłum różnobarwny, śledzący nabożnie za ruchem świętego orszaku, przypomniały mi się nasze wiejskie odpusty i myśl moja pobiegła daleko poza Ocean.

W dniu 16 sierpnia ruch jarmarczny jest w pełni rozwoju, pomimo, że znaczna część przybyszów wyruszyła już do swych siedzib. Teraz każdy spieszy ze sprzedażą swego towaru, aby na koszu nie pozostać; ceny spadają jak za skinieniem laski czarnoksięskiej, handel porusza się na dobre. Dnia następnego Cutervo wyludnia się zupełnie, pozostają tylko hurtownicy i mieszkańcy miasta.

Zrobiwszy jeszcze w d. 17 sierpnia wycieczkę do Chota, po-

wróciłem dnia następnego do Cutervo i natychmiast zająłem się wyszukaniem arrjerów do Tambillo. Gospodarz mój don Abelino Collazos, podjął się przewiezienia mego ładunku, do którego potrzeba było 5 mułów: Wyprawiwszy ładunek z człowiekiem Collazos'a, sam ruszyłem w towarzystwie jego i rodziny jego do Socota w dniu 26 sierpnia. Jechaliśmy ważnym szlakiem, łączącym prowincję Jaen z Cutervo, a tem samym z miastami Chota i Cajamarca; drugi taki szlak prowadzi z Chota przez miasteczka Tacabamba i Cujillo do Jaen. Droga, którąśmy jechali przedostawszy się przez niewysoki grzbiet, otaczający równinę Cutervo, prowadzi łagodnym spadkiem po prawej stronie strumienia, mającego ujście w rzece Socota, a następnie lewym jego brzegiem wśród pól uprawnych. Po czterogodzinnej drodze stanęliśmy w miasteczku Socota, siedzibie mego przewodnika.

Socota, położona na wysokości 6,000 nad poz. morza, posłuży nam za typ tych małych miasteczek, a raczej wsi, które tak często spotykamy w Inkazji. Plac zwany jak zwykle „Plaza de Armas“, pokryty jest bujną trawą, na której się pasą konie, muły, barany lub trzoda chlewna. Mała kapliczka i kilka domów stanowią jedyne zabudowania tej części miasteczka. Z placu wychodzi parę ulic, na których widać z dziesiątek domów, zdala jeden od drugiego położonych. Peruwjanie nazywają takie osady „pueblo“, lub zdrobniale „publecito“.

Gdy jedziemy z Pomorza lub z gorącej doliny Maranonu, wysokość 6,000' już się czuć daje pod względem temperatury i taki klimat jak Socota wydaje nam się chłodnym. Lecz gdy spuszcza się z prawdziwie chłodnego regionu Sierry, tenże sam klimat, jaki posiadają miejsca położone na 6,000' nad poziomem morza, wyda nam się gorącym, gdyż wszystko na ziemi jest względne. Tak i mnie wydało się, gdym z chłodnego klimatu Cutervo dostał się do miasteczka Socota, położonego w ciasnym i zamkniętym wąwozie, u stóp prostopadłej niemal góry. Trzcina cukrowa i banany udają się tu już bardzo dobrze, a skrzypiący głos młynów do wyciskania soku trzcinowego słychać na wszystkie strony.

W Cutervo pozostał jeden z pięciu moich ładunków, gdyż zabrakło muła pod niego, lecz Collazos zapewniał mnie, że dnia następnego przybędzie i dla tego zatrzymał mnie u siebie, twierdząc, że nazajutrz razem ze skrzyniami będę mógł do Tambillo wyruszyć. W Socota mogłem się zapoznać poraz pierwszy ze sławnym kleszczem, zwanym przez krajowców „garrapata“.¹⁾ Obrzydliwe to stworzenie trzyma się wyłącznie po domach; opuszczone mieszkania żywią ich tysiące i wtedy biada temu, kto zmuszonym jest w takim mieszkaniu osiaść; jeżeli nie przedsięwzięmie środków zaradczych, nocy jednej spać nie będzie w stanie, a silne rozjątrzenie spowodować może gorączkę.

Kleszcz ten (*Argus?*) dochodzi wielkości ziarna fasoli; małe jednak egzemplarze są równie szkodliwe jak i duże. Trudno wy-

¹⁾ Garrapata po hiszpańsku kleszcz.

obrazić sobie coś wstrętniejszego jak to stworzenie: pomarszczony, barwy brudno-szarej z sześcioma małemi nóżkami, robi wrażenie wyschłego woreczka. Gdy się krwią opije, wypełnia się i jest wtedy gładki i połyskujący. Młode biegają szybko, co u kleszczy jest rzeczą niebywałą.

Dniem trzyma się po zagłębieniach ścian, pod podłogą lub na klepisku, wreszcie w belkowaniu pułapu, dopiero w nocy opuszcza swe kryjówki, aby krwią ludzi lub zwierząt głód swój zaspokoić. Ja się od nich w ten sposób zabezpieczałem, że nogi łóżka smarowałem dziegciem norweskim, który zawsze ze sobą w podróży wozilem; lecz i wtedy niektóre sprytniejsze osobniki dostawały się do mej pościeli w ten sam sposób, w jaki nasze pluskwy sobie radzą, to jest wydostawały się na sufit i ztamtąd spadały na łóżko.

Krajowcy, gdy im na ziemi wypadnie nocować, zabezpieczają się od kleszczy w ten sposób, że pościel otaczają postronkiem z włosienia końskiego. Postronek taki jest zawsze najeżony końcami włosów i kleszcz po nim chodzić nie może. Ma to być środek niezawodny.

Uklucie tego kleszcza jest nadzwyczaj zjadliwe i sprawia swierzb, który niekiedy do miesiąca czasu się powtarza. Pośrodku miejsca zakłutego tworzy się mała czarna plamka, otoczona wkoło opuchlizną, która w pewnych razach dochodzi znacznych rozmiarów. Widziałem ludzi zakłutych w powiekę: wyglądali, jakgdyby im kto oko podbił, tak było zasinione i opuchnięte. Silniejsze poklucia, pochodzące od znacznej liczby osobników, powodują zwykle silną gorączkę, upadek apetytu i dreszcze — słowem wszelkie symptomata zimnicy.

W podróżach moich miałem sposobność zaznajomienia się z rozmaitymi pasorzytami ciała ludzkiego, lecz stanowczo twierdzić mogę, że ten należy do najwstrętniejszych, a może i najstraszniejszych. Dość jest przytoczyć następujący wypadek, opowiadany mi przez ludzi wiarogodnych. W miasteczku Anguia (w bliskości Socota) odbywał się jakiś festyn, podczas którego raczono się jak zwykle wódką. Jednego z awanturniczych pijaków zamknięto do kozy, strasznej obfitością kleszczy i zapomniano o delikwencie przez dzień następny. Znalaziono już tylko trupa literalnie zabitego przez te wstrętne pasorzyty. Od tego czasu wszystkie festyny w Anguia przechodzą nadzwyczaj spokojnie.

Kleszcz ten zdaje się być tylko właściwym północnym częścią Peru, a mianowicie systemowi górnemu Maranonu.)¹⁾ Nie slyszalem o nim w Ekwadorze; nic mi też Jelski nie wspominał, aby się znajdował w środkowym Peru. Głównym siedliskiem jego są gorące doliny dopływów Maranonu w granicach 3000' do 7000' nad poz. morza; brak go prawie zupełnie w chłodnym regionie Siery, oraz w bardzo gorących dolinach, położonych niżej 3000' n. p. m. Zdaje się też unikać miejscowości bardzo wilgotnych,

¹⁾ Maranonem nazywa się górna Amazonka.

gdyż go nie spotykałem w leśnych obszarach, pomimo, że obfitywał na tych samych wysokościach w sąsiednich bezleśnych, a przez to suchszych dolinach.

Krajowcy boją się go jak ognia, gdyż według ich zdania „garrapata” propaguje straszną chorobę, zwaną w północnem i środkowem Peru „uta” lub „lepra” (trąd)—a w Boliwji „llaga (rana). Jest to rakowata rana, która się rozwija zwykle na delikatniejszych częściach ciała, jak na twarzy, uszach lub rękach — rzadziej na nogach. W początkach choroby można ją podobno leczyć prostą kauteryzacją; widziałem nawet osoby w ten sposób wyleczone; gdy się jednak raz rozwinie, już wtedy ratunku niema i rana rozszerzając się powoli, zjada ciało: uszy lub nos odpadają, ręce i nogi pokrywają się jedną olbrzymią raną. Nigdy nie zapomnę pewnego kolonisty w okolicach Maranonu, jak mi odkrył swe nogi pokryte aż do pasa jednym strasznym trądem.

— Od lat dziesięciu — mówił mi ten nieszczęśliwy — błagam Boga, aby mnie zabrał do chwały Swojej, gdyż życie mi zbrzydło przy strasznych cierpieniach, jakich nieustannie doznaję.

Widok jego budził we mnie litość, strach i odrazę.

Według zdania wspomnianego przez nas wielokrotnie podróżnika Raimondiego, „uta” jest poprostu syfilisem a w takim razie wszelkie przypisywanie kleszczom bezpośredniego szczepienia tej choroby jest bajką. Uczony ten mówił mi, że widział wypadki uty, powstającej wprost od zakłucia się kolcem kaktusa co dowodzi, że jest to zaraźliwawa choroba, którą zaatakowany zostaje cały organizm, a rana spowodowana zakłuciem kleszcza lub kolca, jątrzy się tylko, lecz nie jest bezpośrednio wywołaną tem zakłuciem. Z innych znów względów trudno jest pogodzić hipotezę Raimondiego z niektórymi danymi, dotyczącymi tej ciekawej choroby. I tak np. syfilis jak wiadomo propaguje się najwięcej w umiarkowanych lub zimnych klimatach; Kamczatka i Estonja są prawdziwemi siedliskami tej choroby; tymczasem „uta” w umiarkowanych regjonach Sierry jest prawie nieznaną, a głównie szerzy się po gorących dolinach na średniej wysokości 5000' nad poziomem morza, w granicach uprawy trzciny cukrowej. Obok tego przytoczyć też muszę nierzadkie wypadki leczenia uty za pomocą prostej kauteryzacji bez użycia wewnętrznych środków; a ważnym też argumentem, naruszającym pewność twierdzenia Raimondiego, jest szczególniejsza lokalizacja choroby peruwjańskiej, która stale trzyma się pewnych miejscowości ograniczonych. Między innymi zapewniano mnie, że zaraza ta jest bardzo rozpowszechniona na lewym brzegu rzeki Utcubamba, płynącej u stóp miasta Chachapoyas, gdy prawa strona doliny jest wolną od niej. Dziwić się tylko należy, że żaden z medyków peruwjańskich nie zajął się dotychczas wystudjowaniem tej choroby, gdyż tylko specjalista mógłby tę kwestję należycie rozstrzygnąć.

W północnem Peru rzeczywiście „uta” i kleszcze zwykle towarzyszą sobie nawzajem, a ponieważ ukłucie tych ostatnich może w wielu wypadkach wywołać objawy choroby, ztąd też wyro-

dziło się u miejscowej ludności przekonanie, że kleszcze powodują utę, a zarazem strach przesądny ku tym plugawym stworzonkom. Przy bardzo znacznej obfitości kleszczy możebną jest nawet rzeczą, że w niektórych wypadkach mogą one przeszczepiać zarazek choroby z jednej osoby na drugą.

Znajomość, jaką zaraz na wstępie z kleszczami zawarłem, oraz liczne opowiadania o strasznej chorobie, rzekomo przez nich rozsiewanej, niekoniecznie dobrze usposobiły mnie, mając jednak główny cel wyprawy na widoku, zapomniałem wkrótce o tych plagach, cały pochłonięty myślą przyszłych prac naszych w Tambillo. Niecierpliwilo mnie tylko, że jeden mój ładunek w tyle pozostał i pomimo zapewnień Collazos'a nie nadchodził. Zdecydowałem się też ruszyć naprzód do osady Shauyn, gdzie należało zakupić jeszcze niektóre artykuły żywności, jak kukurydzę, fasolę, wieprzka i t. d. W środe kazałem sprowadzić mego konia, a naładowawszy go arrobą kawy i paru tuzinami świec łojowych, sam piechotą wyruszyłem w drogę około godziny 11-j przed południem, pędząc przed sobą mego rumaka. Drogi wprawdzie nie znałem, lecz zapewniano mnie, że zbłądzić nie można.

O milę za Socota leży osada Mangallpa, a minąwszy ją wjeżdża się już do obszernych lasów, znanych w departamencie pod nazwą Montana de Palto. Droga w lesie była haniebna i dała mi pojęcie o sławnych drogach prowincji Jaen. Na miejscach równiejszych od kopyt mułów tworzy się rodzaj zagonów, przedzielanych bruzdami tak głębokimi, że w nich ginie prawie cała noga muła lub koni, od ciągłych deszczów zbiera się tam woda po same brzegi, gdyż grunt jest gliniasty, nieprzemakalny. Tym sposobem biedne zwierzę za każdym krokiem zagłębia nogi w bruzdach, zkad je z trudnością wydobyć może, aby w następnej postawić. Przy ciężkim ładunku wymaga to nadzwyczajnych wysiłków, a biedne stworzenie podbija się i z sił opada.

W innych znów miejscach, na spadkach mianowicie, ścieżynka od ciągłego deptania pogłębia się w rodzaj kanału, którym następnie spływa woda obfitych w tym regjonie deszczów, pogłębiając go coraz więcej, aż w końcu tworzy się kurytarz na kilka metrów głęboki i tak wązki, że się w nim ledwie jeden muł naładowany zmieścić może, a o wyminięciu się mowy nawet niema. Zwyczajnie arrierzy, wjeżdżając do takiego kurytarza, krzyczą głośno, aby ktoś z przeciwnej strony nie zapuścił się, gdyż wtedy kłopot wielki, bo ani wyminąć się, ani zawrócić niema sposobu. Są wreszcie miejsca, gdzie glina czerwona tak się od deszczów wygładza na spadkach, że się po niej stąpa jak po mydle, a biedny wierzchowiec utrzymać się na tej pochyłej powierzchni nie może i pada co chwila, koziolkując się po kilka razy. A te schody kamienne po pół metra i po metrze wysokie, z których koń skakać musi, narażając się na połamanie nóg swoich i żeber jeźdźca. Trzeba te drogi widzieć, trzeba je przebyć, aby o nich dokładne mieć pojęcie, gdyż wszelki opis będzie błędny i niedostatecznym. A ciągną się one dziesiątkami mil wszędzie jednakowe, wszędzie równie przy-

kre i niedostępne. Tylko doskonały koń lub muł jest w stanie drogę taką przebyć, a i tak przybędzie zawsze podbity, wychudzony, goniący resztkami swych sił, do których powraca dopiero po paru tygodniach wypoczynku.

Zrozumiem też czytelnik, dlaczego poszedłem piechotą, kierując się do Shauyn. Ładunek mego konia równał się prawie 3 arrobom, gdybym więc wsiadł jeszcze na niego, biedne stworzenie dźwigałoby musiało po tej fatalnej drodze ciężar ponad swoje siły. Koń luzem idący męczy się po tych „caminos reales“, jak je pompatycznie Peruwjanie nazywają, a cóż dopiero mówić o zwierzętach obladowanych.

Minawszy osadę Potrero, złożoną z kilku chat wśród lasu rozrzuconych, przybyłem w 4^{1/2} godziny do Shauyn. Jest to świeżo powstała „hacienda“, należąca do niejakiego Guevary z Tacabamba, który tu zamierzył prowadzić uprawę kawy. Z dziesiątek chat rozrzuconych wśród przeciętego tu i owdzie lasu stanowi całą osadę. Zgłódniały zajechałem do Guevary, który mieszkał tymczasowo u jednego z parobków, gdyż dom mieszkalny jeszcze nie był skończony. Przyjął mnie bardzo gościnnie i prosił do stołu. Obiad był skromny, a składał się jedynie z arracachy i fasoli, którą jadalem z wilczym apetytem. Wogóle przekonać się mogłem, że w tych stronach mięsa jada się bardzo mało, a nieposilne potrawy, jak maniok, arracacha lub kartofle chwilowo tylko głód zaspakajają. W godzinę człowiek znów ma taki apetyt, jak gdyby od 24 godzin nic nie jadł. Ratuja się miejscowi tem, że zwykli jadać trzy razy na dzień, to jest „almuerzo“ (śniadanie), „merienda“ (obiad) i „cena“ (wieczera). Niemniej jednak po miesiącu takiego życia człowiek upada na siłach, pomimo że zdrowie służy mu doskonale.

W Shauyn zakupiłem 20 almudów¹⁾ kukurydzy i wieprzka, którego miałem zamiar w Tambillo zarznąć i uwędzić, a gdy następnego dnia w czwartek przybyły tylko z Socota dwa moje ładunki, ruszyłem z nimi do Tambillo, najawszy za arriera jednego z mieszkańców Shauyn. Drogę z tej miejscowości do Tambillo odbyć można w 3 do 4 godzin. Prowadzi zrazu kawałkami lasu i pastwiskami, aż póki nie wydostanie się na grzbiet zwany Chonta-Cruz, liczący 8000' nad poz. morza. Ztąd obszerny widok odkrywa się na całą dolinę rzeki Tambillo, a właściwie rzeki Malleta,²⁾ która stanowi granicę pomiędzy prowincjami Chota i Jaen.³⁾ Na

¹⁾ Almud jest to miara peruwjańska, niewielki kwadratowy szafliczek, w który się sypie z czubem ile się zmieści. W wadze odpowiada mniej więcej almud peruwjańskiej arrobie (25 funtom hiszpańskim) i jest niemal synonimem powiedziec almud lub arroba.

²⁾ W Peru panuje zwyczaj, że każda rzeka nosi nieraz po trzy i cztery nazwy, brane od miejscowości, obok których przepływa. I tak w mowie będąca rzeka zwie się Rio de Cujillo i Rio de Malleta.

³⁾ W obszernym atlasie Paz-Soldána granica obu prowincji jest poprowadzona po rzecze Chamaya, a następnie przecięta do rzeki Llaucan. Zwróciłem był uwagę Raimondiego na tę niedokładność, którą miał zkorregować w nowem wydaniu swej mapy.

lewo ku zachodowi wznosiły się wysokie koniczne góry Taros, pokryte jednolitym gęstym lasem, który się ciągnął po obu skłonach doliny i tylko ku wschodowi ustępował miejsca pastwiskom. Przed nami na dnie doliny kilka plam jasno-zielonych zwiastowało plantację trzciny cukrowej, należące do Martinez'a i jego sąsiadów; nieco dalej ku wschodowi także plantacje osad Sauce i Ambagay. Wreszcie na prawo, daleko na krańcowym horyzoncie, oddzielone niebieskawą warstwą atmosfery, widniały góry departamentu Amazonas, leżące już po tamtej stronie Maranonu.

Tak więc w tych pięknych lasach mieliśmy osiąść na rok cały. A lasy były rzeczywiście piękne. Już zaraz poniżej Chontacruz na wysokości 7500' opuszczało się „el pajonal“ (pastwisko) i wkraczało do lasu jednolitego. Drzewa były niezbyt wysokie, gdyż lasy górskie nie posiadają drzew tak wyniosłych, jak w częściach kraju gorących. Koszlawe i fantastyczne pnie ich pokrywał mech zielony, a konary dźwigały całe kępy pięknych tillandsji z czerwonym kwiatem pośrodku. Drobnolistne korony łączyły się w gęsty baldachim, tylko miejscami przepuszczający snopy jaskrawego światła słonecznego, a tu i owdzie wystrzeliwał z pośród niego piękny piuropusz liści palmowych. Podszycie lasu stanowiły przeważnie małe i nadzwyczaj eleganckie palenki, zwane „sada“, a których wierzchołek stanowi łakomy kąsek. Nierzadko też spotkać było można wspaniałą palmę woskową (*Ceroxylon andicola*) o pniu prostym, pokrytym białym woskiem, który krajowcy zeskrobują i do oświetlenia używają. Jedno drzewo daje do 25 funtów wosku, lecz nierozważni mieszkańcy niszczą te palmy niemilosiernie, a strata to niepowetowana, gdyż drzewo rośnie nadzwyczaj wolno.

Na polankach niewysokie krzewy rododendronów pokryte są prześlicznym różowym kwieciem, wśród którego uwijają się kolibarki. W miarę jak się ku dołowi na dno doliny opuszczamy roślinność drzewiasta bardziej korpulentną się staje, a wśród nich dominuje wyniosły „guayruru“ (*Erythrina*) o rozłożystej koronie złożonej z drobnego ciemnozielonego liścia, o pniu prostym, jakby toczonym. Od czasu do czasu napotyka się piękne kryształowe strumyki, sączące swe przejrzyste wody z cichym szmerem, usposabiającym do dumań. W powietrzu unoszą się motyle, między którymi wybitnie odznacza się jasno-błękitny *Morpho Cytheris*, leniwie poruszający skrzydłami. Z głębi lasu dochodzą pojedyncze głosy ptactwa, lecz ruchu wogóle mało, gdyż to dla niego chwila *dolce far niente* wśród skwarnych godzin dnia.

Wreszcie mijamy dwie chaty, należące do sąsiadów Martinez'a i stajemy nad brzegiem rzeki, a raczej strumienia Tambillo. Po drugiej stronie wznosi się na urwistym brzegu spora lecz nędzna chata, a obok niej duża szopa (la parada), pod którą mieści się młyn do wyciskania trzciny cukrowej. Przebywszy bystry strumień w miejscu, gdzie woda nie sięga powyżej kolan, stanęliśmy wreszcie o zachodzie słońca w Tambillo.

Na nasze spotkanie wyszły trzy dziewczyny, brudne i ober-

wane: były to córki Martinez'a, z których najstarsza 13 lat wieku liczyła. Gospodarza w domu nie było, lecz wkrótce i on z plan-tacji nadciągnął. Był to niezmiernie ciekawy typ serrana: chudy jak szczapa, wzrostu słusznego jak na Peruwjanina, twarz miał zupełnie żydowskiego typu, podniesionego jeszcze długimi pejsami, które wielu serranów z prostego ludu nosi. Zezowaty, brudny, z dolną szczęką obwisłą i naprzód wystającą, odziany był w poła-tane i poszarpane spodnie i w takiej poncho nieokreślonego kolo-ru. Pod ponchem jakieś resztki szmat miały reprezentować ko-szulę. Głowę nosił zwykle owiazaną grubą chustą nakształ tur-banu, od której dwa końce sterczały mu zabawnie ponad czołem. Lat miał przeszło pięćdziesiąt.

Ten pobieżny rzut oka na mego nowego gospodarza nieko-niecznie dobrze dlań usposabiał, liczyłem jednak na to, że Jelski jest dobrym fizjognomistą i lotra by na gospodarza nie wybrał. I w samej rzeczy pokazało się w następstwie, że Martinez był do-skonałym człowiekiem, któremu oprócz zwykłej serranom podej-rzliwości nie zarzucić nie można było. W stosunkach z sąsiadami, gdyśmy się go o co radzili przy kupnie tej lub owej rzeczy, trzymał zawsze naszą stronę, a posyłając go w jakim komisie, mogliśmy liczyć na niego zupełnie.

Inaczej rzeczy się miały z dziewczętami, zwłaszcza z dwoma starszemi. Były to dziewczyny mściwe i zepsute, które nam nie-raz porządnie za skórę zalazły swojemi psotami. Okradały nas niemiłosiernie, roznosząc naszą żywność po znajomych, a gdyśmy się ojcę skarżyli i ten słusznym gniewem uniesiony, karał psotni-ce, wyrządzały nam różne nieprzyjemne figle, które nasz pobyt w Tambillo nieraz zatrwały.

Zaraz po przyjeździe zabraliśmy się do oprawienia wieprza, w czem głównie dopomogli mi Martinez i Leandro — mój arriero z Shauyn. Martinez przy tej sposobności zaczął mnie wybadywać o cel naszej wyprawy, zwierając się jednocześnie, że całe są-siedztwo oburzone jest na niego, że nam mieszkanie u siebie wy-najął. W oczach tego ciemnego ludu (a prowincja Jaen słynie z te-go), strzelanie ptaków było tylko dla nas pozorem dla zamasko-wania rzeczywistego celu naszej podróży, którym było niewątpli-wie poszukiwanie srebra. Sami chciwi na pieniądze, nie rozumieli innego celu, jak szukanie pieniędzy. Nagadali też staremu, żeśmy się do niego sprowadzili, aby jego otruć i następnie zawładnąć jego gruntami, na których bez wątpienia podejrzewamy obecność srebra. Starowina odpowiedział im, że wynajął nam dom, bo do niego należy i nikt niema prawa wtrącać się do jego spraw oso-bistych. Niemniej jednak spostrzegłem, że niecne plotki, jakie na nasz rachunek puszczano, zaniepokoiły biedaka, skłaniając do ta-kich indagacji. Tak więc na samym wstępie napotykalismy na niechęć mieszkańców okolicznych, którą dopiero dłuższe obcowanie z nimi w części wyrugowało.

Gdym wszedł poraz pierwszy do chaty, mającej nam służyć za przytułek przez rok cały, przyznam się, że mnie dreszcz prze-

szedł w pierwszej chwili. Była tam jedna tylko duża izba, do której skąpe światło dwoma otworami wchodziło: przez drzwi w kącie schowane i dużym okapem zakryte, oraz przez trójkąt jaki tworzyły oba skrzydła dachu i dochodząca tylko do poddasza ściany. Światło to jednak w znacznej części pochłaniane było przez ażurową podłogę poddasza, utworzoną z rzadka leżących łasek trzciny dzikiej, zwanej „carrizo”. Ściany były z gliny, czarne i wilgotne, klepisko nierówne. W jednym rogu stał tapczan, okryty łachmanami, przy ścianie długa ławka z grubego kłoca; po kątach kilka garnków, drągów żelaznych i motyki — kompletowały to umeblowanie, straszne swoją prostotą i zięjące nędzą. „I to w takiej norze spędzimy rok czasu, a może i więcej” — przyszło mi na myśl. Lecz pomyślawszy o celu głównym naszej wyprawy, wnet się z tą myślą oswoiłem. Gdyśmy następnie Martineza wyrugowali do kuchni i tę ciemną izbę w posiadanie zajęli, przybrała zupełnie inny aspekt, poweselała i ogrzała się niejako.

Obok głównej chaty wznosiła się po jednej stronie mała chałupina, służąca za kuchnię, a po drugiej obszerna szopa, pod którą wznosił się drewniany młyn, służący do wyciskania trzciny cukrowej przy pomocy wołów. Z czasem wrócę do tego przedmiotu, gdy mi wypadnie mówić o uprawie tej pożytecznej rośliny. Natomiast ograniczę się tylko wzmianką, że trzcinę cukrową uprawia się w całej Juridicion¹⁾ do wysokości 6000' a niekiedy 7000' n. p. m., i że pędzi się z niej wódkę lub wyrabia cukier brunatny, który się rozchodzi po całym departamencie. Przy każdej też chacie spostrzeżemy drewniany młyn zwany „trapiche”, a skrzypiący i skrzeczący głos jego dochodzi nas nieraz na odległość kilku wiorst.

Przestrzeń lasu w koło osady Martinez'a wycięta była, a otrzymany grunt w części obrócony na uprawę trzciny cukrowej, a w części — pod bananiarnię. Na tej jednak wysokości (5,800' n. p. m.) zwykły banan zwany „platano” nie dojrzewa, a zastępuje go „guineo” — o łodydze ciemnej, prawie czarnej. Obok przechodziła „droga królewska” (camino real) do Pimpingos i Jaen; u stóp zaś osady piękny strumień szumiał, przelewając się przez wielkie głazy kamienne. W porze wielkich deszczów szum ten zamieniał się w ryk, który nam rozmawiać nie pozwalał.

Jeszcze kilka dni czasu zeszło mi na bezowocnym oczekiwaniu mego ładunku, po który musiałem zrobić wyprawę podczas silnych deszczów do Mangallpa, gdzie je trzymał arriero Collazos'a. Piechotą poszedłem do Chauyn, a stamtąd dnia następnego puściłem się dalej, lecz przed osadą Potrero spotkałem właśnie nadciągające skrzynie. Zawróciłem więc z drogi i szczęśliwie sta-

¹⁾ Nazwę Juridicion (a właściwie jurisdicción) nadają mieszkańcy departamentu Cajamarca całej prowincji Jaen, która niegdyś należała do wicekrólestwa Quito i stąd Ekwadorczycy po dziś dzień roszczą sobie do niej pretensje. W owych czasach mówiono w Peru o tej prowincji, że jest to „otra jurisdicción”, z kąd poszła i spaczona nazwa Juridicion, a mieszkańców — „los juridicos”.

nałem w Tambillo. W wycieczce tej przekonałem się o nieporównanych usługach, jakie podróżnikowi w Inkazji oddaje poncho kauczukowe i od tego czasu nie rozstawałem się z niem nigdy. Nawet na ekskursje nosiłem go zawsze ze sobą zwinięte i ztyłu do pasa przywiązane; gdy mnie deszcz w drodze przyłapał, nakładałem, chroniąc od zmoknięcia ciało i zabite a do wypchania przeznaczone ptaszki.

Urządziwszy się do przyjazdu Jelskiego byle jak, rozpocząłem natychmiast me prace kolektorskie w bezpośrednich okolicach Tambillo. Chodziłem zwykle drogą do Chonta-Cruz, obejmując tym sposobem region lasów, zawarty między 5,800' i 8,000' absolutnej wysokości, co mi dawało znaczną różnicę w faunach tych krańcowych poziomów. W drugą znów stronę kierowałem się do grzbietu dzielącego system rzeki Tambillo od Pimpingos, a wzniesionego na 7,000' nad poz. morza. Oprócz tego zapuszczałem się niekiedy w głąb lasu, przecinając ścieżki przy pomocy wielkiego noża (machete), który mnie nigdy w wyprawach nie opuszczał. Zrozumiałą jest rzeczą, że mój Dżok towarzyszył mi stale w tych ekskursjach.

Mieszkanie było fatalne. Nie mówiąc już o przykrem sąsiedztwie brudnej rodziny Martinez'a, prawdziwym utrapieniem była dla mnie straszna wilgoć, niszcząca odzienie i narzędzia żelazne i niepozwalająca schnąć należycie mým zbiorom. Strzecha z liści trzciny cukrowej była stara i tak licha, że przy każdym ulewie i ostrym deszczu (a te coraz częściej się trafiały), woda zaciekalała po ścianach do środka i moczyła pościel i rzeczy. Zapobiegłem temu w części, kładąc nocami na strychu me poncho nieprzemakalne — był to jednak półśrodek i dopiero gruntowna reparaacja strzechy, jaką przedsięwziął Martinez po przyjeździe Jelskiego, zapobiegła złemu; choć wilgoć pozostała zawsze ta sama, gdyż była ona skutkiem klimatu i źle wybranego miejsca na chatę. Przynajmniej jeden dzień co dwa tygodnie musieliśmy poświęcać na suszenie naszych rzeczy i czyszczenie narzędzi z rdzy, któraby je zniszczyła bez tych środków ostrożności. Strzelbę musiałem co dzień na noc oliwą smarować, aby ją od zgubnego wpływu klimatu zabezpieczyć.

Tak spędziłem półtora miesiąca wśród ciągłej pracy, a o moim towarzyszu nie było żadnych wiadomości. Dopiero w początkach października zawiadomiono mnie z Cutervo, że nadszedł tam dla mnie z Limy list rekomendowany, który sam muszę odebrać. Był to przekaz na dom bankierski Graham and Rowe w Limie. Trzeba było się puścić, w drogę, zabierając ze sobą Martinez'a, aby na swych chudych mułach przywiózł z Cutervo, niektóre potrzebne przedmioty, jak mąkę i chleb. Koń mój na nędzej paszy w Shaunyn, gdzie go przez ten czas trzymał, tak wychudł, że zupełnie był niezdatny do podróży i ledwie luzem idąc, dowlókł się do Mangalla. Ja zaś tę drogę piechotą odbyć musiałem.

Jelskiego zastałem w Cutervo, w domu niejakiego don Gregoria Contreras'a, z którym kiedyś zaznajomimy się bliżej. Zaczę

mój towarzysz ułatwił się wreszcie ze swym nieszczęśliwym ładunkiem, który ugrzązł na Pomorzu dzięki nieuczciwości Gallarda, owego kupca z Hualgayoc. Teraz wszystkie prawie skrzynie były już w drodze z Cutervo do Tambillo, więc i my załatwiwszy nasze sprawunki mogliśmy razem wyruszyć.

Te półtora miesiąca nędznego życia w Tambillo wycieńczyło mnie należycie. Mięsa przez ten czas nie jadłem prawie wcale, gdyż ów wieprzak, którego kupił w Shauyn, dzięki gorliwości córek Martinez'a ulotnił się w ciągu tygodnia. Dzień w dzień fasola i arracacha powtarzały się z rozpaczliwą stałością. Mój Boże! jakże smakowały mi wtedy smaczne potrawy w domu p. Conterasa i wydziwił się nie mogłem, że dzieci jego zostawiają na talerzach niedojedzone kęski! Ja byłem tak wygłodniały, że gdyby nie wstyd, tobym wszystko co podawano na stół dla wszystkich zjadał i jeszczebym głodny od stołu wstawał.

Wypocząwszy jeden dzień w Cutervo ruszyliśmy wraz z Jelskim piechotą do Tambillo, Tak już byłem do tych pieszych wędrówek przywykły, że kilkodniowy marsz w górach po przykrych spadkach i kamienistych drogach nie robił mi żadnej różnicy. Dnia tego doszliśmy do Socota, a następnego do Shauyn, gdzieśmy się zatrzymali dla kupienia wołu, którego zamierzaliśmy uwędzić w Tambillo, aby mieć zawsze mięso, tak niezbędne przy wszelkiej pracy fizycznej. Na trzeci dzień stanęliśmy na miejscu.

Urządziliśmy się w ten sposób, że Martinez'a wyrugowaliśmy wraz z rodziną do kuchni, wynajmując odeń całkowitą izbę za sumę 1 peso (4 franków) miesięcznie. Cztery skrzynie ustawione po 2 jedna na drugiej utworzyły po środku stół. Towarzysz mój ze skrzyń urządził sobie także łożę; ja zaś lokowałem się na tapczanie Martinez'a. Wzdłuż ścian porozwieszaliśmy narzędzia, a jedną wolną ozdobił mój towarzysz dwoma przesłicznymi sztychami, przedstawiającymi Chrystusa i Najświętszą Pannę. Na improwizowanym stole zabłysło jasne światło lampy naftowej i brudna izba zmieniła swój pozór jakby za sprawą jakiej poczciwej czarodziejki. Ta wstrętna nora która mnie na wstępie dreszczem przejmowała, stała się teraz wesołą i przyjemną. Niemaló przyczyniała się do tego obecność mego towarzysza, z którym człowiek swobodnie mógł pomówić o rzeczach, obu nas obchodzących.

Wędzenie wołu i wieprza zajęło nam dziesięć dni czasu, lecz za to mieliśmy obfitość dobrej wędliny, która nam śmiało na rok czasu starczyć mogła. Z jedzeniem urządziliśmy się w taki sposób, że dla mnie gotowały córki Martinez'a za skromną zapłatę miesięczną, Jelski zaś gotował sobie sam. Raz w miesiąc posyłał nam gospodarz do Cutervo z pustą skrzynią, w której przyczynił nam chlebki na szmalcu sporządzone i dostatecznie w piecu wysuszone; ten rodzaj biskwitów przechowywał się doskonale przez kilka tygodni pomimo nadzwyczaj wilgotnego klimatu, jakim się odznaczała nasza siedziba. W spiżarni więc naszej mieliśmy do dyspozycji chleb, mięso wędzone, mąkę pszenną, ryż, fasole, kukurydzę, groch i świeżą arracachę, którą nam gospodarz sprze

dawał. Rano i wieczór pijaliśmy herbatę i kawę, lecz na nieszczęście po kilku miesiącach pobytu cały nasz zapas herbaty spleśniał i musieliśmy go wyrzucić. Rałowaliśmy się wtedy kawą, która na miejscu od Martinez'a lub jego sąsiadów nabywaliśmy.

Wyругowanie rodziny Martinez'a do kuchni nie zapobiegło kradzieżom, jakich się dopuszczały jego nieznośne dziewczyny. Przez ażurowy pułap dostawały się, one do naszej izby i tam w spiżarni gospodarowały. Raz znaleźliśmy ubytek w wędlinie; to znów ryż był rozsypany a obok porzucona waga, gdyż te smarkate sąsiadom na funty sprzedawały naszą żywność. Skarżyliśmy się Martinez'owi i ten kilkakrotnie puszczał w ruch swoją pałkę sękatą, a nadto obiecywał, że „córki powiesi na belce i kijem duszę wypędzi.“ Te jednak kary i pogrożki nie pomagały w psotnemi dziewczętami, aż wreszcie zniecierpliwiony Jelski sam najstarszą z nich, Edwardę, kijem obłożył należycie i wówczas względny spokój zapanował.

Powoli też i sąsiedzi, krzywo na nas dotychczas patrzący, zaczęli się zbliżać i wizyty oddawać. Jednym z pierwszych był siostrzeniec Martinez'a, mieszkający o pół legua powyżej Tambillo na drodze do Pimpingos. Pocziwy ten człowiek wraz ze swoją żoną był dla nas bardzo życzliwy i nieraz ostrzegał nas o różnych zamachach na naszą własność. Wkrótce po nim zjawił się miejscowy sędzia pokoju, niejaki Estanislao¹⁾ Hernandez, mieszkający w osadzie Ambagay po drodze do Maranonu. Był to sławny w okolicy myśliwy na niedźwiedzie i pumy, których już parę dziesiątków otruł lub zabił. Ich śladem poszła i reszta. Zwykle wizyty takie odbieraliśmy w dni świąteczne. Każdy przynosił jaki prezencik — ten nieco jaj kurzych, ów buteleczkę miejscowej siwuchy własnego wyrobu, tamten pęczek bananów. Prosiliśmy ich siedzieć, częstowaliśmy kawą lub herbatą i w zamian za ich dobre serce, dawało się im kawałek płótna bawelnianego (tocuyo) lub mydła, którego znaczny zapas przywieźliśmy ze sobą. Wizyty podobne staraliśmy się wyzyskać, rozpytując się miejscowych o różne zwierzęta, gdyż takie relacje mogą być nieraz ważną wskazówką przy odkrywaniu nowych gatunków.

Niemniej jednak ludzie zawistni rozsiewali na nasz rachunek rozmaite banialuki. Zdarzyło się podczas naszego pobytu w Tambillo znaczne obsunięcie się ziemi w sąsiedniej osadzie Publina, które zasypało znaczną część pewnej bananiarni. Rozeszła się wieść, że w chwili katastrofy, widziano ponad zarwanem miejscem człowieka z dużą brodą, w czarnym kapeluszu, jak ogromnym młotem rozbijał skały. Tym cyklopem miał być Jelski, który mówiąc nawiasem nigdy w stronę Publiny nie zachodził. Opowiadano też że „los gringos” wysyłają ciągle do Cutervo skrzynie naładowane prawdopodobnie srebrem. Bajka ta powstała stąd, żeśmy raz na miesiąc posyłali Martinez'a po chleb do Cutervo, na co zabierał pustą skrzynię, aby się suche chlebki nie pokruszyły. Opowieści

¹⁾ Estanislao — Stanisław — imię dość często w Peru spotykane.

te mało nas obchodziły i nie zwracaliśmy na nie uwagi. Lecz jednocześnie ostrzegano nas, że pewien mieszkaniec Socota, niejaki Torres, szykuje na nas napad w celu zamordowania i ograbienia. Ów Torres był rzeczywiście postrachem okolicy: kradł bydło i konie, rozbijał, gwałcił kobiety, słowem posiadał jaknajgorszą opinię. Siedział raz już w więzieniu za swoje sprawy, lecz dzięki wstawiennictwu jednego z wpływowych mieszkańców Cutervo na wolność wypuszczonym został. Czy rzeczywiście miał względem nas ten lotr jakie złe zamiary, czy tylko miejscowa ludność przez nasze pośrednictwo chciała go się pozbyć, trudno to zdecydować.

W każdym razie nie przywiązywaliśmy wiele wagi do tych opowiadań, a ja kilkakrotnie odbyłem sam jeden podróż do Cutervo i pomimo to żyję po dziś dzień. Z nazwiskiem Torresa spotkamy się jeszcze raz podczas mojej podróży do Chachapoyas.

Wogóle ludność prowincji Jaen słynie ze swej ciemnoty, nienawiści do wszelkiej władzy i bandytyzmu. Jeszcze podczas pierwszej wycieczki Jelskiego do Palto (przed moim przyjazdem z Europy) ostrzegał go pewien staruszek, aby się tak samotnie w podróż nie puszczał, gdyż źli ludzie mogą go z łatwością zamordować. Wszak to niedaleko Jaen zginął nieszczęśliwy d'Osery, towarzysz hr. de Castelnau, o czem wspomnę we właściwym miejscu. Jednak dzięki Bogu szczęśliwie jakoś uniknęliśmy wszelkich zamachów na nasze życie, co może w znacznej części przypisać należy obecności naszych psów, należących do rasy nieznannej zupełnie w kraju i budzących w mieszkańcach wielki postrach.

„Los juridicos”—jak zwą powszechnie mieszkańców prowincji Jaen — zajmują się głównie hodowlą bydła rogatego, oraz uprawą trzciny cukrowej, tytoniu i kakao. Trzcina cukrowa, z której cukier brunatny i wódkę wyrabiają, służy przeważnie na miejscowe potrzeby; bydło rogate, tytuń i kakao stanowią główne artykuły wywozu. Raz w rok—zwykle w miesiącach kwietniu i maju—kupcy z Cutervo, Tacabamba i Chota odbywają podróże do prowincji Jaen, gdzie w zamian za towary, jak perkaliki, płótna, noże, narzędzia, igły, nici etc. dostają bydło rogate, które następnie eksportują na Pomorze. Tytuń i kakao sprzedają jańczycy na jarmarku w Cutervo za brzezącą monetę. Ponieważ wszelkie artykuły żywności, jak ryż, banany, yukę etc. etc. mają na miejscu, a wszelkie towary dostają za bydło, więc srebro, jakie otrzymują ze sprzedaży tytoniu i kakao mogą całkowicie zaoszczędzać. Panuje też zwyczaj w całej prowincji Jaen, że każdy, kto zbierze więcej nad 50 soles, już je gdzieś w ziemię zakopuje, a przysłowie mówi, że sol srebrny, który się raz dostał do tego zakątka Peru, już więcej świata nie zobaczy. Zakopywanie skarbów ma głównie na celu ukrycie ich przed okiem zawistnych ludzi, a szczególnie władz miejscowych, które wietrząc pieniądze, nakładają na ich posiadacza fantastyczne kontrybucje; te jednak nigdy kas państwa nie oglądają. Zwykle jednak bywa, że zakopujący skarb nie zwierza się o tem nawet swej najbliższej rodzinie, a gdy go śmierć zniecka zaskoczy, wszystko to ginie dla świata, chyba że przypadek

miejsce odkryje. To też w prowincji Jaen ciągle tylko słyhać o poszukiwaniach zakopanego srebra, które według przesądu miejscowej ludności — pali się nocami (widać że na całym świecie ten sam przesąd panuje).

Gdyśmy do Tambillo przyjechali, pytano nas często, czy nie mamy ze sobą „azogue virgen“ (dziewiczego merkuryjuszu). Objasniono nas, że rtęć przychodzi do kopalni srebra w ołowianych puszkach i że pierwsze krople, jakie się po utworzeniu wylewa, mają osobliwą własność wskazywania ukrytych skarbów. Ten to kożuszek merkuryjuszowy nosi nazwę, rtęci dziewiczej. Gdy jest pewne podejrzenie, że w danym miejscu znajduje się skarb, poszukiwacz wylewa na arkusz papieru kilka kropli „dziewiczej rtęci“, która rozmaicie się zachowuje stosownie do tego, czy skarb rzeczywiście się znajduje w tem miejscu, lub nie, gdyż w pierwszym wypadku merkuryjusz przebija papier i znika pod ziemią właśnie w miejscu znajdowania się srebra; w przeciwnym razie zachowuje się obojętnie. Dzięki tym urojonym własnościom „rtęci dziewicza“ jest tak poszukiwaną w prowincji Jaen, a przesądny lud płaci nieraz za nią wygórowaną cenę kupcom, którzy eksploatują na swą korzyść ten naiwny zabobon.

Zajęcia nasze poszły zwykłym trybem. Na ekskursję wychodziłem zwykle rano wypiwszy nieco kawy lub herbaty i zabierając ze sobą zakaskę z surowej wędliny i suchara którą gdzieś przy strumieniu, popijając wodą, zjadałem około południa. Wracalem dopiero o zachodzie słońca, a zabite ptaki preparowałem przez cały dzień następny. Wieczorami zasiadaliśmy przy naszym improwizowanym stole, na którym jasno gorzała naftowa lampa. Przychodził zwykle stary Martinez w swym brudnym turbanie ze sterzącymi rogami nad czołem, a zasiadłszy na jednej ze skrzyń, prowadził z nami rozmowę, podczas gdy my zajęci byliśmy pakowaniem owadów, lub porządkowaniem kolekcji ornitologicznych. Starowina był to niezwykły oryginał, używający co chwila przysłów ludowych, lub silący się na filozoficzne aforyzmy, w których zwykle nie było najmniejszego sensu. Lubił między innymi wygłaszać zdanie, że „cada cosa tiene su cosa“ (Każda rzecz ma swoją rzecz) i inne temu podobne. Często wialiśmy go zawsze herbatą, którą chętnie zapijał. Czasami przynosił buteleczkę wódki — gdyż ten trunek lubił nadzwyczajnie, choć ze skąpstwa rzadko go używał. Zwracał się wtedy do nas:

— Senores, vamos espantar al judio ¹⁾ (panowie, przestraszymy żyda), co miało znaczyć „wypijmy po kieliszku wódki“. Czuliśmy też był nadzwyczaj, gdy go się tym trunkiem częstowało. Wogóle był to człowiek cichy, ucziwy i łagodny, a podejrzliwość jego względem nas ulotniła się wkrótce dzięki bliższemu obcowaniu z nami.

Dnie świąteczne poświęcaliśmy na przyjmowanie wizyt sąsiadów i na przegląd naszych rzeczy, które nieustannie strzedz trze-

¹⁾ Judio (żyd) w zapadłych prowincjach Peru jest synonimem diabła.

ba było od zgubnego wpływu wilgoci. Gdy dzień był pogodny wyciągaliśmy nasze kolekcje, bieliznę i ubranie na dwór, aby przeschły trochę na świeżem powietrzu. W razie deszczu, znaleźliśmy zawsze jakieś zajęcie w domu, czy to kompletowanie notat, czy pakowanie owadów, lub wreszcie czytanie książek, które ze sobą przywieźliśmy. Często też w pogodne dnie schodziliśmy do sąsiedniego strumienia, nad brzegiem którego zbierało się mnóstwo różnobarwnych motyli, stanowiących doskonały łup dla entomologa. Wieczorem na tych samych miejscach odbywały się łowy nocnych motyli, zbierających się na wilgotnym piasku pobraża w nieprzeliczonych ilościach. Były zwykle tak głupie, żeśmy je wprost szczypczykami brali i zdusiwszy, do papierków pakowali, lub też nakrywaliśmy słoikiem, zawierającym cyanek potasu.

Czas nam płynął spokojnie, zdrowie służyło doskonale. Na tej wysokości, jaką posiada Tambillo (5800 st. n. p. m.) dokuczliwych komarów niema, a dniem pojawiają się wprawdzie małe muszki, zwane „rodadores“, lecz tych w izbie bywało bardzo mało. Nie było też potrzeby używania moskiterów, chociaż podczas wielkich deszczów, jakie tu na luty i marzec wypadają, pojawiały się niekiedy nocą tak zwane „alalapos“. Jest to mikroskopijna muszka, której uklucie jest tem nader przykre, że nie przedstawia żadnego stopniowania w swędzeniu, lecz robi wrażenie, jakby kto koniuszkiem szpilki odrazu w ciało zatopił. Muszka ta wchodzi nawet pod kołdrę i kłuje niemilosiernie. Zwykle też noc taką, kiedy się „alalapo“ zjawiał spędzaliśmy bezsennie, na szczęście jednak tych przykrych wypadków mieliśmy zaledwie kilka przez ciąg naszego pobytu w Tambillo.

Z różnych też epizodów naszego pobytu w tej miejscowości utkwilo mi w pamięci dość silne trzęsienie ziemi, które mnie w lesie przychwyciło. Wracalem już do domu po drodze z Chonta-Cruz. Spokój w powietrzu był zupełny, gdy naraz spostrzegłem, że krzaki i drzewa zaczynają się poruszać i szeleścić, pomimo, że najmniejszego prądu powietrza nie czułem. Dopiero po chwili zauważyłem, że się grunt pod nogami buja na podobieństwo pokładu okrętowego. Wkrótce też dał się słyszeć huk podziemny, towarzyszący zwykle trzęsieniom ziemi. Całe zjawisko, trwające około półtorej minuty, obserwowałem z niezwykłym spokojem, do czego przyczynił się głównie brak wszelkiej obawy, jakiej zwykle doznajemy podczas trzęsienia ziemi na myśl, że nam się dom cały zwali na głowę.

Rzućmy teraz okiem na przyrodę badanej przez nas okolicy, gdyż poznanie czytelnika z tworamí różnych regionów terytorjum peruwjańskiego stanowi jeden z najważniejszych celów niniejszej pracy. Las tambillański może nam służyć za typ innych puszczy w jakie obfituje prowincja Jaen. Poznaliśmy już z pobieżnego szkicu, że ciągnie się on po falistości tej części Kordyljerów, zaczynając od osady Mangallpa aż po rzekę Chamaya w kierunku z południa na północ i od miasteczka Tacabamba po dolinę Maranonu — w kierunku z zachodu na wschód. Muszę jednak

zwrócić uwagę czytelnika na jeden ciekawy bardzo fakt, a mianowicie, że wszystkie lasy północnego Peru z wyjątkiem li-tylko pokrywających wschodni stok wschodniego łańcucha Kordyljerów¹⁾ nie spuszczają się poniżej 5000' nad poziomem morza. Uwaga ta stosuje się bez wyjątku do wszystkich lasów zalegających prowincję Jaen: Huancabamba, Chota i San Miguel. Tym sposobem wszystkie doliny leżące poniżej 5000' n. p. m. są bezleśne. Od tej zaś wysokości las ciągnie się w górę aż po granicę roślinności drzewiastej, zatem po 10000' n. p. m. (w niektórych razach 8000 lub 10500', jak to widzieliśmy poprzednio). Tym sposobem lasy wymienionych prowincji nie przedstawiają jednolitych mas, jak lasy wschodnich skłonów Kordyljerów, lecz występują plamami rozmaitych wielkości. Do największych należą: znana nam już puszcza Palto lub Tambillo, oraz lasy prowincji Huaucabamba.

Charakterystycznym rysem lasów prowincji Jaen jest nadzwyczajna obfitość palm, których Jelski pomiędzy strumieniem tambillańskim i grzbietem Chonta-Cruz znalazł aż siedem gatunków. Do najpospolitszych należy mała, palemka, zwana przez krajowców „sada“ — wyniosła na 3—5 metrów. W wielu częściach lasu — zwłaszcza na miejscach równiejszych stanowi ona jedyne niemal podszycie wysokopiennych drzew, nadając krajobrazowi oryginalny, zwrotnikowy charakter.

Klimat tej części Peru odznacza się jak to widzieliśmy, niezwykłą wilgotnością powietrza; jest to cecha wszystkich puszczy południowo-amerykańskich. Niemniej jednak odróżnić tu można dwie pory roku, to jest suchą między majem i październikiem, oraz dżdżystą — przez pozostałą część roku, chociaż w porze suchej, czyli podczas tak zwanego lata deszcze popadają częściej, aniżeli w sąsiednim regjonie Sierry. Z jednorocznej obserwacji mojej wnioskować mogę, że październik, listopad i grudzień. jakkolwiek należące do właściwej pory dżdżystej, są jednak znacznie suchsze od stycznia, lutego a osobliwie marca, który jest kulminacyjnym punktem tego sezonu. Ilość deszczów spadłych w pierwszych trzech miesiącach (październiku i t. d.) jest mniej więcej jednakową w każdym z osobna, a nadto ilość dni dżdżystych równa się prawie ilości dni pogodnych. W ciągu tych trzech miesięcy zauważyć mogłem pewną regularność w padaniu deszczu, a mianowicie: na nowiu zwykle dni kilka a nawet i tydzień cały, deszcz; około pełni pogoda i noce wtedy bardzo chłodne; około zaś pierwszej kwadry deszcze padają pod wieczór o zachodzie słońca. Dopiero od stycznia zaczyna się na dobre pora deszczów, a te dochodzą największej swej siły w miesiącu marcu; wówczas rzadki dzień zdarzy się bez słoty. Zaczynając jednak od stycznia grzmoty i pioruny są daleko rzadsze, aniżeli w pierwszych trzech miesiącach pory dżdżystej.

Z powyższych uwag łatwo się jest domyśleć, że żadna z obu

¹⁾ Kordyljery w północnej części Peru rozdzielają się głęboką doliną Marñonu na dwa główne pasma, czyli wschodnie i zachodnie.

pór roku nie wybija charakterystycznej cechy na krajobrazie. Gdzie deszcze rok cały padają, tam roślinność nie schnie, a przez to zachowuje stale jeden i ten sam charakter. Uwaga ta stosuje się do wszystkich lasów Kordyljerskich w granicach Inkazji. Zmiany jakie w nich zachodzą względnie do pory roku są nieznaczne i ograniczają się jedynie do kwitnienia lub przekwitania tych lub owych drzew i krzewów, co bynajmniej na ogólny charakter krajobrazu wpływu nie wywiera.

Zanim przystąpię do charakterystyki główniejszych tworów zwierzęcych puszczy Tambillańskiej, wróć jeszcze do poprzednio zrobionej uwagi, że las ten jest wyspą, doskonale izolowaną od głównej masy lasów peruwjańskich, rozciągających się na wschodnim stoku Kordyljerów, oraz na równinach Amazonii. Przy bliższym badaniu spostrzeżemy, że powtarza się tu znane prawo rozmieszczenia zwierząt, a mianowicie, że wyspy mają uboższą faunę, aniżeli wielkie lądy. I tak zauważymy w Tambillo, że z pomiędzy ssaków brak tu zupełnie całych rodzin, jak np. małp, nosaczy (*Nasua*), lub niektórych rodzajów, jak np. paka (*Coelogenys*), które wprawdzie właściwe są najgorętszym lasom Amazonii, lecz niekiedy wznoszą się nawet do 8000' i 9000' n. p. m. Też samą obserwację zrobić można i co do ptaków, z pomiędzy których brak zupełnie w lasach Jaeńskich tak wybitnych rodzin amerykańskich, jak tukany (*Rhamphastidae*) drzemy (*Capitonidae*), brodacze (*Bucconidae*) i wiele innych. Zrobiwszy to ważne zastrzeżenie mogę spokojnie przystąpić do przeglądu najważniejszych tworów zwierzęcych, poczynając od króla tych lasów, jakim jest niewątpliwie niedźwiedź kordyljerski (*Nearctos ornatus*), zwany przez krajowców „oso“¹⁾. Szkodnik to wielki, zna go więc każdy mieszkaniec prowincji Jaen i nieraz narzeka na psoty, jakie mu w bydle rogatem wyrządza.

Niedźwiedź Kordyljerski jest całkowicie czarny²⁾ z białawymi plamami na bokach pyska i czole. Wzrostem o wiele ustępuje litewskiemu misiowi, dochodząc średnio wielkości naszego roczniaka. Niemniej jednak słyszałem o egzemplarzach wyjątkowo wielkich. Podobnie jak i nasz niedźwiedź jest wszystkożerny, głównie jednak żywi się wierzchołkami palemki zwanej „sada“, którą nagina i objada; oprócz tego lubi miękkie, nasadowe części liści Tillandsyj, które na podobieństwo karczochów obiera, wreszcie wielkie larwy pewnego chrząszcza (*Passalus*), trzymające się w spróchniałem drzewie. Gdy mu się sposobność trafi, zabija krowy, a nawet byki dorosłe, pod które się podkrada, a następnie jednym susem skacze na grzbiet i ofiarę swą zabija. Mówiono mi, że gdy skoku chybi, stara się zdobyć dogonić, co mu się nieraz

¹⁾ „Oso“ jest wyrazem hiszpańskim. We wschodnim Peru, gdzie się przechował język indyjski, zwą zwykle niedźwiedzia „puma“, stosując jednocześnie to miano do jaguara i pumy właściwej, czyli t. z. lwa amerykańskiego.

²⁾ Nie należy go jednak mieszać z północno-amerykańskim gatunkiem (*Ursus americanus*), z którego pochodzą noszone u nas futra.

udaje, pomimo pozornej ciężkości, gdyż zwierz to lekki i nadzwyczaj chyży. Czasami używa fortelu, opisanego przez Tschudiego, gdy ten uczony mówi o niedźwiedziu alpejskim, a mianowicie, upatrzywszy sobie jaką sztukę — krowę, lub byka — spokojnie pasące się nad przepaścią, stara się nagłem pojawieniem przestraszyć swą zdobycz, a ta runąwszy w przepaść śmierć znajduje i staje się pastwą drapieżnika ¹⁾). Najczęściej jednak atakuje młode cielęta, które pomimo rozpaczliwej obrony matki uledz w końcu muszą. Zrozumiałą też jest nienawiść krajowców do tego drapieżnika, który im znaczne szkody w bydłe rogatem wyrządza a nadto lubi uczęszczać na pola kukurydzy, gdzie zjada dojrzewające ziarno. Nie slyszalem, aby kiedykolwiek atakował żrebaki, lub krowy, jak to, czyni puma, czyli lew amerykański.

Niedźwiedź kordyljerski nie odbywa snu zimowego, gdyż zimy właściwej w Kordyljerach niema; niemniej jednak robi sobie barłóg, który od czasu do czasu zmienia. Tego rodzaju legowiska sporządza sobie zwykle w pobliżu zabitej sztuki, na zjedzenie której potrzebuje paru tygodni czasu, lubi też obierać sobie stałsze siedlisko w pobliżu pól dojrzewającej kukurydzy, gdzie na drzewie barłóg ściele.

Pod tym względem różni się bardzo od innych niedźwiedzi, które zwykły gniazdo swe słać na ziemi, pod wywrotami lub w dziuplach wielkich drzew u ich korzeni ²⁾). Niedźwiedź kordyljerski obiera sobie na ten cel niezbyt wysokie drzewo, lecz któreby miało 4 — 6 sążni nad ziemią szeroko rozwidlone konary. Tam ściele sobie barłóg z gałęzi i chrustu, przypominający bardzo gniazda wielkich drapieżnych ptaków. Drzewo takie łatwo odkryć po licznych śladach pazurów, jakie zwierz przy częstem włożeniu i złączeniu pozostawia. Krajowcy opowiadali mi, że zabiła sztukę częściami winduje na górę i tam na gnieździe pożera. Jeden z mieszkańców Cutervo znalazł pewnego razu na gnieździe niedźwiedzia kości dużego tapira; widocznem więc jest, że i ten przedstawiciel rodziny słoni na Nowym Łądzie staje się nieraz pastwą peruwjańskiego niedźwiedzia.

Co do sposobu rozmnażania się tego łupieżcy udało mi się zebrać nieliczne szczegóły pomiędzy mieszkańcami Jaen i departamentu Chachapoyas. Samica rodzi prawie zawsze dwoje, które starannie pielęgnuje i broni zaciekle. Jeżeli w pobliżu znajduje

¹⁾ W ten sposób niedźwiedź upolował trzyletniego byka należącego do Martinez'a.

²⁾ Niedźwiedź litewski stale ściele swój barłóg na ziemi, a wypadek cytowany przez p. Fałata (patrz Tygodnik Ilustrowany z 1888 r.) do osobliwych należy. Znalaziono według relacji tego artysty-malarza barłóg niedźwiedzia na świerku w wysokości 6 sążni ponad ziemią. Wypadek ten zdarzył się w dobrach ks. Wittgensteina w gub. Mińskiej. O ile mi wiadomo i inne niedźwiedzie, jak np. niedźwiedź północno-amerykański (*Ursus americanus*) także na ziemi legowisko obiera.

się grotą, zwykle w niej umieszcza swoje potomstwo. Jak dalece przywiązana jest do niego, świadczy następujący wypadek, jaki się zdarzył na kilkanaście lat przed moją podróżą w dolinie Huayabamba. Jeden z okolicznych mieszkańców, poszedłszy do lasu po ljanę, używaną do wiązania dachu, odkrył przypadkiem grotę, a w niej dwa młode niedźwiadki, które zabrał ze sobą do osady. Matka po powrocie, nie zastawszy swych dzieci, po tropie doszła aż do samych domostw, gdzie z łatwością zabita została. Innym znów razem mieszkaniec znanej nam już osady Mangallpa, napotkał w lesie niedźwiedzicę z dwojgiem młodych, które kolejno przez strumień przeprowiała. Jedno z nich znajdowało się już właśnie po tej samej stronie, co i nasz osadnik. Ten ostatni niewiele myśląc, zabrał pod pachę młodego niedźwiadka, aby go do domu zanieść, lecz matka, porzuciwszy drugie swę dziecko, puściła się za nim w pogoń. Zrazu bronił się palką, lecz widząc, że niedźwiedzica coraz natarczywszą się staje, porzucił zdobycz i sam do domu umknął z obawy, ażeby do poważniejszej rozprawy nie przyszło.

Nie zdarzyło mi się ani razu spróbować mięsa tego niedźwiedzia, lecz według powszechnego zdania mieszkańców jest ono bardzo dobre, przypominające smakiem i konsystencją wieprzowinę; tłuszcz też jest podobno bardzo smaczny, a nadto krajowcy podobnie jak i lud litewski przypisują mu ważne lecznicze własności. Polują też na nie często, nie tyle jednak dla zdobycia mięsa, ile dla wyniszczenia tego wielkiego szkodnika. Nie mówiąc o zatruciu strychniną zabitych przez niedźwiedzia sztuk, najpospolitszy sposób polowania jest przy pomocy psów, przed którymi zwierz ucieka zwykle na drzewo. Używa się do tego zwykłych kundli, rzadko jednak spotkać dobrego psa, któryby miał dość odwagi do atakowania zwierza. Wystarcza zaś jeden dobry kundel, byle tylko zbliska gonił niedźwiedzia i od czasu do czasu chwycił go za kudły. Wówczas zwierz w jednej chwili umyka na drzewo, gdzie nadbiegli myśliwi strzelają go bezpiecznie. Zwierz ten umyka nadzwyczaj szybko, a na bardzo stromych spadkach zwiija się w kłębek i stacza na podobieństwo kuli, utrudniając pogoń psom, które muszą przy spuszczeniu się zachowywać pewne środki ostrożności. Zapewniano mnie też, że drapieżnik ten przy zabitej sztuce rogatego bydła staje się zuchwałym, jeży się, zęby szczyrzy i z łatwością podpuszcza na kilkanaście kroków; można go więc wtedy strzelać dogodnie.

Podczas moich codziennych wycieczek w okolicach Tambillo zdarzyło mi się nieraz spotkać z niedźwiedziem, raz tylko jeden wszelako miałem go na strzał wygodny. Było to wkrótce po mojem przybyciu do Tambillo w przeddzień wyjazdu do Cutervo, gdzie miałem z Jelskim spotkać. Pragnąc zawieźć coś w prezencie Collazos'owi z Socota, postanowiłem iść do lasu, aby nastroić nieco penelop, których mięso bardzo jest cenione przez krajowców. W wycieczce tej towarzyszył mi niejaki Vicente z Shauyn, znający doskonale miejsca gdzie się pożądane ptaki

w obfitości trzymały. Chwyciwszy torbę i strzelbę wyruszyliśmy około 3-ej po południu do lasu mało uczęszczaną ścieżyną którą osadnicy na pastwiska Chonta-Cruz zwykli byli chodzić w poszukiwaniu bydła. Vicente szedł przodem, torując miejscami drogę przy pomocy wielkiego machete. Gdyśmy już tak z pół godziny po lesie przemaszerowali, towarzysz mój zatrzymał się nagle przy kawałku spróchniałego drzewa i wskazał mi go końcem swego noża, mówiąc:

— Niedźwiedź się tu włóczył nie dalej, jak dziś rano może. Te świeżo nadłamane gałązki dostatecznie o tem świadczą.

— A czegoż on tak szuka w spróchniałem drzewie? zapytałem.

— Caraguayes (nazwa czarnych chrząszczy z rodzaju *Pasalus*)—była odpowiedź.

Zdziwiłem się niepomału, że krewny straszego *grizzly bear* żywi się marnymi owadami, lecz przypomniałem sobie, że i nasz niedźwiedź nie pogardza miodem, które wraz z pszczołami spożywa. Jednocześnie też przyszło mi na myśl, że się możemy z niedźwiedziem spotkać i pod wpływem tej refleksji chwyciłem się za kieszeń od kurtki, gdzie zwykle nosił kilka kul na przypadek spotkania z tym zwierzem.

Z przykrością zauważyłem, że dnia tego wskutek pośpiechu kul zapomniał; pocieszałem się jednak myślą, że niedźwiedzia nie spotkam i uniknę tym sposobem niemilej alternatywy myśliwego, który ma przed sobą rzadkiego zwierza, lecz brak mu kul, aby go zabić. Ruszyliśmy dalej, zagłębiając się coraz bardziej w las; na każdym niemal kroku spotykaliśmy świeżo poszarpane pnie, w których niedźwiedź szukał swego ulubionego pożywienia; tu i owdzie rozrzucone liście Tillandysi świadczyły także o niedawnej gospodarce tego smakosza. Naraz Vicente wskazał na świeżutki kał niedźwiedzia. Gdy był zajęty egzaminowaniem tych pozostałości, towarzysz mój odkrył, że pień sąsiedniego drzewa nosił na sobie świeżutkie ślady pazurów niedźwiedzich.

— Kto wie — zauważył — czy się zwierz na tem drzewie nie znajduje i zaczął przyglądać się gęstej koronie. Ja zaś jednocześnie prawie rzuciłem wzrok na konary sąsiedniego drzewa. Tam w pierwszym rozwidleniu gałęzi wyglądała z pomiędzy liści czarna głowa z brudno-białemi plamami, o stojących niewielkich uszach i parze szarych oczu. Od czasu do czasu głowa ta robiła wolne poruszenia na prawo i na lewo, pilnie nas śledząc.

— Patrzno — rzekłem do Vicente, wskazując mu widocznie zaniepokojonego naszem pojawieniem zwierza.

W tej chwili myśl, że kul zapomniał, była mi bardzo przykłą. Zwierz siedział na wysokości nie wyżej drugiego piętra; celować można było spokojnie, gdyż się wcale nie ruszał. W pierwszej chwili chciałem, aby Vicente skoczył do Tambillo po kule; zeszło by jednak z półtorej godziny, zanim by powrócił, a słońce już się chyliło ku zachodowi; nadto chłopak utrzymywał, że niedźwiedź mógłby umknąć i radził mi strzelać śrótem. Przeklinałem

w duchu moje roztargnienie, lecz to bynajmniej sytuacji nie zmieniło. Poszedłem więc za radą Wincentego, licząc, że na tak nieznaczną odległość dość gruby śrót kości czaszki przebije. Zmierzyłem w głowę i echo leśne strzał rozniosło. Niedźwiedź po strzale jak małpa dał ogromnego susa na sąsiednie drzewo, gdzie chwilę zawisł, a następnie wrócił na dawne miejsce, z kądem patrząc na nas, wstrząsał głową, jakby mu ból dokuczał. Widocznie więc strzał był celny, lecz śrót za cienki kości nie nadwerężył. Szybko nabijałem strzelbę¹⁾, kładąc tym razem porządny nabój. Tymczasem niedźwiedź zajął dawną pozycję i zwróciwszy się do nas twarzą, obserwować nas począł. Powtórnie zmierzyłem w szerokie czoło bartnika, powtórnie echo rozniosło huk strzału po lesie. Widocznie ten strzał więcej mu szkody narobił, gdyż zsunął się jak piorun po gładkim pniu drzewa; sądziłem zrazu, że spada śmiertelnie ugodzony, lecz dosięgłszy ziemi, pomknął gąszczem i w jednej chwili znikł nam z oczu. Wincenty z kordelasem w górę podniesionym puścił się za nim w pogoń, lecz po chwili wrócił, przekonawszy się o nieużyteczności pogoni. Poczuliśmy grunt badać. Obficie brocząca krew wskazywała nam drogę niedźwiedzia; zśliśmy więc ze słabą jednak nadzieją, wiedząc, jak zwierzę ten twarde jest na strzały. Powoli ślady krwi stawały się coraz rzadsze, aż w końcu tropienie na czarnej stopie stało się niemożliwym. Zawróciliśmy więc ku domowi, zmartwieni tem niepowodzeniem. Ja szczególnie odczułem to moje gapiostwo, gdyż była to jedyna sposobność zabicia niedźwiedzia, jaka mi się w mej podróży po Inkazji nadarzyła. Sądząc z wszystkiego musiałem tylko zwierzowi nos pokaleczyć i dlatego zrazu tak obficie krwią broczył. Był to niewielki osobnik, prawdopodobnie samica.

Nie słyszałem nigdy w prowincji Jaen, aby niedźwiedź ludzi atakował; nikt go się też nie boi, a kobiety nawet kijami przepędzają go, gdy na polach kukurydzy zbyt często swe wizyty powtarza. Inaczej jednak rzeczy stoją po wschodniej stronie Maranonu, w departamencie Amazonas. Po drodze z Pion do Chachapoyas podróżny napotyka w trzech miejscach krzyże, którymi oznaczono wypadki pożarcia przejezdnych przez niedźwiedzie, a mianowicie w miejscowości zwanej „La Plazuela”, na „Cuesta de Achupe“ i w „Piedra Grande“—wszystkie trzy wśród lasu leżące i oddalone od mieszkań ludzkich. Niedźwiedź wybierał sobie zawsze pojedynczych podróżnych, szerząc w okolicy postrach i dopiero, gdy kilka tych drapieżników zabito, spokój zapanował w okolicy. Ja sam odbywając w 1879 roku tę drogę o mały włos nie spotkałem się z niedźwiedziem we wspomnianej dopiero co miejscowości „La

¹⁾ Niektórzy myśliwi, słysząc to moje opowiadanie, robili mi zarzut, dlaczego nie miałem drugiej lufy grubym śrótem nabitej. Chodziłem zawsze po lesie mając na widoku, główny cel mojej wyprawy, to jest zbieranie ptaków i dlatego jedną lufę zawsze nabijałem najcieńszym śrócikiem, aby w razie spotkania jakiej rzadkości, być przygotowanym. Tak się też zdarzyło i w owym wypadku z niedźwiedziem.

Plazuela". Droga w tem miejscu prowadzi w górę wśród gęstego lasu. Jeszcześmy do „La Plazuela“ nie dosięgli, gdyśmy usłyszeli ponad sobą rozpaczliwe krzyki. Wspiąłem muła ostrogą i pośpieszyłem, sądząc; że kogo rabują; strzelbę miałem w pogotowiu. Przybywszy na małą równinę, od której nazwa miejscowości pochodzi („La Plazuela“ — znaczy placyk) spostrzegłem wystraszonego Indjanina.

— Niedźwiedź, panie, niedźwiedź — krzyczał rozpaczliwie.

— Gdzie niedźwiedź, zapytałem, oglądając się dokoła.

— Tam, tam — odrzekł wskazując na gąszcz.

Zeskoczyłem z muła i wszedłem do gąszczu za mną poszedł i mój chłopak, lecz obaj pomimo najszczerzych chęci zwierza odkryć nie mogliśmy. Widocznie umknął przed nami tchórzliwie. Wróciliśmy więc na drogę i tu Indjanin objaśnił nas, że wielki bardzo niedźwiedź (pewnie mu się większym ze strachu wydawał, aniżeli był w rzeczywistości) — zastąpił mu drogę i pomimo krzyków nie chciał się usunąć, aż póki naszego zbliżenia nie usłyszał; wtedy dopiero zniknął w gąszczu. Przypomnę czytelnikowi, że w tem właśnie miejscu niedźwiedź pożarł przed laty jakiegoś samotnego podróżnika, a pamięć o tym wypadku potęgowała strach w biednym Indjaninie.

Znając już poprzednio niedźwiedzia kordyljerskiego z prowincji Jaen, niepomalu byłem zdziwiony temi opowiadaniem, gdyż wyrobiło się było we mnie przekonanie, że jest to zwierze szkodliwe li tylko dla bydła rogatego. Tego jeszcze samego roku (1879), bawiąc w dolinie Huayabamba, dowiedziałem się, że jakiś młody Indjanin, ukrywający się w lasach przed poborem wojskowym, naznaczonym z powodu wojny peru-chilijskiej, został pożarty przez niedźwiedzia. W szalasie, jaki sobie ten nieszczęśliwy sporządził dla ochrony od deszczu, znaleziono tylko jego sakwę (alforja), lecz po śladach odkryto miejsce, gdzie drapieżnik wyprawil sobie ucztę. Liczne ślady dowodziły, że rozboju tego dopuścił się niedźwiedź, a nie jaguar, który na tych wysokościach (było to na 6000' czy 7000' n. p. m.) bardzo rzadko się pojawia.

Drugim wielkim szkodnikiem wyżyn kordyljerskich jest puma, (*Felis concolor*) zwana także pospolicie lwem amerykańskim dla niejakiego podobieństwa z lwicą, gdyż drapieżnik ten grzywy nie posiada. W rozmieszczeniu swem geograficznym zajmuje bardzo znaczną przestrzeń bo zaczynając od Stanów Zjednoczonych ciągnie się niemal przez cały ląd Południowej Ameryki. W Peru zamieszkuje wszystkie niemal zony, od najgorętszych równin Amazonii po granicę wiecznych śniegów, najpospolitszym jednak zdaje się być w umiarkowanych regionach Sierry i lasów serrańskich. Z pomiędzy wszystkich drapieżników puma jest może największym szkodnikiem. Niedźwiedź lub jaguar zabija swą ofiarę i całkowicie ją spożywa w ciągu kilku tygodni; puma, gdy jej się sposobność trafi, zniszczy jednej nocy kilka lub kilkanaście sztuk, gdyż im tylko mózg wyjada lub krew wypija. Osobiście mogłem sprawdzić w Yurimaguas (nad rzeką Huallaga), jak ten drapieżnik

jednej nocy zagryzł ośm wieprzy, którym li tylko mózg przez wygryzioną dziurę w czasie powylizywał. Nadto puma nie przebiera w zwierzętach domowych—wszystkie dlań są równie dobre, wszystkie padają jego ofiarą; lubi żrebaki i nawet duże konie; barany też i wieprze łakomy dlań kasek stanowią; a w braku czego innego unosi psy wiejskie z pod samych domostw. Nie słyszałem tylko, aby na bydło rogate napadał, choć trudno przypuścić, by tego nie robił; cieleta przynajmniej powinnyby go nieraz przynęcać. Zuchwały i zręczny, z nienacka rzuca się na grzbiet swej ofiary i przegryzając karotidy, śmierć przez upływ krwi powoduje; mniejszym zwierzętom jak baranom lub wieprzom przegryza kręgi szyi tuż poza czaszką.

Gdy zbyt wielkiego wyboru w zwierzętach domowych nie ma, przykrywa nadjedzone szczątki liśćmi i ziemią, aby nocy następnych uczty dokończyć. Napoczetą sztukę je zwykle z tego miejsca, gdzie ją dnia poprzedniego skończył. Tem się posiłkują krajowcy, gdy szczątki zabitego zwierza znajdują, zatruwając strychniną nadjedzone części, gdyż z tego miejsca puma najprędzej ucztę swą rozpocznie.

Polowanie na pumę przedstawia liczne trudności, gdyż zwierzę to nocny, a przytem nieustrudzony włóczęga i nigdy więcej nad parę tygodni w jednym miejscu nie popasa. Instykiem czuje, że gdy zbyt wiele szkód w pewnej okolicy narobił, zwraca tem zbytnią uwagę mieszkańców, którzy mszcząc wyrządzone krzywdy, w ten lub ów sposób polować nań będą. Wynosi się więc gdzieś daleko, czasem o parę dni drogi. Zabicie też kuguara do dość rzadkich wypadków należy. Jeżeli do zakopanych szczątek wraca, łatwo jest je zatruć, lecz niełatwo jest je znaleźć. Można też przy nich na zasadzkę drapieżnika upolować. Czasami krajowcy z psami nań polują, gdyż podobnie jak niedźwiedź przed psami na drzewo ucieka, gdzie go łatwo zabić można. We właściwym miejscu opowiem moje z pumą spotkanie.

Największy z drapieżników amerykańskich — jaguar — wypadkowo tylko zabłąka się do lasów jaenskich. Jedyny znany mi wypadek zabicia jaguara w tej części Peru przytrafił się lat temu kilkanaście w osadzie Palto, w pobliżu Tambillo.

Tapir włochaty (*Tapirus villosus*) zamieszkuje lasy umiarkowane Inkazji. Niepodobna mi jest oznaczyć dolnej granicy jego rozmieszczenia, gdyż równiny Amazonii zamieszkuje inny pobliski gatunek (*T. americanu*), odznaczający się od poprzedniego prawie kompletnym brakiem sierci. W górę tapir włochaty sięga samej granicy lasów, to jest 10000' n. p. m. Najobficiej przytrafia się w tych okolicach lasu, gdzie porasta pewien gatunek wijącego się bambusu (*Chusquea*), która dlań ważny artykuł pożywienia stanowi. Trzcina ta w górskich lasach rozrasta się nieraz na znacznych przestrzeniach, stanowiąc gęszcze trudne bardzo do przebycia; najwięcej spotkałem jej na wschodnim stoku Kordyljerów, na spadku do rzeki Huallagi w granicach 5000' do 7000' n. p. m. i tam rzeczywiście tapirów musi być wiele, gdyż o tem świadczyły liczne tro-

py, spotykane na miękkim rozmoczonym gruncie. W lesie tambillańskim znajdują się one według zdania mieszkańców, lecz głównie w głębi lasu ku górze Taros. Martinez spotkał jednego na polu kukurydzy tuż przy domu; my jednak mniej byliśmy szczęśliwi i nawet tropów nie udało nam się widzieć.

Peruwjanie zwą tapira „gran bestia“, „ante vaca“ lub „danta“. Jaenczycy uważają je za rodzaj bydła domowego, należącego do „ludzi“ zamieszkujących góry, niedostępnym lasem okryte. Zowią też go „ganado del Cerro“ (bydło górskie — a raczej należące do góry) — tak jak ów lud fantastyczny nazywa się „ganado del Cerro“. Wspomniałem już poprzednio, jaką rolę odgrywały góry w mitologii Inkasów.

Tapir jest zresztą stworzeniem bardzo niewinnem, nieszkodliwym, a dla swego doskonałego mięsa bardzo poszukiwanem. Zwierz to bardziej nocny, jak dzienny i dlatego trudny do spotkania. Polować nań można z psami, które goniąc go, męczą, aż póki biedny zwierz nie ustanie. Wówczas myśliwy, starający się nadażyć za psami, podbiega i strzałem lub oszczepem zabija zdobywcę; niekiedy zarzuca mu laso i przywiązawszy do drzewa—dusi. Można też polować na tapiry z zasadzki w miejscach, gdzie te nocną porą do kąpieli przychodzą. Jelski spróbował raz tego polowania w dolinie Chanchamaya (na wschód od Limy) i rzeczywiście doczekał się tych zwierząt, lecz dla zbytnej ciemności nie mógł strzelać.

Krajowcy chętnie polują na tapira, gdyż oprócz doskonałego mięsa, dają także skórę, z której Indjanie lub metysi sporządzają nadzwyczaj mocne lassa; a nadto, według zdania ciemnego ludu, kopytka tego zwierzęcia mają być nadwyzczajnym środkiem leczniczym. Wogóle jednak liczba upolowanych tapirów jest bardzo mała, co głównie przypisać należy wrodzonej lękliwości tych zwierząt i ich nocnym obyczajom.

Oprócz wspomnianych czworonogów lasy jaeńskie żywią jeszcze gatunek dzika amerykańskiego, zwanego „pecari“, „sajino“, „puerco cimarron“—stosownie do okolicy. Wiadomo jest, że dwa gatunki tego rodzaju zamieszkują lasy amerykańskie to jest mniejszy (*Dicotyles torquatus*) i większy (*Dicotyles labiatus*). Ponieważ nie zdarzyło nam się ani razu w Tambillo spotkać z temi stworzeniami, nie jestem przeto w stanie określić, który mianowicie z dwu gatunków właściwym jest lasom prow. Jaen; być nawet może, iż oba jednocześnie zamieszkują tę okolicę, co się zwykle zdarza. W każdym razie zwierz ten w bezpośrednich okolicach Tambillo rzadko się pojawia, a przebywać musi bardziej w głąb puszczy ku górcom Taros. Zaraz po naszym wyjeździe z Tambillo stado ich pojawiło się na polu Wiktora Martinez'a i znaczne szkody wyrządziwszy, zagłębiło się w lesie bezkarnie.

Z mniejszych czworonogów spotyka się w Tambillo *Galictis barbara* i znany nam już aguti (*Dasyprocta*). Wogóle jednak wszystkie te zwierzęta są nader rzadkie i tylko w nielicznych wypad-

kach dla oka ludzkiego dostępne. Pomińmy je więc milczeniem, a przejdźmy z kolei do ptaków.

Avifauna lasów jaeńskich jest względnie bogatą i chociaż nie przedstawia tak wielkiej różnorodności, jak avifauna wschodniego skłonu łańcucha Amazońskiego, niemniej wszelako daje obfite pole do robienia kolekcji ornitologicznych. Puszcze jaeńskie wszak to lasy dziewicze w całym znaczeniu tego wyrazu, a jeżeli bogactwem życia zwierzęcego ustępują „montanii“ amazońskiej to głównie przypisać należy izolacji tych lasów od puszczy wschodniego Peru. Jak to bowiem powiedziałem, powtarza się tu to samo prawo, które uczeni sprawdzili w rozmieszczeniu zwierząt na powierzchni kuli ziemskiej, a mianowicie, że fauny wysp są wogóle uboższe od faun wielkich lądów; a w gruncie rzeczy owe lasy jaeńskie dla wielu gatunków zwierząt są prosto wyspami, izolowanymi pomiędzy sobą, lub od głównej masy lasów południowo-amerykańskich bezleśnymi okolicami — w tym mianowicie wypadku głębokimi dolinami rzek, w których roślinność leśna zastąpiona bywa przez rzadko porastające drzewa akacjowe, przez niewysokie krzewy i przez kaktusy, to jest przez taką roślinność, jakąśmy widzieli w dolinach Pomorza peruwjańskiego.

Drobne ptactwo, jak tangary, muchołówki, lub gajówki zbijają się zwykle w stadka wędrowne w celach wspólnego polowania; przyłączają się też do nich zwykłe pelzaczki amerykańskie (*Dendrocolaptidae*). Ten obyczaj, na który zwróciłem już poprzednio uwagę moich czytelników, właściwym jest wyłącznie ptactwu leśnemu i wogóle za prawidłó postawić można, że im większe są przestrzenie lasów, tem stadka wędrowne są większe i wybitniejsze; największego też rozwoju dochodzą one na niezmiernych przestrzeniach leśnych Amazonii.

W harmonii lasów jaeńskich główną rolę odgrywa niewielka muchołoweczka (*Basileuterus castaneiceps*), którego śpiew niezbyt głośny, lecz nadzwyczaj miły rozchodzi się rankami ze wszech stron. Zwykle śpiewają dwa ptaki naraz w ten sposób, że jeden drugiemu akompanjuje, wypełniając jednocześnie pauzy między zwrotkami swego towarzysza. Gdy rankiem o wschodzie słońca staniemy w jakim punkcie, dominującym nad okolicą, słychać ze wszech stron ten śpiew sympatyczny. Towarzyszy mu zwykle głośnie, lecz pełne smutku nawoływanie trogona (*Pharomacrus auriceps*), który niby sylaby *ka-kau* wielokrotnie powtarza. Ptak to wielkości gołębia o bardzo pięknym upierzeniu złocisto-zielonem, o brzuchu pięknego czerwonego koloru. Trogon ten jest wspólnym zająwcem sławnego „quezal’a“ o długim wspaniałym ogonie, którego rzeczpospolita Guatemalska w swym herbie używa. Trogon peruwjański jest teź samej wielkości i równie świetnie ubarwiony, lecz nie posiada dwu pokryw nadogonowych tak wydłużonych, jak u jego krewniaka ze środkowej Ameryki. Jest to zresztą ptak nieruchomy i ponury, mogący długie chwile spędzać na jednym miejscu. Żywi się głównie owocami nektandry, które w lot zrywa z gałęzi. Przypuszczać należy, że wielkie pestki tych owoców

niestrawionych wyrzuca gębą na podobieństwo tuszczaka (*Steatornis caripensis*), o czym we właściwym miejscu obszerniej pomówię.

Do najpospolitszej zwierzyny lasów jaeńskich należą penelopy znane nam już z wycieczki do Santa-Lucia. Dwa gatunki tych kurowatych spotyka się w okolicach Tambillo: jeden z nich wielki, o ubarwieniu całkowicie czarnem, zwany powszechnie „pava negra” (*Aburria carunculata*); drugi znacznie mniejszy, pstro ubarwiony, a zwany przez mieszkańców dep. Cajamarca „calaluja” (*Penelope Sclateri*). Penelopa czarna trzyma się pospolicie miejsc niżej położonych, a w Tambillo spotyka się przeważnie pomiędzy 5000' i 6500'; rzadziej zaś dochodzi wysokości 7000' absolutnej wysokości. Spotkałem ją następnie we wschodnim Peru na wysokości 3700', lecz tam jest znacznie rzadsza; mówiono mi też o niej w Moyobamba (2800'), gdzie ją krajowcy „uanta” nazywają.

W Tambillo ptak ten jest stosunkowo bardzo liczny i łatwy do upolowania. Dość jest nieraz parę godzin pochodzić, aby ich kilka upolować. Żeru szuka po ziemi, biegając z nadzwyczajną zręcznością. Najedzona zasiada na niższych gałęziach drzew, gdzie nieruchomie, podtuliwszy nogi pod ciało, długie chwile spędzać może. Za zbliżeniem się człowieka nie okazuje wielkiego niepokoju i często zdarzało mi się przejść pod drzewem, nie płosząc bynajmniej ptaków, oddających się sjęście. Skutek to widać braku w tych okolicach myśliwych, którzyby na nie polowali, gdyż ten sam gatunek po drugiej stronie doliny Maranonu jest bardzo płochliwy i nawet nocą po księżycu niełatwo zejść się daje.

Głos, jaki ten gatunek penelopy w porze lęgowej wydaje, jest nadzwyczaj charakterystyczny i doniosły. Śpiew swój miłośny rozpoczyna penelopa kilku tonami dość cichymi, o brzmieniu trąbki chromatycznej, które tylko zbliżona słyszeć można, poczem następuje rodzaj przeraźliwego wrzasku, poczynający się od niskich tonów i przechodzący nadzwyczaj szybko gammą chromatyczną do bardzo wysokiego rejestru, poczem znów szybko się zniża. Brzmieniem głos ten przypomina nieco krzyk ciągnących zórawi. W miesiącach od września do lutego słyhać go na wszystkie strony, zarówno dniem, jak i nocą, a po nim łatwo dojść ptaka. Nieraz też w Tambillo, gdy przyszła ochota zjeść kawałek świeżego mięsa, strzelaliśmy tę panelopy. Mięso starego ptaka jest dość twarde, lecz za to rosół z niego — wyśmienity. Młode przypominają smakiem kurę domową.

Drugi ze wspomnianych gatunków (*Penelope Sclateri*) trzyma się wyższych pięter lasu tambillańskiego i należy do najpospolitszej zwierzyny w niektórych okolicach Peru i Ekwadoru. Ptak ten zejść się łatwo daje na bardzo bliską odległość i dopiero wtedy zrywa się z krzykiem, aby o kilkadziesiąt kroków na innym drzewie zasiąść. Głos jego przypomina nieco gulgotania indyka.

Wogóle polowanie na penelopy należy do najłatwiejszych, gdyż polega jedynie na wypatrzeniu zwierzyny wśród gęstych koron drzewnych, co zresztą nie jest rzeczą trudną, gdyż bardzo

często nieostrożny ptak zdradza się sam, czy to odzywając się swym indycczym głosem, czy też zrywając się z drzewa. Krajowcy, dla których strzelanie w lot jest niedościgłym szczytem zręczności, lubią też polować na penelopy, ponieważ zwykle siedzące strzelać się pozwalają. Najlepsze godziny polowania są rankiem, lub pod wieczór, kiedy ptaki na żer wychodzą, inaczej bowiem siedzą spokojnie wśród gęstych koron i łatwo uniknąć mogą śmierci, pozwalając przejść pod drzewem niewprawnemu myśliwemu.

Z niższych tworów kręgowych na uwagę zasługuje pewien rodzaj małej żabki drzewnej, wydającej głos podobny do uderzenia młotkiem po małym kowadelku, jakiego używają złotnicy, z kądem też krajowcy nazwali tę żabkę „platero” co znaczy po naszym złotnik ¹⁾. Głos ten rozlega się prawie wyłącznie podczas deszczu i wtedy tyle się na raz słyszy żabek w okolo, że robi to na nas wrażenie jakbyśmy się rzeczywiście dostali do jakiegoś wielkiego warsztatu złotniczego. Tak też przywykliśmy zawsze słyszeć w Tambillo szum deszczu przy akompaniamencie tych żabek, że dziwiło nas potem w okolicach, gdzie tych małych ziemnowodnych niema, gdy deszcz szumiał, a brak było srebrzystych tonów, zwykle mu towarzyszących.

W owady las tambillański jest bogaty i częste też na nie robiliśmy wyprawy, które nam plon obfity wydały. Zdobyliśmy tu między innymi wielką rzadkość entomologiczną, odkrytą przez znanego podróżnika angielskiego i nazwanego na cześć jego (*Prionocalus Buckleyi*). Jest to wielki czarny żuk z rodziny koziorożców. Krajowcy utrzymywali, że pojawia się tylko co lat kilka i myśmy właśnie na taki rok szczęśliwie trafili. Udało nam się też dostać kilkadziesiąt okazów tego rzadkiego owada, które gabinet warszawski mógł korzystnie wymienić na inne rzadkości entomologiczne.

Również wydajne były ekskursje urządzone na motyle, których moc niesłychana zbierała się przy samej chacie na rozdeptanym błocie przy strumieniu. Dość było z siateczką i słoikiem zejść na parę godzin do strumienia, aby nzbierać znaczną ilość okazów; wieczorem schodziło się z latarką na nocne gatunki. Do najwspanialszych motyli, lecz zarazem i do najrzadszych należy olbrzymi morfo zmierzchny (*Pavonia*), wylatujący jedynie o świcie lub o zmierzchu. Ciekawy też miałem wypadek z tym motylem, który dla wiadomości panów entomologów podaję. Złowiłem był już 2 czy 3 okazy, lecz wszystkie były stare i podszarzane. Razu pewnego wracałem do domu z ekskursji na ptaki, mając ze sobą strzelbę, a nie siateczkę (czerpak), gdy nagle spostrzegłem wspaniałego motyla kierującego się swym leniwym lotem prosto na mnie. Bezwiednie prawie zerwałem kapelusz z głowy i silnie uderzyłem rondem jego przelatującego owada, który upadł tuż przy

²⁾ „Platero” pochodzi od hiszpańskiego wyrazu „plata”, co właściwie oznacza srebro.

innie. Pewien byłem, że w kawalki rozbić musiałem te wspaniałe skrzydła, gdy, o dziwo! spostrzegłem, że owad był cały, świeżutki, bez żadnej skazy. W podobny też sposób zdobyłem inny rodzaj morfona (*Morpho Cytheris*) o wspaniałych blado błękitnych skrzydłach. Motyl ten lata zwykle bardzo wysoko, a skrzydła jego tak lśnią na słońcu, że wygląda, jakby go złocista aureola zewsząd otaczała. Lot ma, jak wszystkie morfony leniwy i powolny, a niekiedy robi zupełnie wrażenie spadającego suchego liścia. Tem jest właśnie trudny do zdobycia, że lata zwykle między koronami najwyższych drzew.

Do najpospolitszych w Tambillo należą niewielkie motylki z rodzaju *Acraea*, o czarnych skrzydłach z dużemi czerwonym i lub żółtymi plamami. Nieraz nad strumieniem zwracała moją uwagę masa odciętych skrzydeł tych motyli, któremi rozdeptane błoto bywało literalnie zasłane. Długo sobie zdać z tego sprawy nie mogłem, aż wreszcie udało mi się odkryć, że to pewien rodzaj wielkich os, z rodzaju jak się zdaje *Polistes*, są sprawczyniami tego. Drapieżne te owady napadają niedołęzne bardzo i trudno zrywające się motyle, które chwytają za odwłok swemi silnemi szczypcami, poczem stopniowo posuwają się ku skrzydłom, ucinają takowe, a samego owada jak się zdaje unoszą, gdyż na pobojowisku nigdy nic prócz skrzydeł nie znajdowałem. Dziwnem jest, że te motylki najniebezpieczniejsze ze wszystkich, są najbardziej odporne na działanie kwasu pruskiego. Bywało, że je trzymam po godzinie w słoiku z cyankiem potasu, a one włożone do papierka odżywały, gdy dla innych motyli kilka minut zaledwie wystarcza do kompletnego zatrucia.

ROZDZIAŁ V.

Wyprawa nad Maranon.

Pod koniec marca 1878 ekskursje w okolicach Tambillo przestały się już opłacać, gdyż powtarzały się ciągle jedne i te same gatunki. Zdecydowałem się zrobić kilkotygodniową wyprawę do doliny Maranonu, czyli górnej Amazonki¹⁾ w nadziei, że okolica ta, jako posiadająca zupełnie różny charakter, będzie też miała i faunę odmienną, co się w następstwie zupełnie potwierdziło. Towarzysz mój, jako przybyły później do Tambillo, pozostał na miejscu dla dokończenia eksploracji; ja więc sam puściłem się w te mało badane przez przyrodników okolice, starając się zabrać ze sobą tylko najpotrzebniejsze przedmioty; resztę zostawiłem w Tambillo pod opieką mego dzielnego towarzysza.

Ładunek mój składał się z dwu skrzyń większych, dwu mniejszych i najniezbędniejszej pościeli, to jest poduszki, kołdry i paru prześcieradeł. Wszystko to mogło się łatwo pomieścić na grzbietach dwu mułów, których wynajęcie ułatwił mi wspomniany już poprzednio sędzia pokoju z osady Ambagay, don Estanislao Hernandez. Do pomocy nająłem sobie młodego Indjanina, niejakiego Marcina Hurtado z sąsiedniej osady Sauce; biedak! nie wiedział wtedy, że tę kilkotygodniową wycieczkę życiem przypłaci. Był to chłopak lat dwudziestu, Indjanin, zlekka podrasowany krwią białą, niski, krępy; trzy palce lewej ręki miał zmiażdżone przez młyn do wygniatań trzciny cukrowej—rzecz bardzo często spotykana między mieszkańcami prowincji Jaen. Charakteru Marcin był łagodnego i uczynnego, tylko leniuch był wielki i wódkę lubił pasjami. W każdym razie przyznać mu trzeba, że przydał mi się bardzo w tej wycieczce, a głównie, że w Guajango, dokąd się kierowaliśmy, mieszkała jego ciotka, u której mieliśmy zamieszkać.

W dniu 3 kwietnia wyruszyliśmy naszą małą karawaną już

¹⁾ Amazonka nosi nazwę Maranonu począwszy od źródeł aż do złączenia się z rzeką Ucayali. Część zaś królowej rzek zawarta między granicą brazylijską i ujściem rzeki Negro zwaną jest przez Brazylijczyków Solimoës.

kolo godziny 11-ej rano podczas ulewnego deszczu. Droga rozmokła od ciągłych dżdżów była tak fatalna, że oba muły, niosące bagaż, z trudnością naprzód postępować mogły, ślizgając się i padając na każdym kroku. Ja sam i Marcin dla braku wierzchowców szliśmy piechotą, obaj należycie obciążeni. Ja oprócz strzelby, niosłem dobrze wyładowaną torbę myśliwską i na plecach worek z grubego sukna krajowego, w którym nosiłem zwykle zapasową bieliznę, oraz niezbędne do preparowania narzędzia; do pasa miałem nadto przypięte poncho kauczukowe, które w chwili wyruszenia musiałem nałożyć na siebie, aby rzeczy od zmoknięcia ochronić. Droga, przebywszy mały strumień, zwany Quebrada de Sauce, pnie się ciągle w górę aż do osady Ambagay, gdzie dochodzi 7000' wysokości n. p. m.; stamtąd biegnie prawie poziomo, aż póki gwałtownym spadkiem nie zacznie się spuszczać ku osadzie Velota. Z tego miejsca obszerny horyzont pozwala wędrowcowi dojrzeć odległe, poza-maranińskie skłony, na których bieli się miasteczko Llamon, leżące już w sąsiednim departamencie Amazonas.

W miarę, jakieśmy się do Velota spuszczały, roślinność szybko zmieniać się poczęła, miejsce górskiego lasu zastąpiły tak zwane przez krajowców „barrizales” czyli niewysokie zarośla, w których roślinność akacjaowa zaczęła stopniowo przeważać. Okolo godziny w pół do czwartej stanęliśmy wreszcie w osadzie Velota, składającej się z 10 marnych chat. Wieś ta, zamknięta w ciasnym wąwozie i licząca tylko 4000' absolutnego wzniesienia, posiada klimat gorący i bardzo niezdrowy, co łatwo odkryć, spojrzawszy tylko na blade i wynędzniałe twarze mieszkańców. Febry, malarje i gorączki trapią ich tu nieustannie, a straszna „uta” czyni też niemałe spustoszenia.

Velota pod względem klimatu stanowi przejście od tego, co krajowcy nazywają „quichua” do tak zwanego „temple ardiente” czyli gorących części bród kordyljerskich, a nawet słusznie może być zaliczoną do tej ostatniej kategorii, gdyż się tu świetnie udaje kakao i ryż, wymagające bardzo gorącego klimatu. Oprócz tych dwu roślin mieszkańcy osady uprawiają jeszcze tytuń, banany, yukę i niektóre inne rośliny. Mile zostałem zdziwiony, znalazłszy tu pewną odmianę kartofli, zwaną „chilope”; wiadomo bowiem, że kartofel wymaga chłodniejszego klimatu i niewątpliwie wysokość Veloty (4000') stanowi dolną granicę jego pionowego rozmieszczenia.

W Velota zajechaliśmy do znajomego mi dobrze z Tambillo José Vivanco Montez'a. Gospodarza nie było w domu; rozjuczylimy więc sami muły i czekaliśmy na jego przybycie; wkrótce też nadszedł, witając nas gościnnie. Twarz miał całą opuchniętą i krwią pokrytą. Sądziłem zrazu, że uległ jakiemu wypadkowi, lecz objaśnił mnie, że to tylko „los mosquitos” tak go pocięły w czasie zajęć przy plantacji. — Rzecz to zwykła u nas — mówił — i nikt na takie bagatele uwagi nie zwraca.

Zajął się niezwłocznie przygotowaniem posiłku, w czem mu Marcin dopomagał. Zdziwiony też byłem niepomalu, że wbrew

ogólnemu zwyczajowi nie miał ani żony, ani nawet towarzyski życia, która tak często zastępuje miejsce prawowitej żony w Inkazji, że nikt na to nie zwraca uwagi i przyjętem jest nawet w lepszych towarzystwach nie pytać się o to, czy przedstawiona osoba przez kościół dostała się do domu swego towarzysza, czy też wprost bez żadnych ceremonii do niego weszła.

Okolo godziny 8-ej wieczorem, gdyśmy zajęci byli poobiednią gawędą, nadjechał gubernador z Cujillo, niejaki Vallejos. Dowiedziawszy się, że jadę nad Moranon, ofiarował mi swe usługi, gdyż sam mieszka w Malleta przy ujściu rzeki Tambillańskiej do Maranonu, jako znający doskonale drogę, mógł mi być bardzo użytecznym; chętnie też za jego grzeczność dziękowałem. Okazało się jednak nazajutrz, że koń jego był niezdolny do dalszej podróży, a innego nie udało się najać na razie. Trzeba więc było zostać się do trzeciego dnia i dopiero w południe, podczas największego skwaru mogliśmy w dalszą drogę wyruszyć.

Droga z Velota prowadzi ciągle w dół, lecz na szczęście miejsce śliskiej gliny zastępuje tu skała lub żwir, więc muły śmiało stapać mogą. Inaczej podróż ta należałaby do bardzo niebezpiecznych, gdyż ścieżka w wielu miejscach zwęża się bardzo, mając po jednej stronie przepaść kilkuset stóp, a po drugiej prostopadłą ścianę. Jeden z mych mułów pchnięty przez swego towarzysza o mało, że nie runął w przepaść i tylko cudownym sposobem zdołał się utrzymać na samym skraju wązkiej ścieżyny.

Skwar był nieznośny, gdyż niska lub rzadkolistna roślinność tych okolic żadnego cienia nie daje, zupełnie jak na Pomorzu. I w rzeczy samej krajobraz uderzająco zaczął przypominać pomorskie doliny Peru. Powoli miejsce zwykłych drzew leśnych zajęły tak charakterystyczne dla pomorza kandelabrowate kaktusy, a drzewa przeważnie do typu akacyjowego należały, jak np. algarrobo, guarango, mimozy i inne. Wkrótce też spostrzegłem jednego z największych oryginałów roślinnego świata, to jest „tunsho” krajowców (*Bombax*). Niższy znacznie od pomorskiego brzuchala posiada jednak kształty jeszcze potworniejsze: od korzenia cienki, rozdyma się następnie do niebywałych względnie rozmiarów, poczem znów się zwęża raptownie aby wypuścić kilka koszlawych, i marnych konarów, stanowiących niemal bezlistną koronę. Beczkowaty ten pień pokryty jest stożkowatemi kolcami; kora jego nie jest wszelako zielona jak u pomorskiego gatunku, lecz szara; brak też charakterystycznych zagród podstawowych, o których wspomniałem mówiąc o bombaxie lechugalskim.

Przebywszy wreszcie strumienie, zwane Rio de la Velota i Rio de Chuayo, dostaliśmy się do doliny rzeki Quivillagu, która jest znanym nam już dobrze strumieniem płynącym koło Tambillo tylko w połączeniu z Rio de Potrero. Ta rzeka Quivillagu nieco poniżej zwie się Rio de Malleta, od miejscowości noszącej tę nazwę i jako taka wpada do Maranonu.

Począwszy od tego miejsca, gdzieśmy dosięgli wąwozu Quivillagu, droga poprowadziła już zupełnie równym terenem, a oko-

lica przybrała kompletnie pomorski charakter; skorom tylko dopomagał sobie nieco imaginacją, zdawało mi się nieraz, że się znajduję w San Gregorio, poniżej osady Gaetano Medina.

Okolo godziny 4-ej stanęliśmy u brodu rzeki, którą należało przejść, aby się na lewy brzeg dostać. Rzeka była wezbrana, a mętne żółtawe wody pędziły z szybkością, mogącą sprawić zawrót głowy osobom nerwowym. Niebezpieczna to przeprawa przez wezbraną górską rzekę i gdyby nie Vallejos, możebyśmy się nie odważyli na krok tak ryzykowny; lecz towarzysz nasz, praktyk wielki w tego rodzaju przedsięwzięciach, nie namyślając się długo, rozebrał się i śmiało wszedł do wody. Strach było patrzeć na tego odważnego człowieka, jak sam jeden borykał się z szalonym prądem, dość bowiem było, aby mu woda nogi poderwała lub jak to się mówi w potocznej mowie — żeby grunt stracił, a już by było po nim. Zwykle przy takich przygotowach kilku ludzi bierze się razem za ręce i tak łańcuchem wodę przechodzą, aby zwiększonym ciężarem silniejszy opór prądowi stawić.

Vallejos przebył szczęśliwie rzekę, mogącą mieć okolo 60 metrów szerokości, poczem bezpośrednio wrócił do nas, przekonawszy się że przeprawa jest możliwą. Obaj wraz Marcinem przeprowadzili najprzód silniejszego muła wraz z ładunkiem, a rozjuczwszy go na drugiej stronie, przyprowadzili na lewy brzeg, aby mnie na jego grzbiecie przeprowić. Wówczas raz jeszcze przeprowili się na przeciwną stronę i przywiązawszy drugiego muła do ogona pierwszego ostatecznie uskutecznił tę trudną manipulacją. Wszystko to zajęło nam przeszło godzinę czasu i już się ściemniać zaczęło, gdyśmy dalej ruszyli. A droga była fatalna, gdyż zamknięta dwoma prostopadłymi ścianami, nieraz prowadziła samem łożyskiem rzeki, co przy wezbranej wodzie utrudniało nadzwyczaj posuwanie się naprzód. Wreszcie koło 8-ej godziny usłyszeliśmy naszczekiwanie psów i kierując się niemal po omacku dobrnęliśmy do jakiejś osady, gdzie przyjęto nas na nocleg. Zjadłszy za całą wieczność dwie doskonałe pomarańcze, poszedłem spać, znużony ośmiodzinnym marszem.

Nazajutrz rano, zakąsiliśmy nieco i ruszyliśmy w dalszą drogę ku Guajango. Raz jeszcze przebyć musieliśmy tę samą rzekę Malleta, aby się na lewy brzeg dostać. Na szczęście bród tu łatwiejszy, gdyż woda rozlewa się szerszem korytem i nigdzie głęboką nie jest, a nadto przez noc opadła znacznie. Wkrótce też znaleźliśmy się w samej dolinie Maranonu.

Poraz to pierwszy dnia tego, zobaczyłem Królową Rzek, lecz jakby słusznie powiedzieć można „w kołysce“. Sądząc na oko, Maranon mierzy w tem miejscu okolo 160 metrów szerokości i posiada prąd stosunkowo bardzo bystry, przy niskim jednak stanie wody pozwalający z łatwością na przeprawę tratwę z jednego brzegu na drugi. W chwili, gdym go po raz pierwszy ujrzał, wody miał mętne, gdyż ciągle deszcze, padające w tym sezonie, zasilają go w sposób niezwykły. Łożysko samo jest miejscami wysłane

mulem, to znów piaskiem lub żwirem. Brzegi posiada niskie i wysokie drzewami zarosłe.

Droga była ztąd ciągle dobra i prowadząc poziomo, tylko miejscami spuszczała się do samych brzegów rzeki, aby przebiegłszy nieznaczną przestrzeń po miękkim mulastym gruncie, wydostać się znów na górny taras doliny, gdzie ziemia składała się z twardej gliny czerwonej, żwirem pokrytej. Wkrótce jednak upał zaczął nam straszliwie dokuczać i wtedy dopiero mogłem naprawdę poznać, co to jest zwrotnikowe gorąco. Około godziny 1-ej zatrzymaliśmy się na chwilę, aby koniom pozwolić wytchnąć i samym chwilę wypocząć od nieznośnego skwaru. Wkrótce ruszyliśmy dalej, lecz żar był nie do wytrzymania.

Dzień ten pozostanie mi pamiętnym na całe życie, gdyż podobnego upału nie doznałem podczas całej mej podróży w Ameryce, ani nawet w Sudańskich dżunglach. Cisza w powietrzu była tak kompletna, że żaden listek nie drgał, a gdy jeszcze w dodatku i ptactwo wszelkie ukryło się gdzieś po gąszczach nadbrzeżnych, robiło to wrażenie, jakby cała przyroda zamarła pod wpływem palących promieni. Niebo było czyste, bez chmurki, barwy jasno błękitnej, a po środku w samym zenicie lśniło się słońce ogniste, śląc na ziemię snopy rażącego światła i promienie ogniste. Widziane w pewnej odległości przedmioty drżały, jak gdyby to czyste powietrze unosiło się ponad kupą żarzących się węgli. Pod wpływem tej niezwyklej temperatury powietrze było tak rozrzedzone, że mi tchu braknąć poczynęło, jakby mnie astma dusić poczęła. Rzuciłem się wycieńczony na ziemię, zrywając z siebie cały mój ładunek; nawet koszulę rozerwałem, bo mi się zdało że mnie pierś gniecie, jakby żelaznemi obręczami ściskając. I przyszli mi na myśl owi wędrowcy po pustyniach afrykańskich, którzy pośród nieskończonych przestrzeni piaszczystych doznają niewysłowionych katuszy żaru i pragnienia. Zrozumiałem dopiero wtedy ich cierpienia, podziwiałem ich odwagę i zaparcie się samych siebie. Ja bo przynajmniej miałem kszkę cieniu, wród którego odpocząć można było; miałem w bliskości wodę, aby spieczoną pragnieniem usta odświeżyć. Lecz oni!... Cześć i chwała tym bohaterom, którzy rzucawszy ognisko domowe, wszelkie wygody życia, mrą tam na obczyźnie dla dobra nauki i dla sławy swych narodów.

Krótki wypoczynek dodał mi sił i odwagi do dalszego marszu, który też wkrótce miał się skończyć, gdyż widać już było kilka palm kokosowych, zwiastujących bliskość wsi Guajango. Jeszcze pół godziny i znaleźliśmy się w domu Duarez'a, mego przyszelego gospodarza.

Rodzina Duarez'a składała się z niego samego i jego żony, noszącej imię Peta, (zdrobniale od Petronela), ciotki mojego Marcina. Oboje nie byli powiadomieni o naszym przybyciu, niemniej jednak przyjęli nas bardzo gościnnie, a po krótkim pożyciu tak mnie sobie zjednali swą bezinteresownością, że zawiązały się między nami stosunki serdecznej przyjaźni. Duarez był to człowiek lat około 40, należący do mieszanów z Indjanina i białego (cholo).

Charakteru bardzo łagodnego, lubił na nieszczęście zajrzeć do kieliszka, co go zupełnie zmieniało, gdyż stawał się wtedy kłótliwym i do noża pochopnym. Tak mnie jednak polubił i szanował, że przez 5 tygodni czasu, jakie w jego domu spędziłem, powstrzymał się zupełnie od wódki, oszczędzając mi przykrego widoku szalonego człowieka. Żona jego, niemłoda już kobieta, pod względem dobroci charakteru dorównywała mężowi. Oboje starali mi się dogodzić przez cały mój pobyt, a w chwili rozstania słyszeć nawet nie chcieli o jakiegokolwiek bądź zapłacie.

Guajango składa się z dziesięciu chat rozrzuconych zwyczajem peruwjańskim na znacznej przestrzeni. Wszystkie zbudowane są z bambusu lub dzikiej trzciny (*Gynerium sagittale*), przypominając tem budowie pomorskie; kryte zaś są liśćmi trzciny cukrowej, używanej powszechnie na strzechy w miejscach gdzie się tylko ta roślina udaje. Dom jednak Duarez'a zbudowany był z adobów (cegła niepalona) na sposób domostw Serrańskich i tę właśnie chatę oddali do mojej dyspozycji, zachowując jedną z dwu izb dla przyjezdnych gości, a mnie oddając w posiadanie drugą. Urządziłem się tu na prędce, tworząc naszym zwyczajem stół z dwu większych skrzyń i czasu nie tracąc, przystąpiłem do ekskursyj.

Rzut oka na przyrodę doliny Maranonu nie będzie pozbawionym interesu dla swych czytelników. Sama dolina liczy wszystkiego 1500' wzniesienia absolutnego, co jest bardzo ciekawem, gdy zważymy, że zamknięta jest dwoma łańcuchami Kordyljerów, mierzącymi średnio około 12000'. Nic też dziwnego, że tak głęboka szczelina, zamknięta ze wszech stron od panujących wiatrów, posiada klimat mogący się śmiało liczyć do najgorętszych w świecie. Osobliwością natomiast jest niezwykła suchość tego klimatu pomimo blizkiego sąsiedztwa Kordyljerów, gdzie gęste lasy, rozsiane po obu stronach, akumulują niezwykłą masę wilgoci. Nad Maranonem klimat jest tak suchy, że niepotrzeba hygrometru, aby się o tem przekonać: wszystkie przedmioty schną z nadzwyczajną szybkością, a pochwa mego „machete“, porzucona przez kilka dni, okazała się za ciasną wskutek wyschnięcia. Przez ciąg pięciu tygodni, jakie w Guajango spędziłem, deszcze padały tu tylko dwa razy, pomimo, że w sąsiednim regionie Sierry należały do codziennych zjawisk. Jakżeż często widziałem jednocześnie na obu skłonach doliny padający deszcz ulewny w odległości kilku zaledwie godzin drogi, gdy nad Maranonem piękne słońce świeciło. To znów chmury z obu stron się zejda, zawsze jednak ponad doliną prześwieca podłużna smuga, co dowodzi, że chmury w tem miejscu są nie tak gęste. Grunt i powietrze są tu tak suche, że nieraz deszcz pada, a przedmioty nie mokną wcale, a raczej mokną i jednocześnie wysychają.

Niemniej jednak klimat doliny Maranonu należy do bardzo niezdrowych, a mianowicie powoduje u osób nieprzyzwyczajonych bardzo silne zimnice, których niełatwo się potem pozbyć. Mieszkań-

cy są wogóle bladzi i anemiczni, chociaż właśnie dzięki tej anemii są odporniejsi na zły wpływ niezdrowego klimatu.

Dolinę Maranonu podzielić można na trzy tarasy, noszące różny zupełnie charakter. Pierwszy z nich, najniższy, obejmuje dno samej doliny i składa się z mułu rzeczno najnowszej formacji. Tutaj też porastają wszystkie większe drzewa, jak „catagua“, „guarango“ (*Acacia*), algarrobo (*Prosopis*) i inne. Część ta zajęta jest przeważnie pod uprawę trzciny cukrowej, ryżu, yuki i dla tego możnaby nazwać taras ten uprawnym. Ponad nim wznosi się drugie piętro doliny, zarosnięte przeważnie rośliną zwaną „cullushina“. Grunt stanowi tu twarda glina, usiana zwykle żwirem i pod uprawę prawie się nie nadaje. Wreszcie skłony gór stanowią trzeci taras doliny, pokryty przeważnie tłustą trawą i rzadkimi krzakami.

Charakterystyczną cechą doliny Maranonu są tak zwane „zanoras“, które odpowiadają w zupełności pomorskim „rios secos“ (suchym rzekom). Są to jary porośnięte dość bujną roślinnością i dnem których płynie woda w porze wielkich deszczów; w porze zaś suchej miejsce wody zastępuje czysty, biały piasek. Oprócz tych suchych parowów mają ujście w dolinie Maranonu liczne górskie strumienie i rzeki, z pomiędzy których z lewej strony zasługują na uwagę Rio Chamaya i Rio Chinchipe, a z prawej Rio de Utcubamba, płynąca u stóp departamentalnego miasta Chachapoyas.

Z tego, cośmy wyżej o florze doliny Maranonu wspominali, widać, że część ta Peru zaliczona być winna do tego samego typu okolic, co Pomorze peruwjańskie, a mianowicie do typu zwanego przez nas „lomas“ (wzgórza). W samej rzeczy roślinność tak tu, jak i tam składa się przeważnie z roślin akacjowych kaktusów które tak charakterystyczne piętno na okolicy wybijają. Pomiedzy niemi na szczególną wzmiankę zasługuje kaktus włochaty (*Pilocereus*), kształtem przypominający kandelabrowe pomorskie kaktusy (*Cereus*), lecz noszący zamiast kolców, gęstą roślinną wełnę, która wielu ptakom do slania gniazd służy doskonale. Do rzędu plag tej okolicy należy niewielki, przy ziemi rosnący kaktus, zwany „cajaruru“, (*Opuntia horrida*), opatrzony w olbrzymie kolce, których właściwością jest, że z wielką łatwością w ciało się wbijają, lecz niepodobna ich złamać wyjąć, gdyż są zakończone haczykiem na kształt miniaturowego harpuna. Mnie się raz wbił kolec taki w nogę i musiałem go w ciele zostawić, gdyż wyjąć go nie było podobna.

Już to wogóle roślinność doliny Maranonu odznacza się przeważnie kolcami, które czyhają wszędzie na ciało wędrowca lub myśliwego. Oprócz wspomnianego „cajaruru“ do najstraszniejszych należy roślina „unigate“, rodzaj ljanya, opatrzony haczykowymi kolcami, podobnymi jak u naszej jержyny, lecz znacznie większymi. Jakżeż często przyprowadzała mnie do rozpaczyci ta nieznośna roślina, gdym z zapale myśliwskim niebacznie postępował naprzód: chwyci mnie, bywało, w pól lub za rękę, a im więcej ciągnę się naprzód, tem kolce mocniej się w ciało wpijają. Jedyne sposoby na

to ostrożnie w tył się cofać i delikatnie ubranie lub ciało z kolców oswobodzić; gdy tylko niecierpliwości damy wodze, porwiemy sobie szaty i ciało silnie pokaleczymy. Zwykle też z ekskursyi wracałem podrapany niemilosierdzie.

Zwierząt ssących posiada dolina Maranonu bardzo mało. Do najpospolitszych należy sarna gąszczowa (*Cervus nemorivagus*), spotykana tu w większej ilości, aniżeli w regjone Serrzańskim. Chodząc między godziną 12-ą i 1-ą w południe w bliskości wody, nie trudno jest się z nią spotkać, gdy pragnienie idzie gasić w strumieniu lub w samej rzece. Niewprawny peruwjański myśliwy, strzelający jedynie do sztuk stojących na mały dystans, opatrzony w lichą strzelbę, zwykle starą gwintówkę, którą śrótem nabija, jest w stanie zabić w ciągu dnia 4—5 tych sarn. Cała sztuka polega na wypatrzeniu spokojnie stojącego w gąszczu zwierza, co zresztą nie jest rzeczą łatwą, tak ubarwieniem swem zbliża się do otaczających pni drzew i koloru gruntu.

Z innych ssących wspomniano mi często o czworonogu, zwanym przez miejscowych „pacter“ lub „pactil“. Z opisów sądzić mogę, że jest to nieznaný gatunek lisa, sam jednak nigdy się z nim nie spotkał i pomimo obiecanej wysokiej nagrody żaden z krajowców nie zdobył mi tego ciekawego zwierza.

Ptactwo jest przeważnie typu pomorskiego z małą domieszką form serrańskich lub właściwych sąsiednim leśnym obszarom. Ptaki drapieżne są tu bardzo obfite, właściwych jednak sokołów nie spotkałem tu nigdy, a tylko różne gatunki amerykańskich myszółowów lub jastrzębi, karmiących się jaszczurkami, żabami, lub konchami, których tu ilość niezwykła czołga się po ziemi, lub po pniach i gałęziach drzewnych. Między innymi spotkałem tu rzadki nadzwyczaj po kolekcjach gatunek małżojada (*Cymindis megarhynchus*), karmiący się wyłącznie ślimakami z rodzaju *Borus*. Ptak ten należy do najpospolitszych w dolinie Maranonu i z łatwością zabity być może, gdyż nie zwraca najmniejszej uwagi na ludzi. Inny gatunek drapieżnika, zwany „valdivia“ lub „nata-au“ (*Herpetotheres cachinnaus*), wieczorami lub nawet nocą napełnia powietrze swym żalonym krzykiem, który krajowcy za przepowiednię śmierci biorą.

Do najciekawszych ptaków tej okolicy należy „pin-pin“ (*Diplopterus naevius*) zwany przez krajowców „aya-pishcu“ czyli ptak śmierci, gdyż go za zwiastuna śmierci wszyscy uważają. Jest to kulka, niepozorna, o ubarwieniu szaropstrem, ozdobiona dość znacznym czubem na głowie. Głos jego, od którego nazwa miejscowa pochodzi, składa się z dwu nut, nadzwyczaj czystych i o brzmieniu srebrzystem, a tak smutnem, że raz go usłyszawszy, już na całe życie w pamięci pozostaje. Głos ten ma jeszcze tę właściwość, że nigdy nie jesteśmy pewni, z której strony nas dochodzi, a ponieważ ptak siedzi nieruchomo w gąszczu lub na gęstej koronie niskich drzew, więc głowę nieraz tracimy, chcąc go odkryć po głosie, zawsze niepewni, czy ptak się znajduje przed nami, czy za nami, czy w górze, czy u dołu. Ztąd też zapewne pochodzi

zabobon mieszkańców, którzy nie mogąc odkryć ptaka, przypisują mu tajemnicze własności. W dolinie Maranonu niemal codzień uganiałem się za tym ptakiem i wyjechałem, nie zdobywszy go; dopiero nareszcie w Callaccate udało mi się zabić pierwsze egzemplarze. Jest to ptak rozpowszechniony w całej zwrotnikowej Ameryce Południowej.

Prawdziwą ozdobą tych okolic jest, wielka, zielona papuga z czerwonym czołem i błękitnymi skrzydłami i ogonem (*Ara militaris*), trzymająca się stadami, z kilkunastu sztuk złożonemi. Stado takie ciągnie zwykle bardzo wysoko, wydając tylko od czasu do czasu pojedyncze, lecz nadzwyczaj potężne krakanie. Zapadłszy na drzewo, okryte ulubionym owocem, ptaki te siedzą cicho, łuszcząc twarde skorupy „catauga“ lub innego drzewa, gdy jednak poczują zbliżające się niebezpieczeństwo, wydają silne krakanie i szybkim swym lotem odlatują gdzieś daleko. Trudno je upolować, tak są czujne i ostrożne.

Z niższych tworów organicznych do największych plag tej okolicy należy duża mrówka z rodzaju *Oedocoma*, tworząca olbrzymie mrowisko, niby małe wzgórki, zajmujące dziesiątki metrów kwadratowych powierzchni i opatrzone zwykle kilkoma wejściami. Nieszczęśliwi są mieszkańcy, jeżeli mrówki te w sąsiedztwie ich domu osiadą, gdyż niepodobna wytepić przykrych owadów, które w domu ciągle robią szkody. Na polowanie wychodzą zwykle nocną porą, a wtedy wynoszą z domu co tylko roślinnego pokarmu znaleźć mogą, nie oszczędzając nawet bielizny, którą na małe kawałki tną i do mrowiska unoszą. Mieszkańcy ratują się tym sposobem, że o zmroku zapalają ogień przy wszystkich otworach, wiodących do mrowiska i tym sposobem część nocy mają chociaż spokojnej, zanim ognisko nie wygaśnie. Jeżeli dziury pozasypywać ziemią, mrówki w ciągu krótkiego czasu albo stare otwory oczyszczą, alboliteż nowe porobią.

Jest to mrówka roślinożerna i przedmiotów zwierzęcego pochodzenia nie atakuje. Pastwą jej padają najczęściej pewne ulubione drzewa, jak np. śliwa tamtejsza, zwana „ciruela de frayle“ (*Spondias*), lub yuka (*Manihot palmata*). Gdy raz napadną drzewo nie opuszczają go, póki ostatniego listka nie zetną. Liście takie tną zwykle w krążki, które pojedyncze mrówki unoszą, pomimo że nieraz kilkakrotnie przechodzą wielkością tego niestrudzonego tragarza. Zabawnie jest patrzeć, jak liść taki posuwa się po ziemi, gdyż pod nim samej mrówki nie widać. Zwykle od mrowiska do atakowanego drzewa jest wydeptana ścieżynka na kilka centymetrów szeroka i zupełnie z wszelkiego żdźbła i liści oczyszczona. Po niej, jak po szosie snują się pracowite owady i gdy jedne opatrzone łupem zmierzają do mrowiska, inne szybko biegną, aby swój ciężar z drzewa zabrać.

Rodzaj ten bardzo jest rozpowszechniony w Ameryce Południowej, lecz jedynie w najgorętszych jej częściach i wszędzie jest plagą dla mieszkańców, niszcząc im plony na pniu, lub w domach nagromadzone. Niektóre drzewa owocowe, jak wspomniana przed-

tem śliwa, giną zupełnie ogołoczone z liścia, a całe plantacje yuki, stanowiącej najważniejszą roślinę gorącego Peru, stają się pastwą tych szkodników.

Obok tej plagi egipskiej posiada jeszcze dolina Maranonu komary, które jednak tylko nocną porą ludzi atakują. Za to niemasz tu ani muszek, ani żadnych domowych pasorzytów, tak pospolitych w serrańskim regionie Peru. Lecz brak ich dostatecznie wypełnia ku utrapieniu ludzkości pewne żyjątko, znane w gorących częściach Ameryki Południowej i przejmujące strachem najodważniejszych ludzi. Jest to krocionóg olbrzymi, zwany po hiszpańsku „cientopíe“ (*Scolopendra*) blizki krewny naszych krocionogów, o których u nas panuje powszechne przekonanie, że się w uszy wkręcają. Gdy jednak nasze mierzą zaledwie po kilka centymetrów długości, krocionóg olbrzymi Ameryki południowej dochodzi wielkości 20 i 25 centym. Gęba jego opatrzona jest parą potężnych haków, łączących się z gruczołami jadowitymi. Ukłucie tego obrzydliwego stworzenia sprowadza jeżeli nie śmierć, to przynajmniej straszne dolegliwości i czasowy paraliż zakłutej części ciała.

Podczas dnia krocionóg trzyma się w ciemnych kryjówkach, jak np. pod strzechami, w szczelinach ścian domów, lub pod różnymi sprzętami domowymi. Wraz jednak z zapadnięciem nocy wychodzi na żer, a pojawienie jego sieje postrach pomiędzy ludźmi. Często bywało, że wieczorem, gdyśmy zgromadzeni byli w Guajango w domu Duarez'ów, ja zajęty preparowaniem, a rodzina gospodarza i osoby przejezdne wkoło mnie na ziemi siedząc, prowadziły ze mną rozmowę, szkaradne to stworzenie spadało nagle ze strzechy na klepisko, powodując taki alarm, że kobiety przewracały się w ucieczce przed strasznym krocionogiem. Gospodyni mojej załaził pewnego razu pod spódnicę i oniemiała z przerażenia mąż do naga rozebrać musiał; obojętne było bez wypadku, lecz biedna kobieta przyplącała to zimnicą, którą w tym gorącym i niezdrowym klimacie lada przestrasz wywołać może.

Krocionóg ten nie kłuje wszelako, gdy go w spokoju zostawimy i przejść może po ciele, byle go tylko nie ruszać. Mało kto jednak ma nerwy tak silne, aby próbę podobną wytrzymał spokojnie na myśl, że tylko przestrzeń paru milimetrów oddziela straszne szczęki od naszego ciała. Ja miałem w Guajango następujący wypadek ze skolopendrą. Sypiałem na tapczanie pod ścianą z adobów, pomiędzy którymi liczne szczeliny stanowiły doskonałą kryjówkę dla krocionogów; nie zwracałem jednak na to uwagi, póki nie wypędził mnie ztamtąd wypadek, o którym mówię. Dodam jeszcze, że na noc z powodu gorąca nakrywałem się tylko samem prześcieradłem. Otóż pewnego wieczora, gdym już zaczynał drzeć, poczułem nagle, że mnie coś ścisną zewnątrz łokieć ręki jakby delikatnymi szczypcami. „Skolopendra!” jak błyskawica przeszła mi myśl i już byłem na środku izby, odrzucając na łóżko prześcieradło. Zapaliłem zapalniczkę i rzeczywiście spostrzegłem na ścianie olbrzymiego krocionoga, który mi się wydał (może z przestachu) największym z widzianych poprzednio. Zapalniczka zgasła,

a nimem z drugiej izby świecę zapaloną przyniosł, już się skolopendra w szczelnie skryła. Od tego czasu sypiałem w hamaku.

O jedynym autentycznym wypadku śmierci, spowodowanym przez zakłucie skolopendry, wiem od Jelskiego. Zdarzył się on podczas pobytu mego towarzysza w Cayennie, o ile pamiętam z posługaczem aptekarskim, który podniósł do ust lewarek, nie wiedząc, że wewnątrz ukrył się krocionóg. Nieszczęśliwy laborant, ukłuty w wargi, wkrótce życie zakończył. Nad Maranem nie zdarzyło mi się słyszeć o wypadkach śmiertelnych, niemniej jednak krajowcy boją jej się, wiedząc, że ukłucie sprowadza szalone bóle, a nieraz kalectwo na dłuższy przeciąg czasu. Między innymi, Duarez opowiadał mi, że śpiąc razu pewnego w nocy na świeżem powietrzu, został ukłuty przez skolopendrę w sam czubek głowy, co oprócz silnego bólu spowodowało kompletny paraliż mięśni karku, tak, że biedak przez miesiąc nie mógł poruszać głową ani na prawo, ani na lewo.

Dwóch ma wielkich nieprzyjaciół skolopendra pomiędzy ptakami, a mianowicie wspomnianą „Valdiviá“ (*Herpetotheres cachimans*) i wielką sowę (*Ciccaba torquata*). W wolu obu tych ptaków znalazłem świeżo zjedzone olbrzymie krocionogi.

W takich mniej więcej warunkach mieszka człowiek w dolinie Maranonu, oplacając sownie urodzajność gruntu licznymi niewygodami, jakie sama przyroda nagromadzić się zdała, aby nikt na świecie nie żył w absolutnem szczęściu. Tam gdzie na chleb powszedni łatwo zarobić, spotkamy zawsze te lub owe przyczyny, które nasz żywot mniej lub więcej zatruwają.

Ludność doliny Maranonu składa się w znacznej części z wychodźców serrańskich, gdyż miejscowe warunki zdają się silnie przeciwdziałać spokojnemu rozwojowi autochtonów. Wiadomą jest jednak rzeczą, że Indianie górscy nie mogą wytrzymać gorącego klimatu, w którym z łatwością podlegają zimnicom, malarjom lub dysenterjom, tak jak przeciwnie Indianie gorących lasów porzecz Amazony w chłodnym klimacie Sierry podlegają śmiertelnym działaniom ospy. Jądro też ludności marañońskiej stanowi ludność półkrewi, t. j. tak zwani „cholos“ z dość znaczną domieszką krwi murzyńskiej (zambos). Pod względem moralnym ludność ta stoi wogóle bardzo nisko, a taki Duarez wraz z żoną stanowią dość rzadki wyjątek. Jańczycy słyną na cały departament Cajamarca jako najniesforniejszy i najtrudniejszy do rządzenia pierwiastek, w skutek czego podprefekci, przysyłani tu ze stolicy departamentu, zmieniają się bardzo często i zwykle nie zamieszkują w Jean, gdzie życie ich wystawione byłoby na szwank, lecz przebywają w Querocotillo, Tacabamba lub Cutervo. Ta okoliczność w połączeniu ze znaczną odległością departamentalnej władzy centralnej, powoduje, że prowincja Jaen, czyli tak zwana gminnie „Juridicion“, pozostaje w stanie pewnego samorządu, który graniczy z zupełnym bezrządem. Skutki tego są fatalne: ludność zdemoralizowana, ciemna i rozbójnicza, pracuje na tyle, na ile wymaga tego

zdobycie niezbędnych potrzeb. Wszak to o jeden dzień drogi od Guajango zginął nieszczęśliwy wice-hrabia d'Osery, jeden z towarzyszy hr. Castelnau. Młodzieniec ten, wychowaniec Szkoły Górniczej w Paryżu, odłączył się w Limie od hr. Castelnau i gdy ten ostatni skierował się na Cuzco, aby stamtąd rzeką Santa-Ana i Ucayali dostać się nad Amazonkę, d'Osery puścił się do Cajamarca, a stamtąd do Bellavista nad Maranonem, aby przedsięwziąć wyprawę w dół tej rzeki i połączyć się w Nauta ze swymi towarzyszami. Zaraz poniżej Bellavista wioślarze jego zamordowali go, wrzucając trupa do rzeki. Dwu morderców rozstrzelano w sześć miesięcy potem w Lambayeque, lecz nikt może nie wie, że najwinniejszy śmierci tego dzielnego podróżnika umarł w wiele lat potem śmiercią naturalną. O to dosłowne opowiadanie, jakie słyszałem z ust pewnego młodzieńca, nazwiskiem Mariano Vergara, którego ojciec mieszkał w Bellavista w chwili opowiadanego wypadku:

„Przed dwudziestu laty mniej więcej ¹⁾ przybył do Bellavista „konsul“ cudzoziemski, przywiózł ze sobą wiele srebra i złota, oraz mnóstwo drobnostek dla zamiany z dzikim plemieniem indjan Jvoros ²⁾. Zamiarem jego było spuścić się rzeką Maranonem aż do Nauts, gdzie miał się połączyć z towarzyszami. W tym celu wynajął tratwę (balsa) ³⁾, placąc dobrze wioślarzom, którzy później wrócić mieli do rodzinnego miasteczka ⁴⁾ przez Moyobambę. Żył podówczas w Bellavista człowiek bardzo bogaty, nazwiskiem Cesario Rojas — rodzaj królika okolicznych Indjan, miał też wyłączny monopol prowadzenia handlu z dzikimi Jivaros i wykupywał wszystko złoto, jakie „los cholos” wymywali z rzeki Chinchipe. Człowiek ten, zazdroszcząc cudzoziemcowi i obawiając się, aby mu handlu z dzikimi nie poderwał, zapłacił wioślarzy, namawiając ich do zamordowania przybysza. Wznaczony dzień ruszyli podróżnicy w dół rzeki. Nieco poniżej Bellavista, w chwili gdy nieszczęśliwy cudzoziemiec nachylił się dla zaczerpnięcia wody, łotrzy rzucili się na niego i zamordowali. Następnie trupa wrzucili do wody, a sami podzieliwszy się łupem, wrócili do miasta. Trupa wydobyli z wody dzicy Indjanie i piękne blond (?) włosy dotychczas przechowują; przed kilku laty wódz ich (curaca) pokazywał je w Bellavista. Mówią nawet, że śmierć tego cudzoziemca była

¹⁾ Opowiadanie to słyszałem w roku 1878, d'Osery zaś zginął dnia 1 Grudnia 1846 roku (Patrz Fr. d. Castelnau: Expedition dans les parties Centrales d. l'Amér. du Sud. Paris. 1851 vol. 5)

²⁾ W północnem Peru i w Ekwadorze w ogóle dzikich Inđjan nazywają Jivaros, tak jak w środkowem i południowem stosują nazwę Chunchos. Plemię, o którym mowa, zwie się właściwie Aguarunas.

³⁾ Na górnym Maranonie łodzie nie są używane, prawdopodobnie z powodu bardzo silnego prądu. Jedyna żegluga odbywa się w poprzek lub w dół rzeki na tratwach.

⁴⁾ Wszyscy czterej byli rodem z Puyaya.

powodem zerwania stosunków dzikich z białymi i wyróżnienia przez pierwszych całej ludności miasteczka Copallin Viejo¹⁾).

Rząd francuski przez pośrednictwo swego posła w Limie domagał się surowego ukarania winnych i rzeczywiście dwóch z nich rozstrzelano w Lambayeque, trzeciego skazano na 2 lata ciężkich robót w Callao, a czwartego uniewinniono. Nikt jednak w Europie nie wie, że głównym sprawcą śmierci d'Osery'ego był ów Cesario Rojas, a mordercy byli tylko jego narzędziem.

Głównymi produktami tej części doliny Maranonu jest bydło rogate i kakao. Bydło rogate słynie na cały departament z niezwykłej delikatności mięsa. I w samej rzeczy nie zdarzyło mi się jadać delikatniejszej wołowiny, jak nad Maranonem. Nawet mięso z krów chudych na pozór i drogą wycieńczonych, jest zawsze tłuste i smaczne. Za przyczynę tego uważać należy rodzaj paszy, gdyż to samo bydło, skoro tylko dwa lub trzy miesiące zostanie na paszy serrańskiej, dostaje mięsa twardego i żylatego.

Raz w rok, zwykle w miesiącu kwietniu lub maju, przybywają nad Maranon kupcy z Cutervo, Tacabamba, Anguia, oraz innych miasteczek, sąsiadujących z prowincją Jaen, dla zakupu bydła rogatego, za które płacą w części towarami, a w części srebrem.

Nabyte bydło pędzą do miasteczka Llama, położonego od strony zachodniej Kordyljerów, dokąd przybywają kupcy pomorscy i zakupione stada dostawiają do Lambayeque i Chiclayo, zkąd często aż do Limy transportowane bywają. Cena tłustej krowy, nad Maranonem, wynosi około 60 franków; zważywszy jednak, że kupcy serrańscy płacą za bydło w połowie lichym towarem, bardzo wysoko cenionym, wypadnie, że kupca kosztuje znacznie mniej. Mają jednak i oni znaczne straty w czasie przepędzania bydła do Llama, gdyż mnóstwo sztuk ginie z wycieńczenia lub po lasach, przez które odbywa się transport na Pomorze.

Rzecz jednak ciekawa do zaznaczenia, że ta sama pasza, która czyni mięso bydła marańskiego tak delikatnem, jest powodem, że mleko jest prawie niezdatne do użycia; sery z niego są twarde i łykowate, przypominające konsystencją kauczuk lub gutaperkę. Zwykle też krów nad Maranonem mieszkańcy nie doją, a cielęta mogą ssać swe matki dowolnie. Bogatsi z osadników posiadają po 100 i więcej sztuk bydła. Używają oni do zaganiań bydła specjalnej rasy psów, zwanych „perros ganaderos“, przypominający nieco kształtem nasze charty. Psy te są bardzo cenione nad Maranonem i nierzadko wartość dobrego psa równa się wartości dobrego muła. Przypuszczam, że psy te mają za proto-

¹⁾ W tym razie mój narator pomylił się, albowiem miasteczko Copallin Viejo zostało zniszczone przez Indian Aguarunas w 1845 r. (Raim Parte preliminar str. 389), a d'Osery'ego zamordowano w 1846 r. W tomie 1-ym swego dzieła Raimondi znów mówi, że zniszczonym był wraz z m. Puyaya w 1855 r. (str. 133).

plastów arabskie charty, zwane „sloughi”, które za panowania Maurów musiały się w Hiszpanii rozpowszechnić.

Drugim ważnym produktem doliny Maranonu jest kakao, cenione bardzo w całym Peru. Samo miasteczko Bellavista produkuje dostateczną ilość, aby zaopatrzyć cały dep. Cajamarca, a część nawet idzie do Limy, gdzie znanem jest pod nazwiskiem „cacao de Jaen”. Plantacje kakaowe nie wymagają najmniejszego zachodu, a zbiór i przygotowanie odbywa się w ten sposób że obcięte z drzew owoce wyluskuje się, wyluskiwane ziarno zbiera w kupy, zostawiając je tak przez dni kilka, dopóki nie podfermentuje zlekka. Wówczas ziarno wynosi się na dwór, gdzie wysycha do skonała w ciągu dni kilku. Gotowe kakao zaszywa się w skóry wołowe i w tym stanie eksportuje do Cutervo lub na Pomorze.

Widziałem też w Guajango sporo kawowych drzew, lecz mieszkańcy nie zadają sobie trudu zbierania tego doskonałego ziarna, pomimo, że w Cutervo funt kawy kosztuje $\frac{1}{2}$ franka i kupca zawsze znaleźć można. Sami zaś mieszkańcy Maranonu przyzwyczajeni są do kakao, które po kilka razy na dzień pijają; kawa więc dla nich niema żadnego znaczenia.

Wiemy już z poprzedniego rozdziału, że prow. Jaen produkuje bardzo dużo tytoniu, który rozchodzi się po całym prawie Peru, jako słynący z dobroci. Uprawia jednak tej rośliny nie zajmują się mieszkańcy samej doliny Maranonu, gdzie gatunek tytoniu zdaje się być gorszym, lecz po tak zwanym „quichuas”, to jest miejscowościach wzniesionych na 3000' do 5000' nad p. m. Najsławniejszy tytuń pochodzi z dystryktu Bagua Grande, leżącego po drugiej stronie Maranonu, w dep. Amazonas. Znaczną też część dostarczają miasta: Jaen, Perico, Pimpingos i inne. Produkt ten dostaje się do Limy w połowie przez miasta Huancabambę i Piurę, a w połowie przez Cutervo, gdzie na jarmark 15 sierpnia znaczne transporty jego nadchodzą.

Tytuń jaeński nie służy na cygara, gdyż preparowany jest nie w liściach, jak tytuń ekwadorski, lecz w tak zwanych „guanllas” lub „masos”. W tym celu zielone liście zwija się w rulony, mające mniej więcej 60 centymetrów długości i 5 do 6 cent. średnicy, uciskając je z całej siły za pomocą postronków. Zostawiwszy go tak przez parę dni, odwija się postronek i zastępuje go łykiem z drzewa „palo de Balsa” (*Ochroma piscatoria*), poczem suszy się go w cieniu. Sposób ten jednak ma tę niedogodność, że ściskając silnie postronkami, wszystkie soki wyciska się na oba końce swobodne w skutek czego rulony często gnić od końców zaczynają. Każdy rulon waży mniej więcej około 3 funtów i na miejscu sprzedaje się po franku. Czterdzieści rulonów stanowi pół ładunku muła i zaszywa się w surową, włosem pokrytą skórę wołową. Ładunek muła składający się z 80 rulonów (około 240 funtów) wart jest na miejscu od 60 do 80 franków, bywa jednak, że dla braku kupców sprzedaje się po 40 franków, to znów cena jego dochodzi wyjątkowo 120 franków, jeżeli tytuń jest w doskonałym gatunku.

Gdy kupcy serrańscy przybywają do prowincji Jaen w kwie-

tniu i maju, przywożą towary europejskie, którymi dają awans na tytuń przed zbiorem. Jadą zaś po niego w październiku i na wielki jarmark w pomorskiem miasteczku Guadalupe transportują. Tytuń dostarczany na jarmark w Cutervo, przywożony bywa przez samych plantatorów.

Widzieliśmy, że bydło rogate, kakao i tytuń pochodzące z doliny Maranonu są w doskonałym gatunku i cieszą się zasłużoną sławą nie tylko w dep. Cajamarca, lecz w całym Peru. Toż samo da się powiedzieć i o innych roślinach uprawianych w tej części rzeczypospolitej. Ryż marański należy do najlepszych, jakie mi się spotkać dało, a mimo to produkcja jego jest tak mała, że cena jego w Cutervo równa się cenie pomorskiego ryżu, pomimo, że ten ostatni odbywa pięciodniową podróż na grzbiecie mulów, co znacznie cenę jego podnosi. Najwięcej stosunkowo ryżu produkuje hacienda Jauanga, należąca do biskupa z Chachapoyas. Yuka marańska jest również wyborna i właściwie tutaj poraz pierwszy zacząłem ją jeść z gustem. Sławne też są pomarańcze z tych okolic, odznaczają się bowiem znaczną wielkością, soczystością i są tak słodkie, że je można niezupełnie dojrzałe zrywać i jeść. Drzew pomarańczowych znajduje się tu wielka obfitość i sam owoc żadnej wartości na miejscu nie posiada; każdy przejezdny idzie tylko do właściciela z prośbą i ten mu pozwala narwać owocu na całą sakwę, za co obdarowany płaci mu tylko słowami: „Dios se lo pague” (Bóg zapłać). Nie mogę też pominąć milczeniem bananów, zwanych „platano mundshe” lub „portuges”, albo jeszcze „gigante” (olbrzym), który smakiem dorównywa sławnemu ekwadorskiemu „platano de seda”.

To też lud jaenski pomimo wielkiego lenistwa opływa w dostatki, a nawet w pewnego rodzaju zbytek. W dni świąteczne kobiety ozdabiają się złotymi klejnotami, a mężczyźni mają siodła i strzemiona srebrem suto wykładane i ostrogi srebrne przypinają. W wielu domach kubki i talerze są srebrne, ba! nawet inne naczynia, bardziej sekretnej natury, ze srebra są wykute. Wielu też z jańczyków, jak to w poprzednim rozdziale zaznaczyłem, posiada pieniądze zakopane gdzieś w polu lub w zaroślach i bywa często, że skarby te przepadają po ich śmierci, gdy tajemniczy miejsca zdradzić nie chcą.

Spędziłem w Guajango pięć tygodni, zajęty skrzętnie zbieraniem kolekcji, a praca moja sownie wynagrodzoną została, gdyż w tak krótkim czasie udało mi się odkryć aż 4 gatunki ptaków, nieznane zupełnie dla nauki, a które następnie ś. p. Taczanowski opisał w Pamiętnikach Londyńskiego Towarzystwa Zoologicznego. Do tego dołączyć należy znaczny procent gatunków rzadkich po zbiorach, oraz dość bogate kolekcje muszli, owadów i gadów. Słowem wycieczka moja, choć dorywcza wydała bardzo dobre rezultaty.

Nic jednak na świecie nie bywa za darmo; wielkie prawo kompensaty na każdym kroku znajduje zastosowanie, gdyż inaczej ziemia by się w raj zamieniła. Opłaciłem tę wyprawę, febrą, która

mnie na razie krótko trzymała, lecz po to tylko, abypóźniej wrócić i przez kilka miesięcy nagabywać mnie perjodycznie. Mój biedny służący Marcin, zapadł jednocześnie ze mną. Było to w wiliją naszego straszego bólu głowy i takiego rozstroju w całym organizmie, żeśmy ledwo rękami i nogami poruszać mogli. A tu na nieszczęście muły już były zamówione na dzień następny i trzeba się było pakować, blaszanki z kolekcjami lutować, skrzynie zabijać i t. d. Bóg wie, jakieśmy to uskuteczнили, dość że w końcu byliśmy gotowi i podziękowawszy serdecznie Duarezom, puściliśmy się w początkach maja w powrotną drogę. Muły pod ładunek wynajął mi ów Vivanco z Veloty; pod wierzch dała mi muła dona Peta. Sam Duarez dał się namówić do podróży do Tambillo, gdzie obiecałem go zaopatrzyć w proch, śrót, ołów i różne inne zbywające przedmioty, które chętnie mu ofiarowałem w zamian za pięciotygodniową gościnę i życie w jego tak gościnnym domu.

Karawana więc nasza składała się z 2 mułów jucznych; ja Marcin i Duarez jechaliśmy na wierzchowcach; Vivanco zaś szedł piechotą. Wyruszyliśmy o 8-ej rano w nadziei, że w ciągu 6 godzin staniemy w Velota. Ja byłem tak osłabiony gorączką, że ledwie na mule był w stanie utrzymać. Okazało się jednak, że rachuby nasze srodze zawiedzionemi zostały. Jeden z mułów jucznych tak był narowny, żeśmy się ledwie naprzód posuwali: co chwila zaczynał wierzczać, chcąc zrzucić ładunek, kładł się na ziemi, lub uciekał w gąszcz, w skutek czego skrzynie co chwila się krzywiły i aby je poprawić, czas marnowaliśmy. A słońce piekło szalenie. Próbowałem iść piechotą, lecz mi nogi posłuszeństwa odmawiały. Smutną tę podróż odbyliśmy w 11 godzin, z których każda wydawała mi się całym wiekiem. Gdyśmy o godzinie 7-ej wieczorem stanęli w Velota, zastałem łóżko i z niewysławioną rozkoszą położyłem się spać, nic niejedząc, gdyż gorączka się wzmogła i apetyt odbiegł mnie zupełnie.

Następnego dnia, czułem się nieco lepiej. Niesfornego muła zastąpiliśmy innym spokojnym i dzięki temu przebyliśmy przetrzeń dzielącą Velotę od Tambillo w 6 godzin. Po przybyciu naszym do starej naszej siedziby, zastałem Jelskiego w pożądanem zdrowiu. Duarez zaprzyjaźnił się natychmiast ze starym Martinez'em i poszli razem pić, gdyż obaj do tego byli bardzo skłonni. Ja się położyłem do łóżka i nazajutrz rozpocząłem kurację, która polegała na zażyciu ipekakuany, następnego dnia soli glauberskiej, a potem chinina i chinina aż do skutku. Febra moja ustąpiła po dwu paroksyzmach, wróciła jednak w 4 miesiące potem.

Inaczej rzeczy się miały z biednym Marcinem. Zaraz po przyjeździe do Tambillo posłałem mu do Sauce odważone dozy ipekakuany, soli glauberskiej i chininy, głupi jednak chłopiec zamiast je zażyć, sprzedał, a sam począł się leczyć jakimiś domowymi środkami. Do najbardziej używanych należy, mieszanina wódki, cytryny, pieprzu kajeńskiego i kilku innych jeszcze równie idjoty-cznych środków. W krótcie potem wyjechałem do Limy i nie wi-

działem, co się z Marcinem dzieje. Dopiero w rok potem, idąc ulicą w Cutervo podczas sierpniowego jarmarku, zaczepiony zostałem przez jakieś indywiduum o twarzy czarnej jak u murzyna. — Nie poznaje mnie pan? Marcin z Sauce.

Ze zdziwieniem spojrzałem na biednego chłopaka, zapytując co mu się stało.

— To są skutki niewyleczonej zimnicy — odpowiedział. Mam tak zwaną „tiricia” (ictericia).

Zaprowadziłem go natychmiast do domu, i za poradą lekarza kupiłem różnych lekarstw. Na nic się to jednak nie zdało; w kilka miesięcy potem biedak życia dokonał.

Jednocześnie, gdy mnie w Tambillo febra maranońska trzęsła, Jelski zapadł na tę samą chorobę nóg, która mnie tak w Lechugalu wymęczyła. Potworzyły mu się na nogach liczne rany, które go do domu przykuły, aż póki nie zaczął smarować siarką i to go w ciągu paru tygodni do zupełnego zdrowia przyprowadziło. Ja tymczasem odbywałem jeszcze ekskursje w okolicach Tambillo, strzelając ptactwo tak dla siebie, jak i dla mego chorego towarzysza, czem się tylko odpłacałem za podobną przysługę podczas mej choroby lechugalskiej. Nie mogłem też wyruszać do Limy, raz że towarzysz mój nie był zdrow zupełnie, a powtóre, że deszcze jeszcze padały, a podróż na Pomorze w czasie pory dżdżystej do bardzo ryzykownych należy. Dopiero w czerwcu, gdy się już pogoda ustalać zaczęła, począłem się szykować do długiej wyprawy, zamiarem moim bowiem było wszystko ze sobą zabrać do Cutervo i tam zostawić cały mój bagaż podróżniczy, samemu zaś puścić się do Limy, zabierając ze sobą tylko me kolekcje dla wysłania ich do Europy.

Nie łatwo jednak było znaleźć arrierów do Cutervo i tylko częściowo mogłem skrzynie me wyprawiać do tego miasta, co mi czasu wiele zabrało, tak, że dopiero 1-go lipca pożegnałem mego zacnego towarzysza i sam puściłem się w drogę z ostatnimi dwoma ładunkami. Szczerze też żalowałem pocziwego naszego Martinez'a z Tambillo, którego nie miałem już ujrzeć, gdyż w kilka miesięcy potem zmarł. Podróż z Tambillo do Cutervo musiałem odbyć pieszo, gdyż nie mogłem znaleźć wierzchowca dla siebie; tak jednak przywykłem do tych pieszych wypraw, że mi najmniejszej różnicy nie robily.

W Cutervo stanąłem u dobrego mego przyjaciela p. Grzegorza Contreras'a, który szczerze mi zaczął dopomagać w wyszukaniu arrierów, co było rzeczą trudniejszą jakby się na pozór zdać mogło, gdyż Cutervo pomimo, że jest miastem bardzo handlowem, nie posiada arrierów z profesji. Dziesięć dni czasu minęło, zanim mi się udało namówić pewnego kupca, udającego się na Pomorze z luźnymi mułami po towary. Wymawiał się, że nie chce swych bydłał męczyć, gdyż ze znacznym ciężarem wracać mają, na widok jednak srebra zmiękł i cztery skrzynie moje podjął się zabrać. Kupiec ten, nazwiskiem Castro okazał się doskonałym towarzyszem podróży i człowiekiem bardzo sympatycznym.

Ruszyliśmy więc we czterech, a mianowicie Castro, ja i dwóch arrierów mego nowego towarzysza podróży, wraz z dziesiątkiem mułów, z których dwa niosły me kolekcje. Wszyscy czterej dosiadaliśmy doskonale muły, a ponieważ ładunek mój był lekki, bo się składał przeważnie z wypchanych ptaków, mogliśmy więc jechać dość szybko, o ile na to pozwalała natura gruntu.

O $\frac{1}{2}$ legua od Cutervo rozpoczyna się stromy spadek do rzeki Chotańskiej, zwanej pospolicie Rio Chotano, dno której mierzy zaledwie 5000 st. n. p. m. gdy Cutervo wzniesione jest na 9000. Długa ta „bajada“ dość jest uciążliwą zwłaszcza, gdy się ją przebywa w skwarne godziny dnia. Dosięgłszy rzeki, zrobiliśmy mały przystanek, aby mułom dać wytchnąć i samym zakąsić, a następnie rozpoczęliśmy męczące pięcie się po przeciwległym stromym skłonie doliny. Około godziny 5-ej po południu dosięgliśmy odosobnionej chaty, przy której obóz rozłożyliśmy. Arrierzy popędzili muły na pastwisko, a następnie zajęli się sporządzeniem „fiambre“, czyli zimnej strawy, którą się na noclegach odgrzewa. Głód nam dokuczał niemiłosiernie, gdyż górskie powietrze nadzwyczaj apetyt zaostrza. Łoża nasze rozłożyliśmy na ziemi, a chłopcy mego towarzysza urządzili nad nimi rodzaj namiotu, używając do tego moich skrzyń, siodeł i poduszek, jakie noszą muły pod ładunkiem. Przespaliliśmy noc tę doskonale i nazajutrz o świcie byliśmy już gotowi do drogi, wypiwszy tylko po filiżance gorącej czekolady i zagryzając świeżym serem i chlebem, jak to jest w zwyczaju w całym prawie Peru.

Droga ciągle jeszcze prowadziła w górę, aż w końcu dostałem się na miejsce nieco równiejsze, gdzie można było truchtem pojechać. O godzinie dziewiątej i pół dojechaliśmy do niewielkiego grzbietu, który według zdania Castra jest linią wodorozdziału między systemami Pacyfiku i Atlantyku; sprawdziłem wysokość, którą aneroid mój oznaczał na 8300'; ten sam grzbiet nieco na południe, w miejscu, gdzieśmy go przecięli po drodze z San Gregorio do Chota mierzy 13000' absolutnego wzniesienia. Ztąd nieco w dół i przybyliśmy do małego miasteczka Huambos, sławnego chyba tem jedynie, że o niem Humboldt w swych podróżach wspomina. Dwie równoległe ulice, niewielki plac i niepomiernie długi kościół stanowią tę marną mięścinę, mierzącą 7500' absolutnego wzniesienia.

Nie zatrzymując się, ruszyliśmy dalej po drodze, która znów w górę pięć się zaczęła, aby dosięgnąć 10000' n. p. m. Nie powinno to dziwić czytelnika, że gdy główny grzbiet, stanowiący linię wodorozdziału dwu Oceanów liczył ledwie 8300', jedna z pobocznych gałęzi dosięga 10000' nad p. m., rzecz to nierzadka w górskich systemach. W tej części droga przechodzi lasem Guarimarca, którego znaczna część spalona została. Zapytywałem, z kąd mógł ten pożar powstać i objaśniono mnie, że to pastuchy, zapalając pastwiska, powodują bardzo często pożary lasów. Smutny widok przedstawiały te czarne, obnażone pnie i konary, tak nieogładnie zniszczone przez jakiegoś głupca. Wieluż to lat trzeba będzie, aby taki sam las wyrósł na miejscu dawnego!

Grzbiet Guarimarca słynny jest z szalonych wiatrów, jakie tu stale podczas lata panują. Siłę ich objaśnić sobie można tą okolicznością, że łańcuch Kordylijerów zniża się tu bardzo i w ten rodzaj naturalnej szczeliny uderzają wiatry, wiejące z południowego zachodu. Opowiadano mi, że niejednokrotnie wiatr ten porwał owce i strącał w przepaść, a i ludzie podobno nieraz podobnym wypadkom podlegali. Podczas gdyśmy grzbiet przejeżdżali, wiatr był tak silny, pomimo najpiękniejszej pogody, że nam co chwila kapelusze z głowy zrywał, nie mieliśmy jednak potrzeby zsiadać po nie z mułów, gdyż je mój poczciwy Dżok nieproszony i niepytany aportował ku wielkiej uciesze chłopców Castry, którzy nigdy nic podobnego nie widzieli.

Na grzbiecie Guarimarca Castro zatrzymał konia i odwracając się wskazał mi ku północo-wschodowi odległe góry, okryte ciemnym lasem i odziane u wierzchołka gęstym, białym obłokiem.

— Patrz pan, to twoje dawne znajome — góry Taros. Za nimi znajduje się Tambillo.

Ze smutkiem spojrziałem na te szczyty, które przez ciąg roku codzień oglądałem. Za nimi leży Tambillo, a tam poczciwy Jelski samotny teraz i opuszczony. Posłałem mu myślą pożegnanie i ruszyłem w dalszą drogę.

Od Guarimarca rozpoczyna się nieustanny spadek aż do równin pomorskich. Ta część drogi należy do najmniej przyjemniejszych i najniebezpieczniejszych. Przed chwilą jeszcze słońce złociło wszystkie otaczające przedmioty, gdy teraz otoczeni jesteśmy ze wszech stron mgłą tak gęstą, że o kilka kroków nic nie widać. Mgły w tym pasie, do którego i miasto Llama należy, zalegają skłony gór od listopada aż do kwietnia i bywają tak gęste, że mieszkańcy w ciągu dnia zapalają światła po domach, a razu pewnego stado papug (*Conurus erythrogenys*), zgubiwszy drogę, wpadło do pewnego domu. Mgły jednak zdarzają się i w innych porach roku, o czym mogliśmy się naocznie przekonać.

Droga prowadzi w dół ciasnym wąwozem, czepiając się po jednej z jego stromych ścian. Zbliżaliśmy się do osławionego w Peru „Paso del Credo” (przejście Credo), gdyż każdy z podróżnych ma tu na ustach swe „Wierzę w Boga”, taką grozą przejmując go to niebezpieczne przejście. Ściany wąwozu w tem miejscu są zupełnie pionowe, a wązka ścieżyna, mogąca mieć najwyżej 2 metry, pnie się po jednej z nich, mając po jednej stronie prostopadłą skałę, a po drugiej przepaść bezdenną. Jechaliśmy w tem miejscu w milczeniu, pełni grozy w obec tego miejsca, gdzie już niejedno życie zgasło na dnie przepaści. Kilka krzyży, wzniesionych przez pobożnych, podnosi jeszcze groźny urok tego ciekawego miejsca.

Okolo godziny 5-ej stanęliśmy w osadzie Callanpampa w bliskości Llama, gdzie się też na nocleg zatrzymaliśmy, gdyż łatwiej tu o paszę dla mułów, jak w samem miasteczku. Dnia następnego wczesnym rankiem siodłaliśmy nasze muły i ruszyliśmy w drogę, a w pół godziny potem przejeżdżaliśmy małą miejsciną Llama,

sławną tem, że zjeżdżają się tu kupcy z Pomorza i ze Sierra i odbywają swe transakcje, których głównym celem jest zamiana bydła rogatego na towary europejskie, Llama jest także sławnem na cały departament ze znacznej produkcji pszenicy, odznaczającej się wyborowem ziarnem. Zresztą jest to miłościna nędzna, nosząca wszystkie cechy małych serrańskich miasteczek. Aneroid mój wskazywał tu 7000' n. p. m

Po wyjeździe z Llama rozpoczęliśmy spuszczać się ciągle w dół aż do miejscowości Lisco, gdzie droga dochodzi do niewielkiego strumienia. Roślinność stopniowo zmienia się z serrańskiej na pomorską; występują akacje, kaktusy, następnie „palo santo“ i inne charakterystyczne drzewa pomorskiego pasa. Jednocześnie też i temperatura podnosi się znacznie, czyniąc podróż tę przykrą dla wędrowca. Od Lisco równa droga prowadzi wciąż doliną strumienia, przecinając nieustannie okolice typu zwanego przez nas „Wzgórze“ (Lomas). Mijamy osady Carrizal i Guayavo (1500 n. p. m.) a na nocleg rozbijamy obóz w odległości 4 leguas od miasteczka Chongollape, leżącego już na Pomorzu.

Chongollape leży u podnóża Kordyljerów, otoczone ze wszech stron niewysokimi wzgórzami, które według słów Raimondiego na podobieństwo wklęsłego zwierciadła koncentrują promienie w samym środku, to jest w samym miasteczku, z kądem gorąca bywają tu nieznośne. Mała ta i nędzna miłościna, posiada domy zbudowane po większej części z trzciny, oblepionej gliną, a tak jest pozbawiona wszelkich środków do życia, iż oprócz suszonego mięsa (charqui) i ryżu niepodobna nic tu dostać do jedzenia. Ja zajechałem był do znanego mi dobrze Francuza, niejakiego p. Coin, stolarza z profesji, który osiadł tu na stałe i ożeniwszy się z Peruwjanką, prowadził swój fach bardzo szczęśliwie. Castro stanął gdzieindziej, oczekując przybycia kilku jeszcze kupców z Cutervo, między którymi miał nadjechać i don Eloy Contreras, syn mego dobrego znajomego z Cutervo. Rzeczywiście nadjechali oni pod wieczór, lecz ponieważ dzień jeden zatrzymać się mieli w Chongollape, postanowiłem sam jeden w towarzystwie tylko jednego z chłopców Castry puścić się nazajutrz do haciendy Patapo, z kądem już droga żelazna prowadzi do Chiclayo.

Droga kołowa prowadzi z Chongollape do Patapo, a odległość między temi dwoma miejscowościami liczą krajowcy na 14 leguas. Okolica jest ciągle z lekka falista i pokryta żółtą, wyschlą w tej porze roku trawą. Około godziny 1-ej dojechaliśmy do doliny rzeki Lambayeque w miejscowości zwanej „La Puntilla“, sławnej z napadów bandytów, których znaczna szajka osiedliła się tu od dawien dawna, atakując przejezdnych. Kupcy serrańscy, wiozący zwykle pieniądze na zakup towarów, zbierają się po kilku i kilkunastu, aby tę ponurą miejscowość przebyć i dlatego to Castro wolał się doczekać swych przyjaciół z Cutervo, aby razem z nimi Puntillę przejechać. Właśnie w wigilję dnia tego ograbiono tu dwu biednych arrierów, powracających z luźnymi mułami do Sierra.

Puntilla jest miejscem doskonale wybranem do zasadzki. Droga w tem miejscu podchodzi do samej niziny rzeki Lambayeque, mając po jednej stronie dość strome wzgórze, a po drugiej o kilka metrów niżej leżącą dolinę rzeki, pokrytą gęstemi trzcinami. Bandyty z tych trzcin strzelają do przejezdnych, sami niewidzialni dla nich. Na prawo od drogi w rozpadlinie wzgórze znajdują się jakieś starożytne ruiny, wśród których rozbójnicy chowają ciała swych ofiar.

Nie mogę powiedzieć, abym był zupełnie pewnym siebie, gdym do tej fatalnej miejscowości się zbliżał; jechałem prawie sam jeden, gdyż nie mogłem przecież liczyć na mego arriera, który w razie napadu pierwszy by uciekł, a przynajmniej nicby mi nie pomógł w obronie. Liczyłem jednak w części na to, że Peruwjanie boją się cudzoziemców i niechętnie ich napadają. Nadrobiąłem więc miną i śmiało jechałem naprzód, trzymając przed sobą mą dubeltówkę, tak bowiem ufny byłem w mą dobrą gwiazdę, że rewolwer podarował już kilka miesięcy przedtem synowi Contreras'a. Mijając fatalny zakręt drogi, spotkałem na brzegu trzcinowego gąszczu jakiegoś obdartusa w słomkowym kapeluszu, płócienkowej koszuli i takichże pantalonach. Ciekawie spoglądał w moją stronę i był to niewątpliwie jeden z łotrów, wysłany na zwiady. Zanim się z nim zrównałem, skrył się w gąszczu, a ja spokojnie przejechałem dalej, omijając szczęśliwie to ponure miejsce. Bandyta peruwjański zwykle napada tylko tam, gdzie życie jego nie jest stawiane na kartę. Widocznie w tym razie zaimponowała im moja dubeltówka.

Już poczynając od Puntilla widać w znacznej odległości olbrzymie plantacje trzciny cukrowej, należące do Patapo, a ciągnące się na 30 blisko wiorst długości, przy 1 do 3 wiorstach szerokości. Majątek ten należał podówczas do pewnego Chilijczyka, nazwiskiem Ramos i w czasach porządnej administracji produkował dziennie około 1000 centnarów mączki cukrowej i cukru brunatnego. Wskutek jednak nieporozumień, administrator nazwiskiem Christian, rodem Niemiec, ustąpił, a miejsce jego zajął jakiś nieudolny zarządzający, wskutek czego hacienda znacznie upadła i dzienna produkcja spadła na 400 centnarów. Patapo nie posiada własnej kolei żelaznej, jak Lurifico lub Casa Grande, a zwózka trzciny odbywa się na wozach dwukołowych, zaprzężonych mułami.

W Patapo stanąłem o godzinie 3-ej po południu po 7 godzinach nieustannego klusa. Przenocowawszy tu, dnia następnego przyjechałem koleją żelazną do miasta Chiclayo, stolicy departamentu Lambayeque. Po dwudniowym oczekiwaniu na statek, przyjechałem do portowego miasteczka Eten, o którym już poprzednio wspominałem, zkad wsiadłem na statek, aby się do Pacasmayo udać, gdyż zostawiłem był w Chepen, jadąc do Tambillo, część moich rzeczy i kolekcje zebrane na Pomorzu. Wszystko to zajęło mi sporo czasu, aż wreszcie w końcu lipca stanąłem w Limie.

ROZDZIAŁ VI.

Cutervo. — Callacate. — Wycieczka do Ninabamby. — Obyczaje tuszczaka (*Steatornis caripensis*).

W Limie zatrzymałem się w pewnym małym hoteliku, przy ulicy Calle de las Mantas, należącym do pewnego staruszka Francuza, zegarmistrza z profesji. Pomieszczenie było bardzo czyste, lecz za ciasny pokój, w którym obrócić się nie było można, musiałem płacić 1 sola (5 franków) dziennie. Trafiłem niezbyt szczęśliwie albowiem d. 28 lipca obchodzą Peruwjanie rocznicę wyswobodzenia się z pod jarzma hiszpańskiego, upamiętniając dzień tak ważny ośmiodniowymi festynami, podczas których wszystkie biura i sklepy są zamknięte. Rad jednak po części byłem z tego przymusowego świętowania, gdyż mogłem wypocząć i rozerwać się po długich trudach i niewygodach.

Pierwszem zajęciem mojem było wysłanie do Warszawy kolekcji moich z Tambillo i Maranonu, co mi blisko tydzień czasu zajęło, powodując wielokrotne przejazdy z Limy do Callao. Skorom się tylko z tą czynnością załatwił, przedsięwzięłem przygotowania do mej nowej wyprawy, którą obliczałem na 2 lata, pragnąc zwiedzić jeszcze okolice Cutervo i sławną grotę Ninabamba, a następnie udać się do Chachapoyas i Moyobamba na dalekim Wschodzie. Należało więc przygotowania prowadzić nadzwyczaj starannie, aby nie zapomnieć o jakiej ważnej rzeczy, gdyż byłoby nie do powetowania w tak zapadłych stronach, gdyby się brak czego okazał. Dzięki tej mojej przezorności mogłem być odbyć dwuletnią podróż wewnątrz kraju i wprost przez Brazylię puścić się ztamtąd do Europy bez potrzeby wracania do Limy.

Z pieniędzmi urządziłem się w ten sposób, że część zabrałem w srebrze krajowem (w sztukach 5-frankowych, zwanych „soles“) część zaś spłaciłem p. Hurtado, senatorowi, który zaopatrzył mnie w przekaz na dom swój w Chachapoyas. Miałem jednak wielki kłopot ze srebrem, albowiem wyszło rozporządzenie rządowe, o którym poprzednio wspominałem, że nie wolno jest wywozić monety srebrnej peruwjańskiej za granicę, a wskutek tego nikt nie

mógł przewozić większej summy w srebrze krajowem, choćby się nawet kierował do którego z portów peruwjańskich, lecz obowiązany był przesłać ją przez pośrednictwo komory. Mając do zabrania około 1000 soles (5000 franków), gdyż i dla Jelskiego wiozłem część pieniędzy, przesłałem je był przez pośrednictwo komory do ajenta mego Garratea w Pacasmayo.

Wielki też kłopot miałem z prochem, którego 20 funtów nabyłem, albowiem parowce pasażerskie nie podejmują się przewozu materij wybuchowych. Udałem się do głównego ajenta „Pacific Steam Navigation Company“, zaopatrzwszy się w różne dowody legitymacyjne i prosiłem go, aby polecił proch mój zabrać do magazynu prochowego, w jaki każdy parowiec jest zaopatrzony. Z nadzwyczajną grzecznością Anglik zgodził się na to, oświadczając, abym się tylko w dniu wyjazdu do agentury zgłosił, a on wyda odpowiedni rozkaz. Okazało się jednak, że za tę grzeczność zażądała Kompanja 75 soles (375 franków), gdy wartość całego prochu wynosiła zaledwie 20 soles. Podziękowałem więc za tę grzeczność, a proch poleciłem wysłać do Pacasmayo żaglowym statkiem.

Po pięciodniowym pobycie w Limie wyjechałem statkiem do Pacasmayo, a ztamtąd koleją do Chepen, gdzie stanął w gościnnym domu p. Carlin'a, znanego nam już z poprzednich opowiadań kupca, nicejczyka. W Chepen znów utknąć trzeba było, gdyż arrierów nie łatwo znaleźć na Pomorzu; czekałem więc okazji, póki nie nadjadą ze Sierry jacy arierzy, którzyby wracając, mogli mój ładunek zabrać. Czas ten poświęciłem na ekskursję w okolicach miasteczka, gdzie łatwo mógł zdobyć niektóre rzadkie gatunki ptaków. Wreszcie pod koniec września 1878 roku udało mi się trafić na partję arrierów, którzy mi 6 mulów pod ładunek wynajęli. Ja sam dla siebie kupiłem w sąsiedniej hacjendzie Talambo muła, za którego zapłaciłem 130 soles (650 franków). Młody był jeszcze i niezupełnie ujeżdżony, lecz posiadał liczne zalety, które skłoniły mnie do zapłacenia wysokiej stosunkowo ceny. Służył mi też do końca mych podróży po Peru i rad zawsze byłem z tego nabytku, tak był wytrzymały i łagodny. Główną jego zaletą było, że posiadał tak zwany „paso-llano“ — czyli skrocza, dzięki czemu można było na nim szybkie podróże odbywać, nie doznając znużenia.

Podróż z Chepen do Chota odbyliśmy bez przypadku znaną nam już drogą na San Gregorio i Quilcate, tracąc na nią 6 dni czasu. W Chota znów zwłoka kilkodniowa zanim się arrierów znalazło, aż wreszcie stanąłem w Cutervo, zajeżdżając do sympatycznego domu p. Grzegorza Contreras'a, gdzie mnie z otwartymi rękoma przyjęto. Niezwłocznie też napisałem do Jelskiego i ten w dobrym zdrowiu przybył z Tambillo po pieniądze. Wrócił jednak jeszcze, gdyż rzeczy zostawił na starej siedzibie i dopiero w parę tygodni nadciągnął z całym bagażem.

Zamiarem naszym było czas dłuższy w Cutervo przebyć, gdyż miasteczko liczy 8900 absolutnego wzniesienia, a sąsiedni skłon

lasem pokryty wznosi się do 9800 n. p. m. Oprócz tego w okolicy można było jeszcze zbadać kilka miejscowości, gdzie fauna odmienna od dotychczas badanych, zapewniła nam cenne zbiory.

Mieszkanie w Cutervo najeliśmy w domu p. Contreras'a. Składało się ono z dwóch obszernych izb, z których jedna wychodząca na ulicę, nie posiadała okna, a tylko drzwi; druga — większa—zaopatrzona była w parę okien i drzwi wychodzące na ulicę. Pierwszą zajęliśmy na sypialnię, a w drugiej urządziliśmy pracownię, kuchnię i suszarnię roślin, gdyż Jelski pilnie się tu poświęcał herboryzacji. Jedzenie gotowaliśmy na przemian, Jelski jednego dnia, ja następnego. W prowizje zaopatrywaliśmy się na jarmarku niedzielnym, kupując zwykle całego barana, a nadto kartofle, arakacze, fasolę i inne produkty. Wkrótce też mogłem rozpocząć ekskursje, które głównie w stronę lasu, tak zwanej „montana de Angurra“ kierowałem.

Cutervo leży w kotlinie, która niegdyś stanowiła niewątpliwie dno górskiego jeziora, inaczej bowiem nie mogła się utworzyć tu równina zamknięta ze wszystkich stron niewysokimi wzgórzami. Środkiem równiny płynie mała rzeczka, która w północnej części ginie pod ziemią, aby o kilka wiorst poniżej zjawić się znów na powierzchni. Jest to dzieło ludzkie jak się zdaje, gdyż faktem jest, że starożytni Peruwjanie osuszali sztucznie jeziora, aby korzystać z doskonałego gruntu, jaki dno ich pod uprawą dawało. Aby więc wody jeziora wypuścić, tworzone sztuczny tunel i otrzymywano tym sposobem znaczną przestrzeń jaknajurodzajniejszej ziemi. W samej rzeczy po dziś dzień, pomimo, że płodźmian, ani umierzwianie w Peru nie znajdują zastosowania, równina Cuterwiańska wydaje znakomite plony, o jakich my w Europie nie mamy nawet pojęcia,

Wzgórza otaczające równinę Cutervo, są pokryte przeważnie rzadką murawą, tylko po jarach spotkać można niewielkie zarośla. We wschodniej jednak części, ku górze Ylucan, rozciąga się wspomniany dopiero co las (Montana de Angurra), który opuszcza się na drugi skłon góry. Brzegi rzeczki pokryte są sitowiem i szerokolistną jakąś rośliną, dającą przytułek wodnikowi peruwjańskiemu (*Rallus rythirhynchus*), którego silny głos, przypominający do pewnego stopnia ryczenie osła, daje się słyszeć nietylko w ciągu dnia, lecz i nocną porą. Na rzeczce trzymają się też małe stadka cyranek (*Querquedula oxyptera*). Nad obszernymi pastwiskami unosi się z krzykiem czajki (*Vanellus resplendens*), podobne z głosu i obyczajów do naszych. Tu też lubi siadywać na ziemi osobliwy gatunek ziemnego dzięcioła (*Colaptes Stolzmann*), który okazał się być nowym gatunkiem i przez ś. p. Taczanowskiego opisany został. Szuka on głównie żeru na murawach, z kądy robaki dżdżowe i owady wyciąga. Tylko na odpoczynek siada na drzewach, gdzie nieraz turkocze zupełnie jak nasz wielki dzięcioł. Gnieździ się po dziurach, które w gliniastych obrywach wykopuje, często też dziurawi mury cmentarne i domostwa, z miękkiej niepalonej cegły (*adobes*). Pewnemu znajomemu naszemu zrobiły nawet wiel-

ką szkodę, przedziurawiły bowiem na wylot ściany, psując tapety, z wielkim trudem z Limy sprowadzone; a były to jedyne tapety na całe miasto.

Z większych drzew w bezpośrednich okolicach Cutervo spotkać tylko można wiśnie peruwjańskie, zwane przez krajowców „capuli“ (*Cerasus capuli*). Owoc ich dość smaczny, różni się jednak bardzo od naszych wisien terpentynowym smakiem. Samo drzewo bardzo jest cenione jako materiał budowlany. Na tych to drzewach obiera sobie dzienną porą siedlisko puhacz (*Bubo virginianus*), który tylko po nocach na łowy opuszcza swe kryjówki.

Wszystkie drogi są okolone z dwóch stron agawami (*Agave americana*), któremi także otaczają krajowcy swe pola uprawne. Najeżone kolce tych roślin stanowią doskonałą ochronę od szkodnych krów lub baranów. Gdy agawy kwitnąc zaczynają, kręcą się na ich kwiatach liczne kolibry z rodzaju *Petasophora anais*, ożywiające powietrze swem głośnem ćwirkaniem. W powietrzu nierzadko widzieć można pływającego majestatycznie kondora.

Na wschód od miasteczka wznosi się dość stroma góra Ylucan, mierząca około 11,000 absolutnego wzniesienia. Widok z niej jest nadzwyczaj rozległy, gdyż w jedną stronę sięga aż po dalekie okolice Perico w prowincji Jaen, a w drugą widać góry, aż pod dep. miastem Cajamarca o 4 dni drogi położone. Północny skłon góry Ylucan pokryty jest właśnie lasem Angurra, o którym przedtem wspomniałem.

Las ten należący do typu „ceja de la montana“ (brew lasu) składa się przeważnie z drzew niebardzo wysokich i niebardzo korpulentnych, pokrytych mchem i pasorzytami, przeważnie należącymi do rodzaju *Tillandsia*. Pomiedzy drzewami do najpospolitszych należy *Weimannia* o ciemno-pasowych liściach, nadających dziwny charakter lasowi, gdy z góry patrzymy. Podszycie lasu stanowi w wielu miejscach wijąca się trzcina, zwana surro (*Chusquea*). Mnóstwo krzaków *Iochroma*, *Tacsonia*, dalej melastomy, alströmeryje, fuksje oraz inne, stanowią nieprzerwany bukiet kwiecica, który zwłaszcza po skrajach lasu budzi w nas zachwyt bogactwem barw. Na tych nieruchomych kwiatach uwijają się inne, obdarzone bogactwem barw i życia: chcę mówić o kolibrach, które na tej wysokości stanowią przeważny bodaj procent miejscowego ptactwa. Cudowne te stworzenia uwijają się ciągle, mknąc z szybkością strzały z jednego krzaka na drugi i ssąc słodki nektar, ukryty w kielichach kwiatowych. Oprócz wielu innych, do najwspanialszych należą tu niewątpliwie *Diphlogoena warszewiczi*, nazwana tak przez angielskiego uczonego Gould'a na cześć ziomka naszego Warszewicza, niestrudzonego badacza flory kordyljerskiej, oraz *Heliotrypha micraster*—mały ciemny koliberek z gardziółkiem tak ognistej barwy, że robi nieraz wrażenie żarzącego się węgla.

Klimat w Cutervo dzięki znacznemu wzniesieniu nad poziom morza (prawie 9000), jest stosunkowo dość chłodny, a często nawet przy południowo-zachodnim silnym wietrze—bardzo chłodny,

zmuszający nas do nadziewania grubych wełnianych „ponchos“, które na miejscu proste kobiety wyrabiają.

W porze też suchej, to jest od maja do stycznia przy jasnych, pogodnych nocach, temperatura spada poniżej zera i roślinność uprawna, a głównie kukurydza dojrzewająca cierpi na tem bardzo.

Przymrozki te w różnych miejscach działają niejednakowo, co zapewne musi być w związku z naturą gruntu, gdyż sam widziałem, że część jednego i tego samego pola uległa zmrożeniu, gdy druga nic na tem nie ucierpiała. Krajowcy są zdania, że rośliny uprawiane na miejscach poziomych mniej podlegają zmrożeniu, aniżeli na skłonach gór, choćby w bezpośrednim sąsiedztwie równin. Mówiono mi też, że pola leżące wśród lasu lub przynajmniej krzaków, nie są tak wystawione na działanie przymrozków, jak w miejscach odkrytych.

Z roślin najobficiej uprawianych w bezpośrednich okolicach Cutervo wymienić mogę: kukurydzę, kartofle, jęczmień i lucernę; w mniejszej ilości sięją mieszkańcy arrakacze, fasolę, ollocos, okę i inne rośliny krajowe. Zbiory są zwykle bardzo obfite, jeżeli tylko przymrozki plonu nie zniszczą, a kukurydza, kartofle i fasola udają się w najlepszym gatunku.

Samo miasto w zwykłej porze jest dość wyludnione i sądzę, że nie liczy wiele więcej mieszkańców nad tysiąc. Część ich zajmuje się handlem, stanowiąc łącznik między Pomorzem i prowincją Jaen; albowiem przeważnie kupcy z Cutervo odbywają wycieczki do tej ostatniej, zkąd prowadzą na Pomorze bydło rogate, i tytuń, a wzamian dostarczają całej prowincji towarów europejskich. Są to po większej części ludzie biali, którzy wraz z nieliczną klasą urzędniczą stanowią miejscową arystokrację i są zarazem posiadaczami większych posiadłości ziemskich, czyli tak zwanych „haciendas“. Z pomiędzy nich wybieranym zwykle bywa „gobernador“, gdyż Cutervo jest tylko stolicą dystryktu i należy do prowincji Chota. Rzemieślnicy i tak zwani „chacreros“, czyli posiadacze mniejszej własności ziemskiej stanowią plebs miejscowy i pod względem etnograficznym należą do typu „cholos“, to jest mieszanców krwi białej z indyjską, choć ta ostatnia zdaje się przeważać. Zasluguje na wzmiankę ta okoliczność, że w całej prawie prowincji Chota i w sąsiedniej „Juridicion“ czyli prowincji Jaen lud prosty mówi po hiszpańsku, co stanowi dziwny kontrast z sąsiednim departamentem Amazonas (Chachapoyas), gdzie nietylko plebs, lecz nawet kobiety wyższych warstw społecznych używają stale w rozmowie pomiędzy sobą staro-indyjskiego języka Inkasów, zwanego „quichua“.

Życie towarzyskie w Cutervo jest dość słabo rozwinięte. Kobiety dzień cały zajęte są około gospodarstwa i w kuchni, gdyż na nich spada główny ciężar domowych trudów. Mężczyźni w swych ponczach (ponchos), w słomkowych kapeluszach panamskich, siedzą tymczasem w swych sklepach, napróżno wyczekując klientów, albowiem dni powszednie są zwykle mało ruchliwe i tylko święta

ściągają do miasta okolicznych wieśniaków, którzy stanowią główny kontyngens kupujących. W braku czego lepszego, kupcy chodzą jeden do drugiego, zbierają się w jakim sklepie po kilku naraz i zasiadłszy na kantorku lub po krzesłach rozmawiają o polityce miejscowej, lub o swych interesach. Z nastaniem nocy i po wypiciu niezbędnej czekolady z serem, wszyscy o godzinie 9-ej idą spać i w miasteczku cisza absolutna zalega, chyba że ją przerwą krzyki jakiego pijanego mieszkańca. Tak płyną spokojnie jeden za drugim dni tygodnia

W niedzielę dopiero miasteczko ożywia się bardzo. Już od wczesnego rana ściągają z bliższych i dalszych okolic wieśniacy, pędząc konie, muły i osły, naładowane bananami, cukrem brunatnym (chancona), wódką, yuką i wogóle produktami stref gorętszych. Inni znów Serrani dowożą kukurydzę, jęczmień, kartofle, sery, pędzą barany lub krowy na sprzedaż. Cały rynek zapełnia się różnobarwnym tłumem, który rozprasza się i po sąsiednich ulicach, szczególnie po Calle del Comercio (ulicy Handlowej), gdzie największa ilość sklepów się znajduje. Każdy Serrano obchodzi najprzód wszystkie sklepy, ogląda towar, pyta o cenę i dopiero porównawszy jedne z drugimi, wybiera wreszcie, targuje się, odchodzi, wraca i w końcu kupuje. W stosunkach z białym stał się podejrzliwym i zawsze widzi chęć oszukania go, choćby w rzeczywistości tego nie było.

Po południu miasteczko zaczyna się wyludniać i wszystko wraca do dawnego spokoju; lecz ponieważ to dzień świąteczny, więc tu i owdzie słychać strojenie gitar, zwiastujące tańce i zabawę. Zbiera się młodzież: panny z matkami trzymają się w jednym końcu sali, mężczyźni — w drugim. Gospodarz wnosi buteleczkę wódki i pije do której z pań; kieliszek rozpoczyna nieustającą wędrówkę. Zabrzmiały smutne tony gitary i śpiew chóralny kilku mężczyzn; młoda para z chusteczkami w ręku stanęła naprzeciw siebie i puściła się w tan spokojny, pełen godności. Powoli jednak kieliszek zagrzewa tańczących: ruchy ich stają się gwałtowniejsze... Być może, iż ta zabawa skończy się krwawą bójką, o którą w Peru tak łatwo.

W podobny to sposób rozpoczęła się w Cutervo rewolucja w same święta Bożego Narodzenia 1879 roku. W miasteczku tem dwie partje dość wrogo patrzyły na siebie, jedna stojąc po stronie cywilistów, czyli ex-prezydenta Pardy; druga zaś broniła rzekomo interesów późniejszego dyktatora a podówczas słynnego rewolucjonisty don Nicolas'a de Pierola; w rzeczywistości jednak ani jedna ani druga nie miała dobrego pojęcia o tem, co to jest cywilizm lub militaryzm, a tylko broniła swych osobistych interesów, dążąc zwyczajem ogólnie ludzkim do władzy. Partji cywilistów przewodniczyła znana już nam rodzina Contrerasów, a zwłaszcza ruchliwy don Baltazar Contreras, syn deputowanego do parlamentu; władza drugiej koncentrowała się w rękach niejakiego don Pepe Bazan Losada, ex gubernadora dystryktu. Partja Contrerasów była niezrównanie liczniejsza i w danej chwili cugle rządów do niej

należały. Lecz don Pepe¹⁾ ex-wojskowy, nie był z tych ludzi, którzyby sobie w kaszę dmuchać pozwolili; mówiąc nawiasem, wszyscy go się bali. Był to człowiek lat 50, wysoki, silnie zbudowany; cieszył się sławą człowieka odważnego; uchodził za najlepszego jeźdźca na całą okolicę.

W chwili, gdyśmy do Cutervo przybyli, obie partje zachowywały się zupełnie spokojnie, a nawet między nimi przychodziło nieraz do względnie przyjaznych stosunków. Widocznie jednak pod tą neutralną powłoką tlił się ogień, który lada okoliczność na zewnątrz wydobyć mogła. Takich to okazji dostarczyły święta Bożego Narodzenia.

W pierwsze święto po południu don Pepe przechodził obok domu swego kuzyna Castro, należącego do przeciwnej partji. Castro, u którego było liczne zebranie, zaprosił przechodzącego do siebie; don Pepe wszedł, lecz gdy mu kieliszek podniesiono, odmówił, tłómacząc się, że go głowa boli. Powstała ztąd sprzeczka, gdyż wielu Peruwjan uważa taką odmowę za zniewagę (desayre); sprzeczka w mgnieniu oka wzrosła do rozmiarów klótni, jak rośnie iskierka, gdy się na kopę siana dostanie, zamieniając się w groźny ogień. Padł strzał rewolwerowy, co było sygnałem do ogólnego powstania. Don Pepe wraz z sześciu swymi stronnikami umknął do swego domu i tu się zatarasował, jak w fortecy, prażąc do osaczających go przeciwników z karabinów Winchesterskich. Całe miasteczko, powyciągawszy wszelką broń, rozpoczęło kanonadę do osaczonego domu; nikt jednak nie miał odwagi wziąć go szturmem, dom bowiem zajmował cały jeden kwadrat miasteczka, a brama znajdowała się w samym środku ulicy; aby się więc do niej dostać, trzeba było przejść jakie 30 kroków pod morderczym ogniem osaczonych, którzy wiedzieli, że tu chodzi o ich głowy, więc też ładunków na darmo nie tracili.

Drzwi naszego sypialnego pokoju wychodziły na ulicę nawprost muru, okalającego z jednego boku podwórze osaczonego domu. Gdyśmy więc usłyszeli kanonadę, wyszliśmy przed drzwi, z kądem mogliśmy widzieć, jak o 50 kroków garstka cywilistów strzelała do drzwi i okien zamienionego w fortecę domu. Ponieważ jednak kule zbyt często i obok nas świstały, uważaliśmy za roztropne usunąć się do drugiej wewnętrznej izby, z kądem nas dochodził nieustający odgłos strzałów. Wkrótce też zjawił się u nas brat naszej gospodyni wraz z kilku towarzyszami, prosząc abyśmy im naszych sztucerów pożyczyl, czemu, ma się rozumieć, stanowczo odmówiliśmy, tłómacząc im, że jesteśmy w tym razie ludźmi zupełnie neutralnymi i że zarówno oni, jak i don Pepe są naszymi przyjaciółmi. Odeszli więc, nie molestując już nas więcej.

Tejże nocy rozbito sklep z trunkami, należący do jednego z oblężonych; cały zapas wódki i wina wypito; nie dodało to jednak atakującej stronie animuszu i w żaden sposób nie mogli się zdobyć

¹⁾ „Pepe“ zdrobniale od imienia José (Józef).

na odwagę i wziąć szturmem dom niezdobyty. Strzelanina więc trwała dnia następnego i nocy następnej a ustała dopiero trzeciego dnia po południu, czyli w 48 godzin od rozpoczęcia rewolucji. Przypuszczam, że przez ten czas wypuszczono ze 2000 ładunków sztucerowych, a skutek był taki, że jeden z walczących był ranny w samym początku bójki strzałem rewolwerowym; jeden z młodzieńców atakujących został przeszyty kulą sztucerową na wylot, lecz się z tej rany wyleczył; i wreszcie jeden z osaczonych został lekko raniony w nogę. Mówiono też, że jakaś Bogu ducha winna babina dostała postrzał w dolną (miękką) część pleców. Widzimy więc, że rezultat dwudniowej walki nie był bardzo krwawy.

W końcu wzięły górę perswazje ludzi rozsądnych, a między innymi gospodarza naszego Contreras'a i miejscowego proboszcza, księdza Olivy; myśmy też z naszej strony starali się rozpalonym rewolucjonistom wytłómaczyć całą niestosowność ich postępowania. Nastąpiło zawieszenie broni, a raczej koniec rewolucji, do którego podobno najwięcej się przyczyniła wiadomość, że podprefekt z Chota na wieść o rewolucji idzie z oddziałem wojska na odsiecz obłożonym. W samej rzeczy przybył dziesiątek obdartych żołnierzy pod wodzą oficera, a za nimi nadciągnął i sędzia pierwszej instancji (juez de primera instancia), do którego należało śledztwo przeprowadzić i sąd wydać.

Tutaj naszym przyjaciółom nosy opadły, gdyż z jednej strony wynagrodzić musieli liczne straty, jakie osadzeni ponieśli, a które dochodziły do 500 soles; a powtórę wstyd im było, że całe miasto nie mogło podolać siedmiu zdecydowanym na wszystko ludziom, którzy walecznie wytrzymali 48-godzinny atak. Don Pepe śmiał się potem z nich, gdy ze mną o tej awanturce rozmawiał, nazywając ich tchórzami i rabusiami, którzy tylko umieją zdobywać niebronione sklepy i z nich wódkę wypijać. Trudno było nie przyznać mu racji.

Rewolucja ta zaostrzyła jeszcze bardziej uśpione przed tem nienawiści i obie partje wrogo na siebie patrzyły; miałem jednak tę pociechę, że w ośm miesięcy potem, przed samym wyjazdem moim do Chachapoyas udało mi się przy współdziałaniu księdza Oliwy głównych przywódców pogodzić, wykazując im jak smutne skutki pociągają za sobą niesnaski domowe wobec nieprzyjaciela, który już był na dobre rozpoczął kroki zaczepne. ¹⁾ Rodzina Contreras'ów pokazała w tym razie wiele taktu, pierwsi bowiem poszli do domu Bazan'a i przeprosili go za atak grudniowy.

Pominąwszy tę małą przerwę, spowodowaną rewolucją, zajęcia nasze płynęły spokojnie. Uwinąwszy się wkrótce z niezbyt bogatą fauną okolic Cutervo, poświęciłem kilka tygodni czasu na łowienie myszy, które wydało rezultat jaknajopłakańszy, nie dość bowiem, żem ledwie kilka egzemplarzy myszy złapał, ale mi jeszcze znaczną część mych łapek skradziono, pomimo, żem wychodził o 4-ej rano z miasteczka, gdy wszyscy jeszcze spali, chcąc uniknąć

¹⁾ Wojna peru-chilijska wybuchła w marcu 1879 roku.

tym sposobem ciekawych oczu. Zastawiałem łapki w odległości paru wiorst od miasta a mimo to wysledzono je i znaczną część uprządnięto.

W tym też mniej więcej czasie, to jest w początkach 1879 roku zrobiliśmy wielką wyprawę na wampiry, o których już niejednokrotnie słyszeliśmy, że się w wielkiej liczbie kryją w opuszczonej kopalni srebra po drodze do Socota. Sprawdziwszy na miejscu, że warto jest trochę zachodu, zabraliśmy ze sobą niezbędne przedmioty i udaliśmy się tam we dwóch, to jest Jelski i ja.

Mina ta, rozpoczęta kilkadziesiąt lat temu przez wielką kompanję portugalską i następnie przez nią porzucona, leży w odległości kilku wiorst od Cutervo po drodze do Socota. Jest to kurytarz mogący mieć ze 20 metrów głębokości i tak niski, że tylko schylnym można weń przeniknąć, na zewnątrz wychodzi dwoma dość obszernymi otworami, które się mieszczą na urwistym spadku wąwozu. Już w odległości kilku kroków od wejścia dno kurytarza pokrywa cuchnąca kałuża, utworzona z płynnych wydzielin wampirów; odór amoniaku jest tu tak silny, że mnie odrazu tchu zabrakło i po paru minutach mego tam pobytu cofnąć się musiałem do wyjścia. Jelski był silniejszy pod tym względem odemniei mógł wytrzymać wewnątrz około 1/2 godziny czasu, gdy jednak wyszedł na świeże powietrze dostał tak silnej kolki, żeśmy czempredzej do domu wrócić musieli.

Urządziliśmy się z łowami w ten sposób. Oba otwory miny zasłoniliśmy szczelnie płótnem, poczem Jelski wszedł do środka kurytarza z latarką, gdyż dość silny zakręt czynił, że wewnątrz było ciemno zupełnie; tam towarzyszący mój ploszył nieustannie poczepiane u ścian wampiry, które bezpośrednio kierowały się do wylotu. Tutaj czekałem na nie od strony wewnętrznej, to jest w kurytarzu przy samej zasłonie płóciennej i skoro tylko który z nietoperzy uderzał się o nią i padał, ja zabijałem go uderzeniem łopatki i do przygotowanego woreczka wrzucałem. Tym sposobem w pół godziny czasu udało nam się złowić 74 okazów tego wstrętnego stworzenia. Gdy Jelski wyszedł z głębi kurytarza poznać go nie mogłem, tak był cały wymazany.

Wampir, o którym mowa, należy do rodzaju *Desmodus*. W okazach zdobytych przez nas, nie znaleźliśmy nic innego oprócz czystej krwi zwierząt domowych; ta sama krew co i w żołądkach, tylko jakby spiekła, znajdowała się i w kiszce odchodowej wampirów i z tej to krwi utworzona była ta cuchnąca kałuża, o której tylko co wspomniałem. Niewątpliwą więc rzeczą jest, że wampir karmi się wyłącznie krwią zwierząt, pomimo, że niektórzy uczeni starali się temu zaprzeczyć. Zresztą w czasie mych wędrówek tyłem się nasłuchał o nich, a co ważniejsza, tyłem razy widział na własne oczy muły, konie i osły, a nawet ludzi, przez nie wyssanych, że co do tego nie mogę mieć najmniejszej wątpliwości.

Wampir najczęściej atakuje konie i muły, które zwykle kalczy w boki szyi lub w łopatkę, a rzadziej w grzbiet. Niekiedy też tnie trzodeę chlewną, szukając u niej najcieńszej skóry poza

uchem, krowy kaleczy zwykle ponad wymieniem; czasami według zdania mieszkańców napastuje koguty, którym kaleczy grzebień lub nogę. Powszechnie też utrzymują krajowcy, że przed zakluciem czas jakiś unosi się w powietrzu, wachlując skrzydłami, aby tym sposobem zneutralizować bolesne działanie przekłucia skóry.

Skaleczony przez wampira zwierz krwawi jeszcze przez czas jakiś po odlecceniu drapieznika i często można obok przywiązanego konia lub muła znaleźć całą kałużę krwi, co biedne zwierzęta wycieńcza bardzo. Jeżeli rana, zadana przez wampira, znajduje się na łopatce lub na krzyżu, wówczas bydlę staje się przez czas jakiś niezdatnem do użytku, gdyż rana pod ciężarem człowieka lub ładunki zaczyna się jątrzyć i puchnąć, sprowadzając długotrwałą niemoc zwierzęcia. Arrierzy starają się ochronić swe muły od wampirów, smarując im na noc grzbiety rozgniecionym pieprzem kajeńskim; mówię na noc, gdyż wampiry, tak jak wszystkie zresztą nietoperze, są zwierzętami nocnymi i dniem nigdy szkody nie robią.

Nie sprawdzonem zdaje się zostało po dziś dzień, w jaki sposób wampir nanosi ranę, aby następnie krew swej ofierze wyssać; jedni twierdzą, że robi nacięcia swemi cieniutkimi i bardzo ostrymi ząbkami; inni znów są zdania, że szorstkim swym językiem ściera naskórek i tym sposobem otwiera naczynia krwionośne. Mnie się zdaje, że pierwsze z dwóch mniemań jest słusznem. Czy tak, czy owak, sprawdzić mogłem od osób ssanych przez wampiry, że w pierwszej chwili bólu żadnego nie czuć i ten dopiero w jakiś czas potem występuje. Między innymi nijaki p. Alban z Moyobamy opowiadał mi, że go wampir wyssał, kiedy mój znajomy leżał w łóżku, paląc papierosa. Alban spostrzegł dopiero, gdy się już do snu zabierał, że mu się nogi lepią jakąś płynną materją; zapalił świecę i spostrzegł całą kałużę krwi, w której się poruszał nasycony wampir.

Zwierzątko więc tak delikatnie skuteczniło swą chirurgiczną operację, że się nawet ofiara nie spostrzegła. Najczęściej jednak ludzie podlegają atakom tych drapiezników podczas snu.

Nie wiem o ile jest prawdziwe mniemanie krajowców, że dość jest spać na łóżku, aby się zwolnić od napadu wampirów, które podobno nigdy nie siadają bezpośrednio na osobie śpiącej, lecz w pewnej od niej odległości na ziemi i następnie czołgają się aż do pościeli. Mniemanie to potwierdza moja własna obserwacja, gdyż w Balza-Puerto przespałem kilka nocy w domu pełnym wampirów, i nie miałem szczęścia być przez nie atakowanym; a sy-piałem właśnie na tapczanie.

W połowie marca 1879 roku, gdy się już fauna okolic Cutervo w znacznym stopniu dla mnie wyczerpała, przedsięwziąłem wyprawę do jednej z gorących dolin sąsiednich, a mianowicie nad rzekę Chotańska, pragnąc zbadać okolicę bezleśną pośrednią między tak wysokim regionem, jak Cutervo, a tak gorącą doliną jak dolina Maranonu. W tym celu za pole mej nowej wycieczki obrałem sobie miejscowość Callacate, położoną o 5 godzin drogi od

Cutervo w dolinie Rio de Chota. Rzeka ta bierze początek na wyżynach Bambamarca, i płynąc w kierunku z południa na północ, omywa pola należące do miasta Chota; poniżej Callacate, łączy się z inną znaczną rzeką Huancabamba, płynącą z północy, poczem zmieniając kierunek na wschodni, wpada do Maranonu pod nazwą rzeki Chamaya. Niwelacja tej rzeki pokazuje nam następujące wysokości: Chota 8000 st. nad p. m.; Callacate 4800 (sama rzeka, około 4500); ujście rzeki do Maranonu (według Humboldt'a)—1400' absolutnego wzniesienia. Spadek ten 6600' jest rozłożony na jakie 40 leguas (około 200 wiorst), jakie rzeka liczy począwszy od miasta Chota aż do ujścia jej w Maranonie.

Callacate jest to osada złożona z chat rozrzuczonych pojedynczo i otoczonych sadami bananowymi lub plantacjami trzciny cukrowej. Siedziby udzielił mi znany nam ze świeżo opisaney rewolucji Don Pepe Bazan-Losada, który tam posiadał kawałek gruntu wraz z bardzo schludnym domkiem, stojącym pustkami. Nająłem też sobie do pomocy młodego chłopca nazwiskiem Fidel Bautista, z którym muszę czytelnika zaznajomić, gdyż służył mi wiernie aż do końca peruwjańskiej mojej wyprawy, to jest przez lat dwa, a następnie towarzyszył przez lat parę naszemu dzielnemu podróżnikowi, p. Janowi Kalinowskiemu, który od roku 1889 podróżuje po Peru w tych samych co i ja celach.

Bautista liczył podówczas lat 17. Był to bardzo śniady, prawie oliwkowy chłopak, z czarnymi, sztywnymi włosami i czarnemi jak węgiel oczami; przeważała w nim krew indyjska, choć znać było małą domieszkę krwi białej, czyli że był to tak zwany „cholo”. Ojciec jego był drobnym posiadaczem ziemskim w Cutervo, on zaś sam terminował u złotnika. Charakteru był bardzo dobrego, cichy, łagodny, pracowity — oddał mi w następstwie wielkie usługi i jemu zawdzięczam odkrycie niejednego nowego gatunku. Zgodziłem go do siebie na takich warunkach, żem mu dawał całkowite utrzymanie i ubranie, a nadto płaciłem 2 pesos (8 franków) tygodniowo pensji. Nastęrczył mi go poczciwy mój przyjaciel, don Santiago Contreras, za co mu będę wdzięczny do końca życia. Fidel miał wykonywać wszelkie posługi, a mianowicie wypełniał jednocześnie obowiązki kucharza, stajennego, lokaja, strzelca i preparatora. Wkrótce też wyuczył się doskonale preparować skórki i oddawał mi tem nieocenione usługi. Na razie wszelako zgodziłem go tylko na wyprawę do Callacate, która około 2 miesięcy potrwać miała. Potem dopiero, gdy się chłopak okazał doskonałym, namówiłem rodziców, aby mu pozwolili jechać ze mną na wschód, na co po długich korowodach dali swe zezwolenie. Jelski pozostał w Cutervo, gdzie się zajmował przeważnie botaniką.

Dolina rzeki Chota mogłaby raczej być nazwaną wąwozem, gdyż spadki są tu dość strome i horyzont ścieśniony. Skłonygór spuszczone się na dno rzeki są bezleśne, pokryte jasno-zieloną trawą lub rzadkimi krzakami, pomiędzy którymi przeważa „lloque” (*Pineda incada*) — niewielki krzew o lancetowatych blado-zielonych liściach. Słynie on w Peru jako doskonały materiał na laski.

Wogóle góręjsze doliny Peru różnią się tem na pierwszy rzut oka od regionu Sierry, że posiadają roślinność jasno-zieloną, a nie ciemną, czasami czarniawą, jak w tym ostatnim.

Dnem doliny płynie rzeka, a raczej wielki górski strumień, posiadający znaczne spadki a przez to i prąd bardzo szybki. Dno jego zasiane jest większymi i mniejszymi głazami, przez które woda przelewa się, tworząc kolejno małe kaskady i zaciszne baseny (remanzos). Gdy jednak wielkie deszcze padają w górach, rzeka wzbiera, a wtedy wody stają się mętne i gęste jak barszcz, pędząc z szaloną bystrością, i rycząc tak mocno, że ryk ten ze znacznej odległości słyszeć można. Pieni się tu masa gęsta, kłębi, niesie w swym szalonym pędzie kamienie i brzegi wraz z drzewami wyrwa.

Dolne piętra doliny są w znacznej części pod kulturę zajęte, są to bowiem najurodzajniejsze ziemie, dające pyszne plony trzciny cukrowej, manjoku, bananów i innych roślin strefy zwrotnikowej. Najwięcej jednak krajowcy uprawiają tu trzcinę cukrową, z której pędzą lichą wódkę lub wyrabiają cukier brunatny. Trzcina cukrowa odgrywa w Peru tak ważną rolę, że się muszę bliżej zatrzymać nad jej uprawą.

Trzcina cukrowa w Inkazji uprawiana bywa w pionowych granicach od nizin amazońskich do 6000 st. nad poziomem morza; wyjątkowo jednak widziałem ją na wysokości 7000 a nawet 8000 n. p. m., tu jednak raczej z kaprysu uprawiana bywa, gdyż klimat tych wysokich regionów nie sprzyja jej dojrzewaniu. Uprawa trzciny w regionach leśnych, na nowinach, ogranicza się na zrobieniu kołkiem dziury w ziemi i zatknięciu w niej skośnie kawałka dojrzałej trzciny, posiadającej dwa kolanka, czyli dwa oczka; w górskich jednak bezleśnych regionach zwykle przedtem ziemię orze się prostą sochą i dopiero nasienie sadi. W najgorętszych klimatach trzcina dojrzewa zwykle w 6 miesięcy; na wysokości 5000—6000 st. p. m. potrzebuje na to dwu lat czasu. Plantacja wymaga w ciągu roku kilkakrotnego oczyszczenia.

Trzcina górską jest znacznie cieńsza od nizinowej i bardziej kolankowata, lecz za to posiada cukier w sobie więcej skoncentrowany. Różne też są odmiany trzciny cukrowej, łatwe do poznania po zewnętrznej barwie łodygi, która od blado-zielonej przechodzi wszystkie odcienia aż do ciemno-fioletowej. W górach najpospoliej uprawiane bywają „cana regencia” i „cana islena”. Zwróć też uwagę, że trzcina cukrowa w najgorętszych klimatach, jak np. na Pomorzu i w górach do wysokości 2000 st. trwa przez wiele dziesiątków lat, nie wymagając sadzenia, gdyż nowa roślina odrasta ze starego korzenia; przeciwnie powyżej 2000 st. trzcina jest mniej żywotna i na wysokości 6000 plantacja daje tylko 2 zbiory, z których drugi znacznie gorszy od pierwszego; poczem plantację należy zapuścić, zorać i obsiać na nowo.

Zbiór trzciny odbywa się w ten sposób, że się ją tnie przy pomocy wielkich noży (machetes), wierzchołki, czyli liście obcina

i odstawia na grzbietach mulów do młyna. Wierzchołki stanowią niezłą paszę dla bydła rogatego a nawet i dla koni lub mulów.

Ciekawą jest rzeczą poznać zblizka młyny, używane powszechnie w Inkazji do mielenia trzciny cukrowej. Młyny te zwane przez krajowców „trapiche“ używane bywają przeważnie w górach przez mniejszych właścicieli; wielkie bowiem majątki pomorskie są zaopatrzone, jak to widzieliśmy, w maszyny parowe. Opis takiego młyna powinien zainteresować czytelnika.

Trzy walce, ustawione pionowo jeden obok drugiego przy pomocy odpowiedniego rusztowania stanowią główną część składową takiego młyna, a raczej prasy. Walce te są zrobione z bardzo mocnego drzewa i w górnej swej części posiadają drewniane zęby, mające na celu udzielanie ruchu wirowego bocznym dwóm, gdy środkowy przy pomocy wołów lub koni w ruch puszczony zostanie. Główny ten walec zwany „madre“ (matka) łączy się z rodzajem długiego dyszla, do którego zaprzęga się zwykle para wołów i te chodząc wkoło, jak w kieracie, wprawiają główny walec w ruch wirowy, a ten przy pomocy zębów udziela się i bocznym dwóm walcom. U zamożniejszych właścicieli spotyka się te walce z brązu, ponieważ jednak brązowe kosztują do jednego młyna od 800 do 1000 soles, zatem nie każdy może sobie na to pozwolić. Walce jednak brązowe mają olbrzymią przewagę nad drewnianymi, raz, że są prawie niezdarne, a powtóre, że o wiele lżej obracają się, oszczędzając pracy wołom.

Po obu stronach walców zasiada po jednym parobku, mającym kupę naciętej trzciny cukrowej, którą kolejno po kilka naraz puszczają pomiędzy walcami. Jest to wszelako machina tak niedokładna, że należy kilkakrotnie każdą trzcinę przepuścić, skręcając po kilka razem, aby możliwie dokładnie sok wycisnąć. Wytłoczyny zwą się u krajowców „bagazo“ i po wysuszeniu mogą służyć na opał, a w razie braku paszy, bydło rogate i konie mogą je zamiast paszy zużytkować.

Sok zwany „caldo“ (rosół) ścieka do długiego koryta, skąd spływa do wielkiej dzierzy zwanej „botija“ i ztamtąd przenoszonym bywa w mniejszych naczyniach do osobnych rezerwuarów, zrobionych zwykle z jednej sztuki drzewa naksztalt łodzi, lub niekiedy ze skór wołowych niegarbowanych; tam poddaje się go fermentacji, a w takim stanie przybiera już zwykle nazwę „guarapo“, chociaż niekiedy nazywają w ten sposób sok niefermentowany. Następnie „guarapo“ idzie do alembików, które w regionie serrańskim są zwykle nadzwyczaj pierwotnej konstrukcji. Oto najprostszyszy a powszechnie przez biedniejszą ludność używany alembik.

W gliniany piec wmurowany jest duży miedziany kocioł, stanowiący kształtem odcinek kuli. Wierzch tego kotła zakryty jest wiekiem z desek, przyczem wszelkie szpary szczelnie zalepia się gliną. W samym środku wieka znajduje się duża dziura, do której dopasowuje się pusty w środku cylinder drewniany lub z gliny palonej, zwany zwykle „pescuezo“ (szyja), którego dolny otwór wychodzi do wnętrza wielkiego kotła; na drugim zaś, górnym końcu

umieszcza się mniejszy półsferyczny kocioł miedziany, na który przyplywa nieustannie zimna woda, przeprowadzona przy pomocy drewnianych koryt z najbliższego strumienia. W górnej części drewnianej szyi (pescuezo) tuż pod małym kotłem znajduje się okrągły niewielki otwór z dopasowaną rurką z trzciny zwanej „carrizo”. Ot i mamy cały alembik, w którym dystylacja odbywa się w sposób następujący.

Wielki kocioł napelnia się sfermentowanym sokiem trzciniowym (guarapo), poczem ustawia się na niem kolejno wieko drewniane, szyja i mały kociołek odgrywający rolę węzownika. Wszystkie szpary zalepia się starannie gliną. Guarapo poddane silnej temperaturze zaczyna wydzielac alkohol; para jego zaczyna się wznosić ku górze przez szyję, a dotknawszy zimnej powierzchni małego kotła, skrapla się i uchodzi przez rurkę trzciniową, gdzie już w postaci wódki wycieka do glinianego zbiornika. Łatwo jest zrozumieć, że oziębienie jest tu bardzo niedokładne i że wódka wychodząc na zewnątrz nagrzana, traci ogromną ilość alkoholu. To też pierwsze przedestylowanie w takich alembikach daje wódkę conajwyżej 15—17 stopniową (według Cartier), a dopiero poddając ją powtórnemu pędzeniu otrzymujemy okowitę mierzącą od 18° do 21° i zwaną powszechnie „resaque”.

Niemniej ciekawym jest sposób dobywania cukru przez biedniejszych plantatorów trzciny cukrowej. Do takiego samego kotła, jakiśmy widzieli w alembiku, wlewa się świeżo wyciśnięty sok trzciniowy, niefermentowany, czyli „caldo” i poddaje silnemu parowaniu przez ogrzewanie od spodu, przyczem jedna osoba przy pomocy podziurawionej tykwy zajęta jest nieustannie zbieraniem z wierzchu wszelkich szumowin i brudów, zwanych powszechnie „el cachazo” lub „la cachaza” stosownie do okolicy; w ten sposób oczyszcza się cukier z różnych cząsteczek postronnych. Zgęszczony do pewnego stopnia sok, który powoli przybiera konsystencje słabo rozpuszczonego wosku, wylewa się do form, gdzie zastyga, tworząc brunatny, zwany w Ekwadorze „raspadura” lub „panela”, a w Peru „chancona” lub „chancaca”. Formy są wyżłobione wzdłuż jednej drewnianej belki i posiadają kształt ściętego krótkiego ostrosłupa, wielkość zaś ich bywa różna, stosownie do przyszłej ceny. Gdy cukier stwardnieje, przewraca się taką belkę i wszystkie osobne główki cukru zwane „tapas” a ważące od 1 do 2 funtów wytrząsa się na ziemię. Dwie takie „tapas”, złożone ze sobą szerokimi podstawami tworzą „un atado”, a cztery „atodas” owinięte łykiem bananowem stanowią „un tongo”. W takiej formie cukier brunatny idzie na rynki miejskie, gdzie się sprzedaje każdy „tongo” czyli 8 główek od 2 do 4 franków.

Najciekawszym jednak jest sposób rafinowania cukru, używany w niektórych częściach wschodniego Peru, a zwłaszcza w dolinie Huayabamba we wschodnio-północnem Peru przez mniej zamożnych kolonistów, którzy nawet nie wiedzą o istnieniu maszyn centryfugalnych, przy pomocy których w ciągu bardzo krótkiego

czasu można skryształizować cukier, pozbawiając go melasy. Sposób rafinowania o którym mówię jest następujący:

Gdy sok trzciniowy poddaje się parowaniu, dolewa się doń stopniowo po trosze ługu, oczyszczając zarazem nadzwyczaj starannie z szumowin, które obficie wypływają na powierzchnię. Oczyszczony tym sposobem i dobrze zgęszczony sok cukrowy zlewa się do form glinianych posiadających formę stożkową, lecz o szerokiej podstawie, mającą średnicę równą mniej więcej wysokości stożka. Formę nalewa się do $\frac{3}{4}$, a resztę wypełnia się gliną, specjalnie na ten cel zdaleka sprowadzaną, poczem umieszcza się formę wierzchołkiem w dół tak, aby melasa mogła ściekać przez mały otwór, zrobiony w wierzchołku formy, nadół obróconym. Po kilku dniach, czy po tygodniu odrzuca się glinę, którą zalepiono szeroką podstawę formy i wówczas znajdujemy cukier skryształizowany już w części, głównie zaś od góry i po bokach, sam jednak środek czarny jest jeszcze i woskowaty; wyjmują więc tę najczarniejszą część, co się zowie „sacar el corazon“ (wyjąć serce) a powstałą ztąd dziurę wypełnia się cukrem wziętym z boków i z górnej części, poczem zalepia się znowu świeżą gliną i pozostawia się w spokoju przez miesiąc do półtora miesiąca. Po upływie tego czasu melasa ścieka prawie zupełnie, a cukier pozostaje biały, dobrze skryształizowany; tylko dolna część (wierzchołek ostrosłupa) jest zwykle nieco ciemny; odbija się go więc i używa osobno na takie cele, gdzie cukier biały nie jest koniecznie potrzebny.

Mniejsi jednak plantatorzy wolą wydobywać wódkę, aniżeli cukier, raz dlatego, że zbyt jest zawsze łatwiejszy, a powtóre samo pędzenie wódki daje okazję do jej próbowania, czyli do pijatyki, za którą wszyscy przepadają. Wieleż to razy zdarzy się, że wódka przeznaczona niby to na sprzedaż, utonie w gardłach dystrylatorów, którzy są jednocześnie producentami i konsumentami. Sąsiedzi, wiedząc, że rozpoczęło się pędzenie wódki, schodzą się pod różnymi pretekstami, każdego więc z nich należy poczęstować, aby wydał sąd o dobroci wódki; sąsiad zaś nie wypije, póki właściciel nie zacznie; ponieważ zaś sąsiad jest człowiekiem bardzo ugrzecznonym, więc pije do gospodyni domu, gospodyni nie może być ostatnia, więc pije do drugiego sąsiada, a w braku jego do którego z parobków i tak wpadają w zaczarowane koło, z którego nieraz wychodzą dopiero wtedy, gdy się cały zapas wódki skończy.

Spotyka się też niekiedy w Inkazji maleńkie młyny do trzciny cukrowej, składające się z dwu walców, z których każdy obracany jest za pomocą korby przez jednego człowieka. Pomimo, że uprawa trzciny na małą skalę nie opłaca się, znajdziemy na terytorjum Inkazji wiele podobnych zakładów, taki bowiem mały plantator, czy to Indjanin, czy „cholo“ nie dla tego sadzi trzcinę cukrową, że mu uprawa jej lepszy dochód zapewnia, lecz wprost dla celów osobistych, dla wydobycia trochy okowity, którą sam z przyjaciółmi przepije. Wprawdzie więcej by mu się opłaciło

czem innym się zając, a następnie wódkę kupić od bogatszego sąsiada, który obracając większym kapitałem, na większą też skalę zając się może uprawą trzciny cukrowej; lecz takie kombinacje nie są dostępne dla twardej głowy biednego Indianina, woli więc sam ze swoją rodziną mordować się „bo to nic nie kosztuje”. Woly są w domu, więc ich wynajęcie „nic nie kosztuje”. Trzcinę on sam zetnie i do młyna odstawi „więc to nic nie kosztuje”; miele ją przy pomocy rodziny, lub parobków, którym płaci często samym produktem, więc i to „nic nie kosztuje”. Tej logiki niczem nie wybijesz z głów indyjskich, więc zostawmy je w spokoju.

Klimat doliny rzeki Chotańskiej na wysokości Callcate jest gorący i względnie dość wilgotny, a natępstwa pół roku są te same co i w sąsiednim regionie Sierry, gdyż właściwie dolina ta jest szparą tak wąską w górskim systemie tej części Peru, że chcąc nie chcąc, musi podlegać ogólnemu porządkowi zmian klimatycznych. Deszcze padają tu dość często w miesiącach od stycznia do maja, zwykle jednak wypadają w popołudniowych porach dnia, rzadziej zaś trafiają się długotrwałe ulewy. Wogóle ten typ okolic, któryśmy nazwą miejscową „quichua” ochrzcili, posiada klimat bardzo przyjemny i stosunkowo dość zdrowy. Noce bywają chłodne, dnie są gorące, lecz nie tak nurzące, jak na Pomorzu, lub nad Maranonem, do czego się przyczynia dość znaczne wzniesienie nad poziomem morza.

Dwa miesiące i 10 dni jakie spędziłem w Callcate zeszyły mi nadzwyczaj szybko i przyjemnie. Mieszkałem sam jeden z moim służącym, który mi jeść gotował, muła pilnował i pomagał w moich zajęciach kolektorskich. Od czasu do czasu przyjeżdżał kto ze znajomych z Cutervo, lub sąsiedzi zachodzili do mnie z wizytami. Raz nawet zjechał na dwa dni Jelski, który chciał się nieco zapoznać z tym rodzajem okolic. Rezultat wyprawy był dobry, gdyż znów przybyło trochę nieznanymi mi przedtem ptaków, a między nimi zdobyłem znaczną liczbę egzemplarzy nowego gatunku kolibra, którego p. Sclater z „Zoological Society of London” opisał pod nazwiskiem *Thaumatias Taczanowskii*, dedykując go nieodżałowanej pamięci Taczanowskiemu. Stąd też pochodzi piękny egzemplarz sarny gąszczowej (*Cervus nemorivagus*), który obecnie zdobi Warszawski Gabinet Zoologiczny.

Podczas mego pobytu w Callcate wybuchła właśnie wojna peru-chilijska, która miała sprowadzić tak fatalne skutki dla Peru. W owym jednak czasie Peruwjanie tak byli pewni siebie, że wszyscy bez wyjątku oburzeni byli na rząd za dopuszczenie Boliwji do koalicji przeciwko Chili, gdyż powszechnie utrzymywali, że samo Peru da sobie radę z tym nędznym kraikiem. Patrijotyzm też był wielki, i gdym d. 31 maja wrócił do Cutervo, mogłem się wielokrotnie przekonać jaki entuzjazm panował tam na wiadomość o którejś z mniejszych potyczek morskich lub o dzielnych działaniach pancernika peruwjańskiego „Huascar”. Jednocześnie też zaczął się formować bataljon ochotników, którzy mieli miny tak dzielne i tak dużo mówili o przyszłych zwycięstwach, że żal brało po-

myśleć o tych biednych Chilijczykach, porywających się z motyką na słońce. Najwięcej gardłował niejaki Andres Guerrero, którego sama nazwa obiecywała świetną karierę wojenną¹⁾, jego też zrobiono szefem świeżo sformowanego bataljonu. Pamiętam jak dziś dzień wyjazdu przyszłych zwycięzców z Cutervo, jak po wysłuchaniu mszy św., na dzielnych koniach, w jaskrawych ponczach, z karabinami winchesterскими na ramieniu, wyruszyli z miasta wśród płaczu kobiet i entuzjastycznych krzyków pozostających w domu mężczyzn. „Biada Chilijczykom — pomyślałem sobie — z takim wojskiem Peru może być pewnem zwycięztwa“. Na dnie duszy kryłem jednak pewne wątpliwości, stawali mi bowiem na myśli niedawne wypadki grudniowe, to jest owa strzelanina podczas Świąt Bożego Narodzenia i śmieszna rola, jaką ta sama młodzież wówczas odegrała.

I w samej rzeczy: ów świetny bataljon nie doszedł nawet celu swego przeznaczenia to jest Limy. Wielu, a między nimi p. Guerrero, popowracali już z Cajamarca; inni zaszli nieco dalej, a ledwie kilku doszło do stolicy i tam połowa ich zginęła w fatalnej rewolucji, jaką don Nicolas de Pierola wszczął przeciw rządowi konstytucyjnemu, niosąc na ofiarę swej ambicji 800 ludzi poległych na ulicach Limy w chwili, gdy do bram stolicy zbliżały się wojska nieprzyjacielskie. Tak się skończyła ta świetna wyprawa cuterwiańskiego bataljonu, który poszedł uczyć moresu obdartych (rotozos) Chilijczyków.

Tymczasem wewnątrz kraju nienawiść do Chilijczyków rosła z dniem każdym, a czerń nie rozróżniająca dobrze innych cudzoziemców od nich, zaczęła się dopuszczać aktów barbarzyństwa.

W Chota zamordowano jakiegoś Włocha, inny znów ledwie uszedł śmierci w Sillangate dzięki tylko interwencji ks. Olivy, który zdołał wytlómaczyć rozpasanemu tłumowi, że Włoch a Chilijczyk to zupełnie różne rzeczy. Jelskiego wracającego z Chota zaczepiło dwóch pijanych arrierów, odgrażając się, że go zamordują. Te jednak oderwane wypadki nie stanowiły powszechnej reguły i przyznać trzeba, żeśmy z powodu wojny żadnych przeszkód w naszych zajęciach nie doznali, a to głównie dlatego, że wojna skoncentrowała się na południu Peru i słabe jej echa dochodziły tylko do północnych prowincji, gdzieśmy naszą eksplorację prowadzili.

Po powrocie z Callcate rozpocząłem pakowanie mych skrzyń, albowiem Jelski postanowił wrócić już do Europy i ofiarował się zabrać moje kolekcje ze sobą. Odprawiwszy wraz z jego arrierami trzy paki, naładowane memi kolekcjami, mogłem spokojnie przedsięwziąć podróż do Ninabamby, pragnąc dopełnić tem eksplorację departamentu Cajamarca, jak to było w mojem założeniu. Grota Ninabamba słynną jest w północnem Peru ze swych ciekawych ptaków, zwanych tuszczakami (*Steatornis*). Ptak ten odkryty został przez Humboldta w grocie Caripe w Venezueli; następnie zna-

¹⁾ Guerrero, znaczy po hiszpańsku „wojownik“.

lezione został przez Gross'a w Kolumbii. W Peru ukazał pierwszy na niego Antoni Raimondi, który go znalazł w kilku odległych miejscowościach, a między niemi w Ninabambie. Pragnąłem zdobyć tego ptaka, gdyż zachodziło pytanie, czy przy bliższem porównaniu nie okaże się on nowym gatunkiem, co się w następstwie potwierdziło.

Ninabamba leży w dolinie rzeki Chancay, jednej z dwu rzek tworzących znaczną bardzo Rio de Lambayeque, znaczy się w systemie Oceanu Spokojnego (na zachodnim skłonie Kordyljerów). Jest to hacienda należąca do rodziny Vargas, z której pochodzi ksiądz Vargas, dobrze mi znany z Cutervo. On to namówił mnie, abym z nim razem do Ninabamba wyruszył, na co się też chętnie zgodziłem.

W końcu czerwca 1879 wyruszyliśmy we cztery, to jest ks. Vargas, jego brat, ja i służący mój, Fidel, wszyscy na doskonałych wierzchowcach, rokujących, że podróż szybko odbędziemy. Jakoż pierwszego dnia, wyjechawszy po południu, stanęliśmy w miasteczku Cochabamba, w dolinie rzeki Chota, nieco powyżej Callacata. Następnego dnia wyjechaliliśmy wczesnym rankiem, albowiem czekała nas długa i uciążliwa dniówka, obliczana przez miejscowych na 10 leguas, według jednak mego przybliżonego rachunku wynosząca jakie 12 leguas czyli 60 wiorst, co jest w górach odległością bardzo znaczną, biorąc na uwagę ciągle drapanie się w górę lub spuszczenie po stromych, uciążliwych spadkach. Już o zmierzchu przybyliśmy do haciendy, witani biciem w dzwony w miejscowej kapliczce na cześć towarzysza mego, księdza Vargas'a.

Na spotkanie nasze wyszedł stary p. Anacleto Vargas, jego żona i 3 córki, witając nas i zapraszając z prawdziwie staro-kastylską gościnnością. Don Anacleto był to staruszek lat 80 i kilka, zatem pamiętający jeszcze czasy panowania Hiszpanów. Spotkałem w nim jeden z tych rzadkich już dzisiaj w Peru typów arystokracji hiszpańskiej pełnej rycerskiej galanterji. Stary był gadulski, mile też mi płynęły wieczory w tym gościnnym domu, gdzie wszyscy starali mi się usłużyć i dogodzić. Cała też rodzina siłała się na to, aby mi dopomóc do zwiedzenia sławnej groty, w której poraz pierwszy miałem zobaczyć tego ciekawego ptaka, nazwanego tłuszczakiem, lub po wenezuelsku „guacharo“ (*Steatornis*); obserwacje moje wszelako, uczyniono w Ninabamba nad tym ptakiem dały rezultat bardzo ograniczony. Łatwo to pojąć, wziąwszy na uwagę, że ptak ten jako nocny, w dzień kryje się w niedostępnych szparach, skąd wypłoszony, lata czas niejaki i krzyczy, co daje obserwatorowi możność poznania w części jego lotu i głosu. To jednak jest tylko małym szczegółem sposobu życia. Aby tłuszczaka poznać jako tako z jego obyczajowej strony, trzeba go śledzić w grocie i w lesie, a szczególnie w tym ostatnim, gdyż tu życie jego się przebudza; w grocie zaś *Steatornis* śpi. Dość jest więc skonstatować, że tłuszczak dzień spędza w grocie, że się tam łąże; postarać się widzieć jego gniazdo, jego jaja i kwestja z grota skończona. W lesie zaś ptak żyje porusza się; w lesie,

jak nie wątpię, parzy się. Ten więc, kto tłuszczaka w lesie obserwował, mógł bliżej poznać jego obyczaje. O ile wnosić mogę, żaden z naturalistów, którzy tego ciekawego ptaka badali na wolności, jak Humbold, Funk, Gross i Beuperthuy, nie widział go w lesie obserwacje ich ograniczyć się musiały do szczupłych, danych jakie w grocie zauważyć można. Dopiero podróż moja do Huayabamba, a mianowicie do Huambo, jaką w latach 1879/80 odbyłem, dała mi możliwość codziennego stykania się z tłuszczakami, w lesie mianowicie. Ważne obserwacje, jakie nad nimi, poczyniłem uzupełnić mogłem szczegółami dopatrzonemi na chowanym przezemnie egzemplarzu, co mi dało możliwość wyświetlenia kilku ciemnych punktów jego obyczajowej strony.

Rzeka Chancay, poniżej Rio de Lambayeque, w górnej swej części utworzoną jest przez dwa strumienie: Rio de Utiyacu lub de Chugur i Rio de Quilcate, stanowiąca główne rozgałęzienie. Przed złączeniem się obu rzek, Rio de Quilcate przyjmuje do siebie mały strumień zwany Rio de Santa Rosa i w niewielkiej odległości od haciendy wpada do podziemnego kanału zwanego w tem miejscu „El Tragadero“.

Na końcu tego suchego łożyska znajduje się grota Ninabamba, popolicie zwana „Ushku-pishku“¹⁾. Sama zaś rzeka przepłynąwszy około 3 kilometrów pod ziemią, wypływa na zewnątrz na terytorjum haciendy Samanca i zkad już przybiera nazwę Chancay.

Dwie drogi prowadzą do grotty, obie równie przykre. Albo się trzeba nadzwyczaj stromym, niemal prostopadłym spadkiem spuścić na dno wąwozu tuż u wejścia grotty, używając przytem całej zręczności, aby, obsunąwszy się, karku nie skrećić, albo znacznie powyżej dostawszy się na dno wąwozu, tymże do grotty się skierować. Tu jednak nagromadzona jest taka masa olbrzymich głazów kamiennych, że zaledwie z trudnością można się naprzód posuwać. Za to ciekawy i niezwykły widok czeka nas po zwalczeniu tych wszystkich przeszkód.

Wąwóz kończy się prostopadłą ścianą w której grota się znajduje. Dwie olbrzymie sale stanowią wejście do niej. Pierwsza z nich niegłęboka, lecz bardzo wysoka; druga, której dno znacznie niżej od pierwszej położone, liczyć może około 50 metrów długości i mniej więcej 10 metrów wysokości, a miejscami i więcej. W porze suchej temi dwoma salami płynie mały strumyk, spadając z pierwszej do drugiej dość wysoką kaskadą; w porze zaś dżdżystej, gdy się rzeka przelewa, wejście do grotty staje się niemożliwym, albowiem woda płynie całą szerokością wąwozu i oba wejścia do znacznej wysokości zalewa.

W drugiej z dwu sal grotta się rozgałęzia na kilka odnóg. W głębi na prawo od wejścia, czolgając się na brzuchu na przestrzeni 20 kroków wązkim przesmykiem dostajemy się do t. z. „Arenilla.“ Wiele osób niema odwagi do zwiedzenia tej części grotty i w samej rzeczy doznałem nadzwyczaj przykrego uczucia,

¹⁾ Uskhu (uszku) w języku „quichua“ znaczy dziura; (pishku)—ptak.

czołgając się przez ten niski kurytarz, gdym poczuł, że pleców moich dotyka skała. Świadomość, że dźwigamy niejako nad sobą całą górę, i że w razie potrzeby nie byłibyśmy w stanie podnieść się, czyni tę przeprawę w najwyższym stopniu nieprzyjemną. Sala, zwana „Arenilla“, równa się prawie drugiej z dwu sal wejściowych, a nazwa jej pochodzi od bardzo miękkiego piaseczku (żelazo magnetyczne). Sala ta zwęża się stopniowo i kończy się jeziorkiem, którego wielkości określić niepodobna z powodu ciemności i zakrętu, jaki grota w tem miejscu czyni. Miejscowi utrzymują, że w tem jeziorku znajdują się ryby. „Arenilla“ jest częścią grotu zupełnie ciemną, i tylko bardzo słaby, ledwo dostrzegalny promień dochodzi przez szparę, mającą ujście w głównej, czyli drugiej sali.

Drugie rozgałęzienie sali prowadzi do tak zwanego „El Coro (chór). Jest to długi, dość niski i wązki kurytarz, ciemny zupełnie i kończący się na ślepo. Osobne rozgałęzienie prowadzi z niego do szpary, którą gdzieś w głębi rzeka Quilcate płynie. Przebywszy szparę tę po dwóch zgnilych drągach, można śledzić grotę bez końca, przynajmniej nikt dotychczas wyjścia jej nie znalazł. Robiono wyprawy specjalne, zapędzono się bardzo daleko, końca wszelako nie zdołano dosięgnąć. Istnieje podanie, że grota kończy się otworem w lesie o 2 leguas od haciendy.

Wreszcie od samego wejścia do drugiej sali prowadzi pod górę bardzo wązki i ciasny kurytarz, który zakręcając się ciągle, kończy się jakby okienkiem, wychodzącym w górnej części tejże samej sali. W pierwszej połowie tej t. z. „Calle angosta“ (ulica wązka) trzeba się czołgać na czworakach: w drugiej stanąć można, lecz taki to wązki przesmyk, że bokiem iść trzeba. Wyszliśmy ztamtąd obłani potem.

Szeroki kurytarz, prowadzący do „El Coro“ zastany jest grubą warstwą piasku, i zawalony mnóstwem gałęzi i pni, które rzeka, wzbierając, przynosi. Sala zwana „Arenilla“ posiada również bardzo gruby pokład ziemi naniesionej. Wskazówki te mogą mieć znaczenie dla paleontologów, gdyż nie wątpię, że pokłady naniesione w „Arenilla“ zawierać mogą kości zwierząt przedpotopowych.

Drugie miejsce, znane mi, gdzie Steatornis'y siedlisko mają, jest Huayabamba, w departamencie Amazonas, położone na wschodnim pasmie Kordyljerów (w systemie rzeki Huallagi). Znane są tu trzy grot: jedna z nich, położona w dystrykcie Omia w miejscowości zwanej Yana-yacu; dwie inne leżące w dystrykcie Totorra zwą miejscowi „Caca-pishku“—jedną z nich „Cacapishku Viejo“ a drugą „Caca-pishku Nuevo“, gdyż przed niedawnym dopiero czasem odkryta została. Istnieje podanie oparte na jakimś starym dokumencie, że w miejscowości Caca-pishku istnieje aż siedm grot, odkryć ich jednak nie można, gdyż są położone wśród dziewiczego lasu. Jedną z nich (Caca-pishku Nuevo) dopiero przed niedawnym czasem odkrył przypadkiem niejaki Bartolo Trigoso. Pozostaje więc jeszcze pięć nieznanych.

Do groty Yana-yacu trzeba się spuszczać prostopadłym otworem na linie 12 sążni długiej. Grota owa ma złą famę, gdyż istnieje tradycja, że ktoś spuściwszy się do niej nie wyszedł więcej, a gdy następnie spuszczone się, aby go odszukać, znaleziono same kości.

Obserwowałem tłuszczaka (*Steatornis*) w grocie i w lesie, a chociaż obserwacje te robiłem w dwóch różnych miejscowościach, podam relację, jakgdybym badania me prowadził w jednym i tem samym miejscu.

Tłuszczaki trzymają się pni na niedostępnych występach lub w szparach grot; bywa jednak, że gdy w okolicy groty niema, przebywać mogą w głębokich i niedostępnych wąwozach. Gdy wejść do groty i krzyknąć lub strzelić, ptaki wylatują chmarnie z kryjówek swoich i poczynają latać pod sklepieniem jaskiń, wydając przeraźliwe krzyki. Wówczas można je strzelać, lecz jedynie na los szczęścia, gdyż światła tam zamało, aby mierzyć dokładnie. Tak np. moi strzelcy w Ninabamba na jakie 60 strzałów zabili tylko 11 ptaków. Gdy się je przez dłuższy czas płoszy, znużone, kryją się jeden za drugim do swych szpar, a wówczas możnaby nawet z dział strzelać, już się ich nie wypłoszy z ukrycia.

Czasami bardzo wczesnie opuszczają grotę: W Huambo niekiedy za dnia jeszcze prawie obserwowałem je na nieboskłonie, gdy rozpostarłszy szeroko skrzydła i ogon snują się po powietrzu. Niekiedy zachód jeszcze złoci odbłyskami słońca, zaledwie pierwsza gwiazda zamigocze na wschodzie, a już się ich mnóstwo kręci w powietrzu; wydawało mi się nieraz, jakby się za owadami uganiały. Innych znów dni ukazywały się dopiero, gdy się już ściemni zupełnie — może gdzieś zabałamuciły się po drodze.

Noc całą w lesie spędzają, a niekiedy, gdy je dzień złapie, śpią w lesie. Służący mój zastrzelił razu pewnego w dzień wysoko siedzącego na gałęzi, a następnie ja dwa spotkałem o godzinie 10-ej rano. Jeden z nich siedział nisko na pniu, a gdy za moim zbliżeniem zerwał się, krzycząc przeraźliwie, drugi niewiadomo zkąd za nim poleciał.

Lot ich przypomina lot lelków, często jednak gdy się w górze unoszą, pływają bez poruszenia skrzydeł. Chcąc się z góry w dół spuścić, zginają mocno skrzydła w pięściach, jak to czynią sokoły, gdy na zdobycz spadają. Pomimo olbrzymich stosunkowo skrzydeł nie robią niemi w locie najmniejszego szelestu. Często stałem pod drzewami nektandry, gdzie 8 do 10 tłuszczaków się unosiło, a szelest czyniły chyba, trzepiąc czasami skrzydłami po gałęziach.

Gdy się już ściemni nieco, tak około godziny pół do siódmej wieczorem, zbierają się licznie około drzew „iszpingu“ (*Nectandra*), którego owoce są dla nich ulubionym, a może nawet jedynym pokarmem. Humboldt wskazał tylko, że tłuszczaki żywią jakimiś ziarnami, które krajowcy wydobywają z ich żołądków i używają do leczenia feber. Pierwszy dopiero Raimondi, zwiedzivszy tę samą grotę Ninabamba, przekonał się, że owe ziarna

są po prostu owoce iszpingu, którego liczne gatunki, zwane „pucheri“, „iszpingu“ i t. p., znane są dobrze Peruwjanom i używane przez nich do leczenia zimnic. Nektandra jest to drzewo należące do rodziny laurowych. Owoce tych drzew zwieszają się na końcach najcieńszych gałązek i jedynie w locie ptak je dostać może. Tak też czynią tłuszczaki. Dla zerwania jagody ptak chwilę zatrzymuje się w powietrzu, poruszając dość szybko skrzydłami, przyczem ogon jego odbywa poruszenia z góry na dół podobnie jak to czynią kolibry. Następnie od tego drzewa opisując łuk, przelatuje do innego i tak nieustannie lata, nie przysiadając na chwilę. Niekiedy tylko, gdy jagodę ma zerwać, uczepli się gałązek nogami, nie przestając jednak trzepać skrzydłami.

Tu dopiero zrozumiałem, do czego im służy dziób silny, haczykowaty, długie skrzydła i długi, rynienkowato złożony ogon. Silny dziób (a że silny mogłem się przekonać, gdy mnie razu pewnego ptak raniony za palec chwycił) służy im do szybkiego zerwania dość mocno przyczepionej jagody. Długie skrzydła pozwalają szybować wytrwale i zatrzymywać się w powietrzu dla zerwania owoców; do tego też dopomaga długi ogon, którym z góry na dół uderzają. Dla czego zaś rynienkowato złożone pióra są dla ptaka korzystniejszymi, łatwo pojąć. Przy poruszeniu ogona z góry na dół i odwrotnie, tylko pierwsze poruszenia sprzyjają podtrzymania się ptaka w powietrzu, gdy przeciwnie ruch z dołu do góry nadaje ciału impuls ku ziemi. Aby więc ten niekorzystny ruch choć w części zneutralizować. Przyroda dała tłuszczakom ogon rynienkowaty, który krajcem pruje powietrze i znosi w części jego opór.

Gdy tłuszczaki żołądek swój na nektandrach napełnią (a napełnić go mogą w ciągu pół godziny i pręcej), odbywają jakby gonitwy. Obserwowałem to właśnie w porze legowej (w miesiącu lutym i marcu). Krzyczą wówczas przeraźliwie, krakają raczej. Głos ich jakby *kry-kry-kry*—jest bardzo mocny i nieprzyjemny. Tak się nagoniwszy i nakrzyczawszy, znów się w milczeniu do drzew zbliżają i tylko niekiedy słychać szelest od uderzeń skrzydeł o gałęzie.

Powiedziałem, że wyłącznem bodaj pożywieniem tłuszczaka są owoce różnych gatunków nektandry. W Ninabamba z pestek zebranych w grocie naliczyłem ich trzy a może nawet cztery gatunki. W Huambo również żywią się kilkoma gatunkami, zawsze to jednak są owoce iszpingu (*Nectandra*). Raz tylko znalazłem w żołądku zabitego okazu inną jagodę, której określić nie mogłem. Jagody iszpingu są to pestki pokryte bardzo cienką warstwą mięszu, konsystencji maselkowej, który z kolei pokrywa cienką skórka. Dość rozgnieść ją nieco, a cała pestka się ogalaca. Niektóre z tych owoców posiadają wielkość jaj gołębih; inne są wielkości małych czarnych wisien. Jak się mogłem przekonać, tych ostatnich dość jest 14 do napełniania żołądka ptaka. Pestkę jednak ptak wyrzuca, a mięszu tych 14 jagód nie dość do całodziennego wyżywienia ptaka. W jaki więc sposób ptak pozbywa się

niepotrzebnego balastu, aby żołądek na nowo napelnić? Kwestję tę udało mi się rozstrzygnąć.

Funk utrzymuje, że ptaki pestkę nawet trawia; Gross zbija to, twierdząc, że pestka wychodzi wraz z kalem. Że pierwszy z tych dwu badaczy nie ma racji, przekonałem się już był w Ninabambie, gdzie mnóstwo pestek zawała jaskinię, a niektóre nawet kielkują. Że Gross również się myli przekonałem się w Humambo na chowanym okazie. Historję tego ptaka podaję obecnie, gdyż poczyniłem na nim ważne spostrzeżenia.

Tłuszczaka tego wyjęto z gniazda w dniu 16 marca 1880 roku, a przyniesiono mi dopiero 18-go tegoż miesiąca; dwa więc dni pozbawiony był pokarmu. Było to stworzenie nie tak szpetne, jak sobie wyobrażałem; całe ciało pokryte było ciemno-popielatym puchem, tylko pióra na głowie, barkówki i pokrywy skrzydłowe już się puszczały. Nogi na całej długości miał obnażone; dzióbnie posiadał jeszcze zwykłej czystej czekoladowej barwy. Szczeciny koło dzioba, chociaż jeszcze w sypulach, były już prawie zupełnie rozwinięte. Brzuch mu się zwieszał i ciążył widocznie, gdyż jest to właśnie rezerwuar owego „aceite“ (oliwy), o którym mówi Humboldt. Te młode mają być wysmienite do jedzenia i przyniesiono mi jednego na spróbowanie. Ponieważ jednak wyglądał zdrowo i rzeźko, postanowiłem go chować, słabą jednak mając nadzieję, aby żył, gdyż znałem niefortunne w tym kierunku próby, czynione przez Humboldt'a, Gross'a i nieco szczęśliwsze — przez Beuperthuy'a. Jakoż blisko 6 tygodniowe obserwacje, jakie na nim dokonałem okazały się tak ważnemi, że mi się sownie oplacił kłopot, spowodowany jego chowaniem.

Na ziemi jest to stworzenie bardzo niezdarne; wyciągnawszy szyję poziomo, ciało również poziomo trzymając, posuwa się z wolna z napół otwartemi skrzydłami, któremi podiera się, tracąc równowagę. Lada nierówność, lada korzonek mu zawadza. Kroki jego posiadają $2\frac{1}{2}$ do 5 centymetrów długości. Chodząc tak z szyją wyciągniętą, robi wrażenie, jakby coś wietrzył. Zwykle drodze swej nadaje kierunek skośny, jak to słusznie Beuperthuy zauważył.

Trzymał się zwykle w kacie, śpiąc całemi godzinami. Skrzydła wówczas opuszczał bezwładnie i dziobem niemal w ziemi utykał. Od czasu do czasu budził się, gdy go jaki loskot dochodził; zaciekawiony otwierał zaspiane oczy, wyciągał szyję i kręcił głową na jedną i drugą stronę lub opisywał nią elipsę. W końcu opatrzywszy się, że nic ważnego niema, przeciągał kolejno skrzydła, nie trzymając jednak pod wyciągniętem skrzydłem wyciągniętej nogi, jak to czynią inne ptaki, gdyż wtedy straciłby równowagę: To znów naprzód zadarłszy skrzydła, przeciągał się. Często czyścił się i muskał, gdyż lubił ochędóstwo; puch na piersiach i plecach dziobem rozgarniał i wyrosłe już piórka przeglądał.

W kłopot mnie zrazu prawiało, czem go karmić będę i w końcu za przykładem Beuperthuy'a zacząłem mu dawać banany dojrzałe tak drobno posiekane, że stanowiły rodzaj papki. Ten jednak rodzaj pożywienia wydał mi się niestosownym, gdyż ani kon-

systemacją, ani składem chemicznym nie odpowiadał zwykłemu tłuszczu pokarmowi steatornisia. Domieszywałem także do bananów ryż rozgotowany—lecz i ta stawa była nieodpowiednią. Wydawało mi się, że koniecznie trzeba domieszać jakiś pierwiastek oleisty i w końcu zacząłem dawać memu wychowankowi papkę z bananów i tutejszej uprawnej rośliny zwanej „mani“. Jest to rodzaj owocu bardzo tłusty i pożywny. Zwykle przy karmieniu musiałem mu dziób otwierać, czasami jednak brał pokarm z ręki po omacku.

Dnia 4 kwietnia w wolu zabitej penelopy znalazłem 14 świeżych jagód nektandry. Postanowiłem zrobić próbę i dałem je tłuszczakowi; wszyskie 14 wziął mi z ręki, kwiliąc żałośnie, tak był widać spragniony swego naturalnego pokarmu. Każdą jagodę żuł najprzód przez chwilkę, poczem ją polykał. Była wtedy godzina 1 minut 15. Pozostawiłem ptaka w spokoju i odszedłem. W pół godziny potem, to jest o 1 godz. 15 minut znalazłem *przed* ptakiem trzy zupełnie gołe pestki nektandry. Wydało mi się, że ptak przez te $\frac{1}{2}$ godziny nie zmienił pozycji, a jednak pestki leżały na ziemi *przed* nim. Przyszło mi na myśl, że może ptak wymiotuje ogołocone z mięszu pestki. Zasiadłem tedy przed nim, pragnąc się doczekać tej operacji. Jakoż w chwilę potem zauważyłem, jak zwolna dziób otworzył i nagle znalazła się w nim jedna jagoda, niezupełnie jednak z mięsa ogołocoła: pożył ją dziobem i powtórnie połknął. W kilka minut powtórzyło się to z pestką ogołocołą z mięszu: ptak pożył ją chwilkę i wyrzucił z dzioba. W ciągu pół godziny wyrzucił w ten sposób wszystkie 14 pestek. Oczy mi się wtedy otworzyły.

Jak to powiedziałem owoce nektandry są to pestki pokryte bardzo cienką warstwą mięszu, konsystencji maselkowatej, z cienką czarną skórką. Dość jest nieco rozgnieść tę skórkę a owoc z łatwością obłazi. Tłuszczak napełnia żołądek owocami, żując każdy z nich w dziobie dla rozgniecenia skórki. Poczem w żołądku (zapewne przez tarcie jednego owocu o drugi, spowodowane ruchem bardzo rozwiniętych mięśni żołądkowych) owoce obłazą z mięszu i pestka jako zbyt ciężki balast przez gębę wychodzi. Odbywa się to wyrzucanie pestek bez najmniejszego wysiłku ze strony ptaka; nawet nie zdradza się wyciągnięciem szyi. Zwolna i kolejno podnoszą się pióra na gardzieli, zwolna dziób się otwiera i pojawia się pestka na podobieństwo kulki magicznej. Jeżeli na pestce pozostało trochę mięsa, ptak ją powtórnie żuje i polyka.

Następnego dnia poszukałem owoców dojrzałych, jakie pod drzewami nektandry się znajdują, chciałem się bowiem przekonać, wiele pestek jest w stanie ptak jednorazowo połknąć: zjadł ich 14, więcej nie chciał. W pół godziny potem wyrzucił pierwszą pestkę, a jeszcze w pół godziny ostatnią. Tym sposobem w godzinę steatornis może na nowo swój żołądek napełnić. U starych wyrzucanie pestek musi się odbywać podczas lotu, nie widziałem bowiem przysiadających ptaków podczas ich nocnych ekskursji.

Czy Steatornis żywi się wyłącznie jagodami nektandry powiedzieć napewno nie mogę; w każdym razie jest to jego główne

pożywienie. Zdaje mi się jednak, że niekiedy motyle i inne owady łowi, pocóżby bowiem tak szybował w powietrzu, zanim na drzewa zapadnie. Staralem się sprawdzić tę kwestję na zabitych o zmierzchu ptakach: z 8 okazów—pięć miało tylko same świeżutko połknięte jagody nektandry, trzy zaś miały jeszcze żołądki zupełnie puste. Chowany przezemnie okaz na widok motyla ożywił się bardzo, jakby usiłując go złowić; dwa nawet zjadł, zwykle jednak z dzioba wyrzucał. W tym więc względzie nic pewnego powiedzieć nie można.

Szczegóły dotyczące lęzenia zebrałem od osób zasługujących na wiarę, mogę więc je podać z wszelką gwarancją. Tluszczak w Peru gnieździ się w miesiącach marcu i kwietniu; w Ninabamba bodaj, że miesiąc maj jest porą największego gnieźdzenia, które prawdopodobnie przypadać zawsze musi dla danej okolicy z chwilą największej obfitości owoców nektandry, co się zmienia w miarę większej lub mniejszej wysokości nad poziomem morza. Gniazdo, jak utrzymują miejscowi, robi z własnego kału¹⁾, nie wyściełając go niczem wewnątrz. Łąg składa się z dwu, rzadziej z jednego lub z trzech jaj białych, wielkości jaja grzywacza.

Z miejscowości znanych mi na terytorjum Peru, gdzie *steatornis* przebywa, mogę zacytować następujące: Tingo-Maria (departament Huanuco) według Raimondiego; Cajamarca? (Jelski); Puma-marca (dep. Junin—według Jelskiego), Ninabamba (dep. Cajamarca); Querocoto czy Querocotillo (dep. Cajamarca, prow. Chota) i dolina Huayabamba (dep. Amazonas), choć nie wątpię, że z czasem liczba tych punktów znacznie pomnożoną zostanie. Oprócz tego znalazłem *steatornisa* w Ekwadorze, w miejscowości zwanej „El Mayorazgo”—na skłoniu wulkanu Tunguragua.

Gatunek o którym mowa należy do odmiany *Steatornis peruvianus* i opisany został przez ś. p. Taczanowskiego. Różni się od gatunku wenezuelskiego wielkością i niektórymi szczegółami ubarwienia.

Po kilkodniowym pobycie w Ninabamba ruszyliśmy w odwrotną drogę w temże samem towarzystwie co i przy wyjeździe z Cutervo. Pierwszego dnia stanęliśmy w Cochabamba, przebywszy w jednym miejscu kawałek drogi, straszniejszy jeszcze chyba od opisanego w poprzedzającym rozdziale „Paso del Credo”. Wązka drożyna czepia się po prostopadłej ścianie, mając z jednej strony przepaść jakich 1000', a z drugiej—pionową skałę. Niebezpieczeństwo przebycia tego fatalnego przesmyku podnosi jeszcze ta okoliczność, że gładka jak stół droga posiada lekkie pochylenie ku przepaści. Zwykle podróżni omijają to miejsce, nakładając nieco drogi; myśmy jednak przez samą ciekawość tędy się skierowali w naszej powrotnej drodze. Przenocowawszy w Cochabambie, byliśmy dnia następnego dość wcześnie w Cutervo.

Tutaj zbliżam się do jednej z najsmutniejszych chwil mego

¹⁾ Ztąd też pochodzi nazwa „caća-pishku”, nadawana przez mieszkańców dep. Amazonas.

opowiadania. Towarzysz mych czteroletnich wędrówek, najlepszy towarzysz i najzaciejszy człowiek, Konstanty Jelski, ulegając namowom rodziny, postanowił wrócić do kraju. Już prawie cały jego bagaż był wysłany na Pomorze i on sam szykował się wkrótce do odjazdu. Chociaż od dłuższego czasu oswajałem się z myślą rozstania się z nim, nie mogłem jednak przewyciężyć głębokiego smutku, jaki we mnie ta okoliczność budziła. Przywykliśmy już do siebie i niemalą osłodą w naszym tułaczem życiu była obecność jednego dla drugiego, która dawała możliwość komunikowania sobie wzajemnie naszych wrażeń, naszych radości i smutków. Wrazie choroby przyjemnie było pomyśleć sobie, że się ma obok siebie kogoś, kto z prawdziwie ojcowską pieczołowitością czuwa nad nami.

Przyszedł wreszcie ten dzień smutny. Uściskaliśmy się, nie wiedząc, czy Bóg pozwoli nam jeszcze ujrzeć się na tej ziemi. Jelski ruszył, a ja wybiegłem na ulicę i długom patrzył jeszcze, aż póki mi z oczu nie znikł. „Raz, dwa, raz, dwa“, liczyłem jego kroki, które z każdą chwilą powiększały przestrzeń między nami; ta przestrzeń za miesiąc, za dwa zamieni się na tysiące mil, które nam się nieskończonością wydają...

Wróciłem do izby, gdzie na mnie wionął chłód samotności; dreszcz mnie przeszedł i boleść serce ścisnęła. Uczulem się w tej chwili tak opuszczonym, że chciałem wybiec, dogonić mego towarzysza i albo go zatrzymać albo z nim razem ruszyć do Europy. Lecz mi się wstyd tej słabości zrobiło; zostałem sam, to prawda, lecz otoczony ludźmi życzliwymi, których wszędzie znaleźć można. „Odwagi, — mówiłem sobie — tylko te pierwsze chwile przemóży, a potem przywykniesz do samotności”.

Rzuciłem się w wir przygotowań do mej nowej podróży, którą na daleki wschód przedsiębrałem.

Trzeba było szybko pakować rzeczy, gdyż nadchodził jarmark 15 stycznia, na którym łatwo mogłem znaleźć sposobność przewiezienia mych rzeczy do Chachapoyas, gdzie mi obrat pierwszy etap mej nowej wyprawy.

W tym nawale pracy i gorączkowych zajęć, zapomniałem wkrótce o mem opuszczeniu, a chociaż niekiedy przyszedł mi na myśl mój poczciwy towarzysz już myśl ta nie była mi tak przykłą, jak w pierwszej chwili.

ROZDZIAŁ V.

Chachapoyas. Odkrycie kolibra *Loddigesia mirabilis*. Tamiapampa.

Nadszedł jarmark w Cutervo, a z nim zwykły liczny zjazd ludu z bliższych i dalszych okolic Peru. Skutki jednak wojny i ciężkiego przesilenia finansowego uczuć się dały w sposób dotkliwy, gdyż dla braku srebrnej monety niepodobna było odbywać zwykłych transakcji, na czem najwięcej potracili hurtowi kupcy z Pomorza. Jeden z nich, p. Munoz z Guadalupe stracił około 2000 soles, jakie za transport swych towarów tam i z powrotem zapłacić musiał, gdyż nic prawie przez ciąg jarmarku nie sprzedał. W ostatnich dniach przyszło wprost do zamiennego handlu, to jest, że za towary europejskie płacono tytuniem, bydłem rogatem, szalami lub innymi miejscowymi produktami. Najwięcej stosunkowo zarobili Chińczycy, którzy z Pomorza ściągają w charakterze traktjerników, gdyż każdy jeść musiał i za jedzenie płacił brzęcząca moneta.

Na jarmarku poznałem kilku mieszkańców miasta Chachapoyas („los chachas” — jak ich tu nazywają), przy pomocy których udało mi się wynająć cztery muły. Na nich wysłałem naprzód cztery moje ładunki, zatrzymując jeden z ważniejszych rzeczami przy sobie. Dzień wyjazdu naznaczyliśmy na 20 sierpnia.

Towarzystwo nasze było dość liczne i wogóle bardzo sympatyczne. Na pierwszym miejscu postawić muszę p. Euzebjusza Torrejon'a, z którego rodziną w Chachapoyas związałem się następnie węzłem serdecznej przyjaźni. Był to człowiek lat 50 i kilku, silny, rzeźki, z brodą ogoloną na sposób niemiecki (bez wąsów); charakteru był łagodnego, życzliwy i uczynny; odznaczał się też wielką uczynnością. Za nim idzie don Florentino Florida, właściciel hacjendy Coccocho, po drugiej stronie Maranonu leżącej — wysoki mężczyzna lat 40, z piękną brodą i sumiastemi wąsami. Towarzyszyła mu młoda osoba lat 25, niejaka dona Eulogia Pizarro, córka jednej z najważniejszych osobistości w Chachapoyas.

Jakkolwiek zamężna, upodobała sobie widocznie piękną brodę i piękne wąsy p. Floridy, z którym żyła już od dłuższego czasu, co w Peru nie jest rzeczą gorsząca, tak się często przytrafia. To-

warzystwo nasze kompletowało dwu młodych ludzi, kuzynów księdza z Ocalli po drodze do Chachapoyas, także dzielnych i sympatycznych chłopaków, których następnie spotykałem w dolinie Huayabamba, gdzie ich rodzina zamieszkuje.

Rozstanie się z rodziną Contreras'ów było mi bardzo przykrem. Zacni ci ludzie, a szczególnie don Gregorio, żona jego dona Pola i brat, don Santiago, pokochali mnie jak członka swej rodziny i żegnali ze smutkiem, wiedząc, że się już nigdy nie zobaczymy. Wywdzięczając się im za ich szlachetne serca uprosiłem listownie p. Taczanowskiego, aby na cześć don Gregoria nazwał którego ptaka jego nazwiskiem, co też uczynił, nadając pewnemu ptakowi, odkrytemu przezemnie w Tambillo, nazwę *Cyclorhis contrerasi*.

Liczne grono jeźdźców, utworzone z życzliwych mi mieszkańców Cutervo, odprowadziło nas aż o 1 legua od miasta. Zwyczaj chce, aby w takim razie zaopatrzyć się w parę butelek siwuchy, której celem jest łagodzić smutek, spowodowany rozstaniem. Kilkakrotnie przystawaliśmy, kieliszek obchodził kolejkę i ruszaliśmy dalej. W końcu nastąpiły pożegnania, były tam i lzy podobno, do których kieliszek znakomicie pomaga. Wreszcie zostało tylko nasze towarzystwo, kierujące się do Socota, skąd skręciliśmy na wschód drogą zupełnie mi nieznaną. Ulewny deszcz skłonił nas do zanocowania w osadzie Guinamayo, gdzieśmy rozłożyli obóz w szopie jednego z kolonistów, a konie i muły puściliśmy na pastwisko.

W chwili gdyśmy zajęci byli spożywaniem naszych podróżnych zapasów, tak koło godziny 8-ej wieczorem, przyprowadzono jakiegoś obszarpańca, którego nikt prawie nie znał. Był on tak pijany, że się ledwie na nogach mógł utrzymać i pod wpływem alkoholu wyśpiewał nam, że to ow sławny bandyta, Valerio Torres, który się na nas odgrażał, gdyśmy jeszcze w Tambillo mieszkali, wysłał go był na zwiady dla zbadania, gdzie mój doskonały muł był przywiązany, gdyż zamiarem tego łotra było mi go ukraść tejże nocy. Szpieg jednak upił się i dzięki temu ocalałem doskonale zwierzę, które mi się później wysłużyło przez resztę mych podróży. Lotra tego związaliśmy i trzymaliśmy go tak aż do następnego rana w obawie, aby nie otrzeźwiał; muła zaś mego kazalem sprowadzić i przywiązać tuż przy samej szopie, gdzie mu paszy na całą noc dano.

Nazajutrz skoro świt już siodłaliśmy konie, gdyż czekała nas długa i uciążliwa dniówka. Droga stale prowadzi lewą stroną doliny rzeki Socota, którą porzuciliśmy po przejechaniu osady Cipian, skąd zaczęliśmy się pięć ku górze aż do osady Tambillo,¹⁾—liczącej około 7000 absolutnego wzniesienia. Ztąd znów spadek doprowadził nas do małej platformy, na której rozbiliśmy obóz już

¹⁾ Nie należy mieszać z osadą Tambillo, gdzieśmy z Jelskim rok czasu spędzili.

o zachodzie słońca, zrobiwszy dnia tego przynajmniej 10 leguas (około 50 wiorst.)

Ztąd widać już w dole sławny pasaż, zwany przez miejscowych „Bajada de la Culebrilla“ (od wyrazu „culebra” — wąż). Zrazu droga prowadzi tak wązkim grzbietem, że z wysokości, na jakiej się znajdowaliśmy, mieliśmy wrażenie, że trzeba będzie jechać po ostrzu noża. Zbliża jednak część ta nie wydaje się tak straszną, gdyż droga posiada kilka metrów szerokości: lecz za to po obu stronach zieje straszna przepaść. Przebywszy to ostrze noża, dojeżdża się do miejsca, gdzie ścieżka wężykiem zaczyna się wic po prostopadłej niemal ścianie; lada więc fałszywe stąpienie muła może spowodować jego upadek z wysokości kilkuset stóp. Zabiło się tu już niemało zwierząt, a i między ludźmi „La Culebrilla” liczy nie jedną ofiarę. Gdyśmy dojechali do tego fatalnego miejsca, wszyscy bez wyjątku zsiadliśmy z naszych wierzchowców, albowiem byłoby szaleństwem ryzykować przebycie tego kawałka na grzbiecie muła. Wkrótce też stanęliśmy szczęśliwie na dnie wąwozu, którym płynie dość duża rzeka, oznaczona zwykle na mapach peruwjańskich pod nazwą Rio de Llaucan;¹⁾ tu jednak popolicie nosi nazwę Rio de Sillyacu. Most na tej rzece, który nam przebyć należało, wznosi się nad nią przynajmniej na 2 lub 3 piętra wysokości i posiada długość 18 kroków i szerokość jednego metra, co przy zupełnym braku poręczy sprawia dla osób nerwowych nadwyczał przykre wrażenie, gdy w dodatku jeszcze cały most przy tem kołysze się alarmująco. Towarzyszkę naszą przeprowadzono, gdyż zachodziła obawa, że, dostawszy zawrotu głowy, spaść łatwo w przepaść mogła.

Rio de Sillyacu mierzy w tem miejscu ledwie 2000 stóp n. p. m., w skutek czego roślinność tu przybiera ten sam charakter, co w dolinie Maranonu, a gorąco jest tu nieznośne. Zaczawszy od mostu na tej rzece droga znów się pnie ku górze, aż do samego miasteczka Pion, liczącego 6000' absolutnego wzniesienia. Stanęliśmy tu dość wcześniej bo o godzinie 4 ej po południu i spiesząc trochę dnia tego mogliśmy jeszcze stanąć u przeprawy nad Maranonem. Lecz w Pion trafiliśmy na święto patrona i proboszcz miejscowy, ks. Vargas, znany nam już z poprzedniego rozdziału, ani słyszeć nie chciał o naszym wyjeździe, zapraszając gościnnie do swego domu. Rozsiadaliśmy więc konie nasze i muły, a zabezpieczywszy im trudną do dostania paszę, wzięliśmy udział w ogólnej zabawie i nawet poświęciliśmy czas jakiś płasom, które oehocz prowadzono przez noc całą. My jednak znużeni blisko 3 dniową podróżą udaliśmy się wkrótce na spoczynek i pomimo hałasu muzyki i silnych ataków kleszczczy zasnęliśmy twardo.

Noc ta dała mi się we znaki. Na drugi dzień ja i mój chłopak obudziliśmy się tak pocięci przez te straszne kleszcze, żeśmy obaj dostali silnej gorączki, a ciało mieliśmy jakby połamane. Mimo to trzeba było dalej w podróż ruszać, gdyż dzieliła nas jesz-

¹⁾ Bieŕze poiczątek w bliskości haciendy Llaucan na wyżynach Cajamarca

cze znaczna odległość od haciendy Coccocho a trzeba było jeszcze liczyć długą stratę czasu na niebezpieczną przeprawę przez Maranon. Wcześniej też, zjadłszy śniadanie puściliśmy się w dalszą drogę.

Deszcz kropił i niebo było zachmurzone; lecz gdyśmy dojechali do ostatniego grzbietu, z kąd się już spadek do doliny Maranońskiej zaczyna, niebo zaczęło się wypogadzać i wkrótce skwarne słońce zabłysło. Z tego miejsca prowadzi już ciągły spadek aż do samego portu Pion¹⁾ nad Maranonem. Spadek ten na rozciągłość mierzy 2 leguas, a w pionowym kierunku daje różnicę w poziomach blisko 4500'. Fatalna to była dla mnie przeprawa na tej strasznej spiekocie słonecznej, gdyż miałem cały organizm rozstrojony gorączką, jaką mi przekłete kleszcze sprowadziły. O godzinie 10-ej stanęliśmy w porcie Pion.

Przeprawa ta słusznie cieszy się jaknajgorszą sławą, gdyż Maranon pochłonął w tem miejscu wiele ofiar. Rzeka płynie tu korytem ścieśnionem przez ściany skaliste, posiadając szybkość bardzo znaczną. Piasek pobraża po obu stronach rozciągając się na bardzo małych przestrzeniach, zdarza się więc bardzo często, że gdy wiosłarze nie zdążą się przeprowić dość szybko przez rzekę, omijają niskie pobraża i prąd ich znosi tam, gdzie prostopadła skała uniemożliwia wylądowanie. Tak pewnego razu jakaś rodzina przeprowiając się na tratwie przez Maranon w tem właśnie miejscu, zanieśiona została przez silny prąd wdół rzeki i dopiero wyratowano ją w Cumba. Tratwy używane do przeprowy są zrobione z bardzo lekkiego drzewa „palo de balza” (*Ochroma piscatoria*) i mierzą około 5 metrów długości przy 12-metrowej szerokości. Dwu lub trzech wiosłarzy służy do przeprowy.

Myśmy się przeprowili w najpomyślniejszej porze roku, to jest podczas najniższych wód. Najniebezpieczniej jest przeprowiać się podczas silnych wezbrań, gdyż wtedy prąd rzeki jest szalenie szybki, a nadto olbrzymi gład, znajdujący się po prawej stronie rzeki, zakryty zostaje przez nurty rzeki, powodując częste rozbicia się tratw. Niebezpieczeństwo przeprowy powiększa jeszcze ta, okoliczność, że gdy w innych portach są na zawołanie fachowi wiosłarze („balzeros”), w Pion obsługują tratwy wszyscy bez wyjątku mieszkańcy, trzymając się stałej kolej; można więc trafić na nieudolnych ludzi, którzy łatwo spowodować mogą katastrofę.

Do przeprowy przystąpiliśmy z pewnem namaszczeniem, jakie w nas niepewność położenia budziła. Za każdym obrotem tratwa mogła brać zaledwie po 2 ludzi i po 2 ładunki (nie licząc wiosłarzy); cała więc operacja wraz z przeprowieniem wpraw koni i mułów zajęła nam pełne 2 godziny czasu. Ja tymczasem rozciągną-

¹⁾ Portami w tej części Peru nazywają się wszelkie punkta nad Maranonem, gdzie tylko są tratwy do przeprowy. Najważniejsze porty są następujące: Pion po drodze z Cutervo do Chachapoyas; Balzas po drodze z Cajamarca do Chachapoyas; Cumba po drodze z Cutervo do Bagua-Grande i Bellavista po drodze z Huancabamba do Bagua Grande. Najgorszy i najniebezpieczniejszy z nich wszystkich jest Pion.

lem się na ziemi, śledząc z ciekawością i pewnym niepokojem za obrotami tratwy. W chwili gdy się przepawiła dona Eulogja, towarzysza Floridy, o mało, że nie nastąpiła katastrofa. Biednej kobiecie się zawróciło się w głowie, krzyknęła więc przeraźliwie i rzuciła się naprzód jakby padając do rzeki. Szczęściem dla niej płynący z nią młody człowiek z Ocalli chwycił ją silnie oburącz i w porę przytrzymał. Wskutek gwałtownych ruchów tratwa zaczęła się tak silnie kołysać, że niewiele brakowało, aby pasażerowie wraz z ładunkiem nie wpadli do wody.

Ja się przepawiłem ostatni. Tak już przywykłem był w Tumbesie do przepraw wodnych, że na mnie obecna nie robiła żadnego wrażenia. Gdyśmy się już wszyscy znaleźli szczęśliwie na drugim brzegu, arrierzy najuczuli muły, myśmy nasze wierzchowce posiadłali i ruszyliśmy w drogę, pnąc się teraz ciągle w górę aż do haciendy Coccocho, gdzieśmy około pół do siódmej wieczorem stanęli.

Muły pod mój ładunek były wynajęte tylko do tego miejsca, trzeba więc było pomyśleć o nowych arrierach. W tym celu zatrzymałem się w gościnnym domu Floridy, gdzie spędziłem całych dziesięć dni poświęcając czas ten na ekskursje w okolicy i na preparationie zabitych ptaków.

Hacienda Coccocho leży w dolinie rzeki Sesuya i liczy około 5700' absolutnego wzniesienia, co odpowiada prawie zupełnie wysokości badanego przez nas Tambillo po drugiej stronie Maranonu. Mimo to lasy otaczające Coccocho bardzo się różnią od lasów tambillańskich, a głównie uderza w nich brak prawie zupełny palemki „sada”, która tak charakteryzuje wogóle lasy prowincji Jaen. Zależy też i pewna różnica w awifaunie obu okolic, a mianowicie, że w lasach Coccocho występują niektóre formy właściwie wschodniemu stokowi Amazońskiego pasma Kordyljerów, jak np. wielka leśna kuropatwa (*Tinamus*), dalej skalikórek (*Rupicola peruviana*), pieprzójady (*Aulacorampus*) i niektóre inne gatunki. Tu też po raz pierwszy w mem życiu spotkałem się z gatunkiem małpy nocej (*Nyctipithecus*), której lasy Jaenkie nie posiadają w swej faunie. Okoliczność ta zasługuje na uwagę tembardziej, że małpeczka ta spuszcza się do samego brzegu Maranonu, zasiedlając wszelako tylko prawą stronę doliny tej rzeki, gdy od strony Belavista i Guajango nikt jej nigdy nie spotkał. Wskazuje to, że tak stosunkowo nieznaczna rzeka jak Maranon, mierząca w miejscu tem około 100 metrów, stanowi nieprzebytą przeszkodę dla tych zwierzątek.

Jedną z mych wycieczek odbyłem w towarzystwie mego Fidela i dwu myśliwych miejscowych, którzy mi za przewodników służyli. Celem naszej wyprawy były skalikurki, piękne ptaki wielkości gołębia, o pierzu pysznego pomarańczowego koloru i czarnych skrzydłach. Zwa je krajowcy „tungi” lub „cuchi-pishku” (ptak-świnia). Zapusciliśmy się w głąb lasu, gdyż ptak ten jest dość lękliwy i unika sąsiedztwa ludzi. Błądziliśmy w lesie całe popołudnie, lecz upragnionych ptaków nie spotkaliśmy. Za to mo-

głem spróbować doskonałego miodu, jakie tamtejsze dzikie pszczoły z rodzaju *Melipona* wyrabiają. Jeden z mych przewodników dostrzegł rój w dziupli drzewa, otwór jednak był na znacznej wysokości, należało więc drzewo ściąć. Ponieważ nie było bardzo grube, ścieliśmy go przy pomocy naszych „machetes”, lecz drzewo padając zawadziło o gałęzie sąsiednich drzew i zawisło w pochylonym położeniu. Wówczas jeden z mych ludzi wlaź na nie, otwór rozrąbał i wylał nam płynny i zupełnie przezroczysty miód w podstawione kapelusze. Nic podobnie dobrego w tym rodzaju nie jadłem. Na dnie dziupli znaleziono kawałek skryształowanego cukru, który smakiem przypominał najlepsze cukierki europejskie. Umazani miodem pobiegliśmy do pobliskiego strumienia i tam obmyliśmy się z lepiałego płynu.

Kilka też wycieczek odbyliśmy w nocy przy świetle księżyca na penelopy (*Aburria carunculata*) i na nocne małpeczki. Pierwsze z nich były tak ostrożne, żeśmy ledwie parę zabili. Natomiast udało mi się zabić parę sztuk nocnych małperek, które powiększyły moje zbiory. Małpka ta za zbliżeniem się człowieka wydaje rodzaj cichego chrząkania, czem się właśnie zdradza, a jest na tyle dowierzająca, że ją z łatwością zabić można.

Cococho, jak i wszystkie prawie miejscowości nieco gorętsze w systemie górnego Maranonu, słynie z obfitości kleszczów (*Argus*) oraz z choroby, którą już poprzednio opisałem pod nazwą „uta” lub „llaga”. Tutaj to właśnie widziałem tego nieszczęśliwego, któremu choroba ta okryła jedną raną całe nogi aż do pasa. Towarzyszka naszej podróży z Cutervo, dona Eulogia była także dotknięta tą chorobą, która objawiła się u niej wielką raną na rękę. Mając lapis ze sobą, kilkakrotnie jej tę ranę kauteryzowałem, lecz wyjechawszy potem, już nie miałem okazji dowiedzieć się, jaki rezultat to moje leczenie odniosło. Ja sam zostałem zaalarmowany pryszczem, jaki mi się od ukłucia kleszcza przy nasadzie wielkiego palca lewej ręki sformował. Był to guzik wielkości połowy ziarna grochu, ciemny i krwią nabiegły. Nie namyślając się długo wyciąłem go nożyczkami i zalapisowałem. W kilka dni ranka zagoiła się zupełnie.

Mieszkańcy doliny Sesuya zajmują się przeważnie uprawą trzciny cukrowej, tytuniem i kawy. Ceny tych ostatnich produktów są tu bardzo niskie, gdyż za funt kawy płaci się pół reala ($\frac{1}{4}$ franka), a za 3-funtowy rulon tytoniu 2 reale (franka). Do skonałej się też udaje w tej okolicy yuka (maniok — *Manihot palmata*) i nierzadko jeden korzeń dochodzi wagi 25 funtów, co jest wogóle rzeczą niezwykłą.

Z Cococho wyruszyłem d. 3 września 1879 sam jeden w towarzystwie tylko mego Fidela, zostawiając ładunek mój u Floridy, który mi go miał dnia następnego wysłać do Chachapayas. Ja zaś pośpieszyłem naprzód dlatego, że mi się chciało zatrzymać w haciendzie Selcho, własności znanego nam już p. Euzebjusza Torrejon, który jak mi mówiono posiadał domy w Chachapoyas, mógł więc wynająć mi mieszkanie. Minąwszy miasteczka a raczej wsie

Quispe i Ocalli stanęliśmy pod wieczór w Selcho, gdzie nas poczytywy don Eusebio przyjął bardzo gościnnie. Zaopatrzył mnie w list rekomendacyjny do swego brata, p. Tomasza Torrejon'a który zajmował w Chachapoyas ważny urząd „alcalde municipal” odpowiadający u nas godności prezydenta miasta. Dnia następnego, nie czekając na arrierów, puściłem się dalej i stanąłem dość wcześnie w haciendzie Tactamal, należącej do niejakiego Reasegui z Moyobamby. Spędziwszy noc u niego, doczekałem się dnia następnego mych ładunków i wyjechałem naprzód, nie ociągając się na nich, chodziło mi bowiem o znalezienie paszy dla mego muła, gdyż cała dolina Sesuya pod tym względem przedstawia wiele niedogodności. Dnia tego przejechaliśmy przez nędzną mięszcinę Vilaya i popędzając muły, stanęliśmy już wieczorem o 8-ej w Congon, zkad się zaczyna najprzykrzejsza część drogi. Dotychczas droga z Coccocho była dość równa; poczynając jednak od Congon trzeba się piąć w górę, aby z wysokości 6000' wzniesć się na 10000' n. p. m. Droga prowadzi przeważnie lasem aż do wydostania się na grzbiec, gdzie okolica przybiera punowy charakter. Przy przeprawie przez pewien mały strumyk o mało nie straciłem mego muła, który wpadł odrazu po brzuch w ruchomy i grzązki piasek. Zeskoczyłem z niego na brzeg i przy pomocy nadjeżdżających podróżnych z niebezpiecznego miejsca wyciągnąłem. Dnia tego o godzinie 6-ej pod wieczór stanęliśmy w miasteczku Ingillpata, zkad z radością ujrzałem w dali cel moich podróży, departamentalne miasto Chachapoyas. Czas był wielki, gdyż muł mój tak był wychudzony czterodniową podróżą i brakiem paszy, że mu się na raptowniejszych spadkach popręga nie miała na czem utrzymać i musiałem iść pod górę, gdyż inaczej siodło co chwila zsuwało się na zad zwierzęcia.

Piątego dnia podróży od wyjazdu z Coccocho, w niedzielę d. 7 września o godzinie 1-ej mijaliśmy pierwsze wiejskie domki, stanowiące rodzaj przedmieścia Chachapoyas. Przebyliśmy przed tem głęboką dolinę rzeki Uteubamba (5000') i pięliśmy się następnie pod górę aż do wysokości, na jakiej znajduje się Chachapoyas.

Był to dzień świąteczny, miasto jednak z powodu gorąca było dość wyludnione. Przejechałem kilka ulic doskonale brukowanych¹⁾, gdzie wogóle więcej długich białych murów, okalających podwórza, jak samych domów; aż w końcu dostałem się na plac główny — zwykła „Plaza de Armas” — gdzie się wznosi prosta i niewyszukana katedra²⁾. Tu spostrzegłszy siedzących na ławie kilku oficerów, podjechałem do nich, pytając o mieszkanie p. Tomasza Torrejon, alkada municypalnego. Wskazano mi grzecznie jedną z najbliższych ulic, gdzie też wkrótce dom żądany znalazłem.

Dwa wewnętrzne boki podwórza, na które wjechałem, zajmowała parterowa oficyna, okolona krytą galerją na sposób hisz-

¹⁾ Bruki utrzymują się doskonale w wewnętrznych miastach peruwjańskich z powodu zupełnego braku ruchu kołowego.

²⁾ Chachapoyas jest stolicą djecezji.

pański. Wyszły na moje spotkanie dwie niewiasty, jedna w podeszłym już dosyć wieku, druga młoda i bardzo przystojna. Obie zarzucone miały na sobie szale chotańskie, białe z granatowym deseniem. Na zapytanie moje, czy jest don Tomas Torrejon, odpowiedziały mi, że go niema, lecz że wkrótce nadjedzie; tymczasem zaś prosiły mnie gościnnie do domu, polecając służącemu, aby mego muła przywiązał. Wszedłem do środka salonu, gdzie jak zwykle wewnątrz kraju umeblowanie składało się z jednego stołu, kanapki i wyplatanych krzesel, stojących dookoła pod ścianami.

Ledwie z dziesięć minut upłynęło, jak zabawiałem te damy mą rozmową, gdyśmy usłyszeli uderzenia kopyt końskich na bruku podwórza. Wyszliśmy na spotkanie. Ujrzałem wtedy na doskonałym koniu mężczyznę około 55 lat mieć mogącego. Był szczupły nadzwyczaj, o wyrazie twarzy surowym. Nosił hiszpańskie baki, długie, staroświeckie stojące kołnierzyki i wysoki balisztuk, co mu nadawało wraz z okularami pozór mężczyzny z początku XIX-go wieku.

Zsiadłszy z konia, podszedł do mnie, a na moją rekomendację, grzecznie lecz zimno prosił mnie do wnętrza. Już mnie don Eusebio ostrzegał, że brat jego jest wogóle charakteru bardzo chłodnego, lecz żebym się tem nie zrażał, gdyż w gruncie rzeczy jest to najlepszy i najserdeczniejszy człowiek. Wkrótce przekonałem się, że tak rzeczywiście było. Don Tomas zarekomendował mnie wówczas starszej z dwóch pań jako swojej żonie, donii Marji, oraz siostrzenicy, która nosiła imię dona Simona, lub jak ją zdrobniale nazywano dona Simonita:

Don Tomas objaśnił mnie, że w domu jego brata znajdują się właśnie dwa pokoje wolne, które będzie mi mógł wynająć. Rozkazawszy muły rozsiadłać i dla nas cośkolwiek do zjedzenia sporządzić, zaprowadził mnie natychmiast do owego domu, gdzie rzeczywiście znalazłem dwie duże izby, w których z łatwością mogłem się pomieścić. Jeszcze dnia tego wstawiono tam dla mnie najniezbędniejsze meble, to jest stół, ławkę i łóżko, ostrzegając wszelako, że roi się tam od „las garrapatas“ (kleszczy). Zapobiegłem inwazji ich, smarując nogi łóżka dziegciem i noc tę spokojnie spędziłem. Inaczej rzeczy się miały z Fidelem, którego kleszcze należycie w nocy pocięły. Musiał i on uciec się do mego sposobu, co mu spokój zapewniło.

Pierwsze dni stołowałem się w gościnnym domu p. Tomasza, który mnie był polubił od razu. I w samej rzeczy miał rację brat jego, don Eusebio, mówiąc że to złote serce. Pod tą surową i sztywną powłoką krył się najszlachetniejszy charakter. Już to przyznam się, że w wędrownych mych po Peru miałem szczęście trafiać prawie zawsze na doskonałych gospodarzy. Przypomnijmy sobie, że w Tumbesie, w Lechugalu, w Chepen, w Chota w Cutervo, Tambillo, Guajango — słowem tam, gdzie tylko dłuższy czas przebywaliśmy, napotykałem ludzi tak dobrych, że chwilami zapominał o kraju rodzinnym, gdyż zdawało mi się, że niepodobna, aby ludzie obcy mogli okazać cudzoziemcowi tyle przywiązania,

Ta moja dobra gwiazda przyświecała mi aż do samego końca mej wędrówki po Peru. Niestety — w drugiej mej wyprawie do rzezypospolitej Ekwadoru nie zawsze trafiałem tak szczęśliwie, choć i tam znalazłem serca szlachetne, które łagodziły nieraz smutne chwile spędzone po za krajem.

Gościnniej dom p. Torrejon'a odwiedzany był przez większą część notablów chachapoyańskich, dzięki czemu mogłem w krótkim czasie poznać całą niemal arystokrację tego miasta. Między innymi zawarłem tu znajomość z rodziną Mathews'a, Anglika, który na kilkadziesiąt lat przed mojem przybyciem osiadł tu jako aptekarz, ożenił się, lecz w kilka lat potem umarł, zostawiając trzech synów. Wdowa jego starszka lat blisko 80-ciu żyła jeszcze i ona to użyczyła mi niektórych szczegółów w kwestji, o której zaraz pomówimy. Cennem też dla mnie było poznanie się z p. Arturem Werthemannem, rodem z Alzacji, który jako inżynier rządu peruwjańskiego poczynił ważne odkrycie w dziedzinie geografji, odbywając niejednokrotnie nadzwyczaj niebezpieczne wyprawy w dzikich obszarach Amazonki, Ucayali, Ene, Perene i Tambo. Na lat kilka przed mojem przybyciem do Chachopoyos osiadł tam na stałe, a w roku 1879 założył towarzystwo eksploataowania kopalni złota w Santo-Tomas o dwa dni drogi od Chachapoyas.

Zanim przystąpię do opisu moich wycieczek w okolicach Chachapoyas, muszę niezbędnie wtajemniczyć moich czytelników jaki był główny cel mego dłuższego pobytu w tej miejscowości. Jeszcze w Tambillo wyczytaliśmy z Jelskim, że w okolicach Chachapoyas zabity został jeden egzemplarz jakiegoś bardzo pięknego kolibra nazwiskiem *Loddigesia mirabilis*, którego następnie nikt już więcej nie odnalazł. Przypuszczając już wtedy, że mogę się skierować w stronę tego miasta, napisałem zawczasu do ś. p. Taczanowskiego oraz do niemieckiego ornitologa, hr. Berlepscha, prosząc o możliwie szybkie wysłanie mi opisu tego kolibra, oraz szczegółów, gdzie i jak został zdobyty. W kilka miesięcy potem doszedł mnie list hr. Berlepscha, w którym tenże dał mi szczegółowy opis ptaka, a także obszernie wyciągi z dzieła Goulda (Monografia Kolibrów). Szczegóły te jednak były bardzo skromne, dowiedziałem się bowiem tylko z nich, że *Loddigesia* zabita została przez wspomnianego poprzednio Mathews'a, który posyłał rośliny żywe i skórki kolibrów dla p. Loddiges'a w Londynie; że egzemplarz ten upolowanym został w miesiącu wrześniu 1836 r. w okolicach Chachapoyos i że od tego czasu nikt go nawet nie widział. Gould nadto wspomina, że obiecywał grube sumy pieniędzy (large sums) za pierwszy egzemplarz tego nadzwyczajnego ptaka ¹⁾ lecz zawsze bezskutecznie. Wiem nawet, że przysłano na ręce ministra włoskiego w Limie figurę *Loddigesji* i opublikowano w dziennikach peruwjańskich wysoką nagrodę za pierwsze egzemplarze, lecz i to

¹⁾ Dowiedziałem się potem, że ofiarowywał ogromną sumę 200 funt. szt. (około 2000 rb.)

nie pomogło, aż w końcu zaczęto wątpić w Europie o istnieniu takiego ptaka, którego w ciągu lat 45 nikt nie mógł zdobyć.

Mogą więc sobie czytelnicy wyobrazić z jakim natężeniem kierowałem się po raz pierwszy na ekskursję w okolicach Chachapoyas. Co prawda to prawda słabą miałem nadzieję zdobycia tego mytologicznego koliberka, gdyż przypuszczenia moje, że wdowa Mathews'a udzieli mi bliższych w tej materji informacji, spełzły na niczem: wiedziała tylko, że egzemplarz posłany przez jej męża do Europy zabity został przez służącego ich w haciendzie Quipachacha. Sam Mathews wspominał w liście swym do p. Loddiges'a, że już go więcej nie widział, pomimo, że lat pięć upłynęło jeszcze do jego śmierci. Wszystkie więc szczegóły jakie mogłem zebrać były bardzo ograniczone, a co najważniejsza, żem nie wiedział, czy Loddigesia jest kolibrem leśnym, czy też zamieszkuje okolice bezleśne, oraz na jakiej wysokości się trzyma; a w okolicach Chachapoyos można było robić ekskursje w granicach od 5000' do 10000' absolutnego wzniesienia, co dawało radykalne zmiany w całej avifaunie.

Pełen jednak nadziei, wyruszyłem rankiem d. 13 września 1873 na pierwszą ekskursję, kierując się ku południowi, gdzie na wysokim grzbiecie widnieje las, zwany Puma-Urcu: sądziłem jeszcze wtedy, że Loddigesia jest kolibrem leśnym. Towarzyszył mi mój chłopiec. Droga prowadziła najprzód przez goły grzbiet, wniesiony na 400' ponad miastem, poczem spuszczała się do wąwozu Osmal, mającego to samo wzniesienie, co i Chachapoyas (około 7600' n. p. morza). Dno wąwozu zarośnięte było gęstemi krzakami, pomiędzy którymi przeważała jeryzyna peruwjańska (*Rubus*) urozmaicona tu i owdzie olchą miejscową. Przebywszy mały strumyczek poczęliśmy się pięć po stromym spadku, kierując się do grzbietu Puma-Urcu. Oczy mi z orbit wyskakiwały, tak serdecznie szukałem Loddigesii, lecz oprócz znanych mi już koliberków nic nowego nie widziałem.

Doszedłszy do wysokości 10000' spostrzegłem, że jest już około 2-iej po południu, więc rozpocząłem odwrót. W godzinę potem doszliśmy już prawie do dna wąwozu Osmal, gdyśmy spostrzegli małą studzienkę, w której zaspokoiliśmy nasze pragnienie, poczem przysiedliśmy nieco, aby wypocząć po męczącym marszu. Naraz usłyszałem charakterystyczne burczenie kolibra, które mnie zelektryzowało, gdyż miałem głowę nabitą tym cudownym ptaszkiem; odwróciłem więc szybko głowę i spostrzegłem małą ptaszynę, posiadającą dość długi ogonek rozszerzony na końcu w formie łopatek. „To on“ — przebiegło mi jak błyskawica przez myśl; lecz zanim mogłem strzelbę chwycić, już tego cudownego latawca nie było. Ukazał mi się, jak we śnie i zniknął. Znając jednak obyczaj kolibrów powracania do tych samych miejsc, gdzie się raz ukazał, postanowiłem czekać, aż póki nie nadleci. Była wtedy godzina 3-a po południu. Przesiedziałem tak aż do późnego zmierzchu, czyli około 4 godzin, jeszcze przeleciał kilka razy, zawsze jednak ulatniał się tak szybko, żem go ledwie zauważyć zdołał. Noc za-

pędziła nas do miasta. Teraz jednak byłem spokojny, miałem bowiem koniec nici w ręku.

Następnego dnia musiałem czas poświęcić preparowaniu ptaków, zabitych na poprzedniej wycieczce i dopiero na trzeci dzień wyszedłem w towarzystwie mego chłopca, kierując się prosto do owej studzienki w wąwozie Osmal. Przybywszy tam, zasiedliśmy obaj, zrezygnowani czekać choćby do samego zmierzchu. Płynęła godzina za godziną, a upragnionej ptaszyny nie było widać; przeszło tak trzy i pół godzin i już się zaczęły wątpliwości wkradać na dno mojej duszy, gdy nagle tuż poza sobą usłyszałem burczenie.

Odwrociłem się i spostrzegłem kolibra siedzącego nisko nad ziemią na cienkiej gałązce. Nie wiem tego dobrze, jak ja się tam zmierzyłem i czym się wogóle zmierzył, dość że po strzale pobiegłem do miejsca, gdzie poprzednio kolibr siedział i o radości! podniosłem tyle pożądaną ptaszynę. Nie jeden może śmiać się będzie ze mnie, lecz powiem szczerze, że przykląkł i zdjawszy kapelusz podziękował Bogu za tę chwilę szczęścia... Można to uważać za zapal, lub za miłość własną zadowoloną, tego bliżej nie analizowałem; wiem tylko, że byłem szczęśliwy i że ta chwila niejedną opłaciła mi niewygodę, niejedną troskę sownie pokryła.

Przyszło mi wtedy na myśl, że Wallace, słynny emul Darwin, wspomina w podróży swej po archipelagu Malajskim o zdobyciu przez siebie nader rzadkiego motyla (*Ornithoptera*) i dodaje że jeśli był wtedy człowiek szczęśliwy na całej Nowej Gwinei, to tym człowiekiem on był z pewnością. Mimowoli stosowałem tę uwagę do siebie w owym pamiętnym dla mnie dniu 15 września 1879 roku.

Egzemplarz zdobyty przeze mnie był to młody samiec zupełnie jeszcze wypierzony. Wszystko mi jednak było jedno, wiedziałem bowiem, że teraz nietrudno będzie dostać i stare samce. Jakoż w dwa dni potem zdobyłem rzeczywiście pierwszy okaz starego samca. Ptak ten odznacza się niezmiernie osobliwym ogonem, który składa się jedynie z 2 nader długich (160 milimetrów) sterówek zakrzywionych lukowato. Pióra te są na całej długości ogolone z tak zwanych chorągiewek i tylko na końcu posiadają jakby szerokie łopatki. Stary samiec ma nadto wspinałe piórka błękitno połyskujące na czubku głowy i gardziel ubrany metaliczną tarczą barwy złocisto-zielonej. Samica jest wogóle skromnie ubarwioną i posiada stosunkowo krótki ogonek.

Powoli zacząłem odkrywać coraz bliżej miejsca pobytu tego ciekawego kolibra, a co jest rzeczą najważniejszą, że doszedł, na jakich kwiatkach głównie się trzyma, co mi znacznie ułatwiło jego zdobywanie. Najulubieńszym jego kwiatem jest *Bomaria formosissima*. Jest to złożony kwiat pysznego pałowego koloru, który utworzony jest z licznych kielichów, ujętych w jedno grono. Kwiaty te rosną po największych gąszczach i zwykle ponad małymi górskimi strumykami. Trzeba się więc było przedzierać po nieprzebytych i kołących zaroślach jerzyny, wyszukiwać grona tego

kwiatu, który zresztą sam jest dość rzadki, zasiadać przy nim i czekać. Tak też robiłem, lecz niezawsze z jednakowym skutkiem.

Bywało bowiem, że zasiadłszy o godzinie 7-ej rano przepędzaliśmy na jednym miejscu aż do samego zmierzchu, czatując na Loddigesię i albośmy wcale ptaka nie widzieli, albo też spostrzeżliśmy na chwilę tylko, nie mając możliwości dać do niego strzału. Młode samce były wogóle dość pospolite, lecz stare pojawiały się rzadko i dlatego młodych nie strzelaliśmy zwykle, aby starych nie płoszyć, baliśmy się bowiem po wielogodzinnem czekaniu, aby nasz strzał nie wypadł właśnie na pojawienie się starego samca, czegobyśmy sobie darować nie mogli.

Do śmierci będą mi w pamięci te chwile gorączkowego czekania, gdzie dwadzieścia godzin spędzonych na jednym miejscu bez poruszenia prawie zdawały się jedną chwilą. Przed sobą mamy niewielki strumyk, czysty jak kryształ, i szemrzący swą cichą modlitwą. Ponad nim i wkoło nas gąszcz nieprzebyty, tak że tylko skuleni siedzieć możemy. Wzrok mamy utkwiony w czerwony kwiat Bomarii, zwieszony nieruchomo nad wodą. Mijają godziny jedna za drugą i nic w tem położeniu zmiany nie sprowadza, tylko czasem zaalarmuje nas burczenie innego jakiego kolibra, które nas z cierpliwości wyprowadzały. „Przyleci, czy nie przyleci!“ myśl moją ciągle zaprzętało. Nagle jakby silna bateria elektryczna uderzyła we mnie. Pod kwiatem Bomarii unosiło się leciutkie ciało miniaturowej ptaszyny, któremu jakby w pewnej odległości towarzyszyły dwa inne: to dwie łopatki na końcach sterówek robią to wrażenie, jakby do ptaka nie należały, gdyż z pewnej odległości nie widać cieniutkich stosin, na których się trzymają. Pojawienie to było zawsze tak tajemnicze, żeśmy nie wiedzieli kiedy i z kąd ptaszyna przyleciała, zdawało się nieraz, że to czarodziej-skie zjawisko, które w powietrzu tuż pod kwiatem, na świat momentalnie przyszło. Nigdy dobrze nie wiedziałem, jak ja wtedy strzelałem, gdyż ledwie cyngiel ściągnął, już byłem pod kwiatem i drżącymi ze wzruszenia rękami podnosiłem ten klejnot natury.

Bywały też i chwile smutku, gdyż często dla zbyt małej odległości na jaką się strzelało, śróty szły kupą, a chociaż był to najdrobniejszy maczek, nie mniej jednak czynił szkody tak wielkie, że należało niejednen egzemplarz zbrakować. Pamiętam razu pewnego, chłopiec mój wpadł na tak dobre miejsce, że w ciągu 6 godzin zabił 5 starych samców; ja zaś dnia tego zabiłem jeszcze jednego. Lecz cóż? Z tych 6 kolibrów można było wziąć do kolekcji ledwie dwa, tak inne były przez śrócinę uszkodzone.

W każdym razie rezultat był świetny, gdyż wyjeżdżając z Chachapoyas miałem ze sobą 24 egzemplarze Loddigesii, a w tej liczbie 10 starych samców, reszta były to samice lub młode. Oprócz tego udało mi się zbadać bliżej obyczaje tego ciekawego kolibra, oraz poznać miejsca jego zamieszkania. Rezultat tych obserwacji po moim powrocie do kraju opublikowany został w Proceeding'ach

Londyńskiego Towarzystwa Zoologicznego ¹⁾, a następnie został przedrukowany w dziele ś. p. Taczanowskiego ²⁾. Streszczając te dane, wspomnę tylko, że *Loddigesia* zdaje się być bardzo zlokalizowaną i zamieszkuje wyłącznie system rzeki Utenbamba, dość znacznego strumienia wpadającego z prawej strony do Maranonu. Tem właśnie zlokalizowaniem, oraz kryciem się kolibra po gąszczach objaśnić sobie można, jakim sposobem przez ciąg 45 lat mógł uniknąć badawczego wzroku peruwjańskich podróżników. *Loddigesia* trzyma się na wysokości 7500' do 9000' absolutnej wysokości zawsze w bliskości małych strumieni górskich, których brzegi porastają gęste zarośla jarzynowe. Tam wizytuje głównie pąsowe kwiaty *Bomaria formosissima*, chociaż odwiedza także i białe kwiatki jęczyny (*Rubus*), oraz niekiedy fioletowe kwiatki pieprzu kajeńskiego. Ulubione gąszcze opuszcza bardzo rzadko, a nawet mogą powiedzieć, że nigdy nie widział starego samca na miejscach bardziej otwartych, tylko samice, lub młode awanturują się niekiedy poza gęste sploty jęczynowych zarośli.

Zatrzymałem się nieco dłużej nad historją *Loddigesii*, gdyż wyznam szczerze, iż chwile uganiania się za tym wspaniałym kolibrem należą do najszczęśliwszych z mego życia, a ogólną słabością ludzką jest, że lubią się dzielić swem szczęściem z innymi. Wróćę teraz do ciągu mego opowiadania.

Ochłonawszy trochę z pierwszego zapału, uznałem wycieczki w okolicach Chachapoyas za niewygodne, gdyż należało przebyć najprzód kilkuwiorstową przestrzeń, zanim się dostawało do miejsc, gdzie polować było można. Rozpytawszy się przeto o najbliższe okolice, dowiedziałem się, że mógłbym osiąść pod samym lasem, gdzie zaraz po wyjściu z domu już bym spotykał ptactwo do strzelania. Jakoż mój zacny gospodarz don Tomas objaśnił mnie, że posiada niewielki mająteczek w odległości 2 leguas od miasta, gdzie dom mieszkalny wznosi się na skraju lasu. Zrobiłem też niezwłocznie prowizoryczną wycieczkę do tej miejscowości, zwanej Tamiapampa, co znaczy w języku „quichua“ — równina deszczów —choć tam Bogiem a prawdą równiny wcale widać nie było, a przeciwnie teren był bardzo urwisty. Niewielki domek mieszkalny posiadał jedną izbę na dole, zajęta przez rodzinę ekonomę; ja zaś wolałem zająć strych, gdzie na zewnątrz rodzaj małej platformy mógł mi służyć za pracownię. Wróciwszy do Chachapoyas, zabrałem ze sobą najniezbędniejsze rzeczy i przenieśliem się wraz z Fidelem do mej nowej siedziby.

Tamiapampa położona jest na wysokości 9000' nad poziom morza, zatem odpowiada w zupełności okolicom Cutervo, z tą jednak różnicą, że gdy ta ostatnia miejscowość leży na zachodzie stoku pasma przymorskiego, Tamiapampa zajmuje zachodni skłon pasma Amazońskiego. Na pozór nie masz tu żadnych różnic ani

¹⁾ Taczanowski and Stolzmann. *Proceed. Zool. Society of London*. 1881: p. 827.

²⁾ Taczanowski. *Ornithologie du Pérou*. Rennes 1884. I p. 318..

klimatycznych ani gruntowych, po bliższym jednak zbadaniu okazuje się, że między obu okolicami zachodzi ważna różnica tak co do flory jak i co do fauny. Trzeba bowiem powiedzieć, że kordyljery są pod względem obu królestw bardzo urozmaicone i dość jest nieraz przebyć jakiś ważniejszy grzbiet, lub głębszą dolinę, aby znaleźć ważne różnice we florze i faunie. W tym wypadku taką ważną zaporą, nieprzebytą dla wielu gatunków roślin lub zwierząt, jest głęboka dolina Maranonu, która swym pasem bezleśnym oddziela leśne rejony obu skłonów doliny, to jest wschodniego i zachodniego. I łatwo pojmie czytelnik, że im wyższe piętra Kordyljerów zamieszkuje jaki gatunek, tem skuteczniejszą izolację stanowi dla niego taka zaporą, jak gorąca dolina Maranonu; stąd też pochodzi, że fauny okolic Cutervo i Tamiapampy więcej się różnią między sobą, aniżeli fauny dwóch innych analogicznych okolic obu skłonów doliny, to jest Tambillo i Coccocho.

Niemalże też wpływ na tę różnicę wywiera okoliczność, że lasy Tamiapampa łączą się już z główną masą lasów wschodniego skłonu pasma Amazonskiego, które rozpościerają się nieprzerwanym ciągiem po przez równiny Maynas i Brazylię, aż do Oceanu Atlantyckiego. To sąsiedztwo bowiem uprzystępnia wielu rodzinom możność zasiedlenia lasów okolic miasta Chachapoyas. Między innymi spotykamy tu już poraż pierwszy rodzinę pieprzoadów, której przedstawiciel (*Andigena cucullata*) zamieszkuje górne piętra lasów Amazonskich. Widzieliśmy też poprzednio, że rodzina leśnych kuropatw (*Tinamidae*) zasiedla poblizkie lasy Coccocho; obu tych rodzin niema zupełnie w analogicznej okolicy przeciwnego skłonu doliny górnego Maranonu.

Tamiapampa należy do kategorii lasów zwanych przez Peruwjan „Ceja de la Montana“, co dosłownie znaczy „brew lasu“, gdyż jest to górna granica drzewiastej roślinności w Kordyljerach, przypadająca mniej więcej w granicach 10000' — 11000' nad poz. morza; zdarza się jednak czasami, że już na 8000' okolica przybiera charakter pastwisk alpejskich (Puny), jak np. w okolicach Tambillo, gdy przeciwnie widziałem bukiety drzew na wysokości 12000' w Gordillos pomiędzy San Miguel i Chotą.

Las na tej wysokości ma właściwy sobie charakter. Drzewa są po większej części niezbyt wyniosłe i mało korpulentne, a pnie ich i konary są krzywe i pogarbione. Jak jedne tak i drugie pokryte są od samych niemal korzeni mchem i pasorzytami, które nadają lasowi właściwe piętno, nie pozbawione wysokiego uroku. Korony drzew są przeważnie bardzo gęste i drobnolistne, o zieleni tak ciemnej, że ją prawie zieloną nazwać nie można. Tu i owdzie wynurza się plama koloru czerwonawego; to oryginalne drzewo (*Weimannia*), posiadające liście krwistej niemal barwy. Z innych drzew przeważają tu mirty, laury i melastamy.

Grunt w górskich lasach (na wysokości 8000' — 10000') stanowi jakaś pulchna masa poprzeplatanych korzonków, nazwana przez krajowców „surrapa“, pod którą bardzo często niema żadnej ziemi roślinnej, a tylko goła skała. Surrapa niekiedy pokrywa

grunt warstwą na łokieć grubą, utrudniając bardzo chodzenie, gdyż nogi nasze lgną w tej miękkiej masie i plączą się wśród korzeni. W innych znów miejscach podszycie lasu składa się z wijącej trzciny o której wspominałem poprzednio (*Chusquae*); trzcinę tę nazywają w dep. Cajamarca i w Ekwadorze „surro“, w okolicach zaś Huaybamby — „dziuj“. Mieszkańcy utrzymują, że trzcina ta odrasta co 7 lat; i w samej rzeczy spotykałem wielokrotnie ogromne przestrzenie zeszcłej zupełnie rośliny. Surro w braku lepszej paszy może służyć za pokarm dla koni i była rogatego; on też stanowi główne bodaj pożywienie miejscowego tapira (*Tapirus villosus*), który zwykł się trzymać w okolicach porośniętych przez ten ciekawy gatunek trzciny.

Do najwspanialszych ozdób górnej granicy lasu należą paprocie drzewiaste, które tutaj palmy zastępują, a rzadsze są nierównie w góręjszych częściach Montanii. Wiele z nich posiada pień a raczej łodygę koszlawą; gdy się jednak zdarzy egzemplarz prosty i wysmukły, trudno jest sobie wyobrazić coś bardziej pięknego: te liście powycinane, niby koronki brabanckie, ten pień jakby łuską pokryty, stanowią tak piękną ozdobę lasu, że nawet palmy ustąpić muszą przed temi cudownemi roślinami.

Brzegi lasu porastają mniejsze krzaki, pokryte obficie różnobarwnymi kwiatami, między którymi przeważają melastomy o kwiatkach czerwonych, fioletowym, lub krzaki salta-perico (*Oreocallis grandiflora*) z białem roztrzępanem kwieciami; obok nich wznoszą się krzaki lub niewielkie drzewka berberysu z żółtymi kwiatkami; dalej widać fioletowe dzwinkowate kwiaty *Lochroma*; wspaniałe różowe kielichy *Tacsonia*; wreszcie olbrzymie jakby zerwone dzwonki „floripondio“ (*Datura*), z których wywar posiada jadowite własności, sprowadzając szaleństwo, gdy się go napijemy. Wszystkie te kwiaty rozsiane po całym skraju lasu urozmaicają w wysokim stopniu krajobraz i tak już piękny sam przez się.

Nie idzie jednak za tem, aby i wewnątrz serrańskiego lasu pozbawionem było w zupełności kwiatów. Już same Tillandsie, rosnące obficie po wszystkich drzewkach, wystarczyłyby, aby ozdobić głębię lasu swymi paśowymi kwiatkami, a przecież nie one same posiadają tę piękną ozdobę. Na każdym kroku spotykamy kępy krzaku „alicon“, stanowiącego w wielu miejscach podszycia lasu, a ozdobionego całemi gronami paśowych z białemi końcami kwiatków, robiących wrażenie jak gdyby z wosku były ulepione. Tu i owdzie pomiędzy tillandsjami wzrok nasz z łatwością odkryje wspaniałe fioletowe lub żółte kwiaty storczyków, stanowiących w świecie roślinnym to, czem są kolibry dla świata zwierzęcego, to jest alfa i omega piękności, doprowadzającą amatorów do szaleństwa.

Wogóle las serrański, a mianowicie górna jego granica, może zadowolnić najwybredniejszego poszukiwacza piękna. Niema tam wprawdzie drzew tak wyniosłych, jak w gorących częściach Montanii, gdzie zdawać się nieraz może, jakby korony tych olbrzymów o niebo się opierały; niema tych bujnych festonów lijan,

nadających tak charakterystyczne piękno lasom zwrotnikowym; nie mniej wszelako to nagromadzenie ciemnej zieleni, urozmaicone na każdym kroku bukietami różnobarwnych kwiatów, stanowi całość porywającą. Co chwila, spotykamy tu czyste jak kryształ strumienie, spadające małemi kaskadami z głazów rozrzuconych w łożysku. Woda ich często bywa zabarwiona na kolor ługu, z kąd też wiele strumieni kordyljerskich nosi nazwę „Lejia“ (ług). Pomimo tego zabarwienia woda posiada niezwykle przezroczystość i jest nadzwyczaj smaczną i zdrową, a dzięki znacznemu wzniesieniu nad poziom morza, temperatura jej bywa zwykle tak niską, że w pierwszej chwili przy picciu dech zapiera.

Zwierząt ssących posiada górna granica lasu bardzo niewiele, a i te nawet, które wyliczyć w jej faunie można po większej części należą do kategorii przybłędów, nie trzymających się stale tego regionu. Z małp zapędzają się tu czasami czepiaki (*Ateles Bartletti*) a w środkowym Peru brzuchale (*Lagothrix Humboldti*). Ze zwierząt drapieżnych jaguar zabląka się tu niekiedy, lecz nigdy długo nie popasa, gdyż klimat względnie surowy nie bardzo mu do smaku przypada. Pospolitym i stałym mieszkańcem bywa tu niedźwiedź kordyljerski, którego obyczaje poznaliśmy już poprzednio. Obok niego trzyma się tu stale tapir włochaty, a od czasu do czasu zapędzają się wielkie stada dzików amerykańskich, zwanych pekari (*Dicotyles torquatus* i *D. labiatus*). Z mniejszych stworzeń spotkałem tu kolczaka południowo amerykańskiego zwanego po indyjsku casha-picuru (*Sphiggurus bicolor*). Jest to zwierzę wielkości niemal borsuka, należące do rzędu gryzoniów. Posiada dość długi i chwytny ogon, pomagający mu do czepiania się po drzewach. Całe ciało i połowa ogona jest pokryta długimi i słabo osadzonymi kolcami, które z łatwością zostają w naszym ciele, gdy niebacznie rękę do zwierzęcia zbliżymy. Kolce te są w części czarne, a w części żółte. Kolczak spędza dzień we śnie na grubym konarze drzewa i dopiero z nastaniem nocy wychodzi na żer. Żywi się wyłącznie owocami i częstkami roślinnymi. Niekiedy zachodzi na strychy domów, gdy te wśród lasu się znajdują i tu wyjada kukurydzę zebraną z pola. Mięso jego należy do najsmaczniejszych, jakie mi się spotkać zdarzyło.

Z ptaków wybitną rolę w tej części lasu odgrywają kolibry, któreśmy już jako tako poznali. Obok nich spotkać można stadka wędrownie, złożone z licznych przedstawicieli różnych rodzin i rodzajów, trzymających się razem w celach wspólnego polowania na owady. Górskie jednak rodzaje są zwykle odmienne, aniżeli w sferach gorących. Spotykamy tu więc przedstawicieli rodzin tangar, cukrzyków, pelzaczy amerykańskich i inne, lecz zwykle różne od nizinowych. Z większego ptactwa trzyma się tu dwa lub trzy gatunki penelop, pomiędzy którymi na wzmiankę zasługuje odkryty przezemnie gatunek penelopy rudo-brzuchej (*Penelope Tschudii*) opisanej przez Taczanowskiego w „Ornitologii Peruwjańskiej“. Tutaj też poraz pierwszy spostrzegłem ciekawego ptaka, zwanego przez krajowców „tamia-pshku“ (ptak dżdżowy—*Sericossypha albocri-*

stata), nazwany tak dla tego, że podobno deszcz zwiastuje. Jest to ptak wielkości sójki, cały czarny z ciemno-purpurową plamą na środku piersi i gardzieli oraz z białym czubkiem głowy, który z pewnej odległości robi wrażenie, jakby ptak miał pęczek waty na wierzchu głowy. Trzyma się stadkami, z kilku sztuk złożonymi, i wydaje dość silny charakterystyczny świst.

W Tamiapampie spędziłem cały miesiąc czasu, wzbogaciwszy bardzo me kolekcje niezdożywwanymi poprzednio gatunkami, pomiędzy którymi odróżniał się piękny gatunek tangary, błękitny cały z żółtawą głową, opisany później przez Taczanowskiego pod nazwiskiem *Diva Branicii* na cześć ś. p. Konstantego hr. Branickiego, na koszt którego odbyłem wszystkie moje wyprawy po Ameryce Południowej.

Niemalą też ozdobą mych zbiorów był prześliczny gatunek kolibra (*Diphlogoena iris*), rzadki bardzo po zbiorach europejskich.

W końcu listopada wróciłem do Chachapoyas, aby się przygotować do walnej wyprawy na wschód, a mianowicie do doliny Huayabamby, gdzie sobie rokował świetne zbiory.

ROZDZIAŁ VIII.

Dolina Huayabamba. — Huambo.

Już od początku mojej podróży odczuwałem nieprzewyciężoną chęć poznania tych olbrzymich lasów, które zaczawszy się na wyżynach wschodniego pasma Kordyljerów, ciągną się jednolitą masą przez całą Brazylię i zamierają dopiero na pobrzeżach oceanu Atlantyckiego, a wszędzie wspaniałe, wszędzie noszące nieskalany charakter dzieł Stwórcy. Opowiadania Jelskiego o nieporównanej przyrodzie leśnej w Amable-Maria, na wschód od Limy, iub w Monterico, w sąsiedztwie rzeki Apurimaku, zaostrzały tylko we mnie chęć ujrzenia tych puszczy dziewiczych. Przedsmak ich miałem w lesie Palmalskim, później w Tambillo i w hacjendzie Coccocho, lecz nie zadawałniały mnie one jak należy, bo wiedziałem, że przestrzeń tych lasów, jakkolwiek bardzo znaczna, jest wszelako ograniczona, a fauna ich niewątpliwie wspaniała i bogata, nie dorównywa jednak obfitością wszelakiego zwierza i ptactwa puszczoam amerykańskiej kotliny. Teraz miały się ziścić moje długoletnie marzenia, miałem ujrzeć nareszcie ten wspaniały regjon, zwany przez Peruwjan „montana“. Zanim jednak do opisu podróży przystąpię, muszę słów kilka o rozkładzie lasów peruwjańskich powiedzieć, jak również bliżej się zastanowić nad ich sposobem rozwijania się w różnych częściach kraju.

Przypomnę więc czytelnikom moim, że Kordyljery począwszy od węzła Cerro de Pasco pod 11° szer. poł. bieżną dwoma kardynałnymi łańcuchami, przedzielonymi bardzo głęboką doliną Maranonu, czyli górnej Amazonki, której koryto przecina łańcuch wschodni, tworząc cały szereg bystrzyn t. z. po kiczuańsku „pongos“ (Pongo de Cumbinama, Pongo de Escurrebragas, Pongo Manseriche i inne — ogółem 11 bystrzyn, a według innych—17). Oba pasma łączą się razem w węźle Cuenca, pod 3° szer. poł.

Z poprzednich opisów widzieliśmy już, że zachodnie pasmo nie posiada jednolitych lasów, a tylko większe lub mniejsze ich plamy, rozsiane na obu ich skłonach w granicach 5000' do 11000' nad poz. morza. To samo da się powiedzieć i o zachodnim skłonie wschodniego pasma, tylko, że tutaj plamy te są jeszcze znacz-

niejsze, lecz lasy nigdzie nie spuszcza się poniżej 5000' stóp, czyli nie dosięgają dna doliny Maranonu, która mierzy nieco więcej nad 1000' nad poz. morza.

Jeśli teraz przejdziemy na wschodni stok wschodniego pasma, to ujrzymy, że lasy ciągną się tutaj od granicy „Puny“, czyli od 10000' — 11000' nad poziom morza w dół aż do równin amazońskich i to jednolitą masą, zarówno w Peru, jak i w Boliwji, w Ekwadorze i Kolumbii, a dalej rozprzestrzeniają się przez Brazylię aż do brzegów oceanu Atlantyckiego. Olbrzymia, nie mająca równej sobie przestrzeń lasu zwrotnikowego!

Rozkład ten lasów wskazuje nam, że rozwijają się one w kierunku z zachodu na wschód, a mianowicie: na zachodnim stoku zachodniego pasma (od strony Pacyfiku) występują nieznacznymi plamami (montana de Taulis, montana de Quilcate, montana de Paucal i inne). Na wschodnim stoku tegoż pasma (od doliny Maranonu) plamy te są już znaczniejsze (montana de Tambillo i wogóle lasy prowincji Jaen); dochodzą one jeszcze większego rozwoju w dep. Amazonas, na zachodnim stoku wschodniego pasma. Ten nierównomierny rozkład lasów na obu łańcuchach Kordyljerskich postaram się objaśnić hipotezą, którą sobie na podstawie ścisłych obserwacji w mem pojęciu sformułowałem.

Styszałem między innymi opinję, że kiedyś lasy pokrywały dzisiejsze bezleśne okolice Pomorza, oraz góręjszych dolin serrańskich i że lasy te przez mieszkańców wyniszczone zostały dla różnych przyczyn, a głównie dla otwarcia sobie pastwisk. Mniemaniu temu sprzeciwia się kilka faktów, które jeszcze ważniejszymi wydadzą się nam, gdy poznamy inną hipotezę, daleko lepiej objaśniającą rozkład lasów od strony Pacyfiku i w dolinie Maranonu.

Przedewszystkiem, gdyby w okolicach dziś bezleśnych istniały kiedyś lasy, pozostałyby po nich jakieś ślady, a głównie grunt odpowiedniejszy do leśnego życia, niż ten żwirowaty, który dziś pokrywa skłony gorących dolin lub „wzgórza“ peruwjańskiego Pomorza. Nietrudno np. poznać miejsca w regjonie Sierry, gdzie przedtem porastały lasy, które następnie człowiek wytrzebił. Znaną jest zresztą łatwość, z jaką one odrastają w południowej Ameryce. Pewien fermer nad rzeką Huallagą zapewniał mnie, że pastwiska, jakie w tych miejscach przed laty otwarte zostały wśród lasu, należy trzy razy na rok oczyszczać z krzaków, gdyż inaczej zarosłyby wkrótce lasem. Widziałem w dolinie Huayabamby las dziesięcioletni, któremu każdy Europejczyk przyznałby 50 lat wieku. W tychże samych okolicach znalazłem ruiny miasta Posich, na których porasta dziś las, niczem nie różniący się od dziewięcioletniego; a trzeba wiedzieć, że miasteczko to według tradycji zniszczonem zostało przez dzikich Indjan pod koniec XVIII lub na początkach XIX wieku, zatem w ciągu 80 lat las doszedł pełni swego rozwoju.

W dalszym ciągu mych uwag nad tym ciekawym, a nader ważnym przedmiotem, powiem, że miejsca, gdzie las wyniszczony został, porastają zawsze po zapuszczeniu ich, temi samymi drzewa-

mi, jakie się w sąsiednim lesie znajdują, temi z nich mianowicie, które mają łatwiejsze środki rozszerzania się, między innymi zaś drzewem „palo de balsa“ (*Ochroma piscatoria*), posiadającym lekkie, pierzaste nasiona, łatwo przez wiatr roznoszone. Tymczasem bezleśne okolice Pomorza lub gorących dolin serrańskich posiadają swą florę zupełnie, ale to zupełnie różną, należącą do innego typu, aniżeli flora lasów wilgotnych. Tych właśnie roślin akacjowych i kaktusów, które stanowią jądro flory pomorskiej, brak prawie zupełnie w regionie Montanji.

Zakończę wreszcie szereg tych uwag argumentem bardzo poważnym. Ten, kto po różnych okolicach Peru podróżował, łatwo mógł się przekonać, że region Sierry jest bez porównania gęściej zaludniony od Pomorza lub doliny Maranonu. Dla czego więc w nim ocalały jeszcze stosunkowo znaczne przestrzenie lasu, gdy na Pomorzu lub w gorących dolinach serrańskich w żadnym miejscu nie pozostał nawet ślad, że tam kiedyś jakie lasy istnieć mogły.

Tych kilka uwag wystarczyć powinno do zarzucenia myśli, że bezleśne okolice Pomorza i gorących dolin były kiedykolwiek pokryte lasami, które następnie człowiek wyniszczył. Aby zaś łatwiej zrozumieć prawdziwą, według mego zdania, przyczynę braku lasów w góręjszych częściach północno-zachodniego Peru, zastanówmy się przez chwilę nad przypuszczalnym sposobem powstawania lasów w okolicach przedtem bezleśnych.

Pomijając interwencję w tym razie wszelkich czynników pobocznych, jak np. wiatrów, wody lub ptaków, łatwo jest nam zrozumieć, że las propaguje się głównie sam przez się, dzięki tylko różnicy, jaka istnieje między końcem bocznych gałęzi i osią samego pnia drzew. Aby to lepiej zrozumieć, wystawimy sobie brzeg lasu. Owoce, jakie spadają z końców najdłuższych gałęzi, będą się znajdowały w pewnej odległości od pnia drzewa. Skoro zaś z tego nasienia drzewo wyrośnie, linja brzegu posunie się naprzód. W ten sposób las rozszerza się na równinie. W górach zaś przy rozprzestrzenianiu się lasu widzimy dwa wypadki: las może się rozszerzać w dół lub w górę.

Widzimy, że w pierwszym z tych dwu wypadków łatwiejsze jest posuwanie się linii lasu dla tego, że w licznych wypadkach nasiona (owoce) staczają się po skłonie, posuwając szybciej linję lasu, gdy przeciwnie rozszerzenie się z dołu do góry jest utrudnione dla tej samej przyczyny, a mianowicie, że liczne nasiona będą się staczać napowrót do lasu.

Tu właśnie leży przyczyna, dlaczego górna granica lasu jest zawsze równo odcięta, czyli że las gwałtownie kończy się tam, gdzie się zaczyna pastwisko; gdy przeciwnie dolna granica lasu tam, gdzie jej człowiek nie tknął, jest stopniowem przejściem od lasu do zarośli, a od tych ostatnich do okolic bezleśnych.

Przy rozprzestrzenianiu się lasów zachodzą jeszcze dwa wypadki zupełnie innej natury od dopiero co rozebranych, a mianowicie, że las może się rozszerzać na gruncie odpowiednim, już do przyjęcia jego przygotowanym; albo li też w miarę rozwijania się

las wyrabia sobie stopniowo ten grunt roślinny za pomocą opadłych liści, zwałonych pni i innych gnijących części roślinnych. I w tym wypadku można zastosować uwagi, przed chwilą przytoczone o rozprzestrzenianiu się lasów na równinach, z dołu do góry lub z góry na dół, a mianowicie, że najbardziej ułatwione wyrabianie sobie ziemi roślinnej ma las w ostatnim z trzech wypadków, to jest przy posuwaniu się z góry do dołu.

Mając w pamięci cały szereg tych uwag, objaśnię czytelnika, że pasmo zachodnie Kordyljerów, poczynające się z węzła Cerro de Pasco, a kończące się węzłem Cuenca, jest znacznie nowszej formacji od wschodniego, co sprawdzonem zostało przez geologów, badających Kordyljery, a między innymi przez Raimondiego. Przyjawszy więc, że las na łańcuchu zachodnim utworzył się naprzód od góry, gdzie znalazł na to odpowiedni grunt, jakim jest punowy czarnoziem, powstający tą samą drogą, co i nasze torfy, przyjdziemy do tego wniosku, że lasów w górskich częściach północno zachodniego Peru brak dla tego, że w owem powolnem rozprzestrzenianiu się na gruncie jałowym nie zdążyły jeszcze spuścić się na dno głębszych dolin.

Wybacz mi czytelnik, że nieco może przydługo zatrzymałem uwagę jego na kwestji rozprzestrzeniania się lasów. Ponieważ jednak pozostały do mego powrotu czas spędziłem w tych wspaniałych puszczech, słusznem więc było, abym dał poznać ich rozkład oraz prawdopodobny sposób propagowania się, poczem mogę przystąpić do przerwanego wątku opowiadania.

Wojna peru-chilijska ciągnęła się do nieskończoności, więc też nie podobna było myśleć o powrocie do Limy dla wyprawienia zebranych kolekcji; a że miałem jeszcze zapas prochu, śrótu, mydła arsenikowego, spirytusu i innych, niezbędnych przyrodnikowi przedmiotów, przynajmniej na rok, więc też zdecydowałem się skierować na wschód, do nieskończonych puszczy amazońskiego systemu. Chodziło tylko o wybranie odpowiedniej mym celom miejscowości.

Wszyscy moi znajomi przyjaciele radzili mi jednogłośnie doliną Huayabamby, odległą od Chachapoyas o 2 i pół do 3-ch dni drogi. Wychwalano mi przytem gościnność i dobre obyczaje mieszkańców tego zapadłego zakątka świata, jak również bogactwo przyrody okalających go lasów. W następstwie mogłem się przekonać, że w pochwałach tych nie było żadnej przesady. Że jednak w wyprawach naszych trzymaliśmy się zawsze zasady — poznać naprzód miejscowość, zanim się do niej na dłuższe osiedlenie udamy, więc i ja postanowiłem w tym wypadku zrobić przedewszystkiem prowizoryczną wycieczkę, a dopiero potem przenieść się tam z całym bagażem.

Zdarzyło się też tak szczęśliwie, że dobry mój znajomy a synowiec mego zanego gospodarza chachapoyańskiego, don Abraham Torrejon, udawał się do Huayabamby w charakterze poborcy podatkowego. Skorzystałem więc z tego, aby z nim razem wycieczkę tę odbyć. Dla strzelca mego, Fidela, kupiłem konia

w nadziei, że go sprzedam w Huayabambie i tym sposobem zmniejszę sobie koszty wyprawy. Nasze poczciwe gospodynie przygotowały nam na drogę „fiambre“, czyli zimną strawę, którą na postojach je się odgrzana i w d. 9 grudnia 1880 r. wyruszyliśmy we czterech, t. j. don Abraham, jego pacholek, ja i Fidel, odprowadzeni daleko za miasto przez liczną banderję przyjaciół.

Droga z Chachapoyas spuszcza się zrazu w dół aż do rzeki Sonche (5000' nad poz. m.) i następnie dolinką tej rzeki prowadzi wśród pól trzciny cukrowej, kukurydzy i t. p., omijając dość gęsto rozsiane osady i haciendy: Rondon, Chaupiyacu, Casinlas, Colpa, Pipos i inne. Cała ta część drogi jest dość równa, pozwalająca iść mułom i koniom „a todo paso llano“ (pełnego skrocza). Około godziny 3-ej po południu zaczął padać deszcz dość rzęsyisty. Popędzaliśmy też nasze rumaki, aby na nocleg dojechać do miasteczka Cheto, odległego od Chachapoyas o 5 leguas (około 20 wiorst), gdzie też stanęliśmy o zachodzie słońca.

Cheto jest to osada, złożona z jakich 20 domostw i posiadająca niewielką kapliczkę. Ponieważ żaden z mieszkańców nie miał do sprzedania lucerny dla naszych rumaków, więc przejechaliśmy o $\frac{1}{2}$ wiorsty dalej, gdzie jakiś osadnik dostarczył nam żadaną ilość paszy. Chłopcy nasi szybko sporządzili nam wieczerze, poczem udaliśmy się na spoczynek.

Nazajutrz skoro świt siodłaliśmy już nasze wierzchowce w nadziei, że dnia tego dotrzemy do Cochamal, pierwszej osady w dolinie Huayabamba. Jest to „jornada“ (dniówka) dość pracowita, gdyż według zdania miejscowej ludności liczy około 10 leguas (40 wiorst), a w dodatku ta część drogi jest bezwarunkowo najgorsza. Od osady Cheto droga prowadzi jeszcze czas jakiś dolinką rzeki Sonche, poczem pnie się w górę aż do „Tambo del Tio,“¹⁾ gdzie podróżny wydostaje się na sam szczyt wschodniego pasma Kordyljerów.

Jest to linja wodorozdziału między rzekami Maranon i Huallaga, chociaż w tem miejscu liczy nie więcej nad 7000' absolutnego wzniesienia. Ztąd droga spuszcza się wężykiem aż do Quebrada de Lejia, który to strumień poniżej tworzy rio de Corral. Przebywszy go, zatrzymaliśmy się nieco dla chwilowego odpoczynku i posilenia się zimną strawą, poczem zaczęliśmy się znów piąć po tak zwanej „Cuesta de Maraypata“. Cała ta część drogi od Cheto aż do Cochamal jest wybrukowana dużymi głazami kamiennymi, które pozapadawszy się, potworzyły rodzaj ohydnych schodów. Miejscami pojedyncze stopnie mierzą blisko metra wysokości, można więc sobie wyobrazić biednego muła czy konia który z jeźdźcem na grzbiecie musi się wspinać na te przykre schody lub zeskakiwać z nich, narażając nieraz siebie i swego pana na połamanie kości. Niebezpieczeństwo wzrasta jeszcze, gdy

¹⁾ *Los Tambos* są to zwykle obszerne szopy bez ścian, kryte strzechą. Pobudowano je w miejscach bezludnych dla wygody podróżnych. „Tio“ znaczy po hiszpańsku wuj.

deszcz zmoczy kamienie, albowiem wtedy biedne zwierzęta ślizgają się a nogi im wpadają w dwie szpary między oddzielnymi głazami, powodując przykre okaleczenia.

Wreszcie koło godziny 1-ej po południu stanęliśmy u szczytu tej gałęzi Kordyljerów, która tu liczy około 8000' absolutnego wzniesienia, czyli o 1000 stóp więcej, aniżeli główne pasmo, dzielące systemy wód Maranonu i Huallagi. W Kordyljerach zdarza się dość często, że boczne rozgałęzienia są miejscami wyższe od głównego łańcucha, o czem zresztą mówiłem już z okazji mej podróży z Cutervo do Chiclayo.

Na szczycie wznosi się „Tambo de Gualama“, z kądem roztacza się wspaniały widok na dolinę Huayabamba. Jest to obszerna równina, okolona ze wszystkich stron górami, których skłony są pokryte przeważnie lasem. Sama dolina w znacznej części jest zajęta pod uprawę, a tylko miejscami widnieją jeszcze resztki dawnych lasów. Z Gualama widać tylko dwa dystrykty, a mianowicie San Nicolas i Cochamal, gdy pozostałe trzy (Santa Rosa, Cochamal i Omia) są dla naszego wzroku zasłonięte górami. Te pięć dystryktów stanowią dolinę Huayabamba, która prowiduje prawie cały departament Amazonas w cukier i wódkę.

Rzecz niepojęta, że ta dolina żyzna, bogata, zamieszкана przez jakie 4 do 5 tysięcy ludu pracowitego, uczciwego, wysyłająca swego deputowanego do parlamentu limańskiego, była prawie nieznaną ogółowi Peruwjan, a nawet miejscowym geografom.

Paz Soldan w swej „Geografii Peru“, wyliczając probostwa dep. Amazonas, wspomina tylko głucho Huayabambę. Na mapie Barrery, wydanej w 1871 roku ani śladu tej bogatej doliny nie znajdujemy. Zasluga „odkrycia“ tej miejscowości należy się bezspornie Antoniemu Raimondiemu, który ją odwiedził w 1869 roku i następnie dał obszerną wzmiankę w „Części wstępnej“ swego znakomitego, lecz niestety, niedokończonego dzieła („El Peru“. Parte preliminar. Lima 1874). Wprawdzie Huayabamba leży zupełnie na boku od wielkich dróg i stanowi w tem miejscu ostatni punkt zamieszkaný na wschodnim stoku Kordyljerów, niemniej jednak dziwnem jest, aby w kraju, mającym pretensję do cywilizacji, nie znano najbogatszej i najlepiej uorganizowanej prowincji z całego departamentu.

Muszę jeszcze dodać, że mieszkańcy Huayabamby są naogół czystymi potomkami Hiszpanów, bez żadnej prawie domieszki krwi indyjskiej lub murzyńskiej. Jest to lud pracowity, gościnny, spokojny i względnie, jak na wieśniaków, bardzo cywilizowany. Wszędzie spotkasz tu doskonale prowadzone szkoły początkowe, a procent analfabetów wśród kolonistów jest bardzo nieznaczny.

Ja więc byłem drugim z rzędu podróżnikiem, który ten sympatyczny zakątek świata zwiedził i drugim z rzędu, który o nim pisze. Czynię to z tem większą przyjemnością, że w ciągu rocznego swego pobytu w Huayabambie doznałem ze strony jej mieszkańców jaknajserdeczniejszego przyjęcia i rozstawałem się z nimi z nieklamany żalem.

Ze szczytu Gualama, który liczy, jak to powiedziałem, 8000' absolutnego wzniesienia, droga spuszcza się ciągle wdół aż do samej równiny Huyabamby, wzniesionej już tylko na 5000' — zatem różnica wynosi blisko kilometr w pionowym kierunku. A przykry to miejscami kawałek drogi, gdzie wierzchowce nasze zmuszone były skakać nieraz z kamiennych stopni metrowej wysokości. W dodatku przyłapała nas w drodze zwrotnikowa ulewa w połączeniu z gradem, od której wszelako skutecznie ochraniało mnie moje gumowe „poncho“ zasłaniając nie tylko ciało moje, ale i sakwy, napełnione bielizną na zmianę i wiktuałami. Wreszcie minawszy Tambo de Chaupichonta, o zachodzie słońca stanęliśmy w pierwszej osadzie doliny Huayabamba, zwanej Cochamal. Tu jednak nie mogliśmy się zatrzymać dla braku paszy, więc ruszyliśmy dalej i o dwie wiorsty dotarliśmy do osady niejakiego Ignacio Grande, gdzie nas przyjęto nader gościnnie; mogłem się więc zaraz na wstępie przekonać, że sława mieszkańców Huayabamby nie była przesadzona.

Podróżując po tej dolinie, zbyt cennym jest wozic ze sobą zapasy żywności: wszędzie dadzą ci tu jeść pić, wierzchowce nakarmią, a przy pożegnaniu uchylają się od wzięcia jakiegokolwiek zapłaty.

Z Cochamal drogi się rozdzielają: jedna idzie równiną do miasteczka San Nicolas, odległego o trzy „leguas“; druga zaś prowadzi niewysokimi górami do Santa-Rosa, stolicy całej doliny Huayabamba. Mnie droga wypadła na Santa-Rosę, lecz ponieważ towarzysz mój namawiał mnie, a przez to niewiele drogi nakładalem, pojechałem z nim na San Nicolas.

Cała ta część doliny jest gęsto zamieszкана, a droga prowadzi przez osady Luceropata, Aranjuez, Michina i inne. Torrejon zajeżdżał wszędzie dla zawiadomienia o swej misji; wszędzie przyjmowano nas tu konfiturami, z których słynie cała dolina. Pod wieczór przybywaliśmy do San Nicolas i zatrzymaliśmy się nieco dalej, w Potrero, u znajomych mego towarzysza.

Ztąd prowadzi nieznośna, miejscami nawet niebezpieczna droga do Santa-Rosa, gdzieśmy stanęli na drugi dzień o pół do 2-ej, przyjmowani z serdeczną gościnnością przez miejscowego proboszcza, ks. Torres'a, który nas nie chciał puścić, dopóki nie zakąsimy zlekka. Okazało się, że ta zakąska był to bardzo suty obiad, który nam zajął dwie godziny czasu tak, że wyruszyliśmy dopiero około pół do 4-ej, lecz ponieważ droga stąd prowadzi wciąż równiną, więc w dwie godziny stanęliśmy w Corral'u, u tymczasowego celu naszej podróży.

Miałem trzy listy rekomendacyjne z Chachapoyas, ponieważ jednak dwu adresatów nie zastałem w domu, stanąłem u trzeciego, nazwiskiem don Marcos Trigoso, zamożnego miejscowego kolonisty, który mnie przyjął z otwartymi rękami. Miała się właśnie rozpocząć u niego t. zw. „fayna“¹⁾. Wyrazem tym oznacza się

¹⁾ Właściwie po hisz. „faena“ = robota.

w Peru wszelkie roboty publiczne, jak np. budowa kościołów, murów cmentarnych, reperacja dróg i mostów lub t. p. W Huayabambie istnieje wszelako zwyczaj, którego nigdzie indziej nie spotykałem, a polegający na tem, że wszelkie większe roboty prywatne wykonywują się przy pomocy sąsiadów, ma się rozumieć — bezinteresownie. Jeśli więc który z mieszkańców chce np. wybudować dom, oczyścić pole lub wyciąć las, wówczas zabija wołu, przygotowuje kilka baryłek wódki, płaci muzykantów i zawiadamia cały dystrykt, a niekiedy i sąsiednie osady, zapraszając na „faynę.“ Zbiera się wtedy 30, 50, 100 a nawet 200 ludzi i robotę kończą w jeden lub dwa dni. Przez cały ciąg trwania roboty muzyka gra, a kieliszek odbywa często swoją kolejkę, niemniej jednak robota idzie rażno, a ogólna wesołość zabija jej nudy.

Gdy zaś słońce zajdzie, rozpoczynają się tańce, które trwają zwykle noc całą, aby ze świtem ustąpić znów miejsca ochoczej pracy. Jest to więc rodzaj święta, na które wszyscy chętnie spieszą. Prawda, że gospodarz, zmuszony nakarmić i napoić tylu ludzi, ponosi też zwykle znaczne koszty; w każdym razie jest to doskonały zwyczaj tam, gdzie najemnika dostać nie można.

Tak więc u Marka Trigosa szykowała się „fayna“ i już z nami przybyło nawet kilku osadników aż z San Nicolas, chociaż to inny dystrykt. Miano stawiać nową szopę na pomieszczenie młyna do wycłskania trzciny cukrowej. Ponieważ kilkodniowa podróż po złych drogach znużyła mnie nieco, postanowiłem wypocząć tu dzień jeden, aby następnie udać się do Huambo, gdzie miałem zamiar osiedlić się na czas dłuższy. Trafiła mi się więc sposobność przyjrzenia się, jak to robota na faynie idzie. Przyjemność było patrzeć na tych ludzi rzeźkich, wesołych, zręcznych, jak dowcipkując, żartując, żwawo spełniali swe czynności. Całe grono niewiast było zajęte przyrządzaniem różnych miejscowych smakołyków, jak „tamale“, świnki morskie pieczone, gotowana i silnie opieprzona kajeńskim pieprzem fasola, jaja sadzone na maśle i t. p., gdy inne dopomagały mężczyznom w robocie, która mimo częstych przerw, spowodowanych krążeniem kieliszka, postępowała szybko. Ja znalazłem się tam odrazu jakby między dawno znajomymi ludźmi. Odnoszono mi, honorowano, sadzano na pierwszym miejscu, każąc niemal zapominać, że się znajduję w kraju obcym, między ludźmi, których poraz pierwszy widzę.

Mogłem się wtedy przekonać, że wszyscy koloniści, czyli gospodarze i ich rodziny przechowały istotnie czystą krew Hiszpanów i to nie tych z południa, lecz północnych, z białą cerą i niezbyt ciemnymi, a niekiedy nawet blond włosami. Szczególniej kobiety odznaczały się białością cery, a niektóre z nich miały rysy bardzo regularne. Szkoda tylko, że wiele z nich ospa zeszcęcała, a wszystkie prawie w młodym już wieku potraciły zęby. Jest to charakterystyczne dla całej doliny, że zarówno mężczyźni jak i kobiety tracą zęby w młodym wieku. Zapytywani o przyczynę tego, odpowiadali zwykle, że to woda sprowadza tak smutne skutki; mnie się jednak zdaje, że wczesne wypadanie zębów pochodzi od

ciągłego użycia mięsa suszonego i silnie osolonego, gdyż sam na sobie doświadczyłem niepożądanych skutków tego pokarmu. Po dłuższym pobycie w Huambo i w Chirimoto, gdzie głównem mojem pożywieniem było „charqui“ (mięso silnie solone i suszone), zaczęły mnie dziąsła boleć a następnie z mięsa obłazić na dolnej szczęce. Zapobiegłem temu w części, żując często za radą mieszkańców cytryny; przeszło mi to jednak dopiero wtedy, gdym dolinę Huayabamby opuścił i karmić się zacząłem inną strawą. Ogołocone z dziąseł dwa zęby trzymały się jeszcze dość długo, aż w końcu wypadły. Nie można więc wątpić, że były to przypadłości natury skorbutycznej, które też muszą być przyczyną wczesnego wypadania zębów u mieszkańców Huayabamby.

Jest inna dolegliwość, która trapi mieszkańców tego szczęśliwego z innych względów zakątka świata, a mianowicie choroba, zwana wolem.¹⁾ Jest ona bardzo rozpowszechniona zarówno wśród mężczyzn jak i kobiet, a niekiedy przybiera zastraszające rozmiary. Widziałem między innymi pewnego parobka, u którego szyję obejmowała narosć wielkości nowonarodzonego dziecka, co sprawiało nadzwyczaj przykre wrażenie. I w tym wypadku ludność miejscowa przypisuje wodzie powstawanie tej choroby, na dowód czego przytaczają, że jest ona zlokalizowana do pewnych miejscowości. Dawniej uważano ją za nieuleczalną; od czasu jednak, jak za poradą lekarzy zaczęto stosować jodynowanie, zauważono liczne wypadki całkowitego usunięcia choroby, o ile środek ten został zaaplikowany w samym jej zaczątku.

Huayabamba składa się właściwie z dwu dolin, rozdzielonych niewysokimi górami; jedną z nich (północną) płyną rzeki Jevil i Omia, a drugą południową Rio de Pinduccho, która stosownie do miejscowości przybiera poniżej nazwy: Rio de Curiyacu, Rio de Totori i Rio de Millpuc. Dolina północna zwięza się naturalnym sposobem ku wschodowi, gdzie połączone rzeki Jevil i Omia płyną dość zacieśnionym wąwozem. Przeciwnie dolina południowa zamknięta jest ze wszech stron górami, a płynącą nią rzeka Millpuc w miejscu, noszącem tę samą nazwę zagłębia się w otwór, znajdujący się w skale, płynie pod ziemią na przestrzeni kilku kilometrów i wydostawszy się znów na powierzchnię, łączy się z rzekami Jevil i Omia, aby utworzyć znaczną rzekę Rio de Huambo, jeden z przytoków Huallagi. Cała część rzeki Huambo od miejscowości tejże nazwy aż do zlania się z Huallagą nie jest znaną nikomu. Istnieje jednak przypuszczenie, że jest to ta sama rzeka, która wpada do Huallagi około miasteczka Pachiza.

Przytoczyłem te wszystkie szczegóły, aby z jednej strony zaznaczyć czytelnikowi z topografią Huayabamby, a z drugiej—zwrócić jego uwagę na charakterystyczne, podziemne wydostanie się rzeki Millpuc z otaczającego ją pierścienia górskiego. Widzieliśmy już poprzednio, że w ten sam sposób, podziemnym kanałem wydostaje się rzeczka Cutervo i zrobiłem wtedy uwagę, że według

¹⁾ Mieszkańcy Huayabamby nazywają tę chorobę „el coto.“

wszelkiego prawdopodobieństwa kanał ten został wykuty przez ludzi, aby spuścić wody jeziora i tym sposobem otrzymać znaczną powierzchnię nadzwyczaj urodzajnej i łatwej dla swego poziomego położenia do uprawy ziemi. Otóż według mego przekonania podobny wypadek zachodzi też z południową doliną Huayabamby, stanowiącą dno jeziora, którego wody dzięki mrówczej pracy przedpodbojowych mieszkańców, wpuszczone zostały przez wykuty w skale tunel.

Tego rodzaju tytaniczne roboty nie były rzadkością u dawnych Peruwjan, których pracę podziwiać dziś jeszcze można w pozostałych kanałach irygacyjnych, w olbrzymich ruinach świątyni i fortec lub w śladach doskonałej, brukowanej drogi, która prowadziła wzdłuż Kordyljerów od Cuzco aż do Quito.

Starodawni Peruwjanie pod panowaniem Inkasów dosięgli także wysokiego stopnia rozwoju w uprawie ziemi. Zdejmowali nieraz na znacznych przestrzeniach górną warstwę ziemi czy piasku, aby się dostać do wewnętrznych urodzajniejszych i wilgotniejszych pokładów. Doskonałym też dowodem ich wysokiego rozwoju w tym kierunku są ślady, że ją tak nazwiemy „kultury tarasowej“ jakie spotykamy w dolinie Huayabamby. Ten rodzaj uprawy ziemi, znany także i w południowej Europie, a prawdopodobnie i w Azji, polega na tem, że na zboczach gór robi się podmurówka z kamieni, a następnie wypełnia się obmurowania ziemią roślinną, przez co otrzymujemy szereg tarasów, wzniesionych jeden nad drugim, a przedstawiających powierzchnię poziomą, nie zaś pochyłą. Ślady takich tarasów widziałem w dolinie Huayabamba pomiędzy osadami Corral i Totorá.

Jakkolwiek obecni mieszkańcy doliny nie przedsięwzięli prac tak olbrzymich, jak ich przedpodbojowi poprzednicy, a nawet zarzucili niektóre ich dawne urządzenia, jak np. tarasy, to jednak uprawa ziemi kwitnie tutaj, zapewniając krajowcom byt dostatni. Główną rośliną, uprawianą w Huayabambie, jest trzcina cukrowa, z której pędzi się wódkę lub wyrabia cukier; oba te artykuły rozchodzą się po całym departamencie Chachapoyas, a nawet przewożone bywają do sąsiedniego departamentu Cajamarca.

Z wyjątkiem kilku miasteczek, jak Santa Rosa, San Nicolas i Omia, osady rolników są rozrzucone pojedynczo, w nieznaczej zwykle jedna od drugiej odległości. Najczęściej taka osada składa się z domu mieszkalnego, z drugiej chaty, przeznaczonej na kuchnię, oraz z szopy, pod którą się mieści młyn do wyciskania soku z trzciny cukrowej, oraz ałembik do pędzenia wódki. Stodoł żadnych niema, a że bydło rok cały pozostaje na zielonej paszy, więc i obory nie są tu znane, jak zresztą w całej Inkazji.

Wspominałem już, że w Corralu zabawiłem dzień cały, aby wypocząć po uciążliwej drodze z Chachapoyas. Następnie wynająłem przewodnika, któryby mi do Huambo towarzyszył, i pozostawiwszy Fidela w Corralu, sam z przewodnikiem ruszyłem trzeciego dnia w drogę, wzięwszy ze sobą nieco „fiambre“, miałem bowiem nadzieję, że nazajutrz powrócę.

Droga z Corralu prowadzi zrazu równiną koło osady Chirimoto, a następnie wznosi się nieco, aby później gwałtownym spadkiem spuścić się do niewielkiej osady Achamal, złożonej z kilku zaledwie chatek. Minąwszy tę ostatnią w dolinie Huayabamby siedzibę ludzką, kroczyłem już ciągle lasem po jednym ze zboczów doliny rzeki Huambo. Boże! zmiłuj się, co to za droga. Jest to właściwie ścieżka, mająca miejscami literalnie jedną piędź szerokości: często spotyka się tu zawaly, które z trudnością ominąć można; miejscami znów muł mój brnął niemal po brzuch w kałużach wody, jakie deszcze dni ostatnich potworzyły.

Przewodnik mój szedł przodem piechotą, ja zaś jechałem za nim na mym mule, który dotykał niemal łbem pleców jego. W miejscu, gdzie właśnie wążuteczka ścieżka prowadziła wzdłuż urwistego zbocza góry, człowiek naraz zatrzymał się niespodzianie, czem przestraszony muł, cofnął się krok jeden i w tym ruchu, jedna a potem druga tylna noga zarwały się mu w rozmiękczonej ziemi. Sądziłem, że runę wraz z wierzchowcem w przepaść; lecz ten nadzwyczajnym wysiłkiem szarpnął się naprzód i wyskoczył na drogę. Uratowała mnie tylko ta okoliczność, że m dosiadał silnego i doskonałego muła, gdyż inaczej poniósłby śmierć niechybnie, lub co najmniej kości sobie połamał.

Droga zwolna, ale stale opuszczała się nadół, a jednocześnie las przybierał coraz więcej zwrotnikowy charakter: piękne palmy woskowe, olbrzymie fikusy, ljanya, pnące się po drzewach lub wyprężone od ziemi do wysokich konarów, niby liny okrętowe, wszystko to zwiastowało, że znajduję się nareszcie wśród tych potężnych lasów, do których tak zawsze wzdychałem.

Wreszcie o godzinie 3-iej po południu dobrnęliśmy do Huambo. Była to podówczas niezamieszкана osada, składająca się z jednej nędznej chałupiny, oraz z przylegającej do niej banianiarni i plantacji drzewa kakaowego. Właściciel jej, niejaki Eustaquio Torres z Huayabamby, przyjeżdżał tu tylko od czasu do czasu po banany lub do zbierania kakao i manioku, które na sąsiedniej plantacji uprawiał. Zgodził się on wynająć mi chałupę bezinteresownie; odrazu jednak zmiarkowałem, że w tej nędznej siedzibie niepodobna było przebywać, gdyż przez dziurawą strzechę woda się lała do środka, a sama chatka groziła lada chwila runięciem. Trzeba więc było pomyśleć o wybudowaniu innego domku, na co się też odrazu zdecydowałem. Z drugiej znów strony bezpośrednie sąsiedztwo lasu, którym osada była okoloną, dawała gwarancję łatwych i wydajnych ekskursji.

Huambo było ongi dość znaczną osadą i po dziś dzień istnieją jeszcze w banianiarni resztki kaplicy. Według miejscowego podania zniszczyli ją dzicy Indianie, którzy z głębi, od rzeki Huallagi, przybyli. Już potem najściu, mieszkańcy Huayabamby, chcąc się przekonać, z kąd „indios bravos“ przychodzą, spuścili się wdół rzeki Huambo i trafili na wielką skałę, z której rzeka kaskadą spada. Skała ta jest jakoby zupełnie prostopadła i dla znacznej wysokości — nieprzebyta, dzicy zaś dostawali się na nią przy po-

mocy olbrzymiej ljanę, która się wzdłuż tej skały pięła. Miejsco-
wi ljanę tę ścięli i odtąd ustały wszelkie napady Indian.

Rzeka Huambo płynie w odległości kilkuset kroków od cha-
ty, z której doskonale slychać szum jej potężny. Łączy się ona
znacznie poniżej z Rio Verde, która płynie z wyżyn Cajamarquilla,
jedynego śnieżnego szczytu w tej części Peru. Osada Huambo,
jeśli można dziś tak nazwać tę zrujnowaną chalupinę i zapuszczo-
ną plantację, leży po prawej stronie rzeki; na lewym zaś brzegu
rozciągają się tak zwane „terrenos valdios“ — czyli ziemie bez
właściciela, które każdy może nabyć po złożeniu 15 soles na rzecz
miejscowej dobroczynności.

Rozejrzawszy się w położeniu i zbadawszy miejscowe wa-
runki, dnia następnego powróciłem do Corralu, a ztąd we dwóch
z Fidelem puściliśmy się do Chachapoyas, gdzie też stanąłem
przed świętami Bożego Narodzenia, które spędziłem w gronie ro-
dziny don Tomasa Torrejona i innych moich dobrych przyjaciół,
a następnie wziąłem się do zorganizowania mojej nowej wyprawy.
Ogółem zebrało mi się 12 pełnych ładunków, po 10 arrobas ¹⁾
każdy, że jednak dla złego bardzo stanu dróg miejscowi arrierzy
biorą tylko ładunki po 5 arrobas. trzeba więc było pomyśleć o 12
mułach dla przewiezienia ich do Huayabamby, z czem miałem nie-
mało kłopotu. Wogóle z arrierami, czy to z profesji, czy p zy-
godnymi sprawa bywa niełatwa, bo albo ich wcale niema, albo je-
żeli się znajdują, drożą się i oszukują. Tym jednak razem traf szczę-
śliwy z kłopotu mnie wybawił, gdy byłem bowiem gotów do drogi,
pojawiło się kilku znajomych moich z Corralu, którzy zgodzili
się za umiarkowaną cenę przewieźć moje ładunki na miejsce, nie
chcieli jednak zabierać więcej na każdego muła, czy konia, jak 4
arrobas, czyli 100 funtów. Zgodziłem się na ten warunek, byle tyl-
ko czasu nie tracić i wyprawivszy naprzód cały mój багаż, wnet
wyruszyłem sam w towarzystwie tylko mego wiernego Fidela.
Banderja, złożona z grona moich przyjaciół towarzyszyła mi o wiorst
kilka od miasta, a don Tomas odprowadził mnie aż do pierwszego
noclegu w Casinlas, gdzie był on podówczas t. zw. „depositario“,
czyli administratorem, wyznaczonym przez sędziego pierwszej in-
stancji, gdyż hacienda owa znajdowała się w procesie; aby więc
nie korzystała z niej żadna strona aż do ukończenia procesu, ma-
jątek oddaje się w depozyt osobie trzeciej, obowiązanej następnie
zdać rachunki. Zwykle jednak takie procesy ciągną się po kilka-
naście lat, bo inaczej coby mieli do roboty sędziowie i adwokaci;
a tymczasem z folwarku korzysta „depositario“, będący faktycznym
właścicielem aż do ukończenia procesu.

W Casinlas zauważyłem, że koń mego chłopca chroma sil-
nie — okoliczność bardzo niefortunna, biorąc na uwagę, że był to
dopiero pierwszy dzień naszej podróży, a najgorsza część drogi
pozostawała przed nami. W chwili więc rozstania się z don To-
masem, zdecydowałem się zrobić z nim następującą transakcję.

¹⁾ Przypominam że arroba = 25 funtom hiszpańskim.

Dosiadał on doskonałego konia, obdarzonego takim potężnym truchtem (paso del camino), że trzeba było na innym koniu klusem jechać, aby podążać za nim. Jest to znakomita wygoda w podróży, krok bowiem taki nie męczy jeźdźca, a przytem można jechać względnie prędko. Zamieniłem więc mego kulawego kasztana na tego doskonałego siwka, dopłacając memu przyjacielowi 60 soles (około 120 rb.). Przytaczam te szczegóły dla tego, że w następstwie za wartość tego konia miałem wybudowany dom w Huambo i karmiłem się przez pół roku wraz z moim chłopakiem.

Pożegnawszy się z **mym** pocziwym przyjacielem, wyruszyłem rano o godzinie 9-ej i jadąc dość chyżo, stanąłem o 4-ej w Tinas, gdzie mnie dogonił pewien Niemiec rodem z Erfurtu, niejaki Karol Scharp, czy coś podobnego, miejscowi bowiem zrobili z niego Hiszpana, nazywając go don Carlos Zarate. Jegomość ten, osiadły od lat 18-u w Peru, mówił po hiszpańsku, jakgdyby przybył dopiero przed trzema tygodniami. Z nim pojechałem już dalej dnia następnego i pożegnaliśmy się dopiero w Cochamal, gdzie on pozostał, a ja dnia tego na noc przybyłem do Santa Rosa i stanąłem u zacnego ks. Torresa. Ztąd już tylko kilka godzin drogi dzieliło mnie od celu naszej podróży. Wcześniej też czwartego dnia po wyjeździe z Chachapoyas stanąłem w Chiromoto u miejscowego „gubernatora“, któremu słów kilka poświęcić muszę, gdyż człowiek ten w następstwie stał się moim najlepszym przyjacielem i wogóle odegrał ważną rolę w tej mojej wycieczce do doliny Huayabamba.

Don Tereso Rodriguez był to mężczyzna trzydziesto-kilkoletni, ciemny blondyn z siwemi oczyma, wzrostu średniego, szczupły, ale żyłasty. Słaby zarost okalał jego wargi, a znaczne zgrubienie na gardzieli świadczyło, że i on cierpi na tak rozpowszechnione w dolinie wole. Z twarzy jego biła szczerłość i pocziwość, których to cnót w długim obcowaniu ze mną nie zdradził. Chodził obyczajem wszystkich miejscowych mieszkańców boso, ubierając się w krótki szpencerek i obcisłe pantalone; głowę zaś przykrywał prawdziwym kapeluszem panamskim z niezbyt odległej Moyobamby. Strój to powszechny dla mieszkańców doliny.

Żona jego, dona Circumsicion (*sic*), zwana zdrobniale dona Shircu, niewiasta lat dwudziestu kilku, rysami swymi przypominała rafaelowską Madonnę, a białością cery — flamandzkie niewiasty; szpecił ją jednak prawie zupełny brak zębów. Nosiła tak jak wszystkie miejscowe kobiety spódnicę samodzielową, farbowaną na ciemny granat przy pomocy indygo, a na ramiona zarzucała niekiedy takąż chustę. Zwykle jednak przy zajęciach domowych wydelkotowana koszula bez rękawów, odsłaniała bezceromanjalnie jej białą pierś i ramiona.

Twarz jej miała wyraz dziwnej dobroci i łagodności. Nic też dziwnego, że małżeństwo to mimo braku dzieci, który bywa często powodem do niesnasek rodzinnych, żyło zawsze w przykładowej zgodzie. Mieszkałem u nich później przez długie miesiące, a nigdy nie słyszałem najmniejszych kłótni, czy też swarów. Bło-

gosławilem los, który mnie w mej przykrej nieraz karjerze pod-
różnika zetknął z tymi poczciwymi do szpiku kości ludźmi.

Zainstalowawszy się chwilowo u Rodriguez'ów, zająłem się przede wszystkim zgromadzeniem moich ładunków, które jako przywiezione przez kilku miejscowych kolonistów, znajdowały się rozrzucone po różnych osadach, a następnie pomyślałem o budowie domku w Huambo. Sprawę tę ułatwiły mi stosunki mego nowego gospodarza, którego stryj, don Ciriaco Rodriguez, podjął się budowy na następujących warunkach. Owego siwosza, którego nabyłem w drodze od don Tomasa, przyjął on w cenie 80 soles (około 160 rb.), a za to zobowiązał się wystawić mi domek, mający 2 i pół sążnia długości, 2 — szerokości, z poddaszem, strzechą nieprzeciekająca, z oknem, drzwiami i tapczanem wewnątrz izby — wszystko to w cenie 20 soles. Pozostałe zaś 60 soles miał mi spłacić wiktuałami. Jakoż dał mi sporego byczka, fasoli, cukru, kawy i t. p. ogółem na sumę 30 soles, a pozostałą część długu zobowiązał się spłacać również prowiantami.

Wkrótce też don Ciriaco wyruszył z parobkami do Huambo. Towarzyszyłem mu w celu wyboru miejsca na domek, poczem wróciłem do Chirimoto, aby zająć się suszeniem mięsa, którego dostarczył mi byczek nabyty od don Ciriaca. Przygotowanie tak zw. „charqui” (suszonego mięsa) jest to rzecz dość zmusna i wymagająca starania. Mięso kraje się na długie i bardzo cienkie plastry, poczem soli się je mocno i pozostawia w soli przez noc całą. Dnia następnego rozwiesza się je na sznurach na pełnym słońcu i suszy przez dni kilka, pilnując ustawicznie, aby muchy robactwa nie naniosły. Tak wysuszone mięso można przechowywać przez długie miesiące; jeść zaś można albo gotowane, albo lepiej jeszcze zbite na kamieniu i następnie upieczone na węglach. W smaku jest ono niezłe, a w każdym razie o wiele lepsze, aniżeli, wędzone przez nas w Tambillo; przy dłuższem jednak użyciu sprowadza przypadłości szkorbutyczne, o czem wyżej wspomniałem.

W robocie domku dopomagał także właściciel Huambo, wspomniany już przezemnie Torres, gdyż chałupka ta miała mu się pozostać w spadku po moim odjeździe. Zabrał więc ze sobą parę wołów do wożenia drzewa i sam jako parobek w robocie dopomagał.

Dzięki temu przysła moja siedziba w sześć dni została ukończona; a że i ja w tym czasie załatwiłem wszelkie przygotowania, nic więc nie stawało na przeszkodzie do mego wyjazdu.

Nie tracąc czasu, dnia następnego wyruszyłem. Karawana moja miała w sobie coś patryalchalnego: przodem kroczyła poważnie biała jak śnieg, a stara jak świat, mulica, niosąc na swym grzbiecie dziesięć kur z kogutem po środku, które wziętem ze sobą, aby mieć zawsze świeże jaja. Za nią ciągnęły sznurem inne muły, obładowane onemi skrzyniami lub workami z prowiantem; w arjergardzie jechał najprzód Marcos Trigoso na małym, nieosiodłanym koniku, robiąc wrażenie zbankrutowanego Don Kiszota; potem szedłem ja piechotą, niosąc rtęciowy barometr, pożyczony

mi przez inżyniera Werthemana z Chachapoyas, dalej Fidel, Tere-so Rodriguez i jeszcze kilku parobków.

Przybywszy szczęśliwie po kilkugodzinnym marszu do Huambo, pierwszym zadaniem było obejrzeć przyszłą moją siedzibę. Domek ten, przyznam się, niebardzo mnie narazie zadowolnił. Zbudowany z okrągłaków, posiadał okap strzechy tak mały, że w czasie deszczów woda obmywała ściany i przez szpary dostawała się do wnętrza. Klepiska nie wyrównano i pozostawiono na niem zielska w stanie przyrodzonym. Tę jednak niedogodność usunęliśmy następnie, a że strzecha była dobrze zrobiona i nie przeciekała, więc miałem siedzibę, która mnie i moje kolekcje jakotako zabezpieczała od wszelkich niepogód.

Kiedy nazajutrz przyjaciele moi odjechali, pozostałem sam z Fidelem wśród tych bezbrzeżnych lasów. Przystąpiłem też zaraz do urządzenia się w domku. Dolną izbę przeznaczyłem na pracownię i skład moich rzeczy, poddasze zaś, którego jeden trójkątny bok był zupełnie otwarty — na sypialnię spiżarnię i suszarnię mych kolekcji. Do okna izby dopasowałem wieko jednej ze skrzyń, którą śrubkami przykręcałem od wewnątrz, gdym na ekskursję z chłopcem moim wychodził. Drzwi zabezpieczyłem mocną kłódką.

Ostrożności te były niezbędne ze względu, że od czasu do czasu przychodzili tu z Huayabamby tak zwani „coqueros“, czyli zbieracze liści koki. Stół urządziłem sobie tuż przy oknie, wbijając w ziemię cztery drażki, połączone dwoma poziomymi, do których przybiłem niepotrzebne wieko skrzyni. Do siedzenia służyły nam puste skrzynie. W oknie zawiesiłem dwa termometry (suchy i wilgotny) do badań hygroskopijnych, a na ścianie umieściłem barometr właściwy. Na tapczanie, ciągnącym się wzdłuż ściany naprzeciw drzwi, porozstawiałem skrzynie, aby im wilgoć, bardzo w tej porze roku obfita, nie zaszkodziła; w ten sam sposób pomieszczałem różne moje przedmioty, mogące uciepnieć od wilgoci. Na ścianie zaś porozwieszałem najrozmaitsze narzędzia, jak młotki, toporek, piłę, nożyce blacharskie, winkle, obcęgi i t. p.

Poddasze miało podłogę z tarcic palmowych, sporządzonych w ten sam sposób, co tarcice bambusowe w Ekwadorze, o czym pisałem poprzednio. Tutaj rozłożyliśmy naszą pościel, a nad nią rozpostarliśmy moskitery, bez których niepodobna by było wyspać jednej nocy. Tutaj też mieściły się niezalutowane jeszcze blaszanki z kolekcjami, oraz świeżo suszące się ptaki. Wreszcie stare domostwo zajęliśmy na kuchnię, bardzo pierwotną wprawdzie, bo składającą się z kilku kamieni, na których się kociołki stawiało, niemniej jednak oddającą nam równie dobre usługi, jak najwyszukańsze angielskie urządzenia. Na poddaszu zaś starego domostwa ulokowaliśmy gniazdo, do którego kury jaja zносиły. Tam też była suszarnia wszelkich owadów.

Tuż obok domku zbudowaliśmy kurnik z silnych okrągłaków, do którego na noc kury zapędzaliśmy, aby nam ich ocelot lub dydelf nie porwał.

Fidel, który oprócz czynności strzelca, preparatora i stajennego spełniał także funkcje kucharza, miał jako taki do rozporządzenia następujące produkty spożywcze: mięso suszone, ryż, fasolę, suszone kartofle (t. zw. cocopa), maniok, banany, szmalec, jaja i świeże mleko, które zawdzięczaliśmy tej okoliczności, że się właśnie dwie miejscowe krowy Torres'a ociełiły, więc nam pozwolono doić je dowolnie. Nadto kupiłem jeszcze w Chirimoto wieprzka w celach utuczenia go, więc kwiczący ten okaz powiększył nasz inwentarz domowy. Liczyłem też, że polowanie dostarczać nam będzie od czasu do czasu świeżego mięsa; i w samej rzeczy pojawiały się na moim stole doskonale penelopy, to znów wielka leśna kuropatwa, coś w rodzaju „tinamu“, a nawet małpy, których mięso jest bardzo smaczne. Miałem więc kuchnię niezbyt wyszukaną, ale zdrową i posilną. Kilkakrotnie urozmaiciłem też nasze jednostajne „menu“ drobnymi, lecz doskonałymi rybkami, które w rzece przy pomocy sieci łowiliśmy zarówno do kolekcji, jak i na kuchnię.

Urządziwszy się należycie, przystąpiłem zaraz do prac kolektorskich. W samym jednak początku zdarzył mi się przykry wypadek, którego następstwa paraliżowały w znacznym stopniu mój zapał przyrodniczy przez cały pierwszy miesiąc. Oczyszczając z lasu najbliższą przestrzeń wokół domku, zadałem sobie siekierą ciężką ranę w lewą stopę. Nie mogąc chodzić swobodnie, posyłałem Fidela na ekskursje, a sam łowiłem owady, strzelałem ptaszki koło domu, lub preparowałem zdobyte okazy. Gdy mi się narzeczcie rana wygoiła zupełnie, mogłem rozpocząć na dobre me prace, które też uwieńczone zostały świetnym rezultatem.

Las w Huambo wzniesiony jest na 4700' nad poziom morza i stanowi przejście między lasem serrańskim i lasem gorącym po rzece Amazonki. Ten typ leśnych okolic nazwałem w swoim czasie „leśna Quichua”.¹⁾ Przyjrzyjmy się, jak on mniej więcej wygląda.

Jak i w bezleśnym odpowiednim typie, znajdujemy się tu w dość ciasnej dolinie, ograniczonej mniej lub więcej stromymi górami. Dno doliny stanowi szereg równin, leżących raz po jednej, to znów po drugiej stronie rzeki, która wijąc się, płynie z szumem swem kamienistym łożyskiem. Sama rzeka czemżeby się różniła od podobnych jej rzek serrańskiego regionu? Tak samo jak i tam głazy kamienne zawalają jej łożysko, a woda płynie z szumem pomiędzy nimi lub przez nie się przelewa. Niekiedy jednak spotkamy tu znaczniejsze przestrzenie, mogące liczyć kilkadziesiąt kroków długości, gdzie dno strumienia, przy nieznacznym stosunkowo spadku, pokryte jest jedynie drobniejszymi kamieniami, z kąd i woda płynie spokojniej z mniejszym szumem.

Jakżeż piękne są jednak brzegi tej rzeki. Wspaniałe drzewa, wyniosłe, potężne, o gęstej koronie, wznoszą się w nieznaczącej od siebie odległości, tworząc ciemne sklepienie ponad naszą głową. Między nimi wybitne stanowisko zajmuje potężny „higueron”

¹⁾ Wspomnienia z podróży po Peru (Wszechświat 1883, Nr. 26 i następne).

(*Ficus gigantea*), którego olbrzymi pień posiada u podstawy cały szereg koncentrycznych zagród, utrwalających go na gruncie. Miejscami wznoszą się piękne, wysmukłe palemki kolczaste (*Astroca-ryum*), o długich, twardych kolcach, jeżących się na całej długości pnia.

Te części lasu, znajdujące się na równinach w bezpośrednim sąsiedztwie rzeki, posiadają zwykle słabo rozwinięte, laskowate podszycie pozwalające wzrokowi obejmować dość obszerny stosunkowo widnokrąg. Miejscami rośnie tu precudna mała palenka, której włókna służą właśnie do wyrabiania kapeluszy panamskich (*Carludovica palmata*). Lastaki wygląda prawdziwie miejscami, jakby urocza jakaś świątynia o szeregach nieregularnych, wyniosłych kolumn.

Na samym brzegu rzeki rosną tu i owdzie piękne drzewa, znane nam już z regionu „Quichua” bezleśnej, guavo (*Inga*). Tu też można się spotkać z kępami dzikiego bambusu, który krajowcy „calo” nazywają, używając go do robienia małych pudełek na konfitury. Miejscami trafiają się obszerne pobraża piaszczyste, porośnięte rzadką trawą i niewysokimi zaroślami guayawy (*Psidium pyriferum*), dostarczającej smacznych owoców, na które bardzo się łakomią niektóre gatunki małp.

Należy też objaśnić, że ta część lasów peruwjańskich jest ojczyzną sławnej nawet w Europie koki (*Erythroxylon coca*). Nie-wielkie rzaki tej rośliny, poszukiwane nadzwyczaj skrupulatnie przez tak zwanych „coqueros” czyli żujących kokę, dają nieduże owalne listki, które wysuszone odpowiednio, stanowią dla Indianina całej wschodniej Inkazji środek pobudzający, używany szczególnie przez ludzi ciężko pracujących, jakimi są górnicy lub tragarze (*cargueros*). Koka, żuta z małą domieszką wapna sprowadza nie pijaństwo, lecz ogólne pobudzenie systemu nerwowego, dając biedakowi wytrzymałość w jego ciężkiej pracy. Kto się raz oddał żuciu koki, tak mu jest trudno odzwyczaić się, jak od picia wódki lub palenia tytoniu.

Sklony gór, stanowiące niejako drugą, odrębną część doliny, pokryte są wogóle drzewami nie tak wyniosłymi, jak na przy-rzecznych równinach, co łatwo jest objaśnić sobie cieńszą warstwą humusu, na której olbrzymy leśny nie znalazłaby dostatecznej opo-ry. Natomiast gąszcz podleśny rozwija się tu obficie dzięki łatwiejszemu dostępowi światła, niż pod wyniosłymi i rozłożystymi drzewami. W tej jednak części doliny najbardziej charakterysty-czną rośliną jest pewna niezbyt wysoka, ale niezwykle piękna pal-ma, podobna z kształtu i liścia do palmy sagowej. Palma ta po-rasta obficie skłony okolicznych gór, zastępując miejscami inne drzewa. Te strome ściany, porośnięte ową palmą, stanowią właśnie wybitną cechą miejsc, położonych na wschodnim stoku Kordylje-rów w granicach 3000 do 4300 stóp wysokości nad poziomem morza.

Przyznać trzeba, że ten typ okolic należy do najpiękniejszych na całym terytorjum peruwjańskim i że części lasów tak wspa-

niałych, jak te szczególnie, które na miejscach równych w pobliżu rzek porastają, trudno jest znaleźć nawet wśród obszernych równin amazońskich. Drzewa tu może nie są wznioślejsze, ani grubsze, lecz za to gęściej rosną, niż w lasach nizinowych.

Następstwo pór roku niczem się nie różni od innych stref i tę tu tylko uwagę zrobić mi należy, że tych mglistych i dżdżystych dni, jak w lasach serrańskich, niema tu wcale. Zrana zwykle piękna pogoda panuje. Około 2-iej lub 3-iej popołudniu zbiorą się chmury na jednym z okolicznych szczytów, choć niewiadomo, czy one zdaleka przyszły, czy zebrały się na miejscu. Deszcz szybko się zbliża, a zwykle poprzedza go silny uragan, który na swej drodze drzewa jak tyki wali. Nadleciał, skręcił, zgiął wszystko: słyhać trzaski i łoskot! Silne są wtedy eksplozje elektryczne. Razu pewnego na sąsiednim grzbiecie gór błysnął wężykiem piorun; wkrótce potężny głos jego mnie doszedł, lecz jednocześnie już drugi spadał w to samo miejsce prawie, za nim trzeci, czwarty... tak w odstępach kilkunasto-sekundowych spadało aż 7 piorunów, a wszystkie w to samo miejsce.

Innym znów razem byłem świadkiem „suchej burzy“. Już o zachodzie słońca niebo zaczęło się zwolna zasuwać ciężkimi, ołowianymi chmurami, które z dołu doliny nadciągały. Pociemniało więc szybko dzięki tej szarej oponie i krótkiemu zmierzchowi, jaki pod temi szerokościami panuje. Gdy już tak nieco szarawo było, a w powietrzu cisza panowała, naraz wszystko oblane zostało olśniewającym, zlekka czerwonym światłem, a w kilka mgnień potem rozległ się nieopisany łoskot pioruna. Przywykliśmy tak dalece do słyszenia piorunów przy akompaniamencie szumu deszczu, że mi się złowrogą wydała cisza, jaka po tej silnej eksplozji nastąpiła. A cisza to była kompletna; wiatr umiął zupełnie, ptactwo do snu się uszykowało, więc nie ożywiało okolicy swym krzykiem lub śpiewem. Jeszcze trochę pociemniało, gdy nowa błyskawica rozdarła niebo, a za nią bezpośrednio łoskot taki, jakby się całe niebo na nas walić miało. Znów chwila ponurej ciszy. Tak po jakich 5-ciu czy 6-u wspaniałych eksplozjach przeszła ta „spokojna“ burza, niebo jedaak zostało zasnutę chmurami przez noc całą.

Deszcze bywają tu zwykle ulewne, lecz niedługotrwałe, chociaż i tu, jak i w innych częściach Montanii trafiają się trzy, a nawet cztery dni z rzędu ciągłej niepogody. Wogóle zauważyłem, że w grudniu i styczniu trafiają się częściej ulewne, popołudniowe deszcze z grzmotami i piorunami, gdy przeciwnie w marcu i kwietniu łatwiej o dżdże drobne, gęste a długotrwałe.

Pora dżdżysta pociąga za sobą niewielkie zmiany w krajobrazie, jedynie tylko zauważyć możemy pojawienie się niektórych kwiatów, jakich przedtem nie widzieliśmy. Aloes (*Agave sp.*), rosnący po brzegach lasu, rozwija wtedy swe białe kwiaty, zwieszające się na długiej, niby tyka—łodydze. Pewna wijąca się roślina (*Mannetia*) pokrywa się także niewielkimi, podługnymi kwiatkami. W wielu miejscach „alicon“, rosnący po brzegach pól uprawnych,

pokrywa się niewielkimi, błękitnymi kwiatkami. Są to jedyne prawie zmiany, jakie pora dżdżysta za sobą sprowadza. Mówię tu jednak tylko o zmianach dostępnych dla pobieżnego egzaminu okolicy; gdybyśmy bliżej wniknęli, znaleźlibyśmy wiele takich zmian, jakie trudno by nam było dopatrzeć przy powierzchownym rzucie oka.

Ciągle deszcze tworzą na miejscach równych szereg kałuż, będących kolebką myrjadów komarów, które się nad nimi unoszą. Las, który przedtem wolny był od tej plagi, teraz roi się wielką ich liczbą. Nie są to wprawdzie te niezliczone ilości, jak nad brzegami Amazonki lub Ucayali, gdzie w niektórych okolicach ust otworzyć nie można, gdyż ich setki wpadają do gardła; zawsze jednak i tu biada myśliwemu, gdy go okoliczności zmuszą przysiąść lub przystanąć. Dziesiątki tych nieznosnych stworzeń w jednej chwili go opadną, klując przez odzienie, gdy się je z części obnażonych naszego ciała spędza.

Nocną porą, jeśli nie mieliśmy tyle doświadczenia, aby się w namiot perkalowy zaopatrzyć, atakują nas malenięzkie, ledwie dostrzegalne meszki, zwane przez krajowców „jijin” (czyt. chichin) lub „alalapo“, które wdzierają się wszędzie, nawet we włosy i pod koldrę naszą. Ukłucie ich jest gwałtowne, gdyż niema zwykłego w tym razie stopniowania, jak przy ukłuciu komarów lub innych meszek; czuć, jak mały ten pasorzyt zanurza swój mikroskopijny ryjek. Biada nam wtedy, gdyż możemy być pewni, że przez noc całą oka nie zmrzujemy.

Już skoro zaczęłem mówić o plagach tego regionu, nie mogę pominąć milczeniem najniebezpieczniejszej z nich, jaką jest znaną nam już z Palmalu, mikroskopijny *acarus*, trzymającego się na różnych trawach i zielskach, jakie w tych okolicach porastają. Ztamąd spadają one na ubranie przechodzących ludzi, zkad przenoszą się na ciało. W Ekwadorze zwą tego *acarusa* „coloradilla” lub „selamba“, a we wschodnim Peru — „ponga“. Widzieliśmy, że *ponga* powoduje małe, ale strasznie świerzbujące pryszczyki, z których tworzą się z czasem trudne do wyleczenia rany.

Nie sam tylko człowiek cierpi od tej plagi; podlegają mu też zwierzęta ssące, a zdaje się, że nawet i ptaki. Stworzeniem najbardziej prześladowanym przez *pongę*, jest bezwątpienia *aguti*, zwany przez krajowców „chosca“ (*Dasyprocta variegata*), rodzaj gryzonia wielkości zająca. *Aguti* posiada zwykle ciało, pokryte parchami, od tych akarydów powstającymi. Zwłaszcza na policzkach tysiące tych pasorzytów, które pojedynczo zaledwie rozróżnić można gołym okiem i to jedynie na tle czarnem, tutaj zbite w jedną masę, tworzą duże plamy ceglatego koloru. Skóra w tych miejscach jest niemal na wylot przeżarta. Krajowcy nazywają też *aguti* — „ponguienta“, co ma podobne znaczenie, jak u nas parzywy od wyrazu parch.

Aguti jest jednym z najpospolitszych ssących w regionie „Quichua leśna“. Włócząc się po lesie wyszukuje owoce, którymi jedynie się karmi, woli jednak trzymać się w bliskości pól

uprawnych, zwłaszcza zaś w sąsiedztwie pól manioku, na które dostaje się, robiąc podkop pod płotem. Jedna czoska jest w stanie zrobić ogromne szkody, gdyż do napoczętych raz korzeni nie wraca już nigdy, a zatem potrzebuje codzień odkopać nową roślinę. Jeżeli więc zważymy, że często korzenie jednej rośliny wystarczyć mogą na wyżywienie całej rodziny w ciągu dnia i że raz odkopany korzeń w ciągu kilku dni usycha, stając się niezdatnym do jedzenia, łatwo pojmujemy, jak aguti jest nienawidzony przez krajowców. Aby go więc wytępić, robią nań zasadzki lub stawiają łapki; mądry ten jednak zwierz niełatwo daje się łowić i jeżeli na jego podkopie żelazo zostawimy, zrobi inny, aby niebezpieczeństwa uniknąć.

Łatwiej bez porównania jest strzelać go z zasadzki, gdyż w tym wypadku nie zachowuje żadnych środków ostrożności, a niekiedy nawet zdradza brak zupełny instynktu samozachowawczego, zbliżając się do mieszkań ludzkich wówczas nawet, gdy z wewnątrz dochodzi gwar rozmowy. Do tego śmiałego kroku popycha go widocznie chęć uraczenia się resztkami jedzenia, wyrzucanymi z kuchni, lub nawet ekskrementami ludzkimi, które podobnie jak świnia domowa bardzo lubi. Ta analogja aguti z trzodą chlewną nie jest jedyną i przy bliższem zbadaniu nie trudno byłoby przekonać się, że między temi zwierzętami już na pierwszy rzut oka istnieje dość blizkie pokrewieństwo, jakkolwiek należą one do różnych grup zoologicznych. Zachowanie się aguti bardzo nam dzikie świnie przypomina. Zrazu za zbliżeniem się człowieka stoi nieruchomo, jakby z kamienia wykuta; dopiero gdy już niedaleko się znajdujemy, puszcza się raptem, wydając kilkakrotne chrząknięcie i jeżąc sierść na kuprze. Mięso aguti jest bardzo smaczne.

Do zwierząt prześladowanych przez krajowców jako wielki szkodnik, należy inny gatunek gryzonia, bliski bardzo dopiero co opisanemu, a mianowicie tak zwany „picuru“ (*Coelogenys paca*); gdy jednak aguti jest zwierzęciem dziennem, paka głównie, a może nawet jedynie w nocy wycieczki swe na pola odbywa, dzień zaś spędza w norach, które wśród lasu kopie. Na plantacje manioku dostaje się podobnie jak aguti, to jest robiąc podkopy; jeżeli jednak kilkoro tych zwierząt odwiedza jednocześnie pole, każde z nich ma swój własny podkop, przez który dostaje się na plantację i z niej wychodzi. Krajowcy korzystają z tego osobliwego zwyczaju, polując na pakę w sposób następujący: gdy rolnik przekona się, że na plantację uczęszcza ten szkodnik, co łatwo rozpoznać może po świeżo odkopanych korzeniach manioku, przed wieczorem obchodzi dookoła płot, wypatrując pilnie podkopy, które niekiedy trudno są dostrzegalne poza trawami i zielskami, porastającymi brzegi pola. W każdym takim podkopie stawia wążki listek manjoku. Następnie około 8-ej lub 9-ej wieczorem idzie z latarką, i ze strzelbą na pole, biorąc ze sobą jednego lub dwa psy i znów obchodzi wszystkie podkopy; jeżeli paka znajduje się na plantacji, ta dziura, którą przeszedł zwierz, posiada listek wy-

wrócony. Wówczas myśliwy zatyka otwór, wieszka nad nim lartkę, zasiada w bliskości, gotów do strzału i puszcza psy. Ma się rozumieć, wszystkie te przygotowania musi wykonać w największej ciszy; spłoszony bowiem, a nie wylękniony zwierz mógłby się wynieść cichaczem przez inny otwór lub nawet zrobić w jednej chwili nowy podkop. Dopiero pod naciskiem psów traci głowę i pędzi prosto do tego otworu, przez który się dostał na pole, a tam go czeka pokrzywdzony rolnik, rzadko kiedy chybiający z odległości kilku kroków. Dodam jeszcze, że mięso paki należy do najsmaczniejszych kasków, jakie mi się jeść przytrafiło: jest białe, nadzwyczaj delikatne i soczyste; nic więc dziwnego, że krajowcy zapamiętali polują na pakę nie tylko ze względów obrony swych pól zagrożonych, ale również w celu zdobycia doskonałej potrawy dla swej kuchni.

Region leśnej Quichuy posiada w swej faunie kilka gatunków małp, które na tej wysokości stale przebywają. Nieraz myśliwy zaalarmowany zostaje nagłym szumem gałęzi w górze, w koronach drzew, a spojrzawszy w tę stronę, widzi szybkie i zwinne nadzwyczaj małpki kapucynki (*Cebus*), rzucające się z jednego drzewa na drugie, aż się gałęzie gną pod ich ciężarem. Czasu niema do stracenia, gdyż w jednej chwili stado rozprysnie się na wszystkie strony, zostawiając osłupiałego i rzucającego się na prawo i na lewo myśliwego bez możności dania strzału. Lubią szczególnie odwiedzać te miejsca, gdzie wśród młodego lasu rosną zasiane przez ptaki guayawy (*Psidium*), owoce których stanowią łakomy kąsek dla tych małpek. Z drugiej strony rzeki dochodzą nas wyčia czepiaka (*Ateles*), a niekiedy donośny ryk wyjca (*Mycetes*).

Na gliniastym gruncie ścieżki leśnej nieraz widzimy wielkie tropy tapira (*Tapirus pinchague*), samego jednak zwierza, jako posiadającego nocne obyczaje, niełatwo nam jest spotkać. Nocną porą idą te gruboskóry do małych jeziorek, jakie się wśród lasu niekiedy spotykają, aby tam wytarzać się w mule nadbrzeżnym.

Lew amerykański, czyli puma i ocelot — rodzaj centkowanego kota wielkości naszego rysia — zdają się tu być stałymi mieszkańcami. Puma wyrządza mieszkańcom szkody w trzodzie chlewnej, ocelot zaś — w drobiu. Rzadziej pojawia się tutaj jaguar i ten jednak drapieżnik, głodem pchany, zapędma się tu, zwabiony obecnością bydła rogatego lub koni i mułów, które na przylegających pastwiskach się pasą. Wówczas biada fermerom, ponoszącym dotkliwe straty, zwłaszcza w bydło rogatem, gdyż jaguarowi nienadługo wystarcza jedna sztuka, skoro ma takich pomocników, jak ptactwo drapieżne, a nawet niedźwiedź. Gdy więc król tych lasów, nasycony nocną ucztą, spoczywa gdzieś na gałęziach wysokiego drzewa, niedźwiedź tymczasem karmi się odpadkami z pańskiego stołu. Skoro się skończy jedna sztuka, za nią idzie druga i trzecia, aż póki okoliczni mieszkańcy nie zrobią wyprawy na szkodnika i celny strzał nie położy kresu dalszym grabieżom.

Nie mogę też pominąć milczeniem niewielkiego drapieżnika,

zwanego przez krajowców „tejon“ (czyt: techon—*Galictis barbara*), szkodnik to wszechstronny, niszczy bowiem niemiłosiernie drób domowy, a gdy mu mięsa zabraknie, zakrada się do banianiarni, aby glód swój zaspokoić smacznymi owocami.

Aby uzupełnić choć w części faunę mastologiczną tego regionu, wymienić mi wypada oba gatunki dzika amerykańskiego, zwanego „pekari“, odwiedzające niekiedy te lasy olbrzymimi stadami, złożonymi niekiedy ze 100, 200 a nawet do 1000 sztuk, jeśli można wierzyć opowiadaniom krajowców. Dalej, spotyka się tu wielki mrówkojad (*Myrmecophaga jubata*), leniwiec, kilka gatunków dydelfów, znany nam już kolczak (*Sphiggurus bicolor*), 8—10 gatunków szczurów i myszy oraz kilka gatunków nietoperzy.

Nie wspomniałem jeszcze o rudej leśnej sarnie (*Cervus rufus*), stanowiącej jedno z najbardziej charakterystycznych zwierząt dolnych części Montanii, zatem leśnej Quichuy i lasów gorących; a także o dwu a może o trzech gatunkach nosaczów (*Nasua*) lub o pięknym gatunku wydry południowo-amerykańskiej (*Lutra montana*), trzymającej się na większych strumieniach lub rzekach górskich, gdzie karmi się rybkami z rodzaju *Hypostomus*.

Istnieje jeszcze w faunie mastologicznej tego regionu niewielkie, a niezmiernie rzadkie i ciekawe zwierzątko, na ślad którego wpadłem dopiero na wyjeździe do Europy. Chcę mówić o wodnym dydelfie (*Chironectes variegatus*), którego niekompletną skórkę pokazał mi jeden z mieszkańców Huayabamby. Małe to zwierzątko trzyma się po brzegach górskich strumieni, karmiąc się drobnymi rybkami, które nawet z zastawionych wędziorków wyjada. Uważane jest ono jako jedna z największych rzadkości terologicznych, a jako dowód tego cytuję fakt, że znany podróżnik niemiecki, Natterer, przez 17 lat swego pobytu w Brazylii zdobył zaledwie trzy okazy tego gatunku, a i to jeszcze jak powiada Brehm w swem klasycznym dziele, zawdzięczał to tylko szczęśliwym okolicznościom.

Ptactwo leśnej Quichuy jest bardzo różnorodne, chociaż i tu jak i w innych częściach Montanii koncentruje się na pewnych przestrzeniach, więc można nieraz godziny całe chodzić, spotykając zaledwie pojedyncze ptaszki. Zato stadka wędrowne są tu chyba liczniejsze i bardziej urozmaicone, niż w lasach serrańskich, co innemi słowami da się wyrazić, że odbywa się tu wszystko na większą skalę dzięki bujniejszej roślinności. Las tutaj nie jest tak milczący, jak się z początku wydaje; przysłuchajmy się tylko, a usłyszymy różne głosy, dochodzące nas z głębi puszczy.

Skoro brzask zacznie się rozszerzać z poza góry, na wschód położonej, rozlega się w nieznaczej odległości niskie, przeciągłe *bu-u-u*, podobne do oddalonego ryku bydła. Jest to tak zwany „toro-pishcu“, czyli „ptak-byk“ w dosłownym tłumaczeniu (*Cephalopterus ornatus*). Ptak ten, będący prawdziwą ozdobą tego regionu, jest wielkości wrony, posiada pióra czarne połyskujące, a na czubku głowy pęk piór, zwieszających się ponad dziobem i oczami w formie parasola. Na gardzieli buja mu się rodzaj torebki

w formie wola, ugarniowanej również czarnymi, połyskującymi piórami. Wyrostek ten chwieje się na lewo i na prawo przy poruszeniach ciała; w locie jednak ptak kurczy go i przytula do piersi. „Toro-pishcu” trzyma się pojedynczo lub parami na wyniosłych drzewach „bigueronu”, z kąd nas dochodzi głos jego dziwny, mogący wprowadzić w błąd nie tylko ludzi, ale nawet i samo by-
dło rogate, jak się o tem nieraz mogłem przekonać.

Do pokrewnych mu, a również bardzo dla leśnej Quichuy charakterystycznych ptaków należy przepyszny skalikurek, jak go miejscowi nazywają „tungi” lub „cuchapishcu”, czyli „ptak-świnia”, (*Rupicola peruriana*). Trudno wystawić sobie coś piękniejszego nad kilka tych ptaków wielkości wrony, pysznego pomarańczowego koloru, uwijających się na drzewach lub zrywających w lot owoce iszpingu (*Nectandra*). Lecz jeżeli upierzenie jego tak jest piękne, inaczej zupełnie ma się z głosem, który jeżeli można do czego przyrównać, to chyba tylko do wstrętnych tonów, jakie człowiek wydaje podczas morskiej choroby.

Po brzegach plantacji rozlega się dziwny jakiś koncert, w którym jedyną stroną muzykalną stanowi miarowe tempo, gdyż nie tylko o melodji, ale nawet o wdzięczności głosu mowy być nie może. Jest to jakby do pewnego stopnia szereg wyrazów *manakaraku*, powtarzanych jeden za drugim. Ptak, wydający go, nosi też nazwę „manakaraku” lub „uataraku” (*Ortalia guttata*) z rodziny penelop, tylko najmniejszy z całej tej grupy. Śpiewa ich zawsze dwoje — samiec i samica — siedząc jedno obok drugiego i wyciągając szyję. Manakaraku jest niewątpliwie jednym z najmiłszych ptaków tego regionu. Drwiąc sobie z niebezpieczeństwa, zbliża się do naszego domu, gdzie go zwabia sucha ziemia pod okapem dachu, jako niezbędna do trawienia. Ponieważ zaś w porze dżdżystej ziemia wszędzie rozmięka, biedne ptaki szukać muszą piasku albo pod występami skały, albo w braku ich u poddaszy mieszkań ludzkich.

Jednocześnie rozlega się smutny głos tukana (*Rhamphastos inca*), który jakby wyrazi „Dios te de” (daj ci Boże) powtarza. Niewielkie stadko tych ptaków trzyma się tam pewnie gdzieś na wysokim drzewie, którego owocami zostało zwabione. Od czasu do czasu wielka kuropatwa leśna (*Tinamus major*) napęlnia powietrze swem niskim, potrójnem świshnięciem, które zazwyczaj dobrze imitują krajowcy, przykładając listek do nozdrzy i wydychując niemi powietrze. Kuropatwa leśna, podobnie jak i kordyljerska, trzyma się pojedynczo, zrywa się zaś z wielkim łoskotem, nie wydając jednak żadnego głosu.

W głębi puszczy inne dźwięki dojdą uszu naszych, zwykle smutne, jakby stworzenia, wydające je, skarżyły się, że im Bóg żyć kazał w tych olbrzymich samotniach.

Na niższych gałęziach wysokich drzew zasiada nieruchomo, z nogami pod ciało podtulonemi, gołąb leśny (*Columba vinacea*), wydając od czasu do czasu swe smętne *uczukupupu*. Głos to bardzo charakterystyczny dla tych lasów, jak również i żałośnie, chro-

matyczne pianie małego ptaszka, szybko biegającego po ziemi (*Formicarina analis*). Rozlega się ono daleko pełnemi, czystemi nutami, z większej jednak odległości nie słychać w niem członkowania między pojedynczemi nutami i głos dochodzi nas w samej rzeczy jakby oddalone pianie koguta. Gdy jednak zbliżymy się ku ptaszкови, śpiew jego inne zupełnie robi wrażenie. Zamiast ciągłego przejścia od jednej nuty do drugiej, usłyszymy szereg pojedynczych tonów, pełnych, fletowych, nieco metalicznych. Żal nas chwytą za serce, gdy słuchamy tego smutnego śpiewu.

Czasami rozlega się po lesie jakiś głos donośny i nieprzyjemny, przypominający nieco głos człowieka, wołającego o pomoc. Jest to „pawa gasnadora“ (*Penelope boliviana*), opuszczająca pod wieczór gąszcz, aby na żerowisko zapaść. Usłyszeć też tu możemy znane nam już z lasu Serrańskiego, donośne nuty czarnej penelopy (*Penelope aburri*), odzywającej się niekiedy w jasne noce księżycowe. Gdy noc zapadnie, wielka sowa (*Ciccaba torquata*), zasiadłszy na wyniosłym drzewie, dudni swym niskim, przytłumionym głosem.

Wszystkie te jednak śpiewy i krzyki milkną, gdy w pewnych godzinach dnia cykady rozpoczynają swój koncert, co się powtarza 4 do 5 razy dziennie, a trwa za każdym razem przeszło pół godziny czasu. Pierwsza część zaczyna się rano, przed wschodem słońca jeszcze; druga około 10-ej, potem o 12-ej, o 4-ej i o zachodzie. Cykada, wydająca głos ten mierzyć może niewięcej, jak $\frac{3}{4}$ cala długości. Głos jej składa się z szeregu nadzwyczaj drobno członkowanych tonów, które z niewielkiej nawet odległości zlewają się dla naszego ucha w jednociągły świst, podobny bardzo do gwizdania lokomotywy. Owad siedzi wówczas na prostopadłym pniu lub na gałęzi drzewa, wydając właściwy sobie świst w ciągu mniej więcej minuty, poczem przelatuje na inne drzewo, znajdujące się w odległości kilkudziesięciu kroków i tam zaczyna świstać nawo i tak ciągnie to przez cały czas trwania koncertu. Słyszałem tę cykadę najprzód w dolinie Maranonu, lecz tam niekiedy tylko i to pojedyncze osobniki świst podobny wydają, gdy w regjone leśnej Quichuy setki tych owadów tworzą hałas tak nieznośny, że aż w uszach nieraz piszczy. Łatwo zrozumieć, że wtedy wszystkie inne głosy leśne zostają zamaskowane i słychać tylko jedno jakby potężne dzwonicie w uszach. Koncert taki rozlega się niekiedy jeszcze o dość późnym zmierzchu. Cykada, wydająca głos ten, nie sięga w górę powyżej 4000' nad poz. morza; w dół zaś, chociaż się spuszcza aż na niziny amazońskie, to jednak nigdy nie świszcz tam gremjalnie, a tylko słychać niekiedy pojedyncze ich głosy.

Po tem, co o mrówkach południowo-amerykańskich powiedział Bates,¹⁾ wszelkie opisy, w tym kierunku dokonane, byłyby powtarzaniem. Dla pełności jednak obrazu, jak również dla kilku

¹⁾ Bates—znany podróżnik angielski, wydał opis swych podróży w książce zatytułowanej „Przyrodnik na Amazonce“.

obserwacji, nie spotykanych w dziele wspomnianego podróżnika, postanowiłem dać krótki rys obyczajów dwu najważniejszych form amerykańskich, a mianowicie: *Ecitona* i *Oedocomy*.

Eciton jest to mrówka nadzwyczaj drapieżna, włócząca się ogromnemi kolumnami po lesie i niszcząca na swej drodze wszelkie stworzenia, jakie się tylko złapać dadzą. Kolumna ich nie jest bardzo szeroka i w miejscach, gdzie mrówki zbitą masą wędrują, mierzyć może do 2 cali szerokości, lecz natomiast niewiadomo, gdzie ma początek, a gdzie koniec. To tylko powiem, że spotykałem kolumny tych mrówek pó dwa i nawet trzy dni z rzędu w jednym i tem samym miejscu, posuwające się ciągle w tym samym kierunku, a dodam, że mrówka ta biegnie stosunkowo bardzo szybko, wystawić więc sobie możemy długość takiej kolumny — i mirjady tych stworzeń w niej zawartych.

Przyglądając się zblizka takiej kolumnie, zauważymy, że składa się ona z osobników rozmaitej wielkości i rozmaitych form, jedne z nich mierzą około 6 milimetrów, gdy inne dochodzą blisko 15 mm. Najbardziej nas jednak uderzają wielkie egzemplarze, o głowie olbrzymiej, białawej, opatrzonej parą potężnych, skrzyżowanych kleszczy. Głowacze te zdają się być rodzajem oficerów, utrzymujących porządek w armji, nigdy bowiem nie widziałem, aby co niosły, gdy inne, szczególnie średniej wielkości, po napadzie na gniazdo os lub mrówek innych gatunków, zaopatrzone są w ładunek, składający się z larw wspomnianych dopiero co owadów. Często też widzieć można w ruchomej kolumnie, jak owe główacze zwolna wracają w przeciwnym kierunku, jakby przyprawdzając swe towarzyszek do porządku.

Kolumna taka robi na nas wrażenie jakiegoś małego potoku, tak zbitą masą idą mrówki. Szczególnie tam, gdzie warunki gruntu zmuszają je do ścieśnienia szeregów, jak np. przy przejściu przez powalone drzewko nad kałużą wody, kolumna taka z pewnej odległości wygląda, jak strumień ciemnego płynu, toczący się z dość znaczną szybkością. Biada jednak nam, jeżeli przypadkiem, nie zwracając uwagi na to, co się dzieje na ziemi, stąpniemy nogą w te zbite szeregi. W jednej chwili robi się tam zamieszanie i dziesiątki drapieżnych stworzeń już biegają po naszym ubraniu, wpijając się weń lub szukając obnażonego ciała, gdzie dostawszy się, chwytają swemi silnemi kleszczami, poczem nanoszą bolesne ukłucia żądlami.

Widocznie Bates nie widział nigdy tych mrówek, na dom napadających. Ciekawiło mnie też bardzo, w jaki sposób zachowywać się będą i drżałem na myśl, że mogłyby część moich kolekcji niespakowanych jeszcze, zniszczyć. Dwa razy napadały na mój domek w Huambo, oba jednak razy przekonać się mogłem, że dla człowieka większy pożytek, niż szkodę przynoszą, niedość bowiem, że nic ani z prowiantów moich, ani z kolekcji nie tknęły, ale nadto oczyściły dom z karaluchów i innych niepotrzebnych gości. Napadły też na gniazdo małego gatunku os, robiący pojedynczy plaster, pokryty kruchą skorupką. Takie właśnie gniazdo

znajdowało się na ścianie mojego domu. Skoro tylko osy przekonały się o niebezpieczeństwie, opuściły co do jednej gniazdo, z którego napastnicy, zniszczywszy kruchą powłokę, powyciągali wszystkie jaja i larwy. Z jednego tylko względu takie najście, trwające 3 do 4 godzin, jest nieprzyjemne, a mianowicie, że trzeba wówczas dom opuścić, jeżeli nie chcemy doznać bolesnych ukłuc mrówek.

Odważne te i nadzwyczaj drapieżne owady atakują niekiedy znacznie większe od siebie stworzenia, jak np. małe żabki, o czym mówił mi mój służący, który był świadkiem pewnego razu, jak mała żabka drzewna (*Hyla*) niefortunnie wpadła w środek kolumny *Ecitonów*. W jednej chwili kilkanaście tych mrówek rzuciło się na nią, porażając wszelkie jej ruchy, poczem biedne stworzenie zostało pocięte na kawałki i przez drapieżniki uniesione.

Obyczaję drugiej ze wspomnianych mrówek, a mianowicie *Oedocomy*, poznaliśmy już w części przy charakterystyce fauny górnego Maranonu. Dodam tu jeszcze tylko, że mrówka ta często napada na pola manjoku (*Manihot palmata*), niszcząc liście, a tem samem zabijając roślinę. Ona też jest powodem, że w tych okolicach nie można uprawiać lucerny, na którą ta mrówka jest bardzo łakoma. Dotychczas nie zostało sprawdzonem, w jakim celu *Oedocoma* znosi liście do swych mrowisk.

Leśna Quichua posiada jeszcze w swej faunie maleńką, rudą mrówkę należącą, jak mi się zdaje do rodzaju *Myrmica*. Owad ten posiada swe mrowiska w dziuplastych drzewach, skąd za najmniejszym alarmem wydobywa się gromadnie na zewnątrz, biegając szybko po korze drzewa i szukając sposobności dostania się na ciało; a przyznać muszę, że ukłucia tej mróweczki jest nawet boleśniejsze od ukąszenia *Ecitona*, co przypisać zapewne należy skoncentrowanym własnościom kwasu, jaki przy pomocy żądłka do ciała zapuszcza; w samej rzeczy, doznajemy w pierwszej chwili takiego uczucia, jakbyśmy jednocześnie otrzymali ukłucia i oparzenia. Małą tę mrówkę nazywają krajowcy „tangarana“; przypuszczam, że jest ona pokrewna sławnej „formiga do fogo“, właściwej brazylijskiemu porzeczu Amazonki.

Jak stadka wędrownie są charakterystycznym objawem w życiu ptactwa leśnego południowej Ameryki, tak równie wybitną cechą w obyczajach motyli regionu Montanii jest gromadzenie się ich w pewnych danych miejscowościach, zwłaszcza na kupach śmieci, jeżeli osada ludzka wśród lasu się znajduje, lub na wilgotnych błotnistych, czy piaszczystych pobrzeżach górskich rzek i strumieni. Tam w piękne, słoneczne dni zgromadzają się setki najrozmaitszych gatunków, o barwach świetnych lub skromnych. Szczególnie, jeśli po kilku dniach deszczu nastaje piękna pogoda, obfitość motyli w tych uprzywilejowanych miejscach staje się zdumiewającą, gdy przeciwnie długotrwała pogoda pociąga za sobą widoczne zmniejszenie się liczby, przyczem zauważyć też możemy, że egzemplarze są wyszarzane, stare. Naprowadza mnie to więc na myśl, że deszcze niszczą motyle, wskutek czego po kilku dniach

niepogody pojawiają się dopiero co wyszłe z kokonów, zatem o świeżych barwach osobniki. Długotrwała pogoda w czasie pory suchej sprowadza za sobą, jeżeli nie kompletne, to przynajmniej bardzo wyraźne zmniejszenie ich liczby.

Przyjrząwszy się nieco bliżej obyczajom leśnych motyli południowej Ameryki, ze zdumieniem zauważymy, że w rzadkich chyba wyjątkach owady te siadają na kielichach kwiatów dla ssania nektaru, gdy przeciwnie oddają się namiętnym libacjom na wilgotnym piasku lub na wszelkich gnijących materjach, a nawet na ekskrementach bydłowych lub ludzkich. Gnijący banan ściąga ich stokroć więcej, aniżeli całe bukiety najpyszniejszych kwiatów. Za przyczynę tego osobliwego stronienia od kwiatów uważałby można obecność kolibrów, które swą niezmordowaną działalnością niepokoiłyby bez ustanku motyle przy ich kręceniu się koło kielichów kwiatowych. Widzimy więc tutaj ciekawy fakt wyrugowania całej grupy owadów z ich właściwego stanowiska w ekonomii przyrody przez pewien rodzaj ptaków. Obserwacja moja dotyczy też i niektórych pszczół z rodzaju *Melipona*, dzielących ten osobliwy zwyczaj wraz z motylami. Wspomniane pszczoły gromadzą się z nimi na miejscach wilgotnych, z kądem wraz z brudem ciągną dla siebie pokarm.

Motyle zaczynają pojawiać się na ulubionych miejscach około 8-ej lub 9-ej rano, gdy już słońce przygrzewa nieźle. Najprzód, jak się zdaje, zaczynają gromadzić się niewielkie czarne motylki, z czerwonymi lub rudymi plamami na przednich skrzydłach (*Acrea*); one też najpóźniej schodzą z pola libacji, a opijają się zwykle do tego stopnia wilgocią, że niektóre z nich nie mogą się zerwać, gdy pora po temu nadejdzie, pozostają więc często noc całą do dnia następnego, a gdy deszcz nadciągnie, giną marnie.

Dziwny stosunek zachodzi między tymi niedołącznymi motylkami, a pewną czarną osą z rodzaju, jak mi się zdaje, *Polistes* lub przynajmniej bardzo blizkiego. Drapieżne te owady, korzystając z niedoświetła motyli, napadają na nie, chwytając za koniec odwłoka, poczem stopniowo posuwają się ku głowie ofiary, wysysając ją widocznie. W miejscach takich zauważyć można mnóstwo skrzydełek, należących do tego rodzaju motylków, a obciętych właśnie przez te osy drapieżne.

W miarę jak się słońce zbliża ku południowi, liczba motyli na uprzywilejowanych miejscach zwiększa się szybko. Pojawiają się piękne, z szafirowymi wstęgami na skrzydłach *Apathura seraphina*, lub ozdoby, aksamitny, czekoladowego koloru, o białym spodzie *Timetes zerynthia*. Różne gatunki rodzaju *Papilio* unoszą się swym falistym lotem, a zapadłszy na brzegi kałuż deszczowych lub na piasek wilgotny strumienia, poruszają jeszcze szybko skrzydełkami, jakgdyby te im drżały nerwowo. Wolnym falistym lotem nadciągają wspaniałe, błękitne morfony (*Morpho menelaus*) — jedna z najcudniejszych ozdób tych lasów, lub silne, bystrolotne motyle, o wielkich, rudych plamach na skrzydłach (*Aganisthes orion*), siadające na prostopadłych pniach lub na ścianach; a wreszcie całe

szeregi gatunków z rodzaju *Catagramma* — niewielkich czarnych motylków z pięknymi, błękitnymi wstęgami na skrzydłach, i tysiące, tysiące innych, gdyż trudno jest nawet wyliczać te wszystkie gatunki, tak rozmaite, a tak piękne. Gdy się wejdzie między nie, gdy spłoszone zaczną się kręcić, odbijając w swych skrzydłach promienie gorącego słońca, w oczach nam się mieni od tej różnaitości barw.

Rzecz godna uwagi! Zdawałoby się, że te lasy powinny roić się tysiącami motyli. Bynajmniej! Opuśćmy miejsca przez nie ulubione, wejdźmy pod ciemne sklepienie lasu, a spotkamy niekiedy motylki z rodzaju *Heliconia*, unoszące się zwolna i słabo poruszające skrzydełkami, lub jaką *Siderone*, posiadającą górną powierzchnię skrzydeł pięknie ubarwioną, a dolną kolorem podobną do suchych liści, na których siadać lubi. Te lub inne rodzaje bardzo nielicznych mają reprezentantów w głębi puszczy.

O zachodzie słońca unosi się wspaniale piękny morfo zmierzchny (*Pavonia*), posiadający na spodniej stronie skrzydeł wielkie pawie oczy. Gdy się już zmierzchnie dobrze, różne gatunki sfinksów (*Sphinx*) unoszą się swym bystrym, falistym lotem ponad małemi kałużami wody deszczowej, uderzając w jej powierzchnię na podobieństwo jaskółek.

Te same miejsca, które w ciągu dnia służyły za zbiorowiska dla dziennych motyli, nocną porą ściągają najrozmaitsze nocne gatunki. Dość jest wyjść nam z latarką, a zobaczymy na wilgotnym gruncie po brzegach kałuż lub strumienia setki, a nawet tysiące tych stworzeń, zajętych ssaniem wilgoci. Zdają się na nas nie zważać, tak są pogrążone w tej czynności, możemy je deptać nogami, brać szczypczykami bez najmniejszej obawy, że nam uciekną. Lepidopterolog ma w tych miejscach ułatwioną ekskursję.

W takim to otoczeniu wypadło mi spędzić pół roku czasu w zupełnej samotności, niby Robinson ze swym nieśmiertelnym Piętaszkiem. Czasami tylko pojawiali się tu z doliny Huayabamby „los coqueros“, czyli zbieracze koki, były to jednak wizyty rzadkie i krótkotrwałe. Raz na kilka tygodni przybywał też mój gospodarz, Torres, zwykle w towarzystwie jednego lub dwu parobków, aby koło swej czakry jakie zarządzenia przedsięwziąć lub bydła, paszącego się na niedalekich pastwiskach, dojrzeć. Zabawiwszy u mnie dzień, wędrował zwykle do swej głównej rezydencji w dolinie.

Tak płynęło mi życie spokojnie, bez trosk i rzec mogę, prawie w absolutnem szczęściu. Gdy m pamięcią sięgał w przeszłość; mimowolnie porównywałem mój pobyt w Palmalu i widziałem jasno całą różnicę warunków tu i tam. W Huambo miałem przede wszystkim ciasny, ale porządnie zbudowany domek, kryty nieprzemakalną strzechą, co gwarantowało mnie i moje zbiory od smutnych skutków ulew podzwrotnikowych — szczególnie pierwszorzędnej ważności w życiu podróżnika-kolekcjonera. Spiżarnia moja była zaopatrzona obficie w proste, ale zdrowe produkty, a gdy którego z nich zaczynało brakować, pisałem przez kokerów list

do Rodriguez'a i ten mi natychmiast nowe zapasy przysyłał. Miałem nawet do rozporządzenia mleko, a to dzięki uprzejmości Torres'a, który do mej dyspozycji pozostawiał ocielone krowy. A przede wszystkim byłem zdrow, zdrow jak ryba i oprócz chwilowej zwłoki w skutek wspomnianego skaleczenia nogi siekierą, zajęcia moje ani na chwilę przerwie nie uległy. Znana nam już „ponga“ — ów kleszczyk wświdrowujący się w skórę, próbował wprawdzie wielokrotnie swych inwazy na mem ciele, niszczyłem go jednak wczesnem smarowaniem pomadą siarkową, przez co zapobiegałem tworzeniu się jątrzących wrzodów.

Śmiało też mogę powiedzieć, że moja wyprawa do Huambo była najlepiej zorganizowaną ze wszystkich na terytorjum Peru. Dzięki temu kolekcje moje rosły w oczach — zarówno ornitologiczne, jak entomologiczne, konchyologiczne i inne. Wilgoć mi nieco brózdziła, alem ją zwalczała, zawieszając schnące okazy wysoko nad ogniskiem kuchennem.

Wycieczki moje kierowałem albo w górę rzeki, po ścieżce, prowadzącej do osady Achamal, albo w dół, ku górze Quinamos-Urcu, gdzie się rozciągały pastwiska Torres'a. Aby jednak rozszerzyć pole działania, zrobiłem na strumieniu huambeskim¹⁾ mostek i przy pomocy Fidela przeciąłem w górę tego strumienia, po prawym jego brzegu, ścieżkę na przestrzeni jakich 2¹/₂ wiorst. Zajęło nam to sporo czasu, ale tym sposobem dostawaliśmy się do części lasu o innym zupełnie charakterze, aniżeli w pasie przyrzecznym. Drzewa były tu nie tak wyniosłe i mniej korpuletne, a las więcej zbliżał się swym wyglądem do serrańskiego. W tej części lasu włóczył się stale niedźwiedź, a prawdopodobnie nawet para. Ślady jego widać było po rozdrapanych, nadgniłych pniach zwalonych drzew, po rozrzuconych wszędzie tillandsiach, wreszcie po znakach od pazurów, jakie zwierz pozostawia na korze drzew, wdrapując się na nie. Raz nawet w gęszczu pomknął mi o parę kroków, lecz nim się za strzelbę schwyliłem, już mi znikł z oczu.

Zwykle wychodziliśmy na wycieczkę wczesnym rankiem, ja w jedną stronę, Fidel — w drugą, aby jeden drugiemu nie przeszkadzał. Wracaliśmy do domu koło południa i po zjedzeniu obiadu zabieraliśmy się do preparowania zdobytych okazów. Wieczór poświęcaliśmy łowieniu owadów, a ja często kompletowałem me notatki lub pisałem listy do Europy i Limy. Poczem około 10-ej lub 11 ej wdrapywaliśmy się nasze poddasze i tu wkrótce sen twardy morzył nasze powieki.

Tak schodził dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu. Jedynem urozmaicheniem wśród tego monotonnego życia było pojawienie się któregoś z mieszkańców doliny, czasami przybywał umyślny, wysłany przez Rodriguez'a z listami z Europy. Wówczas następowało gorączkowe otwieranie korespondencyj i wchłaniania listów do rodziny lub Taczanowskiego. I razu pe-

¹⁾ Strumień ten nie posiada nazwy.

wnego uderzył we mnie grom: siostra moja donosiła mi o śmierci
mej najdroższej Matki

W twardej karierze podróżnika ciągle zmiana widoków, niewyczerpany nawał zajęć tak absorbuje cały jego umysł, że niema zwykle czasu na sentymentalne rozmyślenia o swojej samotności. A jednak mimowoli, stale, nagromadza się na dnie jego duszy jakiś ból ukryty, niby smutek za czemś, czego mu brak, co zostało hen daleko, o tysiące wiorst za Oceanem. To nóstalgja, tęsknota za ojczyzną, za drogiemi wam osobami. I chwilami boleść ta gniecie nasze piersi w sposób nie do wytrzymania, przybierając formy szalonej rozpacz. Trzeba wtedy całej siły ducha, aby nie upaść, aby jej się nie poddać.

Już przed odebraniem tej strasznej wiadomości kielkowała we mnie myśl powrotu do kraju. Życie podróżnika ma swój niewysławiony urok, lecz podróżnik jest przecież człowiekiem i jako taki podlega ojczystym i rodzinnym wpływom. Nic nie pomogą ciągle zmiany otoczenia, nawet urok zdobywanych bogactw natury, nie przytłumi w nim uczucia przywiązania do kraju i do rodziny. Prędzej czy później nabiera się w jego duszy tak potężny zapas tęsknoty, że powie sobie w końcu: „Dość tego“!

I we mnie tlało widoczne w ukryciu to zarzewie boleści, lecz nie zdawałem sobie zeń sprawy, oddany sercem i duszą sprawie mej misji. Lecz teraz gdy spadł na mnie ten cios do pewnego stopnia przeczyty, ogarnęła mnie straszna tęsknota; postanowiłem wrócić do kraju. Już pięć lat upłynęło od mego wyjazdu—czas bezwątpienia aż zanadto wystarczający, aby w nas obudzić pragnienie powrotu. Jeszcze przedtem pisał do mnie Taczanowski, abym wracał do kraju, wypoczął nieco po przebytych trudach i znów się puścił na nową wędrowkę. Wahalem się dość długo, aż wreszcie list siostry zdecydował o moim losie. Sądzonem jednak było, że rok jeszcze cały przepodróżuję, zanim ziemię rodzinną ujrzę.

W początkach czerwca 1880 r. wyczerpałem już prawie zupełnie faunę okolic Huambo; wycieczki moje już nie dawały prawie zupełnie nowych zdobyczy, więc wziąłem się do spakowania mych rzeczy i w połowie tegoż miesiąca dałem znać Rodriguez'owi aby mi sprowadził odpowiednią ilość mułów i rzeczy moje przewiózł do Chirimoto. I przyznam się, że ze smutkiem żegnał ten las wspaniały, w którym spędziłem tyle chwil szczęśliwych.

ROZDZIAŁ IX.

Chirimoto - Moyobamba. Podróż z Moyobamby do Yurimaguas.

Projektu mego powrotu do Europy nie mogłem na razie urzeczywistnić dla kilku powodów, z których najważniejszym była ciągnąca się do nieskończoności wojna peru-chilijska i wszelki brak gwarancji podróżowania po kraju, w którym wycofanie siły zbrojnej zebranej na polu walki, musiało za sobą pociągnąć ogólne rozpanoszenie się żywiołów anarchistyczno-bandyckich. A zresztą nie można się było dostać do Limy, której zdobycie było celem pozostań Chilijczyków. Objasnić też muszę, że w tej fazie podróży nie powstał jeszcze w mej głowie projekt powrotu przez Brazylię, lecz chciałem jechać do Limy, a ztamtąd przez Panamę do Europy.

Z drugiej strony miałem jeszcze sporo zapasów prochu, śrótu, spirytusu, mydła arsenikowego i innych niezbędnych przedmiotów, więc mogłem z korzyścią kolekcjonować czas jakiś w dolinie Huayabamby, której fauna różni się musiała w znacznej części od fauny lasu w Huambo dzięki różnicy blisko 2000' we wzajemnem położeniu tych dwu okolic. Powodowany tymi względami, a gościnnie zapraszany przez Rodriguez'a i jego żonę, postanowiłem zamieszkać w Chirimoto, gdzie mi don Tereso ustąpił cały dom mieszkalny, a sam wraz z żoną przeniósł się do kuchni. Zainstalowawszy się więc w mej nowej siedzibie, rozpocząłem wnet wycieczki w okolicy.

Mój blisko półroczny pobyt w Chirimoto dał mi poznać dość dokładnie charakter i sposób życia mieszkańców doliny Huayabamba. Wspomniałem już poprzednio, że jest to lud cichy, pracowity, gościnnie, zachowujący wrodzoną łagodność nawet w chwilach alkoholicznego podniecenia, czego nie można powiedzieć o mieszkańcach innych okolic Peru, zwłaszcza o Pomorzanach. Nigdy też tu nie słychać o bójkach nożowych, o morderstwach, popełnionych pod wpływem nadużycia napojów wysokokowych. Ludziska pracują sobie cały tydzień, a gdy nadejdzie święto, po wysłuchaniu nabożeństwa w jednym z okolicznych kościołów, od-

dają się zabawie, tańczą, weselą się, ale nigdy nie krają się nożami, lub nie świdrują sobie dziur kulami rewolwerowemi.

Ludność miejscowa dzieli się na dwie wybitne klasy: posiadaczy ziemskich, którzy zachowali prawie w zupełnej czystości swą krew hiszpańską i stanowią miejscową arystokrację, co im nie przeszkadza bynajmniej chodzić w dnie powszednie boso i pracować na równi z parobkami; oraz z klasy roboczej, czyli parobków, którzy bez wyjątku prawie są czystego pochodzenia indyjskiego. Między temi dwoma klasami panują naogół stosunki jaknajlepsze, niemal patryarchalne, lecz mimo to istnieje między nimi przepaść kastowa, która wyklucza najzupełniej związki przedstawicieli tych dwu warstw społeczno-rodowych; nigdy biały mieszkaniec Huayabamby nie ożeni się z Indjanką, jak nigdy biała kobieta nie wyjdzie za mąż za Indjanina. Dzięki temu panująca klasa utrzymała w czystości swą krew hiszpańską.

Mieszkańcy Huayabamby są bardzo pobożni. Skoro tylko nadejdzie niedziela lub jakie święto, wszyscy ściągają na nabożeństwo czy to do Santa Rosa, czy do Omia, gdzie się znajdują świątynie. W kościołach tych ławek niema wcale i wszyscy przez cały czas trwania nabożeństwa klęczą, co dla osób nieprzyzwyczajonych, do których i ja się zaliczam, bywa prawdziwą męczarnią, zwłaszcza, że trzeba klęczyć na obu kolanach, zupełnie wyprostowanym, gdyż tego wymaga zwyczaj miejscowy.

Istnieje też w całym Peru zwyczaj, mocą którego w czasie uroczystych nabożeństw na procesji chorągiew niesie przedstawiciel władzy wykonawczej — w Limie — prezydent republiki, w miastach departamentalnych — prefekt, w stolicach prowincji — podprefekt, a w mniejszych osadach — gubernator, czyli wójt. Mnie jednak ludność miejscowa tak lubiła, że miejscowy gubernator w osadzie Omia, don Felix Trigoso, ustępował mi tego honoru, kroczyłem więc zawsze na procesji, niosąc chorągiew.

Nie potrzebując zajmować się czynnościami gospodarskimi, gdyż nam dona Szirku jeść gotowała, mogliśmy obaj z Fidelem czas cały poświęcić na zbieranie kolekcji, które dzięki temu szybko wzrastały. Dopomagali też nam okoliczni mieszkańcy, znosząc po większej części, bezinteresownie różne okazy. jak węże, jaszczurki, ślimaki, jaja ptaków i t. p. Raz nawet urządzono dla mnie w rzece Corral połów ryb przy pomocy trucizny, zwanej „barbaseo”. W tym celu zagrodzono całe koryto rzeki, a pośrodku zagrodzenia umieszczono rodzaj odkrytego z góry więcierza, poczem w pewnej odległości w górę rzeki narzucano trucizny, od której woda stała się mętną, jakby od rozpuszczonego mydła. Wkrótce też zaczęły wypływać na powierzchnię rybki, odurzone trucizną. Woda je nosiła swym prądem ku zagrodzie, gdzie wszystkie wpadały do więcierza. Tym sposobem zdobyłem do kolekcji 4 nieposiadane dotychczas gatunki rybek — wszystkie, drobne gdyż i rzeka była niewielka.

Tak upłynął mi czas do końca września, a nie zanosilo się bynajmniej na koniec wojny. Wówczas zdecydowałem się wra-

cać nie na Limę, gdyż ta droga była zbyt ryzykowną, lecz na Moyobambę, Yurimaguas, a ztąd Amazonką do miasta Para, gdzie już istnieje stała komunikacja z Europą. Ta marszruta uśmiechała mi się jeszcze i z innego względu, a mianowicie pozwalała zapoznać się z uroczemi okolicami pomorza Amazonki, a nadto nastęczała okazję porobienia zbiorów w Yurimaguas, nad dopływem Amazonki, Huallagą, gdzie fauna wybitnie różniła się od górskiej, można więc było zdobyć sporo gatunków, nieposiadanych dotychczas przezemnie.

Skorom tylko powziął taką decyzję, rozpocząłem kroki, aby ją w czyn wprowadzić. Przedewszystkiem, pozostawiwszy cały mój bagaż w Chirimoto, udałem się wraz z Fidelem do Chachapoyas, aby ztąd wyprawić chłopca mego do Cutervo, gdyż tak obiecałem był rodzicom jego. Obdarowawszy go na drogę moją starą strzelbą hamburską, oraz różnymi drobiazgami i zaopatrzywszy w pieniądze, wyprawilem go w towarzystwie znajomych arrierów, aby sam nie jechał po niepewnych drogach. Chłopak szczerze się splakał przy rozstaniu i mnie też kilka łez spłynęło, bośmy się już przez te kilka lat przywiązali do siebie i zżyli¹⁾.

Zabrawszy pieniądze, złożone przezemnie w domu handlowym Hurtado, wróciłem do Chirimoto, gdzie przystąpiłem natychmiast do pakowania rzeczy, aby je zabezpieczyć od możliwych wypadków podczas długiej i uciążliwej podróży do Yurimaguas. Wszystkie moje zbiory zalutowane były jak zwykle w blaszankach, które mieściły się w silnych skrzyniach sosnowych. Aby o ile możności zmniejszyć mój bagaż, podarowałem Rodriguez'owi wszystkie mniej potrzebne przedmioty; jemu też dałem w prezencie mego doskonałego muła, gdyż poczciwy don Terezo nie chciał wziąć ani grosza za mieszkanie i za karmienie nas obu i muła w ciągu 5-ciu miesięcy.

W owych czasach nie istniała jeszcze bezpośrednia droga pomiędzy Huayabambą i Moyabambą, lecz należało jechać na Chachapoyas, co czyniło jakie 9 do 10 dni jaknajgorszej drogi; zwłaszcza część między tem ostatniem miastem i Moyobambą (około 6 dni drogi), jakkolwiek dostępna dla mułów, słynie jednak w szerokim promieniu za swego fatalnego stanu. Na szczęście jednak na krótko przed mojem wyruszeniem z Chirimoto z inicjatywy prefekta departamentu Loreto, don Dawida Arevalo-Villasiz'a powzięto myśl przecięcia drogi między dwoma tak ważnymi punktami, jak Huayabamba i Moyobamba, a w chwili mej podróży myśl tę już w znacznej części wykonano.

Przed laty, jak sądzić mogę — w początkach zeszłego wieku, część kraju między znaną nam już osadą Omia i miasteczkiem Soritor, w pobliżu Moyobamby położonem, dziś zupełnie bezludna i dzikimi lasy pokryta, była dość gęsto zaludniona. W dolinie

¹⁾ Fidel Bautista służył następnie za strzelca przez czas jakiś p. Janowi Kalinowskiemu, gdy ten udał się w 1889 r. na eksplorację Peru.

rzeki Posic ¹⁾ istniało kilka miasteczek, z których najważniejsze Posic słynęło z bogatych, szczerozłotych ozdób kościelnych. Podówczas istniała dobra droga, łącząca Soritor, Posic i Huambo, które to trzy miasteczka obsługiwał jeden proboszcz. Huambo i Posic zostały jednocześnie do szczętu zniszczone przez dzikich Indian leśnych, przybyłych zapewne z nad brzegów rzeki Huallagi. Odtąd droga, o której wspomniałem, zapuszczoną została i dziś świadczą tylko o niej wyraźnie manifestujące się miejscami bruki. Bogate kopalnie złota, w bliskości Posic położone, zaginęły i obecnie tradycja po nich pozostała. Nie brak ludzi odważnych, a złota chciwych, którzy starają się kopalnie te odszukać, dzikie jednak lasy i zupełny brak wiadomości co do znajdowania się miejsca żył kruszcowych, wszelkie te zakusy utrudniają. Znalezione nawet ślady dawnych „lavaderos” (płóczkarni), samej jednak kopalni, odszukać nie można.

Już w czasie mego pobytu w Chirimoto, a mianowicie w miesiącu lipcu 1880 roku z inicjatywy wspomnianego p. Dawida Arevalo-Villasiz'a, wyznaczoną została ekspedycja pod dowództwem kapitana Guzman'a, której zadaniem było wytknąć drogę między osadami Omia i Soritor. Wyruszyła ona z Omia, a idąc ciągle lasami, stanęła po 13 dniach w Soritor, co dało nadzieję szybkiego otwarcia tej nadzwyczaj ważnej arterji komunikacyjnej. Jakoż niebawem p. Dawid Arevalo wziął się do dzieła i ukończył część drogi, leżącą w departamencie Loreto (Moyobamba), to jest od miasteczka Soritor aż do rzek (strumienia) Lejia Grande, stanowiącej granicę między obydwoma departamentami ²⁾. Jednocześnie pod wpływem kilku mieszkańców Huayabamby, pojmujących całą ważność tej drogi i wbrew opozycji władz z Chachapoyas, którym ona była nie do smaku, dystrykta Omia i Totorá wysłały ludzi dla otwarcia tego nowego szlaku komunikacyjnego. Jakoż w chwili, kiedym miał wyruszyć z Chirimoto, było już z tej strony 3 leguas gotowych, a od strony Moyobamby—8 leguas, pozostawało więc jakie 5 do 6 leguas do zrobienia, gdyż całą drogę obliczam na 16 do 17 leguas ³⁾. Nadto na 11 grudnia tegoż roku (to jest po wyjeździe moim z Chirimoto, zapowiedziane były komisje z wszystkich pięciu dystryktów Huayabamby do jednotygodniowej pracy, co zapowiadać się zdawało, że droga ta w końcu otwartą zostanie.

Powiedziałem, że nie przypadła ona do smaku mieszkańcom Chachapoyas, a to dla tego, że główne produkty Huayabamby, jak cukier, chancona (cukier brunatny) i wódka, mające dotychczas jedyny zbytny w Chachapoyas, staną się tam niezbędnie droższymi, skoro nowo otwarta droga da możliwość mieszkańcom Huayabamby część swych produktów wywozić do Moyobamby i okolicznych miasteczek. To też władze chachapoyańskie opierały się stano-

¹⁾ Miejscowi wymawiają Posich.

²⁾ Dolina Huayabamba, a zatem i osada Omia, leżą w dep. Amazonas (Chachapoyas).

³⁾ 70 do 75 wiorst.

wczo otwarciu tej drogi i gdyby nie energia kilku wpływowych mieszkańców Huayabamby, przeprowadzenie jej nigdy by nie przyszło do skutku.

Za radą mych dobrych przyjaciół, a głównie don Felix'a Trigos, gubernatora z Omia, zdecydowałem się udać do Moyobamba tym nowo otwierającym się szlakiem. Ponieważ jednak był on jeszcze w znacznej części niedostępnym dla mułów, więc należało pomyśleć o wyszukaniu całej brygady „cargueros“, czyli tragarzy, którzyby mój bagaż na plecach przenieśli, a nadto ciężar pojedynczych skrzyń tak kalkulować, aby je mogli ludzie bez zbyteńnego wysiłku dźwignąć.

„Los cargueros“ w całym departamencie Loreto, jako i w innych okolicach Peru, pozbawionych dróg konnych, zastępują bydła juczne, a nawet i wierzchowce. Jest to osobna klasa ludzi, rekrutujących się prawie wyłącznie z Indian lub metysów. Już od lat dziecięcych „los cargueros“ przyzwyczajają się do swego ciężkiego zawodu, nosząc zrazu ładunki lekkie i stopniowo ciężar ich powiększając. Z czasem nabywają takiej siły, że z łatwością dźwigają przez cztery, pięć, dziesięć dni, a nawet miesiąc czasu z rzędu ładunek, ważący 4 do 5 arrobas, to jest 100 do 125 funtów; wyjątkowo zaś zdarzają się Indianie, mogący dźwigać 6 arrobas, czyli 150 funtów, co już stanowi ładunek dobrego muła. Na krótki czas przed moją podróżą żył w Balza-Puerto tragarz, który się wstawił i napewno potomności imię swe przekazał, dźwigając z tego punktu do Moyobamby (co w normalnych warunkach stanowi 4 do 5 dni jaknajokropniejszej drogi), ładunek ważący 12 arrobas, czyli 300 funtów! Rzecz prawie nie do uwierzenia. Drogę tę odbył w 10 dni i wkrótce potem w skutek nadmiernego wysiłku żywotu dokonał.

Litość i podziw bierze, patrząc na tych nieszczęśliwych, jak złani potem, z ciałem do pasa obnażonym, pną się pod górę, dźwigając wielkie i ciężkie tłumoki lub skrzynie, podtrzymywane dwoma bawełnianymi popręgami, z których jedna przechodzi przez czoło, a druga skośnie przez piersi. Między ciałem a tłumokiem nie masz żadnej poduszki, a w skutek tego tworzą im się zwykle na plecach i kuprze wielkie rany, które w skutek ciągłej pracy nigdy się zagoić nie mogą. I człowiek taki na najniebezpieczniejszych ścieżkach górskich, tam, gdzie my, luzem wspinając się, ledwie oddech złapać i równowagę utrzymać możemy, idzie krokiem pewnym, trzymając w jednej ręce sarbakane (świszczącą) do strzelania ptaków po drodze, a w drugiej—mały instrument z rurek trzciniowych, na którym przygrywając, zabija długie godziny podróży! *).

Ale bo też ci Indianie i budowę posiadają odpowiednią: piers szeroka, nadzwyczaj wypukła, nogi krótkie, muskularne, jakby ze stali wykute, stopa krótka i bardzo w podbiciu wysoka. Carguero

*) Instrument ten, zwany „andara“ lub „andarilla“, przypomina zupełnie instrument, używany przez starożytnych Greków.

taki robi dziennie od 3 do 4 leguas, a niekiedy nawet 5 do 8 leguas, czyli 20 do 24 kilometrów, zarabiając przeciętnie po 8 reali, czyli 4 franki dziennie. W departamencie Loreto najlepsi tragarze pochodzą z Balza-Puerto i z Lamas.

Tragarz oprócz właściwego ładunku nieść jeszcze musi zapas żywności na cały czas trwania podróży, co znacznie podnosi ciężar dźwiganego tłumoka. Żywność taka składa się z manioku, bananów, czasami wędzonego mięsa z miejscowej zwierzyny. Wogóle pożywienie to jest marne i niewystarczające i prawdopodobnie żaden tragarz nie byłby w stanie wykonywać tak ciężkiej pracy, gdyby nie żucie koki, która silnym podnieceniem systemu nerwowego i głód tłumi i sił nowych dodaje na dalszą podróż. Bywa niekiedy, że carguero, wyczerpany długim wspinaniem się po stromych spadkach górskich, pada na ziemię, niezdolny do dalszej drogi. Zda się, że siły opuściły go zupełnie, że już się z miejsca nie ruszy. Tymczasem, wypocząwszy chwilę, zakłada do ust nową kulkę liści kokowych, napojonych wapnem i wnet wstaje rzeźki, jakgdyby tylko co do marszu wyruszył.

Dwie główne drogi, prowadzące z Moyobamby do wnętrza kraju, to jest do Balza-Puerto i do Tarapoto, są przez carguerów obsługiwane. Ta ostatnia lepszą jest od pierwszej i choć z trudem można ją na mułach odbyć. Droga do Balza-Puerto, którą poniżej opiszę, jedynie dla pieszych jest dostępną, a nawet w niektórych miejscach psy należało na rękę dźwigać. Istniała podówczas w miejscowości Escalera-Yacu*), olbrzymia, na kilka pięter wysoka drabina, po której piąć się trzeba było na prostopadłą skałę. Od czasu jednak, gdy z wysokości tej drabiny spadł nieszczęśliwy carguero, ponosząc śmierć na miejscu, postarano się to niebezpieczne miejsce ominąć, robiąc krąg po stromym wprawdzie, ale możliwym spadku.

W Huayabambie carguerów-profesjonistów nie było, gdyż jedynie dwie drogi do Chachapoyas i do miasteczka Jalca — konno odbyć można. Niemniej jednak lud tamtejszy dość jest przyzwyczajony do dźwigania ciężarów na plecach i to mi dawało nadzieję, że na miejscu znajdę niezbędną liczbę tragarzy, których 11-u potrzebowałem. Jakoż wkrótce przy pomocy Rodriguez'a skompletowałem żadaną liczbę peonów (parobków), naznaczając poniedziałek 29 listopada 1880 roku na wymarsz, gdy doszła mnie wiadomość, że z Sorritor wysłano dla mnie 8 tragarzy, których na mą prośbę zamówił don Felix Trigozo. Nie chcąc przyjaciela mego narażać na zawód, a nadto upewniony przez niego, że osoba wysyłająca carguerów jest bardzo punktualna, odebrałem pieniądze od skonstruowanych przezemnie peonów, a zatrzymałem z nich tylko trzech, aby z nimi wyruszyć naprzód do Soritor na wypadek, gdyby jakie nieporozumienie zaszło; ładunek zaś pozostawiłem w Omia u p. Trigozo. Tragarzy z Soritor spodziewałem

*) Escalera, hiszp.—schody, drabina, yacu, quichua — woda.

się spotkać w drodze, gdyż przybycie ich do Omia naznaczono na 4-go, a co najpóźniej na 8-go grudnia.

Zdziwi się może niejeden z czytelników moich, że mogłem powierzyć nieznanym mi ludziom drogocenne kolekcje moje, owoc blisko dwuletniej, ciężkiej pracy? Co do tego byłem najzupełniej spokojny. Zawodowi tragarze w departamencie Loreto są to wszystko ludzie nadzwyczaj uczciwi. Opowiadali mi kupcy miejscowi, że powierzano im nieraz znaczne sumy, wynoszące po kilkadziesiąt tysięcy franków, a nigdy nie było wypadku sprzeniewierzenia. Na jednym tylko punkcie „los cargueros” okazują słabość nieprzepartą: gdy zmiarkują, że w niesionych skrzynkach znajdują się jakie likiery, wina lub piwo w butelkach, co łatwo poznać mogą po opakowaniu, wówczas otwierają skrzynkę, wypijają zawarte w niej trunki, następnie butelki tłuką i napowrót w słomę pakują, aby upozorować brak towaru przypadkowym rozbitciem w skutek upadku na trudnych do przebycia drogach. Ponieważ ja jednak żadnych trunków nie transportowałem, więc najzupełniej spokojny byłem o los moich ładunków.

Z trzech chłopców, których z Huayabamby zabrałem, jeden z nich, Manuel Arvildo, przeznaczony był do niesienia skrzyni, zawierającej mą bieliznę, oraz niektóre książki i narzędzia; Julian Rodriguez—brat mego gospodarza—miał nieść moją pościel, bieliznę do zmiany i różne drobiazgi; trzeci zaś, Juan Angulo niósł dla nas cztery pożywienie, składające się z suszonego mięsa (charqui), pieczonych kur i świnek morskich, placuszków z manioku, konfitur, kawy i cukru, a wszystko w ten sposób przyrządzone, aby się w ciągu kilkudniowej podróży nie zepsuło. Angulo był nadto przeznaczony na kucharza i mego przybocznego pachołka, z czego wywiązał się z godną pochwałą punktualnością. Ja sam nieść miałem strzelbę, oraz na plecach worek z grubego, potnikowego sukna, w którym spakowałem najniezbędniejsze narzędzia i przedmioty, ważące wraz z bronią 25 funtów.

W poniedziałek 29 listopada zebrało się kilkadziesiąt osób z sąsiedztwa dla pożegnania mnie. Z nieklamany smutkiem rozstałem się z tym dobrym ludem. Kobiety płakały, mężczyźni ścisłali mnie, zapraszając, abym kiedy powrócił jeszcze. „A Dios, amigos, a Dios!” i wspiałem muła ostrogami, dziwnie wzruszony.

Do Omia, położonego o 2 leguas od Chirimoto, odprowadziło mnie wielu przyjaciół. Tu pożegnałem się z don Felixem Trigozo i z żoną jego, doną Carmen, z domu Linch, córką niejakiego don Diego Linch'a, zamieszkałego w Belgji. Nowe pożegnanie i lzy; starzy się na dobre popłakali, a ja im w tem szczerze wtórowałem.

Z Omia towarzyszył mi jeszcze mój gospodarz, oraz kilku innych przyjaciół. Wkrótce wkroczyliśmy do lasu, którym mieliśmy iść przez 5 i pół dnia bez przerwy. Droga prowadzi zrazu doliną rzeki Omia, aż do miejscowości, zwanej „Tingo”, co w języku quichua oznacza zlanie się dwu rzek. I w samej rzeczy—w tem miejscu łączą się Rio de Omia i Rio de Jevil, aby poniżej w po-

łączeniu z Rio de la Totorą utworzyć znaczną rzekę Huambo. Od Tingo droga prowadzi w górę rzeki Jevil aż do miejsca zwanego Biscaino, z kąd zaczyna się pięć na górę Titicaca, jeden z najwyższych okolicznych szczytów i tutaj w miejscowości Penasha dochodzi swego kulminacyjnego punktu (8000 nad poziomem morza), poczem spuszcza się do Quebrada de la Lejia Chica (6200), gdzie stanęliśmy około 5-ej po południu. Tu się kończyła część drogi otwartej od strony Huayabamby; dalej przed sobą mieliśmy dwa i pół dnia marszu po ledwie widocznej ścieżce aż do miejsca, z kąd się zaczynała otwarta już przez mieszkańców Moyobamby część drogi.

W Lejia Chica znaleźliśmy parę szalasów, zrobionych przez pracujących przy otwarciu drogi ludzi. Rozłożyliśmy się więc tutaj obozem, sporządzono nam wieczerzę, którą zapiliśmy doskonałą kawą, poczem gawędziliśmy przez noc całą, bo ani mnie, ani moim towarzyszom nie sporo było do snu wobec spodziewanego na jutrzejszy ranek rozstania.

D. 30 listopada zjedliśmy wczesnym rankiem śniadanie i nastąpiła chwila najsmutniejszego rozstania z poczciwym Rodriguez'em. Biedak miał lzy w oczach. Uściskaliśmy się po bratersku i ruszyłem piechotą, gdyż tu już muły pozostać musiały. Przy brodzie pękl mi rzemień u moich skórzanych sandałów; nadbiegł jeszcze Rodriguez, uszkodzenie poprawił; znać było, że go bolało to rozstanie, że chciałby chwile jego przedłużyć. Raz jeszcze uściskaliśmy się i dziś jeszcze, po trzydziestu latach, gdy sobie tę chwilę przypominę, smutek chmurzy moje czoło. W Chachapoyas boleśnie mnie dotknęło rozstanie się ze starym Torrejonem i jego rodziną; tu najbardziej żalowałem tego zacnego Rodriguez'a.

Od Lejia Chica droga dość równa, lecz bardzo zarośnięta, prowadzi w górę tego strumienia, stanowiącego dopływ rzeki Huambo, poczem przewala się przez niewysoki grzbiet, aby wkroczyć do systemu rzeki Posic. Chłopcy szli rażno, tylko Juljan skarżył się, że mu dokuczają mój sztucer, który wraz z sarbakanami (świśtułami) i kijami stanowił osobny pakiet, ważący 13 funtów. Ponieważ czułem się na siłach, dopomagałem więc miejscami chłopcu w niesieniu tego niewygodnego bagażu, który tym sposobem ciężar mego ładunku podnosił do 38 funtów.

W tej części drogi wypadło nam przechodzić aż w trzech miejscach po zwalonych nad dwu piętrową przepaścią, pniach drzewa. Łada krok niebaczny, a czekała nas śmierć niechybna na dnie tych szczelin kamienistych. Podziwiałem też zręczność z jaką moi chłopcy z ciężkim ładunkiem przechodzili po pniach okrągłych i sękatych; tak im to nie robiło różnicy, jakgdyby szli po asfaltowym chodniku. Ja przebyłem te trudne miejsca na czworaku, jako nieprzyzwyczajony do tego rodzaju ekwilibrystycznych ćwiczeń.

Okolo godziny 12-ej stanęliśmy nad brzegami strumienia Laurel (6200), noszącego nazwę od obficie rosnących krzewów, dających doskonały воск na świece. Wypocząwszy nieco i napiwszy się kryształowej wody, szliśmy dalej i wkrótce stanęliśmy nad brze-

giem rzeki Posic. Dość znaczny ten strumień płynie z północ-zachodu na południo-wschód i prawdopodobnie łączy się z rzeką Huambo. Droga była ciągle dość równa. Około godziny 2-iej napotkaliśmy piękny strumień, gdzie urządziliśmy krótki przystanek, aby się zimną zakąską pokrzepić, poczem ruszyliśmy dalej, i o w pół do piątej stanęliśmy w dość obszernym szalasie, gdzie postanowiłem noc spędzić, gdyż według udzielonych mi informacji, które na kartce miałem spisane, nie byłoby gdzie dalej noclegu spędzić. Obok samego szalasu spostrzegliśmy świeże ślady niedźwiedzia. Dnia tego według mego przypuszczenia zrobiliśmy około 3 leguas.

Skromna wieczera smakowała nam wyśmienicie po przebytych trudach. Wypiwszy kawę, udaliśmy się wcześniej na spoczynek, gdyż tego domagało się znużone całodziennym marszem ciało. Była może godzina 11-a wieczorem, gdy mnie obudził nieprzyjemny szelest ulewnego deszczu. Zaledwie miałem czas pościel moją zebrać i przykryć nieprzemakalną opończą, gdy lichy daszek szalasu przeciekać zaczął na wszystkie strony. Wkrótce przemoknięci, siedzieliśmy, drżąc od zimna, gdyż nam deszcz zagasił ognisko. Na szczęście w samym szalasie pozostawił ktoś spróchniały pień i przy jego pomocy z wielkim trudem udało nam się zrobić ogień, przy którym rozgrzaliśmy skostniałe członki i zgotowaliśmy kawę. Około 1-iej w nocy deszcz ustał, zaslaliśmy więc przemokłą nieco pościel i wkrótce sen ogarnął znużone ciało.

D. 1-go grudnia o świcie zjedliśmy śniadanie i wnet potem ruszyliśmy rażno naprzód. Od miejsca naszego noclegu zaczynała się najgorsza część drogi, prowadząca w górę strumienia Mashu-Yacu*). Na dobitkę ulewny deszcz zaczął padać, zaledwieśmy opuścili nasz szałas. Ażeby mieć pojęcie o drodze, którąśmy przebyli, nie wystarczą żadne opisy; trzeba ją samemu odbyć, trzeba widzieć i *czuć*, aby zrozumieć wszystkie trudności, jakie zwalczyć należało. Wąwozem Mashu-Yacu, zamkniętym dwoma niemal prostopadłymi ścianami, droga biegnie na przestrzeni jakich dwu wiorst, a na tym kawałku przechodzić trzeba było z jednej strony strumienia na drugą aż 16 razy! Po każdym prawie przebyciu niezbędnym było pięć się w górę po stromem urwisku, narażając się na skręcenie karku, aby następnie znów się spuścić i strumień przebyć. Łóżysko zasłane było śliskimi kamieniami, na których trzeba było używać wszelkich ekwilibrystycznych zdolności, ażeby nie upaść. Wreszcie około południa przebyliśmy ostatni bród i tu wytchnęliśmy nieco po przebytych trudach, aby stawić czoło nowym, które na nas czekały.

Droga, wychodząc z Mashu-Yacu (6200), pnie się po tak stromem urwisku, że jak dobrze mówią miejscowi mieszkańcy „hay que agarrarse con unas y muelas“ (należy się chwytać paznogi-ciami i zębami). W wielu miejscach nawet niema gdzie stopy uło-

* Mashu w języku quichua znaczy — nietoperz; yacu, jak to powiedziałem — woda, rzeka, strumień.

kować. Wkrótce droga, dosięgłszy 7,900, prowadzi po dość równym gruncie, poczem zaczyna się spadek do słonego strumienia, nie noszącego żadnej specjalnej nazwy, tylko miejsce, w którym go droga przecina znanem jest pod przewiskiem La Mina (kopalnia), gdyż miano podówczas nadzieję, że tu odnajdzie się kopalnia soli kuchennej.

Deszcz padał nieustannie, a zimny wiatr ciął nam kroplami jego po obliczu i obnażonych nogach. Gumowa oponczka, którą dla ochrony mego tłomoka zarzuciłem na ramiona, utrudniała mi bardzo posuwanie się naprzód po przykrym terenie. Droga od deszczu stała się tak ślizką, że każdy krok stawiać trzeba było z największą ostrożnością, a i tak wielokrotnie padałem. Wypoczywać nie można było, gdyż wnet zimno członki nasze mroziło. Na dobitkę trafiliśmy na miejsce, gdzie ścieżka rozwidlała się na dwa równoważne szlaki. W notatce mojej nie było najmniejszej wzmianki o tem rozdrożu, a wiedząc, że w wielu miejscach rozdzielają się dróżki, przecięte przez dawnych eksploatatorów, obawiałem się zbłądzić. Uciekłem się wtedy do środka, który wszystkim rekomenduję w podobnych okolicznościach, a mianowicie zamiast bawić się w jakiegokolwiek rozumowania, spuściłem się na instykt ludzi, żyjących w ciągłym zetknięciu z przyrodą. Zapytałem więc mych chłopców, którą z dwu ścieżek uważają za dobrą, obie bowiem były jednakowo szerokie i jednakowo zdeptane. Wskazali mi bez namysłu tę z nich, która prowadziła na lewo. Poszliśmy nią, odtąd jednak nie opuszczała mnie myśl, że wzięliśmy może drogę fałszywą.

Ścieżka stale prowadziła w dół po samym grzbiecie górskiego rozgałęzienia. W miejscach tych korzenie drzew i różne zielska tworzą warstwę miękką i na jaką stopę grubą, w skutek zaś zdeptania formuje się głęboka bródka, poprzecinana co kroku ślizkimi korzeniami drzew większych. Szliśmy tak już parę godzin, nie spotykając szałasów, które według informacji powinny się znajdować o pół legua (2 wiorsty) od miejsca, z kąd się spadek zaczynał. Okoliczność ta gnębiła mnie bardzo, utwierdzała mnie bowiem w mniemaniu, żeśmy poszli fałszywą drogą. Postanowiłem jednak iść aż do nocy, a w razie nie napotkania szałasów, wrócić dnia następnego do rozdroża. Perspektywa pięcia się znów pod górę i spędzenia nocy na deszczu bez możliwości sporządzenia gorącej strawy niebardzo mi się uśmiechała.

Wreszcie około 5-ej spostrzegliśmy z radością tak upragnione szałas. Chociaż ztąd do słonego strumienia było już bardzo niedaleko, zatrzymałem się tu jednak, nie mając nadziei spotkania lepszego na nocleg miejsca. Jedno z drzew — olbrzym swojego rodzaju — rosło pochyło, a korzenie jego rozwarte tworzyły rodzaj izby o kilku okienkach, mogącej wygodnie pomieścić cztery do pięciu osób. Wnętrze było zupełnie suche; znaleźliśmy też suche drwa, co nam ułatwiło szybkie rozpalenie ogniska. Zmieniłem natychmiast zmkłą bieliznę, zaślałem pościel i tak odpoczywałem zadowolony, gdy tymczasem chłopcy moi obiad przygotowywali.

Najbardziej pocieszała mnie myśl, żeśmy się znajdowali na dobrej drodze, a chociaż pościel nasza przemokła nieco, spaliliśmy tej nocy doskonale.

Dnia 2-go grudnia, wstawszy o świcie, zajęliśmy się przede wszystkim suszeniem naszej bielizny przy ognisku. Deszcz przestał padać jeszcze w nocy i słońce wesoło nam przyświecało. Wyruszyliśmy wreszcie i w jakie dziesięć minut stanęliśmy nad brzegiem słonego strumienia, odkrycie którego zdarzyło się w następujących okolicznościach.

Na 13 lat przed moją podróżą sformowała się w Huayabambie ekspedycja, która pod wodzą niejakiego Łukasza Villa udała się na wytknięcie drogi do Soritor. Pewnego dnia ekspedycja ta stanęła nad brzegami owego strumienia i zajęto się sporządzeniem kawy, okazało się jednak, że kawa zawierała znaczną domieszkę soli. Sądząc, że to nastąpiło przez pomyłkę, sporządzono kawę powtórnie, i ta jednak okazała się słoną. Spróbowano wody ze strumienia i wtedy przekonano się, że zawiera ona znaczny procent soli. Odkrycie to było wielkiej doniosłości dla mieszkańców doliny Huayabamba, która dotychczas sol sprowadzała z kopalni Yurimarca o 4 dni drogi, gdy słony strumień leży w odległości dwu dni drogi. Pokład wprawdzie do mojej podróży nie odkryto, lecz dla tego, że go nie szukano; według mego przypuszczenia sam strumień obmywa pokład soli. Woda w strumieniu nie jest bardzo słoną i doskonale służyć może do zgotowania rosołu lub innej strawy. Natomiast po obu stronach znajduje się kilka źródełek o wodzie tak słonej, że po wygotowaniu 4 butelek tej wody otrzymuje się 1 funt soli.

Droga po przejściu strumienia staje się nadzwyczaj nierówną. Wraz z przejściem Mashu-Yacu jest to część najtrudniejsza do przebycia. Nieustanne drapanie się po prostopadłych literalnie ścianach, oraz spuszczenie się w dół, jest nadzwyczaj męczące, a wczorajszy całodzienny deszcz drogę tę jeszcze gorszą uczynił. Chłopcy jednak pomimo ciężkich ładunków nie tracili odwagi, pnąc się po urwiskach jak małpy. Ja szedłem zawsze naprzód, ścinając gałęzie zwieszane nad drogą. Wyprzedzałem ich zwykle znacznie, a następnie odpoczywałem, zapaliwszy papierosa. Trafiło się miejsce, gdzie właściwej ścieżki nie było, lecz należało iść po korzeniach drzew, zawieszonych nad urwiskiem. Wreszcie około południa wyszliśmy na nieco równiejszą drogę, i tu można już było kroku przyspieszyć.

Była może godzina 2-a po południu, gdyśmy doszli do większego strumienia, zwanego Quebrada de la Lejia Grande. Droga na przestrzeni wiorsty prowadzi w górę brzegiem strumienia, poczem dochodzi do brodu. Cóż to za radość ogarnęła nas, gdy po drugiej stronie dostrzeżliśmy drogę szeroko przeciętą, oraz mnóstwo szałasów! Ztąd bowiem zaczynała się część drogi, uregulowana przez mieszkańców Moyobamby i Soritor'u. Ztąd będzie wreszcie można posuwać się szybciej; już nam po drodze nie staną na przeszkodzie zwalone pnie lub zwieszane gałęzie; nie trzeba

będzie drapać się jak zwierzęta czwororęczne po prostopadłych ścianach, chwytając się gałęzi i korzeni drzew.

Rad niepomrotnie z tego wszystkiego i nie czekając, aż chłopcy uregulują swe ładunki, zakasałem wysoko spodnie, uzbroiłem się w mocny kij i wszedłem do wody, aby bród przebyć. Był to z mojej strony czyn bardzo nierozważny i mało go życiem nie przypłaciłem. Woda odrazu dosięgała mi prawie do pasa, a prąd w tem miejscu był tak silny, że zaledwie naprzód posuwać się mogłem. O kilka kroków od brzegu znalazłem się pośród najsilniejszego prądu. Nogi moje, obute w łapcie skórzane, nie mogły się utrzymać na ślizkich, okrągłych kamieniach, jakie dno zaścielały. Była chwila, że rwący potok o mało mnie nie wyrzucił, a wtedy Bóg wie, co by zdarzyć się mogło. Kilkakrotnie próbowałem kij postawić na dnie strumienia, aby punkt oparcia znaleźć, za każdym jednak razem prąd znosił jego koniec, zanim tenże dna dosięgnął. Na szczęście nie straciłem przytomności umysłu, zdołałem kij mój silnie na dnie ulokować, a jednocześnie krzyknąłem na chłopców, aby mi na pomoc przyszli. Najsilniejszy z nich, Arvildo, wskoczył do wody, podał mi rękę i tak szczęśliwie przebrnęliśmy na drugą stronę. Dwaj pozostali chłopcy przebyli bród nieco poniżej, gdzie strumień wolniej płynął szerokiem korytem.

Przebywanie górskich strumieni w czasie pory deszczów należy do najniebezpieczniejszych przedsięwzięć na drogach peruwjańskich. Wieleż to żyć pochłonęły one. Przy bystrym prądzie dość jest, aby woda do pasa tylko sięgała, a już się na nogach utrzymać nie można. Zwykle w takich razach 5 lub 6 osób podaje sobie ręce i tak łańcuchem przebywają strumień. Dla osób nieprzyzwyczajonych i łatwo podlegających zawrotom, dość jest widoku szybkiego prądu, aby im się w głowie zakręciło, o czem świadczy wypadek, jaki opisałem powyżej przy przeprawie przez Maranon. Całe szczęście, że na mnie to nie robiło wrażenia i tylko dzięki temu uratowałem życie.

Wytchnąwszy nieco i ochłonąwszy z przebytych wrażeń, około 3-ej ruszyliśmy naprzód, po dobrej, szeroko przeciętej i wyrównanej drodze. Wiedziałem, że w odległości blisko jednej legua od Lejia Grande znajduje się kilka dobrych szałasów, zbudowanych przez ludzi z Moyobamby podczas robót około drogi. Poszedłem więc naprzód, aby zawczasu ogień rozpalić, zanim moi chłopcy nadejdą.

Droga od Lejia Grande dość była równa i prowadziła przeważnie grzbietem górskiego rozgałęzienia. Szedłem szybko, nie wypoczywając i około 5-ej dobrnąłem do owych szałasów, gdzie zaraz rozpałił ognisko i rozwiesił mokrą bieliznę. Niedługo po mnie i chłopcy nadciągnęli. Miejscowość ta była wzniesiona na 6000 n. p. m.

D. 3 grudnia po wczesnem śniadaniu, wyruszyliśmy w drogę około godziny 7-ej rano. Dzień był przesłiczny, słońce wesoło przyświecało przez korony drzew, z lasu ciągnęło świeżością. Zaledwieśmy przeszli strumyk, nad którym noc spędziliśmy, gdy pies

mój, przodem biegnący, zaczął szczekać. Zakręt drogi nie pozwolił mi widzieć przyczyny jego animozji, wiedząc jednak, że szczeka tylko na ludzi lub na wielkie zwierzęta, pobiegłem naprzód w nadziei, że to tapir, gdyż w części tej spotykaliśmy ciągle tropy tych zwierząt. Wiedziałem tylko, że to nie był człowiek, gdyż wśród tej olbrzymiej puszczy oprócz nas czterech napewno nie było żadnych innych istot ludzkich. Pies szczekał ciągle: widocznie zwierz drogą uchodził. W końcu szczekanie ucichło i Dżok powrócił do mnie. Nie trudno było rozpoznać zwierza po wielkich śladach, jakie na miękkim błocie pozostawił. Był to ślad jaguara, około 4 cali szeroki, ginący w nieprzebytym gąszczu. Gdyby więc mój Dżok nie wyprzedził mnie na jakie 100 kroków, byłbym się oko w oko z tym wspaniałym zwierzem spotkał, a że miałem stale w tej podróży jedną łufę kulą nabitą, przyszłoby więc prawdopodobnie do rozprawy między nami. O tropieniu zwierza nie można było ani myśleć w braku odpowiednich psów do tego. Pogadawszy więc tylko chwilę, ruszyliśmy w dalszą drogę, która ztąd prowadziła w dół grzbietem góry.

Ranek był przecudny i las rozbrzmiewał tysiącami głosów. Tu śpiewa maestro ptaków południowo-amerykańskich, znany nam już „flautero“ (*Cyphorhinus*), tam znów dochodzą nas krzyki małpczepiaków (*Ateles*), tam znów tukan żałośnym swym głosem nawołuje „Dios te de“ (Daj ci Boże). Co kroku spotykaliśmy ślady tapirów, samych jednak zwierząt dla ich nocnych obyczajów widać nie było.

Okolo godziny 10-ej rano doszliśmy do rzeki Tonchima*), tej samej, która znacznie poniżej przepływa pod miasteczkiem Rioja. Spożywszy nieco konfitur i przypatrzwszy się dowoli pięknemu pejzażowi, puściliśmy się w dalszą drogę, która w miejscu tem prowadzi zrazu brzegiem rzeki Tonchima, a następnie pod górą dość łagodnym spadkiem pięć się zaczyna. Na całej przestrzeni od Lejia Grande aż do Soritor spotyka się co parę wiorst szalasy—pozostałość po robotnikach, zajętych przy otwarciu drogi. Droga z małymi wyjątkami pięła się ciągle na górę zwaną przez krajowców Cerro Grande (Góra Wielka). Okolo godziny pół do 4-ej po południu, gdyśmy się już prawie na szczyt tej góry wydostali, spotkaliśmy niejakiego Pedro Padilla, idącego z towarami do Huayabamby. Znałem go już poprzednio, a do brata jego, zamieszkałego w Soritor, miałem nawet list rekomendacyjny. Poczęstowałem go konfiturami, zasięgnąłem różnych informacji i w końcu rozstaaliśmy się.

Wkrótce potem dosięgliśmy szczytu Cerro Grande, wzniesionego na 5600 nad poz. morza. Z tego punktu widać już część równiny, tworzącej rozległą dolinę rzeki Mayo, oraz jej przytoków: Tonchima, Ochic oraz Indoche.

*) Raimondi w swem dziele pisze Tonchiman, lecz ja tego „nie sły-
szałem

Ze szczytu Cerro Grande droga prowadzi bardzo gwałtownym spadkiem, wijąc się nieustannie, aż do strumienia, zwanego Rio Blanco, nad którym stanęliśmy około 5-ej po południu. Wzniesiono tu ogromne „Tambo” czyli szopę, w nadziei, że tą nową drogą uda się oddział rekrutów z Moyobamby do Limy. Tutaj zatrzymaliśmy się na noc. Chłopcy sporządzili wieczerzę, a ja tymczasem zająłem się zbieraniem owadów na świeżo zwalonych drzewach.

Sobota 4 grudnia była ostatnim dniem naszej podróży. Ponieważ ów Padilla powiedział mi, że na 12-ą w południe mogę stanąć w Soritor, więc jeszcze po ciemku obudziłem chłopców i skoro świt, zjadłszy śniadanie, ruszyliśmy w drogę. Ładunek Jana Angulo zmniejszył się znacznie, gdyż przez ciąg podróży spożyliśmy prawie wszystkie zapasy żywności; postanowiłem więc ruszyć z nim naprzód, pozostawiając w tyle Juljana i Manuela jako niosących cięższe tłumoki. Droga ztąd bezustannie w górę i w dół prowadziła, aż w końcu dochodziła do brzegów rzeki Tonchima, którą dnia poprzedniego raz już przebyliśmy. Ztąd poszliśmy już w dół tej rzeki. Szliśmy rażno, pomimo, że nieustanne drapanie się w górę i spuszczenie w dół męczyło nas bardzo. Szczególnie odczuwałem przy spuszczeniu się w dół dokuczliwy ból w lewym kolanie. Jestem prawie pewien, że pochodzi od sforsowania nogi przy schodzeniu z góry w dół po naturalnych stopniach, gdyż wtedy człowiek skłonniejszy jest wysuwać naprzód prawą nogę, a wtedy cały ciężar ciała spoczywa przez chwilę na lewej, zgiętej. Ponieważ takich stopni przebywaliśmy dziennie tysiące, więc w skutek tego i ból wspomniany nam dokuczał, gdyż i moi trzej chłopcy narzekali na tę samą dolegliwość w lewym kolanie.

Była godzina 11-a przed południem, gdyśmy wreszcie doszli do obszernej równiny, tworzącej dolinę Rio Mayo i jej dopływów. Ztąd nie mieliśmy już wprawdzie nieustannego drapania się pod górę lub spuszczenia w dół, lecz natomiast droga była nadzwyczaj błotnista. Deszcze dni ostatnich potworzyły obszerne kałuże i trzęsawiska, wśród których trzeba było ostrożnie lawirować, aby po kolana w błocie nie ugrzęznąć.

O 1-ej po południu dotarliśmy wreszcie do pierwszych pól uprawnych w miejscowości zwanej La Union, położonej nad rzeką Ochic (czyt. Oczych). Na szczęście znaczną tę rzekę, o dnie kamienistym w tem miejscu, znaleźliśmy w stanie niskiej wody, przebyliśmy więc ją ze względną łatwością. Z tego miejsca grunt jest już piaszczysty, a tem samem suchy, dzięki czemu mogliśmy posuwać się tu szybciej. Spotykaliśmy po drodze bydło rogate i trzodę chlewną, co było niechybnym znakiem bliskości ludzkich osad. Wreszcie o 3-ej po południu ujrzelśmy na zakręcie drogi domy miasteczka Soritor, co nas wprawiło w niewypowiedzianą radość, zważywszy tyle dni uciążliwego marszu wśród bezludnej puszczy.

Wionęło na mnie zwrotnikowem powietrzem: domostwa były po większej części z trzciny (cana brava), kryte liśćmi palmowymi;

wspaniałe banianiarnie, piękne palmy, o owocu jadalnym—wszystko to zwiastowało nam, że się znajdujemy pod tem pałacem, zwrotnikowem słońcem, które pozwala maniokowi lub trzcinnie cukrowej dojrzewać w 6 miesięcy.

Wykapawszy się w strumieniu i zmieniwszy bieliznę, wkroczyłem do miasteczka, pytając o dom owego Fernanda Padilli, do którego miałem list rekomendacyjny. Mieszkał na placu i przyjął mnie nader życzliwie. Był to człowiek lat 40, jeden z najzamożniejszych kupców miejscowych. Żona jego, młoda jeszcze kobieta i dwie dorastające córeczki, wcale ładne panienki, bardzo też dla mnie były grzeczne, i wkrótce poczułem się wśród tej pocziwej rodziny, jak we własnym domu.

Manuel i Juljan nadciągnęli dopiero dnia następnego, gdyż ich noc zaskoczyła nad brzegami rzeki Ochic. Na szczęście znaleźli tam dostateczną ilość bananów i młodej kukurydzy i tym sposobem mogli głód zaspokoić, gdyż nie mieli już żadnych zapasów żywności.

Okazało się, że doskonale zrobił, nie czekając w Chirimoto na carguer'ów, bowiem ów kapitan Guzman, który miał ich wysłać z Soritor, udał się w swych interesach do Tarapoto, dając tylko zlecenie gubernatorowi, aby ich wyprawił. Gubernator jednak, nie mając specjalnego rozkazu prefekturalnego, ani też pieniędzy na zapłacenie z góry, nie mógł zmusić peonów, aby ci po ładunek poszli. Musiałem więc sam szukać carguer'ów, co mi jednak łatwo przyszło dzięki pomocy i wpływowi don Fernanda Padilli; skompletowałem więc niezbędną liczbę (ośmiu) i wysłałem ich w środę 8-go grudnia do Omia.

W oczekiwaniu ładunku i nie mając nic lepszego do roboty, zrobiłem wycieczkę do Rioja, gdzie zamieszkiwał podówczas pewien berlińczyk, nazwiskiem Steinhardt, osiadły tam od lat 10 ciu i trudniący się handlem. Wiedziałem, że jegomość ten poświęca wolne chwile na kolekcjonowanie ptaków i węzów, pragnąłem więc zbiory jego zobaczyć. Steinhardt nadto, jako człowiek uniwersalny, był fachowym zegarmistrzem, a właśnie mój zegarek podczas jednego z licznych moich upadków w drodze z Huayabamby do Soritor uległ znacznemu uszkodzeniu, liczyłem więc, że mi mój nowy znajomy brak ten usunie. Zamiast jednak reparacji Steinhardt zaproponował mi zamianę mego zegarka na inny z dopłatą z mej strony 10 soles (20 rubli). Była to dla mnie, jak się okazało transakcja nieświeżna, zamiast bowiem doskonałego srebrnego zegarka, za który zapłaciłem w Hamburgu 30 talarów, a który służył mi doskonale przez lat sześć, dostałem jakąś cebulę, którą należało dwa razy na dobę nakręcać, bo inaczej chodzić nie chciała. Tego jeszcze dnia wróciłem z mej wycieczki do Soritor.

Wiedząc, że ładunek mój nadejdzie nie wcześniej, jak za dni 12 lub 14, wołałem przenieść siedzibę mą do Moyobamby, co też uskuteczniłem 9-go grudnia w towarzystwie mego gospodarza, don Fernanda. Między Soritor i Moyobambą liczy się 5 leguas odległości, ponieważ jednak droga prowadzi równiną, przestrzeń tę odby-

wa się w 4 godziny, jadąc nawet niezbyt szybko. W połowie drogi napotyka się miasteczko Calzada, które wraz z miasteczkami: Soritor, Habana, Rioja i Japelacios stanowi tak zwane „anejos“ (przyległości) Moyobamby. Przejechawszy Calzadę napotyka się pojedynczo wśród równiny położoną górę, zwaną Morro. Okrążywszy ją przebywa się w porze suchej w bród rzekę Inchoche, z kądem jeszcze 1 legua pozostaje do Moyobamby.

Moyobamba (2600) jest miastem głównym olbrzymiego departamentu Loreto, równającego się mniej więcej trzeciej części całego terytorjum Peru. Departament ten rozciąga się od grzbietu wschodniego pasma Kordyljerów aż do ujścia rzeki Putumayo, czyli na przestrzeni 9 stopni geograficznych w kierunku z zachodu na wschód (w najszerszym miejscu); oraz od Santa-Rosa na rzece Napo do Santa Rosa na rzece Tambo, czyli 10^o geograficznych w kierunku z północy na północ. Dodać jednak należy, że jest to zarazem część Peru najmniej zamieszкана, pokryta olbrzymimi lasami, wśród których spotykają się gdzieniegdzie miasteczka i osady po brzegach większych rzek, resztę zaś przebiegają jedynie dzikie plemiona Indjan, między którymi nawet ludożerców spotkać można.

Nie znalazłem nigdzie szczegółów co do liczby mieszkańców Moyobamby, obliczam jednak, że w czasie mojej podróży miasto to wraz z przyległościami, czyli tak zwaną „campiną“ i okolicznymi osadami, wymienionymi powyżej, liczyć musiało około 20.000 mieszkańców. Na lat 20 przedtem, było to miasto nieznaczne, pozbawione wszelkich środków i prowadzące skromny handel z Brazylią. Szybko jednak wzrastać zaczęło i w dobrobyt opływać dzięki rozwojowi fabrykacji kapeluszy panamskich, a w chwili mojej podróży było to już miasto zamożne, posiadające kilka znacznych domów handlowych, które prowadziły handel z Brazylią z jednej strony, a z częścią departamentu Chachapoyas (Amazonas)—z drugiej. Ponieważ przemysł kapelusznicy przyczynił się tak znakomicie do rozwoju znacznej części kraju, nie od rzeczy będzie poświęcić mu słów kilka.

Dwa są główne ośrodki przemysłu kapeluszniczego, a mianowicie Guayaquil w Ekwadorze i Moyobamba — w Peru, oba jak przypuszczam równe sobie pod względem produkcji. Kapelusze, zwane niewłaściwie panamskimi, wyrabiane w Guayaquilu idą przez Panamę do Europy, gdy Moyobamba cały swój wyrób sprzedaje prawie wyłącznie do Brazylii, na miejscowy użytek, chociaż zdaje się, że i stamtąd część produkcji idzie do Europy. Oprócz tych dwóch najważniejszych środków przemysłu kapeluszniczego, istnieją jeszcze dwa mniejsze, a mianowicie: Cuenca w Ekwadorze i Caticacos—na Pomorzu peruwjańskim, w dep. Piura; te dwa jednak miasta wyrabiają przeważnie kapelusze na potrzeby miejscowe. Produkują też jeszcze kapelusze słomkowe niektóre okolice Kolumbii, wyroby te jednak dla oryginalnego kształtu nie mają zbytu w Europie.

Materiał używany na kapelusze panamskie są to liście palmki, zwanej w Ekwadorze i w Kolumbii „toquilla“, a w Peru—„bom-

bonaje" (*Carludovica palmata*). Jest to roślina, nie mająca pnia, a tylko długie, półtorametrowe szypułki, na których unoszą się wielopalczaste liście. Liść taki, zanim się rozwinie wygląda zupełnie jak złożony wachlarz i w tej to właśnie fazie rozwoju zostaje ścięty i idzie na fabrykację kapeluszy. Każda roślina daje w pierwszym roku 5 do 6 liści, w następnych zaś liczba ta wzrasta do 8 i 10-ciu. Nierozwinięty liść (cogollo) liczy około 2 stóp długości.

Przygotowanie słomy na kapelusze odbywa się w sposób następujący. Wziąwszy nierozwinięty liść, zdiera się zeń z każdej strony po dwie zewnętrzne składki, które są już wtedy pod wpływem światła na zielono zabarwione. Każda z pozostałych wewnętrznych składek wachlarza, pozbawionych jeszcze zielonej barwy, rozcina się przy pomocy specjalnego nożyka na trzy podłużne tasiemki, z których środkowa właśnie służy na wyrób kapeluszy; dwie zaś boczne odcina się i odrzuca. Następnie wyłożwszy ściany dużego glinianego garnka wspomnianymi odpadkami liści, napełnia się go wodą i w niej wygotowuje się paski, przeznaczone na kapelusze, przez przeciąg dwu do trzech godzin. Wygotowaną w ten sposób słomę suszy się następnie na słońcu, przyczem brzegi jej zginają się nieco, a cała słomka przybiera kształt cylindryczny. Ten sposób preparowania czyni słomkę daleko mocniejszą.

Cięcie liści na włókna odbywa się w rozmaity sposób zależnie od tego, czy słoma przeznaczoną jest na grubsze, czy na cieńsze kapelusze; w pierwszym razie tnie się ją na szersze paski, w drugim — na węższe. Wysuszona słoma idzie na fabrykację kapeluszy bezpośrednio, albo też zostaje przysyłaną do miejsca, gdzie przemysł kapeluszniczy istnieje, lecz gdzie dla nieprzyjanych warunków klimatycznych „bombonaje“ rosnąć nie może.

Samo tkanie kapeluszy wymaga wielkiej wprawy, a można powiedzieć nawet—wielkiego artyzmu. Zrobić kapelusz panamski nie jest tak trudno, lecz zrobić go dobrze, zwłaszcza jeżeli to ma być drogi kapelusz, z bardzo cienkiego włókna, które z łatwością się zrywa przy dociąganiu, należy do bardzo trudnych zadań i niekażdy kapelusznik jest w stanie produkować wyższe gatunki kapeluszy.

Od dobrego kapelusza wymaga się następujących zalet: przede wszystkim słoma powinna być w dobrym gatunku, co głównie polega na odpowiednim preparowaniu liści „bombonaje“, to jest na jej wygotowaniu i pocięciu na paski równej grubości, w przeciwnym bowiem razie na kapeluszu znać będzie, jakby słoje, te miejsca, gdzie słomka jest cieńsza i te, gdzie ona jest grubsza. Dalej słomka musi być mocno i równo dociągana, przyczem kapelusznik baczyc musi pilnie, aby mu się włókna nie rwały, gdyż wtedy końce ich widoczne będą na tkance kapelusza, co znakomicie obniża jego wartość. Jedną zaś z największych trudności jest równe zakończenie brzegu ronda, który w kapeluszach źle zrobionych jest mniej więcej falisty.

Na te wszystkie szczegóły baczną uwagę zwraca prawdziwy znawca kapeluszy panamskich, widząc wady tam, gdzie zwykły

śmiertelnik nic nie dostrzega. Znaństwo kapeluszy panamskich jest, rzec można, prawdziwą sztuką, a cena kapelusza nie tylko zależy od cienkości włókna, lecz także od starannego, niemal artystycznego wykończenia. Dwa kapelusze, napozór zupełnie jednakowe, mogą się znakomicie różnić w cenie. Pewien kapelusznik w Guayaquilu, Niemiec rodem, trudniący się od lat kilkunastu handlem kapeluszeniami panamskimi, przyznawał mi się, że pomimo ogromnej wprawy w ocenie kapeluszy, może się jeszcze z łatwością pomylić na 10 pesos (na 40 fr.) gdy tymczasem dając kapelusz do oceny dwóm prawdziwym, znawcom obaj niezależnie jeden od drugiego określają też samą cenę.

Na cenę kapeluszy panamskich wpływa głównie (choć nie jedynie) cienkość słomki, łatwo bowiem zrozumieć, że im włókno jest cieńsze, tem robota trwa dłużej, a przytem cienkie włókno zrywa się łatwiej, aniżeli grube, wymaga przeto ogromnej cierpliwości i wprawy przy dociąganiu. Bywają kapelusze, których robota trwa kilka miesięcy czasu, a cena dochodzi do 400 fr., gdy je kupujemy z pierwszej ręki. Ponieważ przekonać się mogłem, że kapelusz, który w Ameryce Południowej kosztuje na nasze pieniądze około 5 rubli, u nas sprzedaje się po 25 do 30 rubli, zatem taki drogi kapelusz doszedłby u nas kolosalnej ceny 600 rb. Takie jednak kapelusze wyjątkowo tylko dochodzą do Europy, bowiem w handlu ich niema wcale, a tylko robią się na obstalunek, zwykle dla miejscowych krezusów. Niewątpliwie jest to najłżejsze, może najtrwalsze, a z pewnością najdroższe męzkie nakrycie głowy.

Nie przypuszczałem nigdy, że przemysł kapeluszniczy w Moyobambie przyczyni się do zdobycia jednej z największych rzadkości konchyologicznych całego świata, a jednak dzięki miejscowym kapelusznikom udało mi się zebrać aż trzynaście egzemplarzy tej *rara avis*. A to w jaki sposób.

Jeszcze na dwa lata przed moją podróżą znakomity polski konchjolog, s. p. Władysław ks. Lubomirski, pisał mi, abym zwracał pilną uwagę na miejscowe muszle, gdyż z tych mniej więcej okolic, przez które ja miałem wędrować, pochodzi jedyny znany egzemplarz pewnej muszli (*Porphyrobaphe labeo*), znajdującej się w którymś z Muzeów europejskich; przyczem nadesłał mi pobieżny jej opis. Oczywiście rzecz, że wszystkich starań, dokładał, aby tę rzadkość osiąść i nawet zdawało mi się, że już ją w Huambo zdobyłem. Okazało się jednak potem, że był to tylko gatunek trochę do tej rzadkiej muszli podobny. Niemniej jednak wszędzie, gdzie tylko zawiątałem, rozpytywałem się krajowców, czy podobnej konchy nie znają. Zrobiłem też to i po przybyciu do Soritor. Jakoż mój gospodarz, Padilla, objaśnił mnie, że miejscowi kapelusznicy używają do wygładzania kapeluszy pewnej konchy, którą arriery przywożą z bezludnej miejscowości, zwanej Tambo, po drodze z Moyobamby do Chachapoyas. Wnet też poszliśmy do jednego z kapeluszników i o dziwo! przekonałem się, że to właśnie była owa *Porphyrobaphe*. Zacząłem więc chodzić po miejscowych kapelusznikach i skupywać, gdzie się tylko dało, upragnioną muszlę,

placąc za sztukę od 1 do 2 reali ($\frac{1}{2}$ do 1 fr.). Udało mi się tym sposobem zdobyć 13 egzemplarzy; więcej nabyć nie mogłem, gdyż muszle wskutek wycierania o kapelusze były uszkodzone, a niektóre z nich nawet miały już dziury w skorupie; a nadto nie wszyscy kapelusznicy chcieli się pozbywać tego niezbędnego, a trudnego do zdobycia sprzętu.

Ponieważ w Moyobambie spędzić musiałem minimalnie dwa tygodnie czasu w oczekiwaniu mego ładunku, wynająłem przeto mieszkanie i porobiłem niektóre wizyty. Jedną z pierwszych złożyłem miejscowemu prefektorowi, p. Dawidowi Arevalo-Villazis, inicjatorowi nowej drogi, którą dopiero co przebyłem. Dygnitarz ten wypytywał mnie bardzo szczegółowo o różne dane, dotyczące nowego szlaku, oraz prosił mnie, abym mu w tej materji wygotował specjalny raport, co też niezwłocznie wykonałem, dołączając do opisu drogi przybliżony jej profil, na podstawie mych obserwacji barometrycznych ufundowany.

Jedną też z pierwszych osób, jakie poznałem tutaj, był don Bruno Acosta, zamożny kupiec, do którego miałem list rekomendowany. Nigdy nie zapomnę radości, jaką mi sprawił, poczynawszy mnie doskonałym piwem monachijskim; było to pierwsze moje zetknięcie się z cywilizacją po długich miesiącach przebywania wśród dzikich prawie zupełnie puszczy podzwrotnikowych.

Don Bruno wprowadził mnie do domu najpoważniejszej urodzeniem i majątkiem osobistości w Moyobambie, niejakiego don Manuela del Aguila, u którego spędziłem Wigilię Bożego Narodzenia. Takiej uczty, jaką tu spożyłem, dawno, dawno już nie próbowałem: indyk, baranina, szynka, dobre wino francuskie — były to rzeczy, o których istnieniu już niemal zapominałem. A najważniejsze z tego wszystkiego, to szczerze, gościnne, braterskie przyjęcie, które mi przez chwilę zapomnieć kazalo, że tam daleko osierocona rodzina moja bezemnie ucztę wigilijną spożywała.

Z Moyobamby zrobiłem raz jeszcze wycieczkę do Rioja, gdyż mi Steinhardt obiecał odstąpić 6 funtów najdrobniejszego śróćku (dust), którego już miałem niewiele, a był to dla mnie przedmiot pierwszorzędnej wartości, gdyż bez niego nie mógłbym strzelać mniejszych ptaszków do kolekcji. Z Rioja przejechałem 20-go grudnia do Soritor, gdzie też prawie jednocześnie za mną przybyły skrzynie z Omia. Spadł mi wielki ciężar z serca, bo chociaż miejscowi cargueros słyną, jako ludzie uczciwi i sumienni, to jednak wolałem mieć pod bezpośrednim nadzorem moje cenne zbiory.

Znów dzięki don Fernandowi Padilli znalazłem w Soritor dziesięciu tragarzy do Balza-Puerto, naznaczając im rendez-vous w Moyobambie na dzień 28 grudnia i powróciłem do mej głównej kwatery, gdzie resztę tygodnia poświęciłem na przygotowanie do niezbyt długiej, bo 4-dniowej, ale nader uciążliwej, podróży. Jak to już wyżej powiedziałem, droga z Moyobamby do Balza-Puerto jest dostępną jedynie dla pieszych wędrowców, ale prawie na całej długości jest najeżona przeszkodami, a nawet w kilku miejscach

staje się niebezpieczną dla życia podróżników, jak to wkrótce czytelnik będzie mógł sprawdzić.

Tragarzy z ładunkiem wyprawilem rano 28 grudnia, zatrzymując sobie tylko jednego do niesienia kufra z bielizną, pościeli i pożywienia. Wiedziałem, że wyruszywszy dnia następnego, jeszcze ich przed Balza-Puerto dogonię, a nawet prześcignę. Za towarzysza ofiarował mi się pewien negocyant z Balza-Puerto, niejaki Leon Rios, który miał tylko dwu ludzi do niesienia najniezbędniejszych w podróży rzeczy. Obaj więc, mając tragarzy niezbyt obciążonych, mogliśmy maszerować bardzo szybko; i w samej rzeczy w podróży tej osiągnęliśmy rekord, przebywszy ją w 3 dni, gdy zwykle zużywa się na przebycie tej przestrzeni 4 do 5 dni.

Pożegnawszy w wilję moich nowych znajomych, wyruszyłem z Moyobamby w towarzystwie Rios'a d. 29 grudnia. Ponieważ zwykle na wyjeździe ma się najwięcej do roboty, była może już godzina 11-a, gdyśmy miasto opuścili. O $\frac{1}{2}$ legua przybywa się do portu nad rzeką Mayo, którą włodzi przebyliśmy, poczem wkrótce droga opuszcza równinę, tworzącą dolinę tej rzeki i górami prowadzić zaczyna. Jest to ostatni łańcuch Kordyljerów, który dzieli system rzeki Mayo z jednego z większych dopływów Amazonki, Rio Huallaga. Około godziny 3-ej po południu przybyliśmy do tambo zwanego Yana-Yacu (czarna woda) i tu zatrzymaliśmy się w oczekiwaniu mego tragarza, który przed opuszczeniem miasta podochocił sobie przyzwocie i teraz nie mógł pośpieszyć za nami. Zaczny ten obywatel, Indianin czystej krwi, nadciągnął dopiero o godzinie 5-ej i radzi nie radzi musieliśmy tu na noc pozostać, pomimo, że zrobiliśmy zaledwie $2\frac{1}{2}$ leguas.

W podróży tej szedłem znacznie lżej obładowany, aniżeli z Huayabamby do Soritor, niosąc tylko strzelbę, torbę myśliwską oraz poncho nieprzemakalne. Za obuwie służyły mi płócienne pantofle z gumową podeszwą, jakich się w Europie do kąpieli morskich używa. Rodzaj ten obuwia jest w powszechnem użyciu w całym dep. Loreto, zarówno w podróży, jak w domu i na ulicy. Niosłem też pierwszego dnia młodego ocelota, małe jeszcze kociątko, które w Moyobambie nabyłem w zamiarze odchowania i przewiezienia do Europy.

D. 30 grudnia skoro świt byliśmy już na nogach. Przodem szedł Rios, zanim — ja, a za mną ciągnęła reszta naszej nielicznej drużyny. Towarzysz mój, wytrenowany w tego rodzaju podróży, szedł krokiem bardzo szybkim, pociągając nas za sobą i tempo to utrzymał przez całą drogę zarówno na spadkach jak i przypięciu się po stromych górach. Ocelota dałem jednemu z chłopców Rios'a, niosącemu lekki ładunek. Droga prowadziła ciągle lasem, trzymając się średnio wysokości 3000 stóp nad poziomem morza. W odległości jakich 5 leguas od Moyobamby przybywa się do haciendy Jesus del Monte, ostatniego punktu zamieszkałego. Przeszedłszy obszerne pastwisko, należące do tej fermi, wkroczyliśmy znów do lasu, który stąd prowadzi aż do Balza-Puerto i dalej do nieskończoności, aby się oprzeć o brzegi Oceanu Antlantyckiego.

Okolo 11-ej przed południem przybyliśmy do szopy, zwanej Tambo de Chontasapa, gdzie zatrzymaliśmy się dla wytchnienia i spożycia śniadania. Ztąd droga wznosi się stopniowo, aż do miejscowości La Jalca, położonej na 6000 nad poz. morza. W Jalca zaczęto wtedy wydobywać korę chinową, a mój towarzysz, Acosta, miał już 100 centnarów gotowego towaru do wysłania. Wogóle w tych czasach, o których mówią eksploatacja kory chinowej w dep. Loreto przybrała dość znaczne rozmiary. Zysk był bardzo okazały, jeśli tylko china była w dobrym gatunku, gdyż płacono podówczas w Para po 80 do 100 pesos, za centnar.

Jeśli wszelako produkt ten był w złym gatunku, co się nie rzadko zdarzało przy braku specjalistów, wówczas pieniądze były w błoto rzucone, gdyż takiej kory i za darmo nikt nie chciał.

Z Jalca zaczyna się straszny spadek do doliny rzeki Mashu-Yacu*). Padłem tu raz tak gwałtownie, że mi sprężyna w zegarku pękła. Nie potrzebuję chyba dodawać, jak ja się przy tej okazji potłukłem. Całą drogę spotykaliśmy mnóstwo carguer'ów, idących z Balza-Puerto do Moyobamby; jedni nieśli towary, inni tak zwaną „payshi“ (czyt pajszi), gatunek dużej ryby, którą soloną i wysuszoną eksportują znad rzeki Ucayali na cały departament Loreto i do Brazylii. Payshi jest to jeden z najważniejszych produktów żywności w tych stronach; smakiem przypomina stokfiszka.

Już pod wieczór, przebyliśmy w bród rzekę Mashuyacu i dotarliśmy do Tambo de Pingullu, gdzieśmy się na nocleg zatrzymali.

Następnego dnia wyruszyliśmy okolo 7-ej rano. Droga prowadzi wzdłuż strumienia Mashu-Yacu, który się aż 14 razy przebywa, a jest on znacznie większy od strumienia tejże nazwy po drodze z Huaymbamby do Soritor. Co każde 2 wiorsty mniej więcej napotykaliliśmy tambos (Lopez-Tambo, Huarmi-Huarmi, Mashuyacu-Pampa). W tym ostatnim punkcie pośniadaliśmy. Tu się przebywa znaczną już rzekę Mashu-Yacu poraz ostatni na wysokości 2100 nad poz. morza. Droga prowadzi ztąd w górę niewielkiego strumienia Ciubdziu Yacu, który przebywa się na wielkiej przestrzeni 10 razy, poczem droga prowadzi w górę. Zbliżaliśmy się do sławnego na cały departament wodospadu Puma-Yacu.

Jeszcze w Chachapoyas opowiadano mi o tym wodospadzie, przedstawiając go jako coś niezwykle pięknego, a strasznego. I w samej rzeczy, nie wiem, czy na całym świecie znajdzie się coś podobnego. Wodospadowi temu dodaje uroku, choć z domieszką strachu i respektu, jego ponura sława, gdyż tu nie jedna istota ludzka śmierć znalazła.

O pół do 4-ej stanęliśmy nad brzegami Puma-Yacu. Cóż to za wspaniały widok. Szeroki na 18 kroków strumień płynie korytem z jednolitej skały, tworząc w górę od brodu kaskadę na jakie 3 metry wysoką. Woda spada tam do głębokiego basenu, następnie przelewa się przez wązki brzeg i stacza się pod 45° po je-

*) Podobna nazwa, jak strumienia między Omia i Soritor.

dnolitej, równej jak stół opoace skalistej na przestrzeni jakich 100 metrów. Tam tworzy znów głęboki basen i pod kątem prostym skręca na prawo.

Otóż po tej jakby krawędzi miednicy przejść należy. Noga stąpa po wązkim grzbieciku, mając po jednej stronie w odległości $\frac{1}{2}$ stopy krawędź owej przepaści, a raczej równi pochyłej na 100 metrów długiej, po której upadek byłby fatalny, gdyż niema literalnie o nic się zatrzymać, a po drugiej znów — od basenu — widać pod wodą jakby stopnie, lecz każdy z nich jest o stopę głębiej pod wodą położony, więc znów nogi nasze głębiej zanurzone, byłyby więcej wystawione na działanie silnego prądu. Tak więc chcąc nie chcąc stąpać musimy po tej krawędzi noża, o parę cali od brzegu strasznej przepaści. Dość jest wtedy stchórzyć tylko trochę lub dostać najmniejszego zawrotu głowy, a już po niefortunnym wędrowcu: jeśli nie zabije się na miejscu, to wyjdzie tak potłuczony, że śmierć niechybnie nastąpić musi. Wiele też osób każe się przeprowadzać z zawiązanymi oczami, lub wprost przenościć na plecach doświadczonych tragarzy.

Latwo jest zrozumieć, że przystępując do tak niebezpiecznego przejścia poraz pierwszy, miałem porządny strach. Pierwszy przeszedł szczęśliwie Rios, za nim kolejno trzej nasi chłopcy, poczem przyszła kolej i na mnie. Wszedłem do wody, lecz zaledwie zrobiłem kilka kroków po krawędzi, poczułem, że sam tego przedsięwzięcia nie wykonam. Zawróciłem więc do brzegu i ta okoliczność uratowała życie nie tylko mnie, ale i memu poczciwemu Dżokowi, o którym w chwili silnego zaambarasowania zupełnie zapomniałem. Pies wszedł za mną do wody i byłby go prąd niechybnie porwał, gdyż niema psa, któryby się mógł jemu oprzeć.

Powróciwszy na brzeg, zawołałem na mego chłopca, który przeszedł na moją stronę i, najprzód psa przeniósł, a potem powrócił po mnie i podał mi rękę. Śmiało już teraz stąpałem, uzbrojony, się w całą siłę woli. Gdyśmy się znaleźli na środku przejścia, w miejscu największego prądu, woda dochodziła mi do kolan i czułem wtedy, że jeszcze trochę, a woda porwałaby mnie w otchłań. Szczęśliwie jednak niebezpieczne miejsce przebyłem i uradowany, znalazłem się na drugiej stronie fatalnego wodospadu. Niektórzy śmieli tragarze przechodzą go, gdy woda o kilka cali powyżej kolan sięga; gdy jednak wzbiera jeszcze nieco wyżej, wówczas niema na świecie śmiałka, któryby go przebył i zwykle trzeba czekać 2 i 3 dni czasu na brzegu, póki woda nie opadnie.

Jużto zaznaczyć trzeba wielką niedbalsć władz miejscowych, które na drodze tak uczęszczanej nie zbudowały wiszącego mostu nad wodospadem Puma-Yracu. Spróbowano wprawdzie powyżej nieco zrobić marny most drewniany, lecz pierwszy przybór wody zniósł go i dziś tylko szczątki jego wiszą nad strumieniem.

Przebywszy Puma-Yacu (3,300'), sporządziliśmy w sąsiednim tambo kawę i około 4-ej ruszyliśmy, aby jeszcze dnia tego stanąć na nocleg w tambo Shimba — Huasi (shimba — pleciony, huasi — dom w języku quichua). Jak zśliśmy szybko dowodzi fakt, że od

Puma-Yacu w ciągu 20 minut podług zegarka wspięliśmy się o 800 stóp wyżej, robiąc przytem około wiorsty w kierunku poziomym. Droga prowadziła ciągle w górę, aż do wysokości 4100', poczem już była równiejsza. Wreszcie o zachodzie słońca stanęliśmy w Shimba-Huasi, gdzie już zastaliśmy rozkwaterowanych jakich 20 tragarzy, niosących payschi, dla rekrutów w Moyobambie. Rozłożyli się oni pokotem w tambie, zajmując całą jego powierzchnię. Rios jednak postąpił sobie bezceremonjalnie: kazał naszym ludziom wyrzucić kilku ze środka i pościel zasłać; wyforowani zaś tak kategorycznie cargueros rozłożyli się obok tamba bez najmniejszej opozycji. Cała ta jednak czereda urozmaicała nam noc potężnem chrapaniem, oraz dźwiękami innej natury.

Dzień Nowego Roku 1881 był ostatnim dniem naszej podróży do Balza-Puerto. Skoro świt wyruszyliśmy w drogę, która z Shimba-Huasi prowadzi ciągle grzbietem góry, aż do miejscowości zwanej La Punta, skąd już widać olbrzymie lasy, pokrywające równiny, aż poza rzekę Huallagę. Na nieszczęście dnia tego powietrze było nieco mgliste, pozwalając nam tylko dojrzeć niby zlocistą wstęgę—rzekę Cachiyacu, nad którą leży Balza-Puerto. Z niewypowiedzianym zachwytem spoglądałem na tę cudowną krainę, do której wzdychałem jeszcze jako uczeń gimnazjum, a potem jako student uniwersytetu, czytając o niej relacje Bates'a, Hauxwella'a, Bartlett'a i innych.

Z La Punta (4000') zaczyna się gwałtowny na łeb na szyję spadek. O! gdybym wam tylko kawałki tej drogi pokazał, nie uwierzylibyście nigdy, że to jest szlak pierwszorzędnej ważności, który tak znacznemu miastu, jak Moyobamba, życie daje, który dzień po dniu, godzina w godzinę obficie zraszany bywa potem ludzkiem; że tędy setki ładunków co tydzień na plecach ludzkich przebywa. Na niewielkiej przestrzeni droga z wysokości 4000' spuszcza się odrazu na 1000' — czyli blisko o 1000 metrów! Na spadku tym leżą tamba: Tacsha — Leche i Atun-Leche. Poniżej tego ostatniego spotyka się miejsce, gdzie jeszcze na dziesięć lat przed moją podróżą znajdowała się owa drabina, o której wspomniałem (Escalera), przystawiona do prostopadłej skalistej ściany. Dziś postarano się to niebezpieczne miejsce obejść, okrążając ją nieco. Przyjrząwszy się ciekawie tej sławnej na cały kraj miejscowości, gdzie przed niedawnym jeszcze czasem ludzie, niby małpy, pięli się po kilkopiętrowej drabinie, obładowani ciężkimi tłumokami, ruszyliśmy dalej po stromym spadku do rzeki Escalera-Yacu, która płynie głębokim wąwozem, odznaczającym się prostopadłymi prawie ścianami. Wszędzie widać mnóstwo bielejących ścian, gdzie się ziemia w czasie trzęsień ziemi, lub silnych deszczów wraz z całym lasem obsunęła. Dzięki to wszystko i grozą przejmujące.

Wreszcie dostaliśmy się na dno wąwozu, nad brzeg Escalera-Yacu, gdzie w tambie spotkaliśmy się ze znanym mi niejakim Rodriguez'em z Moyobamby, idącym także do Balza Puerto. Wyszedł on z Moyobamby o jeden dzień wcześniej od nas, ponieważ je-

dnak szliśmy znacznie szybciej, dogoniliśmy go w Escalera. Ztąd poszliśmy już razem.

Rzekę Escalera-Yacu przebywa się na nieznacznej przestrzeni, aż 9 razy; a rzeka to znaczna, dwa razy większa od Rio Mashu-Yacu. Wreszcie około godziny 11-ej stanęliśmy nad brzegami rzeki Cachi-Yacu, nazwanej tak od wyrazu „Cachi“, oznaczającego sól w języku quichua, gdyż tu znajdują się bogate pokłady soli pod samą powierzchnią ziemi; dość jest pogrzebać nieco, aby się do soli dostać.

Znaczną rzekę Cachi-Yacu w bród przebyliśmy w miejscowości zwanej Cachi-Puerto. Woda dochodziła nam do pasa, ponieważ jednak prąd jest słaby, niema więc żadnego niebezpieczeństwa przy przebywaniu. Następnie droga prowadzi lewym brzegiem rzeki. Część od Cachi-Puerto do tamba zwanego Modzinge należy do najgorszych z całej drogi. Wąziutka ścieżka biegnie po skalistym urwisku, gdzie niekiedy zaledwie jest dość miejsca, aby stopę ulokować; w razie zaś poślizgnięcia wpadłoby się do głębokiej i wartko w tem miejscu płynącej rzeki.

Wreszcie dobrnęliśmy do Tambo Modzinge, skąd już droga prowadzi stale po równym gruncie z bardzo małymi wyjątkami. Było to już podnóże Kordyljerów, początek tych nieskończonych równin Amazońskich, które się kończą hen na brzegach Atlantyku. Dzięki Ci, Boże! za szczęśliwe przebycie tej strasznej drogi, o której najbarwniejszy opis pojęcia nigdy nie da; trzeba ją samemu przebyć i odczuć.

W Modzinge wytchnęliśmy nieco, a tymczasem chłopcy nasi zgotowali nam kawę, która nam nowej energii na dalszą drogę dodała. Poszliśmy stąd rażno, kontenci, że nie trzeba już karkołomnych sztuk powtarzać, aby w przepaść nie runąć. Około pół do trzeciej dotarliśmy do pierwszych pół uprawnych w miejscowości, zwanej Canoa-Puerto, a o 4-ej stanęliśmy nareszcie w Balza-Puerto po 3 dniach uciążliwego, a często niebezpiecznego marszu.

Jakkolwiek Balza-Puerto (800') jest to licha miścina, a właściwie duża wieś, była ona podówczas miastem głównym prowincji Alto-Amazonas, czyli rezydencją pod-prefekta. Składa się ta osada z domów, zbudowanych z trzciny dzikiej (cana brava) i krytych strzechą. Ludność jej składała się z kilkunastu białych, a resztę stanowili osiadli Indianie, którzy dzień cały albo na swych plantacjach, albo na polowaniu czas spędzali. W czasie gdy ja tam przybył, robiono już starania, aby podprefekturę przenieść do Yurimaguas, jako miasta znacznie większego i będącego ważnym środkiem handlowym całego departamentu. Nie miałem już później wiadomości, czy te starania zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem.

Teraz czekała mnie trzydniowa podróż łodzią rzeką Cachi-Yacu, a następnie Paranapurą, jednym z dopływów Huallagi. Okazało się jednak, że w całem Balza-Puerto w danej chwili nie było ani jednej łodzi do wynajęcia; trzeba więc było czekać na jaką okazję, a tymczasem przy pomocy Rios'a wynająłem dużą izbę,

w której gnieździła się cała kolonja wampirów; szczęśliwym jednak trafem przez cały mój tygodniowy pobyt nie byłem ani razu niepokojony przez te wstrętne stworzenia. Wreszcie przybyła z Yurimaguas łódź, która miała wracać próżna. Ułożyłem się więc z wiosłarzami, Indjanami z Tarapoto, że przewiozą mnie, mojego człowieka i cały mój bagaż do Yurimaguas, za co każdy dostanie po 1 peso (4 franki). Było ich 5-ciu, to jest czterech „punteros” (wiosłarzy) i jeden „popero” (sternik). Zwykle za łódź z Balza-Puerto do Yurimaguas płaci się, 3, 4 do 5 pesos stosownie do jej wielkości, a nadto każdy wiosłarz zarabia 3 pesos. ma się jednak wtedy prawo do drogi powrotnej. Można więc w Yurimaguas sprzedać prawo do łodzi i tym sposobem drogę w dół odbyć za darmo. Ponieważ jednak wynająłem łódź pochodzącą z Yurimaguas, musiałem ponieść koszt. Zresztą właściciel łodzi, niejaki don Raimundo del Aguila nie wziął odemnie w następstwie ani grosza za jej wynajęcie, cała więc moja podróż kosztowała tylko te 5 pesos, które wiosłarzom zapłaciłem.

Łódź moja był to spory stateczek, zrobiony z jednej sztuki drzewa. Przód jej zajmowało czterech wiosłarzy; za nimi umieszczono 8 moich skrzyń, po dwie w rzędzie. Tył łodzi zajmował tak zwane „poumacari”, czyli przykrycie z liści palmowych, gdzie ja się wygodnie pomieścić mogłem w pozycji leżącej lub siedzącej; za poumacari umieszczono jeszcze jedną skrzynię oraz mój kufer, a wreszcie na samym tyle łodzi ulokował się „popero” czyli sternik, stary Indjanin, z nosem i policzkami na czarno pomalowanymi. On tylko jeden mówił po hiszpańsku, gdy reszta załogi porozumiewała się jedynie w języku quichua. Wszyscy oni za jedyne ubranie mieli krótkie, płócienkowe kurteczki i takież majtki, sięgające kolan; ubiór ten pofarbowany był na jakiś brunatno-czarny kolor.

W podróży tej miał mi też towarzyszyć młody, dwudziestoletni chłopiec, niejaki Santiago, Indjanin rodem z osady Jeberos. Skontraktowałem go w Balza-Puerto na cały czas mego pobytu w Yurimaguas, aby mnie posługiwał i jeść gotował, za co obowiązałem się mu płacić po 5 pesos miesięcznie, dając przytem całkowite utrzymanie. Był to chłopak cichy, pilny i bardzo uczciwy, o czem się mogłem przekonać w następstwie.

Tak więc 8 go stycznia, pożegnawszy się z Rios'em i kilku innymi znajomymi, puściłem się w tę nową dla mnie podróż łodzią. Żegluga po rzece Cahchi-Yacu nie należy do zupełnie bezpiecznych, dzięki licznym pniom drzewa, zawałającym łożysko rzeki; a nadto przebywa się w bliskości Balza-Puerto dwie bystrzyny, czyli „porohy”, gdzie trzeba wiele zręczności i wprawy w sterowaniu, aby łodzi nie wywrócić, lub nie rozbić.

Stan wody był bardzo niski i często gęsto łódź na mieliznie osiadała. Wówczas wiosłarze do wody wchodzili i popychając, sprowadzali ją na głębszą wodę. Ten rodzaj kąpieli nie sprawiał im najmniejszej różnicy, gdyż i bez tego po kilka razy na dzień wskakiwali do wody w całkowitem ubraniu, aby się na silnem go-

raću odświeżyć. Nieraz też łódź wpadała na podwodne pnie, a wtedy drzałem o całość moich kolekcji, bojąc się, aby do wody nie wpadły.

Tegoż jeszcze dnia, po ciemku już prawie, wypłynęliśmy na rzekę Paranapurę i stanęliśmy na nocleg w bliskości dość znacznej haciendy Varadero, należącej do niejakiego don Resurreccion Rios. Następnego dnia, w niedzielę, wypłynęliśmy jeszcze po ciemku i przed wschodem słońca stanęliśmy w Varadero, gdzie kupił trochę ryb świeżych. Poniżej zrobiliśmy znów przystanek, aby zjeść śniadanie, poczem płynęliśmy aż do 9-ej wieczorem dzięki księżycowi, który nam jasno przyświecał.

Co dzień wypływaliśmy przed świtem i przybijaliśmy dopiero o koło godz. 8-ej rano do brzegu, a wtedy ludzie moi rozpalali ogień i gotowali śniadanie; następnie płynęliśmy do 4-ej i o tej porze znów robiliśmy przystanek, aby zjeść obiad, poczem jechaliśmy do godziny 8-ej lub 9 wieczorem, i wtedy rozbijaliśmy obóz na nocleg. Wybierano na ten cel jaką piaszczystą mieliznę, gdzie łódź łatwo do brzegu przybić mogła, chłopcy rozpalali ognisko, rozpościerano na pobrzeżu mój namiot od moskitów i wtedy wszyscy układaliśmy się do snu. Noce były bardzo przyjemne, gdyż nie gorące ani nadto chłodne, więc spało się wyśmienicie.

Takie noclegi nad brzegiem Paranapury są niekiedy połączone z wielkiem niebezpieczeństwem, gdy bowiem w górach deszcze ulewne upadną, rzeka wzbiera tak gwałtownie, że woda idzie wałem, na metr wysokim, zalewając momentalnie wszystkie miejsca niżej położone. Wtedy biada nieostrożnemu podróżnikowi, gdyż go szalony potok porwie wraz z całym jego dobytkiem. Na szczęście jednak Indjanie, służący za wiosłarzy, mają ucho tak wyrobione, że z daleka słyszą szum nadchodzącej powodzi i prawie zawsze zdołają przenieść bagaż na wyżej wzniesione miejsce.

Trzeciego dnia naszej podróży, minawszy kolejno osadę Muniche, a następnie haciendy Limon, Chambiraycu i Bellavista, około godziny 5-ej po południu wpłynęliśmy na wspaniałą rzekę Huallagę, z kąd tylko dzieliła nas jedna wiorsta od Yurimaguas, położonego w górę rzeki. Huallaga liczy w tem miejscu jakie 300 metrów szerokości. Wszędzie ten sam jednolity, imponujący las brzegi jej okala. O zachodzie słońca przybiliśmy do przystani w Yurimaguas. Zostawiłem mych ludzi przy łodzi, a sam pobiegłem do miasta, rozpytując się o mieszkanie ziomka naszego, p. Ludwika Sisley'a, a właściwie p. Dominika Meyera.

ROZDZIAŁ X,

Yurimaguas — Powrót do Europy.

Jeszcze na parę lat przed przybyciem mojem do Yurimaguas— bodaj nawet, że na Pomorzu — opowiadano mi, że w miasteczku Yurimaguas zamieszkuje ziomek nasz, nazwiskiem Ludwik Sisley, jeden z najbogatszych kupców w całym departamencie Loreto, prowadzący handel hurtowy z Brazylią. Nic nie mające w sobie polskiego brzmienia nazwisko kazało mi podejrzewać, że albo osoba o której mowa, nie jest Polakiem, albo też, że jego nazwisko zotało przekrecone. Legendę jednak o Polaku Sisley'u powtarzano mi później w Chachapoyas i w dolinie Huayabamby, aż w końcu musiałem uwierzyć, że w samej rzeczy spotkaliśmy się tu z rodakiem o tak dziwnem nazwisku. Ciekawość też moja była niezmiernie podbudzona, gdym po przybyciu do Yurimaguas skierował się do siedziby tej zagadkowej dla mnie osobistości. Na zapytanie moje o mieszkanie p. Sisley'a, wskazano mi na rynku dom najprzyzwoiciej urządzoney. Wszedłem z bijącym sercem, bo każdy zrozumie, że spotkania tego rodzaju, w tak odległym zakątku świata, po paru latach niespotkania nikogo z rodzinnej ziemi, musiało wyrzeć na mnie wielkie wrażenie.

P. Sisley siedział przy stole wraz z całą swoją rodziną, żoną z żony i trojga dzieci. Był to mężczyzna 50-letni, szczupły, bardzo przystojny. Kiedyś musiał być blondynem, gdym go jednak ujrzał, głowę jego, wasy i bokobrody pokrywała już kompletna siwizna. Cerę miał chorobliwą jak większość Europejczyków, przebywający długi czas w gorącym klimacie; już go wtedy nurtowała piersiowa choroba, która w lat kilka potem miała go wpędzić do grobu *). Po polsku wyrażał się z trudnością, czemu się bynajmniej dziwić nie można, gdyż i ja, nie rozmawiając przez dwa lata rodzowitym językiem, napotykałem pewną trudność w potocznej rozmo-

*) P. Sisley zmarł w Paryżu, gdzie ciało jego spoczywa na cmentarzu Père-Lachaise.

wie i mieszałem często wyrazy hiszpańskie. P. Sisley jednak korespondował doskonale w ojczystym języku ze swą siostrą, zamieszkałą w Warszawie, z kąd oboje byli rodem. Historia tego dzielnego człowieka jest następująca.

Po skończeniu gimnazjum realnego w Warszawie, udał się do Berlina w celu kształcenia się na kupca. Bawił następnie w Hamburgu, Paryżu i Londynie, aż w końcu udał się do stanów Zjednoczonych.

Tutaj przyszło mu na myśl udać się nad Amazonkę dla szukania fortuny, a na początek miał tylko 200 dolarów, które stracił, włożywszy je w przedsięwzięcie parowców na Amazonce. Zaczął więc na nowo bez grosza, a sumienną i bez wytchnienia pracą powoli dorobił się ogromnego majątku. Pierwotnie osiadł w Moyobambie, gdzie się ożenił z Peruwjanką i we dwoje prowadzili sklep z takim nakładem pracy, że literalnie jeść czasu nie mieli. Oparł on swój handel na zasadach wręcz przeciwnych powszechnie w Peru przyjętym, bo gdy kupiec peruwjański, jak to już wyżej zaznaczyłem, stara się lichy towar sprzedawać za jak najwyższą cenę, Sisley, przeciwnie, sprzedawał towar w doskonałym gatunku po cenach umiarkowanych. Wkrótce też poznano się na tym rzetelnym kupcu i rozpoczęły się istne procesje do jego sklepu, a gdy go zamykał, aby z żoną, która mu dopomagała, zjeść śniadanie, czy obiad, wówczas kupujący na ulicy czekali, a do innych kupców iść nie chcieli*). Nic więc dziwnego, że interes rozrastał się i wkrótce p. Sisley zrozumiał, że właściwym punktem operacyjnym powinno być miasteczko Yurimaguas, dokąd parowce z brazylijskiego miasta Para dochodzą. Przeniósł się więc tutaj i założył dom hurtowy, z kąd prowidował kupców z całego departamentu, a głównie z miast: Moyobamba, Rioja, Habana, Soritor, Calzada, Tarapoto i innych. Na półtora miesiąca przed moim przybyciem wrócił z Europy, przywoząc parowiec, naładowany wyłącznie jego towarami, a oczekiwał jeszcze drugiego, również znacznego transportu z Para. Obrót roczny jego domu wynosił około 200.000 soles (około 400.000 rb.), a majątek liczono w czasie mego pobytu na półtora miliona franków. Godny naśladowania przykład tego dzielnego człowieka, który uczciwą pracą dorobił się tak znacznego majątku! Jemu też miasto Yurimaguas zawdzięcza swój szybki rozwój, z chwilą bowiem założenia domu hurtowego środek ciężkości całego handlu w dep. Loreto przeniósł się do tego miasta.

Rodak nasz przyjął mnie nader serdecznie i zaprosił zaraz do stołu, gdzie mogłem zadowolnić mój głód obiadem, jakiego od wyjazdu z Limy nie jadłem. Rzeczy moje zniesiono tymczasem do chwilowo najętego sklepu, gdyż u p. Sisley'a restaurowano podówczas mieszkanie i nie miano mnie gdzie pomieścić. Gawędziliśmy jeszcze długo z ziomkiem moim, przypominając sobie ukochaną Warszawę i dopiero późną nocą udaliśmy się na spoczynek.

*) Szczegóły te wiem od samych Peruwjan.

Nie chcąc być ciężarem dla p. Sisley'a, wynalazłem nazajutrz dom, który cały na mój użytek wynająłem. Był to dość obszerny budynek ze ścianami zrobionymi z trzciny (cana brava), przez które można było jak w klatce widzieć, co się w domu dzieje, w skutek czego musiałem najprzód światło gasić, a później dopiero przystępować do rozbierania, aby mnie przechodnie w negliżu nie zobaczyli. Dom posiadał trzy pokoje od ulicy i z tych zająłem środkowy na moją pracownię, jeden z bocznych — na sypialnię, a pozostały — na menażerję, utworzoną z najrozmaitszych gatunków papug, oraz mego ocelota, który się chował doskonale. Tył domu zajął Santiago na kuchnię, bo chociaż p. Ludwik prosił mnie, abym się stale u niego stołował, to jednak uchylić się musiałem od tego grzecznego zaproszenia, aby nie być skrępowanym w mych codziennych zajęciach i tylko codzień chodziłem do niego o 7-ej na obiad i znaczną część wieczoru na miłej rozmowie spędzałem.

Dom mój, jak wogóle domy peruwjańskie, nie posiadał okien, a światło dostawało się jedynie przez drzwi, oraz przez liczne i obszerne szpary między trzcinami, z jakiej ściany były zrobione. Przy drzwiach umieściłem więc duży stół, który mi wypożyczono; zamiast krzesel porozstawiałem skrzynie z kolekcjami; na belkach, stanowiących wiązanie dachu, przywiązałem dużą półkę do suszenia mych kolekcji i tak zainstalowawszy się mogłem przystąpić do zwykłych, a tak przezemnie ulubionych zajęć. Pierwsze jednak parę dni zajęty byłem rewizją mych pak ze zbiorami, dowiedziałem się bowiem, że przy przeprawie przez rzekę Inchoche, łódź z meimi kolekcjami wywróciła się i wszystkie skrzynie wpadły do wody; wydobyto je natychmiast, lecz zawsze obawiałem się, czy się woda do środka nie dostała, co pociągnęłoby za sobą niepowetowane dla mnie straty. Aby się o tem przekonać, musiałem wszystkie skrzynie odlutowywać i zawartość ich sprawdzać. Na szczęście jednak egzamin mój wypadł nadzwyczaj pomyślnie, gdyż nigdzie najmniejsza kropla wody do środka nie przeniknęła, co zawdzięczałem tylko starannemu lutowaniu, które sam zawsze uskuteczniałem. Wypadek ten potwierdza jednak wyrobione już we mnie przekonanie, że wszelkie zbiory przyrodnicze w czasie długich i często niebezpiecznych podróży winny być pomieszczone w skrzyniach blaszanych, hermentycznie zalutowanych. Uspokoiwszy się co do stanu kolekcji, rozpocząłem zaraz ekskursje, aby wyzyskać kilkomiesięczny przeciąg czasu, jaki miałem zamiar w Yurimaguas spędzić przed powrotem moim do Europy. Do lasu miałem blisko, bo przeszedłszy tylko niewielką przestrzeń pastwisk i krzaków, wkraczało się do wspaniałej puszczy, którą iść już można było do nieskończoności. Aby rzucić okiem na ten las gorący, wróćmy się na chwilę do mej podróży, jaką w Balza Puerto do Yurimaguas odbyłem, gdyż wtedy poraz pierwszy zetknąłem się z tą precudną przyrodą.

Nigdy nie zatra się w mej pamięci uroczę chwile tej podróży. W ciągu dnia, wprawdzie, zbytni upał czynił nas nieuczulymi na wszelkie cudy Przyrody, lecz zato ranne, lub wieczorne godziny dostarczały mnie każdej chwili sposobności zachwycania się i uwielbiania Tego, który świat stworzył tak pięknym. Pomimo woli nasuwała mi się wtedy myśl, jak nieudolnym jest człowiek w swych wysiłkach naśladowania Przyrody i gdym sobie przypominał nasze parki, nasze oranżerje, ubolewałem nad tymi, których one zachwycać mogą.

Ranne powietrze, dość chłodne jak na te strefy, obudziło nas z głębokiego snu, w jaki zapadliśmy. Już świtać zaczyna i gwiazdy bledną szybko. Słyszę głosy mych Indian, szykujących łódź do podróży, szybko więc zbieram pościel i do łodzi pakuję. Gotowiśmy, w drogę! Jak jedno uderzyły cztery wiosła i łódź pomknęła po szklistej powierzchni rzeki, choć mamy niekiedy wrażenie, jak-gdybyśmy stali w miejscu, a te brzegi przesuwają się przed nami, szykując nam coraz to nowe widoki, coraz to żywsze wrażenia.

Ciemna jednolita ściana wznosi się po obu brzegach nieszerokiej rzeki; pnie, korony drzew, ljan, pasorzyty—zlewają się w jedną, wspaniałą masę lasów — raz proste, równe, gładkie, to znów pochylone nieco, garbate, niemniej jednak piękne. Odstępy między nimi wypełniają mniejsze drzewa, często o kształtach dziwnych i fantastycznych; jedno z nich jakby kory pozbawione, posiada pień koloru ciała Indian, którzy mi towarzyszą—jak ono brunatne i lśni się jak ono. Skromne, niewysokie palmy kolczaste wychylają swą elegancką koronę spomiędzy innych drzew, nieustępując pod względem piękności obok wznoszącej dumnie swe liście pierzaste, wyniosłej palmie „aguaje“ (*Mauritia flexuosa*), która do najwspanialszych ozdób amazońskich lasów należy. Wszystko to przeplatane ljanami, powojami, spuszczałymi swe gęste spłoty, aż po samą wodę. Raz po jednej to znów po drugiej stronie rzeki spotykamy równinki czystego piasku, lub mułu, na których porasta niewysoka, jasno-zielona roślinność. Sama zaś rzeka cicho i nieznacznie toczy swe wody, szemrząc tylko zlekka tam, gdzie urwisty brzeg z właściwego kierunku zbacza, lub gdzie spotka na swej drodze sterzące gałęzie zwałonego drzewa, — płynie jednak naprzód spokojnie, podobna do tego ludu, który szemrząc na swych przewodników, idzie tam, gdzie mu oni iść każą.

Ranne godziny mają tu urok niewysłowiony: na czystem, lazurowem tle nieba wspaniałe odbijają przeciągające stada czerwonych papug-arasów, które swem potężnem krakaniem ożywiają samotnię lasu; ptactwo wszelakiego rodzaju i barw kręci się po drzewach, bo to dla niego najlepsza chwila żerowania po przebytej nocy; z nad rzeczno-gąszczu dochodzą nas srebrzyste nuty; słuchajmy pilnie, gdyż to mistrz nad mistrzami, sławny „organito Peruwjan daje koncert, jakiego u nas w Europie nie słyszymy. Powietrze napęlnia jakaś woń nieokreślona, a przyjemna, zapewne

składowa różnych zapachów, jakie las z siebie wydaje*). Tu wyszła na brzeg wydra i ciekawie na nas spogląda; tam para sarenek spokojnie pije wodę, a obraz ich odbija się wyraźnie w równej jak zwierciadło powierzchni rzeki.

Takie niezatarte wrażenie zrobiły na mnie lasy maynańskie**), gdym je poraz pierwszy w styczniu 1880 roku zobaczył; zachwyt mój nie zmniejszył się ani trochę w cztery miesiące potem, gdym na statek wsiadał, aby do Europy odpłynąć. Jako pamięć po nich powstało w mej duszy wrażenie czegoś olbrzymiego, przewspaniałego, niezrównanego.

Wspomniałem już przedtem, że większe drzewa rosną w dość znacznem od siebie oddaleniu, skutkiem czego kontur lasu, widziany z pewnej odległości wyda nam się jako linja bardzo falista. Ta okoliczność powoduje także niejednostajny rozkład podszycia leśnego, które w sąsiedztwie drzew większych jest rzadkie i niewysokie, gdy przeciwnie w odstępach dzielących je, gąszcz dochodzi niekiedy wielkiego rozwoju. Przyczyną tego jest brak światła pod gęstemi koronami wielkich drzew. Dla tego też skraje lasu, np. brzegi rzek, i pól, są zawsze podszyte nieprzebytem gąszczem, dzięki obfitości światła słonecznego.

Grunt w lasach nizinowych jest po większej części gliniasty, nie widać go jednak pod grubą warstwą zgniłych liści i pni zwalonych, występuje zaś tylko na ścieżkach, lub po brzegach rzek i strumieni. Części lasu, niżej położone i dostępne dla większych wylewów rzek, posiadają grunt mulasty z małą domieszką liści opadłych, a roślinność ich jest w ogóle bardzo różna; przeważa zaś w niej palma „aguaje“ (*Mauritia*). Widziałem nad Amazonką znaczne przestrzenie, pokryte prawie wyłącznie przez ten gatunek palmy.

Oprócz większych rzek, przecinają te lasy dziewicze, liczne strumienie i strumyki o łożysku bardzo krętym. Po drodze z Yurimaguas do Chambirayacu na przestrzeni 3 wiorst przecina się ich siedm. Jak są kręte owe strumyki przekonamy się z tego, że przestrzeń między dwoma brodami jednego z nich, którą po dróżyce przebyć można w 5 minut, szedłem raz 2 godziny, idąc łożyskiem strumienia. Ta sama obserwacja stosuje się i do większych rzek, a jako przykład posłużyć nam może Huallaga, która poniżej Yurimaguas tworzy olbrzymi zakręt. Przestrzeń pomiędzy tem miastem, a haciendą Santa-Rosa łądem, idąc pieszo, przebywa się w kwadrans czasu, gdy statek parowy, płynący w dół rzeki z szybkością 16 mil angielskich na godzinę, potrzebuje 2 godziny czasu do jej przebycia.

*) Zapach ten, o którym mi już Jelski dawniej wspominał, posiadają lasy nizinowe do wysokości mniej więcej 4000' nad poz. morza. W górskich lasach zastępuje go smołkowa woń niektórych drzew i krzewów.

**) Maynas nazywają się w Peru rozległe równiny rozciągające się wzdłuż rzek Huallaga, Ucayali i górnej Amazonki.

Ne od rzeczy będzie zrobić małą wzmiankę o Amazonce, która wraz ze swymi wasalami wśród tych lasów króluje; w Europie bowiem wyrobiono sobie o niej bardzo błędne pojęcie. Już od zlania się jej z rywalką swą—rzeką Ucayali, Amazonka w żadnym prawie miejscu nie płynie jednym łóżyiskiem, lecz przez cały szereg wysp zostaje podzieloną na liczne ramiona, nie możemy więc bynajmniej sądzić o jej szerokości. Olbrzymia masa wody pomimo nadzwyczaj słabego spadku*), posiada średnią szybkość w porze wielkich wód(w kwietniu i maju) około 4 mil angielskich na godzinę. Mętne jej nurty niosą wówczas do morza olbrzymie masy zwalonych kłód i całe wyspy, złożone z jakiejś trawiastej rośliny.

Cały system Amazonki charakteryzuje się obfitością tak zwanych „cochas“ (w języku quichua „cocha“ znaczy jezioro). Są to mniejsze, lub większe zbiorniki wody stojącej, połączone z rzeką zwykle dość wązkimi kanałami. Woda takich „cochas“ jest dość przejrzysta i posiada charakterystyczny, brunatny kolor ługu. Miejscowi uważają je za dawne łóżyiska rzeki.

Pory roku posiadają w lasach maynańskich ten sam rozkład, co i w całym regionie Montana, pora jednak dżdżysta nie jest tu tak przykłą, jak w górnych piętrach lasów, a to dzięki tej okoliczności, że tu prawie niema ani mgieł, ani drobnych, a długotrwałych deszczów. Śilne uragany są tu wprawdzie bardzo częste w miesiącach styczniu, lutym i marcu i ulewy też bywają prawdziwie podzwrotnikowe, trwają jednak zwykle nie więcej nad parę godzin i ograniczają się w większej liczbie wypadków do popołudniowych godzin dnia. Mogłem zauważyć, że te burze zwykle nadciągają od zachodu, czyli od Kordyljerów, rzadziej od południa, lub wschodu, ani razu zaś nie widziałem, aby burza od północy nadciągnęła.

Uraganom takim, które na swej drodze olbrzymie drzewa zmiotają i często domy unoszą, towarzyszą zwykle nadzwyczaj silne wyładowania elektryczne. Nigdy jednak nie widziałem podobnego napięcia elektrycznego, jak pewnej marcowej nocy 1880 r. Uragan szalał prawie noc całą, wstrząsając domostwem i pędząc do wnętrza przez klatkowate ściany strumienie deszczu. Od godziny 1-ej do 3-ej nad ranem błyskawica nie ustawała na chwilę: literalnie przez dwie godziny niebo zionęło ogniem tak, że można było jak w dzień chodzić przy migocącym świetle błyskawicy.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć czytelnikom, że te lasy amazońskie są dla Peruwjan i Brazylijczyków niewyczerpanym źródłem bogactw. Ostatnimi zwłaszcza czasy eksploatacja ich przybrała znaczne rozmiary. Zastępy tak zwanych „exploradores“ przebiegają je we wszystkich kierunkach, ciągnąc z nich niemałe korzyści. Drzewo kauczukowe (*Siphonia elastica*) szczególnie daje doskonały zarobek odkrywcom. Za niem idzie „marfil vegetal“

*) Yurimaguas, położone o 3000 mil ang. od ujścia jest wzniesione za ledwie na 700' nad poziomem morza.

(kość słoniowa roślinna — *Phytelephas macrocarpa*), rodzaj palmy, dającej bardzo twarde orzechy, które służą do wyrobu guzików i gałek do lasek. Zarzaparilla, kopaiwa, wanilja, balsam peruwjański, kurara—z tych również lasów pochodzą. Drzewo kakaowe (*Theobroma cacao*) rośnie tu dziko. Miljony zaś olbrzymich żółwi rzecznych dają nietylko doskonale mięso do jedzenia, ale nadto niosąc corocznie nieobliczalną ilość jaj, dają możność mieszkańcom wydobywania tłuszczu, który wraz z tłuszczem lamantynowym stanowi jeden z najważniejszych produktów wywozowego handlu Peru. Obfitość ryb w rzekach i zwierzyny w lasach dostarcza Indjaninowi zdrowego i łatwego do zdobycia pokarmu. Klimat tych lasów jest stosunkowo dość zdrowy, choć Europejczyk zapada tu zwykle na zimnicę, malarję lub dysenterję.

Poznawszy już nieco charakter dziewiczych lasów porzeczna Amazonki i jej dopływów, rzućmy teraz okiem na świat zwierzęcy, im właściwy. Przedewszystkiem pozbadźmy się raz na zawsze fałszywego, a bardzo w Europie rozpowszechnionego mniemania, że wspomniane lasy wrą życiem, że na każdym kroku spotykamy stada tapirów lub pekarich, że jaguar, lub puma wszędzie czyha na podróżnika, lub że stada małp przebiegają te puszcze w różnych kierunkach, rzucając na przechodniów owocami lub gałęziami. Kto sobie takie pojęcie o lasach amerykańskich wyrobił z powieści Mayne-Reid'a lub Verne'a, ten niepomalu zostaje zdziwiony głuchą ciszą dziewiczego lasu, przerywaną rzadko pojedynczymi głosami ptactwa. Jeszcze w rannych godzinach dnia, o wschodzie słońca, las wre życiem, gdyż wówczas ptactwo, a głównie papugi, oddające się żerowaniu, ożywiają samotnie puszczy swymi niezawsze harmonijnymi krzykami. Lecz w miarę jak słońce zbliża się ku południkowi, wzmagający się skwar zapędza je do miejsc cieniastych, gdzie się spokojnie sjeście oddają. Wówczas rozpacz bierze przyrodnika, włóczącego się ze strzelbą po lesie, gdyż godziny całe trawi bezowocnie, szukając celu dla swej dwururki. Śsących jest tu bardzo niewiele, a znaczenie ich w ogólnym kolorycie krajobrazu zmniejszy się jeszcze dla nas, gdy sobie przypomnimy, że większość ich posiada nocne obyczaje, dzień zaś spędza wśród gęstych ljan i splotów drzew lub w nieprzebytym gąszczu podszycia leśnego.

Jaguar (*Felis onca*) jest niewątpliwie królem tych puszczy olbrzymich; dorównyując nieraz siłą i wielkością tygrysowi bengalskiemu, jedynie człowieka obawiać się może. Miejscowi nazywają go „tigre“ lub w kiczuańskim języku—„otorongo“ i „puma“; boją się go i nienawidzą, gdyż im szkody w bydle rogatem, lub wieprzach wyrządza; zdaje się, że konie, lub muły rzadko atakują w przeciwieństwie do pumy, czyli lwa amerykańskiego, który właśnie te zwierzęta napada, pozostawiając bydło rogate w spokoju.

Jaguar najpospoliciej spotyka się w górętszych częściach lasów wschodniego Peru—od równin maynańskich aż po 4000' nad poziomem morza; w swych włóczęgach jednak zapędza się niekiedy do 8000' wysokości, a nawet wyjątkowo poza granice drzewia-

stej roślinności, do rejonu pastwisk alpejskich zachodzi. Nigdzie jednak nie jest licznym, co własną obserwacją poprzeć mogę. Każdy osobnik ma okolicę kilkomiłowego obszaru, w której kolejno odwiedza osady lub wsie, czyniąc szkody w zwierzętach domowych; spędziwszy w jednej okolicy kilka tygodni, gdy miarkuje, że zbyt zwrócił na siebie uwagę mieszkańców, przenosi się gdzieindziej, aby tam na nowo psoty swe rozpocząć. Dzięki temu spotkanie się z jaguarem należy do bardzo rzadkich wypadków.

Tym to krwiożerczym i złodziejskim obyczajom jaguara przypisać należy trudność zdobycia zupełnie dojrzałego osobnika, gdyż rzadko który z tych drapieżników ginie śmiercią naturalną; zwykle zaś padają one pod celnymi strzałami rozjątrzonych ich zachwalstwem mieszkańców. Słyszałem jednak kilkakrotnie o osobnikach, wyrównujących wielkością tygrysowi azjatyckiemu, choć te do wielkich rzadkości należą.

Obyczaje jaguara opisane zostały dostatecznie przez licznych amerykańskich podróżników, nie będę się więc tu w szczegóły bawił, odsyłając raczej czytelników do klasycznego dzieła Brehm'a. Przytoczę zaś tylko te wypadki, które, podług mnie, były dotychczas nieznanne, przyczem opierać się będą na wiarogodnych opowiadaniach mieszkańców.

Jaguar w rzadkich bardzo wypadkach rzuca się na człowieka niezaczepiany przez niego i to prawdopodobnie wtedy tylko, gdy głodem przyparty zostanie. Jak z wielu drapieżnikami starego ładu, dzieje się to zwykle okolicami. Tak np. w Yurimaguas słyszałem tylko o jednym wypadku, w którym jaguar, wpadłszy do domu, chciał porwać samotną mieszkankę, jakąś starą babinę, lecz został spłoszony dzięki wdaniu się sąsiadów; gdy tymczasem w okolicach miasteczka Jeberos, odległego o 5 dni drogi piechotą, jaguary są bardzo zuchwałe, powodując ciągle wypadki śmierci pomiędzy Indjanami. Niektóre też osobniki zwane „cebados“¹⁾, co odpowiada angielskiemu „man-eater“ (ludożercy), czyli te, które już próbowały ludzkiego mięsa, są dla człowieka bardzo niebezpieczne.

Za to jaguar raniony rzuca się zawsze na niefortunnego myśliwca, na potwierdzenie czego mógłbym przytoczyć mnóstwo autentycznych wypadków, o których słyszałem już to od osób, biorących czynny w nich udział, już to będących naoczными świadkami. Wybiorę z nich kilka bardziej zajmujących.

Niejaki don Blas Alban, podprefekt dep. Loreto, opowiedział mi w Moyobambie następujący wypadek z jaguarem, pokazując mi na potwierdzenie swych słów liczne szramy na twarzy, karku i rękach. Zajmował on niegdyś miejsce nauczyciela szkoły w miasteczku Saposoa. Pewnego razu mieszkańcy zaalarmowani zostali pojawieniem się jaguara w biały dzień pod samymi domami miasteczka. Wylegli więc wszyscy — kobiety i dzieci nawet, z czem kto mógł i otoczono gęsty krzak, w którym się drapieżnik ukrył;

¹⁾ Cebap, hiszp. — dać jeść zwierzętom, tuczyć, zanęcić.

między nimi był i nasz znajomy. Poczęto kłuć i niepokoić jaguara, który przez dość długą chwilę znosił te ataki; w końcu jednak rozjątrzony bólem, jednym susem rzucił się na Albana, zwałił go z nóg, gryząc jednocześnie twarz i szarpiąc ciało pazurami. Nieszczęśliwy człowiek z rozpaczny wsadził okrutnemu drapieżnikowi rękę w paszczę, chwytając go silnie za język i tak się z nim borykał, aż póki któremuś z Indjan nie przyszła w końcu szczęśliwa myśl zakłucia jaguara lancą. Alban jak to sam widziałem, posiadał jeden policzek zupełnie zapadnięty; cały kark pokryty miał wielkimi bliznami, a ręka poza artykulacją pięści nosiła obrączkowaty żłobek, wygryziony zębami jaguara, gdy mu nieszczęsna ofiara swą rękę w paszczę zapakowała.

Kilkunastoletni chłopak indyjski, będący na usługach p. Sisley'a w Yurimaguas, spotkał się w biały dzień z jaguarem pod samym miasteczkiem. Mając ze sobą strzelbę nabiłą śrutem, nie zważał się strzelić, skutkiem czego raniony jaguar rzucił się na niego, a pokaleczywszy strasznie, umknął. Chłopak cały krwią obłany, ze szmatami oberwanej skóry na głowie, dowlókl się do miasteczka, gdzie mu rany opatriono i skórę zeszyto. Rany się pogoiły, lecz nieszczęśliwy od tego czasu miewał częste ataki szaleństwa, aż w końcu rzucił się do rzeki i utonął na krótki czas przed moim przyjazdem do Yurimaguas.

Rany, spowodowane kłami lub pazurami jaguara są bardzo trudne do zagojenia, co przypisać należy tępości brzegów, tych organów, którymi zwierz szarpię, a nie kraje, włókna ciała. Gdy cięcia, zrobione szablami naszego odyńca, goją się nieraz po dwu tygodniach czasu, rany od pazurów jaguara gnoją się i ropią przez długi przeciąg czasu, i zwykle albo zakażenie krwi, albo tetanos bywają ich ostatecznym rezultatem. Niemalą też rolę musi tu odegrywać tak zwany trupi jad, który się zawsze znajduje na kłach i pazurach wielkich drapieżników. W tem samym miasteczku Yurimaguas na parę lat przed mojem przybyciem, niejaki Rios postrzelił jaguara, który szalonym susem rzucił się na niego, lecz dzięki dymowi strzelby, chybił skok i zamiast na myśliwego padł na strzelbę, którą z zajądlnością gryźć począł. Nierozważny strzelec sięgnął ręką po broń swoją, chcąc ją drapieżnikowi odebrać, lecz ten schwycił go za pięść i odgryzłszy mu ją, skrył się w gąszczu. Rios wskutek rany umarł po jakimś czasie.

Nawet atakowany w wodzie jaguar nie cofa się przed niebezpieczeństwem. Pewien mój znajomy, gobernador z Cahuapanas, spuszczał się razu pewnego rzeką Ucayali w swej podróży z Sarayacu do Iquitos. Towarzyszyła mu żona, dwoje małych dzieciąt oraz trzech Indjan, wiosłarzy. Pewnego dnia spotkano jaguara, który przepływał rzekę; znajomy mój szybko kazał skierować łódź ku niemu, a podpłynawszy na odległość paru kroków, strzelił doń z rewolweru, raniąc go w łopatkę. Jaguar rzucił się na łódź i tylko zręczności sternika zawdzięczać mogli podróżni, że zwierz jej niewyrócił, sprytny bowiem wiosłarz starał się mieć ciągle czółno zwrócone wysokim nosem do jaguara. Znajomy mój

wystrzelał resztę naboju rewolwerowych, lecz chybił wszystkie, znalazłszy się tym sposobem w najkrytyczniejszym położeniu wobec rozjuszonego zwierza, na wątlej łodzi, z żoną i dwojgiem dzieci, nie mając oprócz wiosel żadnej innej broni. Na szczęście jaguar, zmęczony zręcznym manewrowaniem sternika i upływem krwi z poniesionej rany, po kwadransie czasu odplynał do brzegu, zostawiając przerażonym podróżnym swobodny przejazd.

Te osoby, które pierś z piersią walczyły z jaguarem, zapewniały mnie, że rozjątrzony drapieżnik wydziela z paszczy nadzwyczaj przenikliwy, ostry odór, przypominający woń palącego się pieprzu tureckiego (aji).

Wszyscy podróżujący rzekami systemu Amazonki wożą ze sobą lekkie namioty, chroniące od moskitów i komarów podczas noclegów, spędzanych pod gołym niebem. Wiele osób zapewniało mnie, a między niemi p. Sisley, który przez lat blisko 30-ci podróżował między Moyobambą i Tabatingą, że jaguar nie napastuje nigdy osoby, śpiącej w namiocie, a to wskutek niepewności, gdzie się znajduje głowa, a gdzie nogi, gdyż zwierz ten zawsze rzuca się na głowę. Obserwacje moje, robione nad chowanym ocelotem, oraz sposób, w jaki zwierz ten atakuje ptactwo domowe, mniemanie to zupełnie potwierdzają.

Jaguar nawet oślepiiony, odwagi nie traci. Przyjaciel mój, p. Roca, Portugalczyk, osiadły w Yurimaguas, opowiedział mi zdarzenie następujące, a wierzyć mu mogłem, gdyż miał famę najślawniejszego pogromcy jaguarów w okolicy i niejednego już z tych szkodników trupem położył. Pewnego razu przydybał w gąszczu jaguara, a strzeliwszy doń sarniakiem, wybił mu oba oczy. Osaczony przez dwa psy, towarzyszące naszemu myśliwemu, zaczął je szarpać, co widząc Roca, krzyknął w nadziei, że jaguar psy puści. Prawda, że je puścił, lecz natomiast jak piorun rzucił się na myśliwego i ten tylko ślepotie jego zawdzięczać może ocalenie życia, gdyż zwierz skok chybił, padając o parę kroków od niego; tu dopiero drugim celnym strzałem Roca dobił rozjuszoną bestję.

W braku pożywienia jaguar nie gardzi nawet drobiem. Sąsiadce mej w Yurimaguas noc po nocy zaczęły ginąć kury i indyki; sądząc więc, że to ocelot psot tych się dopuszcza, przy pomocy parobka zbudowała silną pułapkę, zastawianą zwykle na te koty, a składającą się z dwu przedziałów, z których mniejszy służy na pomieszczenie koguta jako przynęty, a większy—na złowienie szkodnika¹⁾.

Jakież było zdziwienie naszej kobieciny, gdy nazajutrz zamiast ocelota, znalazła sporego jaguara, ledwo mieszczącego się w klatce. Na wiadomość o tem zbiegli się sąsiedzi i psotnika zakłuto lancami.

¹⁾ Podobną pułapkę urządziłem na ocelota w Huambo, ale w nią nie złowiłem.

Nie wiem, jak wiele wagi przypisać należy do następującego opowiadania, które słyszałem od wielu osób na całej długości peruwjańskiej Amazonki. Powszechnem jest tam mniemanie, że krokodyl, napastowany przez jaguara, dostaje takiej paniki, iż nie jest w stanie poruszyć się, pozostając jak martwy, aż póki mu drapieźnik części ogona nie zje; poczem jaguar, nasyciwszy się, puszcza swą ofiarę. Nie zgadza się to z dotychczasowemi opowiadaniem podróżników, według twierdzenia których jaguar wczepiony w ciało krokodyla, zostaje przezeń do wody wciągnięty, gdzie oba potwory giną. Tak jedno opowiadanie jak drugie wymaga sprawdzenia przez osobę wiarogodną.

Ja sam w ciągu mej ośmioletniej włóczęgi po Peru i Ekwadorze spotkałem tylko trzy razy jaguara we wszystkich trzech wypadkach stwierdziłem obecność zwierza po tropach lub po innych znakach; za każdym razem zuchwały ten zazwyczaj drapieźnik umknął przedemną sromotnie.

Pod względem odwagi, wielkości i doniosłości szkód, jakie sprawia, drugie miejsce po jaguarze wśród ssących Ameryki południowej należy się pumie — *Puma concolor*, mającej też szersze rozmieszczenia geograficzne i orograficzne od króla puszczy peruwjańskich. Puma sięga często regionu Puny, zatem 11000 nad poziom morza i nierzadko przebywa wśród miejscowości bezleśnych peruwjańskiej Sierry, gdzie szkody w baranach, psach, koniach i mulach wyrządza. Mieszkańcy Sierry i sąsiednich okolic zwą go „leon“, w Maynas zaś Indjanie leśni dają mu nazwę „dziujciupuma“ (dziujciu¹⁾ czerwony po kiczuańsku). Ustępując jaguarowi pod względem siły i odwagi, szkodliwszym jest stokroć od niego, jak się o tem przekonać można z opowiadania, które poniżej nie omieszkam załączyć. Nie można też całemu gatunkowi odwagi ujmować i raczej zgodzić się nam wypada na to, że jak z jaguarem, tygrysem, lwem i innymi drapieźnikami, tak i z pumą zachodzi ten wypadek, że od miejscowości oraz łatwości zdobywania sobie karmy zależy mniejszy lub większy stopień jej zuchwalstwa. Fakty przytoczone w dziele Darwina, „Podróż naturalisty“ co do pumy chilijskiej, każą dla niej mieć pewien respekt, a dodam nadto, że w Maynas tak Indjanie, jak i biali obawiają się jej więcej, aniżeli jaguara, uważając ją za zwierza zuchwalszego i niebezpieczniejszego od tego ostatniego. Obserwowanie tych drapieźników tak jest trudne dla ich rzadkości, oraz nocnych obyczajów, że pomimowoli polegać musimy na zdaniu krajowców. To zaś, com osobiście mógł stwierdzić, tak jest niewystarczającym, że zamiast bawić się w komentarze, przytoczę sam fakt, pozostawiając czytelnikom wyciągnięcie zeń wniosków.

Pod koniec mego pobytu w Yurimaguas, pojawił się jakiś szkodnik, niszczący co nocy po jednej, a czasem po kilka sztuk trzody chlewniej. Z niebywałem zuchwalstwem powtarzał te swo-

¹⁾ Wyraz „dziujciu“ piszę pisownią polską, gdyż go pisownią hiszpańską oddać niepodobna.

je rabunki, oszukując czujność mieszkańców, a częściej jeszcze drwiąc z niej sobie. Ponieważ dokonywał tego za każdym razem w innej części miasteczka, więc uchodziło mu to bezkarnie przez parę tygodni. Niektóre osoby, późno wracające do domu, spotykały go przechadzającego się po ulicach osady: miał to być według nich wielki jaguar, kulawy na jedną nogę; przypuszczano więc, że to ten sam, którego postrzelił wspomniany powyżej chłopiec indyjski, gdyż od owego czasu nikt jaguara w dużym promieniu nie zabił. Kilkakrotnie udawano się do mnie z prośbą o zabicie szkodnika, nie decydowałem się jednak na zasadzkę, widząc, że w nocy zmienia miejsce swych wizyt; a przytem oczekiwałem nadejścia nocy księżycowych, ażeby rezultat zasadzki uczynić pewnością. Dopiero następujący wypadek zdecydował mnie ostatecznie.

Pewnej nocy, w pierwszych dniach kwietnia, obudzony zostałem niezwykłym hałasem: było to stado koni i mułów, przeciągające jak burza ulicą; silne parskanie i chrapanie zwiastowało, że zwierzęta te były silnie przerażone ¹⁾; jednocześnie też usłyszałem krzyki sąsiadów: „tigre, tigre!“ W jednej chwili zerwałem się z pościeli i zarzucając czempredzej ubranie na siebie, wybiegłem na ulicę, gdzie w odległości kilka kroków od mego domu zastałem już małą grupę ludzi, otaczających nieżyjącego napozór wieprzka. Ofiara ta miała na karku głębokie ślady zębów drapieżnika. Gdyśmy nad nim debatowali, jeden z mych sąsiadów odkrył o 30 kroków dalej, pod strzechą świeżo budującego się domu, trupa drugiego wieprzka, już skrzepłego, który oprócz śladów kłów na karku, miał lewy bok czaszki wygryziony i mózg starannie wylizany. Widocznie więc drapieżnik zabijał swą ofiarę, przegryzając jej kręgi szyi, poczem odkrywał mózg przez wygryzienie części czaszki, zawartość jej wylizywał.

Była wtedy godzina pół do piątej rano i wkrótce świtać zaczęło; tej więc nocy nic już przedsiębrać nie było można. Okazało się następnie, że nocy tej szkodnik ten zamordował ośm — wyraźnie ośm wieprzy w różnych stronach miasteczka, ograniczając się w wszystkich na wyjedzeniu mózgu. Takiego zuchwałstwa nie można było puścić płazem, a przytem fakt, że psotnik zagryzł już drugiego wieprzka w owym nowo-budującym się domu zdecydował mnie do zrobienia tutaj właśnie zasadzki, żywiłem bowiem słuszną nadzieję, że ten amator wieprzowych mózdków, zanecony powodzeniem, nie jednej to drugiej nocy wrócić tam musi, gdyż wieprze dom ten, pozbawiony jeszcze ścian, obrały sobie za miejsce noclegu. Była to dość obszerna strzecha, wznosząca się na dziesięciu słupach i położona na krańcach ulicy, na której mieszkałem.

W ciągu dnia porobiłem przygotowania do zasadzki. Na belkach pod strzechą, na wysokości paru metrów nad ziemią, kaza-

¹⁾ Konie i muły z obawy przed drapieżnikami ściągały same po zachodzie słońca do miasteczka i spędzały tu na ulicy noc całą aż do świtu.

łem położyć kilka desek, a do najbliższego słupa przywiązałem wieprza, mającego służyć za zanętę. Tym sposobem ukryty pod dachem mogłem widzieć drapieżnika i być przez niego widzianym dopiero wówczas, gdy się już w bliskości znajdować będzie, to jest na odległość 10 do 15 kroków. Strzelbę (pistonówkę) dnia tego wymyłem i wyczyściłem nadzwyczaj starannie, a nabiłem ją dopiero w chwili wyjścia na zasadzkę, z obawy, aby w skutek bardzo wilgotnego klimatu tych stref proch nie zawilgotniał. Sąsiadów w najbliższych domach ostrzegłem, aby się wcześniej spać pokładli i wogóle zachowywali się cicho.

O godzinie 9-tej wieczorem zjawił się młody Indjanin, rodem z Jeberos, pozostający na usługach u p. Sisley'a, a przytem zapalony myśliwy, prosząc abym go wziął ze sobą na zasadzkę, na co się chętnie zgodziłem, ułożywszy się z nim, że ja będę czatował do 3-ej nad ranem, a on się tymczasem prześpi, poczem role zmienimy. O godzinie 11-ej, gdy już się sąsiedzi na spoczynek udali, wdrapaliśmy się obaj do naszej czatowni; chłopak do snu się ułożył i natychmiast zasnął, ja zaś rozciągnąwszy się na brzuchu, z kurkami odwiedzionymi, cierpliwie czekać zacząłem. Ze stanowiska, jakie zajmowałem, dzięki nizko spuszczałemu się okapowi dachu, mogłem tylko widzieć pół szerokości ulicy, oblanej srebrzystym światłem księżyca, blizkiego pełni, oraz pozostające w cieniu wewnątrz domu, w którym przywiązany wieprz się ułożył. Na prost mnie widać było część chlewu, a raczej ogrodzenia, w którym kilka sztuk nierogacizny chrząkaniami dawała znać o sobie.

Wszystkie okoliczności zdawały się sprzyjać memu przedsięwzięciu znakomicie, gdy naraz około trzy kwadrans na 1-ą nadciągnęła niewidzialna dla mnie grupa ludzi i zatrzymawszy się tuż przy mojem stanowisku, rozpoczęła żywą rozmowę. Przeklinałem ich w duchu, słusznie przypuszczając, że tym hałasem mogą skierować zwierza do innej części miasteczka i już chciałem im powiedzieć, żeby sobie do licha poszli, gdy na szczęście sami bez mej interwencji to uczynili. Leżałem tak, rozmyślając nad tym niefortunnym dla mnie wypadkiem, gdy nagle, w kwadrans zaledwie po tem zajściu, i w chwili, gdym się najmniej tego spodziewał, spostrzegłem się w obec drapieżnika: pewnym choć wolnym krokiem przecinał skośnie ulicę, kierując się ku wspomnianemu chlewkowi, gdyż mimo, że od przywiązanego wieprzka dzieliła go ledwie odległość trzech kroków, nie zauważył go jeszcze, jak sądzić można było z całego zachowania. Ręce miałem wówczas pod pierś stulone, żeby więc się złożyć, musiałem je na łokciach oprzeć, przez co spowodowałem szmer bardzo zresztą lekki. Lecz tego dość było dla delikatnego ucha drapieżnika; stanął natychmiast i z głową wzniesioną ku górze patrzył na mnie zuchwale. Pozycja była wyśmienita: zwierz stanął jak wryty w części ulicy, oświetlonej przez księżyc, bokiem do mnie; cała postać jego wyraźnie zarysowała się na białem tle piasku; ja znajdowałem się w cieniu i mogłem niemal rozróżnić muszkę mej strzelby. Zmierzyłem się na komorę i już miałem ściągnąć za cyngiel prawej lufy nabitej 12-oma

loftkami, gdy mi momentalnie błysnęła w głowie myśl, aby ten strzał zarezerwować na wypadek rzucenia się zwierza, a strzelić z lewej lufy, nabitej kulą eksplodującą. Spokojnie więc ściągnąłem za cyngiel i... trach! rozbity piston spalił na panewce. Widziałem tylko dwa olbrzymie susy, jakie spłoszony zwierz zrobił po czym tyle pożądana zdobycz znikła mi z oczu. Tylko myśliwy i to myśliwy, znający rzadkość okazji, jaka mi się z rąk wymknęła, zrozumie com ja wtedy przeszedł. 1)

Napróżno przesiedziałem resztę tej nocy aż do świtu i cztery noce następne. Zdawało się, że zwierz zamiarkował niebezpieczeństwo i wyniósł się z okolicy, bo już nie było słyhać, aby gdzie, szkody robił.

Była to puma wielkości dwuletniej lwicy afrykańskiej, tylko od niej znacznie wysmuklejsza. Już sama okoliczność, że drapieżnik ten zagryzł 8 wieprzy jednej nocy, kazała mi wątpić, aby to był jaguar, który zwykle nie kontentuje się wylizaniem mózgu i wyssaniem krwi, lecz na podobieństwo lwa lub pantery zjada, co może i wraca następnych nocy dla dokończenia uczty. Na odległość 12 kroków nie mogłem sprawdzić przy oświetleniu księżyca, czy miał centki lub nie, lecz wysmuklejsza postać i wynioślejsze nogi utwierdziły mnie w przekonaniu, że to była puma. A przytem jaguar idąc, kiwa się na obie strony, czegom w tym wypadku nie zauważył.

Pierwszy skok po kłaśnięciu pistona mierzył 5 kroków; łatwo go było wyróżnić na dość twardym w tem miejscu gruncie po ryśach, jakie zwierz, spadając, pazurami naznaczył.

Z drobniejszych kotów posiadają lasy maynańskie ocelota (*Felis pardalis*) oraz całkowicie brunatnego „gato-romano” (*Felis jaguarundi*), które niemało szkody w drobiu wyrządzają. Ocelot posuwa swe zuchwalstwo do tego stopnia, że wieczorem, nieraz o 8-iej godzinie, gdy mieszkańcy jeszcze nie śpią, kury dusi bezkarnie.

Niedźwiedzia kordyljerskiego brak tu zupełnie, gdyż dlań wysokość 3000 stóp nad poziomem morza stanowi dolną granicę rozmieszczenia orograficznego w wschodniem pasmie Kordyljerów. Za to mniejsze gatunki tej grupy mają tu swych przedstawicieli, a mianowicie dwa gatunki nosaczy (*Nasua socialis* i *solitaria*), z których pierwszy — mniejszy — trzyma się stadami, a większy włóczy się sa-

¹⁾ Następnego dnia, podsypawszy prochu na brandkę, strzeliłem do celu i rzecz dziwna, kula nie pękła, uderzając o mur, a była to pierwsza z 23-ch, jakie przedtem miałem sposobność wystrzelić. Kule te, zawierające masę piorunującą, były fabrykacji francuskiej i odznaczały się niezwykłą czułością na uderzenia, a względnie do tego były odpowiednio opakowane w specjalnem pudełku z gniazdami na każdą kulę z osobna i z grubym wojłokowym materacykiem. Zdarzało mi się przedtem znajdować kule, porzucone od 5 miesięcy na wilgotnej ziemi mojego szalasu w Huambo, a pomimo to rozrywały. Tę zaś nieszczęśliwą kulę wyjąłem z pudła w chwili nabicia. Przeciwnie, prawa lufa, nabita loftkami, wypaliła bez podsypki: 12 loftek podziurawiło centrownie półarkusza papieru na odległość 25 kroków. Byłbym więc mego przeciwnika zdmuchnął jak świecę z odległości 12 kroków, na jakie go miałem.

motnie po lasach. Z drapieżnych przytoczę jeszcze *Galictis barbara*, znanego nam już z Huambo, oraz łasicę (*Mustela Stolzmanni*), która okazała się nowym dla nauki gatunkiem i została opisana przez Taczanowskiego. Jedyne egzemplarz tego gatunku zawdzięczać niejakiemu p. Brown, yankeas'owi zamieszkałemu w Yurimaguas.

Najcharakterystyczniejszymi ssakami dla porzeczka Amazonki i jej dopływów są niewątpliwie małpy, których wszystkie rodzaje i gatunki odznaczają się chwytym ogonem. Jednakowoż i te stworzenia spotyka się tu względnie rzadko, czego dowodem, że w ciągu trzymiesięcznego pobytu w Yurimaguas, i ciąglego włóczenia się po lesie, zdala od mieszkań ludzkich, spotkałem raz tylko jedno stado kapucynków (*Cebus*). Czerwony wyjec (*Mycates rufus*), napęnia powietrze swym doniosłym głosem, przypominającym niekiedy ryk lwa, lub niskie chrząkanie naszej trzody chlewniej. Czepiaki (*Ateles tetradactylus* i *pentadactylus*), o długich, wysmukłych kończynach, przebiegają korony drzew z niezwykłą zręcznością, nie dorównująją jednak pod tym względem kapucynkom.

Tapir (*Tapirus americanus*) zdaje się być tutaj rzadszym, aniżeli jego współrodzajowiec włośnawy (*T. villosus*) w regionie „leśnej Kiczuy“, gdzie tak obficie porasta trzcinowata roślina „suro“ (*Chusquea*), która zdaje się być jego głównym pożywieniem. Są jednak i w gorących częściach lasów peruwjańskich miejsca, gdzie tapir nie jest rzadkim. Natomiast dzik amerykański, zwany „pekari“ snuje się tu licznymi stadami, dając miejscowej ludności obfite i dość łatwe do zdobycia pożywienie. Krajowcy zwą go *sajino*, *cochino bravo*, *puerco salvaje* — stosownie do okolicy.

Dwa gatunki tego dzika zamieszkują gorące lasy Ameryki zwrotnikowej: większy (*Dicotyles labiatus*) jest wielkości naszego przelatka, mniejszy zaś, czyli obroźny (*Dicotyles torquatus*) — wielkości zimowego warchlaka. Oba charakteryzują się zupełnym brakiem ogona, oraz trzema, a nie czterema palcami na tylnych nogach, a nadto pierwszy z nich posiada na grzbiecie specjalny gruczoł, wydający silną i ostrą woń. Kły u obu gatunków nie są tak rozwinięte, jak u naszego dzika. Szczecinę mają dość krótką i rzadką, koloru szaro-czarniawego. Mniejszy gatunek posiada jaśniejszą obrożę, skąd też i nazwa łacińska pochodzi.

Stada tych dzików składają się minimalnie z kilkudziesięciu osobników, a niekiedy liczą po kilkaset, aż do tysiąca sztuk. Takie stado posuwa się zwykle wolno, żerując, a wtedy wszystko, co się tylko znajdzie jadalnego na ich drodze, staje się ich pastwą, więc rozmaite części roślinne, korzonki, dalej węże, gady, owady i ich larwy, jaja ptaków, słowem wszelkie materje, do prz. trawienia zdadne. Szeroki ślad znaczy takie przejście, bo ziemia jest poryta, a różne roślinki z korzeniem powyrywane; można więc dziki tropić po lesie bez najmniejszego wysiłku. Stadem, według zdania krajowców, dowodzi samiec, którego też „el capitan“ powszechnie nazywają. Stado idzie za nim niewolniczo, a gdy „kapitan“ legnie, cała kompanja traci głowę i rozprasza się łatwo.

Złą sławę mają pekarci wśród mieszkańców Ameryki podzwrotnikowej. Dziki te, gdy się je pozostawia w spokoju, przechodzą obojętnie i dość jest stanąć za grubem drzewem, aby całe stado minęło nas, nie zdając sobie sprawy, że się tam znajdujemy; rozjątrzone jednak szczekaniem psów lub strzałami, rzucają się na nieprzyjaciela i biada mu wtedy, jeśli w porę na drzewo nie umknie: w jednej chwili porwą go w kawałki i pożrą na miejscu. Nawet ten tak szalenie zuchwały jaguar, boi się tych niewielkich dzików, a gdy odważy się stado atakować, czyni to zawsze ze sztukami z tyłu idącymi i w porę zawsze salwuje się ucieczką na drzewo.

W literaturze europejskiej rozpowszechnione jest mniemanie, że nawet w razie ucieczki myśliwego na drzewo, dziki oblegają go w ciągu dni całych. Opierając się na autentycznym opowiadaniu pewnego znajomego mi Ekwadorczyka, mogę to zaliczyć do bajek. Myśliwy ten pewnego razu zmuszony był uciec przed stadem na drzewo i w samej rzeczy rozjuszone świniaki obległy go i nawet drzewo ze wściekłości gryzły, ale to wszystko trwało kwadrans, poczem zwierzęta widząc bezużyteczność swych wysiłków, odeszły sobie spokojnie.

Nic tak nie rozdrażnia pekarich, jak naszczekiwanie psa: zwykle w takim razie stado zatrzymuje się natychmiast i jeśli tylko pies w porę nie umknie, dziki go momentalnie otoczą, porwą i pożrą. Pies jest nawet wtedy pewną gwarancją bezpieczeństwa dla myśliwego, bo się tak na nim zacierzwiają, że nie zwracają uwagi na obecność człowieka. Opowiadał mi pewien krajowiec, że idąc raz lasem w towarzystwie psa, spotkał stado dzików mniejszego gatunku. Pies zaatakował stado, lecz ono w jednej chwili zawróciło, a gdy pies uciekł pod nogi swego pana, dziki rzuciły się na niego i w jednej chwili poszarpały i zeżarły w oczach przerażonego właściciela, a gdy już psa samego nie stało, gryzły w zaciętości ziemię, zlaną krwią ofiary; przytem ocierały się o nogi przerażonego człowieka, który już widział zbliżającą się ostatnią godzinę. Lecz dziki, nasyciwszy swą zemstą, odeszły, pozostawiając go w spokoju.

Krajowcy polują na pekarich, albo tropiąc za śladem i strzelając z tyłu, albo osadzając psami i strzelając, zawsze jednak starają się mieć w pobliżu wygodne do ucieczki drzewa. Indianie w Canelos (we wschodnim Ekwadorze) starają się jakoby rozjątrzyć najprzód stado, poczem umykają na sąsiednie pieńki lub wyrócone kłody, skąd kłują dziki lancami. Podróżnik po Paragwaju, Rengger, opowiada, że mieszkańcy tamtejsi okopują plantacje swoje rowem na 3 metry głębokim i łowią w niedziki, gdy te na żer wychodząc, wpadają do pułapki. Rengger widział raz 29 dzików, w ten sposób złowionych.

Najpierwszy jednak sposób polowania na pekarich jest zapędzenie stada do wody, gdzie je myśliwi z łodzi lancami kłują lub prosto wiosłami tłuką. Opowiadano mi o jednym wypadku na rzece Paranapura, gdzie pewien Indianin wraz ze swoją żoną wy-

tlukł całe stado tych dzików, przeprawiające się przez rzekę i dla urwistości brzegu nie mogące na ląd wyleżeć. W wilgę mego odjazdu z Yurimaguas do Europy, wykryto stado pekarich mniejszego gatunku na wyspie, utworzonej naprzeciw miasteczka przez dwa ramiona Huallagi. Wylegli Indjanie w łodziach, zapędzili świnie do rzeki i zatłukli dnia tego jedenaście sztuk.

Mimo długoletniej włóczęgi po lasach południowej Ameryki, raz jeden tylko miałem sposobność spotkania się ze stadem pekarich, a wrażenie tego polowania pozostanie w mej pamięci na całe życie. Było to pod koniec mego pobytu w Yurimaguas. Pewnego ranka wyszedłszy na zwykłą wycieczkę ornitologiczną, spotkałem nieopodal miasteczka dwu Indjan, nabijających pośpiesznie swe długie, tuzinkowe rusznice toledańskie. Zapytani o powód pośpiechu, odpowiedzieli mi, że idąc lasem, spotkali stado pekarich, a że nie mieli ze sobą broni, wrócili po nią do miasteczka i teraz śpieszą, aby stado dogonić. Postanowiłem skorzystać z tej pierwszej dla mnie sposobności zapolowania na osławione pekari, lecz uprzednio wytrząsałem z luf oba naboje śrutu i zastąpiłem je kulami, które zawsze w torbie przy sobie nosiłem. Obaj moi przygodni towarzysze nabili broń grubym siekańcem i ruszyliśmy szybkim krokiem po ścieżce leśnej, wiodącej z Yurimaguas do osady Chambirayacu. Po kwandransie takiego szybkiego marszu Indjanie zatrzymali się, pokazując mi miejsce, którędy stado dzików przecięło naszą drogę; łatwo je było poznać, po zrytym gruncie, po zdeptanej trawie, gdzie ona porastała, po krzakach połamanych i pomiętych. Wbrew moim oczekiwaniom Indjanie zamiast iść tym szerokim i dobrze znacznym szlakiem, pomaszzerowali w dalszym ciągu ścieżką, zatrzymując się tylko od czasu do czasu i pilnie nasłuchując; za każdym razem wskazywali ręką kierunek, gdzie się stado znajduje, bo te dzieci puszczy wyraźnie słyszały oddalony kwik i rechot świniaków tam, gdzie ja oprócz lekkiego szumu liści nic innego zauważyć nie mogłem.

Szliśmy tak jeszcze spory szmat drogi, gdy nagle po jednym takim zatrzymaniu, towarzysze moi skrócili nagle pod prostym kątem do ścieżki i puścili się kłusem przez leśne podszycie. Jakkolwiek lasy porzecza Amazonki składają się przeważnie z olbrzymich drzew, rosnących dość rzadko, to jednak podleśne gąszcze są miejscami tak zwarte, że z trudnością przejść je można, a cóż dopiero biegnąc kłusem. To też ledwie mogłem podążyć za Indjanami, lepiej wywiczonymi odemnie w podobnych *par force'ach*, i już była chwila, żem chciał dać za wygraną, gdy nagle towarzysze moi biegu zwolnili, a jednocześnie poczułem silny, bardzo ostry i przykry odór, jaki charakteryzuje większy gatunek pekarich; ciszę lasu przerywał teraz wyraźny kwik i rechot świniaków. Skorzystałem z tej chwili zwolnienia, aby dogonić mych przewodników i spostrzegłem wtedy najwyżej na 30 kroków przed nimi stado świń, posuwające się zwolna w trakcie żerowania, a złożone z 40 do 50 sztuk. Najwidoczniej zwierzęta nie podejrzewały naszego, tak blizkiego sąsiedztwa, albo li też nic sobie z niego

nie robiły. Zanim zdołałem przeszkodzić, a przynajmniej zrównać się z Indjanami, jeden z nich szybko się zmierzyl i wypalił. Stado ruszyło z kopyta, a za niem obaj Indjanie i mój wierny pies, Dżok, nie rozumiejący bynajmniej całego niebezpieczeństwa, na jakie się narażał.

Zmęczony już poprzednim klusem i nie mogąc wypieszyć za tem oryginalnem bądź co bądź polowaniem, pozostałem sam, zły, żem do strzału nie doszedł, nasłuchując oddalającego się szczekania psa, o którego zacząłem się silnie obawiać, wiedząc, jak łatwo paść może ofiarą rozjuszonych dzików. Naraz usłyszałem strzał niedaleki, lecz nie w kierunku, w którym poszło stado, lecz z prawej mojej strony. Widocznie więc dziki obłożyły i wracały ku mnie. Pobiegłem szybko w stronę, z kąd mnie odgłos strzału doszedł, lecz ledwie zdążyłem zrobić parę kroków, gdym nagle usłyszał jakby szum zbliżającej się burzy: stado szło wprost na mnie. Obejrzałem się rozpaczliwie w poszukiwaniu dogodnego do ucieczki drzewa, lecz jak na złość spostrzegłem wkolo, albo kolosy o gładkim wyniosłym pniu, albo drobne podszycie, nie mogące unieść mego ciężaru. Przymknąłem więc tylko do grubego pnia jednego z drzew, licząc, że dziki przejdą obok i mnie ominą.

W tej chwili spostrzegłem w gąszczu na odległość dwudziestu kroków mknące jak uragan stado; wśród gęstych liści mogłem tylko zauważyć ciemną, olbrzymią masę zbitych w kupę kilkudziesięciu dzików. W jednej chwili odzyskałem zimną krew, zmierzylem w tę masę i dałem ognia. Już nawet z drugiej lufy poprawić nie mogłem, bo mi stado w gąszczu zniknęło. Ze smutkiem zauważyłem, że psa mego za stadem nie było, pomyślałem więc sobie, że biedak zginął marną śmiercią.

Wkolo mnie zapanowała cisza, przerywana tylko śpiewem ptaków. Poszedłem na strzał, lecz tam nic nie znalazłem. Sądząc, żem chybił, albo tylko lekko ranił którego z dzików, zdecydowałem się wracać do domu. Nabiwszy strzelbę, wydobyłem z torby busolę i przy jej pomocy odnalazłem kierunek, w którym mi iść wypadało. Szedłem tak pewnie z pół godziny, zanim się na ścieżkę wydostać mogłem. Po drodze nawoływałem psa mego, lecz nigdzie śladu jego nie było. Puściłem się dróżką w przeciwnym od miasteczka kierunku, trapiiony myślą, że mój wierny towarzysz poszarpany przez dziki został. Po godzinnem, daremnem poszukiwaniu zawróciłem, aby do Yurimaguas podążyć.

W drodze spostrzegłem wychodzącego z gąszczu, jednego z moich Indjan; ugiął się pod ciężarem dzika, którego niósł na plecach w grubej sieci, używanej tu powszechnie do noszenia przedmiotów większej objętości. Powiedziałem mu, żeby mi dzika pokazał, lecz on bąknął tylko coś pod nosem w niezrozumiałym dla mnie języku *quichua*, mimo że znał język hiszpański i nie zatrzymując się, poszedł dalej. W przekonaniu, że to dzik jego zabicia i zajęty więcej ewentualną stratą ulubionego psa, pozostawiłem go w spokoju, a powłóczywszy się jeszcze po lesie, wróciłem do domu, gdzie ku wielkiej mojej radości spostrzegłem oczekują-

cego na mnie przed drzwiami Dżoka. Dopiero w parę dni potem dowiedziałem się od mieszkańców Yurimaguas, że dzik ten był zabity kulą, a zatem napewno przezemnie, gdyż obaj Indianie mieli tylko siekańce w lufach. Zrozumiałem wtedy, dla czego ten mądrala nie chciał mi dzika pokazać.

Stare odyńce większego gatunku pekarich oddzielają się niekiedy od stada i włączają się samotnie. Takiego pojedyńka zabił Jelski w dolinie Chanchamayo na parę lat przed mojem przybyciem do Peru.

Jałem mięso obu gatunków i zmuszony jestem oddać jak jednemu tak i drugiemu należne pochwały, mięso jednak mniejszego jest smaczniejsze; przypomina ono tak białością jak i smakiem naszą cielęcinę. U większego gatunku, jeśli zwierz przed zabiciem był rozjątrzony i zziąjany, należy wyciąć ów gruczoł grzbietowy, gdyż w przeciwnym razie nieprzyjemna woń udzieli się mięsu, czyniąc je niezdatnem do jedzenia.

Ptactwo lasów gorących tem się różni od swych krewnych z regjonu „leśnej Kiczuy“, że, łącząc się tak jak i tamte w stadka wędrowne w celach wspólnych łowów, dzieli się bardzo wyraźnie na dwie grupy, z których jedna górą, w koronach drzew najwyższych zwykła wędrować, gdy druga dołem ciągnie, szperając ponad ziemią lub w niewysokiem stosunkowo podszyciu leśnem. Stąd pochodzi, że spotykamy zwykle dwa rodzaje stadek, niezależnych od siebie i polujących każde na własną rękę. Ten rozdział wyraźny między formami, trzymającemi się nisko, oraz gatunkami uczęszczającymi na najwyższe piętra dziewiczego lasu ma za przyczynę znaczną różnicę w wysokości między podszyciem leśnem i wysokimi drzewami, a nadto stosunkowo duże przestrzenie, rozdzielające zwykle te ostatnie. Widoczną jest bowiem rzeczą, że ptactwo, nisko się trzymające, nie odnosiłoby żadnej korzyści z towarzyszenia stadkom ptaków, trzymających się w koronach wysokich drzew, skoro podszycie leśne oraz te korony stanowią jakby dwie części lasu, niezależne jedna od drugiej. Gdy nadto wysokie drzewa dzieli zwykle dość znaczna przestrzeń — stadka górne wędrować muszą z większą szybkością, aniżeli dolne, spotykające na swej drodze jednociągły gąszcz, którego przebycie pochłania im sporo czasu przy skrupulatnem szperaniu. Tej jednak obserwacji nie należy brać w ścilem znaczeniu, gdyż tutaj tak jak w lesie umiarkowanym spotykamy części, gdzie drzewa średniej wysokości stanowią przejście od podszycia leśnego do koron najwyższych drzew, tworząc łącznik między temi dwoma piętrami dziewiczego lasu; a z drugiej strony możemy spotkać ptactwo, trzymające się na średniej wysokości, co nam daje możność obserwowania w niektórych razach stadek, zajmujących całą wysokość lasu, od ziemi aż do wierzchołków najwyższych drzew. Najczęściej jednak spotykamy dwa wspomniane wyżej rodzaje stadek, z których dolne składają się przeważnie z przedstawicieli rodziny mrówkołowów (*Formicariidae*) z domieszką muchołówek (*Tyrannidae*) i pelzaczy amerykańskich (*Dendrocolaptidae*), gdy górne two-

rzą tangary (*Calliste*, *Tachyphonus* i inne) oraz cukrzyki (*Dacni-
dae*) — tak samo z domieszką muchołówek i pełzaczy, należących
jednak do innych gatunków, aniżeli nizko się trzymające.

Najcharakterystyczniejszą jednak dla lasów gorących grupą
ptaków są papugi. Stada ich, przeciągające z krzykiem ponad
lasem lub zapadające gwarno na drzewa, okryte owocami, nadają
puszczom ton właściwy, ożywiając je bardzo, zwłaszcza w rannych
godzinach dnia lub pod wieczór. Wspaniały widok przedstawia
stado czerwonych arasów (*Ara macao* lub *A. chloroptera*), gdy
oświetlone od spodu wschodzącym słońcem, żywo odbija się na
jasnym lazurze nieba. Potężny ich głos, jak słusznie wyraża się
Humboldt, „zagłusza ryk górskich strumieni”. Ciągną nieraz na
znacznej wysokości, a głos ich dochodzi nas tak wyraźnie, jakby
się o kilkadziesiąt kroków od nas znajdowały. Niemniej gwaru
sprawiają stada różnych gatunków papug amazońskich (*Chrysotis*),
albo „czerklesów” (*Caica melanocephala*). Czasem słychać miłe
szczebiotanie papużek (*Psittacula*).

Wraz z papugami zwracają na wstępie zaraz uwagę podró-
źnika wielkie i pięknie ubarwione tukany (*Rhamphastos culmina-
tus*), które swem ciągle powtarzanem „Dios te de” (daj ci Boże),
słyszanem z wierzchołków najwyższych drzew, przyczyniają się do
ożywienia koncertu leśnego. Pokrewne im pieprzozady (*Pteroglo-
ssus*) opadły drzewo nektandry, okryte owocem. Zbliżywszy się
tam, odkrywamy, że różnego rodzaju ptactwo żeruje w koronie,
a między niem uderza nas świetnością swych barw kotinga (*Co-
tinga maynana*), pysznie błękitnego koloru z fioletową gardzielią;
lub niewielki głowacz (*Capito auratus*) o złocisto pomarańczowym
podbródku. Smaczne muszą być owoce nektandry, skoro niektóre
ptaki, z natury owadożerne, załatują tu, aby się nimi karmić. Wi-
dzimy więc świetnie ubarwionego dzięcioła (*Melanerpes hirundina-
ceus*), zrywającego w lot owoce, zawieszzone na końcach najcień-
szych gałązek; nawet niektóre muchołówki (*Myiozetetes granadensis*),
zadając kłam obyczajom całej rodziny, nadlatują od czasu do cza-
su, aby jagodami nektandry głód zaspokoić.

Zwróć uwagę na tę okoliczność, że wogóle brzeg lasów
gorących odmienną posiada avifaunę, od samego jądra dziewiczej
puszczy; więc nad brzegami rzek, po skrajach pól uprawnych lub
zapuszczonych, znajdziemy ptactwo do pewnego stopnia odmienne,
niż w głębi samego lasu. Zwykle w takich miejscach pnąca się
roślinność dochodzi nadzwyczajnego rozwoju, stanowiąc gęszcz
nieprzebyty. Dochodzi nas stamtąd śpiew „ruisenora”¹⁾ (*Tryio-
thorus*), jak niewłaściwie nazywają miejscowi ptaszka pokrewnego
z naszym „wołowem oczkiem”. Od czasu do czasu miga wśród
zarośli nadwodnych piękny kardynał o czerwonej główce (*Paroaria
gularis*). Na zwalonym, suchym pniu zasiadło szeregiem mieszane
stadko jaskółek (*Atticora fasciata* i *Hirundo albiventris*); siedzą spo-

¹⁾ „Ruisenor” — hiszp. — słowik.

kojnie długą chwilę, póki się jedna za drugą zrywać nie zaczną, aby ponad wodą łowić muszki i inne owady.

Smętny głos samotnego tyrana (*Pitangus sulphuratus*) dochodzi nas z gałęzi suchych drzew, jakie wezbrana rzeka porzuciła gdzieś na brzegu. *Piktupi-piktupi*, odzywa się ptaszek, napelniając smutkiem duszę mieszkańca. Znają go też dobrze i dla tego głosu wyróżniają wśród nieskończonej różnorodności ptactwa leśnego.

O zmierzchu echo leśne roznosi inne głosy, rzadziej słyszane wśród dnia. Znany nam już kusak (*Formicarius*) wydaje często swój pełny, doniosły i smutny głos. Zmrok zapada w lesie i wraz z tym głosem smutnym tęsknota osiada na naszej duszy. Słuchamy cichego brzęczenia cykad i świerszczy, przerywanego od czasu do czasu silnym głosem wodnika leśnego (*Aramides guyanensis*) który swym brutalnym krzykiem nadwyręza harmonję lasu. Przesłał wreszcie, pozwalając nam kontemplować ten cichy gwar zasypiającej puszczy, wśród którego rozróżnić możemy żałośny głos leśnej kuropatwy (*Crypturus obsoletus*) i oddalone nawoływanie *natauau* (*Herpatotheres cachinnans*). Brzęk cykad zlewa się w tak jednolitą całość, że robi na nas wrażenie szmeru górskiego źródła: moglibyśmy go nie odkryć, gdyby przypadkiem jaka okoliczność nie zwróciła nań uwagi naszej.

Las — przynajmniej dla nas — zasnął, nie widzimy bowiem, ani nie słyszemy tego życia, jakie się w nim z nadejściem nocy rozpoczyna. Czyto jaguar, czy mysz; czy sowa lub lelak, czy wreszcie żmija lub ropucha — wszystko zachowuje się tak cicho, porusza z taką ostrożnością, że ucho nasze pozostaje głuchem, a oko z powodu ciemności — ślepem na wszystkie objawy nocnego życia. Jedne ze zwierząt nie chcą płoszyć zdobyczy, inne — przeciwnie — starają się o to, aby nie zwrócić uwagi swych prześladowców. Barbarzyńskie sceny dzieć się muszą pod osłoną nocy! Lecz nie starajmy się przedzierać tej zasłony; zostawmy lepiej na samotnego świadka tych scen wstrętnych bladą twarz księżyca, który jako nieobecny, lub promieniami słońca olśniony, nie mógł przynajmniej widzieć scen, jakie się w pełni światła dziennej gwiazdy odbywały i odbywają. A te są stokroć gorsze!

Taki jest w grubych zarysach obraz życia wśród puszczy amazońskich. Lecz obraz ten byłby niekompletny, gdybyśmy w nim pominęli odwiecznego przedstawiciela rodu ludzkiego, zamieszkującego te lasy bez granic, których część integralną stanowi. Indianin jest tem samem dla wiecznie zielonych puszczy Ameryki południowej, czem murzyn dla afrykańskiej dżungli, tunguz — dla syberyjskiej tajgi lub eskimos — dla bezbrzeżnych, wiecznym śniegiem pokrytych okolic podbiegunowych.

Leśni Indianie, zamieszkujący olbrzymie równiny wschodniego Peru, dzielą się na Indian dzikich, zwanych przez Hiszpanów *indios bravos*, *indios salvajes* lub *insfieles* (poganie); oraz na Indian

chrzczonych, którzy dzięki staraniom, a często poświęceniu hiszpańskich misjonarzy przyjęli wiarę chrześcijańską, a pod jej wpływem zlagodzili w znacznym stopniu swe obyczaje i do życia osiadłego skłonić się dali.

W wędrówkach mych nie udało mi się zetknąć ani razu z dzikimi Indjanami, gdyż w tej części kraju, którą ja w swych podróżach zwiedziłem, to jest w porzeczu Paranapury i Huallagi, oddawna już cała ludność wiarę chrześcijańską przyjęła; nie mogę przeto mówić o dzikich plemionach, jak tylko z opowiadań miejscowej ludności, która z nimi styczność miewała. Liczne plemiona tych dzikusów zamieszkują pobrzeża Amazonki i wszystkich jej dopływów. W północnem Peru znane są najwięcej plemiona *indios Jivaros* i *Aguarunas*, w środkowem *indios Cashibos*, a w południowem — *indios Chunchos*. Wszystkie te plemiona są wrogo względem białej ludności usposobione i przy pierwszej sposobności ten swój nieprzyjacielski charakter manifestują, napadając na osady lub haciendy białych mieszkańców. Widzieliśmy poprzednio, jak dzicy z nad rzeki Huallagi zniszczyli zupełnie w początkach zeszłego wieku miasteczka Huambo i Posic. W późniejszej już epoce, bo w 1845 roku *los indios Aguarunas* w podobny sposób zrównali z ziemią miasteczko Copallin nad rzeką Utcubamba o parę dni drogi od Chachapoyas. Indjanie Chunchos w południowem Peru dotychczas robią wyprawy i niepokoją spokojnych mieszkańców w dolinach rzek Marcapata, Paucartambo, Cosnipata i innych w południowem Peru. A cóż dopiero mówić o mało znanych, a jeszcze mniej zaludnionych pobrzeżach rzek Tambo, Ucayali, Madre de Dios i innych, gdzie *indios bravos* panują niepodzielnie, występując zawsze wrogo, gdy się jaka ekspedycja w ich niegościnne strony zapyści. Smutnego losu doznała wyprawa majora Vargas'a, który w roku 1866 puścił się na parowcu „Putumayo“ w górę rzeki Ucayali, a następnie jej dopływem Pachitea; tutaj bowiem stracił dwu swych dzielnych oficerów, Tavarę i West'a, zdradziecko zamordowanych, a następnie zjedzonych przez srogich Indjan Cashibos, zamieszkujących prawy brzeg rzeki Pachitea.

Indjanie dzicy żyją przeważnie z myślistwa i rybolóstwa, a z roślin uprawnych zdają się tylko plantować banany i maniok. Jako broni używają łuków, lanc i sarbakan, czyli świstuł, z których strzelają zatrutemi kurarą strzałami. W wycieczkach swych, czy to myśliwskich, czy wojennych zapędzają się niekiedy bardzo daleko i jeśli wierzyć krajowcom, podchodzą nieraz lasami, przez nikogo niewidziani, aż pod większe osady białych. Wiele z tych dzikich plemion oddaje się dziś jeszcze ludożerstwu, a według Raimondiego ¹⁾ Indjanie Cashibos pochłaniają popioły członków rodziny.

Pozbywszy się pod wpływem chrześcijaństwa niektórych barbarzyńskich obyczajów, oraz krańcowo wrogiego usposobienia wzglę-

¹⁾ A. Raimondi. El Peru. t. III str. 300.

dem białej ludności, Indianie ochrzczeni w gruncie rzeczy niewiele się różnią pod względem ogólnego sposobu życia od swych dzikich pobratymców. Tak samo jak i tamci żyją głównie z myślistwa i rybołówstwa, uprawiając tylko niektóre najniezbędniejsze rośliny, jak banany i maniok. Jeśli na współżyjących z nimi białych nie napadają, to tylko dla tego, że im misjonarze wszczepić zdołali, nie powiem — miłość chrześcijańską, ale przynajmniej, zasadę wyłożoną w 5-em Przykazaniu Boskiem; niemniej jednak białych nienawidzą i wszelkich z nimi związków unikają. Ojciec gotów jest córkę, a mąż — żonę zabić, jeśli się tylko dowie, że z białym stosunek miała. W każdym razie nieocenione prace misjonarzy przygotowały teren do zlania się obu ras, gdyż niewątpliwie Indianie przez ciągle współżycie z białymi powoli się do nich przyzwyczajają, a stąd do kompletnego zlania się krok już tylko jeden.

Indianie leśni posiadają wzrost słuszniejszy od Indian serańskich, a zresztą posiadają wszystkie cechy rasy, tylko może w rysach twarzy zbliżają się więcej do typu azjatyckiego, czem potwierdzają niewątpliwie hipotezę, że ląd amerykański zaludnił się przybyszami z Azji północnej, a przynajmniej, że oba lądy — amerykański i północno-azjatycki łączyły się kiedyś, a mieszkańcy ich mają wspólnych, choć bardzo zapadłych przodków.

Ubiór Indian jest bardzo niewyszukany. Mężczyźni noszą krótką kurteczkę, oraz pantalony sięgające kolan, a odzienie to jest zrobione z jakiegoś płócienka, na ciemno brunatny kolor zaфарbowanego.

Z tego samego materiału noszą kobiety krótkie, do kolan sięgające spódniczki, pozostawiając zwykle przy zajęciach domowych górną część ciała obnażoną; gdy jednak do miasta przychodzą, nakładają rodzaj bluzki z powyżej wymienionego materiału. Mężczyźni w wielu okolicach malują sobie w poprzek nosa i przez policzki szeroką pręgę czarną lub pasową; w tym ostatnim wypadku używają rośliny „achote“, dającej cynobrową farbę.

Chaty peruwiańskich Indian osiadłych, są wszystkie bez wyjątku naziemne, co zdaje się być regułą na całym porzeczu Amazonki i jej dopływów ¹⁾. Są to obszerne budynki, składające się zwykle z jednej izby, mające ściany z dzikiej trzciny (*cana brava*), a strzechę — z liści palmowych. Wewnątrz panuje zwykle wzorowy porządek, klepisko bywa starannie zamiecione, a nieliczne sprzęty domowego gospodarstwa, zajmują właściwe sobie miejsca. Po środku izby leży kupa przeżutego manioku, służącego do fabrykacji „masato“, czyli napoju fermentowanego. „Masato“, tak jest rozpowszechnione w całej prowincji Maynas, że niezbędnem jest poświęcić mu słów parę.

Ugotowany maniok żują kobiety indyjskie, a następnie wypływają na jedną kupę, gdzie podlega fermentacji. Żucie odbywa

¹⁾ Z wyjątkiem jednak dolnej Amazonki, gdzie są w użyciu domostwa na palach.

się podczas wszelkich zajęć gospodarskich, gdyż konsumpcja tego napoju jest bardzo znaczna. Sfermentowany maniok rozprowadza się w wodzie i otrzymujemy wtedy białawy płyn, nieco kwaskowy i naogół bardzo przyjemny i orzeźwiający. Zapytywałem się krajowców, dla czego używają tak wstrętnego sposobu przygotowania „masato” i nie zastępują żucia wprost rozgniataaniem, przy pomocy tłuczków. Odpowiedziano mi, że widocznie ślina ludzka wywołuje daleko silniejszą fermentację, gdyż „masato”, przygotowane w sposób, przezemnie proponowany, jest bez porównania gorsze. Bądź co bądź napój ten mimo tak mało apetycznego sposobu przyrządzania, jest w powszechnem użyciu nie tylko wśród Indian, ale także wśród białych mieszkańców wszystkich warstw społecznych. Gdym słyszał o nim na parę lat jeszcze przed przybyciem mojem do dep. Loreto, dziwiłem się, jak można pić napój tak wstrętny. Razu jednak pewnego, a mianowicie w podróży do Balza-Puerto, przewyciężając zrozumiałą odrazę, napiłem się tego płynu orzeźwiającego i odtąd stałem się wielkim jego zwolennikiem, gasząc nim stale moje pragnienia przez cały czas mego pobytu w Maynas.

Maniok („yuca” — *Manihot palmata*), służący do wyrobu „masato”, jest dla sfer gorących rośliną nieocenioną, gdyż oprócz wspomnianego użytku, stanowi on niemal główną podstawę pożywienia miejscowej ludności, zastępując jej nasz chleb żytni lub pszenny.

Ten gatunek manioku ma nazwę peruwjańską, gdyż jest on w powszechnem użyciu we wszystkich częściach gorących Peru. Istnieje oprócz tego inna jeszcze odmiana, którą nazwę maniokiem brazylijskim (*Manihot utilissima*), jako rozpowszechnionym w całej Brazylii. Ten gatunek zawiera w sobie znaczny procent kwasu pruskiego i zdatnym jest do użycia dopiero po usunięciu części trujących, które na szczęście są bardzo lotne i łatwo mogą być usunięte przez gotowanie, prażenie, wyciskanie lub wprost przez wystawienie w ciągu 24 godzin na działanie powietrza. Przez wysuszenie mięszo tego manioka na płytach żelaznych, otrzymuje się krupki, które są powszechnie znane pod nazwą *tapioki*. W tej formie używany bywa maniok w Brazylii, gdzie podawany jest na wszystkich stołach i domieszywany do najrozmaitszych potraw lub wprost zamiast chleba spożywany. Na parowcach kursujących po Amazonce i jej dopływach, oraz w restauracjach miejscowych, każdy z uczujących ma przy sobie specjalny spodek, na który sobie nakłada tapiokę i następnie domieszywa ją do zup, sosów, lub spożywa na sucho. Ten gatunek manioku nie tak jest rozpowszechnionym w Peru, jak maniok słodki, niemniej jednak krajowcy używają go często.

Maniok, banany, kukurydza i fasola, zdają się być jedynymi roślinami, uprawianymi przez Indian osiadłych wschodniego Peru. Pozatem olbrzymiami śpizarniami miejscowej ludności są wspaniałe rzeki, dostarczające im najrozmaitszych, bardzo smacznych gatunków ryb; oraz nieskończone puszcze, wśród których aguti,

paka, różne gatunki małp, pekari, a z ptactwa — penelopy, pauchile, kuropatwy leśne, łatwą dla myśliwego zdobycz stanowią. Wiedzieliśmy już przy spotkaniu się mojem z dzikami, że Indianie miejscowi posługują się niekiedy bronią palną, którą im miejscowi kupcy z fabryk hiszpańskich dostarczają. Nie widziałem nigdy, aby używali łuków, choć zdaje się, że osiedli Indianie nad Ucayali używają tej broni nietylko na zwierzynę leśną, ale i na ryby, które nadzwyczaj celnie strzałami trafiają. Główną jednak bronią tych dzieci leśnych są sarbakany, czyli świstuly.

Sarbakana, czyli jak ją krajowcy nazywają — „pucuna”, jest to rurka długa na jakie $2\frac{1}{2}$ metra i mogącą mieć mniej więcej kaliber 8 mm. Zrobienie jej wymaga wiele pracy i wprawy, gdyż jak mnie zapewniano, składa się ona z niewielkich kawałków twardego drzewa, odpowiednio wyrobionych przy pomocy wiewiórczych zębów i umiejętnie posklejanych. Otrzymaną w ten sposób rurkę owijają się raz koło razu na całej długości sznurkiem i następnie oblewa czarnym lakiem miejscowego pochodzenia, zwanym „copal”. W grubszym końcu, przeznaczonym do przytykania ust są zwykle wprawione dwa kły dzika pekari, mające prawdopodobnie na celu uszczelnienie przy wydmuchiowaniu strzałki. Wyrównanie wewnętrzznego kalibru i polerowanie odbywa się przy pomocy sznurka, przeciągniętego wewnątrz, którym się szoruje aż do otrzymania pożądanego wyniku. Ze względu na wielką ilość zawartego wewnątrz tak długiej rury, powietrza, jest to broń wymagająca płuc znakomitych, ale za to w rękach tak umiejętności, jak miejscowych Indian, bije ona centrownie na odległość 40 kroków, co zupełnie wystarcza na miejscową zwierzynę.

Z pukuny strzela się zatrutymi strzałkami. Są to patyczki, długości i grubości mniej więcej zwykłej zapalki, zrobione z bardzo twardego drzewa (zdaje się ze trzciny) i nadzwyczaj ostro zakończone. Pośrodku długości jest nawinięty z bawełnianej nitki waleczek, aby utrzymać szczelnie kaliber świstuly. Strzałki te są na polowaniu wpięte zatrutymi końcami w niewielką okrągłą poduszczkę, stanowiącą rodzaj kołczanka.

Do zatruwania strzałek używa się powszechnie znanej kurary. Któż z was nie słyszał o tej piorunująco działającej truciznie; przypuszczam jednak, że niewielu zna jej pochodzenie, użycie i sposób działania; pozwolę więc sobie słów kilka jej poświęcić.

Dwa są rodzaje kurary, zupełnie różnego pochodzenia i mające różne przeznaczenie, a mianowicie kurara z Lamas i kurara znad rzeki Putumayo. Lamas jest to niewielkie miasteczko, leżące nad znaną nam już rzeką Mayo pomiędzy Moyobambą i Tarpoto. Mieszkańcy tej osady wygotowują kurarę z pewnego gatunku ljanya i sprzedają ją w długich na 10 cali rurkach trzciniowych. Ten rodzaj trucizny jest to jakby gęsta woskowata pomada, brunatnego koloru i używaną bywa wyłącznie na zwierzęta ssące, a działanie jej ma być tak piorunujące, że jaguar, a nawet dorosły byk, postrzelony strzałką, zatrutą tym rodzajem kurary, kończy życie w ciągu kilkunastu sekund. Kurara z Lamas jest względnie

tania, gdyż jedna rurka trzciniowa kosztowała w Yurimaguas 1 sola, czyli 5 franków.

O pochodzeniu drugiego gatunku kurary wiadomem jest tylko, że ją wyrabiają Indianie, zamieszkujący pobrzeża rzeki Putumayo, lewego dopływu Amazonki, który w tem miejscu stanowi granicę pomiędzy Peru i Brazylią. Różne legendy kursują o fabrykacji tej trucizny, a między niemi najbardziej rozpowszechnioną jest ta, która opiewa, że do przyrządzania kurary używają Indianie z nad Putumayo jadu żmij, co jednak bardzo mi się wątpliwem wydaje. Zapewniał mnie jednak znajomy mi negocjant, który sporo czasu spędził wśród wspomnianych Indian, że do fabrykacji tej kurary przynosili oni jakieś nieznanne ziola leśne, które gotowali tak długo, aż póki nie otrzymali gęstego syropu, gęstniejącego jeszcze więcej po ostygnięciu. Otrzymałą w ten sposób trucizną, która zresztą ma podobny wygląd do kurary z Lamas, napełnia się maleńkie garnuszki gliniane i w ten sposób rozchodzi się ona po całym porzeczcu Amazonki i jej dopływów. Kurara znad Putumayo używaną bywa wyłącznie na ptactwo. Maleńki garnuszek kosztuje w Yurimaguas 3 soles, czyli 15 franków. Ponieważ przed wyjazdem moim do Europy dowiedziałem się, że robiono podówczas próby użycia kurary przeciw epilepsjom, kupiłem dwie rurki kurary z Lamas i 2 garnuszki z Putumayo i te w Paryżu oddałem ś. p. hr. Konstantemu Branickiemu, który je doręczył dr. Garnier. Nie wiem, czy robiono jakie próby i osiągnięto jakie rezultaty, gdyż dr. Garnier wkrótce potem umarł.

Zainstalowawszy się w Yurimaguas, przystąpiłem bezpośrednio do mych kolektorskich zajęć, a ponieważ mój Santiago oprócz gospodarskich czynności, nie był zdatny do niczego innego, więc cały trud spadał na mnie; pragnąc zaś te ostatnie chwile mego pobytu na Nowym Łądzie wyzyskać, nie szczędziłem pracy, aby tylko jaknajdokładniej zbiory moje uzupełnić i często bywało, że większą część nie tylko dnia, ale i nocy na preparowanie ptaków i pakowanie kolekcji poświęcał. Jedyne chwilemi odpoczynku dla mnie były dwie lub trzy godziny, które wieczorami spędzałem w miłym zawsze dla mnie domu p. Sisley'a.

Jednocześnie też kompletowałem moją ptaszarnię najrozmaitszymi gatunkami żywych papug, które mi miejscowi mieszkańcy znosili, wiedząc, że je chętnie kupuję. Wkrótce też nabierało się dwadzieścia kilka okazów różnego rodzaju, poczynając od wielkich arasów, a kończąc na maleńkich jak wróbel papużkach. Wesola ta czereda napełniała mój dom gwarem, który niekiedy w prawdziwy hałas się zamieniał, gdy arasy odezwały się swem potężnym krakaniem.

Ocelot mój, którego kupiłem, był w Moyobambie, chował się doskonale i rósł jak na drożdżach. Był to nadzwyczaj miły, wesoly i do mnie przywiązany kociak. Gdy w nocy zabierałem go

do swego moskitera, rozpoczynał zbytki i spać mi nie dawał, aż w końcu musiałem go skarcić poczem dopiero spokojnie zasypiał. Towarzyszył mi zawsze, gdym szedł na obiad do p. Sisley'a biegnąc jak pies przy nodze; niekiedy wyprzedzał mnie znacznie, zaczynał się w wysokiej trawie, jaka obficie na ulicach Yurimaguas porasta, i dopiero gdym się z nim zrównał, wyskakiwał z ukrycia i jednym susem wskakiwał na me ramię. Pod koniec mego pobytu dorósł już wielkości kota domowego, lecz wtedy ku wielkiemu memu kłopotowi, zaczął codzienne prawie napady na drobnych sąsiadek. Nie było prawie dnia, żeby ta lub owa ze skargą nie przyszła, że jej kureę lub koguta zagryzł, a mimo każdorazowego skarcenia, psot tych swoich nie zaniechał, narażając mnie na nieustanne koszta. Nie odważał się tylko atakować indyków, obawiając się widocznie, że im nie poradzi; chodził więc tylko za nimi, czaił się, jakby do skoku szykował, ale zawsze potem ataku zaniechał.

Pobyt mój w Yurimaguas zaznaczył się dwoma wypadkami, które mogły się były skończyć dla mnie bardzo smutno. Idąc raz pewnego zwykłą drogą do Chambirayacu, strzeliłem do jakiegoś ptaszka, który spadł w odległości jakich 40 kroków od ścieżki. Poszedłem, aby go podnieść, lecz nie mogąc znaleźć od razu, kręciłem się czas jakiś wkoło drzewa, pod którym upadł. Gdym go wreszcie odszukał, zwróciłem się ku ścieżce, lecz wkrótce spostrzegłem się, że zmylił kierunek. Niebo jak na nieszczęście było zachmurzone, więc z jego położenia nie mogłem zmiarkować, w którą stronę mam się udać; sięgnąłem więc do torby po busołę, i wtedy z przerażeniem spostrzegłem, że jakimś fatalnym trafem dnia tego jej nie wziąłem, mimo że stale znajdowała się w mej myśliwskiej torbie. W jednej chwili tak się zbilem z tropu, że literalnie pojęcia nie miałem, w jakim kierunku iść należy. W głowie mej przemknęła myśl, że wśród tych bezbrzeżnych puszczy zginąć mogę, jak owych dwu europejczyków, którzy na parę lat przed mojem przybyciem poszli do lasu i nigdy zeń nie powrócili.

Puściliśmy się więc na chybił trafił, trapiący ciągle myślą, że zginąć mogę śmiercią głodową, jeśli wypadkiem jakim ścieżki prowadzącej z Yurimaguas do Chambirayacu, nie odnajdę. Kto w życiu swoim nigdy nie był w podobnem położeniu, pojęcia mieć nie może, jak straszne uczucie napełnia duszę zbłąkanego!

Po godzinnem włóczeniu się po lesie, trafiłem wreszcie na ledwie znaczną ścieżkę, jakich sporo spotyka się wśród puszczy maynańskich. Robią je Indjanie miejscowi, gdy drzewo jakie na budowie wycinają, lub gdy pokryje się owocem drzewo palto (*Persia gratissima*). Znalazłszy się jednak na tej ścieżce, nie miałem absolutnie pojęcia, w którą stronę wziąć się należy. Wiedziony szczęśliwym instynktem, skierowałem się na prawo, postanowiwszy iść w tym kierunku, a w razie gdyby szlak kończył się na ślepo, zawrócić i iść w przeciwną stronę, aż póki nie wyjdę na wielką ścieżkę lub do jakiej osady. Wreszcie po półgodzinnym marszu wyszedłem na znany mi szlak, do Chambirayacu wiodący,

i nim wróciłem do Yurimaguas. Z tej mojej awantury łatwo spostrzedz można, jak daleko odszedłem w fałszywym kierunku, jeśli dopiero półgodzinny, przyspieszony marsz wyprowadził mnie na właściwą drogę.

Drugi przykry wypadek, jaki mi się zdarzył w Yurimaguas, był zupełnie innej natury. Pewnego razu po południu zajęty byłem w domu preparowaniem ptaków, gdy przybiegł jeden z mieszkańców z wiadomością, że przy odwaleniu belek, przeznaczonych na budowę domu, znaleziono dużego węża; wzywano więc mnie, abym tam się udał i płaza tego zabrał sobie do kolekcji. Nie przypuszczałem nigdy, aby to był wąż jadowity, gdyż te w wyjątkowych razach spotykają się w środku osad ludzkich. Ponieważ jednak nigdy ostrożność nie zawadzi, posyłając po węża mojego chłopca, Santiago, dałem mu instrukcję następującą: płaza przycisnąć drążkiem tuż przy głowie, i tak unieruchomionemu założyć na szyję pętlę z mocnego szpagatu, który mu dałem; pętlę mocno zaciągnąć, a drugi koniec sznurka przywiązać do długiego kija i tak przynieść mi płaza. Zresztą Santiago widział nieraz, jak się w podobny sposób obchodzi z węzami, więc nie mógł się tłómaczyć niewiadomością. Nie podejrzewając nic złego, zająłem się w dalszym ciągu preparowaniem.

Niedługo potem Santiago zjawił się w drzwiach mego domu, niosąc w ręku półtora-metrowego węża, którego trzymał silnie za szyję tuż przy głowie. Podszedłem do niego, w przekonaniu, że to wąż niejadowity, lecz jakież było moje przerażenie, gdy w szeroko rozwartej przez ucisk paszczy gadziny spostrzegłem dwa olbrzymie kły jadowite, z których jeden przy położeniu ręki chłopaka znajdował się ledwie w odległości dwu milimetrów od wielkiego palca.

— Na miłość Boską, cóż ty zrobił? — krzyknąłem; — toż teraz rzucając węża na ziemię, musisz się kłem jego skaleczyć.

Santiago ani mrugnął okiem. Z najzimmniejszą krwią i pomagając sobie lewą ręką, odsunął zwolna pięść prawej od głowy gadziny. Wówczas widziałem, że rzucając ją na ziemię, już sobie nic złego nie robi. Zadysonowałem wtedy, aby wszedł do izby, a ja ująwszy w obie ręce silny drążek, stanąłem naprzeciwko niego.

— Rzuć teraz na ziemię!

Chłopak wykonał ten rozkaz, lecz zaledwie żmija poczuła swobodę, wyprostowała się, jak struna na ogonie i skierowała ku niemu; Santiago, znajdując się bliżej drzwi, błyskawicznie umknął na ulicę, a wtedy gadzina zwróciła się w najwyższym rozjątrzeniu ku mnie. Miałem drogę ku drzwiom zagrodzoną stołem preparatorskim i wtedy pojąłem, jakie głupstwo zrobiłem, aranżując całą tę czynność w izbie, gdzie miałem ruchy skrepowane, zamiast na ulicy, gdzie mogłem działać swobodnie. Byłem ubrany tylko w płócienną koszulę i także pantalony, gdziekolwiek więc dosięgnęłaby mnie żmija, musiała nanieść fatalne ukąszenie.

W tej krytycznej chwili nie straciłem jednak przytomności umysłu; silnym zamachem drażka zwałem rozjuszoną gadzinę na ziemię i w tejże chwili przycisnąłem i drażek nogą przystąpiłem. Tu już byłem panem sytuacji. Tymczasem przed drzwiami zebrała się już gromadka ciekawych, przyglądając się w milczeniu tym moim zapasom ze strasznym płazem. Krzyknąłem, aby mi podano szpagat; Santiago zrobił na nim pętlę, którą nasunąłem na szyję gadziny i silnie zaciągnąłem. Drugi koniec przywiązałem do drażka i tak tryumfalnie wyniosłem na ulicę, ku radości wszystkich zebranych, a największej mojej, że ta sprawa tak szczęśliwie skończyła się dla nas obu.

Zdobyta żmija, należąca jak się zdaje do znanego z Ameryki zwrotnikowej rodzaju *Bothrops*, była największą ze wszelkich jadowitych węży, jakie udało mi się widzieć w czasie mej podróży, mierzył bowiem półtora metra długości, a grubość jego równała się średnicy zwykłej szklanki.

Na parę tygodni przed moim wyjazdem do Europy, Santiago porzucił mnie najniespodziewaniej, bez żadnego widocznego powodu, bo przez ciąg kilkomiesięcznej służby jego panowała między nami najzupełniejsza harmonja, nie zakłócona najmniejszym nieporozumieniem. Płaciłem mu pensję tygodniowo, zwykle w sobotę. Otóż pewnej Niedzieli rano zdziwiony byłem ciszą, panującą w kuchni, gdzie on się zawsze krzątał, szykując ranną kawę. Sprawdziwszy na miejscu, przekonałem się, że zabrał swą pościel i ulotnił się jak kamfora. Indianie robią to często; już memu chłopakowi było duszno w miasteczku; ciągnęło go do życia na swobodzie, wśród zielonych lasów Jeberos. Na pochwałę jego powiedzieć muszę, że nie zginął najmniejszy przedmiot. Żałowałem tylko, że chłopak poszedł niespodzianie, bo miałem zamiar obdarować go różnemi rzeczami zbytecznemi, których mi się nie opłacało zabierać do Europy.

W kwietniu zacząłem myśleć o powrocie do Europy, wiedząc, że w drugiej połowie tego miesiąca powinien przybyć z Para statek „Manaos“, na którym postanowiłem udać się w podróż. Tymczasem szykowałem moje rzeczy do drogi, lutowałem blaszanki ze zbiorami, zabijałem paki drewniane i gdy przybył parowiec 19 kwietnia, byłem już zupełnie gotów.

Brazylijski parowiec „Manaos“, mający mnie zawieść do ujścia Amazonki, był to spory statek kołowy, mogący ładować 6400 centnarów. Pomimo swej dwudziestoletniej służby, wyglądał jeszcze bardzo przyzwoicie i posiadał szybkość nie gorszą od wielu innych, nowszej konstrukcji. Za przejazd na nim do Para (20 dni drogi wdół rzeki) zapłaciłem 269,000 reisów, za bagaż 52,000 reisów, czyli razem 379,000 reisów, na pozór suma kolosalna! Nie przestraszaj się czytelniku, nie wnioskuj z tych cyfr, że ceny w Brazylii są tak, szalenie wysokie, bo owe 379,000 reisów wyniosło na europejską monetę około 840 fr. co za dwudziestodniową podróż wraz z jedzeniem (nb. wcale niezłym) stanowi cenę niezbyt wysoką.

Pierwsza klasa zajmowała tył statku. Na górnym pokładzie przykrytym daszkiem, znajdował się długi stół z ławkami po obu stronach i to stanowiło salę jadalną. Na dolnym zaś mieściły się dwie obszerne, zbiorowe kajuty, z łózkami w dwu kondygnacjach; jedna z tych kajut przeznaczona była dla mężczyzn, a druga dla kobiet, choć zresztą prawie nikt w nich nie sypiał dla zbytniego upału, a tylko każdy rozciągał swój „mosquitero“ na pokładzie i własną pościel pod nim zaścielał. Na przodzie statku znajdowała się III-a klasa, a reszta przeznaczona była na towary, które w braku miejsca ładowano nawet w miejscach wolnych na pokładzie.

Załoga statku składała się z kapitana, jego pomocnika, pierwszego i drugiego maszynisty oraz z kilkunastu marynarzy i palaczy. Najważniejszą jednak osobistością w tej korporacji był „piloto“, którego trudne zadanie polegało na prowadzeniu statku zarówno dniem jak i nocą. Piloci na Amazonce rekrutują się z miejscowych Indian, którzy mają nadzwyczajny talent rozpoznawania mielizn nawet nocą, a jest to zadanie bardzo trudne, zważywszy częste zmiany koryta rzeki. Taki pilot ubiera się po europejsku, a w większych portach nakłada czarny tużurek i wtedy ma minę prawdziwego gentelmana tylko ciemna cera, indyjskie rysy i włos szpeciniasty zdradzają jego pochodzenie. Na statku znajduje się dwu pilotów na zmianyienne i nocne.

D. 21 kwietnia o godzinie 11-ej rano, pożegnawszy ze szczerym żalem zacnego p. Sisley'a i jego rodzinę oraz innych znajomych, wsiałem na statek i wkrótce płynęliśmy Huallagą z szybkością 12 węzłów na godzinę.

Brzegi rzeki, wzniesione na jakie 2 metry nad poziomem wysokich wód, są rzeczywiście urocze, pokryte wszędzie pyszną roślinnością zwrotnikową. Wkrótce stanęliśmy w haciendzie „Dos de Mayo“ dla zabrania transportu wódki, a około 3-ej przybiliśmy do brzegu w Santa-Rosa, gdzie zatrzymaliśmy się aż do następnego rana dla zabrania ładunku kości słoniowej roślinnej (marfil vegetal), czyli orzechów palmy *Fhytelephas macrocarpa*. Tego jeszcze dnia o godzinie 8-ej wieczorem zatrzymaliśmy się w osadzie Laguna, a następnego ranka — 23 kwietnia o godzinie 10 rano wplynęliśmy na Amazonkę.

Znałem ja już tę królową rzek¹⁾, ale w jej kołysce niemal, gdy wśród ciasnych ścian Kordyljerów toczy swe ubogie a bystre nurty. Tutaj wydostała się już ze skalistych uścisków i płynie spokojnie wśród wiecznie zielonych lasów, które jej brzegi okalają. Wspaniała, cudna rzeka, nie szersza może jeszcze od Wisły pod Warszawą, ale jak uroczo obramowana!

Wieczór dnia 23 kwietnia zaznaczył się bardzo smutnym wypadkiem. Siedzieliśmy właśnie na pokładzie przy wieczerzy, gdy

¹⁾ W Guajango i w Pion. Właściwie Amazonka aż do zlania się z Ucajali zwie się Maranon (Maranjon). następnie do Río Negro—Solimoens, a dopiero stąd do ujścia Amazonką.

nagle powietrze rozdarł krzyk straszny, w którym czuć było przedśmiertną agonję. Zerwaliśmy się wszyscy i podbiegliśmy do burty, aby zobaczyć co się dzieje. Okazało się, że statek nasz w ciemnościach najechał na łódź, którą przeprowaiało się sześciu Indjan. Kapitan kazał momentalnie spuścić szalupę, aby ratować tonących. Pięciu z nich wysadzono na nasz pokład; szósty ten który siedział na przodzie łodzi, dostał widocznie [uderzenie kołem naszego parowca w głowę prawdopodobnie poniósł śmierć na miejscu, lub straciwszy przytomność — utonął. O całym zajściu spisano natychmiast protokół który wszyscy pasażerowie na prośbę kapitana podpisali.

D. 24 kwietnia o 9-ej rano stanęliśmy w niewielkiem miasteczku Nauta, leżącym na lewym brzegu Maranonu, prawie naprzeciwko ujścia do niego rzeki Ucayali. Niewielką tę osadę składa kilka domów, krytych dachówką, oraz kilkanaście krytych strzechą.

Rzeka Ucayali stanowi w tej części najważniejszy dopływ Maranonu i nawet przez niektórych geografów uważaną była za rzekę matkę (rio madre). Opierali się oni na długości obu rzek, gdy bowiem Maranon bierze początek z jeziora Lauricocha pod 10^o szerokości południowej, źródła Ucayali znajdują się na skłonach śnieżnego szczytu Vilcanota, z kąd wypływa rzeka Vilcanota lub Inchurusi pod 14^o szerokości południowej; a jeśli za początek Ucayali weźmiemy rzekę Apurimac, to ta bierze początek pod 15^o. Ponieważ jednak w sprawie pierwszeństwa dwu rzek decyduje nie ich długość, lecz objętość wody w każdej z nich przy zlanu, przeto i w danym wypadku należało przeprowadzić to obliczenie, czego dokonał Raimondi i przyszedł do przekonania, że Maranon przy zlanu z Ucayali zawiera 2.75 razy więcej wody, aniżeli ta ostatnia, przeto powinien być uważany za rzekę główną²⁾.

Przy wypłynięciu z Nauty osiedliśmy na mieliźnie z winy kapitana, który wbrew radzie pilota chciał na miejscu zawrócić, zamiast spuścić się nieco z prądem rzeki i następnie zawrócić w miejscu głębszem. Na zepchnięcie statku z mielizny straciliśmy przeszło godzinę czasu i dopiero około 5-ej przed wieczorem puściliśmy się w dalszą drogę.

Płynąc prawie bez ustanku przez następną noc i cały dzień, stanęliśmy dopiero o godzinie 9-ej wieczorem w Iquitos, sporem miastem, leżącym na lewym brzegu Maranonu. Iquitos w czasie złotego deszczu z nędznej osady indyjskiej zaczęło wzrastać szybko na znaczne miasto handlowe, a to dzięki poparciu rządu, który chciał tutaj ufundować główny port dla parowców rzecznych. Wybudowano piękną faktorję oraz dok, lecz ten dzięki niedołęztwu

²⁾ Raimondi użył do tego bardzo dowcipnego sposobu, przez siebie obmyślnego. Sprowadził do Limy trzy butelki wody; jedną z Maranonu zaraz powyżej zlania, drugą z Ucayali — również powyżej zlania, a trzecią z Maranonu, poniżej zlania się z Ucayali. Następnie przy pomocy analizy znalazł ilość soli mineralnych zawartych w każdej z nich i przy pomocy formuły używanej przy spławach metalowych doszedł do powyższej cyfry.

inżynierów zatonął przy spuszczeniu. Nadto miasto otrzymywało przeszło 1,000,000 franków rocznie subwencji rządowej. Dzięki temu Iquitos szybko wzrastało, zabudowując się porządnymi domami, krytymi dachówką na sposób europejski. Kupcy brazylijscy i peruwjańscy zakładali tu swoje magazyny i zdawało się, że Iquitos stanie się centrum handlu dla całej prowincji Maynas. Gdy jednak rozpoczął się krach finansowy i cofnięto subsydyjów rządowe, okazało się, że wybrano punkt niewłaściwy, gdyż naturalnym porządkiem rzeczy powinien się on znajdować w miejscu, dokąd mogą dochodzić większe parowce rzeczne. Takim punktem okazało się właśnie miasteczko Yurimaguas, które szybko rozwija się kosztem Iquitos. Doszło w końcu do tego w czasie mej podróży, że całe domy rozbierano w Iquitos i przewożono do Yurimaguas, do rozwoju którego przyczynił się, jakto wyżej wspomniałem, ziomek nasz p. Ludwik Sisley, zakładając tu wielki magazyn hurtowy.

W Iquitos zatrzymaliśmy się blisko całą dobę, gdyż ładowano tu na nasz statek duży transport kauczuku, który już w owych czasach zaczął przybierać charakter jednego z najważniejszych produktów wywozowych, na równi z yariną (kością słoniową roślinną), olejem copayba, zarzaparillą i innymi. Gdy się ludność miejscowa opatrzyła, że już nie można liczyć na rząd i zarabiać z założonymi rękami, wzięła się szczerze do pracy, eksploatując przyrodzone bogactwa, w jakie tak obfitują lasy amazońskie, a liczne rzesze poszukiwaczy snuły się po wszystkich rzekach tego olbrzymiego systemu wodnego, zbierając kauczuk i inne produkty miejscowe.

D. 27 kwietnia o świcie stanęliśmy w Pebas, niewielkiej, z kilku domów złożonej, miejscinie na lewym brzegu Amazonki i zatrzymaliśmy się tu do godziny 10-ej, zabierając partję kauczuku.

Brzegi Amazonki pokryte były ciągle nieprzerwanym, wspinałym lasem. Miejscami spotykało się dość znaczne przestrzenie, porośnięte wyłącznie palmami „aguaje” (*Mauritia flexuosa*); widziałem taki szmat ziemi powyżej Nauty. Rzeka co chwila rozdzielała się na ramiona, tworząc mniej lub więcej obszerne wyspy, jak „Zaucudo” (komar), „Cacao” i inne.

Nie pamiętam już, w którym z portów wpakowano nam na pokład ciekawego pasażera. Był to olbrzymi żółw rzeczny z rodzaju tak licznie spotykanych w Amazonce i we wszystkich jej dopływach. Okaz ten miał na dolnej, płaskiej tarczy wypisany niebieską farbą adres. Położono go brzuchem do góry, a że te stworzenia dla swej wypukłej, górnej tarczy nie są w stanie się podnieść, przeleżał więc sobie całą drogę aż do Pary w miłym zapomnieniu.

Żółwie amazońskie są jadalne, a mięso ich nie ustępuje w niczem mięsu ich morskich krewniaków. Jaja znoszone na piaszczystych pobrzeżach wysp amazońskich dostarczają doskonałego smalcu, który zarówno w Peru jak i w Brazylii służy biedniejszej ludności do okraszenia potraw. Smalec ten stanowi jeden z ważnych

produktów wywozowych prowincji Maynas. W ostatnich czasach zaczęto nad Amazonką hodować sztucznie te żółwie, zakładając dla nich ogrodzone parki i karmiąc przeważnie manjokiem.

Tego jeszcze dnia (27 kwietnia) o godzinie 9-ej wieczorem odjechaliśmy do Loreto, ostatniego miasteczka peruwjańskiego, przed granicą brazylijską. Pomimo ulewnego deszczu, musieliśmy wysiąść na ląd aby zawizować paszporty nasze u konsula brazylijskiego, a w tym celu musieliśmy się wdrapać wśród ciemności, przy słabem tylko świetle jednej latarki na rodzaj okropnych schodów i później brnąć po błocie do mieszkania konsula.

O świcie 28 kwietnia opuściliśmy Loreto, aby o godzinie 9-ej rano przepłynąć około resztek fortu peruwjańskiego, zwanego Mariscal Castilla a w kilkanaście minut potem zawinęliśmy do brazylijskiego fortu Tabatinga, leżącego na lewym brzegu Amazonki, prawie naprzeciwko ujścia rzeki Yavari, która stanowi granicę między Peru i Brazylią na południowej stronie. Tabatinga składała się podówczas z kilku murowanych domów, między którymi widoczne miejsca zajmował dom komendanta fortu, koszary, skład prochu i inne; na wałach nadbrzeżnych zieją otwory armat.

Wkrótce po naszym przybyciu odebraliśmy wizytę komendanta fortu, który znów zawizował nasze paszporty, poczem opuściliśmy Tabatingę i około 3-ej zawinęliśmy do miasteczka Calderon, niewielkiej osady, zkad po trzy-godzinnym postoju ruszyliśmy w dalszą drogę.

D. 29 kwietnia o godzinie 8-ej rano wpłynęliśmy do wąskiej rzeki o czarnych wodach, nad którą leży miasteczko Tunantins, złożone z kaplicy i dziesiątka domów o przyzwoitej powierzchni. Tutaj zabraliśmy ładunek drzewa dla naszego statku, a w ujściu rzeki zatrzymaliśmy się na chwilę, gdyż w tem miejscu dostarczono dla nas kilka sztuk bydła rogatego.

Już od dnia poprzedniego prowadziliśmy wyścig ze statkiem „Augusto”, należącym do innego towarzystwa. Parowiec ten zatrzymywał się rzadziej od nas, lecz za to znacznie wolniej jechał od naszego statku, wymijał więc nas zawsze podczas nocnych postojów, a natomiast myśmy go potem wkrótce prześcigali. To nasze współbieganie się o mało że nie stało się przyczyną strasznej katastrofy. Tegoż samego dnia wieczorem zatrzymaliśmy się w jednym z małych portów dla zabrania drzewa. Była godzina 8-a, gdy dostrzegliśmy w dali światła doganiającego nas znowu „Augusta”. Graliśmy na pokładzie statku w rodzaj „elbika”, gdy statek nasz ruszył z miejsce. Miałem jakieś złe przecucia i kilka razy powtórzyłem, że teraz zakręcając (statek w porcie zawsze staje nosem pod wodę), możemy się zetknąć z nadpływającym rywalem. Przecucie mnie nie zawiodło. Nagle usłyszeliśmy energiczne rozkazy dowódcy statku i rozpaczliwe świstanie obu parowców. Wybiegłem na wolne miejsce koło komina, aby lepiej zbadać sytuację. Noc była ciemna. Drogę naszą w tej chwili przecinał nieco skośnie „August”, a myśmy wprost na niego płynęli. Położenie było w najwyższym stopniu krytyczne, a katastrofa zda-

wala się nieuniknioną. Zapanowała grobowa cisza, przerywana tylko ponurym świstem obu parowców. Wobec groźnego niebezpieczeństwa uplanowałem sobie błyskawicznie, że najlepiej będzie ratować się na szczapach drzewa, które koło komina były złożone. Tymczasem statki zbliżały się dość szybko do siebie. Już, już zda się nasz statek wpada na bok „Augusta”, z pokładu którego rozległ się rozdzierający, krew w żyłach mrozący, krzyk kobiet i dzieci. Jeszcze chwila... „Manaos” przepłynął zaledwie o dwa metry od tyłu „Augusta”.

Od katastrofy uratowała nas przytomność naszego dowódcy, który na szczęście znalazł się w tej chwili na kapitańskim pomoście i momentalnie dał rozkaz kontrparowania, gdy jednocześnie „August” jechał całą siłą pary. Dwie sekundy różnicy, a kolizja była nieuniknioną i wtedy nurty Amazonki pochłonęłyby pareset istnień ludzkich. W podobny sposób na 7 lat przed moją podróżą zatonął statek „Purus”, rozbity przez inny parowiec, a z 700 pasażerów 400-u śmierć znalazło!

D. 30 kwietnia obudziliśmy się w Fonte-Boa, niewielkim miasteczku, położonym na prawym brzegu Amazonki. Wysiadłem tu na ląd, aby porobić kilka małych sprawunków. Ztąd płynęliśmy dzień cały, a o 4-ej po południu stanęliśmy w osadzie Caiçara, gdzie statek zabrał znaczny ładunek orzechów amerykańskich, które stanowią jeden z najważniejszych produktów handlu wywozowego na pobrzeżach brazylijskiej Amazonki. Orzechy te s'pestkami owoców drzewa, zwanego przez uczonych *Bertholletii excelsa*, uprawianego w Brazylii oraz w Guyanie. Niektóre statki, wypływając z Para (w ujściu Amazonki) do Europy, są jeśli nie wyłącznie, to przeważnie naładowane orzechami amerykańskimi.

Wypłynęliśmy z Caiçara nad rankiem, a o świcie stanęliśmy w Teffe (dawnem Ega). Miasteczko to leży nad jeziorem (cochae do którego wpływa się wązkim kanałem. Ponieważ statek zatrzy, mywał się dość długo, usiadłem z kilku towarzyszami do łódki, aby zwiedzić to dość znaczne miasteczko. Jakież było nasze zdziwienie, gdy przewoźnik zapytał nas, czy życzymy sobie pojechać do części miasta liberalnej, czy też konserwatywnej. Okazało się, że miasto Teffa jest przedzielone wązkim, naturalnym kanałem na dwie części, a że wypadkiem w jednej z nich zgrupowali się zwolennicy zasad liberalnych, a w drugiej konserwatyści, więc obie części uzyskały odpowiednie nazwy. Tutaj zauważyłem pierwsze nad Amazonką palmy kokosowe.

Przeplłynawszy osady Coari, Araras; Manacapuru i inne, d. 5 maja około godziny 5-ej po południu zbliżyliśmy się do złączenia Rio Negro z Amazonką, a o zachodzie słońca stanęliśmy w Manaos — dawnem Barra do Rio Negro — najważniejszym po Para mieście na całej Amazonce, zbudowanym na lewym brzegu Rio Negro niedaleko jego ujścia. Manaos w owym czasie liczyło już około 10,000 mieszkańców, lecz dzięki swej doskonałej pozycji przy ujściach dwu potężnych rzek, a mianowicie Rio Negro i Rio Madeira, rosło szybko i dziś prawdopodobnie kilkadziesiąt tysięcy

mieszkańców liczyć musi. Tu się środkuje cały handel górnej Amazonki, oraz jej dopływów, a że głębokość tej wspaniałej rzeki pozwala nawet statkom tysiąc tonowym do samego miasta dopływać, mimo 1000 mil ang. odległości od ujścia, uważać należy Manaos za port morski; jakoż statki najrozmaitszych narodowości tu bezpośrednio zawijają, aby wszelkie produkty bogatych lasów mazońskich stąd wprost do Europy lub Północnej Ameryki zabierać. To też Manaos posiada wygląd zupełnie europejski, piękne sklepy, doskonale we wszystko zaopatrzone, znakomity i rozległy port, katedrę, która kosztowała 2 miliony franków, oraz całą kolonję Europejczyków i Yankesów, osiadłych tu w celach handlowych.

Manaos opuściliśmy nazajutrz o godz. 9-ej rano, po załatwieniu formalności na komorze i wkrótce wypłynęliśmy znów na mętnawe wody Amazonki, które jaskrawo odbijały od ciemnych nurtów Rio Negro, z kąd i nazwa tej rzeki pochodzi. Obie rzeki na znacznej przestrzeni płyną jakby samodzielnie i dopiero poniżej wody ich ulegają kompletnemu przemieszaniu.

Rankiem dnia 7-go maja minęliśmy ujście rzeki Madeira, jednego z największych dopływów Amazonki, a o godzinie 7-ej przejechaliśmy koło pięknego miasteczka Serpa, aby wkrótce potem wpłynąć do jednego z licznych rozgałęzień Amazonki, które tutaj zwą „paranamiri“ co znaczy w języku „geral“ -- rzeka mała. Kanał ten mógł mieć szerokości nie więcej, jak 150 do 200 kroków. Na obu brzegach widać było co kroku piękne, bielone domki, otoczone plantacjami kakao, które stanowi ważny produkt wywozowego handlu. W owych czasach sama Para eksportowała miesięcznie około 13,000 arrobas¹⁾ kakao.

D. 9 maja minęliśmy ujście rzeki Trombetas, sławnej z dzikich Indian ludożerców, poczem zawinęliśmy do miasteczka Obidos, położonego na lewym brzegu Amazonki i posiadającego niewielką forteczkę, uzbrojoną trzema armatami. Grunt tutaj jest dość nierówny, występują tu niewysokie wzgórza — może dawne wyspy na morzu, zanim łód posunął się tutaj od Kordyljerów. Następnego dnia dopłynęliśmy do Santarem, największego miasta po Manaos na Amazonce, leżącego w ujściu rzeki Tapajoz.

Poniżej Santarem płynęliśmy ciągle wążkami ramionami Amazonki, po obu stronach których spotykało się co kroku domy na palach. Były to siedziby właścicieli tak zwanych „siringales“, czyli plantacji drzew kauczukowych, których eksploatacja sięgała już wtedy kolosalnych rozmiarów. Niektóre „siringales“ dochodziły wartości 100 a nawet 200 tysięcy franków. Brazylijscy „caucheros“, stokroć przezorniejsi od peruwjańskich, zamiast ścinać drzewa, co jest równoznaczne z ich kompletnem wyniszczeniem, wydobywają kauczuk przez nacinanie kory, dzięki czemu mogą eksploatować drzewo do nieskończoności.

Tego dnia o zachodzie usłyszeliśmy krzyk rozpaczliwy: to

¹⁾ Przypominam, że arroba=25 funtom.

jeden z ludzi załogi przez własną nieostrożność wpadł do wody. Zatrzymano natychmiast parę i spuszczone łódź na wodę, zajęło to jednak sporą chwilę czasu, a tymczasem parowiec posuwał się siłą bezwładności naprzód. Na szczęście był to „tapuyo” (Indjanin), umiejący pływać doskonale, więc się utrzymał na powierzchni, aż póki wysłana łódź nie podpłynęła i nie zabrała go na pokład statku.

Wieczorem o 11-ej wplynęliśmy do tak zwanego „Estreito” (cieśniny), czyli kanału nie szerszego nad 75 kroków, w ujściu którego spotkaliśmy osiadły na mieliźnie morski statek „Cearense”, płynący z Manaos do Anglii. Jak się później okazało, tym właśnie statkiem miałem odpłynąć do Europy.

Przez „Estreito” płynęliśmy całą godzinę, ocierając się niemal o gałęzie drzew nadbrzeżnych; statek, ze względu na bezpieczeństwo posuwał się nadzwyczaj wolno. Dla uniknięcia spotkania się dwu statków jeden z kanałów jest przeznaczony do ruchu w dół, a drugi — w górę rzeki, gdyż inaczej nie byłoby podobnem uniknąć częstych katastrof.

Wreszcie d. 11 maja w płynęliśmy do tak zwanej „Boca” (ujście), gdzie horyzont znacznie się rozszerza, a fala staje się tak grubą jak na morzu. Jest to najniebezpieczniejsza część żeglugi, gdyż lekkie i słabo zbudowane statki rzeczne nie wytrzymują czasem silnych uderzeń fali i toną. W ten sposób zginął na półtora roku przed naszą podróżą statek „Tambo”, przyczem utonęło 25 pasażerów. Jeden z rozbitków znajdował się właśnie na naszym statku, opowiedział nam więc szczegóły tej strasznej katastrofy. Ocalał on dzięki temu, że się uczepił drabiny. Łotr kapitan statku opuścił wszystkich pasażerów, ratując się wraz z załogą w łodzi; ten sam nikczemnik w pół roku później, dowodząc innym statkiem, pozwolił mu splonąć i wtedy dopiero odjęto mu komendę raz na zawsze. Ów rozbitek pokazywał nam miejsce katastrofy, gdzie przez trzy dni, nic nie jedząc spędził, póki przypadkowa pomoc nie nadeszła.

Wielką była nasza radość, gdy o godzinie 5-ej po południu ujrzeliśmy w oddali miasto Para, zwane dawniej Belem, a o 7-ej wplynęliśmy szczęśliwie do portu po dwudziestu dniach żeglugi dniem i nocą.

W Para dowiedziałem się, że najbliższym statkiem, odpływającym do Europy, jest oczekiwany lada dzień „Cearense”, ten sam który widzieliśmy na mieliźnie w ujściu „Estreito”. Nie mając nic lepszego do roboty, stanąłem w jednym z hoteli gdzie cierpliwie oczekiwałem na statek. Ta moja cierpliwość wystawioną była na srogie męki, nie znam bowiem punktu gorętszego, nad Para. Bywałem przecież w Ameryce pod samym równikiem, zwiedziłem Egipt i Sudan aż pod 12^o szerokości północnej, a jednak nigdzie nie zdarzyło mi się doświadczyć takiego gorąca i to gorąca wilgotnego, osłabiającego ciało, jak w tej miejscowości. Siedząc nieruchomo, człowiek był ciągle zlany potem, a cóż dopiero, gdy wypadło iść ulicami wśród rozżarzonych domów. Bieliznę trzeba

zmieniać dwa albo trzy razy dziennie, aby uniknąć nieprzyjemnego uczucia nieustającej kąpieli. W nocy duszno było w najwyższym stopniu, gdyż z obawy ukąszeń całych rojów komarów, należało spać pod moskiterami, w dusznej i gorącej atmosferze, bez troszeczek orzeźwiającego prądu powietrza!

Wreszcie d. 15 maja nadpłynął tyle upragniony „Cearense”, a następnego dnia o godz. wpół do 12-ej przed południem opuszczałem na nim brzegi Ameryki, aby po 23 dniach burzliwej, pełnej niewygód żeglugi stanąć 7-go czerwca rano w Hawrze, a dnia następnego w Paryżu, w gościnnym domu Konstantego hr. Branickiego.

KONIEC.

Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K.2458-2/I



1000000000381